PRZEGLĄD

POWSZECHNY.

BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO
Ps. 143.

ROK SZESNASTY. — TOM LXIII.

LIPIEC, SIERPIEŃ, WRZESIEŃ.

1899.

KRAKÓW.
Druk W. L. Anczyca i Spółki.
1899.

Errata.

Str. 101, wiersz 9 od dołu, zamiast: »duszy«, ma być: »dany«.
Str. 106, wiersz 9 od dołu: zamiast: »często«, ma być: »czysto«.
Str. 415, wiersz 19 od góry: zamiast: »lowe«, ma być: »love«.

IDEAŁY SPOŁECZNO-EKONOMICZNE W ROSYI.

Literatura społeczno-ekonomiczna w Rosyi, aczkowiek stosunkowo późno pojawiła się na widowni umysłowości rosyjskiej, od razu okazała się w świetle własnem i przybrała barwę i charakter właściwy. Dwa rysy znamienne wyróżniają ją wydatnie od literatury innych krajów. Z jednej strony zdumiewać musi każdego ogrom dzieł i rozmaitych pism poświęconych sprawie włościańskiej i ludowej. „Oświecona Rosya — mówi jeden z wybitniejszych publicystów rosyjskich na emigracyi — pozbawiona możności przyjścia z pomocą ludowi, usiłuje przynajmniej o ile możności jak najdokładniej obznajomić się z jego położeniem ekonomicznem. I dlatego wykształcony Rosyanin rzuca się z chciwością na pisma poświęcone sprawie ludowej, a literatura nasza całkiem odmienny od innych krajów przybrała charakter. W żadnym innym kraju nie znajdziesz tylu uczonych znakomitych, którzy postawili sobie za zadanie odtworzyć wierny obraz o położeniu, potrzebach i aspiracyach ludu roboczego, jak w Rosyi. W żadnym innym kraju nie doznały podobne prace takiego poparcia ze strony klas wykształconych, jak w Rosyi. Komisye statystyczne, wysadzone w tym celu przez wszystkie prawie ziemstwa nasze, zbadały dokładnie i wyczerpująco obecne położenie milionów gospodarstw włościańskich, rozsianych na przestrzeni znacznie większej niż Niemcy całe... Olbrzymi ten materyał naukowy, nagromadzony w urzędowych i nieurzędowych publikacyach, opracowało umiejętnie pod rozmaitym kątem widzenia liczne grono

uczonych. Każda ważniejsza dziedzina życia ludowego stała się przedmiotem specyalnych studyów. I gmina rosyjska i ludowe pojęcia religijne mają swoją własną, rozległą literaturę“ [1].

Drugi rys charakterystyczny współczesnej literatury społeczno-ekonomicznej w Rosyi, to idea socyalizmu, która na wszystkich prawie utworach ducha rosyjskiego wycisnęła znamienne swe piętno. „W żadnym kraju — pisze w świeżo wydanem dziele o spólnocie gminnej młody uczony rosyjski Simkowicz [2] — nie wywarł socyalizm tak potężnego wpływu na życie umysłowe, jak w Rosyi. Dzisiaj cała umysłowość rosyjska wciągnięta została w wir walki, rozgrywającej się pomiędzy dwiema partyami socyalistycznemi: narodnikami i marksistami. Przedmiotem zaś sporów jest spólnota gminna“. Ale bo też spólnota gminna zajmuje już od pół wieku całą umysłowość rosyjską, ona stała się punktem środkowym, około którego grupują się stronnictwa socyalne, ogniskiem, do którego odnoszą się wszystkie prądy ekonomiczno-społeczne, nurtujące społeczeństwo rosyjskie. Jako punkt programowy wysunęli ją na arenę umysłowości najprzód słowianofile. Tylko że w oczach słowianofilów była gmina rosyjska najdroższą spuścizną dziejową i skarbnicą narodowych ideałów. Hercen dopiero zespolił ją z ideałami socyalistycznemi: „Rzecz się wyklarowała, młoda generacya w Rosyi zrozumiała, że idea socyalizmu na zachodzie jest owym ideałem niezawodnym i niewyraźnym ludu rosyjskiego, jest urzeczywistnieniem i sylogizmem żywym jego pierwiastkowych instytucyj społecznych“. I odtąd idea spólnoty gminnej stała się najgłówniejszym przedmiotem żywych i namiętnych sporów pomiędzy uczonymi rosyjskimi i zajmuje naczelne miejsce w rzędzie postulatów i aspiracyj społecznych oświeconej Rosyi.

Ale jest jeszcze inny wzgląd, dlaczego współczesna literatura ekonomiczna w Rosyi w szczególniejszej mierze zasługuje na uwagę. Rosya przechodzi obecnie wielkie przeobrażenia ekonomiczne. Dokonuje się tam ten sam proces, jaki od 200 lat

[1] Stepniak, *Der russische Bauer.*

[2] *Die Feldgemeinschaft in Russland* von Wladimir Simkowicz. 1898, str. 6.

z okładem trawi wnętrzności Europy. „Występują tam — mówi profesor Kowalewski [1] — na widownię społeczną objawy podobne do tych, jakie zaznaczyły się w wieku XVIII. i w pierwszej połowie XIX. wieku, tylko że proces ten dokonuje się w Rosyi w rozmiarach znacznie rozleglejszych i z siłą spotęgowaną. Rosya korzysta na prawdę ze wszystkich postępów techniki, jakie nagromadził przemysł zachodni; ona nie zna ani prób ani zawodów związanych z rozwojem przemysłu, przechodzącego czasy niemowlęctwa. To też korzyści materyalne i szkody rozmaite, nieodłączne od obecnego porządku ekonomicznego, wystąpiły w Rosyi na widownię bez przejścia żadnego". Obok i wskutek olbrzymiego rozwoju przemysłu dokonują się inne przeobrażenia społeczne i ekonomiczne. Stanęły tam naprzeciwko sobie dwa światy, nieprzejednaną walkę ze sobą wiodące. Świat stary, oparty na gospodarstwie izolowanem, na spólnocie gminnej i ustroju patryarchalnym mocuje się ze światem nowym, zasadzającym się na potędze maszyny i wymianie towarów i potędze pieniądza. Gospodarstwo pieniężne wrzyna się ostrzem handlu i kredytu coraz głębiej i coraz potężniej w prastare instytucye społeczne. Zaognia się kwestya agrarna — własność większa nie dotrzymuje kroku potężnie rozwijającemu się przemysłowi, nie chce czy nie może dostroić się do interesów kół przemysłowych i warstw robotniczych. Znika potężnie rozgałęziony przemysł domowy — fabryka podcięła jego siły żywotne. Miasta przetwarzają się w olbrzymie ogniska przemysłu i handlu. Tworzą się nowe klasy społeczne, do niedawna nieznane w Rosyi: proletaryat fabryczny i potentaci finansowi. A w ślad za przeobrażeniami idą nowe myśli i wyobrażenia, budzą się nowe potrzeby i aspiracye, słowem: powstaje nowy świat duchowy, wciskający się siłą rzeczy do serc i umysłów społeczeństwa rosyjskiego. Dwa światy te podobnie jak w dziedzinie enonomicznej tak i w dziedzinie nauki mają swoich przedstawicieli i obrońców.

Pomiędzy uczonymi rosyjskimi wyodrębniły się dwa odcienia: pierwszy, wychodząc z przekonania, że to — co raz się

[1] Kowalewski, *Le régime économique de la Russie.* Paris 1898, chap. I.

wytrawiło i nie przypada do postępu wieku, żadną miarą utrzymać się nie da — radby przeobrazić Rosyę na wzór krajów zachodnich. Są to zwolennicy cywilizacyi zachodniej, niewierzący w odrębność i właściwość świata rosyjskiego. To też ich teorye i ideały społeczno-ekonomiczne nie różnią się zgoła od naukowych prądów ekonomicznych na Zachodzie, nie noszą na sobie cechy specyalnie rosyjskiej. Możemy ich przeto pominąć. Odcień zaś narodowy, stanowiący ogromną większość uczonych i mieszczący w swojem łonie wybitne talenta, przeciwnie, nie chce nic uronić z tego, co stanowi odrębność Rosyi i co przeszłość dziejowa przekazała w spuściźnie dzisiejszemu pokoleniu, i dlatego usiłuje cały postęp wieku wraz z wszystkiemi jego wyobrażeniami zamknąć w ciasnem łożysku prastarych instytucyj społecznych i szuka odrębnych dróg dla przyszłego rozwoju Rosyi. Są to „narodniki“, obrońcy starego porządku i spadkobiercy spuścizny duchowej i ideałów społeczno-ekonomicznych słowianofilów i socyalistów narodowych. Wpływ ich na społeczeństwo rosyjskie jest wielki, zwłaszcza że licznych i potężnych zwolenników znajdują oni — rzecz dziwna — w przedstawicielach wielkiego przemysłu. Polityka celna i taryfowa jest tą siłą magiczną, która przykuć zdołała kosmopolitycznych kapitalistów do rydwanu nacyonalizmu w Rosyi.

Obok „narodników“ nurtują społeczeństwo rosyjskie inne jeszcze prądy społeczne, powstałe na gruncie rosyjskim, utopijne i szowinistyczne i narodowe, a wszystkie wzięły swój początek od słowianofilów. Ale bo też nauka słowianofilów jest źródłem i ogniskiem, skąd się rozchodziły i dokąd się odnoszą wszystkie prawie strumienie myśli rosyjskiej. I tołstojowcy i panslawiści i socyaliści narodowi i narodniki, wszyscy oni snuli swoje poetyczne czy naukowe rojenia na tle nauki słowianofilów, kąpali się w uroczem źródle ich poezyi romantycznej. To też chcąc dać przegląd współczesnych nam ideałów społeczno-ekonomicznych w Rosyi, zacząć nam wypada od słowianofilów, zwłaszcza, że nauka ich i ideały dziś jeszcze w pewnej części są duchową własnością oświeconej Rosyi i wchodzą w skład żywotnych jej przekonań społeczno-narodowych.

I.

Słowianofile wyrośli na gruncie nacyonalizmu i absolutyzmu rosyjskiego. Twarde rządy Mikołaja I. tłoczącem zaciążyły brzemieniem nad życiem umysłowem i politycznem w Rosyi. Despota północy, by nic nie uronić z tego, co stanowiło dziejową spuściznę caratu i potęgi Rosyi, wypisał na swoim sztandarze ideę prawosławia, autokracyi i nacyonalizmu (Hercen) i według tej normy świadomy swej potęgi z bezwzględną surowością za pomocą policyi i cenzury nastawał na każdy objaw najlżejszy swobodniejszej myśli, ścigał i bezlitośnie tłumił głuche nawet echa nowych kierunków, jakie mimo kordonu i cenzury dolatywały z Zachodu. Ponura cisza zapanowała na obszarach Rosyi.

Nieliczna młodzież tylko, wykształcona za granicą w szkole wieku i po części przejęta jego wyobrażeniami, krzątała się zdala od oka policyi tu i ówdzie swobodniej. Przedewszystkiem w Moskwie, która podówczas była ogniskiem umysłowości rosyjskiej, wrzało w całej pełni życie umysłowe i literackie. Tam sprzeczano się żywo i namiętnie o dyalektyczne formułki Hegla i wzniecano uczone dyskusye o najgłębsze życia zagadnienia. Tam palono kadzidła geniuszowi Rosyi i jej przeszłości dziejowej, a równocześnie unoszono się nad ruchem wolnościowym w zachodniej Europie i nucono hymny pochwalne na cześć wielkiej rewolucyi. Wogóle można powiedzieć, że wiek ówczesny razem z wszystkiemi wyobrażeniami i konwulsyjnemi drganiami, znalazł w prastarej Rosyi stolicy, wśród inteligencyi moskiewskiej, umiejętny swój wyraz i zapalonych zwolenników. Współczesny Hercen, który wybitny brał udział w tym ruchu, opisuje nam barwnie w swoich pamiętnikach to życie salonowe w Moskwie. „Widziano tam Chomiakowa dyskutującego od 9 wieczorem aż do 4 rano, i K. Aksakowa z murmulką w ręku z zapałem występującego w obronie Moskwy, której nikt nie zaczepiał. Kieliszka szampana nie brał on nigdy do ręki, nie zmówiwszy wpierw w duchu modlitwy i nie wygłosiwszy toastu, któryśmy wszyscy znali. Tam R... wysnuwał dedukcye logiczne

o swoim Bogu osobistym, *ad maiorem gloriam Hegeli*, a Granowski zabierał głos z właściwym sobie spokojem i naciskiem. A któż nie przypomina sobie Bakunina i Stankiewicza. Był tam i Czaadajew, który przywodził do rozpaczy arystokratów i słowianofilów, przez żrące słowa swoje, które wypowiadał zawsze pod formą oryginalną i z wyrachowaną obojętnością. Młody starzec, A. Turgenjew, opowiadał zabawne dykteryjki o wszystkich znakomitościach Europy, począwszy od Chateaubrianda i pani Récamier aż do Schellinga i Racheli de Varnhagen. Botkin i Krijukow rozkoszowali się panteistycznie opowiadaniami M. Stepkina, a raz po raz wpadał i Bieliński jak raca kongrewska, wzniecająca wszędzie płomienie, gdzie tylko się zbliżył".

W kółku tym też powstały i rozwinęły się zarody reakcyi, przeciwko ówczesnemu kierunkowi politycznemu: „w osobie Granowskiego, mówi Hercen, przyklaskiwała oświecona Moskwa swobodzie myśli i wolności osobistej, i wszystkim walkom, jakie Zachód prowadził w obronie swoich praw. Przez ruch słowianofilski, protestowała w imię uciśnionego uczucia narodowego, przeciwko wyniosłości rządu petersburskiego". Dwa te kierunki wszelako przekształciły się niebawem w dwa wrogie i nawzajem się zwalczające obozy. Na czele zwolenników cywilizacyi Zachodu stali Hercen, Granowski i Bieliński, w którym według słów Pypina, „zogniskowały się najgorętsze sympatye dla młodego pokolenia, i płomienna nienawiść dla przestarzałej szkoły literackiej, i nienawiść do młodej szkoły słowianofilów, która żywiła niechęć do zachodnio-europejskiego kierunku". W obozie słowianofilów, dzierżyli kierownictwo Konstanty Aksakow i bracia Kirejewscy, ale duszą całego kółka był Chomiakow. „Słowianofile i Czaadajew — mówi Hercen[1] — spojrzeli w oczy niewytłumaczonemu sfinksowi życia rosyjskiego, sfinksowi, który kryje się pod mundurem sołdackim i otoczony jest opieką cara. Postawili oni sobie pytanie: — „Jak wyjść z tego położenia? Życie w takich warunkach jest niemożliwe; nuda i głupota tego

[1] *Le Monde Russe*, Paris, 1862. str. 192 i d.

rodzaju egzystencyi, jest nie do zniesienia; — ale jak wyjść z tego położenia?"

„Niema żadnego wyjścia" — odpowiada Czaadajew, uczony z epoki petersburskiej, kiedy pod rządami Aleksandra I. wierzono w europejską przyszłość Rosyi — i w smętnej zadumie wykazuje na oko owoce usiłowań całego wieku: ‚Cywilizacya — ależ ona stała się tylko nowem narzędziem do uciemiężenia; kościół prawosławny, to mara i nic więcej, pod którego cieniem kryje się policya; lud — on znosi wszystko; rząd — który w swojem ciemiężeniu nie zna granic. Podczas kiedy przeszłość dziejowa innych ludów przedstawia nam obraz ruchu wolnościowego, historya Rosyi, mówi nam tylko o wprowadzeniu poddaństwa i autokracyi. Reformy Piotra I. zrobiły z nas tylko gorszych ludzi, bo służalców cywilizowanych. Od dawna już skazani jesteśmy na smutny ten stan moralny: zdala od ludzi i obcy jego życiu, uginamy się pod chłostą rządu! Chwila spoczynku nadeszła; czas tedy pogodzić się ze swojem sumieniem i szukać jakiegoś punktu oparcia'... jakby chciał powiedzieć ‚czas już umierać', ale Czaadajew wierzył, że znajdzie w kościele katolickim spokój i lekarstwo na wszystkie nieszczęścia"[1]. Tak pisze Hercen, który w swoich wspomnieniach, pamięci Czaadajewa poświęca kilka wzniosłych kartek, dodając, „że z punktu widzenia cywilizacyi zachodniej w epoce restauracyi i świetle szkoły petersburskiej, pogląd ten był najzupełniej uzasadniony".

„Słowianofile wszelako nie podzielali tego poglądu; sposób ich wyobrażeń, przypadał więcej do miary uczuć ludu, w czem dowód, że u nich przeczucie głębsze było od rozumowania. Oni zrozumieli, że Rosya, jakkolwiek w rozpaczliwem zdaje się być położeniu, nie znajduje się przecież w śmiertelnem konaniu. Podczas kiedy Czaadajew wskazał możność zbawienia jednostek, słowianofile przeciwnie wypowiadają śmiało zdanie, że ludzie

[1] W duchu powyższym napisał Czaadajew w dzienniku *Teleskop* artykuł, który wstrząsnął potężnie umysłami ówczesnej Rosyi. Mikołaj wszelako w odpowiedzi kazał Czaadajewa ogłosić waryatem i zamknąć w domu obłąkanych — *Teleskop* zwinięto.

przypadający do miary obecnych warunków skazani są na zagubę, przyszłość przecież ludu jest zapewnioną".

„My zbawiemy Rosyę — powiedzieli sobie słowianofile — trzeba tylko odłączyć się od prądów petersburskich i zbliżyć się napowrót do ludu, od którego odcięliśmy się obcą nam cywilizacyą i niegodziwą administracyą; należy znowu powrócić do prastarych zwyczajów naszych przodków". Słowianofile tedy postawili sobie za zadanie zbawić Rosyę. Ale jak?

Wytworzyli oni sobie taką logikę: Wszystek ucisk, wszystko złe, wszystkie nieszczęścia, jakie na Rosyi nieznośnem zaciężyły brzemieniem, pochodzą jedynie stąd, że geniusz narodu w swoim dziejowym pochodzie i rozwoju, napotkał na przeszkody przez obcą i przeciwną jego duchowi politykę epoki petersburskiej. Piotr W. odstępując od czysto narodowych zasad i wiekowych tradycyj, gwałtem i przemocą narzucił Rosyi obcą jej duchowi i w dodatku skażoną w zasadzie cywilizacyę Zachodu. I odtąd Rosya na fałszywej posuwa się drodze. Nastąpił rozbrat pomiędzy ludem i klasami wyższemi, które przejęte zatrutemi zasadami cywilizacyi zachodniej, wniosły do dziejowego łożyska Rosyi zarazki śmiertelnej choroby rozkładającego się Zachodu. Nastąpił rozbrat pomiędzy narodem a rządem, który narzucając reformy przemocą, potargał węzły wzajemnej miłości i jedności z ludem. Kościół popadł w suchy formalizm, a lud zostawiony sobie, rozpadł się na sekty. Chcąc uratować Rosyę, należy znowu powrócić do starodawnych zasadniczych podstaw, na których geniusz narodu, świadomy swego dziejowego posłannictwa, samodzielnie się rozwijał i rósł w potęgę. I tu doszliśmy do najistotniejszego punktu nauki słowianofilów. Według ich mniemania bowiem Rosya, nie tylko tworzy świat odrębny i samoistny, ale jest ona nadto narodem przez Opatrzność wybranym, i naznaczonym stygmatem wielkiego posłannictwa w rozwoju dziejowym ludzkości.

„W gruncie rzeczy była to teorya Schellinga — mówi ks. Wołkonski[1] — o zaniku żywotności i zmianie ras w rozwoju

[1] Fürst Sergei Wolkonskij, *Bilder aus der Geschichte und Litteratur Russlands*. Basel 1898.

kulturalnym ludzkości, teorya, którą Hegel stosował do rasy germańskiej. I na tej podstawie oparli słowianofile swoją doktrynę. Różnica była tylko w tem, że co Niemcom poczytywano za objaw dumy narodowej (teorya ich bowiem pozbawiona pierwiastka religijnego nosi na sobie cechę nacyonalizmu) to u słowianofilów uchodziło za objaw chrześcijańskiej pokory. Zdaniem ich uposażyła Opatrzność lud rosyjski przed wszystkimi innymi ludami najwyższemi i nadzwyczajnemi darami. W oczach słowianofilów było to dogmatem, zaprzeczyć się niedającym, wierzono weń tak szczerze, że rzecz dziwna, wiara ta mieściła w sobie więcej pokory jak dumy i zarozumiałości. ‚Wielkimi jesteśmy, ponieważ jesteśmy pokornymi' — mówili oni — a ‚rosyjska pokora' stała się najulubieńszym w ich pismach tematem (K. Aksakow, Szewyrew)". Teoryę tę stosowali słowianofile pierwotnie do wszystkich Słowian. „Jeżeli braterstwo ludów — mówi Chomiakow — jeżeli uczucia prawdy i dobra nie są marą, lecz siłą żywą i nie umierającą, to zaczątki przyszłej cywilizacyi tkwią nie w plemieniu germańskiem, arystokratycznem i zdobywczem, lecz w Słowianach. Słowianin, rolnik i demokrata, ma przed sobą szczytne zadanie i świetną przyszłość". Ale następcy jego zacieśnili ją wyłącznie tylko do Rosyi.

A teraz jak uzasadniają słowianofile swoją teoryę, czem usprawiedliwiają niezmierne to posłannictwo swego narodu?

Cywilizacya narodu — mówią oni — wzrastała na gruncie cywilizacyi rzymskiej, której istotę stanowił suchy racyonalizm, objawiający się w nienaturalnym rozwoju prawa, oraz w polityce zaborczej, opartej na gwałcie i podbojach. Kościół rzymski, kształcił się na cywilizacyi rzymskiej i skaził naukę Chrystusa. Pojmując chrześcijaństwo w duchu państwowości rzymskiej, stał się państwem samowładnem z papieżem na czele, i nieograniczoną władzą nad narodami i duchowieństwem, ślepem narzędziem jego woli. I znikła swoboda jednostek i święta powaga soborów, i swobodne badanie pisma św., bo to wszystko pochłonął absolutyzm rzymski, przywłaszczający sobie prerogatywy nieomylnego stróża i tłumacza nauki chrześcijańskiej. I to odstępstwo od pierwotnej nauki Chrystusa mści się strasznie w ko-

ściele zachodnim. Bunt Rzymu przeciwko kościołowi wschodniemu wywołał logicznie bunt protestantyzmu. Ale i ten z natury rzeczy niczem innem nie jest, jak tylko negacyą katolicyzmu: „odbierzcie protestantyzmowi — mówi Chomiakow — ten drugi odrzucony przezeń świat, a zginie dzieło Lutra, gdyż żyje tylko przeczeniem. Kodeks tej nauki, którą wyznaje protestantyzm do dziś dnia jeszcze, jest owocem dowolnej pracy kilku uczonych; przyjęły i przyjmują go z idyotyczną lekkomyślnością miliony głupców, a nauce tej powodzi się dotąd pozornie dlatego tylko, że potrzebną jest dla przeciwdziałania naciskowi katolicyzmu. Jak skoro poczucie potrzeby tej schodzi na drugi plan, natychmiast protestantyzm rozkłada się na tyle zapatrywań religijnych, ile osobników, a zapatrywania te nie mają nic pomiędzy sobą wspólnego“. Na Zachodzie więc pierwotna religia chrześcijańska, skażona w swojem źródle przez pierwiastki pogaństwa, zasklepiła się w egoizmie i rozkłada się w rozmaitych sektach, i któż odrodzi na nowo chrześcijaństwo, jeżeli nie prawosławie. Tak rozumuje Chomiaków [1].

Ale nie tylko religia, lecz i państwa zachodnio-europejskie uległy w swojej formacyi i w swoim rozwoju zgubnym wpływom cywilizacyi rzymskiej. To też charakterystyczną cechą zasadniczych podstaw państw zachodnich, jest egoizm, gwałt i podboje. Jeden naród podbijał drugi naród, i narzucał zwyciężonemu swoje prawa i stąd ustawiczne waśni narodowe. Kościół zamieniwszy się w państwo, spotkał na swojej drodze władzę świecką i stąd ciągłe walki dwóch tych władz wypełniają historyę Zachodu. Nienaturalny rozwój prawa egoizmem przepojony, wytworzył w łonie społeczeństwa kasty, nieprzejednaną walkę ze sobą wiodące. Wogóle egoizm przepoił jadem swoim do tego stopnia stosunki Zachodu, że tam „pojęcia o prawdzie, o moralności i o prawie, są tylko zmyśleniami dowolnemi w celu wytłumaczenia i uniewinnienia własnego egoizmu“, a ludzie „będąc w nieustannej ze sobą walce wytężają wszystkie starania, aby wzajemnie się wyzyskiwać“. To też cały ruch wolnościowy,

[1] Patrz Zdziechowski, „Messyaniści i słowianofile“, str. 206—218.

który na Zachodzie tak potężnie się rozwinął, w oczach słowianofilów jest niczem innem, jak owocem egoizmu. Wytworzył on wprawdzie w swoim zwycięskim pochodzie wolność polityczną, ale na to tylko, by w jej miejsce postawić podbój ekonomiczny i pozbawić lud „prawa do ziemi, które jest najpierwotniejszem ze wszystkich praw ludzkich“. Europa nie zdołała wytworzyć wolności politycznej, której nieodzownym warunkiem jest ekonomiczna niezależność i stąd nieuleczalną złożona jest niemocą. „Europa gnije“ — zwrot ten z szczególną powtarzają predylekcyą słowianofile, gnije jak trup, od którego stronić należy, aby nie uledz zakaźnej chorobie [1].

Zupełnie inną drogą i na odmiennych zasadach rozwijała się Rosya. „Wpływ Rzymu nie dosięgnął nas — mówi Chomiakow — to też zachowaliśmy prastare naszych przodków obyczaje. Ale bo też oni nie znali instytucyj opartych na sile brutalnej i pozbawionych podstawy moralnej. Świętość rodziny i uczucia ludzkie zaznaczały się podówczas przed grobami ojców i kołyską dzieci. Gminy trudniły się rolnictwem, handel zaś, z natury przedsiębiorczy, łączył w jedno rozbite grupy społeczne; i wszystko w kwitnącym znajdowało się stanie, pod opieką pierwotnych praw organizacyi rodzinnej w obrębie spólnoty gminnej, gdzie panował pierwotny duch natury. Taka była cecha rodzima krajów położonych pomiędzy Donem a Łabą. Zwycięstwa nad Finlandczykami i Sarmatami nie wypaczyły ich obyczajów; owoce bowiem świętej wojny odmienne są od skutków wojny zaborczej“. W przeciwieństwie do Zachodu, który zbudował swoją cywilizacyę na egoizmie i suchym racyonalizmie, rozwijała się Rosya samorodnie w duchu religii nieskażonej poganizmem i na szczytnej zasadzie braterstwa. Dziejowe podstawy Rosyi były z g o d a, w o l n o ś ć i p o k ó j. Kościół prawosławny nie walczył z państwem o władzę świecką, ale bo w Rosyi nie Kościół stał się państwem, ale państwo dobrowolnie przyjęło

[1] Schulze-Gaevernitz, *Der Nationalismus in Russland und seine wirtschaftlichen Träger* w *Preussische Jahrbücher* 1894. t. I. str. 5. — „Mesyaniści i słowianofile“, str. 230 i dalsze.

i wcieliło w życie społeczne pierwotną i nieskalaną naukę Chrystusa, stało się Kościołem. „Słowianofile — mówi Iwan Aksakow — uważali prawosławie za źródło narodowości rosyjskiej, pod wpływem prawosławia ułożyła się Rosya w pewną całość duchowną; prawosławie zawierało w sobie początki zasad jej życia dziejowego, zasad wyższych pod względem cywilizacyjnym, aniżeli te, jakie posiadała Europa zachodnia". Państwo rosyjskie nie powstało przez zabor: lud dobrowolnie przywołał Waregów i dobrowolnie wytworzył autokracyę i stąd walki pomiędzy władzą a ludem, nie targały nigdy jej wnętrzności. Ufność wzajemna i miłość wzajemna ludu do władzy była charakterystyczną cechą, Rosyi tylko właściwą. Lud oparty na gminowładztwie pod najwyższą władzą cara, rządził się sam. Car aczkolwiek niepodzielną i nieograniczoną piastował władzę, zwoływał raz po raz przedstawicieli narodu na wspólną naradę. Tak było za czasów księstwa kijowskiego, tak było w epoce moskiewskiej. Owocem zaś tego miłościwego związku ludu z carem, była wolność prawdziwa. Nie ta, która idąc w parze z wybujałym indywidualizmem w rzeczywistości prowadzi do niewoli, ale wolność istotna, zasadzająca się na dobrowolnem poddaniu się.

„Drogi rozwoju historycznego Europy i Rosyi — mówi Konstanty Aksakow — są zupełnie różne, tak że ludy posuwające się w tak odmiennych kierunkach, nie zgodzą się nigdy w swoich poglądach. Zachód przechodząc ze stanu niewolnictwa do stanu rewolucyi, nie rozróżnia pomiędzy buntem a wolnością, i dumny z tego, że wolność sobie zdobył, widzi w Rosyi tylko niewolę. A przecież Rosya dobrowolnie przywołała i dobrowolnie utrzymuje autokracyę. To też w oczach jej buntownik jest niewolnikiem, płaszczącym się przed nowem bóstwem buntu tak samo, jak dawniej przed bóstwem siły. Niewolnik tylko podnosi bunt, człowiek zaś wolny, nie stanie się nigdy buntownikiem".

Nie na Zachodzie więc — mówią słowianofile — szukać należy środków zaradczych na chorobę trawiącą organizm Rosyi, ale w niej samej. W jej przeszłości dziejowej, w jej organizmie społecznym, tkwią żywioły odrodzenia i świetnej przyszłości. Prawda, ta przeszłość mieści w sobie czarne plamy, ale bo też

„na ziemi niema doskonałej szczęśliwości, ale można znaleźć podstawy doskonałe. Żadne społeczeństwo nie jest prawdziwie chrześcijańskiem, a jednak chrześcijaństwo jest jedyną, prawdziwą drogą do doskonałości. A zatem powinniśmy iść tą jedyną, prawdziwą drogą. Rzecz cała w tem, co społeczeństwo obrało za prawo, za podstawę. Naród zaś rosyjski obrał doskonałe podstawy".

Drugą znamienną cechą w teoryi słowianofilów, była apoteoza ludu. W ludzie, według ich mniemania, w jego życiu i zwyczajach, w jego wierze i instynktach i instytucyach społecznych wychyla geniusz dawnej Rosyi swoje oblicze. „Dawna Rosya — mówi Konstanty Aksakow — żyje jeszcze dzisiaj w ludzie; w ludzie tylko znaleźć można prawdziwą Rosyę, Rosyę dzisiejszą, która bezpośrednio styka się z Rosyą dawną" [1]. Lud też według ich zdania nosi na sobie wyraźne znamiona wyższości moralnej przed wszystkimi innnymi ludami Zachodu, i jest naznaczony piętnem dziejowego posłannictwa w rozwoju cywilizacyjnym ludzkości. I w czem ta wyższość się objawia?

Otóż w pierwszym rzędzie w charakterze i przymiotach moralnych chłopa rosyjskiego. Ten mużyk ciemny i niepiśmienny, zaniedbany przez rząd i pogardzany przez klasy wykształceńsze, dławiony głodem i korzący się przed obrazami świętych, jest w oczach K. Aksakowa i dawnych słowianofilów ideałem człowieka wogóle. W kulcie chłopa rosyjskiego posuwali oni się do tego stopnia, że naśladowali jego strój i to starodawny i zwyczaje aż do śmieszności. „Spotkałem u ministra oświaty — mówi z przekąsem w pamiętniku swoim profesor Nikitenko [2] — jednego z dowódców słowianofilów moskiewskich, A. Chomiakowa. Przyszedł w armiaku, w czerwonej koszuli, bez chustki na szyi i z czapką baranią pod pachą. Mówił po francusku, jak przystoi na przedstawiciela narodowości rosyjskiej". A Czaadajew z właściwą mu ironią zwykł był mawiać: K. Aksakow przy-

[1] Schulze-Gaevernitz. *Der Nationalismus in Russland.*

[2] „Dziennik prof. Nikitenki", przez Henryka Lisickiego. *Przegląd polski* 1893 t. I. str. 504.

brał taki strój narodowy, że „lud widzący go na ulicy bierze go za Persa“ [1].

Powtóre wyższość moralna ludu Rosyjskiego objawia się w prastarym ustroju gminnym.

W przeciwieństwie bowiem do Zachodu, gmina w Rosyi opiera się na zasadzie solidarności: wszyscy za jednego i jeden za wszystkich. Ziemia należy do gminy i wszyscy członkowie mają równe do niej prawo i wszyscy też solidarnie odpowiadają za podatki i takowe pomiędzy siebie rozkładają. Z lasów i pastwisk wszyscy równy ciągną pożytek, a ziemia uprawna rozdziela się peryodycznie co kilka lat pomiędzy wszystkich członków. W ten sposób wszyscy zarówno znajdują miejsce przy stole natury. Ale coś więcej jeszcze, i ideał równości znajduje swoje urzeczywistnienie w gminie rosyjskiej. Podziały bowiem peryodyczne, dokonujące się co kilka lat, sprawiają, że różnice majątkowe utrzymują się mniej więcej na równej stopie. Czyż lud zachodni zdolny do takiego heroizmu i zaparcia się siebie samego, jakiem odznacza się chłop rosyjski, gdy dokonuje się peryodyczna zamiana działów, by dopuścić nowych obywateli gminnych do stołu przyrody? A przecież chłop rosyjski ustępuje bez żalu i skargi z wydzielonego mu kawałka ziemi, który krwią i potem swoim uprawiał. „Akt to najwyższy wolności osobistej, która polega na zaparciu się siebie samego“.

Zdaniem słowianofilów gmina rosyjska posiada nadto i tę wyższość przed Zachodem, że jest najsilniejszym szańcem przeciwko proletaryzacyi mas. Podczas kiedy na Zachodzie rozdział kapitału i pracy razem z wolnością polityczną, wytworzył nowożytny proletaryat, w Rosyi szeroka masa ludności przez swą przynależność do gmin, ma zapewniony byt ekonomiczny. Każdy bowiem przez prawo do przynależnego mu działu gminnego, może stać się faktycznym właścicielem ziemi, a robotnik zatrudniony po za gminą w rękodzielniach lub fabrykach, znajdzie na wszelki wypadek w swojej wiosce zawsze własny kąt i schronienie. Tak tedy lud rosyjski przez spólnotę gminną nietylko

---

[1] *Mémoires de A. Hercen*, str. 195.

uchronił się od trapiącej Zachód choroby socyalnej, ale i nadto przekazał rozkładającej się Europie niemylny środek zaradczy na jej dolegliwości ekonomiczne i niemylną rękojmię świetnego odrodzenia w przyszłości. Ale bo też Europa, na zewnątrz błyszcząca i połyskująca swoją mniemaną cywilizacyą, zbudowana jest na piasku ruchomym, bo na zasadach bezbożnych ekonomistów — pieniądz i egoizm są spójniami jej budowy ekonomicznej — podczas gdy Rosya spoczywa na opoce nauki Bożej, którą nam podał Boski Mistrz z Nazaretu w kazaniu na górze. To też było szczęściem dla Rosyi — mówi Kirejewski[1] — że ona uchylając się od wpływu Rzymu, przechowała u siebie w pierwotnej czystości prastare pierwiastki gminy słowiańskiej, które nic nie mają wspólnego z zasadniczemi podstawami cywilizacyi Zachodu.

A inny słowianofil, Samarin, przepowiada, że z biegiem czasu i cała Europa będzie zmuszoną zaszczepić u siebie rosyjski pierwiastek gminny, bo on jeden zdoła jej przynieść odrodzenie. Zasada indywidualizmu, tak rozwinięta w Europie, musi się przedzierzgnąć w zasadę asocyacyi, jeżeli ma nastąpić zmiana na lepsze. Myśliciele europejscy domagają się dla państwa przyszłości innej organizacyi, a forma ta przyszłości dziwnie przypada do miary natury rosyjskiej. Świat romańsko-germański doszedł tu drogą rozumowania abstrakcyjnego do tej samej zasady, którą przyroda zaszczepiła w szpik i krew rasy słowiańskiej — alboż to nie jasny dowód przez samą naturę światu wskazany, że Słowianie mają w rozwoju historyi wielkie posłannictwo do spełnienia! Samarin mówi tu o posłannictwie Słowian, ale późniejsi słowianofile zacieśnili posłannictwo to — jak już powyżej wspomnieliśmy — wyłącznie tylko do Rosyi. I tak profesor Beljajew razem z innymi słowianofilami twierdzi, że wielką ideę spólnoty gminnej zachowali w pierwotnej czystości wyłącznie tylko Rosyanie, u Słowian zaś zachodnich tj. Polaków, Czechów i t. d. idea ta wskutek wpływów obcych uległa skażeniu. Potrzecie

[1] *Revue d'économie politique*, 1896 r. *Vues et aspirations économiques en Russie par V. de Sviatloswki*, str. 950 i dalsze.

wyższość Rosyi nad ludami Zachodu okazuje się w jej ustroju autokratycznym.

Podobnie jak spólnota gminna w oczach słowianofilów jest najdroższą spuścizną dziejową oraz zasadniczą podstawą całej budowy społecznej i państwowej w Rosyi — tak carat jest jedynem wiązadłem tej budowy oraz nieodzownym warunkiem jej istnienia. Gminowładztwo ludu — mówią oni — skojarzyło się w Rosyi miłościwym związkiem z nieograniczoną władzą cara i to stanowi jej charakterystyczną cechę, wyodrębniającą ją od wszystkich ludów Europy. Carat nie jest instytucyą gwałtem narzuconą ludowi i niemającą nic wspólnego z bytem narodu, ale wytworzył on się samorodnie z woli ludu i ma swą racyę bytu w ludzie. Car i lud to jeden organizm żyjący własnem życiem i mający właściwą sobie historyę. Jakże odmienne są drogi rozwoju społecznego na Zachodzie i w Rosyi! Tam długie i często bolesne walki stronnictw nawzajem się zwalczających poprzedzały każdą reformę, tu myśl dojrzała bezpośrednio wcielała się w życie. Tam z sprzecznych ze sobą interesów jakby mechanicznie wypracowuje się historya, tu w rzutach jednolitych odbywa się rozwój społeczny. Jakaż niezmierna i w oczy bijąca różnica istnieje pomiędzy zniesieniem ceł zbożowych w Anglii a uwłaszczeniem włościan w Rosyi! Ale bo też Rosya to jeden żywy, potężny organizm, który wyraża swoją wolę w caracie i poczuwa się do jedności i potęgi w caracie. Car jest to Rosya, a Rosya jest to car. To też parlamentaryzm w Rosyi jest niemożliwy — znaczyłoby zburzyć jedność i potargać niepodzielność narodu. Wszystkie zapędy liberalne, które zmierzały do wytworzenia gwarancyi celem ukrócenia władzy cara, były tylko owocem wybujałego indywidualizmu u ludzi, którzy odstrychnąwszy się od ludu i jego ducha, usiłowali sami dobrać się do władzy. „Gwarancya nie powinna istnieć — woła K. Aksakow — rękojmia jest złem. Gdzie ona potrzebna, tam niema dobra; niech lepiej zniszczonym będzie ustrój, w którym dobra niema, niż miałby istnieć za pomocą zła. Cała siła w przekonaniu moralnem. Skarb ten jest w Rosyi, która nigdy nie zwracała się do umów“. Dodać tu jednak należy, że ten sam Aksa-

kow był gorliwym rzecznikiem wolności słowa i usilnie domagał się reprezentacyi ludu, któraby nienaruszając samowładztwa cara, miała głos doradczy w sprawach państwowych. „Wolność słowa jest nieodzowną — mówi on — sejm zaś krajowy rzeczą konieczną i pożyteczną". Wznowienie dawnych wieców było jego hasłem.

Taką jest w najogólniejszych zarysach nauka słowianofilów. Na jej wytworzenie złożyły się: socyalistyczna krytyka stosunków społecznych na Zachodzie i prądy filozoficzno-romantyczne w Niemczech.

Obraz stosunków społecznych ówczesnej Europy wykaże nam na oko pochód myśli słowianofilów moskiewskich.

Europa pieszcząc w swojem łonie spuściznę wielkiej rewolucyi, przebywała podówczas konwulsyjne drgania społeczne, brzmiała bezgranicznemi pochwałami dla idei wolności. Powstanie w Grecyi, krwawe rewolty w Hiszpanii i Włoszech, powstanie w Polsce, rewolucya lipcowa we Francyi udzieliły ideom tym chrztu krwawego i zdobyły im prawo obywatelstwa we wszystkich prawie krajach cywilizowanych. I odtąd we Włoszech i Francyi, w Niemczech i Szwajcaryi rozpoczyna się niestrudzona praca konspiratorów rewolucyjnych. W r. 1834 za przyczyną Mazziniego zawiązuje się unia europejska młodych Włoch i Niemiec i Polski, do której niebawem przyłącza się młoda Francya i Szwajcarya. Celem zaś całej tej propagandy rewolucyjnej było zburzenie porządku społecznego i kościelnego i wytworzenie jakiejś rzeczypospolitej uniwersalnej, któraby urzeczywistniła wszystkie ideały raju ziemskiego. Dodajmy do tego rewolucyę w dziedzinie myśli, która poprzedza każdą rewolucyę czynu a obraz ówczesnej Europy nie przedstawi nam się wcale powabnie. Jakież odbicie znaleźć on musiał w sercach i umysłach młodzieży moskiewskiej? Kto z pustem sercem i hardym umysłem kształcił się w szkole wieku i pieścił się jego wyobrażeniami, zapewne poszedł za prądem wieku. Byli to socyaliści rosyjscy. Ale inaczej zapatrywała się na ten ruch rewolucyjny młodzież wychowana w szkole tradycyj ortodoksyjno-rosyjskich. To są owoce wybujałego indywidualizmu, nieuznającego żadnej miary ani prawa, owoce cywilizacyi wyrosłej na

gruncie pogańskich tradycyj — powiedzieli oni sobie! Tak cywilizacya Zachodu już się wytrawiła, ona w szale wybujałego indywidualizmu własną dobija się ręką. Ona z jadowitego wypłynęła źródła, a zatem jadowite tylko owoce wydać mogła! Jedna tylko Rosya wielka, potężna, przechowująca wiernie tradycye władzy i szczerej wiary wśród ludu, zbudowana na zasadach solidarności chrześcijańskiej i heroicznego zaparcia się — unosi się wśród ogólnego rozbicia, jaśnieje wśród ogólnego skażenia niby arka święta! — i któż nie uzna jej posłannictwa!

Myśli te padły na grunt filozofii niemieckiej, skąpały się w uroczem źródle romantyzmu poetycznego i to drugi rys charakterystyczny nauki słowianofilów. „W trzeciem dziesięcioleciu — mówi ks. Wołkoński — był uniwersytet moskiewski ogniskiem potężnego ruchu umysłowego. Profesorowie razem ze studentami jednakim unosili się zapałem. Niemiecka filozofia była głównym przedmiotem ich badań i sporów naukowych. Młodzież płomiennym przejęta zapałem do filozofii Schellinga unosiła się nad podniosłemi wykładami Nadeshdina, Pawtowa i Szewyrewa... Pod koniec trzeciego dziesięciolecia już nie Schelling lecz Hegel był bożyszczem dnia, zapalającym umysły i wzniecającym spory filozoficzne. ‚W wszystkich trzech częściach logiki Hegla, w dwóch częściach jego estetyki, w encyklopedyi i t. d. — mówi jeden z współczesnych — nie było może ani jednego paragrafu, któryby nie był przedmiotem rozpaczliwych dyskusyj, dyskusyj trwających kilka z rzędu nocy... Najniepokaźniejsze broszury, które się w Berlinie lub innych miastach pojawiały w druku, jeżeli tylko była w nich wzmianka o Heglu, sprowadzano sobie i czytano z takim zapałem, że po kilku dniach zbrukane rozpadały się w strzępy'. Z niemniejszym zapałem zajmowano się literaturą. ‚Być obeznanym z Goethem, a przedewszystkiem z drugą połową jego „Fausta", uważano za rzecz tak zwyczajną i tak doniosłej wagi, jak noszenie surduta". Z filozofii niemieckiej wszelako zapożyczyli sobie słowianofile jedną tylko teoryę o kolejnem następstwie ras w cywilizacyjnym pochodzie ludzkości, bo i w dziedzinie myśli spekulacyjnej usiłowali oni zachować odrębność słowiańską. Marzeniem Kirejewskiego przecież było, zbudować

słowiańską filozofię przyszłości na podstawie bizantyńskich pisarzy kościelnych. Teorya zaś o wyższości Słowian albo raczej o odrębnych i szczególnych ich przymiotach moralnych przed wszystkimi innymi ludami Europy datuje się od Herdera, który w rozprawie pod tytułem *Ideen zur Philosophie der Geschichte der Menschheit*, już w r. 1791 unosi się nad wyjątkowemi zaletami Słowian. „Ludy zachodnie — mówi szczególny ten słowianofil niemiecki — uważają częstokroć wojny zaborcze i pożogę za szczególniejsze zadanie swego posłannictwa, ale znajdują one zaporę w ludzie słowiańskim, najliczniejszym w Europie, który zajmuje się rolnictwem i handlem lub przemysłem i odznacza się charakterem spokojnym i ludzkim". Słowianofilskie poglądy te podjęli następnie w naukowych swych badaniach uczeni polscy i czescy, idealizując tem bezwzględniej prastary świat słowiański, im bardziej gubił się on w pomrokach pierwotnych dziejów historycznych.

Do Rosyi wszelako, gdzie pod tym względem niepodzielnie prawie panowały poglądy Karamzina, dotarły idee słowianofilskie dopiero po roku 30-tym, głównie z słynnem dziełem uczonego Szafarzyka pod tytułem „Starożytności Słowiańskie". Bodjański i Pogodin przedewszystkiem zajęli się ich rozpowszechnieniem wśród społeczeństwa rosyjskiego, a nieco później słowianofile ujęli je w system umiejętny, stworzyli z nich narodową filozofię prawosławną. Pracę rozdzielili oni pomiędzy siebie w ten sposób, że Chomiakow podjął się opracowania strony teologicznej, K. Aksakow historycznej, Kirejewski zaś obrał dla siebie dział filozoficzny nauki słowianofilskiej. Tyle co do genezy doktryny słowianofilów.

Pod względem społeczno-ekonomicznym nauka słowianofilów przedstawia się ubogo bardzo. W krytyce stosunków społecznych Zachodu przypominają oni bardzo ówczesnych socyalistów utopijnych we Francyi. Tę samą co u tychże znajdzie u nich frazeologię i krytykę stosunków społecznych i gniew genialny na niedomaganie ekonomiczne Zachodu, tę samą wiarę bezgraniczną i optymizm naiwny w doskonałość natury ludzkiej. Różnica tylko w tem, że podczas gdy socyaliści roili sobie złote

sny przyszłości o onym czasie, kiedy cała Europa zamieni się w bogactwem opływające warsztaty, kwitnące szczęściem i swobodą, to słowianofile, pogrążywszy się w pomroku historycznym starożytności słowiańskich, idealizowali zasadnicze podstawy i pierwociny społeczne dawnej Rosyi i Słowian wogóle.

Gospodarstwo pierwotne, gdy każdy pokrywał swoje potrzeby z własnego majątku, było w pierwszym rzędzie przedmiotem ich pochwał. Apoteoza ta, zwłaszcza u późniejszych słowianofilów, częstokroć grzeszyła śmiesznością jak i bezdenną naiwnością. „Szlachta nasza ongi szczęśliwe wiodła życie; opływała w bogactwa a wzniosła pogoda duszy opromieniała jej życie. Wyrabiano miód i piwo i przechowywano wszelkiego rodzaju owoce z ogrodu, z pola i lasów. Gości podejmowano wspaniale, zastawiając stoły suto darami nie kupionemi ale otrzymanemi z ręki Boga. Życie to spokojne, wolne od troski, nie rodziło dzikich myśli — te z zewnątrz przyszły i są sztucznym wytworem. Dawniej kiedy żywiej krew zagrała w żyłach, bankiety, polowania i rozmaite zabawy wystarczały do ukrócenia swawoli i uśmierzenia rozbujałych namiętności". (Wyjątek z dziennika słowianofilskiego: *Dzień*, 1865, nr. 4) [1].

Również dogmat ich społeczno-ekonomiczny o kolektywistycznym, właściwym tylko Słowianom, ustroju gminnym, stanowiącym najpotężniejszą podporę caratu, opiera się więcej na urojeniach poetycznych jak na rzeczywistej znajomości stosunków gminnych, oraz nosi na sobie wyraźnie cechy i wpływy ówczesnego romantyzmu w poezyi. Mir był w oczach słowianofilów najdroższą spuścizną narodową i narodowości ostoją, szańcem obronnym, wytworzonym przez geniusz Rosyi, o który bezsilnie uderzają i roztrącają się rozhukane fale egoizmu i wybujałego indywidualizmu Zachodu — względy ekonomiczne i kulturalne żadnej tam nie odgrywały roli. Nie inny też był stosunek słowianofilów do ludu. Oni namiętnie przywiązali się do ludu, idealizowali jego życie i zwyczaje, jego nadzieje i instynkta społeczne, zachwycali się w poetycznem uniesieniu się nad jego

[1] *Vues et aspirations économiques en Russie*, str. 952.

prostą a gorącą wiarą religijną, nad jego zaparciem i bezmyślnem poddaniem się wszelkiej zwierzchności, ale miłość ta była czysto teoretyczną i zasadzała się raczej na uczuciu romantycznem niż na prawdziwej miłości bliźniego. Lud przedstawiał im się jak świat archaiczny, przechowujący w tajemniczem łonie swojem prastare ideały narodowe, jako żywy materyał, który stanowi o potędze Rosyi, i od którego przyszłość jej zależy. I pod wpływem i urokiem tej poezyi romantycznej zapomniano o rzeczywistem położeniu jego, o obowiązkach względem niego. Słowianofilom ani przez głowę nie przeszło, rzucić choćby okiem tylko na ów świat nędzy i ucisku i barbaryi, z którego wychylał się ciemny i biedny chłop rosyjski. Oni skierowali swoje serce i umysł wyłącznie ku minionej przeszłości — tajemniczy mrok historyczny, kryjący w swoich cieniach pierwsze zawiązki ustroju społecznego, omamił ich wzrok poetyczny do tego stopnia, że oni zawiązki te brali za odrębność słowiańską wogóle i niemylny program przyszłości w duchu dziejowego posłannictwa Rosyi. I to był błąd ich najprzedniejszy i zarazem powód rychłego ich ustąpienia z widowni umysłowości rosyjskiej. Po śmierci bowiem Kirejewskich, Chomiakowa i Aksakowa rozpada się zwolna słowianofilstwo.

Dziś już słowianofile nie mają ani jednego pisarza wybitnego, ani organu, któryby rozwijał myśli ich twórców. Następcy i współwyznawcy przekształcili ją rychło na szowinistyczną filozofię narodową, znaną pod nazwą nacyonalizmu rosyjskiego, której jedynym wyrazem jest nienawiść i pogarda do wszystkiego, co nie jest rosyjskie ani prawosławne. W gruncie rzeczy była to tylko konsekwencya nieuchronna, do jakiej dojść musiała nauka słowianofilów, zstępująca z wyżyn teoryi w dziedzinę życia rzeczywistego i polityki bieżącej. Historyk mógłby tu na oko pokazać, jak myśli wyrwane z serca narodu żłobią sobie łożyska w rozwoju społeczeństw. Wszelako nas co innego tutaj zajmuje — myśmy chcieli tylko skreślić filozoficzne tło, na którem rozwinęły się nowsze prądy społeczno-ekonomiczne w Rosyi, którym teraz szczegółowo chcemy się przypatrzyć.

Ks. Leonard Lipke.

MICKIEWICZ I PUSZKIN JAKO BAJRONIŚCI.

(Dokończenie).

Widzieliśmy falę wrażenia, wywołanego w Puszkinie „Don Juanem“, w kilku lirykach pisanych niedługo po rozpoczęciu „Oniegina“. Zwróćmy się teraz do tego poematu, aby na nim zmierzyć to wrażenie i prześledzić bajronizm jego od początku aż do końca.

Jeżeli w „Jeńcu“ i „Fontannie“ głównym tonem, który Puszkin przejmował od Bajrona, był ton namiętnej miłości, nie zawsze szczęśliwie przeszczepiony z „Korsarza“ i „Giaura“, to w „Onieginie“, który początkiem swoim wcześniejszy jest od „Cyganów“, głównym tonem przejętym od Bajrona, był ton poczucia wyższości poety nad otaczającą sferą, ironii w traktowaniu ludzi i przesytu życiem i używaniem. Ton ten był wzięty z pierwszych pieśni „Don Juana“, a poczęści z „Beppa“, krótkiego poematu Bajrona, który był niejako przegrywką do „Don Juana“. Sam poeta wydając pierwszy rozdział „Oniegina“ w r. 1825, pisał w przedmowie, że „przypomina ona „Beppa“, żartobliwy utwór ponurego Bajrona“. Co się tyczy „Don Juana“, to jak już wiemy, Puszkin jeszcze na parę lat przedtem nazywał „Oniegina“ romansem w rodzaju „Don Juana“. Sam tedy spostrzegał w początkach pisania swojej powieści, że do jej pomysłu pobudzony został tym utworem bajrońskim i składał wyznanie podobne do tego, jakie uczynił Mickiewicz w początkach pisania „Pana Tadeusza“.

„Oniegin“ w twórczości Puszkina zajmuje wyjątkowe stanowisko. Właściwością tego poety było, że przed rozpoczęciem poematu układał w głównych rysach plan jego, i w brulionach zachowało się wiele takich planów, czasem po dwa i po trzy do jednej powieści. Do „Oniegina“, pomimo, iż to był jego utwór największy, niema w brulionach ani śladu jakiegokolwiek planu. Puszkin rozpoczynał swój poemat, nie wiedząc, i nie troszcząc się o to, jak on się dalej rozwinie, niby wyjeżdżał na wycieczkę, nie wiedząc, jak daleko i dokąd zajedzie. Sam w zakończeniu poematu, przyznaje się do tego, że w chwili, gdy po raz pierwszy stanęły w jego wyobraźni postacie bohatera i bohaterki, „perspektywa swobodnego romansu skroś kryształ magiczny niejasno mu się przedstawiała“. Przyczyną tego naprzód był wzór, który miał przed oczami, pierwsze pieśni „Don Juana“, z których mógł poznać, że w tym poemacie więcej niż gdzieindziej fantazya poety nie miała przed sobą z góry wytkniętego planu, i jak galera bez steru puszczona była na wolę wiatrów chwilowego natchnienia. Zresztą spostrzegał, że nie tylko w „Don Juanie“, ale i w innych poematach Bajrona, plan odgrywał rolę bardzo podrzędną. Czytamy w notatce jego z r. 1827: „Bajron mało dbał o plany swoich utworów, albo nawet wcale nie myślał o nich. Kilka scen, słabo z sobą związanych, wystarczało mu, ażeby w nich zawrzeć bezdeń myśli, uczuć i obrazów“. (V. 49). I Puszkinowi, gdy zabierał się do pisania „Oniegina“, nie wiele chodziło o fabułę, o układ jej, o rozwiązanie; to wszystko zostawiał późniejszemu natchnieniu. Chodziło mu przedewszystkiem o to, aby wyrazić swój nowy nastrój duszy, swoje nowe poglądy na życie, swój stosunek do społeczeństwa rosyjskiego. Wypływało to niewątpliwie z głęboko odczutej potrzeby wylania na zewnątrz tego, co w nim nurtowało, i dlatego to tworzenie „Oniegina“, sprawiało mu nadzwyczajną przyjemność, jak to widać z listu do Delwiga z 16 listopada 1823 (VII. 59), ale po części zapewne wypływało z chęci błyśnięcia przed tem społeczeństwem nowo sprawionym płaszczem bajrońskim. Sam poeta zdaje się z lekka przyznawać do tej ostatniej intencyi, wspominając w pięć lat po rozpoczęciu „Oniegina“, w siódmej pieśni (strofa XXIV),

o Haroldowym płaszczu bohatera. Nazwa o tyle nie była słuszną, że to nie Harold bezpośrednio pobudził Puszkina do utworzenia „Oniegina“, o tyle zaś słuszną, że wpływ „Don Juana“ nie usunął, nie wytrawił w Puszkinie wpływu Harolda, ale się w jakiś amalgamat z tym ostatnim skojarzył, jak to będziemy mieli później sposobność zobaczyć.

Jakiż jest bohater, w którego Puszkin wcielał siebie, swój nowy nastrój, nowy pogląd na życie i społeczeństwo? Eugeniusz Oniegin jest to lew salonowy, którego znudziło powodzenie miłosne, znudziły książki, i który z wysoka, z ironią spogląda na życie, z pogardą na ludzi; w stosunku do „Beppa“ i „Don Juana“, nie jest on naśladowaniem bohaterów bajrońskich, ale samego poety angielskiego, o ile on od siebie przemawia w tych poematach. Puszkin starał się wprawdzie (dla przyzwoitości) odgraniczyć siebie od Oniegina, ale odgraniczenie to tak słabe, że postać autora zlewa się ciągle z postacią bohatera. Czy jednak Puszkin był w samej rzeczy takim pessymistą i egoistą, takim znudzonym i przesyconym człowiekiem, jakim przedstawił Oniegina? Powiedziałem już wyżej, że w naturze Puszkina była pewna dwoistość; wielka siła żądz, przy chłodnej analizie. Tylko tę ostatnią brał z siebie Puszkin i wkładał w Oniegina, zresztą z natury nie był podobny do niego. Ale chciał być takim, jak Oniegin — to był jego ideał, wyraz nastroju jego ducha pod wpływem poezyi bajrońskiej; w Oniegina zatem, który był skrojony według znanej nam już recepty, danej przez Puszkina bratu, wcielał raczej swój ideał, niż samego siebie.

Ten swój ideał, przedstawiał na tle współczesnego życia rosyjskiego, oświetlonego z wysokości owego ideału, i to nadawało doniosłe znaczenie poematowi. Stawał się on po części tem, czem były „Dziady“, po części czem był „Pan Tadeusz“ w poezyi Mickiewicza, to jest, i obrazem ducha poety w pewnej jego fazie, i obrazem społeczeństwa w pewnym okresie.

Jakim był ówczesny nastrój poety, wcielony w postać Oniegina, to już wiemy; co się tyczy obrazu społeczeństwa, to ten stanowił kontrast z postacią bohatera, i służył niejako do uzasadnienia jego pogardy dla ludzi, poczucia wyższości i odoso-

bnienia. Niesłychanie płytkiem przedstawia się tu życie społeczeństwa rosyjskiego. W pierwszej pieśni za tło dla bohatera znudzonego, służy petersburskie życie, balowe, teatralne, restauracyjne, które Puszkin znał doskonale, i które z wielką plastyką i z wielkiem zamiłowaniem przedstawił tak, że ironia pożyczona z „Don Juana“ czy „Beppa“, często znika w tym opisie i poeta wpada w naiwny zachwyt; np. kiedy mówi o pięknych nóżkach. Ale życie petersburskie nie jest jeszcze tem tłem, które ma stanowić rażący kontrast z bohaterem; tem tłem jest głuche, pleśnią pokryte życie prowincyonalne, którego obraz w dalszych roztacza się pieśniach. Znudzonego lwa petersburskiego wzywa jakiś wuj umierający na wieś, do swego majątku, który ma przejść na niego w spadku. Oniegin przyjeżdża, zastaje wuja na marach, i z potrzeby, czy z kaprysu osiedla się na jakiś czas we wsi odziedziczonej. Sąsiedzi, ludzie staroświeccy, patrzą na niego jak na dziwaka i podejrzanego farmazona; nie może on żyć z tymi, którzy nie potrafią mówić o czem innem, jak o sprzęcie siana, wódce, psach, wreszcie o swoich krewnych.

Ale niebawem znajduje w tym głuchym zakątku człowieka, w którego towarzystwie czas mu przyjemnie schodzi. Włodzimierz Lenski, ów towarzysz, jest zupełnem przeciwieństwem Oniegina; jest to młodzieniec z „duszą prawdziwie gettyngeńską“, który w mglistej Germanii się kształcił, przejął się filozofią Kanta, poezyą romantyków niemieckich, i w ogóle idealizmem romantycznym. Charakterystyka Lenskiego bardzo przypomina koło wileńskich Filaretów, o których Puszkin nic jeszcze wtedy nie mógł wiedzieć, z których przedstawicielem, miał się dopiero we trzy lata potem spotkać. Oto co pisał o Lenskim: „On wierzył, że jest dusza pokrewna — Która się z nim złączyć powinna — I że w smutnej tęsknocie — Co dzień go wyczekuje — I wierzył w siłę przyjaźni — Gotowej podjąć za niego kajdany — ...Wierzył, że nieśmiertelna rodzina — Takich przyjaciół, wybranych losem — Nieodpartemi promieniami — Kiedyś nas wszystkich ozłoci — I świat obdarzy szczęściem“. Nie sąż to te same myśli, które znajdujemy w młodzieńczych utworach Mickiewicza:

Jest i musi być kędyś, choć na krańcach świata,
Ktoś, co do mnie myślami wzajemnemi wzlata.

albo znów:

Oto miłość ogniem zionie,
Wyjdzie z zamętu świat ducha,
Młodość go poczniem na swojem łonie,
A przyjaźń w wieczne skojarzy spojnie.

I Lenski był poetą, którego pieśń była jasna — „Jak myśli dziewicy, jak sen dziecięcia, jak księżyc w pustyniach nieba". Jednem słowem, idealizm niemiecki, przedewszystkiem Szyllerowski, dla którego sam Puszkin pozostał obojętnym, który w jego poezyi nie zostawił śladu, starał się wcielić w postać Lenskiego, aby go przeciwstawić bajronizmowi, albo raczej pewnym tonom bajronizmu, do których nastrajał postać Oniegina, pokrewną własnej duszy. Ten pomysł świadczy, że poeta już nie był niewolniczym naśladowcą Bajrona, że samodzielnie starał się zestawiać pessymizm bajroński z optymizmem Szyllerowskim. Ale jakkolwiek sympatycznie przedstawił Lenskiego, przecież widocznie przechylał się na stronę drugiego bohatera „Oniegina" i jego pessymizmowi przyznawał wyższość. Mickiewicz w *Collège de France* powiedział, że Lenski wyobraża jedną epokę życia Puszkina[1] i w śmierci Lenskiego od kuli pojedynkowej widział, jakby przepowiednię śmierci jego twórcy. Ale Puszkin, jak słusznie twierdzi Spasowicz, brał wzór do Lenskiego nie z siebie, w jakiejkolwiek dobie życia, ale z młodego poety, przyjaciela i kolegi carskosielskiego, który się nazywał Küchelbeker, należał do spisku Grudniowców, i skazany został na dwadzieścia lat ciężkich robót. Ta okoliczność nasuwa inne ważne pytanie, dotyczące Oniegina. Społeczeństwo rosyjskie przedstawione w tym poemacie, znajdowało się od kilku lat pod wpływem propagandy liberalnej, która ogarniała, jak świadczy Mickiewicz[2], „najwznioślejszą, najdzielniejszą, najpełniejszą zapału, najczystszą w uczuciach młodzież rosyjską", i która miała bardzo prędko doprowa-

[1] „Literatura słowiańska", II, 310. Poznań 1865.
[2] Tamże 314.

dzić do katastrofy 14 grudnia. Czy Puszkin, kreśląc obraz społeczeństwa rosyjskiego, zaznaczył ten ówczesny znamienny rys jego, czy wprowadził do poematu reprezentanta tej młodzieży? Wyraźnie tego nie uczynił, bo nawet pomyśleć nie mógł, ażeby cokolwiek wyraźniejsza aluzya do tej propagandy mogła przejść przez wrota ówczesnej cenzury; ale jeżeli która z postaci poematu ma prawo reprezentować ową młodzież, to tylko Lenski, a jego śmierć w pojedynku była nie tyle przepowiednią śmierci samego poety, ile symbolicznym obrazem tej katastrofy, która właśnie w czasach kreślenia sceny pojedynku, spotkała ową młodzież. Okoliczność, że Küchelbeker służył za wzór Puszkinowi do nakreślenia postaci Lenskiego, nadaje tem więcej słuszności temu poglądowi.

Obok dwu typów męzkich, stanowiących kontrast, już w drugiej pieśni „Oniegina", wystąpiły dwa typy dziewicze, także kontrastowo przedstawione: Olga, dziewczyna żywa, miła, wesoła, i jej siostra Tatiana, zamyślona, marząca, stroniąca od ludzi. Między dwiema parami zawiązuje się romans: Lenski kocha Olgę, jest już jej narzeczonym, Tatiana pokochała Oniegina, znalazłszy w nim swój ideał. Romans rozwija się, i rozwiązuje na przestrzeni czterech dalszych rozdziałów, pisanych jeszcze na wygnaniu, ale już nie w Odesie, tylko w Michajłowskiem, wśród innych warunków, wśród wiejskiej ciszy i otoczenia takiego właśnie, które było odpowiednim modelem do obrazu prowincyonalnego życia. Niemałą też rolę jak w ogóle w twórczości Puszkina, tak i w tej części poematu, odegrała jego niańka Aryna, którą zastawał w Michajłowskiem, a która jak niegdyś w dzieciństwie, tak i teraz stała się pośredniczką między nim a sferą ludowego życia i ludowej poezyi. Ją to niewątpliwie przedstawił w postaci niańki Tatiany, i w ten sposób na tło dworskiego życia w „Onieginie" wprowadził pierwiastek ludowy. W ogóle poemat w tej części środkowej nabierał wiele rodzimego kolorytu, pomimo iż bohater nie zrzucał z siebie płaszcza bajrońskiego. Ale i teraz jeszcze Puszkin nie wiedział, jak pokieruje swoim bohaterem. Z początku, jak świadczy pewien waryant z trzeciego rozdziału, chciał w nim od razu wzbudzić miłość,

a przynajmniej zajęcie się Tatianą; potem zmienił ten plan, i wystawił Oniegina wspaniałomyślnie obojętnym wobec rozmarzonej dziewczyny, która mu listownie ofiarowała swoją miłość, i która potem głęboko odczuła naukę daną sobie od niego. Ale ten sam lew, wspaniałomyślny wobec ofiary, która sama wpada w jego szpony, kierowany kaprysem, chwilową przekorą, zwraca na chwilę zaloty do narzeczonej Lenskiego, wywołuje pojedynek i w tym pojedynku kładzie trupem przyjaciela. Tylko fałszywe uczucie honoru nie pozwala mu wyciągnąć ręki do przyjaciela i wskazać całą niedorzeczność pojedynku. Jest to najlepszy probierz wartości moralnej ideału, wcielonego w postać Oniegina. Ale kreśląc scenę pojedynku w r. 1826 już sam Puszkin zapatrywał się na Oniegina nie jako na swój ideał, i sprowadzał z wyżyn bajrońskich na poziom bardzo niski. W Puszkinie wówczas odbywała się w tym względzie ewolucya, po części może pod wpływem grudniowych wypadków, i ich następstw, po części pod wpływem komedyi Grybojedowa „*Gore ot uma*“. Dziwno mi, że obrońcy Oniegina, do których poniekąd należy i Spasowicz, nie zwrócili uwagi na to, że jakkolwiek nadzwyczajna wrażliwość na opinię ludzką, którą Puszkin wkładał w Oniegina, była jednym z wybitnych rysów jego własnego charakteru, stanowczo przecież potępił ten rys w Onieginie. Oto jak rozmyślał przed pojedynkiem bohater, gardzący ludźmi: Potrzeba było inaczej postąpić, rzecz całą wyjaśnić „ale teraz już późno, już nie czas... A przytem do sprawy wmieszał się stary rębacz, zły, plotkarz, gadatliwy... Naturalnie, należałoby gardzić tem, coby mówił, ale szepty, ale śmiechy głupców“. — „I oto, woła poeta, opinia publiczna! — Sprężyna honoru nasze bóstwo! — Oto oś, na której świat się obraca“!

Można powiedzieć, że z końcem szóstego rozdziału, następuje przełom donjuanizmu w „Onieginie“. W dwóch ostatnich rozdziałach, pisanych w ciągu lat czterech (1827—1831) przeważnie w stolicach wśród odzyskanej swobody ruchu, Oniegin schodzi na plan drugi, traci swój demoniczno-oślniewający urok, jego płaszcz Haroldowy bardzo już wyszarzany; główną rolę w poemacie obejmuje Tatiana. W pytaniach, które ona zadaje

sobie, studyując charakter Oniegina, po jego odjeździe ze wsi, słyszymy pytanie samego poety. Nie jestże on parodyą? zapytuje Tatiana, a w tem pytaniu maluje się wątpliwość samego Puszkina. Pięć lat upłynęło od czasu, kiedy nakreślił postać „Demona“ i ustalił charakterystykę bohatera swego poematu; ileż wody upłynęło przez ten czas, ileż doświadczeń, a między niemi groźnych, wstrząsających, przetoczyło się po jego duszy, ileż nowych horyzontów, tak z lektury, jak z obcowania z ludźmi, otwarło się przed nim. Znał już wtedy i Mickiewicza, w którego postaci zmartwychwstawał przed nim zabity Lenski, przedstawiciel Szyllerowskiego idealizmu, tylko jak niepodobny do Küchelbekera, jak tryumfująco przeobrażony. To wszystko nie pozostało bez wpływu na świat poglądów i uczuć Puszkina. Ale choć bohater jego znacznie staniał w oczach jego, czuł przecież, że wyrzec się solidarności z nim nie może, bo bajronizm był prądem, który silnie wstrząsnął duchem Puszkina, i zostawił w nim niezatarte ślady. Pomimo tej solidarności, zakończył poemat upokorzeniem bohatera, krytyką donjuanizmu i demonizmu, wcielonego w „Oniegina“. Tatiana wyprawiona przez matkę do Moskwy, zgadza się zostać żoną starego i bogatego generała. Z dzikiej, rozmarzonej dziewczyny staje się wielka pani, obdarzona wielką dystynkcyą i spokojem, i taka dopiero, jako owoc zakazany, i salonową świetnością błyszczący, rozbudza namiętną żądzę w Onieginie. Jak ona niegdyś do niego, tak teraz on do niej pisze list z wyznaniem miłości, i jak ona od niego, tak on od niej otrzymuje w odpowiedzi naukę: oddała rękę innemu i będzie mu całe życie wierną.

W tem zakończeniu jest wiele symetryi, ale samo zakończenie jest zaprzeczeniem, nie tylko całego donjuanizmu Puszkina, ale i całej jego przeszłości poetyckiej, począwszy od poezyi licealnej; wszędzie tam wiarołomność małżeńska rozgrzeszaną była w imię zmysłowej miłości. Niewątpliwie rozpoczynając swój poemat, Puszkin ani przypuszczał, żeby on się w ten sposób miał zakończyć, a myślę, że jeszcze w przedostatnim rozdziale nie wiedział dobrze, jak pokieruje odnowionym romansem Oniegina z Tatianą. Ale w życiu Puszkina, gdy kończył

poemat, zaszła ważna zmiana, a wraz z nią i zmiana w poglądach. Puszkin wtedy już był narzeczonym, miał zostać wkrótce mężem jednej z najpiękniejszych kobiet w Rosyi. Koniec zadziwiał krytyków, nawet Mickiewiczowi wydał się prozaicznym, a jednak był on naturalnym w poemacie, w którym poeta kreślił po części historyę swego ducha, swoich poglądów, swoich pragnień.

Zakończenie „Oniegina“ szczególnie rażąco odbija od zakończenia innego utworu Puszkina p. t. „Graf Nulin“. Mała ta powiastka, przypominająca trochę „Beppa“, więcej Nowelle Boccaccia, miała być, jak świadczy sam Puszkin, parodyą Lukrecyi Szekspirowskiej (V. 194). Żona, w nieobecności męża, nagabywana przez gościa uwodziciela, daje temu ostatniemu policzek, i w ten sposób uwalnia się od niego. Nadjeżdża mąż, żona najspokojniej przedstawia nieznanego mężowi gościa, a mąż gościnny, nie wiedząc o tem, co zaszło, usiłuje go zatrzymać. Gość wyrywa się i odjeżdża, i dopiero wtedy, żona opowiada mężowi i całemu sąsiedztwu, o postępku hrabiego Nulina i o zapłacie, jaką otrzymał. Któż się najwięcej śmiał z tego wypadku? zapytuje poeta. Mąż? Nie, mąż się mocno złościł, i chciał nawet dopędzać Nulina. Śmiał się najwięcej ich młody sąsiad Lidin. W tem jest epigramatyczne ostrze powiastki, zwrócone przeciw wierności małżeńskiej kobiet. Ale „Graf Nulin“ pisany był na kilka lat przed ożenieniem się Puszkina, jeszcze w Michajłowskiem 1825, w czasach bliskich stosunków z p. Kern, przy której Puszkin chciał odegrać rolę sąsiada Lidina.

Ostatniem echem bajronizmu w poezyi Puszkina, jest inna powiastka wierszem „Domek w Kołomnie“, rzecz pisana pod koniec 1830, już wtedy właśnie, gdy Puszkin zjeżdżał z torów hulaszczego kawalerstwa, na spokojne, a raczej obiecujące spokój tory małżeńskiego życia, i kiedy utrzymywał, że *„il n'est de bonheur, que dans les voies communes“* (VII. 260). Było to jakby pożegnanie z kawalerskiem życiem i bajronizmem. Ale co z bajronizmu w tej powiastce pozostało? Nic, prócz zewnętrznej powłoki, (Domek pisany oktawą) prócz popisu rymotwórczem wirtuozostwem w rodzaju Bajrona, i pewnej skandaliczności mo-

tywu, podanej zresztą tak, aby niczem salonowej przyzwoitości nie obrazić. Był to zapewne bajronizm zastosowany do smaku, wyobrażeń narzeczonej poety, i jej rodziny, a w kilku strofach, w porównaniu prostej Paraszy z dumną hrabiną była tam i jakby nauka dla przyszłej żony. Podobną naukę zawarł też i w pisanej około tego czasu powieści prozą p. t. „Panna chłopka“.

III.

Wpływ Bajrona u Mickiewicza zaczyna się później niż u Puszkina, pada na inny temperament, na grunt inaczej przygotowany i inaczej się objawia. Ani w balladach, ani w „Dziadach“ (część II. i IV.), ani w „Grażynie“, nigdzie go nie widać. Wprawdzie „brytanomania“ Mickiewicza, zaczęła się w r. 1821, ale nie od Bajrona, tylko od Szekspira. Na początku 1822 pisał do Malewskiego w Berlinie, że „cisnął się z dykcyonarzem w ręku przez Szekspira, jak bogacz ewangeliczny do nieba przez uszko od igiełki“: „zato teraz — dodawał — Byron idzie daleko łatwiej i już znacznie postąpiłem“.

Mickiewicz do końca życia zachował cześć dla Bajrona, ale w późniejszych czasach pociągało go ku niemu nie to, co w samych początkach zaznajomienia się z jego poezyą; nawet w czasach towianizmu, Bajron nie stracił był w oczach Mickiewicza całkowicie wartości; pociągała go jeszcze ku niemu zgodność życia z poezyą, „chęć zbliżenia ideału do rzeczywistości[1]“. W początkach bajrońskiego wpływu, najsilniejszym magnesem dla Mickiewicza w poezyi Bajrona, były obrazy miłości, posępnej i potężnej, przepalającej piersi jego bohaterów, bo w tych obrazach odnajdował rysy i barwy własnych uczuć. Dlatego to tak mu podobał się „Giaur“, że już w Wilnie zaczął go tłumaczyć (skończył daleko później), dlatego w nieskończonej rozprawie o Goethem i Bajronie (z czasów wileńskich), podnosił namiętność bohaterów Bajrona, mówiąc o niej, że przybiera „charakter posępnego i w sobie zamkniętego żalu“. Pomimo jednak tego duchowego pokrewieństwa swego z bohaterami Bajrona,

[1] „Literatura słowiańska“, III, 24.

nie rzucał się do naśladowania Giaurów i Korsarzy, poprzestawał tylko na tłumaczeniu; czynił więc zupełnie inaczej, niż Puszkin, który pomimo braku tego pokrewieństwa w pierwszych swoich bajronicznych poematach naśladował ową posępną namiętność i to dość niefortunnie.

W miarę wczytywania się w Bajrona, oddziaływał na Mickiewicza i pessymizm bajroński. Tak pod koniec 1822 r. pisał do Malewskiego. „Bajrona tylko czytam, książkę, gdzie w innym duchu pisaną rzucam, bo kłamstwa nie lubię, gdzie jest opis szczęścia, życia familijnego, równie mnie oburza, jak widok małżeństw, dzieci". (Kor. I. 5). Ale i ten pessymizm nie pobudził twórczości poety. U Puszkina z pessymizmu donjuańskiego urodził się „Oniegin", Mickiewicz poprzestał znowu na przekładach („Pożegnanie" z „Childe-Harolda", „Eutanazya", „Sen", „Ciemności") i na drobnym oryginalnym wierszu „Majtek", który zresztą w pierwszej tylko swej połowie nosi cechę pessymizmu bajrońskiego. Mickiewicz karmił się poezyą bajrońską, ale powoli ją przetrawiał, powoli assymilował jej różne pierwiastki, nie zrywające się do tworzenia.

I w sonetach miłosnych wpływ bajronizmu miga tylko tu i ówdzie, jak np. w „Strzelcu", który ma oczy Kaina i gorżko się uśmiecha, albo w „Rezygnacyi", gdzie poeta serce swoje przyrównywa do „dawnej świątyni — Spustoszałej niewygód i czasów koleją — Gdzie bóstwo nie chce mieszkać, a ludzie nie śmieją". W „Sonetach krymskich" wpływ Bajrona nie zaznacza się niczem, chyba tylko oryentalizmem, który zresztą wypływał z samego przedmiotu; Bajron mógł tylko ośmielać i zachęcać Mickiewicza do wprowadzenia lokalnego kolorytu do obfitego używania nazw oryentalnych i zwrotów. Co się tyczy stosunku „Sonetów Krymskich" do „Fontanny Bagczyseraju", to trzeba pamiętać, że „Fontanna" była pisaną na 4 lata przed wyjściem „Sonetów", a drukowaną 1824 r., na rok przed podróżą krymską Mickiewicza, i że otaczając urokiem poezyi Krym i jego pamiątki, mogła być jedną z pobudek do tej podróży. Że Mickiewicz znał ten poemat przed wydaniem „Sonetów", świadczą o tem własne jego przypisy do pierwszego wydania. Ale jeżeli

jaki wpływ wywarła ta poezya, to ślady jego są bardzo nikłe. Dostrzedz ich można tylko w pewnej grupie sonetów, którąby nazwać można bagczyserajską („Bagczyseraj", „Bagczyseraj w nocy", „Grób Potockiej" i „Mogiły haremu"), które przedmiotem są pokrewne „Fontannie". W ogóle poezya krymska Mickiewicza, zasadniczo różni się od takiejże poezyi Puszkina i pod względem formy i pod względem treści. Tu forma sonetu, tam poezyi bajrońskiej. Co się tyczy treści, mianowicie kierunku uczuć. Puszkin opiewał Krym nie dlatego, żeby nie widział piękniejszych, wspanialszych widoków, bo już przedtem oglądał góry Kaukazu, ale dlatego, że z Krymem wiązały go wspomnienia milosne, czystsze od poprzednich, że tam, na jakiś czas przynajmniej, zostawił serce swoje, i głównie miłość dla Katarzyny Rajewskiej, która mu opowiedziała podanie o Kerim Geraju, pobudziła go do napisania poematu krymskiego. Mickiewicz zostawał w innym stosunku do Krymu i do grobowca Potockiej. Upajał się chwilowo wdziękami przyrody krymskiej, która była dla niego czemś w rodzaju odaliski wschodniej, ale sercowego węzła pomiędzy nim a tą przyrodą nie było. Podczas kiedy Puszkin wzdychał „do wesołych brzegów Salhiry", Mickiewicza serce „z krainy dostatków i krasy", uciekało „w dalekie okolice, i niestety! jeszcze dalsze czasy". I stosunek do podania o brance polskiej, był inny. Puszkin wprawdzie przedstawił ją w idealnych barwach, ale nie mogła ona mieć dla niego tego znaczenia, co dla polskiego poety, któremu dawała sposobność do wynurzenia tęsknoty za krajem.

Widocznym staje się bajronizm w poezyi Mickiewicza dopiero w „Wallenrodzie", i tu najlepiej okazuje się różnica pomiędzy wpływem Bajrona na Puszkina, a wpływem na Mickiewicza. W rozprawie o Goethem i Bajronie Mickiewicz, zwracając uwagę na to, że „pienia Bajrona przemówiły do wielkiej masy europejskiej, i utworzyły naśladowców", dodaje: „Tak struna uderzana, pobudza głos w innych, milczących, ale podobnie nastrojonych strunach". Ażeby należycie ocenić całą trafność tego pięknego porównania, trzeba je rozwinąć. Lira bajrońska, jak już wskazywałem, była wielostrunną, Bajron grał na całym sze-

regu strun, i budził echa we współczesnem i następnem pokoleniu poetów europejskich; ale nie wszystkie jego struny, budziły echa w lutniach innych poetów. Te lutnie były rozmaicie nastrojone i stosownie do swego nastroju, odpowiadały echem tylko na pewne tony bajrońskiej poezyi, na inne pozostawały głuche, albo przynajmniej bardzo słabo je powtarzały. Otóż zupełnie inaczej były nastrojone lutnie, czyli dusze dwu największych poetów Słowiańszczyzny, kiedy je potrącił prąd bajronizmu; inny był temperament, inne wpływy otoczenia w czasach dzieciństwa i pierwszej młodości. Puszkin z dzieciństwa, jak wiemy z własnych jego notatek, wyniósł wiele przykrych wrażeń i nigdyby go nazwać nie mógł, jak Mickiewicz swoje dzieciństwo: „sielskiem, anielskiem“. W Puszkinie w życiu szkolnem i w jego poezyi licealnej, na pierwszy plan wysuwa się zmysłowość, podniecona poezyą francuską XVIII. wieku; w sferze studenckiej Mickiewicza, kwitnie idealizm, skrystalizowany w teoryi Zana o promienistej miłości i przyjaźni. Tajemnym hulankom licealnym, albo otwartym huzarskim, w których Puszkin i jego towarzysze biorą udział, w sferze wileńskiej, odpowiadają majówki Promienistych, sielankowo-patryotyczne albo imieninowe zgromadzenia, gdzie największa ochoczość piętrzy się zawsze w stronę wysokich ideałów. Haseł: „nauka i cnota“ nie słychać w koleżańskiem gronie Puszkina, natomiast powtarza się ciągle błogie lenistwo, jako hasło epikurejskiego i poetycznego życia.

W Puszkinie odezwały się różne tony bajrońskie: melancholia, poczucie piękna przyrody, miłość, liberalizm, arystokratyzm, a silniej od tych tonów: przesyt, ironia, poczucie wyższości nad światem i donjuanizm. Ale dwie struny, które w poezyi Bajrona brzmią z ogromną siłą, bez których straciłaby ona przynajmniej połowę swej potęgi, to jest heroizm i prometeizm, co ostatecznie da się sprowadzić do jednego pojęcia, te struny nie wywołały echa w poezyi Puszkina, bo nie znalazły w jego duszy odpowiedniego nastroju. Zupełnie inaczej u Mickiewicza. Ani przesyt, ani pogarda dla świata, ani donjuanizm nie oddźwięky w duszy Mickiewicza, bo nie znalazły tam strun pokrewnie nastrojonych, natomiast zachwycał ją i pobudzał he-

roizm, i to tak w poezyi bajrońskiej, jak i w jego życiu, a to dla tego, że dusza jego rozmaitemi wpływami ku temu była nastrojoną.

Jakież to były wpływy? Oprócz tradycyi dawnego heroizmu, które wciągał w siebie głównie ze Stryjkowskiego, i świeże wspomnienia narodowe nastrajały duszę Mickiewicza na ton heroiczny. Jak były żywe w otoczeniu poety wspomnienia o Kościuszce, tego z „Pana Tadeusza“ domyślać się można; jak się potężnie objawiła cześć dla tego bohatera po jego śmierci na Litwie, to dobrze wiadomo. Dodajmy do tego sławę legionów, która świeciła już nad kolebką poety, i tę sławę, która nad wszystkiemi innemi górowała, sławę Napoleońską, która cały świat olśniewała, ale dla Polaków i polskiego poety miała nierównie więcej znaczenia, niż dla Rosyan i rosyjskiego poety. Z wpływów literackich obok Stryjkowskiego zaznaczyć trzeba naprzód Niemcewicza „Śpiewy historyczne“, które były niczem innem, tylko uwielbieniem bohaterskich czynów przodków, potem poezyę Szyllera, w której kult bohaterów stanowi rys wybitny. To też heroizm od pierwszych lat młodości przenikał duszę poety, „budził go ze snu tryumf Milcyada“, jak wiemy z IV. części „Dziadów“, czuć tchnienie jego już w pierwszym znanym jego wierszu: „Już się z pogodnych niebios“, tętni z całą siłą w „Odzie do młodości“, objawia się w „Żywili“ i „Grażynie“. W „Dziadach“ (IV. cz.), jak to sam poeta zaznacza, heroizm ustępuje miejsca gorączce miłosnej, która w szaleństwie swojem ma niekiedy akcenta heroizmu. I oto spotyka się z poezyą Bajrona, w której jednym z tonów najsilniejszych jest heroizm.

Heroizmu nie odziedziczył Bajron ani po Wolterze, ani po Russie, miał go z siebie, ze swego dumnego indywidualizmu, ze swego wojowniczego temperamentu i wcielił go w szereg postaci, które wyglądają nieraz jak rozbójnicy, ale których grunt duszy jest bohaterski, bo sam poeta wcielał się w te postaci. Jeżeli zaś jako przedstawiciel ludzkości zwracał się ku wyższym potęgom, heroizm ten nabierał charakteru prometeizmu. A jak wcielał swój heroizm w urojone postaci, tak wielbił wszędzie bohaterów historycznych w owych wylewach lirycznych, któremi

przepełnione są jego poematy, szczególnie „Childe-Harold“ i „Don Juan“. Jakie te wylewy sprawiały wrażenie na Mickiewiczu, widać to z listu jego do Malewskiego z Rzymu w grudnia 1829: „O Rzymie trudno pisać. Byron jak Horacyusz Cocles, wielkim krokiem most na Tybrze zajął: *ingenti gradu occupavit pontem*“ (Kor. I, 53). Przedewszystkiem Bajron wielbił bohaterów, walczących za wolność swoich narodów, a z jakąż zapewne rozkoszą Mickiewicz znajdował między najsławniejszemi imionami obok „piorunującego Marsa“ Napoleona i imię Kościuszki, „któreby rzuciło płomienie śród lodów, jak wulkan Hekla“ (X. pieśń, 69 strofa). Co się tyczy Napoleona, dla niego Bajron miał rozmaite uczucia; potępiał go za to, że nie chciał zostać Waszyngtonem, za jego próżność, ale jako dla heroicznej indywidualności miał uczucie podziwu i w trzeciej pieśni „Childe-Harolda“ pisał: „imię twoje sprawia największe wrażenie teraz, kiedy jesteś niczem“.

Otóż heroizm jest duszą „Konrada Wallenroda“. To, co Mickiewicz powiedział o pokrewnych strunach, da się w ten sposób zastosować do „Wallenroda“, że w nim na ten głos odezwała się struna heroizmu, od dawna w sercu Mickiewicza napięta. Poeta w różnych miejscach poematu kładzie nacisk na ten heroizm, na wielkość przedsięwzięcia Konrada. Już w III. rozdziale, w rozmowie Konrada z Aldoną, słyszymy uwielbienie dla heroizmu Wallenroda w tych słowach Aldony:

Teraz, skowronki, o nic was nie proszę,
Bo gdzież ma lecieć, po jakie rozkosze,
Kto poznał Boga wielkiego na niebie
I kochał męża wielkiego na ziemi.

Cześć dla heroizmu występuje dalej w pieśni Wajdeloty, która w pierwotnym planie miała być przegrywką do całego poematu, występuje mianowicie w końcowym ustępie, gdzie Wajdelota, a właściwie sam poeta pragnie „własne ognie przelać w piersi współbraci“ i wskrzesić bohaterskie postaci przeszłości tak, iżby ci słuchacze

Uczuli w sobie dawne serca bicie,
Uczuli w sobie dawną wielkość duszy,

I chwilę jedną tak górnie przeżyli
Jak ich przodkowie niegdyś całe życie.

I w dalszych czterech wierszach, gdzie jest mowa o „mężu wielkim, żywym, niedalekim“, jest nacisk położony na bohaterstwo Konrada. Ale najgodniejszą uwagi w tym względzie jest scena przedśmiertna, kiedy Konrad wypija truciznę i podaje czaszę przyjacielowi. Halban nie przyjmuje czaszy i odpowiada wspaniałym wylewem uwielbienia dla heroizmu Konrada:

Chcę jeszcze zostać, zamknąć twe powieki
I żyć — ażebym sławę twego czynu
Zachował światu, rozgłosił na wieki.
Obiegę Litwy wsi, zamki i miasta,
Gdzie nie dobiegę, pieśń moja doleci,
Bard dla rycerzy w bitwach, a niewiasta
Będzie ją w domu śpiewać dla swych dzieci;
Będzie ją śpiewać i kiedyś w przyszłości
Z tej pieśni wstanie mściciel naszych kości.

Wreszcie ostatnie słowa Konrada, wypowiedziane wobec tych, którzy przyszli po jego głowę, są niejako uroczystym manifestem jego heroizmu:

Ja to sprawiłem: jakem wielki, dumny,
Tyle głów hydry jednym ściąć zamachem,
Jak Samson jednem wstrząśnieniem kolumny,
Zburzyć gmach cały i runąć pod gmachem.

Ale zobaczmy, o ile Wallenrod podobny jest do bohaterów Bajrona. Wszyscy oni, Childe-Harold, Korsarz, Giaur, Lara, Manfred i inni przedstawiają właściwie jeden typ ludzki, ludzi dumnych, zamkniętych w sobie, posępnych i pełnych goryczy. Wallenrod, podobnie jak oni, jest dumny, zamknięty w sobie, posępny i gorzki, i jak oni osłonięty tajemniczością. Charakterystyka Wallenroda podana w pierwszym rozdziale poematu ma wiele rysów bajronicznych. Żeby się o tem przekonać, dość jest zestawić parę ustępów z „Wallenroda“ i „Childe-Harolda“. Oto jak Mickiewicz opisuje swego bohatera:

Czy był nieczułym, dumnym z przyrodzenia,
Czy stał się z wiekiem? bo choć jeszcze młody,
Już włos miał siwy i zwiędłe jagody,
Napiętnowane starością cierpienia —

Trudno odgadnąć: zdarzały się chwile,
W których zabawy młodzieży podzielał,
Nawet niewieścich gwarów słuchał mile,
Na żarty dworzan żartami odstrzelał,
I sypał damom grzecznych słówek krocie,
Z zimnym uśmiechem, jak dzieciom łakocie.
Były to rzadkie chwile zapomnienia...

Przypomina to następującą charakterystykę Childe-Harolda (pieśń I, strofa 84): „Nieczuły spektator, nie mieszał się z tłumem, ale nie zawsze spoglądał nań z nienawiścią mizantropa. Możeby nieraz pragnął wziąć udział w tańcach, gdyby los, który mu serce przygniatał, pozwolił mu uśmiechać się".

Konrad podobnie jak Harold przygrywa na lutni i nigdy jak ten weselszych tonów z niej nie dobywa:

I lica jego niewinnych uśmiechów
Zdają się lękać, jak śmiertelnych grzechów.

Zwracano nieraz uwagę na bajroniczność postaci Wallenroda. Spasowicz w znakomitem studyum o „Konradzie Wallenrodzie" [1] powiada: „Wpływ Bajrona na Mickiewicza był wielki, każdemu widoczny, namacalny. Uwydatnił się on wyraźnie w Wallenrodzie"... Wszakże Spasowicz sądzi (w tem samem studyum, str. 149), że podobieństwo Wallenroda do typowych bohaterów Bajrona, jest bardzo powierzchowne, nie sięga dalej „niż powłoka, niż kolor, cera twarzy". Na to określenie niezupełnie można się pisać, bo cera twarzy to nie jest rzecz powierzchowna, to nie jest blansz albo róż, ale jak może świadczyć o chorobie lub zdrowiu organizmu, tak zostaje w ścisłym związku z temperamentem człowieka. I w istocie zachodzi podobieństwo temperamentów i to tak między Wallenrodem a całym szeregiem bohaterów bajrońskich, jak między Mickiewiczem a Bajronem. Ale poza tem idą różnice, wyżłobione odmiennemi warunkami, wśród których żyli ci poeci. Bajron, jak słusznie zauważył Spasowicz, należał do „narodu wolnego, dumnego, bezpiecznego, na cały świat sławnego i tryumfującego", bo to Anglia głównie obaliła Napoleona; Mickiewicz do narodu, któ-

[1] „Pamiętnik Towarzystwa im. Mickiewicza", III, 1889, str. 122.

rego świetna przeszłość tem silniej uwydatniała ponurą teraźniejszość. W Bajronie zatem mógł łatwo rozwinąć się szlachetny kosmopolityzm, kiedy duszę Mickiewicza przejmowały przedewszystkiem cierpienia własnego narodu i pod tym względem Mickiewicz podobniejszy był do Tomasza Moore'a, niż do Bajrona. Jakoż pomiędzy „Wallenrodem“ a „Czcicielami ognia“ zachodzi pewne pokrewieństwo w pomyśle [1].

Wracając do porównania bohaterów bajrońskich z Konradem, trzeba temu ostatniemu przyznać stanowczą wyższość tak pod względem uzasadnienia psychologicznego, jak i pod względem pobudek działania. Bohaterowie Bajrona są posępni, pełni goryczy, zamknięci w sobie, ale co ich w ten stan wprawiło, to jest zasłoną zakryte, stan ich duszy nieuzasadniony. Poeta rzuca tajemnicę na ich przeszłość i dlatego nie są to postaci pełne, ale tylko cienie samego poety. Giaur stanowi wyjątek, ale i tu uzasadnienie niedostateczne. Inaczej z Wallenrodem. Mickiewicz zapełnił go własnemi uczuciami, dał mu swoje głębokie przejęcie się cierpieniami narodu, ale stan jego duszy uzasadnił w całej pełni. Jeżeli on jest gorzki, posępny, zamknięty w sobie, to wiemy doskonale, dla czego jest taki, cała głębia przyczyn stoi przed nami otworem w pieśni Wajdeloty: napad Krzyżaków, porwanie dziecka z domu, krzyk matki, wychowanie w nienawistnem otoczeniu, podmuchy Wajdeloty, potem chwile pokoju i szczęścia na Litwie, potem nowa groza krzyżacka, która zawisa już nie nad głową dziecka, jak dawniej, ale nad głową męża i domaga się od niego zażegnania. Gdyby nie miał bohaterskiej natury, potrafiłby zapewne przeboleć klęskę nad Rudawą i używać dalej szczęścia w domu, „choć go nie było w ojczyźnie“, ale bohaterska natura nie pozwala mu usuwać się od ciężaru zadania, który spada na niego. Nie widząc innych sposobów obrony narodu od potężnego wroga, obiera zdradę, która jeżeli narodowi może przynieść zwycięstwo, jemu samemu napewno gotuje nieskończone męczarnie i śmierć wreszcie.

[1] Patrz W. Bruchnalski, „Mickiewicz a Moore“ w „Pamiętniku im. A. Mickiewicza“, IV, 1890.

Dlatego daleko lepiej każdy zrozumieć może Wallenroda, aniżeli owych bohaterów bajrońskich, walczących ze światem bez wyraźnej przyczyny, a czasem taką otoczonych tajemniczością, że pobudki ich działania stają się zupełnie niezrozumiałemi. Takim jest np. Lara, który popełnia zbrodnię, morduje i topi swego oskarżyciela w taki sposób, że czytelnik po przeczytaniu poematu nie wie ani trochę, kim był Lara, o co go oskarżano, jaki był stosunek jego do oskarżyciela, dlaczego dopuścił się zbrodni.

Tym sposobem Wallenrod, jako postać poetyczna, jest wyższy od bohaterów bajrońskich i psychologicznem uzasadnieniem i szlachetnością pobudek działania. Droga, którą Wallenrod obiera, jest złą, ale wtrąca go na nią namiętna miłość ojczyzny. Jak Gustaw w gorączce miłości dla Maryli, popełnia samobójstwo, tak Konrad moralnie się truje w gorączce miłości dla narodu.

Ale jakkolwiek Wallenrod podobny jest do bajrońskich bohaterów tylko z heroicznego temperamentu swego i z zamkniętego cierpienia i goryczy, poza tem jest zupełnie różny, oryginalny i wyższy od nich, ślady wpływu bajrońskiej poezyi widoczne są w poemacie Mickiewicza nietylko w charakterystyce bohatera, ale i w niektórych innych szczegółach. Spostrzegamy tu i ówdzie reminiscencye „Childe-Harolda“ i „Korsarza“. Mianowicie wstęp do „Wallenroda“ (Niemen przedziela Litwinów od wrogów) przypomina parę strof (XXXIII. i XXXIV.) pierwszej pieśni „Childe-Harolda“, gdzie jest mowa o strumieniu, dzielącym Hiszpanów od Portugalczyków i o Guadianie, na której brzegach spotykali się Maurowie z rycerzami chrześcijańskimi; dodać tylko należy, że Mickiewicz rozwinął ten temat do niepoznania pięknie. Inny znów ustęp z pieśni Wajdeloty (Płomień rozgryzie malowane dzieje) jest jakby echem, także cudownie rozwiniętem, XXXVI. strofy tejże pieśni „Harolda“ (When granite moulders and when records fail — A peasant's plaint prolongs his dubious date). Wreszcie rozmowy Wallenroda z Aldoną przypominają rozmowy Korsarza z Medorą.

Prócz „Wallenroda“ w zakres bajronizmu Mickiewicza wchodzą dwa inne większe utwory: „Farys“ i trzecia część „Dzia-

dów". Jak Wallenrod tak Farys i Konrad z „Dziadów" nie są kopiami mniej lub więcej zręcznemi bohaterów bajrońskich, jak np. Jeniec lub Giraj Puszkina, a po części i Oniegin, ani jak Słowackiego Żmija, Lambro, Bielecki i t. p.; są to postaci oryginalne, z ducha poety zrodzone, ale z ducha potrąconego bajronizmem; stąd obok głębokich różnic mają pewne pokrewieństwo z bohaterami Bajrona. A naprzód „Farys". Poemat ten, jak wiadomo, poświęcił poeta emirowi Tedż-ul-Fechr tj. Wacławowi Rzewuskiemu, który był jednym z największych bajronistów w życiu i tak mistrza skarykaturował w czynach, jak inni to czynili w poezyi. Ale trudno się zgodzić z prof. Pilatem, objaśniającym genezę tego poematu tylko wpływami wschodniej poezyi, którą poeta wówczas studyował w przekładach francuskich i wrażeniem, jakie postać Wacława Rzewuskiego na nim wywarła [1]. Sam poemat świadczy najwyraźniej, że poeta włożył w Farysa swoją duszę, swoje ówczesne usposobienie. Było to w roku 1828. Poeta czuł w sobie rosnącą siłę geniuszu, a to poczucie wzmagało się pod wpływem uwielbień, jakiemi go otaczali i swoi i obcy, najznakomitsi przedstawiciele rosyjskiej literatury. Były to czasy, w których improwizatorskie natchnienie najczęściej go nawiedzało, najpotężniej się objawiało i jemu samemu musiało dawać poczucie jakiejś cudownej mocy. Otóż jeżeli co jest ideą Farysa, to właśnie poczucie nadzwyczajnej siły, która potrzebuje przestrzeni dla swego rozwoju, poszukuje walki i niebezpieczeństw, bo czuje, że wszystkie pokona. Jednem słowem ideą, duszą „Farysa" jest heroizm nie skierowany do jakiegoś jednego, wyraźnego celu, jak w Wallenrodzie, jak w księdzu Robaku, ale jakby szukający tego celu i próbujący sił swoich w walce ze wszystkiem, co mu tamuje drogę. A więc duma, wypływająca z poczucia pełni sił indywidualnych i ten heroizm, któryby można nazwać błędnym, to są tony pokrewne poezyi bajrońskiej, na mocy których „Farys" może być wciągnięty w zakres bajronizmu. Ale oprócz różnicy w formie — „Farys" nie jest powieścią, lecz alegoryą — inna wewnętrzna cecha

[1] „Pamiętnik Tow. im. Ad. Mickiewicza" 1888, t. II, 125—134.

nadaje mu odrębny charakter. Doskonały optymizm, który panuje w „Farysie“, ten oddech radości i tryumfu, który przenika cały poemat, stanowi wybitną różnicę pomiędzy nim a utworami Bajrona, nastrojonemi pessymistycznie, gdzie heroizm rozwija się zwykle na tle posępnem. Heroizm „Farysa“ przypomina heroizm „Ody do młodości“. I jeden i drugi utwór był krótkim wybuchem, zwiastującym, jakie skarby poezyi miały się wylać z tej pełni sił twórczych poety. Po „Odzie do młodości“ nastąpiła IV. część „Dziadów“, po „Farysie“ III. część „Dziadów“ i „Pan Tadeusz“.

Przechodząc do trzeciej części „Dziadów“, należy zaznaczyć, że w zakres bajronizmu wchodzą tylko te jej sceny, w których się sam Konrad wypowiada. Tu więc należy Prolog, pierwsza improwizacya w więzieniu, wielka improwizacya i rozmowa Konrada z ks. Piotrem. Sceny te z bajrońską poezyą pokrewne są tytanizmem Konrada, występującego do walki z Bogiem. Tytanizm w poezyi Bajrona objawia się przedewszystkiem w dramacie „Manfred“ i misteryi „Kain“, więc naturalnie nasuwa się porównanie głównych postaci tych utworów z Konradem. W „Manfredzie“ Bajron stworzył postać w rodzaju Fausta: bohatera pragnącego przeniknąć tajniki stworzenia, wzywającego duchów, cierpiącego i próbującego odebrać sobie życie. Ale, jak to już dawno trafną zrobiono uwagę, Faust, jako indywiduum, jest nędzną figurą, i tylko jako przedstawiciel ludzkości jest pełen znaczenia; przeciwnie Manfred, jako figura symboliczna, niema znaczenia, jako indywidualna, prześciga Fausta nieskończenie. W Manfreda włożył Bajron całą swoją dumę, poczucie wyższości nad światem, pogardę dla skarbów ziemskich i wewnętrzne rozdarcie, które ozdobił niewyjaśnioną ostatecznie tajemnicą. Bajron chciał w Manfredzie ducha swego przedstawić objektywnie, ale bodaj czy mu się to udało. Manfred cierpi ogromnie, a przyczyną cierpień jest pamięć, że w młodości uwiódł i o śmierć przyprawił jakąś istotę blizką sobie, pokrewną, jedyną, którą kochał i jedynie godną kochania (Astarte). Ta pamięć jest dla niego piekłem, które nosi we własnem sercu. Jedynem więc jego pragnieniem: znaleźć zapomnienie. W tym celu wywołuje duchy,

ale nie chce im być posłusznym, bo czuje się wyższym od nich. I duchy mówią o nim, że gdyby był jednym z nich, prześcignąłby wszystkie. W tym celu szuka śmierci, ale go jakiś myśliwy wstrzymuje nad przepaścią w chwili, gdy ma się w nią rzucić. Opat St. Maurice pragnie duszę jego nawrócić ku Bogu, ku wierze tradycyjnej. Manfred wierzy w Boga — widać to z odpowiedzi jego na wezwanie, aby się ukorzył przed Arymanem — ale niezdolny ugiąć się przed Nim, i zwrócić się z modlitwą do Niego. Złe duchy, które przybywają po niego, odpędza, a sam umiera dumny i nieugięty. Manfred jest przedstawicielem nie człowieka wogóle, ale dumnego egoizmu, górującego myślą nad światem i skazanego na cierpienie. Poeta sam wskazywał ten egoizm: „Za twoje serce z lodu, za twój uśmiech żmii, za twe podstępy fatalne, za twe oko zwodnicze, za twą duszę obłudną i t. d.... skazuję cię, abyś był piekłem sam dla siebie“ (Akt I., scena I.), ale obok tego apoteozował potęgę jego indywidualizmu. „Lew jest samotny; jestem samotny jako lew“ (Akt III., scena I.). Kain z nieugiętości ducha podobny do Manfreda, ale ma ogólniejsze od niego znaczenie: reprezentuje nie samego tylko poetę, ani wybujały, egoistyczny indywidualizm wogóle, ale ludzkość, w której wiedza ma przewagę nad wiarą i nie daje rozwiązania zagadki, dlaczego zło istnieje na świecie. Abel i Kain to przedstawiciele wiary i wiedzy. Abel wierzy, że Bóg jest dobry, a więc wierzy, że wszystko zło, które jest na świecie, jest tylko przemijającym dysonansem, który się rozwiązuje w wyższej harmonii. Kain, widząc zło, buntuje się przeciw Bogu, oskarżając go o to, że mu zapach krwi zabijanych na ołtarzu ofiar jest przyjemny i rozwala ołtarz Abla, na którym te ofiary były składane, a w zatargu z bratem zabija go nieumyślnie. Kaina obchodzi los całej ludzkości, podczas gdy Manfred zajęty jest sobą prawie wyłącznie; mówi on tylko, że k i e d y ś miał szlachetne aspiracye, chciał rządzić duszami ludzi, być latarnią morską dla narodów, ale to wszystko przeszło.

Konrad z „Dziadów“ ma cechy wspólne i z jednym i z drugim. Z Manfredem ma wspólne poczucie swojej potęgi duchowej i pod tym względem prześciga go nawet. Tylko rodzaj po-

tęgi odmienny. Manfred czuje wyższość swoją intelektualną, Konrad potęgę uczucia. I kiedy Manfred tylko z niższymi duchami spiera się, czując się im równym lub wyższym od nich, a z Najwyższą Istotą nie szuka starcia, zdaje się jej unikać — Konrad tę Najwyższą Istotę wyzywa do walki i w tem wyzwaniu, w tej walce zbliża się więcej do Kaina, rozwalającego ołtarz Abla, i obwiniającego Boga o istnienie zła na świecie, niż do Manfreda. Ale zbliża się tylko, bo i w Kainie nie spostrzegamy głębokiego przejęcia się cierpieniami ludzkości. Wogóle Konrad od tytanicznych bohaterów Bajrona odróżnia się siłą cierpienia za innych, za miliony, a więc siłą uczucia miłości: „Nazywam się milion, bo za miliony kocham i cierpię". Manfred i Kain silni są myślą, Konrad uczuciem i siłą twórczą, którą czuje w sobie. Wprawdzie przy końcu prologu ze słów ducha, który podaje wskazówki z zaświatowej mądrości zaczerpnięte, możnaby wnioskować, że poeta myśli przypisuje główne znaczenie:

Człowieku, gdybyś wiedział, jaka twoja władza!
Kiedy myśl w twojej głowie, jako iskra w chmurze
Zabłyśnie niewidzialna, obłoki zgromadza,
I tworzy deszcz rodzajny, lub gromy i burze;
Gdybyś wiedział, że ledwie jedną myśl rozniecisz,
Już czekają w milczeniu, jak gromu żywioły,
Tak czekają twej myśli — szatan i anioły:
Czy ty w piekło uderzysz, czy w niebo zaświecisz;
A ty jak obłok górny, ale błędny pałasz
I sam nie wiesz, gdzie lecisz, sam nie wiesz, co zdziałasz.
Ludzie! każdy z was mógłby samotny, więziony,
Myślą i wiarą zwalać i podźwigać trony.

Ale tu przez myśl trzeba rozumieć intencyę, zwrot woli, kierunek uczucia, siłę i trwałość jego. Że tak jest, przekonywamy się o tem najlepiej z „Improwizacyi", gdzie poeta ogromny kładzie nacisk na potęgę swego uczucia, gdzie nazywa siebie „najwyższym z czujących" na ziemnym padole. Siła uczucia w nim jest tak wielką, iż zdaje mu się, że mógłby nią cudów dokazywać: wstrzymać lot ptaków, obrót gwiazd. Ale tamto go nie obchodzi, on chciałby potęgę tego uczucia wywrzeć na

dusze ludzkie — Chcę czuciem rządzić, które jest we mnie — Rządzić, jak ty, wszystkiemi zawsze i tajemnie". Dlaczegóż chce rządzić? Oto żeby ludzi zrobić szczęśliwymi:

Jeśli mnie nad duszami równą władzę nadasz,
Jabym mój naród, jak pieśń żywą stworzył,
I większe, niźli Ty, zrobiłbym dziwo,
Zanuciłbym pieśń szczęśliwą.

Po ten rząd dusz, za pomocą którego chce uszczęśliwić swój naród, staje on przed Stwórcą, a wobec milczenia Stwórcy, oskarża go, że jest tylko mądrością, ale nie miłością:

Ludzie myślą, nie sercem, Twych dróg się dowiedzą,
Myślą, nie sercem, składy broni twej wyśledzą —
Ten tylko, kto wrył się w księgi,
W metal, w liczbę, w trupie ciało,
Temu się tylko udało
Przywłaszczyć część twej potęgi.
Znajdzie truciznę, proch, parę,
Znajdzie blaski, dymy, huki,
Znajdzie prawność i złą wiarę
Na mędrki i na nieuki.
Myślom oddałeś świata użycie,
Serca zostawiasz na wiecznej pokucie,
Dałeś mnie najkrótsze życie
I najmocniejsze uczucie.

Jest tu przeciwstawienie serca rozumowi, podobne do tego, jakie tak wybitnie występuje w „Odzie do młodości" (Rozumni szałem — Łam, czego rozum nie złamie). I jak tutaj, tak i tam chodziło o szczęście ogółu, tylko tam nie było walki z Bogiem, nie było cierpienia, było tylko radosne uczucie potęgi sił młodzieńczych i doskonała wiara w przyszłe szczęście (Witaj jutrzenko swobody — Za tobą zbawienia słońce) — tam był szał radości, tutaj szał cierpienia. — I jeszcze jedna ważna różnica. Tam rozum był przedstawiony, jako owoc doświadczenia, które ze wszystkich polotów fantazyi i uczucia obiera człowieka i robi go zimnym, ostrożnym i bezsilnym egoistą; wzrok jego „takie tylko widzi świata koło — Jakie tępemi zakreśla oczy"; wogóle słabość rozumu uwydatniona. Tu jest przeciwnie. Poeta-Konrad przekonał się, że tylko ci, co myślą, rozumem działają, ci tylko

zdolni wydrzeć część potęgi Boskiej, ci tylko panują nad światem — i o to właśnie oskarża Boga. Materyalna i czysto umiejętna kultura zrobiła ogromne postępy, a Mickiewicz wynosząc potęgę tej kultury, jakby przeczuwał te wszystkie wynalazki i odkrycia, które w chwili pisania „Dziadów“ jeszcze były tajemnicą. Ale obok rozwoju kultury materyalnej widział upadek ducha chrześcijańskiego, egoizm we wszystkich społecznych stosunkach wewnętrznych i międzynarodowych, który go tak raził we Francyi, głównem siedlisku owej wysokiej kultury materyalnej. W „Odzie do młodości“ występował przeciwko egoizmowi starszego pokolenia, starości, której przedstawicielem był dla niego Jan Śniadecki; w III. części „Dziadów“ ostrze jego uczucia wymierzone było przeciw materyalizmowi kultury zachodniej.

Podobieństwo pomiędzy III. częścią „Dziadów“ a „Odą do młodości“ polega jeszcze i na tem, że i tu poeta powoływał uczucie do dokonania tego, czego rozum dokonać nie zdoła. Tylko tu był podżegany przez złego ducha, który mu dawną broń jego, w czasach młodości używaną, podsuwał w ręce, aby ją mógł zwrócić przeciw Stwórcy. I Konrad w szale namiętnym cierpienia chwyta tę broń i grozi Stwórcy wystrzałem:

Milczysz i ufasz, że masz silne ramię,
Wiedz, że uczucie spali, czego myśl nie złamie,
Widzisz to moje ognisko-uczucie,
Zbieram je, ściskam, by mocniej pałało,
Wbijam w żelazne woli mej okucie,
Jak nabój w burzące działo...
Odezwij się, bo strzelę przeciw twej naturze!

Od tytanicznych bohaterów Bajrona i wszelkich innych przedstawicieli prometeizmu Konrad odróżnia się tem, że występuje w obronie nie całej ludzkości, ale tylko jednego narodu — swojego. W ten sposób zakres jego prometeizmu zacieśnia się, ale to zacieśnienie nadaje ogromną siłę prawdy jego uczuciom. Jest to właściwością natury ludzkiej, że wrażenia bezpośrednio wywoływane cierpieniem bliźnich, daleko silniejsze budzą uczucia od prostej świadomości, że na świecie wszędzie jest wiele cierpienia. Widok śmierci czyjejkolwiek, choćby obo-

jętnej osoby, przejmuje nas grozą, gdy tymczasem sama refleksya, że w tej samej chwili tysiące ludzi w różnych stronach świata umiera, nastraja nas może elegijnie, ale silnego wzruszenia nie wywołuje. Nie wiemy gdzie są, nie znamy ich, nie umiemy ich sobie wyobrazić, nie możemy im okazać żadnej pomocy. Poeta przejęty był do głębi cierpieniami własnego narodu, przez które po części sam przeszedł, które po części czytał z twarzy swoich przyjaciół, co brali udział w powstaniu. A niedość, że przejęty był cierpieniami jednego tylko narodu, ale i jedną tylko sferę cierpień tego narodu, mianowicie temi, które wypływały z jego politycznego położenia. Ale za to skupienie cierpienia w tym jednym punkcie było niesłychanie silne i ono to pobudziło Konrada do wystąpienia przeciw Bogu.

Inni prometeiczni bohaterowie występują przeciw niebu z powodu cierpień osobistych, przywiązanych do natury ludzkiej wogóle, i w ten sposób stają się przedstawicielami ludzkości, człowieka wogóle — Konrad może śmiało o sobie powiedzieć:

Kiedyś mnie wydarł osobiste szczęście,
Na własnej piersi ja skrwawiłem pięście,
Przeciw niebu ich nie wzniosłem.

Jego ból płynie wyłącznie z głębi uczucia patryotycznego, a psychologiczne uzasadnienie tego bólu następujące. Upadek Polski był faktem wyjątkowym w dziejach. Nie dlatego, żeby narody nie upadały przedtem politycznie, nie były podbijane, nie były rozbierane, ale dlatego, że katastrofa nastąpiła właśnie wtedy, kiedy się naród zaczął odradzać, kiedy odwalił kamienie, które dalszy jego rozwój tamowały i wytknął sobie drogę przyszłości. Szlachta polska, a przedewszystkiem możnowładcy, przez dwa wieki pracowali na ten upadek, ale już od połowy XVIII. w. myśl naprawy Rzeczypospolitej coraz więcej ogarnia sumień i umysłów, wreszcie naród zdobywa się na Konstytucyę 3 maja i na takiego jej obrońcę, jak Kościuszko. Polska staje u progu nowej przyszłości, zagląda w tę przyszłość, ale na to tylko, aby być zgniecioną przez dwie potężne machiny państwowe, które korzystają z jej słabości, aby jej nie pozwolić na odrodzenie polityczne Ale jeżeli odrodzenie polityczne było udaremnione

to odrodzeniu wewnętrznemu zabór nie mógł przeszkodzić. Postępuje ono coraz dalej i wyczekuje sprzyjających okoliczności. Dzięki rewolucyi francuskiej i Napoleonowi, duch rycerski, który prawie zamarł w XVIII. w. i ledwie miał czas trochę zabłysnąć w powstaniu Kościuszkowskiem, pełnym blaskiem jaśnieje w legionach; dzięki kłopotliwemu położeniu i liberalnemu usposobieniu Aleksandra I. i jego stosunkom z Czartoryskim oświata zyskuje takie ogniska, jakich przedtem nie miała; dzięki nowym prądom literackim poezya zakwita wspaniale. Gdy więc gmach polityczny narodu stoi rozwalony lub rozebrany, ten, który mieszkał w tym gmachu, sam naród nie przestaje odradzać się i rozwijać duchowo, nie przestaje wzrastać po swym pogrzebie politycznym, i to właśnie stanowi fakt niebywały w dziejach.

Z wewnętrznem odrodzeniem się idzie w parze przejęcie się wielkością doznanej straty, upadku politycznego, i tęsknota za swobodną przeszłością. Ta przeszłość, wywołana z grobu w „Śpiewach historycznych“ Niemcewicza przed oczy wszystkich, nawet maluczkich, występuje w całym blasku chwały i dawnej potęgi; w tym obrazie zacierają się ujemne jej rysy, które tak były akcentowane w czasach Stanisławowskich, świecą tylko dodatnie. I oto wśród takich stosunków budzi się geniusz, posiadający niezrównaną siłę uczucia, karmi się najszlachetniejszemi sokami odradzającego się narodu, przejmuje się głęboką tęsknotą do tej pełnej chwały przeszłości, czuje w sobie ogromną moc twórczą, która się zapładnia ideą heroizmu i ten człowiek za szlachetne dążenia narodowe, niemające ani cienia spisku politycznego, skazany jest na co? Na opuszczenie rodzinnego kraju, a poznanie siedzib głównego wroga. Poznaje, widzi kontrast rażący, widzi olbrzymią siłę materyalną, korzystającą ze wszystkich materyalnych zdobyczy wieku, opartą na niewolniczości ducha i ciemnocie. Widzi trudność walki z tą potęgą, heroizm jego szuka rozpaczliwych środków w poezyi. Ale niebawem wybucha prawdziwa walka, w której tryumf siły materyalnej wroga występuje w całej pełni, jego zaś naród żywy, odrodzony, nierównie wyższy duchem i ukształceniem, posiadający długą i sławną przeszłość, jęczy pod nogami zwycięscy.

I wtedy to pytanie, które od wieków nurtuje w ludzkości: jeżeli Bóg jest dobry, dlaczego tyle cierpienia na świecie? — kołata do piersi poety-Konrada. I zapytuje on siebie: jeżeli sprawiedliwość rządzi światem, dlaczego naród jego cierpi niewinnie. Do tego, do czego inni prometeiczni bohaterowie dochodzili drogą przypatrywania się życiu ludzkiemu wogóle, drogą osobistych cierpień, Konrad dochodzi drogą patryotyzmu; bo ta struna najsilniej w nim naciągnięta, cały ból jego w niej skupiony.

Ale najgłębsza różnica pomiędzy prometeizmem Bajrona a Mickiewicza (czyli pomiędzy Manfredem a Konradem) tkwi w rozwiązaniu jednego i drugiego poematu, w rozwiązaniu walki z Bogiem. Manfred, który na prawdę nie kocha nic prócz siebie, i tylko swoje cierpienia odczuwa, nie ugina duszy swojej do końca, niezdolny zdobyć się na modlitwę, bo taby była aktem pokory. W Konradzie duma, dochodząca do szaleństwa, jest przedstawiona jako owoc podmuchów złego ducha. W Konradzie przepływają obok siebie i kojarzą się dwa uczucia, niezmiernie silnie rozwinięte: duma i miłość, prądy wręcz odmiennego pochodzenia. W Manfredzie niema miłości, jest tylko duma. Złe duchy, które występują w tym poemacie, nie mają wpływu na bohatera, on czuje się od nich wyższym. Właściwie odgrywają oni podrzędną rolę figurantów. Inaczej jest w „Dziadach". Tutaj złe duchy biorą udział w tej walce, która się toczy w duszy Konrada, podsycając jego dumę i korzystając z szaleństwa jego miłości, i w tej zewnętrznej walce, która się toczy o duszę Konrada. Wprawdzie i Konrad nie modli się, nie szuka ratunku w modlitwie, ale za to za niego modli się ks. Piotr, postać, która ma w sobie także coś tytanicznego, ma tytanizm miłości najczystszej i pokory, który osiąga to, czego tytanizm Konrada (miłości z dumą skojarzonej) nie zdołał osiągnąć: osiąga w cudownej wizyi nadzieję, pewność przyszłego zbawienia narodu i ludzkości (nadzieję, która jest zresztą bardzo mistycznie wyrażona). Ks. Piotr jest niejako dopełnieniem Konrada, jest takim samym tytanicznym duchem miłości, ale oczyszczonym z dumy.

W Manfredzie w roli analogicznej występuje opat St. Mau-

rice, ale jakże blado, jak poziomo wygląda wobec Manfreda, naturalnie z woli samego poety. Manfred traktuje go z pogardliwą grzecznością i uprzejmością. Inny jest, jak wiadomo, stosunek Konrada do ks. Piotra, który ocala młodzieńca, wypędzając z niego szatana pychy. Jakie przeobrażenie następuje potem w Konradzie, dowiadujemy się o tem ze sceny przedostatniej, w której przedstawione jest przypadkowe spotkanie się ks. Piotra z Konradem w mieszkaniu Nowosilcowa. Konrad patrząc na ks. Piotra przypomina sobie, że we śnie widział podobną postać i ma do niego prośbę:

> Weź proszę ten pierścionek, przedaj; daj połowę
> Ubogim, drugą na mszę, za dusze czyscowe;
> Wiem, co cierpię, jeżeli czyściec jest niewolą,
> Mnie, kto wie, czy już kiedy słuchać mszy pozwolą.

Jakże się więc rozwiązuje walka z Bogiem w Konradzie? Kończy się pokorą, pokornym powrotem do tradycyjnej wiary i jej obrzędów, ale zarazem i zwrotem do mistycyzmu. Możnaby powiedzieć o tym przełomie: umarł Konrad, urodził się Piotr. Piotrem w całem znaczeniu tej postaci Mickiewicz nie został, i gdyby był został, nie mielibyśmy „Pana Tadeusza“, ale były chwile, kiedy zamyślał zostać księdzem, a i nie zostawszy księdzem miał wiele z Piotra. Najlepszy komentarz do historyi przełamania się bajronizmu w duszy poety, znajduje się w wierszu „Rozum i wiara“, gdzie rozum jest przyrównany do oceanu, który wiecznie się podnosi i opada, nie dosięgając niebios, wiara do promienia, który z góry spływa i wszystko rozjaśnia i rozświeca. Porównanie trafne, a tem więcej charakterystyczne, że morze było żywiołem Bajrona.

Tak więc w III. części „Dziadów“ w postaci Konrada bajronizm występuje już jako wyraz stanu duszy poety w poprzedzającym okresie; zadaniem poematu jest przedstawić jego przełamanie się.

Pokazawszy całkowity wpływ Bajrona u jednego i drugiego poety, chcę zestawienie dotychczas prowadzone, skupić w ogólne rysy. A najprzód widoczny fakt, że w obu poetach

wpływ ten gra największą rolę, rozbudza najpotężniejsze struny w ich duszy. Tylko te struny są rozmaite. Przypomnijmy jeszcze raz główne tony bajrońskiej poezyi: melancholia, donjuanizm, heroizm. Melancholia bajrońska znalazła słaby oddźwięk w poezyi Mickiewicza, tylko o tyle, o ile godziła się z chwilowym nastrojem melancholijnym, który wywoływał stosunek z Marylą; w poezyi objawiła się przeważnie w przekładach. Tej melancholii, która wypływa z głębokiego sceptycyzmu i pesymizmu, niema wcale u Mickiewicza, tak bardzo optymistycznie był jego organizm duchowy nastrojony. U Puszkina melancholia stanowi ton wybitny, występuje w wielu lirykach, a z większych poematów najsilniej w „Cyganach". Wypływała ona z dwóch źródeł: z myśli o znikomości wszystkiego, o konieczności śmierci, poza którą nie umiał nic dopatrzeć, i z poczucia fatalizmu we własnej naturze, fatalizmu, który tę śmierć przybliżał. Ten ostatni rodzaj melancholii wyraził się w „Cyganach", a pokrewną melancholię można znaleźć i w „Miedzianym jeźdzcu".

Drugi ton, donjuanizm bajroński — to jest zmysłowość na tle przesytu, pogardy dla świata i poczucia swej wyższości — nie potrącił, bo nie znalazł żadnej pokrewnej struny w duszy Mickiewicza; a tymczasem w poezyi Puszkina odezwał się najgłośniej, bo wyrazem tego tonu jest największy poemat Puszkina „Oniegin". Na tle krytyki społeczeństwa, na tle ciemnem, rysuje się „ja" poety, gardzące przesądami tłumu, dumne ze swojej wyższości nad ogółem, ale nie umiejące, ani nawet pragnące pokazać mu lepszą drogę, niby znudzone życiem, a jednak używające wszystkich jego przyjemności — od niechcenia.

Trzeci ton heroizm. Ten ton ma u Bajrona rozmaite odmiany i wciela się w długą galeryę bohaterów; przedewszystkiem można odróżnić heroizm miłosny, jak w „Korsarzu" i „Giaurze" i heroizm tytaniczny, prometejski, jak w „Manfredzie" i „Kainie". Otóż z duszy Puszkina ten ton nie potrafił wywołać nic innego, prócz nieudolnie nakreślonej postaci Kerim-Gireja w „Fontanie Bagczyseraju". Wprawdzie i u Puszkina odzywa się pewien heroizm jeszcze w poezyi licealnej, uwielbienie dla wojennych czynów rosyjskich wodzów z końca XVIII. wieku,

ton, którego echa można znaleźć potem i w „Połtawie“ i w wierszach: „Rocznica Borodina“ i „Oszczercom Rosyi“, ale jest to heroizm, któryby można nazwać urzędowym, niemający nic wspólnego z bajronizmem, a nawet wręcz z nim niezgodny, jak o tem świadczy VII. i VIII. pieśń „Don Juana“, gdzie o tych wodzach rosyjskich jest mowa i gdzie są przeciwstawiani Leonidasom i Waszyngtonom. W Mickiewiczu ton heroizmu w duchu poezyi bajrońskiej dźwięczał już głośno przed zetknięciem się z poezyą Bajrona; po zetknięciu się zabrzmiał tak silnie w jego duszy, że wszystkie inne tony bajrońskie zagłuszył, i on to wywołał postacie Konrada Wallenroda, Farysa i Konrada z „Dziadów“. Heroizm jest duszą poezyi Mickiewicza[1]. Wdarł się on i do spokojnego „Pana Tadeusza“ w postaci księdza Robaka.

Tak więc poezya Bajrona poruszyła zupełnie inne struny w duszach dwu wielkich rówieśników i to jest najlepszem świadectwem, jak różnie były te dusze nastrojone. Że pomimo zasadniczych różnic w nastroju łączyły się one w uwielbieniu dla wspólnego mistrza, to rzecz naturalna; ale jak wobec tych różnic objaśnić fakt głębokiej sympatyi, jaką ci dwaj poeci wzajemnie uczuwali dla siebie i jakiej wyraźne i liczne ślady zostawili w swoich pismach? Musiała być głęboką, skoro jej nie zerwały i nie zatarły nawet wypadki polityczne, co taką lawę uczuć wywołały z serca Mickiewicza i tak pogłębiły przepaść historycznych tradycyj, dzielących go od rosyjskiego poety.

Gdzież szukać źródła tej sympatyi? Niewątpliwie w osobistej znajomości, która im pozwoliła głęboko wzajem przeniknąć do serc swoich. W oczach swoich czytali szczerość i czystość swych natchnień współczesnych i dążenie dusz oskrzydlonych poezyą do wzniesienia się ponad targowisko poziomych interesów. Te chwile razem przeżyte, rozmowy, w których, jak wiemy od Mickiewicza, poruszali wysokie kwestye religijne i społeczne,

[1] Porównaj mój odczyt jubileuszowy p. t. „Kto jest Mickiewicz“. Rok Mickiewiczowski. Lwów 1899, str. 181—192, a także w osobnej odbitce.

a w których, jak wiemy od Puszkina, Mickiewicz nieraz „mówił o czasach przyszłych, dalekich, kiedy narody waśni zaniechawszy w wielką się jedną rodzinę zjednoczą“, zostawiły niezatarte ślady w ich pamięci. Więc choć się ich drogi potem rozeszły w przeciwne strony, choć Puszkin nie zawsze umiał się utrzymać na tych wyżynach, gdzie się spotykały dusze dwu poetów, przecież zawsze wspominali o sobie z sympatyą. Puszkin nawet w wierszu, w którym wyrzucał Mickiewiczowi nienawiść do Rosyi, nazywał go z niebios natchnionym wieszczem (On z niebios miał dar natchnienia — I z wyżyn spoglądał na życie), Mickiewicz zaś w nekrologu o Puszkinie (*Le Globe* 1837), nie zakrywając wad jego, uwydatniał dobroć i szlachetność jego natury. „Znałem poetę rosyjskiego zblizka i przez dość długi czas, uważałem go za człowieka lekkiego i wrażliwego niekiedy, ale zawsze szczerego, szlachetnego i wylewnego. Wady jego zdawały się zależeć od okoliczności, wśród których żył; co było dobrego w nim, pochodziło z jego własnego serca“.

Dr. Józef Tretiak.

Układy o ligę przeciw Turkom za Zygmunta III.

Czem w średnich wiekach były krucyaty dla odzyskania Grobu Chrystusowego, tem w czasach późniejszych miały być ligi antiotomańskie dla położenia tamy przed muzułmańskim zalewem. Jak do krucyat tak i do związków przeciw Turkom nawołują papieże, ale nawoływania ich coraz mniej znajdują posłuchu w Europie, ligi antiotomańskie coraz rzadziej się tworzą, a rzadziej jeszcze przynoszą korzystne rezultaty.

Pierwsza większa wyprawa na Turków, przypominająca jeszcze najbardziej dawne krucyaty, skończyła się klęską pod Nikopolis, wyprawa druga mimo początkowych powodzeń rozbiła się pod Warną. Po upadku Konstantynopola już tylko Węgrzy z rozmaitem szczęściem ucierają się z Turkami, ale odporna ich siła wyczerpuje się w tych zapasach — a klęska pod Mochaczem ją druzgoce.

Odtąd na Austryę przechodzi kolej powstrzymywania tureckich zapędów, zadanie nie łatwe, bo za Solimana potęga turecka doszła do szczytu, z krajów podbitych mogła czerpać zasoby do dalszych zaborów, podczas gdy po stronie przeciwnej ani tyle wojska, ani tyle zasobów materyalnych nie było, jak po stronie tureckiej, a pomoc z Niemiec, zawichrzonych reformacyą, rzadko dochodziła. To też już Ferdynand I. musiał się zgodzić na haracz dla sułtana, żeby jaki taki pokój sobie zapewnić, bo pokój stały był niemożliwy, tak wskutek zabor-

czości tureckiej, jak powikłanych stosunków węgiersko-siedmiogrodzkich. Turków możnaby jeszcze odeprzeć połączonemi siłami kilku państw, ale nawiązanie większej ligi było rzeczą niełatwą, bo państwa dalej leżące od Turków nie miały ochoty do wojny w interesie Austryi, jeżeli nie wyzyskiwały wprost grozy tureckiej dla osłabienia przeciwnika, jak to czyniła nieraz Francya.

Jedynie z Hiszpanii za Filipa II. otrzymywano posiłki pieniężne na wojnę z Turkami, a w r. 1566, gdy Soliman po raz ostatni szedł na wyprawę, otrzymał cesarz Maksymilian prócz znacznych posiłków Rzeszy także posiłki Piusa V. i wojsko książąt włoskich, ale cesarz z tą pomocą niczego nie dokazał i po zgonie Solimana rozpuścił liczną armię, która nawet Turków nie widziała, co oczywiście nie mogło zachęcać do niesienia pomocy i wydatków wojennych. Dopiero związek między Filipem II., Piusem V., Wenecyą, Genuą i Maltą przyniósł pomyślny rezultat w starciu z Turkami, chociaż i zwycięstwo pod Lepanto bezpośrednich większych następstw nie miało, liga bowiem wkrótce rozchwiała się, a król Filip nie chciał wysłać floty pod Konstantynopol, żeby wzniecić powstanie na Bałkanach, jak mu to Don Juan d'Austria doradzał.

Większe było moralne znaczenie bitwy pod Lepanto, bo wykazało, że połączonemi siłami można Turków pokonać, a zarazem stało się zachętą dla następców Piusa V., do tem usilniejszych starań o nawiązanie ligi antiotomańskiej. O lidze takiej zamyślał też Grzegorz XIII. i starał się wciągnąć do niej także Polskę za króla Stefana [1], ale sprawa się nie powiodła, bo król Filip gotował się do wojny z Anglią, Wenecya nie chciała narażać swych interesów handlowych, a Stefan Batory nie mógł wtedy bez obcej pomocy z Turkami zrywać, zwłaszcza że się jeszcze nie uporał był z Moskwą. Sykstus V. także przemyśliwał nad utworzeniem ligi przeciw Turkom, i w tym celu głównie z królem Stefanem się porozumiewał, a w końcu zgodził się na propozycye Batorego, żeby podbić wprzód Moskwę, potem ruszyć na Turków, połączyć się z Persami, poruszyć ludy kau-

[1] Pierling, *La Russie et le Saint-Siège*. Paris 1897. Str. 240.

kazkie i bałkańskie i przy współudziale floty hiszpańskiej uderzyć na Konstantynopol[1]. I ten plan jednakże został tylko świetnym projektem, bo właśnie wtedy, gdy Sykstus V. przez Possewina słał królowi swoje przyzwolenie, a przez legata Annibala z Kapui pierwszą ratę pieniężną na przygotowania wojenne, król Stefan w Grodnie rozstał się z życiem[2].

Po dzielnym królu pozostały tylko projekty, plany i obliczenia, na które powoływano się w Polsce podczas traktatów o ligę za Zygmunta III., a które mogłyby zapewnić lidze powodzenie, gdyby się seryo na nich związek był oparł.

Okazyą do rokowań o ligę antiturecką za Zygmunta III. była wojna między cesarzem Rudolfem a Turcyą. Cesarz jak i najbliżsi jego poprzednicy, unikał tak długo jak mógł otwartego zerwania z Turcyą i płacił sułtanowi roczny haracz 100.000 flor., mimo że na granicach przychodziło do ciągłych starć, oraz mniejszych i większych napadów, których od r. 1572—1585 naliczono aż 180[3]. Do formalnej wojny nie przychodziło tylko dla tego, że Turcya zajęta była długą i nużącą wojną z Persami, ale też zaraz po jej ukończeniu Turcy z większą siłą uderzają na kraje austryackie, a w r. 1593 Murad III. wypowiada cesarzowi otwartą wojnę. Początek tej wojny, jak zresztą prawie cały jej przebieg po r. 1606, był przeważnie niekorzystny dla cesarza, mimo że sejm Rzeszy w Ratysbonie, zastraszony upadkiem twierdzy Raab, która dotychczas osłaniała drogę na Wiedeń, uchwalił znaczny podatek na wojnę a król Filip i papież Klemens VIII. posyłali cesarzowi zasiłki pieniężne.

Papież wobec nowego niebezpieczeństwa grożącego ze strony Turcyi, poczuwał się do obowiązku, w myśl tradycyi Stolicy apostolskiej, postarać się o pomoc dla cesarza. Pomoc ta nie mogła mu się inaczej przedstawiać tylko jako liga państw chrześcijańskich, o której jego poprzednicy myśleli, starał się

---

[1] W. Zakrzewski, „Stefan Batory“, 132. – Pierling l. c. 305.

[2] Roczny zasiłek pieniężny, jaki papież królowi obiecywał, wynosić miał 600.000 flor. Według relacyi kard. Gaëtani. „Zbiór pam. Niemc.“ II, 254, 278.

[3] Huber, *Geschichte Oesterreichs,* IV, 366.

też o nią, mimo że nie było potemu takich warunków jak za Grzegorza XIII. i Sykstusa V.

Pomijając już brak takiego czynnika, jakim mógł być w lidze król Stefan, niewiele mógł papież liczyć i na pomoc Hiszpanii, bo po rozbiciu wielkiej armady, gdy nadto nowa flota, którą król Filip do Irlandyi chciał wysłać, rozbiła się r. 1594, akcya wojenna Hiszpanii na morzu była niemożebna, skoro królowi zabrakło okrętów do ochrony własnych wybrzeży przed korsarzami. Miał wprawdzie Filip najlepszą jeszcze i najliczniejszą w Europie armię lądową, ale tej nie mógł ściągać przeciw Turkom, jeżeli nie chciał ogołocić własnych posiadłości. Co najwięcej mógł liczyć Klemens VIII. na pieniężne zasiłki od króla Filipa, bo już przedtem król takie zasiłki cesarzowi przesyłał, chociaż nie przychodziło mu to łatwo, gdyż finanse hiszpańskie zwłaszcza pod koniec rządów Filipa II. były w stanie opłakanym, a po pierwszem bankructwie 1575 roku nastąpiło drugie w r. 1596.

Gdy Klemens VIII. o lidze zamyślał, król Filip już prawie ostatkami gonił, a czynnego udziału w wojnie tureckiej tem bardziej wziąć nie mógł, że od stycznia 1595 r. przyszło do formalnej wojny z królem francuskim Henrykiem IV. i że pod koniec rządów musiał się Filip starać o pokończenie wojen rozpoczętych, by słabemu swemu następcy ułatwić panowanie [1].

Wobec trudnego położenia Filipa II., nie można więc było liczyć na jego pomoc, mimo to jednak Klemens VIII. próbował coś od Hiszpanii uzyskać, starał się mianowicie doprowadzić do pokoju między Hiszpanią a Henrykiem IV.; ale król francuski nie dawał posłuchu staraniom papieża, o przystąpieniu wraz z Hiszpanią do ligi ani myślał, owszem przeszkadzał dojściu ligi ogólnej, podburzał książąt protestanckich w Niemczech, żeby nie dawali podatków na wojnę, a przez swego ambasadora w Stambule podżegał Portę do dalszej wojny z cesarzem, zawiadamiał ją o zamiarach papieża i Rudolfa, a gdy później wskutek wyprawy Zamojskiego na Mołdawię przyszło

[1] Philippson, *Geschichte der neueren Zeit.* 462. Berlin 1886.

do zatargu między cesarzem a Polską, radził wielkiemu wezyrowi na Siedmiogród uderzyć, i wyzyskać zatarg na swoją korzyść [1].

Gdyby się inne państwa na ligę zgodziły, a wojna z Turcyą wzięła pomyślny obrót, byłaby może i Wenecya do niej przystąpiła, bo w zasadzie nie była ona przeciwną lidze, zwłaszcza wspólnej akcyi z Polską, z którą niełatwo mogło przyjść do konfliktu, skoro zbyt daleko była od Wenecyi odległa, by sfery interesów obu państw mogły się poplątać. Może nawet myślała o tem bardziej seryo, bo do Zygmunta III. wysłał doża poselstwo z powinszowaniem małżeństwa w r. 1592 i dla wybadania, jakie siły mogłaby Polska na wojnę wystawić — lecz sama Wenecya bez Hiszpanii nie mogła się przeciw Turcyi podnieść.

Z państw zachodnich mógł liczyć papież co najwięcej na pomoc niektórych książąt włoskich i nakłonił też do posiłków wielkiego księcia Toskanii, Ferdynanda, i księcia Mantui [2], ale pomoc to była zbyt mała, by wpłynąć mogła decydująco na przebieg wojny. Jeżeli przeto papież chciał ligę zorganizować, należało mu zwrócić się ku państwom wschodnim, które jako bliżej Turcyi leżące, bardziej jak państwa zachodnie były interesowane przebiegiem wojny między cesarzem a Turcyą. O tem też pomyślał Klemens VIII., dążąc do utworzenia rodzaju trójprzymierza między cesarzem, Polską i Moskwą.

Przygotowaniem do takiej ligi miało być powstanie Mołdawii, Wołoszczyzny i Siedmiogrodu przeciw Turcyi, i od tego też począł papież zabiegi dyplomatyczne.

Stosunki krajów tych znał dosyć dobrze ks. Aleksander Kumulowicz (Dalmatyniec), bo wyznaczony przez Grzegorza XIII. na wizytatora apostolskiego dla katolików pod rządem tureckim, bawił tam przez 3 lata, i miał sposobność zaznajomić się dokładnie z położeniem tamtejszej ludności i stosunkami [3]. Jego też wyznaczył Klemens VIII. do wywołania powstania obu ho-

---

[1] Hurmuzaki, *Suplementul* I, 116—117. Listy Henryka do ambasadora w Stambule 10/12 1595, 5/2 1596.

[2] Albèri, „Relacya Piotra Dudo", S. I, t. IV, 237.

[3] Sprawozdanie w Hurm. *Documente privitòre la istoria Românilor.* III, r. 13.

spodarstw i Siedmiogrodu przeciw Turcyi i w listopadzie 1593 r. wysłał go w tamte strony [1]. Misya ta nie przedstawiała wielkich trudności, bo i w Siedmiogrodzie i w hospodarstwach była skłonność do oderwania się od Turcyi.

Książe siedmiogrodzki Zygmunt Batory jeszcze przed przybyciem Kumulowicza myślał o wojnie z Turcyą, i wysłał nawet w tej sprawie posłańca do Rzymu [2] — nie potrzebował go więc Kumulowicz wiele nakłaniać do zerwania z Portą. Trudność leżała tylko w tem, że wielu panów siedmiogrodzkich, a na ich czele Baltazar i Stefan Batory, nie chciało zrywać z Portą i łączyć się z cesarzem. Zygmunt zastraszony opozycyą i pogłoskami o spisku na jego życie, gotów był opuścić Siedmiogród na rzecz Baltazara, ale odwołany z drogi przez stany siedmiogrodzkie, wrócił, potracił podstępnie naczelników opozycyi a między nimi i Baltazara Batorego i wtedy dopiero za zgodą sejmu począł się układać z cesarzem o przymierze. Ostateczny układ stanął dopiero w końcu stycznia 1595 r., przez co za poddanie się cesarzowi Zygmunt otrzymał tytuł księcia Rzeszy, dziedziczność w Siedmiogrodzie i połączonych krajach, a za żonę Maryę Krystynę, córkę zmarłego arcyksięcia Karola [3].

Zanim ten układ przyszedł do skutku, pozyskał Kumulowicz i ajent cesarza Jan Marini [4], hospodara mołdawskiego Arona do ligi w połowie sierpnia 1594 r. [5] Mołdawia, wedle brzmienia tego traktatu, została wcielona do imperyum rzymskiego a hospodar za zerwanie z Turcyą otrzymał obietnicę pomocy cesarza i zapewnienie jakiegoś opatrzenia w ziemiach cesarskich, gdyby go Turcy z Mołdawii wyparli.

Trzy miesiące później przystąpił do związku także hospodar multański Michał. Bitny, awanturniczy a uciskany przez wierzycieli tureckich, którzy zagarnęli wszystkie dochody Wołoszczyzny, by ściągnąć pieniądze, jakie dali Michałowi na kupno

[1] Instrukcya. Hurm. III, 178.
[2] Pierling, 332.
[3] Huber IV, 386.
[4] Instrukcya. Hurm. III, 1, 189.
[5] Hurm. III, 193.

hospodarstwa u Porty, skoro tylko posłyszał, że się formuje związek przeciw Turcyi, sam się zgłosił do ks. siedmiogrodzkiego i w początku listopada 1594 r. uznał się jego lennikiem, za co miał dostać pomoc i ochronę przeciw Turkom [1].

Po układzie księcia Zygmunta z cesarzem, stosunek hospodarstw do Siedmiogrodu o tyle się zmienił, że i Michał i hospodar mołdawski zeszli do stanowiska namiestników ks. Zygmunta, musieli wszystkie rozporządzenia wydawać w imieniu Zygmunta Batorego, sami nie mogli zawierać jakichkolwiek układów, a nawet w sprawie podatków musieli się zastosować do uchwał sejmu siedmiogrodzkiego, w którym miało zasiadać 12 bojarów multańskich i tyluż z Mołdawii [2].

Odpadnięcie hospodarów od Turcyi, a zwłaszcza powstanie Michała przeciw Porcie, było wielką korzyścią dla cesarza, bo Michał zaraz po zawarciu układu z księciem siedmiogrodzkim uderzył na tureckie zamki w Multanach, zdobył twierdzę naddunajską Giurgiu, rozbił 40.000 armię wysłaną do Multan, a w marcu 1595 r. poszedł za Dunaj, rozbił wojsko Hassana baszy, roznosząc postrach i pożogę po tureckich prowincyach [3]. Ponieważ w tym czasie także twierdze tureckie w Mołdawii ucierpiały wiele od szturmów kozackich i wołoskich, musiała Porta zwrócić się całą siłą przeciw hospodarom, bo powstanie w ziemiach naddunajskich bardzo utrudniało wojnę węgierską.

Zanim do tego przyszło starał się cesarz przez swoich ajentów, a Klemens VIII. przez Kumulowicza, poruszyć kozaków niżowych do napadu na tureckie posiadłości i do zastąpienia drogi Tatarom, by tym sposobem zatamować hordzie przejście do Węgier; ale te starania nie poszły tak gładko, jak oderwanie hospodarów od Porty, a prowadzone bez wiedzy króla Zygmunta III. podkopywały tem samem sprawę ligi z Polską, i wraz z gospodarką ks. Batorego w Mołdawii, do której i Rzeczpospolita rościła pretensye, prowadziły raczej do zatargów sąsiedzkich, jak do połączenia się przeciw Porcie.

---

[1] Hurm. III, 210.

[2] Układ z Michałem 20/5 1595. Hurm. III, 478.

[3] Xénopol, *Histoire des Roumains, Paris* 1896 I, 348.

Już jesienią 1593 r. starał się cesarz pozyskać kozaków i to przez niektórych panów polskich, zwłaszcza przez krakowskiego kasztelana, Janusza ks. Ostrogskiego, który obiecywał Niżowcom po 20 zł. rocznego żołdu, jeżeli wejdą w cesarską służbę [1]. W początku roku 1594 posłował w tej sprawie wysłany przez cesarza Chłopicki, podobno były komornik króla Stefana, który się przedstawił cesarzowi jako ataman Niżowców, obiecał przyprowadzić na wojnę 8 do 10.000 kozaków i złożywszy przysięgę wierności cesarzowi, powiózł na Niż cesarską chorągiew i srebrne trąbki dla kozaków [2]. Chłopicki miał zapowiedzieć kozakom przybycie osobnego posła cesarskiego, który miał zawrzeć formalną ugodę z Niżowcami. Posłem tym był Eryk Lassota, który wysługiwał się dworowi austryackiemu podczas ostatniej elekcyi w Polsce, a po uwięzieniu Maksymiliana w Krasnym Stawie służył mu za ajenta i obznajomił się ze stosunkami polskimi. Teraz wysłał go cesarz w porozumieniu z Maksymilianem do Niżowców, żeby nakłonił kozaków do zastąpienia drogi Tatarom i najazdu na tureckie zamki na Wołoszczyznie. Dla kozactwa niżowego, pochopnego do łupieskich wypraw i rozburzonego niedawno buntem Kosińskiego, musiały się stać wezwania cesarza nową podnietą do najazdów, a w niemałym stopniu przyczyniły się do buntu Łobody i Nalewajki. To też już w początku marca 1594 r. wrzało między kozaczyzną, a Żółkiewski donosił Zamojskiemu, że ludność po wsiach i miasteczkach zbroi się, gotuje spisy, i że Chłopicki rozsyła listy do kozaków i układa się z ich wysłańcami [3].

Agitacyi tej nie mógł Żółkiewski przeszkodzić, bo trudno było ścigać Chłopickiego po stepach, słał więc tylko listy od siebie i Zamojskiego z upomnieniem, ale to oczywiście nie powstrzymało werbunku, zwłaszcza że niektórzy ze starostów kresowych, szczególnie wojewoda bracławski Janusz Zbaraski, sprak-

---

[1] B. Wereszczyński do Zamojskiego 4/10 93. „Listy Żółkiewskiego“ Kraków 1868. Str. 32.

[2] *Tagebuch des Erik Lassota von Steblau.* Halle 1866. Str. 216.

[3] „Listy Żółkiewskiego“, str. 46. 21/3 94.

tykowany przez cesarza [1], patrzyli na wszystko przez palce i nie przeszkadzali robocie. To też już od końca 1593 r. kozacy raz po raz ruszają na wyprawy; w grudniu palą miasto Jurgiew i okolice na mil kilkanaście; w kwietniu 1594 r. puszczają się czajkami pod Białogród, palą, rabują i wycinają kilka tysięcy Turków a w czerwcu dwutysiączna wataha Nalewajki pustoszy okolice Tehiny, pali Preszkany i grabi wsie okoliczne [2].

Najazdy te przedsiębrali kozacy w widokach cesarza, ale jeszcze nie byli formalnie w cesarskiej służbie. O to miał się starać dopiero Lassota, który w czerwcu był już na Niżu, ale układać się nie mógł, bo ówczesny ataman Niżowców Mikoszyński był na wyprawie u ujść Dniepru, gdzie chciał przeszkodzić przeprawie hordy. Dopiero, gdy Tatarzy przeprawili się przez Dniepr na galerach tureckich i poszli na Węgry, wrócił Mikoszyński na Sicz układać się z Lassotą.

Lassota chciał, żeby kozaczyzna połączyła się teraz z hospodarem Aronem i poszła nad Dunaj na tureckie zamki, ale propozycye te chociaż podobały się czerni [3], nie trafiały do przekonania atamana i assaułów, bo Lassota przychodząc z wezwaniem kozaków do cesarskiej służby, nie przyniósł żadnej zapowiedzi żołdu, a upominek 8.000 talarów, jakie miał ze sobą, nie wystarczał kozakom. Po dłuższych umowach i targach stanęło na tem, że ataman „wolnego zaporoskiego ludu“ postanowił wysłać do cesarza posłów dla ułożenia się o żołd, „rycerskiem słowem“ zaręczył, że lud zaporozki zrobi to, na co się jego posłańcy z cesarzem ugodzą i co najmniej w liczbie 6.000 wejdzie w cesarską służbę, ale na razie nad Dunaj nie pójdą, bo mają mało koni i nie wierzą hospodarowi. Obiecali natomiast pójść na Perekop i łupić pogranicza tureckie i tatarskie, dopóki odpowiedź od cesarza nie nadejdzie [4]. Lassota zostawił więc 8.000 talarów na Niżu, by zyskać kozaków dla domu cesarskiego na wypadek

---

[1] Radolf do Janusza. Reussner *Epist. Turcic. libri*, 72. Żółkiewski l. c. 49, 14/4 94.

[2] Lubieński, *Comment.* 12. Żółkiewski 52. Lassota 216. Nalewajko do króla. Plater, Zb. Pam. II, 215.

[3] *Tagebuch* 212. [4] *Tagebuch* 222.

zmian w Polsce, jakich się Maksymilian spodziewał (król Zygmunt bawił wtedy jeszcze w Szwecyi) i wrócił z posłańcami Zaporożców do cesarza.

Jaki był rezultat poselstwa do Pragi nie wiadomo. Cesarz bowiem sam sprawy z kozackimi *posłańcami nie załatwił*, ale odesłał ich na Węgry, gdzie się mieli ułożyć o żołd i służbę z jenerałem Teuffenbachem, czy jednak zawarto w końcu jaką umowę, czy odesłano kozaków do Arona, z którym miał ich Marini pogodzić — nie wiadomo. To wszakże pewna, że do ogólnej ruchawki kozaków przeciw Turkom nie przyszło, i to nie tyle wskutek zakazu Zamojskiego, jak donosił Marini cesarzowi, ile dla braku pieniędzy, których ani hospodar, ani cesarz im nie posłał, jak Mikoszyński utrzymywał [1].

Ostatecznie „praktyki" te z kozakami nie przyniosły cesarzowi żadnej korzyści — oburzyły tylko i tak już niezbyt życzliwe dla cesarza umysły w Polsce, i dały okazyę do podejrzeń, że cesarz chce w *ten sposób* wplątać Rzeczpospolitą do wojny z Turcyą lub że Maksymilian dąży do buntu kozaków przeciw królowi, by tą drogą koronę zyskać.

Na razie werbunki te przyniosły nawet szkodę samemu cesarzowi, bo odbiły się dotkliwie na jego sprzymierzeńcu Aronie. Tak np. wkrótce po przejściu Tatarów na Węgry, poszedł Nalewajko ze swoją watahą za Dniestr, gdzie spalił wprawdzie turecką Tehinę — ale puścił także z dymem około 500 wsi, jak się później chwalił przed królem [2], a między niemi wiele wsi wołoskich. Aron, wówczas już cesarski sprzymierzeniec, dopadł go wraz z Turkami nad Dniestrem, odbił brańców i sporo kozaków ubił, ale tem ściągnął na siebie odwet watażki, który już w listopadzie, tym razem z Łobodą i 12.000 ludzi pod cesarskiemi chorągwiami, wrócił do Mołdawii, spalił Jassy i Suczawę, pobił w kilku potyczkach hospodara, wyparł go do Multan, poczem uprowadził działa, kilkanaście tysięcy wołów, za-

[1] Hurm. III, 1, 200. Raport Mariniego.
[2] Plater II, 215.

brał skarb hospodarski i uszedł ze zdobyczą do Baru [1]. Dopiero później, gdy Żółkiewski z wojskiem kwarcianem i posiłki woluntaryuszy naparły na kozaków, Łoboda i Nalewajko pojednał się z Aronem a część Niżowców poczęła szturmować na wiosnę 1595 r. razem z hospodarem tureckie zamki [2]. Dywersya ta jednak nie oddziałała na przebieg wojny tureckiej, a Polakom dała okazyę do skarg i wyrzutów przeciw cesarzowi Rudolfowi, gdy się zwrócił do stanów z propozycyą ligi.

Także i Kumulowicz nic od kozaków nie zyskał. Nie mogąc bezpośrednio nigdzie z nimi się zetknąć, starał się ubocznie przez ks. Konstantego Ostrogskiego wywołać ruch kozacki przeciw Turkom, ale książe zbył go obietnicami [3], a arcybiskup lwowski Solikowski, do którego miał się udać po informacye w tym względzie, nie mógł mu w niczem dopomódz. Po przejściu Tatarów przez Pokucie, udało się dopiero Kumulowiczowi nakłonić Mikołaja Jazłowieckiego, starostę śniatyńskiego, do organizowania wyprawy na Tatarów, by wywołać korzystną dywersyę dla wojny w Węgrzech. Za 12.000 flor. na werbunek kozaków podjął się Jazłowiecki tego zadania i wystawił dokument (30 sierpnia 1594 r.), na mocy którego zobowiązywał się w przeciągu trzech miesięcy pójść albo na Krym, albo czekać na powrót hordy z Węgier, a jeżeliby mu papież zechciał dostarczać stałych zasiłków pieniężnych, czuwać bez przerwy nad Dnieprem i pilnować hordy [4].

Na wyprawę tę zamierzał użyć Jazłowiecki kozaków i posiłków księcia Zygmunta Batorego z posiłkami mołdawskiego hospodara; zyskał nawet ubocznie zezwolenie Zamojskiego na to przedsięwzięcie [5], ale cały ten plan spełzł na niczem. Jazłowiecki zebrał wprawdzie kilkaset jazdy i ruszył w stronę Białogrodu, gdzie się Niżowcy mieli z nim połączyć, ale zamiast wzrastać w siły, tracił po drodze ludzi, którzy gromadnie ucie-

[1] Hurm. III. 1. 222 (z depesz Fuggera).
[2] Aron do Zygm. Bat. Reussner 123.
[3] Pierling 345.
[4] Pierling 347.
[5] Heidenst. 307.

kali z noclegów, tak że w końcu zostało mu tylko 80 jeźdźców, i z tymi musiał czemprędzej uciekać z pod Białogrodu, z obawy by go czambuły nie otoczyły [1]. Niżowcy zamiast pójść na Krym, woleli łupić Mołdawię, jak to już wspomnieliśmy.

Bardzo nieznaczny rezultat przyniosły także zabiegi o to, by uzyskać pomoc moskiewską przeciw Turkom. W roku 1588, zatem na kilka lat przed wznowieniem wojny cesarza z Turkami, zgłosił się sam car Fieodor w tej sprawie do Pragi; donosił mianowicie, że Persya prosi o posiłki przeciw Turkom, i że car gotów na tę wojnę jakiejś pomocy udzielić [2]. Cesarza Rudolfa mało to wtedy obchodziło, ale że posłaniec carski donosił od siebie o tajnym jakimś testamencie Iwana Groźnego, który podobno któregoś z habsburgskich arcyksiążąt następcą w Moskwie miał wyznaczyć, wysyłał cesarz Rudolf kilkakroć posłów do Moskwy dla wybadania, czy pogłoski te mają jaką podstawę, a po wznowieniu wojny z Turkami, prosił przy tej sposobności o pomoc. Mikołaj Warkocz, który te poselstwa odbywał, nie mógł się wywiedzieć o testamencie Iwana, ale przywoził relacye o sympatyach moskiewskich do arcyksięcia Maksymiliana, a w sprawie wojny tureckiej obietnice znacznych pieniężnych zasiłków od cara, oraz życzenia, żeby w sprawie ligi odbył się w Moskwie zjazd posła cesarskiego, papieskiego i hiszpańskiego. Do zjazdu takiego nie przyszło, bo król Filip do ligi nie mógł przystąpić, ale w roku 1594 pojechał do Moskwy z posłem cesarskim ks. Kumulowicz, żeby nakłonić cara do poruszenia Persów i Georgian przeciw Turkom i do udziału w lidze, za co obiecywano mu tytuł cesarza, a w razie zwycięstwa nad Turkami Konstantynopol [3].

Tym razem przysłał Fieodor cesarzowi sto wozów kosztownych futer w podarunku i obietnicę znacznych zasiłków pieniężnych, gdy liga dojdzie do skutku; ale gdy w roku 1597 wysłał cesarz nowe poselstwo po obiecane pieniądze, ani poseł

[1] Bielski, Dalszy ciąg kroniki 1714, wyd. Turowskiego.

[2] J. Fiedler, *Beziehung Oesterreichs zu Russland in den Jahr. 1584—98.* Wien 1866.

[3] Pierling 353.

cesarski, ani ks. Kumulowicz, który także wtedy był w Moskwie, nic nie zyskali prócz gołosłownych obietnic.

Moskwa po odnowieniu pokoju z sułtanem 1593 roku, przygotowywała zwolna drogę do przyszłych zaborów przez fortyfikacye nad Donem i Terekiem, do wojen z Turcyą przygotowywała systematycznie teren, ale na razie nie myślała o zerwaniu z Portą, a chociaż przesyłała obietnice do Pragi, to równocześnie posłańcy moskiewscy donosili sułtanowi o przyjaźni cara, który stanowczo się sprzeciwiać miał namowom papieża i cesarza, zachęcającym go do wojny.

Inny rezultat mogły przynieść starania około wciągnięcia Polski do ligi antitureckiej, gdyby na tronie cesarskim siedział wtedy kto inny. W Polsce bowiem po śmierci Stefana Batorego, nastąpił korzystny zwrot dla sprawy ligi, może po części pod wpływem szerokich planów akcyi antiotomańskiej zmarłego króla, głównie jednak wskutek nieprzyjaznych kroków Turcyi względem Rzeczypospolitej.

Porta podczas bezkrólewia po królu Stefanie starała się wywrzeć pewien wpływ na elekcyę i popierała kandydaturę Zygmunta przeciw arcyksięciu Maksymilianowi, a nawet gotowa była do czynnej interwencyi, byle tylko Maksymiliana nie dopuścić do korony, z obawy przed połączeniem się Polski z cesarzem przeciw Turcyi [1]. Później jednakże, gdy Zygmunt III. wszedł w ściślejsze stosunki z domem cesarskim, i zamyślał ustąpić z Polski na rzecz arcyksięcia Ernesta, początkowa życzliwość Porty dla króla zamieniła się w nieprzyjaźń, a ta wraz z najazdami kozaków, sprowadziła na Polskę poważne niebezpieczeństwo tureckiej wojny. Zapowiedzią jej był napad tatarski w sierpniu 1589 roku, podjęty na rozkaz ówczesnego wielkiego wezyra Sinana-baszy. Horda zapędziła się wtedy pod Lwów, spustoszyła ruskie ziemie, i uprowadziła kilkadziesiąt tysięcy brańców, że jednak han tatarski nie poczekał na Turków, którzy wtedy pod Beglerbegiem Idir-baszą zdążali ku Dniestrowi,

[1] „Stosunki polsko-tureckie w pierwszych latach Zygm. III." *Przegl. Powsz.* t. LV, str. 99, 219.

i że w ostatniej chwili udało się Zamojskiemu zebrać jakie takie siły do powstrzymania wroga — wyprawa turecka w tym roku skończyła się na spaleniu Śniatyna i wsi okolicznych.

Poselstwo wysłane wtedy do Porty doznało tam jak najgorszego przyjęcia, a sułtan w odpowiedzi na propozycye pokojowe przesłał królowi wypowiedzenie wojny, jeżeli w ciągu dwóch miesięcy nie zgodzą się Polacy na roczny haracz lub na islam [1].

Sejm warszawski z 1590 r. pod grozą wojny tureckiej okazał niesłychaną prawie przedtem ofiarność, bo oprócz podwyższenia zwykłych podatków, uchwalił generalne pogłówne na przygotowania wojenne, a oprócz pospolitego ruszenia uchwalił zaciąg 100.000 żołnierzy, żeby odeprzeć niebezpieczeństwo tureckie. Ofiarność to była — co prawda — chwilowa, a sejm następny zniósł pobory i zaciągi jak i inne uchwały o przygotowaniach wojennych, ale została pamięć niebezpieczeństwa tureckiego i przeświadczenie, że na przyjaźni tureckiej polegać nie można.

Na razie niebezpieczeństwo wojny minęło, bo Murad III. za interwencyą angielskiego posła i wezyrów, nie tak wojowniczo usposobionych jak Sinan-basza, zgodził się na odnowienie paktów z Polską i zażądał jedynie odszkodowania za kozackie łupiestwa, ale już po trzech latach nowa klęska spadła na Polskę ze strony tureckiej.

Gdy król w roku 1593 do Szwecyi wyjechał, a w kraju nie było więcej jak 2000 służebnej jazdy dla obrony kresów, bo sejm się spuścił na zapewnienie Porty, że podczas nieobecności króla żadne niebezpieczeństwo nie zagrozi od Turków i Tatarów, han perekopski Kazi-gerej wezwany przez sułtana na Węgry, zamiast pójść przez Multany, jak dla uspokojenia Polski rozgłoszono, wybrał drogę przez Pokucie, (w lipcu 1594) spalił i złupił cały szeroki pas kraju od Śniatyna po Sambor, i uszedł

[1] J. Januszowski, „Statuta prawne". Kraków 1600. Uniwersał króla, str. 347.

na Węgry, zanim Zamojski mógł zebrać ludzi zbrojnych i drogę mu zastąpić [1].

Klęska ta przekonać mogła raz jeszcze Polaków, że same „listy przymierne“ od sułtana, nie zastąpią braku twierdz i wojska, wywołała też wielkie rozgoryczenie w Rzeczypospolitej, a wraz z niedawnem jeszcze niebezpieczeństwem wojny tureckiej przygotowała podatny grunt do rokowań o ligę. Zwrot w dotychczasowem usposobieniu ogółu dla Turcyi, objawił się także w całym szeregu politycznych broszur, zachęcających do podjęcia wojny z Osmanami. Dawniej tylko Orzechowski w Turcikach do wojny zachęcał, teraz pod wpływem ostatnich zajść i wezwań papieża do ligi, piszą o kwestyi tureckiej nietylko stronnicy domu cesarskiego w Polsce, ale i wielu ze strony przeciwnej cesarzowi.

Broszury pisane w interesie cesarza, jak Wilhelma Brussiusa *De bello adversus Turcas* (1595) a zwłaszcza Turcyki Warszewickiego (1593, 1595) przesadną retoryką i zbyt widoczną tendencyą, zapewne nie wielu przekonywały. Przesadą grzeszy także „Gwałt na pogany“ Paprockiego (1595), bo bardzo przecenia siły wojenne Polski, (zbrojnego ludu polskiego liczbę podaje na przeszło dwa miliony) chociaż z drugiej strony wskazuje na potrzebę uprzątnięcia Tatarów, przez których sułtan „jak przez harty swe“ tyle szkód Polsce wyrządza, i wskazuje na łatwość zajęcia Mołdawii powołując się na skutek dotychczasowych luźnych wypraw za Dniestr.

Z przekonania i z zapałem nawoływał do wojny biskup Wereszczyński w „Excytarzu“ (1592), „Pobudkach“ (1594, 1598) i we „Wotum posłom na sejm warszawski“ (1596), gdzie popularyzuje plany Stefana Batorego, albo przerabia je po swojemu, i podaje różne sposoby obrony przed Turkiem [2].

---

[1] Zamojski, *De Transitu Tartarorum per Pocutiam ad cardinalem Aldobrandinum epistula.*

[2] Zapalony sam do wojny kresowy biskup, dawniej już wzywał papieża i cesarza do nawiązania ligi, a we wrześniu 1593 r. posłał wysłańca do cara Fieodora w tej sprawie z listem, „duchem pańskim napisanym“, jak się przed Zamojskim zwierzał. (Listy Żółkiewskiego p. 30).

Niebezpieczeństwo od Turcyi omawia gruntownie ks. Piotr Grabowski w „Zdaniu syna koronnego“, gdzie dowodzi, że pokój z Turkami nie może długo potrwać, mimo że trzeba go opłacać corocznym prawie jassyrem i podatkami dla hana tatarskiego. Turek jest coraz zuchwalszy, zamków na granicy nie pozwala stawiać, żeby miał drogę do Polski otwartą i już nawet o haracz przymawiać się poczyna. Potrzeba więc skorzystać ze sposobności do wspólnej wojny, zwłaszcza że Klemens VIII. jest tak życzliwy dla Polaków, i inne państwa pomoc ofiarują, a w zwycięskiej wojnie może Polska zdobyć dla siebie Krym i ujście Dunaju.

Kwestyę wojny tureckiej omawiał wtedy Dom. Mora w broszurze *Sitne Turcis bellum inferendum*, Wilno 1595, i zachęcał do niej bezimienny autor J. S. w pisemku „Otucha na pogany potentatom chrześcijańskim“ Kraków 1594, a wszystkie te broszury, jako wyraz opinii ówczesnej w Polsce, świadczą dosyć wymownie, że nie brakło wtedy ochoty do wojny u wielu, i że starania o ligę przynajmniej z tej strony nie napotykały na większe trudności.

Natomiast ówczesny stosunek cesarza do Polski nie rokował wielkiego powodzenia sprawie ligi, a że wobec biernego zachowania się państw innych traktaty o ligę przybierały raczej charakter traktatów o przymierze Polski z cesarzem, naprężenie stosunków między Polską a domem cesarskim musiało tem dotkliwiej odbijać się na całym przebiegu rokowań. Cesarz Rudolf, któremu głównie zależało na polskiej pomocy, nie potrafił sprawą traktatów należycie pokierować i raczej przymnażał trudności zamiast je usuwać. Od kilku lat chory nietylko fizycznie ale i umysłowo po części, stronił coraz więcej od ludzi, czas spędzał w laboratoryum przy tyglach, albo malował i rozbierał zegarki, jeżeli nie przesiadywał w ujeżdżalni [1].

W sprawach państwowych coraz trudniej decydował się na coś stanowczego, a zazdrosny bardzo o swoją powagę, nie pozwalał ministrom niczego bez siebie załatwić, wskutek czego

[1] Huber, *Geschichte Oesterreichs*, IV, 359.

sprawy nieraz bardzo ważne leżały całemi miesiącami niezałatwione. Posłów obcych cesarz albo niechętnie albo wcale nie przyjmował, tak że nieraz po całych tygodniach wyczekiwać na posłuchanie musieli i z niczem odjeżdżać z Pragi, jeżeli nie chcieli sprawy załatwić przez lokajów i służących. Otóż to usposobienie cesarza było niemałą przeszkodą dla rokowań o sprawę dla Polski tak ważną, jaką było stanowcze zerwanie z dotychczasową pokojową polityką względem Turcyi, bo cesarz nie miał inicyatywy ani potrzebnej energii, żeby sprawę pokierować i trudności zmniejszać albo usuwać.

Innym szkopułem, o który sprawa ligi mogła się rozbić, był niejasny i podejrzany stosunek arcyksięcia Maksymiliana do Polski. Arcyksiąże wypuszczony z Krasnego Stawu, gdy się poczuł wolnym, odmówił przysięgi na ugodę będzińską i przez szereg lat nie chciał złożyć tytułu króla polskiego. Wykluczony na sejmie 1590 r. na zawsze od korony, nie zrzekł się myśli powrotu do Polski, bo płatni ajenci przedstawiali mu w przesadnych barwach sympatye, jakie w Polsce miano do niego żywić, a mgliste nadzieje sukcesyi w Moskwie, podsycane przez Borysa Godunowa, byle nie składał tytułu króla polskiego, utwierdzały go jeszcze w uporze [1]. Lada okazya wystarczała arcyksięciu do ożywienia nadziei, że przecież koronę polską zyska, a jego adherenci w Polsce, mimo konstytucyi z 1593 r.[2], uznającej za zdrajców ojczyzny tych, „coby z kimkolwiek około panowania czyjegokolwiek i posadzenia na stolicy“ porozumiewali się, nie zaprzestawali „praktyk“, którym zresztą wyjazd Zygmunta III. do Szwecyi otwierał pole.

Według relacyi nuncyusza Malaspiny [3], prymas Karnkowski, uważany wtedy za głowę Maksymilianistów, gotów był uznać Maksymiliana, gdyby pobyt króla w Szwecyi się przeciągał, podczas gdy sam arcyksiąże przez cesarskiego posła do Moskwy,

---

[1] J. Hirn, *Die Renuntiation des Deutschmeisters Maximilian auf Polen.* (*Mitth. d. Inst. f. oester. Gesch.* IV Ergänzungsband. Wien 1893).

[2] *Vol. leg.* II, 1396.

[3] Dep. 22 sierp. 1594. Teka Rz. 52.

starał się o poparcie cara, a przez Lassotę jednał sobie Niżowców, na wypadek zmian w Polsce [1].

Zamysły te nie mogły ujść uwagi kanclerza Zamojskiego, podejrzywanego, że z pomocą turecką dąży także do jakichś przewrotów w Polsce [2], a chociaż powrót króla udaremnił plany przewrotu — jeżeli istotnie noszono się z niemi — to jednak antagonizmy wrogich sobie partyj nie ucichły, a wzajemne podejrzenia w wysokim stopniu utrudniały porozumienie w sprawie ligi.

Na razie wytworzyła się z nich dziwna komplikacya, która mogła nawet być korzystną dla rokowań o ligę, bo gdy Maksymilianiści opierali się projektowanemu przymierzu z obawy, żeby Zamojski na czele silnego wojska nie udaremnił zamysłów arcyksięcia, a Maksymilian nie był zmuszony złożyć królewskiego tytułu dla ułatwienia przymierza Polski z cesarzem — to natomiast Zamojski, podejrzywany przez dwór cesarski, że gdzie może, szkodzi interesom cesarza, i że umyślnie dlatego przepuścił Tatarów przez Polskę [3], od początku oświadcza się za wojną z Turkami i nawet za ligą z cesarzem [4], w nadziei, że ta wojna może przynieść Polsce korzyści i da sposobność do przeprowadzenia czegoś z planów króla Stefana.

(C. d. n.)

Ks. Józef Sas.

---

[1] *Tagebuch* 219.
[2] Malasp. 15 paźdz., 12 listop. 1594. Teka 52.
[3] Rel. wen. z Pragi, Hurm. III, r. 47.
[4] Malasp. 6 kwietnia 1594.

Z CAPRI.

Dziwne to miasto Neapol! Zbytek i elegancya zachodnio-europejska trącają się łokciami z ludowym włoskim żywiołem, i te dwa odmienne światy sąsiadują ze sobą, znoszą się nawzajem zgodnie, jak gdyby miały na celu nadanie miastu swym kontrastem odrębnego znamienia.

Na *Strada di Chiaja*, *Strada di Roma* i paru innych głównych ulicach, wielkomiejskie życie roztacza się przed oczyma cudzoziemca, nie różne od tego, które ożywia inne europejskie stolice.

Szereg wielkich i okazałych sklepów z błyszczącemi wystawami, nad nimi wysokie, nowożytne kamienice, na chodnikach ludzie ubrani według ostatniej mody, a na wązkim szlaku drogi ekwipaże, ze służbą w liberyi, podług angielskich przepisów zaprzężone — oto całość, która nie przedstawia żadnych właściwości ani Włoch, ani dalekiego Południa.

Czasem tylko kwieciarka w stroju ludowym, chłopaczek sprzedający woskowe zapałki i wołający nieustannie *cerini!* lub przejeżdżający powóz fiakra, zaprzężony małym, korsykańskim konikiem, w uprzęży mosiądzem nabijanej, nieco narusza kosmopolityczną jednolitość tego obrazu.

Dopiero jeden krok w boczną uliczkę, to skok do innego świata. Tam już włoski ludowy żywioł panuje wszechwładnie. Taka uliczka, to obrazek artystycznie obmyślany.

Wznosi się w górę, więc jest założona w schody, albo jako

równia pochyła, wąska, wysokiemi domami otoczona, zatopiona w fioletowym półcieniu, wśród którego gdzieniegdzie błyszczą światełka i jaskrawe barwy. Temi światełkami są otwarte ogniska, na których gotuje się strawa w garnkach, na środku ulicy,—jaskrawemi barwami są stosy jarzyn, kwiatów i wiktuałów, warsztaty rzemieślników i przenośne sklepiki przekupniów, między którymi ludzie przechadzają się, jak na targu, gospodarują, jak u siebie w domu, lub pracują spokojnie młotkiem i szydłem, jak w warsztacie. W górze nad tem wszystkiem powiewają różnobarwne festony suszącej się na sznurach bielizny, które rzucają naprzemian ciemne płaty cieniu lub jaskrawe i migocące promienie słońca. W każdej uliczce spotyka się malowniczo rozłożone stada kóz, które się przedostają z pastwiska do tej prymitywnej stajenki, przechodząc po chodnikach głównych ulic. Widać tam często gromadki czarnych, błyszczących krów, karmiących przechodniów swem mlekiem, które właściciel lub właścicielka doi na poczekaniu do szklanki.

Podróżny spacerujący bez celu po chodnikach *Toledo* (tak się nazywała do niedawno *Strada di Roma,* stanowiąca zabytek z czasów panowania Hiszpanów) zagląda po kolei do wystaw sklepowych, i do bocznych, wązkich i ciemnych uliczek, które są dla niego magazynami strojów i zwyczajów ludowych.

Idąc tą główną, gwarną ulicą ku morzu, napotyka się *Villa Nazionale*, ogród nad brzegiem morza położony, z tropikalną wegetacyą, z szeregiem klasycznych posągów, z widokiem na zatokę, ogród, któremu żaden inny na świecie nie dorówna. Piękne panie towarzystwa neapolitańskiego odbywają tam codzienną przejażdżkę, powozem lub konno, a wielkie czarne oczy patrzą z pod długich rzęs na błękit morza, na szczyt Wezuwiusza, zdobny w pióropusz dymu, na siny profil wyspy Capri i na słońcem ozłocony żaglowiec, wpływający majestatycznie do portu. Patrzą i myślą — może o wendecie, może o niezapłaconych rachunkach krawcowej?

Za *Villa Nazionale*, leży nad morzem wybrzeże *Santa Lucia,* prowadzące do neapolitańskiego portu. Jest to jeden z najciekawszych zakątków miasta, gdzie wszystko się łączy i miesza.

Tam stoją wielkie, świetne hotele, tamtędy przejeżdżają ekwipaże, spacerujące we *Villa Nazionale*, tam rozlega się krzyk rybaków sprzedających ryby i ostrygi, kłótnie majtków i zgiełk portu.

Te obrazy i kontrasta, przesunęły się przed naszemi oczami, gdy, przyjechawszy wieczór do Neapolu, wybraliśmy się nazajutrz na morską wycieczkę. Przejechaliśmy przez *Toledo*, przeglądając po drodze ciemne, ludźmi i kozami przeludnione uliczki, minęliśmy *Villa Nazionale*, gdzie kilka powozów i jeźdźców korzystało z świeżości rannego powietrza i podążyliśmy do *Santa Lucia*, skąd miał wyruszyć nasz statek.

Gdyśmy opuścili powóz, chmura ludzi dokoła nas otoczyła. Jedni ofiarowywali czółno do przejazdu na statek, drudzy pomarańcze i kwiaty, inni znowu okulary i grzebienie, zakonnice prosiły o jałmużnę dla ubogich, *vetturini* obiecywali dowieść nas wszędzie powozem.

Znając tego rodzaju ataki, przyjęliśmy je, jak należało, stoicznem milczeniem, odrzucając ofiarowane usługi. Lecz okazało się, że parowiec stał na kotwicy o paręset metrów od brzegu, więc trudno było ukarać natrętów, obchodząc się bez ich pomocy.

Wsiedliśmy zatem do czółna i podczas przeprawy, trwającej zaledwo kilka minut, mieliśmy po drodze czas urozmaicony przedstawieniem. Młody rykak, pozbywszy się sukien, wskoczył do wody i wpław towarzyszył naszej łodzi, zapraszając podróżnych do rzucenia soldów, które wyławiał na dnie morza.

Statek ruszył wprost na Południe, ku Sorrento.

Poranek był niezwykłej piękności. Wiosna w pełnym rozkwicie, w najświetniejsze szaty ozdobiła przystań, słusznie nazwaną „perłą natury“.

Niebo współzawodniczyło z morzem w soczystości błękitu, promienie słońca drgały w powietrzu i na wodzie, zapalając płomyki na żółtych i czerwonych gmachach Neapolu i na okolicznych wioskach W oddali ostre zarysy wybrzeża w Castellamare i Sorrento, oraz fantastyczny profil wyspy Capri narysowały na dalekiem niebie, liliową, zębatą zasłonę. Morze zaledwo dawało znaki życia, lekkim pluskiem fali, która się toczyła, skromna i płaska, przesuwająca się cicho, przytulona do po-

wierzchni wody. Od lądu powiew wiatru zanosił odurzające wonie kwitnących akacyj i jaśminów, mimozy i magnolii, podczas gdy z łodzi rybackiej, drzemiącej w cieniu smukłego białego żagla, dochodziły dźwięki chórem śpiewanej, rybackiej pieśni *Santa Lucia.*

Była to neapolitańska zatoka, zaćmiewająca wszystkie opisy najbujniejszej prozy i najpolotniejszej poezyi, wszystkie twory malarzy-kolorystów, wszystkie wyobraźnią wypielęgnowane obrazy... Cudzoziemiec stojący w niemym podziwie przed tym zakątkiem ziemi, ustrojonym we wszystkie skarby przyrody, doznawał uczucia, jak gdyby odkrył obiecaną a nieznaną krainę, jak gdyby on pierwszy patrzył na te niezwykłe piękności, jak gdyby nikt przedtem i nikt potem nie miał ujrzeć podobnego światła, podobnego koloru i zażyć podobnej woni — zdawało się, że na wybranej ziemi zabłysła wybrana chwila, która zgaśnie, zostawiając tylko żal po sobie. A że po tym statku chodzili ludzie, że na nim pracowali majtkowie, kupcy zachwalali towary, zajęci zarobkiem a nie bezczynnie zapatrzeni w przesuwające się przed nimi widoki, to nam się wydawało i barbarzyństwem i świętokradztwem. Lecz mimo tego, że obcy przybysz z Północy, znalazłszy się tam po raz pierwszy, doznaje złudzenia, jak gdyby dopiero odkrył nieznane skarby naszej płanety i po długiem pasmie niedostatku, zdobył zasoby i nadmiar bogactw, to jednak z tym zbytkiem nie oswoi się zupełnie, i z czasem żałować będzie tego, do czego z natury przywykł. Ten blask słońca, będzie mu z czasem za silny, to niebo zbyt pogodne i jaskrawe, te skały i wybrzeża zbyt dzikie i martwe — i przyjdzie chwila, gdzie zatęskni za naszem bladem słońcem, za łanami zboża, za skromną wioską i za samotną gruszą na rozdrożu. I chętnieby podążył na wiosnę za kluczem żórawi, hen ku Północy, aby dać wypocząć oku po tym ślepiącym korowodzie barw i świateł, wśród naszego smętnego i swojskiego krajobrazu...

Między podróżnymi na pokładzie naszego statku, znalazła się jednak gromadka obcych, spoglądających obojętnie naokół siebie, jak gdyby oko nie miało na czem spocząć wzdłuż drogi naszego parowca. Byli to egzotyczni goście z angielskich Indyj,

młode małżeństwo, z dziesięcioletnią, chorą córeczką. Ubrani przez angielskich krawców, robili wrażenie ludzi należących do londyńskiego towarzystwa, gdyby cerą i rysami twarzy nie zdradzali blizkiego pokrewieństwa ze szczepem Hindusów.

Ugrupowani na górnym pokładzie okrętu, nieruchomi i apatyczni, zdawali się być gromadką wygnańców. Czy im było zimno i ciemno w tej rozkosznej zatoce, po żarzącem podzwrotnikowem niebie, i po barwach palących się na indyjskich morzach, do których przywykli? Czy też może troska o jedyne dziecko odbierała cały urok otoczeniu?

Dziewczynka zwinięta w kłębek, leżała w głębokim fotelu, zatopiona w wielkiej książce, której przez cały czas podróży z rąk nie wypuściła. Bona, strzeżąca każdego jej ruchu, osłaniała ją od słońca, lub okrywała szalem, a dziewczynka podnosiła się tylko od czasu do czasu w fotelu, aby zwrócić ku matce czarne, gazelowate oczy, chorobliwym ogniem płonące, i dzielić się z nią podziwem dla książki! Co mogła ta książka zawierać, co tak zajmowało dziecięcy umysł? Zapewne indyjskie baśnie...

Po godzinnej podróży wynurzyło się przed nami Sorrento. Co za obrazy sama nazwa wywołuje w pamięci! Sorrento! gdzie młode pary chronią się ze swem poślubnem szczęściem, gdzie chorzy szukają zdrowia i życia, malarze przedmiotów do studyów, poeci natchnienia! Ile razy dawniej usłyszałem tę nazwę, tyle razy wyłaniał się przed memi oczami krajobraz wesoły, śmiejący, mieniący się od kwiatów i zieloności; tymczasem to, co zastałem, było zupełnie odmienne od tworów mej wyobraźni, jak się to często zdarza z nieznanemi osobami, których urojony wizerunek nosimy w pamięci, długi czas przed chwilą poznania. Zamiast zatoki, z otwartem wybrzeżem, zastałem strome, skaliste, prostopadle do morza spadające ściany, zamiast palmowych lasów i bujnej roślinności, czerwony, nagi wapień, zamiast rozległych ulic i ogrodów, szereg hoteli uczepionych jak gołębniki do skalistych ścian wynurzających się z morza, z rzędem galeryj i krużganków, po części w kamieniu wykutych.

Lecz mimo tego, że tak bardzo odmienne od oczekiwanego

widoku, Sorrento ujęte w ramy neapolitańskiej zatoki, z kontrastem między czerwonym wapieniem skał i błękitem wody i nieba, z gorącem tchnieniem południa, wydało mi się jednym wspaniałym królewskim balkonem, z którego warto podziwiać piękność świata, gdzie dobrze żyć i źle umierać, gdzie można goręcej kochać, co kochania godne...

Sorrento, zasługujące na nazwę Mekki młodych małżeństw... Jedną taką parę spotkaliśmy, jak wyjeżdżała z zatoki jachtem na morską wycieczkę. Statek wyglądał jak zabaweczka. Drzewo błyszczące, mosiądze, palące się w słońcu, jedwabne żagle rozpięte, jak bezmierne skrzydła, i angielska bandera, wesoło furkająca na wietrze. Dwóch majtków, jeden u steru, drugi przy żaglach, obsługiwało szybko sunący się statek, a para młodych ludzi, o jasnej cerze i jasnych włosach, ubranych w białą flanelę i chroniących się w cieniu czerwonej parasolki, kołysało się na nizkich siedzeniach, miarowem chwianiem jachtu. Trzymali się za ręce, wpatrzeni w cudowny krajobraz, rozmarzonemi oczami, z których przeglądał nadmiar szczęścia, jeżeli chwilowy nastrój szczęściem nazwać można... Sunęli się, jak dwa młode ptaki suną w przestworze, lecąc ku słońcu i nie myśląc, że po jasnej pogodzie przychodzą wichry i burze...

Nasz statek, sprawiwszy się z podróżnymi, którzy w Sorrento wsiedli lub wysiedli, zwrócił się wprost ku wyspie Capri.

Ten potwór skalisty, sterczący z morza, już zdaleka więzi oczy podróżnych śmiałością linii i dzikością pozoru.

Wydaje się być wyspą przeniesioną z norwegskiego fiordu na dalekie południe, groźną i niedostępną, wśród otoczenia jaśniejącego wesołością, a w noc księżycową mógłby bajeczny okręt Holendra zawinąć do jej brzegów, i zapuścić kotwice w cieniu jej wysokich skał. W jednej z tych skalistych ścian, znajduje się „Niebieska grota“, któraby wystarczyła do rozsławienia nazwy wyspy, gdyby ta sukursu potrzebować mogła. Lecz Capri mogłaby darować swą „Niebieską grotę“, a zostałoby jej podostatkiem wdzięków, aby nęcić ludzi z czterech stron świata. Skały prostopadłe, pareset stóp wysokie, wyszarpane

falą morską, otaczają małą zatokę, której woda przy spokojnem morzu, mieni się najsoczystszemi tonami ciemnego błękitu. W jednym zakątku jest mały, niewidoczny otwór, przez który można się dostać do wnętrza groty, dostać na małem czółenku, kładąc się na dnie jego. Tam, wewnątrz groty, woda ma nietylko silnie błękitną barwę, lecz zarazem srebrno-fosforyczny połysk i na powierzchni i w głębi, tak, że każdy przedmiot zanurzony we wodzie, wydaje się być posrebrzanym. Ludzie na czółnach, skalisty strop groty — wszystko jest oblane dziwnem, srebrno-fosforycznem światłem, które nadaje podziemiu pozór fantastycznego szklano-srebrnego pałacu, zaludnionego duchami, których rolę wypełniają dzisiaj podróżni Cooka i poddani innych przedsiębiorców.

Lecz gdy całe towarzystwo z naszego statku zawinęło na trzydziestu czółnach do wnętrza groty i gdy łódki, zawierające najróżnorodniejsze, dziwaczne postacie, zaczęły się roić po zwierciedle wody przy okrzykach wioślarzy i dźwiękach rozmaitych języków, wtedy całe złudzenie pierzchło i „Niebieska grota“ zamiast być podobną do Acheronu, przypominała raczej końcowy obraz wodnej pantominy w cyrku, oświetlony niebieskim, bengalskim ogniem!

Po tych odwiedzinach w podziemiu, wróciliśmy na pokład i wtedy nasz statek zawinął już wprost do północnej zatoki wyspy, zwanej „Marina Grande“. Jest to jedyne miejsce, przydatne do lądowania, o płaskim brzegu, z osadą rybacką, z szeregiem hoteli i morskiemi kąpielami, podczas gdy wieś Capri leży o sto metrów wyżej, na grzbiecie góry, między dwoma wyniosłemi, skalistemi przylądkami, które stromo spadają do morza.

Gdy nasze czółna przybiły do lądu, otoczył nas tłum ludzi wołających i krzyczących, cisnących i potrącających się nawzajem, i można było przypuszczać, że lądujemy w jakim porcie na dalekim wschodzie. Furmani ofiarowywali swoje *vetture* dla spaceru po wyspie, stare, do czarownic podobne kobiety, namawiały krzykliwie do przejażdżki na osłach, których szereg stał w pobliżu, służący hotelowi natrętnie zapraszali, wychwalając

swoje zajazdy, przekupnie wciskali nam w ręce pomarańcze i figi, kwieciarki kwiaty, rybacy ryby i ostrygi...

Jedni chcieli drugich ubiedz i przekrzyczeć, każdy starał się moralnie i fizycznie zapanować nad gościem, którego sobie obrał jako ofiarę, i nasza gromadka lądujących podróżnych znalazła się wśród wrzaskliwego tłumu, jak rodzina żebraków, napadnięta przez stado psów.

Lecz choć ten wrzaskliwy i natrętny tłum ludzi, przestraszyć musi w pierwszej chwili każdego świeżo przybyłego, to jednak przedstawia się w innem świetle tym, którzy już nie są zupełnie obcymi na ziemi włoskiej. Ci wiedzą dobrze, że znajdą bez trudu hotel polecony i naprzód obrany, że każdy z furmanów, mając raz gościa w powozie, będzie usłużny i uprzejmy, że wreszcie każda owocarka i kwieciarka zadowolni się małą zapłatą i powie jeszcze kilka grzecznych słówek na podziękowanie. Bo wreszcie każdy Włoch jest wobec cudzoziemca pełen rycerskiej uprzejmości i stara się błyszczeć przed nim grzecznem zachowaniem, udając gospodarza, który u siebie gości podejmuje. Lecz gdy idzie o współzawodnictwo z kolegami i koleżankami, wtedy wrodzony temperament ich unosi i stają się podobni do Arabów, owej osławionej plagi podróżujących w Egipcie turystów.

My udaliśmy się pieszo do jednego z hoteli, tuż nad morzem położonych, nie przyjmując licznie nam ofiarowanych powozów. Lecz mimo tego jeden z vetturinów, podążył za nami i stanął ze swoim powozem przed hotelem, oświadczając, że będzie cierpliwie czekać na koniec naszego śniadania, aby nas obwieść po wyspie. I rzeczywiście — zajął stanowisko na dole pod otwartym tarasem hotelu, na którym usiedliśmy i przez cały czas z nami rozmawiał, zachwalając naprzemian swój powóz, wyspę i piękną pogodę, czekając na przejażdżkę, której mu zupełnie nie obiecywaliśmy.

Hotel był pusty i sami zasiedliśmy do stołu. Śniadanie było skromne, zastawa nie wykwintna, lecz potrawy po włosku przyrządzone były smaczne, widok uroczy, a gospodarz, który nadzorując służbę zabawiał nas rozmową, typem włoskiego bla-

giera. Opowiadał o bytności cesarza Wilhelma w Neapolu i na Capri i o tem, jak on, chociaż uchodzi za *un terribile marinaio*, nie miał odwagi wjechać na małem czółenku do „Niebieskiej groty“.

Siedzieliśmy długie chwile, zatopieni w podziwianiu krajobrazu, roztaczającego się przed naszemi oczami.

U stóp leżało płaskie wybrzeże, rojące się tłumem ludzi: rybacy z koszami napełnionemi „owocami morza“, kąpiące dzieci, które pluskały się we wodzie, kobiety i mężczyźni oblegający gromadami przystań, legion różnobarwnych płatków, ożywiających szarą i jednostajną płaszczyznę wybrzeża. Nad niem, jakby nad dolną ramą obrazu, morze świetnemi barwami błyszczące, wypełniało swem zwierciadłem główną przestrzeń tła; od brzegu wyspy ciemno-zielone płaty od morskich porostów zabarwione, wskazywały płytką toń, podobne do pływających liści jakiejś bajecznej, olbrzymiej rośliny. Za tym wieńcem zieleni mieniła się woda najpiękniejszym modrym kolorem, który w miarę oddalenia ciemniał i przechodził ku widnokręgowi w głęboki fiolet, łączący się z zarysami brzegów.

Na tej rozległej szybie, założonej kilkoma barwami, światło słoneczne igrało, srebrząc drobnemi łuskami pomarszczoną falę. W środku obrazu, w samej przystani, parowiec, przybyły z nami z Neapolu, ostro rysował swój wizerunek na niebieskiej powierzchni, czerwonym płatkiem komina i czarnemi kreskami masztów. Obok niego ładowna barka rozpięła kilkopiętrowe żagle i posuwała się cicho ku pełnemu morzu, wlokąc za sobą białe pasmo, na wodę rzuconego odbicia żagli.

W oddali, naokół, wstawały z morza wyspy i lądy, mgliste, fioletowe, wycięte zębami na jasnem niebie: Ischia, jak wielkie garbate, w morzu zanurzone zwierzę, Procida, jak olbrzymi, rozbity statek bez masztów, przylądek Puzzuoli od nich wąskim przesmykiem wody oddzielony, spadający stromo do morza, a dalej migocące budynki Neapolu, białe pasmo, przeglądające się we wodzie, i rozciągnięte na wielkiej przestrzeni, aż pod stopy Wezuwiusza, który z pióropuszem dymu na czubie, zdawał się być strażnikiem skarbów przyrody, rozsianych naokół niego.

Po nad tą krainą wody i lądów, rozpościerało się niebo, wyższe, głębsze, ciemniejsze aniżeli nasze nieba północy — rozlewały się strugi światła, drgającego w powietrzu złotą pajęczyną, podczas gdy mewa, unosząca się nad zatoką, w powietrzu, świeciła w słońcu, jak srebrny płomyk...

Lecz furman, stojący z powozem przed hotelem, był zbyt oswojony z tym widokiem, którym się sycił od dzieciństwa, aby podzielać nasz niemy podziw i nasze głębokie zamyślenie. Zapraszał i naglił do przejażdżki i to, czego chciał, wreszcie osiągnął. Siedliśmy do powozu i po kilku skrętach ulicy wydostaliśmy się na otwartą drogę, która ubezpieczona i podmurowana, spina się po stromym stoku skały. Nasz *vetturino* siadł bokiem na koziołku, zwrócił się do nas i podczas gdy mały, korsykański konik zwolna stąpał pod górę, zabawiał nas rozmową.

Był to młody chłopak, o śniadej cerze i wyrazistych rysach. Miał na głowie, ukosem na ucho założoną niebieską, włóczkową czapkę, aksamitny kubrak i z fantazyą zawiązaną czerwoną krawatkę. Nazywał się Giuseppe i każde przemówienie kończył uśmiechem, błyszcząc białemi zębami.

Pokazywał nam po drodze ważniejsze miejsca okolicy, gestykulując z wielkim zapałem, widocznie dumny z podziwu, w jakie nas wprawiało otoczenie. Po drodze spotykaliśmy wieśniaków, kobiety pracujące we winnicy, robotników łamiących kamień, a nasz Giuseppe wszystkich wesoło witał, z każdym kilka słów zamienił i przez cały czas siebie i nas zabawiał. Wydawał się wesołym, niewinnym chłopcem, który zarabia na chleb, cieszy się życiem i nikomuby nic złego nie wyrządził.

Droga wznosiła się powoli na szczyt grzbietu, z mozołem wykuta w prostopadłej ścianie, zawieszona parę set stóp nad morzem. Tam skręcała się nagle ku południowi, otwierając od razu rozległy widok. Nad nami poszarpane, dzikie skały, płowe, czerwonawe, jakby zbryzgane nieprawdopodobnemi barwami — naokoło nas pełne morze, ginące w oddali, w srebrnej mgle, aż ku Sycylii...

Na tym skalistym cyplu usadowiło się parę domków, ucze-

pionych do ścian, jak orle gniazda. Nie brak im tam powietrza, światła i przestrzeni. Wielki i szeroki świat ich otacza, który zapewne wyższe i wznioślejsze myśli budzi, aniżeli ciasne i ciemne, miejskie ulice...

Gdy nasz *vetturino* na najwyższym skręcie drogi zatrzymał konia, aby mu dać wytchnąć, usłyszeliśmy głos kobiecy, wołający zdala:

„Giuseppe! Giuseppe!“

Okazało się, że to była jego siostra, którą nam z całą galanteryą ceremonialnie przedstawił:

Mia sorella, Carmen! — i zarazem o pozwolenie poprosił, aby mogła siąść obok niego na koziołku i z nami pojechać.

Był to typ weneckiej piękności, który się rzadko spotyka na dalekiem południu, blondynka o złotawym odcieniu włosów, z przeźroczystą cerą, przez którą krew przeświecała, z szaremi oczami o długich, jedwabnych rzęsach. Miała zgrabnie i starannie zrobioną suknię wiejskiego kroju i kolorowy fartuszek. — Skoczyła na kozioł, i rozpoczęła z bratem ożywioną rozmowę, nieustannie przerywaną śmiechem, żartami i uwagami.

Vetturino nas potem objaśnił, że siostra jest w służbie w „pierwszej“ osteryi w Anácapri, a ona dodała ze swej strony prośbę, abyśmy wstąpili na szklankę wina.

Powóz, wydostawszy się na grzbiet stoku, potoczył się szybko i wkrótce znaleźliśmy się wśród pierwszych domów wioski, położonej na cyplu wyspy, wybiegającym, na kształt przylądka, ku zachodniemu morzu.

Carmen zeskoczyła z kozła i wbiegła do osteryi, wskazując nam miejsca w altanie, osnutej winną latoroślą, z widokiem na morze. Za chwilę, pękata flaszka ze złotem Posilippo stała przed nami na stole, do którego przysiadło się także rodzeństwo: Carmen i Giuseppe. Gawędzili z nami swobodnie, lecz czasami zapuszczali się między sobą w ożywioną dyskusyę, zapominając zupełnie o naszej obecności.

Były to dwa ciekawe i odrębne typy. On, prawdziwe dziecko południa, żywy, gwałtownie gestykulujący, pełen pozy i frazesów —

ona spokojna, nieśmiata, robiła wrażenie kobiety z północy, zabłąkanej na dalekie południe.

Posilippo świeciło w szklankach złotym kolorem, Giuseppe rozpowiadał szczegóły o wysokich osobistościach, których podejmował w tej osteryi, a Carmen siedziała zasępiona z oczami utkwionemi w dal. W tem, gdy on się na chwilę uciszył, zwróciła się nagle do nas i wskazując ręką na widnokrąg, powiedziała, że tam leży Sycylia. Na to Giuseppe się ocknął i dodał złośliwym tonem:

Sicilia e tuo promesso.

Po czem zaczął się uskarżać na siostrę, że jemu i rodzinie wiele troski sprawia: „Zakochała się w młodym rybaku korali z Anacapri i chce go koniecznie poślubić. Lecz to biedak, który z narażeniem życia zaledwo jest w stanie na chleb zapracować, więc rodzina musi się sprzeciwiać".

Giovanni, ów narzeczony, pojechał właśnie ze swą łodzią, na połów korali do Sycylii. „Ona lamentuje" — dodał Giuseppe — „lecz ja mu życzę, aby gdzie utonął przy połowie i uwolnił nas od całego kłopotu". Mówiąc to podniesionym głosem, uderzył ręką w stół, oczy mu zabłysły, a w tych paru słowach i w spojrzeniu rzuconem na siostrę, przebiła się cała dzikość południowa.

Carmen zarumieniła się, spuściła oczy, a przestrach malował się na jej twarzy. Po chwili podniosła długie rzęsy i spoglądnęła ku południowi w zamglone morze, jakby się chciała przekonać, czy się nie spełnia nienawistne życzenie brata, i czy jej Giovanni nie tonie z rozbitą łodzią wśród raf koralowych Sycylii...

Lecz nam trzeba było wracać na parowiec, więc pożegnaliśmy biedną Carmen i wsiedliśmy do powozu. Ona została sama w altanie, zasępiona i smutna, spoglądając z oczekiwaniem ku morzu.

Czy tylko Giovanni powrócił szczęśliwie z połowu?

Do portu jechaliśmy inną drogą, przez wieś Capri, i następnie ponad brzegiem zwróconym ku Sorrento. Tam wznoszą się szczątki dwunastu will, zbudowanych przez Tyberyusza. Były

mniej pomnikowo i trwale zbudowane, aniżeli inne gmachy wznoszone przez Rzymian, bo jak Burckhardt mówi w „Przewodniku po Włoszech“: „Stary jegomość chciał jak najprędzej ukończyć budowę, aby co rychlej módz używać“.

Największa z tych dwunastu willi przedstawia się jeszcze dość okazale. Liczne sklepienia i ganki, mury i tarasy, zarośnięte winną latoroślą i oliwkami, tworzą malownicze ruiny, dające wyobrażenie o rozmiarach i wspaniałości rezydencyi Cezara.

Tyberyusz, jako starzec, spędził tam ostatnich dziesięć lat życia. Wybrał sobie tę samotną i nieprzystępną wyspę za mieszkanie, gdyż bojąc się zdrady, unikał ludzi i ukrywał się przed nimi ze swem obłąkaniem i okrucieństwem. Na cyplu stromej skały, w przepysznym pałacu, zasiadał do wspaniałej uczty. Grono wybranych go otaczało, setki niewolników mu służyły, najpiękniejszy krajobraz — widok neapolitańskiej zatoki — zdobił jako tło, jadalną salę. Z początku muzyka dźwięczała, śpiew i wesołość rozbrzmiewały. Lecz wkrótce Tyberyusz się chmurzył, oczy zachodziły mu obłędem, twarz przybierała wyraz drapieżnego zwierzęcia. Wszyscy drżeli — a on kazał przyprowadzać niewolników, lub pozornie zasądzonych więźniów, i strącać ich ze skalistego wyskoku, przewieszonego na kształt balkonu wysoko nad morzem. To było ostatnie danie uczty cezara — a skała nosi do dziś dnia nazwę *Salto di Tiberio.*

Po parogodzinnym pobycie na wyspie, nasz parowiec puścił się z powrotem w drogę do Neapolu.

Gdy minął Sorrento i zwrócił się wprost ku neapolitańskiej zatoce, słońce miało się ku zachodowi i złociło morze, góry i niebo. Przed dzióbem statku trzy delfiny odbywały harce, skacząc nad wodę i rozpryskując falę na tysiączne krople, które się iskrzyły płynnym ogniem w zachodzącem słońcu. Brakowało tylko na opalowem niebie postaci Galatei stojącej na muszli, z rozwianym, czerwonym płaszczem, i kierującej delfinami. Tło i gra światła przypominały zresztą zupełnie słynny fresk Rafaela w *Villa Farnesina.*

Józef Rystan.

Zasadniczy punkt wyjścia w badaniu filozoficznem.

(Dokończenie).

V.

Τὸ γὰρ αὐτὸ ἅμα ὑπάρχειν τε καὶ μὴ ὑπάρχειν ἀδύνατον τῷ αὐτῷ καὶ κατὰ τὸ αὐτό.
Arystoteles.

Na 500 lat przed naszą erą, w bawiącym się zawsze hucznie i wesoło Efezie, żył ponury obywatel-pustelnik niezwykłej miary. Umysł głęboki aż do ciemności, dumny samotnik i egoista aż do mizantropii, pesymista aż do zwątpienia w trwałość czegokolwiek na świecie, „płaczący mędrzec“, Heraklit zajął tak uparcie i wyłącznie stanowisko całkowitego i powszechnego relatywizmu, iż nic w wszechświecie prócz ciągłej zmienności nie widział, iż jedyną bezwzględność i absolut jedyny w względności koniecznej wszystkiego upatrywał. Wszystko krąży, wszystko płynie: πάντα ῥεῖ, powtarzał sobie „ciemny“ myśliciel, wszystko bezustannie przechodzi, a nic nie pozostaje: πάντα χωρεῖ καὶ οὐδὲν μένει. Wszechświat to olbrzymia kaskada ognista, ciągle rzucająca się z góry na dół i jednocześnie ciągle podnosząca się z dołu w górę, tak iż obie te drogi są w istocie jedną i tą samą drogą: ὁδὸς ἄνω κάτω μία. Niema bowiem naprawdę różnicy między przeciwieństwami, one nietylko nie wyłączają się wzajemnie, lecz owszem są jedną i tą samą rzeczą. Paradoksalność swą arystokrata efezki posunął do tego stopnia, iż dla niego to samo jest dobro i zło, życie i śmierć, zgoda i niezgoda. Niezgoda jest

istotną harmonią świata, wojna to rodzicielka i królowa wszystkiego na świecie. Wchodzimy do tej samej rzeki i nie wchodzimy do niej, jesteśmy i nie jesteśmy wcale: εἶμέν τε καὶ οὐκ εἶμεν[1].

Jakkolwiek wszelka pomroka i ciemność czarna ma to do siebie, iż wzdragają się przed nią i odwracają się od niej umysły ludzkie, ma jednak zarazem i pewną siłę atrakcyjną, jakimś tajemniczym czarem odzianą, co niejeden umysł potrafi przykuć i przywiązać do siebie. I Heraklit miewał w rozmaitych czasach swoich zwolenników. Najwybitniejszy atoli uczeń i najgorętszy wielbiciel wolnodumcy efezkiego zjawił się dopiero w dwa tysiące trzysta lat po śmierci mistrza, w osobie głośnego profesora berlińskiego, Hegla, Heraklita XIX. stulecia. Ma w istocie pruski myśliciel dużo punktów spólnych i stycznych z paradoksalnym Jończykiem. I u niego zmienność, względność, lub raczej *das Werden* góruje ponad wszystkiem, wszystko naprawdę trzyma i jednoczy w swym ręku. Jedynym bowiem punktem wyjścia całego systemu heglowskiego jest czysty byt, pojęcie najbardziej ze wszystkich oderwane, swoją treścią najuboższe i najprostsze, albo nawet podług samego twórcy absolutnego idealizmu logicznego, pojęcie absolutnie bez treści, a tem samem z nicością identyczne. Czysty byt stoi w dwojakim stosunku do nicości; w stosunku tożsamości i pewnej, nie dającej się jednak wypowiedzieć ani też bliżej określić różnicy. Tożsamość ta właśnie na tle różnicy bytu i nicości rodzi nowe pojęcie wyższe, które stanowi wyższą jednię tych dwu pojęć, tj. pojęcie stawania się *(Werden)*. Na podstawie tej pierwotnej jedni bytu i nicości nie trudno jest wykazać, zwłaszcza przy pomocy dyalektyki transcendentalizmu niemieckiego, że wszystkie najbardziej dyametralne przeciwieństwa, że nawet wszystkie najbardziej rażące sprzeczności nie wykluczają się nawzajem całkowicie, lecz zawsze w czemś trzeciem, w jakiejś wyższej jedni, kojarzą się zgodnie, zespalają, jednoczą. W istocie nieprzerwane łączenie się dwu coraz to nowych sprzeczności

[1] Por. fragmenta u Bywater'a, *Heraclíti Ephesii reliquiae*. — Ks. S. Pawlicki, „Historya filozofii greckiej", t. I. r. VII, 4. — Th. Gomperz, *Griechische Denker*, I Bd. 1, 1.

w jedni stawania się jest i źródłem głównem i jedynym rodzicem i dźwignią a osią środkową i właściwą myślą przewodnią dyalektyki myśliciela berlińskiego. Sławetna owa tożsamość przeciwieństw i sprzeczności jest zasadą w systemie Hegla, na podstawie której i z której wyłaniają się wszystkie najwyższe prawdy, odnoszące się do świata, człowieka, Boga.

Heraklit i Hegel to dwaj i jedyni niemal niecodzienni filozofowie, o których historya filozofii raz po raz zaznacza, jakoby wszelkiemi siłami starali się koniecznie kłam zadać zasadzie niesprzeczności i jakoby na jej zaprzeczeniu dopiero budowali swoje systemy filozoficzne.

Przeciw absolutowi względności i zmienności Heraklita wystąpił już właściwy twórca systemu Eleatów, Parmenides, z absolutem niezmiennego jednobytu. On też pierwszy postawił twierdzenie, które do pewnego stopnia zawiera w sobie zasadę tożsamości i niesprzeczności: co jest, jest; co zaś nie jest, być nie może — ἔστι γὰρ εἶναι, μηδὲν δ' οὐκ ἔστι [1].

Wyraźniej, dobitniej, systematyczniej od Eleaty występuje przeciw heraklitowskiemu zaprzeczeniu bezwzględności i zasady niesprzeczności poważny Stagiryta, stawiając i formułując po raz pierwszy jasno, dokładnie i wszechstronnie zasadę zasad wszelkich w czwartej (Γ) księdze swej metafizyki. — Tego rodzaju zapatrywanie na stosunek Heraklita do zasady niesprzeczności przeszło od Arystotelesa do Scholastyków [2] a w części aż do naszych czasów [3].

I przeciwko nowożytnemu Heraklitowi podnoszono nieraz w ciągu naszego stulecia ten sam ciężki zarzut [4]. — Do niedawna też prawie nikt nie przypuszczał, aby można Hegla na seryo zasłonić przed tym zarzutem lub skutecznie obronić, tem bar-

[1] Por. Ueberweg, *Grundriss der Geschichte der Philosophie des Alterthums.* 8 Aufl. von Heinze. § 19. — Ks. S. Pawlicki, „Historya filozofii greckiej" I.

[2] Por. np. *S. Thomas.* In l. 4 metaph. lect. 2.

[3] Por. np. ks. S. Pawlicki, „Historya filozofii greckiej", I, str. 128.

[4] Z naszych filozofów por. np. ks. M. Morawski, „Filozofia i jej zadanie", 1881, str. 82 i nast.; Struve, „Wstęp krytyczny do filozofii", 1896, str. 538 i nast.

dziej, że i pierwotny zapał do dyalektyki heglowskiej oziębił się znacznie w drugiej połowie bieżącego stulecia, a nawet zamarł zupełnie. W ostatnich dopiero latach — i rzecz dziwna, nie w Niemczech, jeno w Anglii (Mc Taggart, Mc Gilvary, Stirling i inni) i Francyi (G. Noël, C. Mano) — kiedy wielu umysłom znudził się już Kant, a ciągłe przetrawianie jego Krytyk, zaczęło się stawać wprost nieznośnem, zabrano się znowu do dzieł i systemu Hegla. Są nawet tacy, dla których „ciemny" filozof z nad Sprowy jest wcale jasnym, którzy utrzymują, że go dobrze rozumieją, zaś w jego systemie widzą najwyższą i prawdziwą formę idealizmu zrealizowaną. Otóż podług większej części tych, może trochę spóźnionych, zwolenników filozofii heglowskiej, mistrz w swoim pochodzie dyalektycznym nie tylko nie zaprzecza samej zasady niesprzeczności, lecz owszem stawia ją jako główny czynnik tworzący i jedyny filar swojego systemu. Ewolucya dyalektyczna u Hegla nie znosi bynajmniej owej kardynalnej zasady, ale przeciwnie ma właśnie jedynie na celu uniknięcie wszelkiej sprzeczności [1]. — Czy pogląd taki nie mija się z prawdą? Być może. Nie czujemy się atoli powołani do zabierania głosu w rozstrzygnięciu tej historycznej kwestyi. Naprawdę trudno jest pojąć, by myśliciele tej miary, co Heraklit z Efezu i Hegel, mogli zaprzeczyć tak oczywistej i tak kardynalnej zasadzie, jak prawo niesprzeczności; z drugiej jednak strony zdaje się nie ulegać żadnej wątpliwości, że i stary i nowożytny „ciemny" filozof dopuścił się na tym punkcie grubej niejasności, że jeden i drugi pomieszał przeciwieństwa z sprzecznościami [2]. Toby nam może w części tłumaczyło i ów ciężki zarzut, zazwyczaj podnoszony przeciwko obu Heraklitom i jednocześnie możliwe prawdopodobieństwo najświeższej obrony.

Tak więc i obaj najsławniejsi przeciwnicy zasady niesprzeczności nie mogą być uważani za bezwzględnych jej wrogów. Co się zaś tyczy innych poważniejszych filozofów, to wszyscy,

---

[1] Por. np G. Noël, *La Logique de Hegel,* 1897. Alcan. — C. Mano, *Le principe de contradiction,* w *Annales de phil. chrét.* Janv. 1896.

Por. Ueberweg, *System der Logik,* § 77, p. 208 sq. (4-te wyd.).

zwłaszcza od czasów Stagiryty począwszy, przyjmują tę zasadę bez podejrzeń i bez powątpiewań, jeno różni różnie ją często pojmują i zacieśniają. Przejdźmy już zatem do samej zasady.

Co orzeka zasada niesprzeczności?

Pierwszy, co zasadę niesprzeczności ujął w jasną i zwięzłą formułę, który jednocześnie może najlepiej znaczenie jej podstawowe i powszechną doniosłość zrozumiał i wyświecił, był nieśmiertelny twórca pierwszej, wiekopomnej metafizyki. Zobaczmy, jak ta zasada przedstawia się w pierwszej swej ludzkiej roboty sukience. By zaś nikt nam nie mógł zarzucić, że Arystotelesa do swoich pojęć i potrzeb naginamy, lub że go jednostronnie tylko tłumaczymy, pójdziemy w streszczeniu nauki jego za Henrykiem Maierem, którego i jako ucznia Sigwarta i jako protestanta i jako znawcę krytycznych tekstów najnowszych o tego rodzaju stronniczość posądzać nie będzie można [1].

Arystoteles stawia swoją najwięcej znaną, najbardziej przez się zrozumiałą, najniewątpliwszą i całkiem bezwarunkową zasadę w następujący sposób: „niemożliwa jest, ażeby ta sama rzecz to samo miała i nie miała jednocześnie i pod tym samym względem“ [2]. I pewna ostrożność i wielka ścisłość przebija się w tej formule. Niema w niej zresztą i słówka niepotrzebnego. Wprawdzie niektórym nowszym filozofom (np. Kantowi) nie podobały się wtrącone określenia: jednocześnie (ἅμα) i pod tym samym względem (κατὰ τὸ αὐτό), nie trudno jednak zrozumieć, że są one konieczne w ścisłem i dokładnem sformułowaniu prawa. Nie w tym samym czasie czyli w czasach różnych mogę być zdrowym i nie być zdrowym, mogę istnieć i nie istnieć; nie pod tym samym względem znowu mogę nawet jednocześnie mieć się dobrze i nie mieć się dobrze. Można atoli podług samego Arystotelesa i krócej to prawo wyrazić: „niemożliwą jest rzeczą, iżby jednocześnie to samo było i nie było“ [3].

---

[1] H. Maier, *Die Syllogistik des Aristoteles.* 1 Theil: *Die logische Theorie des Urteils bei Aristoteles.* Tübingen 1896. Cfr. 2-ter Abschnitt, *Die Gesetze des Widerspruchs u. des ausgeschlossenen Dritten.* S. 41—102.

[2] *Met.* IV, 3.

[3] ἀδύνατόν (τι) ἅμα εἶναι καὶ μὴ εἶναι. Ib.

Tak się przedstawia to zasadnicze prawo w najwłaściwszej swej formie u Arystotelesa. Jak już z tych formuł dostatecznie wynika, sam wielki twórca logiki systematycznej pojmuje tę zasadę przedewszystkiem jako prawo bytu, a więc ontologicznie. Skoro zaś to prawo jest prawem bytu, to odnosi się do bytu w całej rozciągłości jego zakresu: tak do bytu niezmiennego, odwiecznego, jak do bytu konkretnego, znikomego, względnego, jak nawet do całej dziedziny mniemań niepewnych. Tem zaś samem prawo to rdzennie ontologiczne będzie u Stagiryty i zasadniczem prawem logicznem. Prawu temu, przeniesionemu lub raczej ograniczonemu do porządku logicznego, będzie można też nadać zmienioną nieco, do swej materyi zastosowaną postać: „niepodobna jest, iżby sądy sprzeczne z sobą tj. stwierdzenie i zaprzeczenie pewnego orzeczenia o tym samym podmiocie były jednocześnie prawdziwe“ [1].

Prawo to Arystotelesa znane jest w dalszym rozwoju filozofii jako *principium condradictionis* (rozumie się *impossibilis* lub *vitandae),* zasada sprzeczności (niemożliwej). Podnosimy to jednak z naciskiem za Maierem, że Arystoteles pojmuje tę zasadę i jako prawo bytu czyli fundamentalne prawo natury i jako zasadniczą normę umysłu, nigdzie jednak nie rozumie przez to prawo czysto formalnego pryncypium w znaczeniu nowożytnego subjektywizmu; że nadto podług właściwej nauki Stagiryty jest ono zawsze w pierwszym rzędzie prawem natury, a dopiero drugorzędnie, dlatego właśnie, że jest prawem natury, jest też jednocześnie zasadą logiczną.

Obok tej zasady zasad wszelkich, *dignitas dignitatum,* jak później mawiali scholastycy, znajdujemy u Arystotelesa drugie prawo, któremu on taki kształt nadaje: „niema nic pośredniego między członami przeciwstawienia sprzecznego, lecz konieczną jest rzeczą jakiekolwiek orzeczenie o pewnym podmiocie albo stwierdzić albo zaprzeczyć“ [2]. Zamiast tej długiej formuły, Arysto-

---

[1] τὸ μὴ εἶναι ἀληθεῖς ἅμα τὰς ἀντικειμένας φάσεις. Met. IV, 6.

[2] ἀλλὰ μὴν οὐδὲ μεταξὺ ἀντιφάσεως ἐνδέχεται εἶναι οὐδέν, ἀλλ' ἀνάγκη ἢ φάναι ἢ ἀποφάναι ἓν καθ' ἑνὸς ὁτιοῦν. Met. IV, 7.

teles używa często rozmaitych form skróconych: „trzeba wszystko albo stwierdzić albo zaprzeczyć“ [1], albo: „wszystko musi albo być albo nie być“ [2] i t. p. Znane jest to prawo w filozofii jako *principium exclusi medii seu tertii (inter duo contradictoria)*, zasada wyłączonego środka. I to prawo Arystoteles pojmuje równie szeroko, jak pierwsze, podobnie, jak pierwsze w pierwotnem i najwłaściwszem znaczeniu ontologicznie, dopiero konsekwentnie logicznie; nadto Stagiryta wyróżnia zawsze zasadę wyłączonego środka do swej zasady sprzeczności, a nigdzie pierwszej nie wyprowadza wprost z drugiej.

Tak się dziś przedstawia w najgłówniejszych zarysach nauka Arystotelesa o podstawowych zasadach bytu w samem źródle swojem. Kto zna zapatrywania starych scholastyków na tym punkcie, musi prawdziwie podziwiać ich, że tak doskonale myśl Stagiryty uchwycili, i że ją tak wiernie w swoich sumach i komentarzach przedstawili.

Wielki metafizyk, wielki logik, wielki nawet na swe czasy przyrodnik, Arystoteles nie był, o ile wiemy, wielkim, zawodowym matematykiem. Pod tym względem przewyższa go niezawodnie matematyk-filozof nowszych czasów, Leibniz.

Każdy umysł matematyczny ma to do siebie, iż dąży do przedstawienia najzawilszych stosunków i praw w bardzo krótkich i jednocześnie bardzo przejrzystych symbolicznych wzorach. Cóż dziwnego, że Leibniz i w metafizyce nie wyzuł się z nawyknień matematykowi właściwych, że więc w nauce o podstawowych zasadach bytu obok starych formuł Arystotelesa używa raz po raz swoich, matematyczne symbole przypominających wyrażeń. Do takiego atoli przedstawienia nie nadawało się wprost sformułowanie tych zasad przez greckiego myśliciela, dlatego Leibniz wprowadza małą modyfikacyę w samą zasadę sprzeczności Arystotelesa, a nadto obok niej stawia wyraźnie, jak się zdaje, po raz pierwszy, drugą, pokrewną: zasadę tożsamości [3]. Zamiast

---

[1] Tamże.

[2] *Phys.* VI, 5.

[3] Cfr. Sigwart, *Logik.* I², p. 186 sq. — Wundt, *Logik*, I², p. 562 sqq.

dwu podstawowych praw bytu Arystotelesa, mieć będziemy teraz trójcę zasad, która, sposobem Leibniza wyrażona, tak się przedstawi:

1. A jest A,
2. A nie jest nieA,
3. A jest albo B albo nieB.

Pierwsze wyrażenie przedstawia t. zw. zasadę tożsamości, orzeka zaś, że wszelki byt jest koniecznie samym sobą, tem, czem jest [1].

Druga formuła, do pierwszej widocznie dostosowana, przedstawia zmienioną nieco zasadę sprzeczności szkoły Arystotelesa, stwierdza zaś to samo, co zasada tożsamości, jeno w formie przeczącej i przez to może silniejszej, mianowicie: że żaden byt nie jest i nie może być (rozumie się jednocześnie) niebytem, czyli że żaden byt nie jest i nie może być sprzecznym w sobie. I Leibniz i wszyscy niemal filozofowie późniejsi aż do naszych czasów nazywają to prawo zasadą sprzeczności, dopiero niektórzy najnowsi filozofowie nadają mu za Hamiltonem coraz częściej nazwę zasady niesprzeczności. Ze względu na to, iż zasada, orzekająca, że każda rzecz jest sama z sobą identyczna, nosi nazwę zasady tożsamości, zdaje się nam i słuszne zupełnie i uzasadnione nazywanie zasady, stwierdzającej, że żaden byt n i e j e s t sprzeczny w sobie, zasadą niesprzeczności.

Trzecia formuła przedstawia nam starą zasadę wyłączonego środka, jednak w myśl dwu pierwszych praw pojętą i w postaci zewnętrznej do nich przystósowaną.

Między pojmowaniem tych podstawowych praw u Leibniza i późniejszych filozofów za nim idących a pojmowaniem ich u Arystotelesa i starych scholastyków jest niewątpliwie pewna różnica. Zdaje się nam jednak, że przesadzają ci myśliciele, którzy utrzymują, jakoby zasada sprzeczności Arystotelesa i zasada niesprzeczności Leibniza nie posiadały prawie nic wspólnego

[1] „A est A, chaque chose est ce qu'elle est". Leibniz, *Nouv. Essais*, IV, 2, § 1.

i przedstawiały dwa całkiem odrębne prawa [1]. Na prawdę bowiem i w jednej zasadzie i w drugiej chodzi o tę samą rzecz, o całkowite uchylenie i wyłączenie sprzeczności. Sprzeczność zaś można brać na uwagę z dwojakiego punktu widzenia: ze względu na sąd i ze względu na pojęcie, innemi słowy: ze względu na rzecz uważaną w stosunku do jakiegoś przymiotu i ze względu na rzecz samą w sobie. Otóż Arystoteles w stawianiu swojej zasady patrzy na rzecz przedewszystkiem z pierwszego punktu widzenia, nie prześlepia atoli drugiego i nie wyklucza go wcale, jak to widać i z niektórych jego formuł skróconych i z tego, że przed Leibnizem nazywano nieraz zasadę sprzeczności Stagiryty zasadą tożsamości. Leibniz natomiast, porównywając byt z samym sobą, kiedy stawia właściwą zasadę tożsamości, bierze na uwagę w pierwszym rzędzie drugi sposób pojmowania sprzeczności i w postawieniu zasady niesprzeczności, nie wyklucza jednak znowu pierwszego sposobu, jak to wynika i z tego, że obok swojej formuły posługuje się nieraz równorzędnie Arystotelesową, i z tego także, że w gruncie rzeczy sprzeczność pojęć jest ściśle sprzężona i związana ze sprzecznością sądów. I dlatego nie dziwi nas to bardzo, że wielu filozofów z czasów nowszych, między innymi wielu neoscholastyków, miesza najczęściej zasadę Arystotelesa z zasadą Leibniza[2]; owszem zdaje się nam, że rozróżnienie tych zasad jest dosyć subtelne i nie zawsze konieczne.

Zwrócić jeszcze tylko należy uwagę na to, że Leibniz pojmuje te zasady nie inaczej od Stagiryty, mianowicie w pierwszym rzędzie ontologicznie, a następnie dopiero przedmiotowologicznie; nie zaś czysto formalistycznie.

Od czasów Leibniza ta sama trójca zasad powtarza się w niezmienionej prawie postaci u większej części filozofów. Za to z czasem wyłania się i wybija się na pierwsze miejsce inne pytanie: jak daleko rozciąga się znaczenie i ważność tych za-

[1] „Was die spätere Logik, insbesondere Leibniz und Kant, als Principium contradictionis in der Formel A ist nicht nonA aufgestellt hat, ist nach Sinn und Anwendung von dem aristotelischen Satze durchaus verschieden". Sigwart, *Logik* I², p. 186 sq.

[2] Por. np. T. Pesch, *Institutiones logicales,* II, n. 1229.

sad. Jednostronny krytycyzm i ciasny idealizm przesłoniły jakimiś dziwnemi oparami kory mózgowe filozofów, a na ich oczy założyły szkła jakieś ołowiane, strasznie ciemne. Zasad owych nie można było zaprzeczyć, wątpić naprawdę o nich również trudno było; więc trzeba je było zatrzymać — jednak nie jako prawa bytu ontologiczne, bo to byłoby zaprzeczeniem zasady idealistycznej, nawet nie jako prawa przedmiotowo-logiczne, bo tak nakazywała zdrowa konsekwencya logiczna, więc tylko jako apryoryczne, ślepokonieczne, czysto podmiotowe formy naszych zdolności poznawczych. Wpływ tej w sztucznych i nienaturalnych cieniach pogrążonej atmosfery rozpostarł się bardzo daleko i głęboko, i wycisnął wyraźne swe piętno na wielu filozofach naszego stulecia, takich nawet, którzy ni do Kanta ni do idealizmu nie przyznają się wcale, którzy jednak uważają powyższe zasady za prawa w pierwszym rzędzie podmiotowo formalne, następnie za prawa przedmiotowo logiczne, a ostatecznie dopiero i to zazwyczaj z wielu ostrożnościami i zastrzeżeniami za prawa ontologiczne.

Jest jeszcze jeden punkt w trójcy zasad naszych, który nie wszystkim myślicielom w jednakowy się sposób przedstawia, przy którym najczęściej spotkać się można z wielką rozmaitością i różnicą poglądów. Mamy na myśli pytanie, której z tych zasad należy przyznać pierwszeństwo w godności i niezawisłości.

Varietas in unitate, unitas in varietate: analiza w nieskończoność niemal idąca, synteza najróżnorodniejsze zjawiska pod jakąś wyższą jedność podciągająca — to dwie znamienne funkcye umysłu naszego. Owa dążność umysłowa do jedności, do syntezy ogólnej, uwydatnia się znacznie i w naszej kwestyi. Już Arystoteles uważał swoją zasadę sprzeczności za najwyższą ze wszystkich i w niej upatrywał zasadę zasad wszelkich; mimo to nie wyprowadza on z niej drugiego swego prawa, zasady wyłączonego środka[1]. Dzisiejsi neoscholastycy robią najczęściej tak, iż w ślad za Stagirytą stawiają zasadę niesprzeczności jako najwyższe i najbardziej podstawowe prawo, inne natomiast zasady

[1] l. c.

starają się przy jej pomocy wywodzić i do niej ostatecznie sprowadzić. Stąd zasada ta u nich nazywa się κατ' ἐξοχήν pierwszą, *primum principium*[1]. I spółczesny pruski myśliciel, Hartmann, broni w słowach przynajmniej podobnego poglądu. Podług niego jest tylko sama zasada niesprzeczności prawem istotnie podstawowem, wcale zaś niem nie jest zasada tożsamości, tem zaś mniej można za takie prawa uważać zwyczajną trójcę zasad, Nawet zasada tożsamości opiera się u niego na zasadzie niesprzeczności i z niej dopiero czerpie moc swoją[2]. Innym myślicielom podoba się bardziej zasada tożsamości, dlatego ją uważają za najpierwotniejszą i najmniej od innych zasad zawisłą, z niej dopiero wyprowadzają i do niej sprowadzają inne zasady[3]. Żeby nie pominąć najwybitniejszych, wspominamy jeszcze o Wundcie i Sigwarcie. Sławny psycholog lipski utrzymuje, idąc za Schopenhauerem, że, jeśliby chodziło o sprowadzenie trójcy zasad do jednej, to tylko zasada wyłączonego środka nadawałaby się po temu, ona bowiem jedna zawiera w sobie obiedwie poprzednie, podczas gdy zasada niesprzeczności zamyka w sobie tylko zasadę tożsamości, ta zaś niczego innego w swem łonie nie kryje. Zresztą pojmuje on te trzy zasady jako pokrewne, ale odrębne; mianowicie podług niego zasada tożsamości byłaby wyrazem zasadniczej funkcyi naszego umysłu, polegającej na porównywaniu cech zgodnych, a jednocześnie byłaby prawem podstawowem sądów twierdzących, zasada niesprzeczności od-

---

[1] Por. np. Liberatore, *Logica,* c. 5, a. 2. — Tongiorgi, *Ontologia,* n. 28—39. — Palmieri, *Ontologia,* th. 4. — Schiffini, *Philosophia prima,* th. 2. — De Maria, *Logica,* qu. 4 a. 1. — Urràburu, *Ontologia.* Disp. 1, c. 1, a. 3. — T. Pesch, *Institutiones logicales,* II, n. 1243 sqq. i wielu innych.

[2] „Für das subjective Denken wird die Ausschliessung des Widerspruchs in dem sogenannten Satz von Widerspruch formuliert. Dieser Satz allein ist die Grundlage der subjektiven Logik, aber nicht der Satz der Identität und noch weniger die Dreiheit des Satzes der Identität, des Widerspruchs und des ausgeschlossenen Dritten als dreier, logisch von einander unabhängiger Sâtze". *Kategorienlehre.* Leipzig 1896, p. 308.

„Demnach ruht die logische Bedeutung des Satzes der Identität, lediglich auf seiner Prävention gegąn den Widerspruch und ist nur von dem Satz vom Widerspruch abgeleitet". Ib. p. 310.

[3] Por. np. Rabier, *Leçons de Philosophie* I[3]. *Psychologie,* p. 350 sq.

powiadałaby drugiej funkcyi zasadniczej rozróżniania, i stanowiłaby fundament sądów przeczących, nakoniec zasada wyłączonego środka byłaby prawem podstawowem dla analizy pojęć i sądów rozjemczych [1]. Głośny znowu profesor logiki z Tybingi, Sigwart, nie przyznaje najpierw godności podstawowego i osobnego pryncypium zasadzie wyłączonego środka [2], upatruje istotną różnicę między zasadą sprzeczności Arystotelesa a zwyczajną zasadą niesprzeczności [3] i tylko zasadzie Stagiryty przypisuje znaczenie prawdziwie podstawowe [4], obok zaś zwyczajnej zasady tożsamości stawia osobną zasadę zgodności *(Princip der Uebereinstimmung)*, którą uważa za właściwą podstawę sądów twierdzących [5].

Jest wreszcie nie mało filozofów, którzy zostawiając zasadę wyłączonego środka na uboczu jako mniej podstawową i mniej pierwotną, uważają zasadę tożsamości i niesprzeczności za jedną i tę samą zasadę, przedstawioną tylko w dwu różnych postaciach [6]. Otóż zdaje się nam, iż nie popełnimy wielkiego błędu, jeśli w tej rzeczy przyłączymy się do tych właśnie filozofów.

I rzeczywiście. W kwestyi naszej nie chodzi nam wcale o formy zewnętrzne, tem mniej o drobiazgowe subtelności i wyróżnienia dyalektyczne, ale chodzi nam o jądro rzeczy samej. A mamy to mocne przekonanie, że i zwyczajna zasada tożsamości i zasada sprzeczności perypatetyków i utarta zwyczajem zasada niesprzeczności stwierdzają naprawdę i w gruncie rzeczy jedno i to samo: że byt wszelki jest koniecznie identyczny z samym sobą, czyli, że nie może być sprzecznym w sobie, czyli że nie można o nim wydać jednocześnie dwu sądów sprzecznych.

---

[1] Wundt, *Logik* 1². 6. Ab. 1. Cap. — *System der Philosophie*. 2 Aufl. 1. Abs. III.

[2] *Logik* 1², p. 198, 203.

[3] Ib. § 23.

[4] Ib. p. 193.

[5] Ib. § 14.

[6] Por np. A. Fouillée, *Les origines de notre structure intellectuelle et cérebrales. Revue phil.* 1891. T. XXXII. — Idem, *La psychologie des idées-forces*. 1893. T. II, l. 5, c. 5. — Ladd, *Philosophy of Knowledge*. 1867, c. 9. — Paul Janet, *Traité élémentaire de philosophie*. 6 éd. *Logique*, c. 2. — Jeśli nie słowa ale rzecz samą weźmiemy na uwagę, to tutaj też należy zaliczyć wszystkich niemal neoscholastyków.

Żaden bowiem filozof nie pojmuje zasady tożsamości A = A, jako czystej tautologii lub jako prostego skonstatowania pewnego jednostkowego faktu, ale jako zasadę ogólną i prawo konieczne. Pojęta zaś jako prawo ogólne i konieczne zasada tożsamości jest równoznaczna z zasadą niesprzeczności i różni się od niej tylko wyrazem zewnętrznym. Kto bowiem stwierdza z wszelką pewnością, że A koniecznie jest A (rozumie się wtenczas, kiedy i jak długo jest A), ten tem samem jak najniewątpliwiej twierdzi, że A nie jest i nie może być jednocześnie nieA, czyli: kto niezawodnie twierdzi, że, co jest, koniecznie jest, tem samem oczywiście stwierdza równoznaczną niemożliwość sprzeczności: co jest, nie może jednocześnie nie być. Można zatem nie bez racyi a bez wielkiego naciągania zasadę tożsamości i zasadę niesprzeczności uważać za istotnie równoznaczne. Tem zaś samem kwestya o rzeczowe pierwszeństwo w godności tych zasad całkowicie odpada.

Gdyby kto jednak w wyznaczeniu pierwszeństwa jednej z tych zasad chciał koniecznie wciągnąć w rachubę i samą ich formę zewnętrzną, jeszcze i wtenczas nie łatweby było stanowcze rozstrzygnięcie kwestyi. Z jednej bowiem strony twierdzenie jest bez zaprzeczenia aktem pierwotniejszym od przeczenia, zasada więc tożsamości, która wyrażona jest w formie twierdzącej, miałaby z tego względu pierwszeństwo przed zasadą niesprzeczności, przedstawioną w formie przeczącej; z drugiej jednak strony chodzi w pierwszym rzędzie o zasadę ogólną i konieczną, a konieczność ta jest niewątpliwie lepiej uwidoczniona i silniej zaznaczona w formie przeczącej, z tego zatem względu wyższą byłaby zasada niesprzeczności. Dlatego i z tego punktu widzenia nie myślimy wcale o staczaniu z kimkolwiek sporu w obronie jednej z dwojga tych zasad, a jest nam całkiem obojętną rzeczą, która z nich komu więcej do przekonania i smaku przypadnie. Z swojej strony zaznaczamy raz jeszcze, że naszem zdaniem są to zasady co do rzeczy samej równoznaczne, że więc stanowią w istocie jedną zasadę, którą ze względu na dwupostaciowość, w jakiej zazwyczaj się pojawia, możnaby nazwać zasadą tożsamości i niesprzeczności.

Tak się przedstawia zasada tożsamości i niesprzeczności w swej rzeczowej treści i w swojej, bardzo nieraz zmienianej, zewnętrznej postaci. Chciejmy teraz z refleksyą zdać sobie sprawę z tego, jak daleko i szeroko, jak głęboko i wysoko sięga swem znaczeniem owa *dignitas dignitatum* i owo *primum principium* starych i nowych scholastyków.

Jest to najpierw zasada najbardziej przejrzysta, najjaśniejsza, najoczywistsza ze wszystkich prawd ogólnych i koniecznych. Niema prostaczka o zdrowych zmysłach, niema filozofa o trzeźwej głowie, któryby tej oczywistości nie widział i nie uznawał, któryby jej na każdym kroku — w każdym sądzie — choćby podświadomie nie stwierdzał. Zasada ta — to cecha znamienna, wyróżniająca człowieka od każdego bydlęcia, chociażby w rzędzie małp postawionego, to dobitny i jędrny wyraz o owej zdolności, ujawniającej się nieustannie w tem maleńkiem słówku „jest", któremu według znanego powiedzenia Rousseau'a może nadać znaczenie jedynie istota rozumna [1].

A jednak filozofia naszego stulecia, która miasto ciemne rzeczy wyświecać a zawiłe rozwikływać, najczęściej tylko jasne rzeczy w grube pogrąża ciemności, znalazła i na tej kryształowo przejrzystej zasadzie plamę czarną. Ażeby zatem na naszej zasadzie nie pozostał i cień jakiejś wątpliwości i żeby jej brylantowa jasność niczem zamącić się nie mogła, musimy zwrócić uwagę i na ten z wielu względów ciekawy zarzut. Trudność tę, która umysłom goniącym za subtelnościami dyalektycznemi mogłaby się nasunąć z zestawienia treści i formy naszej zasady, a na którą niejeden filozof spogląda bardzo poważnie, tak możnaby w krótkości za Weberem [2] i Segondem [3] przedstawić.

W sądzie A jest A, byt jest bytem, byt przeciwstawia się sobie samemu, tem zaś samem występuje od razu element, ja-

---

[1] „Selon moi, la faculté distinctive de l'être intelligent est de pouvoir donner un sens à ce petit mot *est*".

[2] L. Weber, *Le principe de non contradiction comme principe dialectique. Revue phil.* Mars. 1897.

[3] J. Segond, *Essai sur l'Identité: le principe, son origine, son application Annales de phil. chrét.* Avril. 1897.

kiego nie zna właściwa tożsamość. W istocie podmiot A wyróżnia się od orzeczenia A. Przez sam fakt, iż uważamy dwa pojęcia i zestawiamy je naprzeciwko siebie, wyróżniamy je. Otóż to rozróżnienie, co prawda czysto formalne i występujące tylko jako warunek wypowiedzianego sądu, zrywa jedność bytu stwierdzonego tylko. Wypowiedziany sąd A jest A przypuszcza wprowadzenie w byt pewnej dwoistości, która jest widocznem zaprzeczeniem bewzględnej jedności czystego bytu. Sąd tożsamości wypowiada rozłączenie analityczne dwu pojęć podmiotu i orzeczenia, a mimo to stwierdza jednocześnie zespolenie się ich syntetyczne w stosunku inherencyi. Skąd taki wynik: forma zasady tożsamości jest sprzeczna z treścią swoją [1].

Mielibyśmy w ten sposób w samej zasadzie tożsamości i niesprzeczności sprzeczność niemałą. Jeśli to nie jest sztuczna tylko łamigłówka dyalektyczna, to trudność byłaby prawdziwie poważna. Segond przejmuje się nią do tego stopnia, iż na jej barkach wsparty dochodzi do bardzo oryginalnych rezultatów: że niema sądów analitycznych, bo każdy sąd analityczny jest niemożliwy; że między poznaniem i rzeczywistością jest sprzeczność wyraźna, a poznanie samo opiera się na podstawowej iluzyi tożsamości; że sam też akt syntetyczny w myśli jest niemożliwy, bo myśl z natury swojej jest różnorodna — w końcu, ażeby wybrnąć z tych wszystkich sprzeczności i niemożliwości, ucieka się do Pana Boga i jego miłości, która dopiero stwarza i prawdziwą tożsamość i rzeczywistą. — Weber pojmuje rzecz całą mniej gorąco, jednak również bardzo poważnie i usiłuje szczegółowo i szeroko wykazać i udowodnić, że owa sprzeczność nie jest rzeczywista, jeno rzekoma i pozorna. Robi to najpierw ubocznie. Skoro bowiem zasada tożsamości tkwi na spodzie każdego sądu, więc jedno z dwojga: albo tożsamość jest czczem słowem, a istota sądu, łącznik, jest niedorzecznością, albo też tożsamość jest najbardziej rzeczywista z wszystkich rzeczywistości, a łącznik jest wewnętrzną sprężyną myśli wszelkiej. Oczywista rzecz, że przyjęcie pierwszego albo byłoby zni-

[1] *Rev. phil.* l. c. p. 252.

weczeniem każdego twierdzenia, że ono wtrąciłoby rozum w chaos bezbrzeżny, w porównaniu z którym szaleństwo najbardziej bezładne byłoby jeszcze ładem i porządkiem. Nie wystarcza Weberowi rozprowadzenie tej myśli; stara się nadto wprost pokazać, że nie może być mowy o rzeczywistej sprzeczności w zasadzie tożsamości. Samo to dowodzenie, subtelne bardzo, nie bardzo krótkie i jasne, — nie ręczymy nawet, czyśmy je dobrze zrozumieli — nie da się zwięźle uchwycić i sformułować, a schodzi ostatecznie na to, że zasada tożsamości nie jest sprzeczna w sobie, bo żaden sąd jako taki nie jest sprzeczny w sobie, gdyż każdy sąd jest tem, czem jest; żeby zaś sprzeczność gdzieś wystąpiła, do tego potrzeba koniecznie rozumowania.

Trudność powyższa ani nie zapala nas tak wysoce jak Segonda, ani nie nastraja tak strasznie poważnie jak Webera, bo zdaje się nam, że na rozwianie tej subtelnej mgiełki dyalektycznej wystarczy najzupełniej słoneczna jasność, od samej zasady bijąca. Wystarczy przecież przenieść tylko wzrok umysłu na chwilkę z trudności na podstawowe prawo nasze, a trudność pierzchnie od razu i przestanie być trudnością. I nie chodzi nam znowu o wyjaśnienie tej kwestyi na podstawie jakiejś już przyjętej teoryi poznania, co naszem zdaniem byłoby na tem miejscu błędem logicznym niemałym, ale chodzi nam o pełną refleksyę nad oczywistością naszej zasady, o zdanie sobie sprawy z rzeczy na chłopski rozum, jaki posiada każdy człowiek dojrzały, niefilozof, a posiadaćby tem bardziej powinien każdy filozoficzny myśliciel. Otóż czy może być coś jaśniejszego, coś bardziej przez się zrozumiałego dla takiego chłopskiego, żadnemi naukowemi teoryami nieuprzedzonego rozumu, jak to, że sądy: A jest A, żadna rzecz nie może jednocześnie być i nie być, jam jest ja, a nie granitu kawał lub kłoda drzewa — nie zawierają w sobie żadnej sprzeczności? Jest to tak jasne dla każdego niezamąconego umysłu, iż jasnem jest nawet, że chcieć tu wykazywać w jakikolwiek sposób brak sprzeczności, byłoby grubą niedorzecznością logiczną. Tu wystarczy naprawdę chcieć popatrzeć się na rzecz samą. Kto to zrobi, tem samem niewątpliwie wszystko i to dobrze zobaczy. Zobaczy lub raczej zro-

zumie i to, że owa niemożliwość ścisłego wykazania niesprzeczności to nie oznaka słabości i ograniczenia inteligencyi naszej na tym punkcie, ale dowód właśnie przejrzystej oczywistości i wielkiej doskonałości poznania a bezwzględnej prawdziwości samej zasady. Trzebaby jakiegoś dziwnie anormalnego wzroku, któryby do czytania wyraźnego druku potrzebował koniecznie mikroskopu złożonego lub lunety astronomicznej. A cobyśmy powiedzieli, gdyby taki wzrok znalazł się na świecie i zaczął w nas wmawiać, że my książki jakiejś przeczytać nie możemy, bo nie jesteśmy w stanie dokonać tego przy pomocy mikroskopu lub teleskopu! Trzeba w istocie długoletniej gimnastyki i nienaturalnej tresury umysłowej podług przepisów jakiejś logiki czysto formalistycznej, ażeby powyższą trudność na seryo postawić.

Każdy człowiek, przyzwyczajony nieco do introspekcyi psychologicznej, do refleksyi nad sobą, zna doskonale ów akt psychiczny, który pospolicie sądem nazywamy, chociaż nikt go na prawdę, nawet żaden filozof, ściśle określić nie potrafi, bo to akt umysłowości naszej najwłaściwszy, najbardziej rdzenny i podstawowy, najbardziej pierwotny, do innych aktów w żaden sposób sprowadzić się niedający. Każdy też wie doskonale, że w żadnym sądzie (np. ruń wiosenna jest szmaragdowa) nikt z nas nie ma na myśli i nie twierdzi, jakoby podmiot sądu formalny (pojęcie subjektywne runi wiosennej) był formalnem orzeczeniem sądu (pojęciem koloru szmaragdowego), czyli nie stwierdza bynajmniej tożsamości formalnej, tożsamości form umysłowych, które są dwoma bytami indywidualnie różnemi; że natomiast w każdym sądzie idzie nam o stwierdzenie tożsamości przedmiotowej i to zawsze w granicach przez sąd duszy zakreślonych, tj. że ów przymiot, który pojmujemy pod formą orzeczenia (kolor szmaragdowy), znajduje się w bycie, który pojmujemy pod formą podmiotu (ruń wiosenna) i w ten sposób i w tem znaczeniu dwie te rzeczy stanowią pewną tożsamość rzeczywistą.

To samo da się zastosować do zasady tożsamości i niesprzeczności. Ktoby przyjął, że w sądzie chodzi o zaznaczenie tożsamości dwu naszych pojęć podmiotowo uważanych, a więc

dwu form umysłowych — taki. rzecz oczywista, nie mógłby postawić zasady tożsamości bez sprzeczności, taki bez sprzeczności nie mógłby wydać żadnego wogóle sądu. Można wprawdzie słowami w powyższy mniej więcej sposób sąd określać — takiego jednak sądu nikt jeszcze nie wydał, nikt, nawet formalista żaden, wydać nie może. Takiego też sądu lub raczej niesądu brać na uwagę nie myślimy. Dla jednej tylko logiki formalistycznej trudność to prawdziwa, ale trudność, która jej jednocześnie udar serca i mózgu sprowadza — taka logika zasady tożsamości i niesprzeczności postawić nie może, bo sprzeczność wewnętrzna to jej zasada i wada kardynalna.

Jak więc rdzennie, jak istotnie związana jest przedmiotowość z właściwą, wewnętrzną naturą sądu! Jak oczywista jest tożsamość i niesprzeczność w zasadzie tożsamości i niesprzeczności na chłopski rozum, bez metafizycznych teoryj i przesądów pojętej!

W istocie nie może też być inaczej. Zasada tożsamości wyłania się i wykwita bezpośrednio z pojęcia bytu. Że zaś pojęcie bytu każdy posiada, nie ulega żadnej wątpliwości. Dość przypomnieć to, cośmy powiedzieli o niewątpliwej oczywistości samowiedzy, istnienia jaźni. Samo nadto pojęcie bytu jest najprostsze ze wszystkich pojęć możliwych, bo zawiera w treści swojej jedną tylko niepodzielną, całkiem niezłożoną, najprostszą cechę: akt bytowania. Otóż rozum, zastanawiając się nad treścią pojęcia bytu. przedstawia natychmiast akt bytowania, który w bycie samym jasno i intuicyjnie poznaje, na sobie samym w postaci sądu. Ten sąd, który każdy rozum na mocy natury własnej niezawodnie wyda, jest zasadą tożsamości: byt jest, czyli co jest, jest. Że zaś rozum nasz, mając pojęcie bytu, ma jednocześnie pojęcie niebytu; więc, porównywając je, widzi niezbicie od razu, że one się wykluczają wzajemnie, czyli że zachodzi między niemi sprzeczność oczywista, i wydaje sąd: byt nie jest niebytem, niebyt nie jest bytem. A że rozum wreszcie zaznacza zazwyczaj wyraźnie doskonałość swojej intuicyi i niewątpliwą oczywistość konieczności w poznaniu, więc robi to i w tym przypadku, gdzie intuicya przedmiotu najdoskonalsza

i najłatwiejsza, gdzie błąd stanowczo wprost jest niemożliwy, i nadaje powyższym sądom formy apodyktyczne: byt jest koniecznie bytem, byt nie może równocześnie nie być, ta sama rzecz nie może jednocześnie być i nie być[1].

W taki mniej więcej sposób można nieco wytłumaczyć i uzasadnić oczywistość naszej zasady. Nie wynika jednak z tego, żeby tłumaczenie to miało być dla każdego umysłu oczywistsze od samej zasady. W prawdach bowiem pierwotnych i całkowicie przez się zrozumiałych dzieje się zazwyczaj a po części dziać się musi tak, iż wszelkie tłumaczenie i uzasadnienie zaciemnia je raczej, niż rozjaśnia — są to w istocie i być powinny nawet owe szkła zadymione i zaciemnione, jakich używamy podczas spoglądania na słońce, służyć mają wyłącznie do tego, by rażąco olśniewającą jasność prawd złagodzić i przyciemnić nieco a za to umożliwić i wywołać dokładniejszą wyrazistość przedmiotu. Nie chcemy również twierdzić przez podanie owego tłumaczenia, jakoby każdy człowiek miał dochodzić refleksyjnie w ten sposób do poznania i świadomości tych zasad. Przez refleksyę nad jakimkolwiek właściwym aktem poznawczym (sądem) można również bardzo dobrze i uprzytomnić sobie samą zasadę i o jej oczywistym blasku naocznie się przekonać.

Oczywistość atoli oczywistości nie równa. Jest wiele prawd, które dla jednego mogą być zupełnie oczywiste, a które drugiemu trzeba dopiero jak najściślej udowodnić; są inne, które na prawdę i ściśle dowieść się nie dadzą. Do ostatnich należy nasza zasada.

Zasada tożsamości i niesprzeczności dowieść się nie da. Dowód bowiem taki musiałby mieć siłę przekonywającą niezależnie i w oderwaniu od naszej zasady; tymczasem wszelkie dowodzenie czerpie moc sobie właściwą z prawa niesprzeczności i na niem się dopiero gruntuje. Prócz tego przesłanki dowodu nie powinny nigdy suponować tego, czego dowieść należy, i powinny wyrażać pewną konieczność logiczną; tymczasem każdy

---

[1] Porów. Pesch, *Institutiones logicales*, nr. 1229. — Podobnie najczęściej wywodzą i inni neoscholastycy te zasady z pojęcia bytu. Il. cc.

jakikolwiek sąd zasadę tożsamości i niesprzeczności w sobie zawiera, w oderwaniu zaś od niej żaden sąd sądem właściwym, a więc na przesłankę dowodu nadającym się, być absolutnie nie może. Znowu rzecz jasna sama przez się do tego stopnia, iż jej tłumaczeniem dalszem zaciemniać nie chcemy.

A jednak w dziedzinie logiki tak poważny i tak zasłużony badacz i myśliciel, jak F. Ueberweg [1], utrzymuje na seryo, że dowód tej zasady jest i możliwy i wskazany i konieczny. Jest wskazany i konieczny, skoro raz po raz podnosi się tyle spornych kwestyj o sformułowaniu, o ważności, o granicach zastosowania tej zasady [2]; jest możliwy, gdyż sam Ueberweg prawdziwy dowód podaje [3].

Dowodzenie to w dosłownem tłumaczeniu tak się przedstawia: „Dowód tej zasady trzeba przeprowadzić za pomocą definicyi prawdy, sądu, twierdzenia i przeczenia. Według tych definicyj prawda twierdzenia oznacza to samo, co zgoda kombinacyi wyobrażeń z rzeczywistością, a więc co fałsz zaprzeczenia; prawda zaś zaprzeczenia oznacza to samo, co niezgodność kombinacyi wyobrażeń z rzeczywistością, a więc co fałsz twierdzenia — tak iż, kiedy twierdzenie jest prawdziwe, przeczenie jest fałszywe, a kiedy przeczenie jest prawdziwe, twierdzenie jest fałszywe, czego właśnie dowieść należało".

O tym dowodzie wystarczy w krótkości zauważyć:

Najpierw nie jest to dowód prawdziwy, jeno częściowe objaśnienie samej zasady. Gdybym bowiem wytłumaczył komu, co należy rozumieć przez 3, co przez 4, a co przez 7, na to, iżby mu następnie przez proste zestawienie pokazać prawdziwość wyniku: $3 + 4 = 7$, czyby ktokolwiek nazwał to tłumaczenie dowodem właściwym?

Powtóre samo to tłumaczenie opiera się najwidoczniej na zasadzie tożsamości i niesprzeczności, przypuszcza bowiem jako rzecz niezawodną, że twierdzenie nie jest i nie może być jednocześnie przeczeniem, że prawda nie jest fałszem; więc jako dowód wzięte suponowałoby to, co ma być dowiedzione.

[2] *System der Logik.* § 77. Mamy pod ręką wydanie IV z r. 1874.
[2] Ib. p. 193 sq. [3] Ib. p. 191.

Po trzecie rozprowadzenie to możnaby zwrócić ostatecznie do takich tylko, którzyby się zgodzili na definicye sądu, prawdy, fałszu podług Ueberwega, a powątpiewali jeszcze o prawdziwości samej zasady naszej. Otóż zdaje się nam, że bez trudności możnaby znaleźć wielu filozofów, co zasady niesprzeczności podejrzywać o nic nie będą, a na definicye Ueberwega niezupełnie zechcą się zgodzić, natomiast może i po wielkich trudnościach nie znaleźlibyśmy filozofa, któryby przyjął owe definicye, a o samej zasadzie sąd swój zawiesił.

Po czwarte wreszcie chętnie przyznajemy, że w niektórych przypadkach można komuś ubocznie dowieść prawdziwości naszego prawa podstawowego. U samego Arystotelesa znajdujemy takich dowodów kilka [1]. Tego jednak, że się komuś na podstawie jego przypuszczeń wykaże całe mnóstwo niedorzeczności i sprzeczności w tem i z tem, co sam przyznał, w razie, gdy się nie zgodzi na prawdziwość zasady, ni Arystoteles ni kto inny dowodem właściwym nie nazywa i nazywać rozumnie nie może; tem bardziej, że jeśli które, to uboczne dowody opierają się najoczywiściej i jedynie na zasadzie tożsamości i niesprzeczności.

Dowód zatem ścisły nie bardzo jest możliwy. Nie jest on również ani wskazany ani konieczny. Zasada bowiem tożsamości i niesprzeczności jest tak słonecznie jasna, iż jasnością swą olśniewa każdego, jest tak kryształowo przejrzysta i tak dziwnie łatwo przez się zrozumiała, że zrozumiałością największego wroga swego do siebie przykuć potrafi, a tem samem przekona go niezbicie o prawdzie swej. Nietylko bowiem każdy, co zechce, może się upewnić o jej bezpośredniej i nieomylnej oczywistości, ale nawet ten, co na jej blask zamyka oczy, co słowami starać się będzie zaprzeczyć jej prawdzie lub o niej powątpiewać, samem jej zaprzeczeniem i samem powątpiewaniem o niej będzie musiał uznać i niezłomną jej prawdę i jej oczywistość konieczną. „Ktokolwiek bowiem — słusznie uważa Tongiorgi [2] – zaprzecza

[1] *Met.* IV, 4—6. — Dobre i obszerne rozprowadzenie tych elenchtycznych dowodów podaje H. Maier l. c. p. 47—73.

[2] *Institutiones philosophicae.* I[2] *Logica,* nr. 428.

jakiej rzeczy, zaprzecza dlatego, że uważa to za fałsz, nie zaś za prawdę; ktokolwiek wątpi o czem, wątpi dlatego, że się obawia, by fałszu nie wziął za prawdę. A więc ktokolwiek przeczy lub wątpi, przypuszcza i przyjmuje za rzecz niewątpliwą, że fałsz prawdą być nie może. Za pewną zatem uważa zasadę niesprzeczności".

Jest tu zatem oczywistość tak wyjątkowa, iż kto tylko ma rozum, czy chce czy nie chce, nie uznać jej nie może.

Tem się tłumaczy znaczenie kryteryologiczne naszej zasady. Jest ono rozmaite. Najpierw oczywistość naszej zasady może być uważana za wzór i normę samej oczywistości. Wprawdzie ostatecznem kryteryum prawdy logicznej jest niewątpliwie oczywistość sama tj. bezpośrednia intuicya samej prawdy przedmiotowej; praktycznie jednak nie posuwamy się bardzo często tak daleko. Wystarczy nam w wielu razach jakaś oczywistość normalna, z którą możemy zestawić i porównać oczywistość aktualnego poznania. Czem w pracowniach fizycznych termometr i barometr normalny, czem w miarach metrycznych archiwalny metr paryski — tem w dziedzinie naszego poznania zasada tożsamości i niesprzeczności. Tak częste odwoływanie się i zaznaczanie w poznaniu, że coś jest tak jasne, jak dwa a dwa cztery, jest jednem z tego rodzaju zastosowań naszej zasady.

Jest jeszcze inne wielkiej wagi i doniosłości znaczenie kryteryologiczne tej tak znakomicie i wzorowo oczywistej zasady. Prawo tożsamości i niesprzeczności bywa często i słusznie używane jako właściwe kryteryum prawdziwości sądów, chociaż tylko jako kryteryum częściowe. Jest to kryteryum z natury swej często negatywne, ale niewątpliwe. To nie jest prawdą — bo to jest sprzeczne w sobie; tak być istotnie musi, bo przeciwieństwo tego jest wprost niemożliwe i t. p. — oto zwyczajne zastosowania kryteryologiczne naszej zasady w drugiem znaczeniu [1]. Z tego punktu uważana zasada tożsamości i niesprzeczności

[1] Zgadzamy się więc pod tym względem z tymi autorami, którzy stawiają zasadę niesprzeczności, jako zasadnicze kryteryum prawdy. Różnimy się od nich w tem, że ściśle ostateczne kryteryum widzimy nie w samej zasadzie pierwszej, jeno w oczywistem poznaniu przedmiotu.

jest dla każdego najniezawodniejszą i najbardziej nieubłaganą zasadą krytyki swoich i cudzych aktów poznawczych, jest, jak dobrze Weber się wyraża, modłą, sumieniem i wodzem samego rozumu [1]. Zasada bowiem nasza jest wzorem i formułą sądu wogóle lub, jak chce Wundt [2], jest fundamentalnem prawem każdego sądu.

W istocie jest to wzór i formuła sądu wogóle. Każdy sąd bowiem da się do tej zasady jak do swego idealnego prototypu sprowadzić, bo ogólna formuła, w jakiej da się przedstawić prawda każdego sądu, nic wyraża nic innego, jak tylko konieczne połączenie czyli tożsamość przedmiotu (bytu) poznanego z samym sobą. Konieczna zaś tożsamość bytu z sobą samym jest to samo, co konieczna sprzeczność bytu i niebytu. A jedno i drugie jest wyrażone w naszej zasadzie [3]. — To też każdy sąd na swój sposób i w swoim zakresie wyraża i zawiera tę zasadę. Ogólny bowiem schemat sądu można wyrazić znaną formułą: A jest B. Otóż stwierdzenie A jest B wyklucza sąd A jest nieB. Gdyby bowiem możliwy był jednocześnie sąd A jest nieB, to tem samem musiałby jednocześnie być możliwy sąd B jest nieB (z tego bowiem, że A = B i A = nonB, wynika wprost B = nonB), co jest sprzeczność oczywista i niedorzeczność naga, a nie sąd właściwy [4]. Każdy sąd zatem o tyle jest sądem właściwym, o ile jest wiernem odbiciem zasadniczego wzoru swego.

A nietylko wzoruje się każdy sąd na zasadzie tożsamości i niesprzeczności — każdy też opiera się na niej jako na właściwej podwalinie swojej, każdy czerpie z niej rdzenną moc i konieczność swoją. Każdy sąd, jakikolwiek on jest, czy analityczny czy syntetyczny nawet, wyraża pewną przedmiotową konieczność, przynajmniej warunkową; i znowu o tyle tylko jest

[1] L. c. p. 277. — Podobnie zapatruje się Mercier: „Le principe de contradiction joue dans notre vie intellectuelle le rôle de règle directrice; il guide chacune des énonciations que nous établissons entre les éléments de la pensée, il est la condition d'évidence de tout ce qui fait l'object de la connaissance certaine". *Critér. génér.* p. 105.

[2] L. c.

[3] Cfr. Liberatore, Schiffini, De Maria, l. c.

[4] Cfr. Weber, l. c. p. 253.

sądem właściwym, o ile tego rodzaju konieczność przedmiotową wypowiada. Konieczność zaś ta w sądzie objawia się tem potężniej, im bardziej sąd zbliża się do samej koniecznej zasady; objawia się o tyle tylko, o ile sąd jest dokładnym owej zasady wyrazem [1].

Na spodzie zatem każdego sądu właściwego tkwi istotnie sama zasada tożsamości i niesprzeczności; każdy sąd jej siłą jest silny, z niej jak z korzenia i rdzenia swego czerpie czerstwość i żywotność swoją.

Skoro zaś prawo nasze jest tak rdzennie zasadnicze dla każdego sądu, to tem bardziej dla innych zasad i praw ogólnych. Inne bowiem zasady suponują również zasadę tożsamości i niesprzeczności, zawierają ją w sobie i na swój sposób wyrażają, z niej również biorą siłę swą i konieczność, na niej się opierają i gruntują. Bez zasady naszej żadna inna ani na chwilkę ostać się nie może; przy pomocy zasady niesprzeczności można wiele z tych zasad ściśle udowodnić, wszystkie przynajmniej ubocznie wykazać.

Nic dziwnego zatem, że prawo nasze uważane jest powszechnie za zasadę *par excellence* podstawową, kardynalną, fundamentalną [2].

A rdzenna ta zasadniczość prawa tożsamości i niesprzeczności nie jest ujęta w zamknięte jakieś ryzy i karby apryoryczne i subjektywne, ani też zacieśniona do pewnej tylko dziedziny poznania lub do pewnego tylko porządku wszechbytu. Powszech-

---

[1] Tę samą rzecz przedstawia T. Pesch nieco inaczej: „Nulla in iudicando necessitas, ubi nulla apparet impossibilitas iudicandi aliter. Nulla eius generis impossibilitas, ubi nulla repugnantia. Nulla apparet repugnantia, ubi nulla apparet contradictio. Sed contradictio est tantum inter Esse et Non-esse. Sed haec inter Esse et Non-esse oppositio principio contradictionis exhibetur". *Inst. log.*, II, n. 1004. Nie zdaje się nam to jednak ogólnie i pod każdym względem prawdą, bo często, jak dobrze już zauważył Sigwart (*Logik* I², p. 241), poznajemy oczywistą niemożliwość sądu z danym sądem sprzecznego stąd dopiero, żeśmy oczywiście poznali konieczną tożsamość w sądzie pierwszym wyrażoną.

[2] Na tym punkcie i przeciwnik teoryi Balmesa-Tongiorgiego, Mercier, w zgodzie jest z nami: „Le principe de contradiction est le seul qui soit véritablement fondamental; il est, au sens absolu du mot, le premier principe". *Crit. gén.*, p. 104.

ność tej zasady jest w pełnem tego słowa znaczeniu nieograniczona, jeśli ktoś chce, nieskończona, sięga tak daleko, jak daleko roztacza się firmament wszechbytu. Racya tego jest oczywista. Pojęcie bytu tkwi zasadniczo we wszystkich innych pojęciach, bo jest pojęciem ze wszystkich pojęć najprostszem, najpierwotniejszem, najogólniejszem i najpowszechniejszem. Najpowszechniejszą zatem i najogólniejszą i najściślej pierwszą będzie ta zasada, która bezpośrednio wyłania się z samego pojęcia bytu. A taką jest zasada tożsamości i niesprzeczności [1]. I z tego względu i w tem znaczeniu można naszą zasadę nazwać transcendentalną lub przestępną.

Zasada ta zatem jest w pierwszej linii ontologiczna, jak to zawsze filozofia dawniejsza aż do czasów najnowszych jako rzecz przez się oczywistą przyjmowała i zaznaczała, dopiero zaś dlatego, że jest zasadniczem prawem wszechbytu, jest ona również i to niemniej zasadniczem prawem logicznem w znaczeniu przedmiotowem, a w następstwie jednego i drugiego koniecznem prawem podmiotowem i psychologicznem. W tej mierze ten tylko może mieć jakieś rzekomo nierozwiązalne trudności, ktoby chciał gwałtem i koniecznie zaprzeczyć przedmiotowości naszej zasady.

Atoli przedmiotowość zasadniczego tego prawa, jak i prawo samo, żadnym gwałtem nadwerężyć się nie da. Wśród wszystkich pocisków i ataków przeciw niej wymierzonych, ona stoi i zawsze stać będzie pogodna i jasna, niewzruszona i niezachwiana, zwycięska do tego stopnia, że filozofia, którąby przez podanie w wątpliwość tej przedmiotowości chciała sobie samej życie odebrać, musiałaby jeszcze i sam ten akt rozpaczliwego samobójstwa umysłowego wykonać w imię tej zasady, mocą jej przedmiotowości.

I nie potrzeba nad tem szeroko się zastanawiać. W rzeczy-

[2] „In his autem, quae in apprehensione hominum cadunt, quidam ordo invenitur: nam illud, quod primo cadit in apprehensione, est ens, cuius intellectus includitur in omnibus, quaecumque quis apprehendit; et ideo primum principium indemonstrabile est, quod non est simul affirmare, et negare, quod fundatur supra rationem entis, et non entis: et super hoc principio omnia alia fundantur, ut dicit Philos. in 4 Metaphys.“ S. Thomas. S. th. 1, 2, q. 94, a. 2. c.

wistości bowiem nikt najpierw ze zwyczajnych śmiertelników inaczej jak przedmiotowo zasady tożsamości i niesprzeczności nie pojmuje, co więcej, trzebaby długich wywodzeń, aby kogokolwiek, nie płynącego razem z najświeższemi prądami filozoficznemi, przekonać, że pewni ludzie, co się do filozofów zaliczają, pojmują tę zasadę jako prawo czysto formalne lub formę czysto podmiotową. Lecz i filozofowie sami, przynajmniej ci, którzy od czasu do czasu raczą słowem czy to żywem czy pisanem podzielić się płodami umysłu swego z innymi ludźmi, dają w istocie, chcąc nie chcąc, wyraz uznania przedmiotowości, a tylko niewielu myślicieli stara się teoretycznie i w samych słowach pojąć tę zasadę czysto formalnie i subjektywnie. Takie jednak pojmowanie jest zgoła nieuzasadnione, nawet oczywiście niedorzeczne.

Że zasada tożsamości i niesprzeczności, ściśle formalnie pojęta, jest widocznym nonsensem, rażącą sprzecznością wewnętrzną, zaznaczyliśmy to już wyżej w sposób dostateczny. Oczywista, że taka zasada, wprowadzająca sprzeczność do wszystkiego, będzie ruiną nie fundamentem, zagładą nie siłą, śmiercią nie życiem filozofii. Ale to samo da się powiedzieć o pojmowaniu naszej zasady, jako ślepego, apryorycznego prawa podmiotowego, na mocy którego musielibyśmy bez racyi a koniecznie wszystkie nasze czynności poznawcze wykonywać podług tej zasady, lecz niezależnie od prawdy przedmiotowej. Kto ją bowiem tak pojmie, ten tem samem przyjąć konsekwentnie musi że ona nie odnosi się do świata pozapodmiotowego, jeno do form czysto podmiotowych, czyli że jest prawem czysto formalnem. Tak zaś dojdziemy znowu do oczywistej sprzeczności i niemożliwości bezwzględnej. — I nie dosyć na tem. Na to samo bowiem, żeby tę zasadę uznać za czysto formalną, za czysto podmiotową, żeby jej przedmiotowości zaprzeczyć lub podać ją w wątpliwość — potrzeba koniecznie przedmiotowości samej zasady. Przecież do tego wszystkiego potrzeba właściwego sądu, sąd zaś znowu z natury swojej, nawet sąd o stanach najbardziej wewnętrznych i podmiotowych, ma sens tylko wtenczas, kiedy wyraża jakąś prawdę przedmiotową, a zatem, kiedy jest

wyrażeniem zasady tożsamości i niesprzeczności w znaczeniu przedmiotowem. Sąd np., że moje podmiotowe pojęcie trójkąta płaskiego i moje podmiotowe pojęcie części płaszczyzny, ograniczonej trzema odcinkami, zgadzają się z sobą, lub sąd, że w tej chwili doznaję bolu głowy, będzie tylko wtenczas sądem właściwym, kiedy wzięty będzie przedmiotowo; inaczej nie będzie to sąd, ale niedorzeczność, której nikt na prawdę pojąć dotychczas nie zdołał jeszcze i nigdy nie zdoła. Na to bowiem prawdopodobnie nie będzie stać żadnego filozofa z normalnym, ludzkim rozumem, iżby na seryo powiedział, że dwa jego akty, indywidualnie różne, są jednym i tym samym indywidualnym aktem. Gdyby zaś kto chciał się odwołać w tej mierze do stałych stosunków, zachodzących między pojęciami, to najpierw samo to odwołanie będzie możliwe tylko na podstawie przedmiotowości, a nadto nie będzie ono znowu niczem innem, jak odwołaniem się wyraźnem do samej przedmiotowości.

Wogóle zdaje się nam, że wystarczająco rozumiemy i dobrze odczuwamy trudności i pokusy wielu myślicieli, co się wzdragają przed przyjęciem jakiejkolwiek przedmiotowości, atoli jeszcze dokładniej, nawet zupełnie jasno, widzimy oczywistą niedorzeczność owych pokus i trudności.

Na tem kończymy. Zasada tożsamości i niesprzeczności jest tak wysoce oczywista, iż samo wątpienie lub zaprzeczenie jest stwierdzeniem jej; tak uderzająco w oczy bijąca, że jej bezpośrednia intuicya może być normą i wzorem samej oczywistości; tak rdzenna i pierwotna, że jest formułą i podwaliną sądu każdego; tak konieczna i zasadnicza, że stanowi fundament innych zasad i wszelkich dowodzeń, nawet ubocznych; tak powszechna bez granic i przedmiotowa, że nic niema i nic nie może być w jakimkolwiek porządku wszechbytu, do czegoby ona z całą ścisłością zastosować się nie dała.

Cała umysłowość nasza opiera się na tej granitowej zasadzie; ona stanowi najważniejszy kamień węgielny w fundamentach codziennego i naukowego poznania naszego; najlżejsze zachwianie jej pociągnęłoby za sobą niepojęcie straszne i okropne

następstwa: zamęt, zawrót, chaos bezdenny na wszystkich polach, w łonie wszechbytu samego, rozdźwięk i zaćmienie samowiedzy samej, niepewność i rozpacz oczywistości i najbezpośredniejszej [1].

A zatem słuszna jest, żeby i filozof zaliczył tę zasadę do prawd podstawowych i pierwotnych, żeby w fundamentach wyniosłej świątnicy swojej nie pominął zasady tożsamości i niesprzeczności.

Ks. Jan Nuckowski.

---

[1] Cfr. Balmes, *Fundamente der Philosophie.* I, p. 169.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Z literatury Mickiewiczowskiej w roku jubileuszowym.

Refleksye ogólne. — Mickiewicziana Wisłockiego. — Wydania zbiorowe dzieł poety. — Przekłady Mickiewicza na obce języki. — Wiersze i utwory okolicznościowe ku czci poety. — Życiorysy popularne: Bełza, Koneczny, Leitgeber, Maćkowski, Orsza, Parylak, Pieniążek, Pepłowski, Strażyńska, Strokowa, Synoradzki, Tarnowski, Wojnar, Wysłouchowa, Redakcye socyalistyczne.

Skończył się zatem rok jubileuszowy. W wspaniałym obchodzie, który koło jednego sztandaru grupował przez dłuższy czas Polaków, udział ludu wiejskiego był niestety jeszcze nader skromnym. Poza tym jednak obrębem, wśród warstw i stanów więcej już wyrobionych, obchód odbił się echem rozgłośnem; podjęto nawet usiłowania, aby Mickiewicza przedstawić takim, jakim on nigdy nie był, a podjęto dlatego, bo inaczej uczynić nie było można.

Naród garnął się nieprzepartą siłą do swego największego wieszcza, — więc płynąć przeciw prądowi było niedobrze i niebezpiecznie. Lepiej przystało pomówić innych o sfałszowanie obrazu, broń nową ukuć przeciwko nim i jakby z pod ziemi wywołać nieznanego dotąd stronnika, choćby z obniżeniem jego wartości. Lecz bądźmy spokojni o te zarzuty; rzucono je wbrew wszelkiej prawdzie i słuszności. Dlatego nie gniewać się, ale cieszyć się nam raczej z tego, że prąd był tak potężny i tak samowładny, iż w interesie własnym nie uchodziło odwracać się od uroczystości.

Nie dziw też, że konserwatywni i radykalni spotkali się tu z sobą na jednej niwie, gdyż mimo postronne zakusy grunt to w istocie neutralny, na który obie strony z całą ufnością wstąpić mogły, bez obrazy własnych interesów i przekonań. I jak mimo wszystko to zespolenie sił ku uczczeniu najpotężniejszego z naszych pisarzy może być miłem i przyjemnem dla każdego z Polaków, tak też siłą rzeczy staje się ono nowym, wiecznie trwałym pomnikiem dla tego, który unikał stronnictw a kochał miliony. Źródło łączności i zespolenia leży tu w samym Mickiewiczu! Naród, kiedy powstał, by uczcić swego dobroczyńcę, uznał w nim mimowiednie wszechstronność uczucia, a ta zgoda bez zasadniczych wyjątków, ta jednomyślność bez poprzedniego umawiania się jest zapewne miarą oddziaływania Mickiewicza na szerokie warstwy, ale jest też jeszcze w wyższym stopniu i rysem charakterystycznym dla oceny poety, rysem prawdziwszym, niż wszelkie choćby najbardziej uzasadnione studya krytyków. Miliony przemówiły tu same za siebie i uznały, że u twórcy „Pana Tadeusza“ nie znalazły niczego, coby je podrażnić mogło. On je wszystkie ukochał zarówno, one też w zamian, choć jeszcze nie wszystkie, przynoszą mu wyrazy czci i miłości.

Obok powyższego rysu charakterystycznego, ku któremu myśl naszą skierować chcieliśmy, nasuwa się nadto, jak sądzę, inna, nie mniejszego znaczenia uwaga. Jeżeli obchód jubileuszowy miał ogarnąć cały naród, to tem samem ruch przez to wywołany, jego intenzywność i rozmiar muszą być na małą skalę probierzem sił naszego społeczeństwa i wskazówką, do czegośmy zdolni i jak daleko postąpiliśmy na polu ogólnej, narodowej oświaty. Dlatego artykuł niniejszy, czuję to dobrze, powinienby właściwie ogarnąć całość ruchu jubileuszowego w jego najrozmaitszych przejawach i stać się poniekąd wiernym obrazem tego, cośmy już osiągnęli, a czego nam dotychczas brak i o co dopiero starać się musimy. O taki jednak obraz nie kusić się jednemu człowiekowi bezpośrednio po przeminięciu zjawiska. Nakreślenia jego może się podjąć i podejmie niezawodnie zbiorowemi siłami Towarzystwo literackie imienia Adama Mickiewicza. Nam wystarczy, jeżeli zwrócimy uwagę czytelników *Przeglądu Powszechnego* na ważniejsze momenty ruchu jubileuszowego, podanie dokładniejszej całości pozostawiając zbiorowym siłom.

Leżą przed nami „Mickiewicziana“ d-ra Władysława Wisłockiego [1],

[1] Kraków, w drukarni „Czasu“ Fr. Kluczyckiego i Sp. 1898.

zestawienie bibliograficzne wydawnictw z pierwszej połowy roku jubileuszowego, pióra owego znanego nam wszystkim niestrudzonego bibliografa, który i w tym wypadku pracującym znakomicie ułatwił przegląd dotyczącej literatury i sam złożył przez to niezwykły hołd poecie. Na 24 stronach sam wyłącznie regestr przeróżnych imion, sam spis wydań, rozpraw, przyczynków i wreszcie nut muzycznych, pamięci Adama poświęconych, w pierwszych tylko sześciu miesiącach roku ubiegłego. Jeżeli do tego dodamy, że w zeszytach *Przewodnika Bibliograficznego* od sierpnia r. 1897 do marca 1898 spotykamy nowy szereg autorów i wydań, jeżeli dalej uwzględnimy, iż „Mickiewicziana" nie objęły znacznej części odświętnych numerów czasopism, okolicznościowych drukowanych wierszy i przemówień, będziemy mieli poważną wiązankę pism jubileuszowych, na którą możemy spojrzeć z pewną już dumą i przekonaniem, że przecież nie jesteśmy tak słabi i niemocni, jakby to nieraz zdawać się nam mogło. Zapewne, że naród piętnastomilionowy przy innych warunkach mógłby jeszcze godniej uczcić pamięć najświetniejszego koryfeusza narodowej literatury, ale przecież i teraz jest już czem umysł pokrzepić i serce zagrzać.

Przy wydaniach dzieł poety powtarza się przedewszystkiem nazwa Warszawy, także Lwowa i Krakowa; Poznania niema; natomiast jest i Złoczów (księgarnia Zuckerkandla), jest i, co najważniejsze, dwukrotnie Mikołów na Ślązku pruskim (Wydawnictwo dzieł ludowych K. Miarki).

Wydań zbiorowych dostarczyła Warszawa aż trzech (Gebethner i Wolff, Paprocki i M. Scholz), z tych jedno poprzedzone żywotem napisanym przez niezmordowanego krytyka, Piotra Chmielowskiego [1]. Lwów reprezentuje wydanie Macierzy Polskiej, a Mikołów może poszczycić się jednem większem w 4 tomach i Wyborem poezyj w jednym tomiku za 20 fenigów.

Poszczególne utwory, jako to: Bajki, Ballady, Dziady, Grażynę, Sonety, Wallenroda, Księgi Pielgrzymstwa i Pana Tadeusza wydawano w tym czasie również osobno, niektóre dwukrotnie, przeważnie w Warszawie, lecz również we Lwowie i u Zuckerkandla w Złoczowie (Biblioteka Powszechna). Macierz Polska odbiła 70-ty tysiąc „Pana Tadeu-

[1] Ponadto firma Gebethnera i Wolffa wydała Zbiorek poezyi dla ludu i młodzieży z objaśnieniami i życiorysem pióra Br. Brzozdowskiego (str. 76) za 5 kopiejek! a staraniem firmy St. J. Zaleskiego i Sp. wyszła inna antologia (str. 103) za 12 kopiejek!

sza“ a lwowska firma Altenberga postarała się o nowe zbytkowne wydanie tak tej epopei jak i „Dziadów“ z ilustracyami Andriollego i Czesława Jankowskiego.

Z tłumaczeń „Pan Tadeusz“ ukazał się w Lipsku u Breitkopfa po raz drugi w prześlicznym niemieckim przekładzie Lipinera [1], a nadto w trzech innych językach: francuskim, łotewskim i szwedzkim. Tłumaczenia francuskiego dokonał znany profesor i historyk literatury W. Gasztowt [2], łotewskiego Janszewski [3] a szwedzkiego przy pomocy zasłużonego Henryka Bukowskiego, Alfred Jensen [4], ten sam, który już przed dwoma laty obdarzył ojczystą literaturę przekładem „Ballad i Romanc“ Mickiewicza [5]. Włochom Aglauro Ugherini przyswoił „Dziady“, „Konrada Wallenroda“ i część drobnych utworów [6], Rosyanie postarali się o nowy przekład „Sonetów Krymskich“ pióra księcia A. Kuguszewa [7]. Charakterystycznem jest żywe zajęcie się Mickiewiczem u pobratymczych Litwinom Łotyszów, dla których pp. Silbers i Janszewski oprócz „Pana Tadeusza“ przełożyli jeszcze „Wallenroda“ [8] tudzież „Sonety i Ballady“ [9].

Powyższe tłumaczenia, których niewątpliwie byłoby jeszcze więcej, gdyby Polacy znaczniejszy wpływ na sprawy europejskie wywierali, powiększają znakomicie zbiór dawniejszych, licznych już przekładów. Oceną ich tudzież krytyką wydań, o ile one zadaniu odpowiadają, oczywiście niech zajmą się inni. My z swojej strony ograniczamy się do

---

[1] *Poetische Werke* übersetzt von Siegfried Lipiner. Band I: *Herr Thaddäus oder der letzte Einritt in Lithauen.* 2 Auflage. Breitkopf und Hartel. 1898. Str. VI, 312. 6 marek pr.

[2] *Thadée Soplitza ou la Lithuanie en 1812, poème*, traduit en vers français par V. Gasztowtt. Paris, impr. A. Reiff, 1899, str. 256.

[3] Poprzedzony żywotem Mickiewicza. Ryga 1898.

[4] *Herr Tadeusz eller der sista utmäningen i Litwa. En adelshistoria fran aren 1811 och 1812 i tolf sanger pa vers of Adam Mickiewicz.* Stockholm, Goeteborg 1898, str. 413, z portretem autora, podobizną karty tytułowej wydania r. 1834 i 6 ładnemi ilustracyami.

[5] *Ur Slavernas Dicktvärld* (*Adam Mickiewicz: Ballader och Romanser,* Jan Neruda: Kosmiska Sanger), poetiska Tolkningar of Alfred Jensen. Göteborg 1896, str. 170.

[6] *Gli Dziady, il Conrad Wallenrod e poesie varie,* traduzione dal polacco del Aglauro Ungherini, preceduta da una lettera del sign. Ladislao Mickiewicz. Torino 1898.

[7] *Wiestnik Jewropy* w zeszycie kwietniowym z r. 1898.

[8] Tłumaczył Edward Silbers. Ryga 1898.

[9] Przełożyli Janszewski i Silbers. Ryga 1898.

uwagi, że np. przekłady Lipinera i Jensena odznaczają się także nader wytworną formą i niewątpliwie przyczynią się do jeszcze większego rozpowszechnienia nazwiska Mickiewicza u cudzoziemców. Co się zaś tyczy wydań, to z uznaniem podnieść należy, że i w roku jubileuszowym miano na oku rozmaity punkt wyjścia. Dzięki też temu dzieła Adama pozostaną i nadal dla wszystkich warstw przystępnemi. Dla bogatych niemal wspaniałe wydawnictwa ilustrowane, dla biedniejszych do woli kilku- lub kilkunastocentowe!

Wierszy, artykułów i utworów okolicznościowych ukazała się w druku dość spora liczba. Choć wartość ich po największej części efemeryczna, to przecież zrobiły one swoje, bo podniosły i zagrzały tych, co ich słuchali. Co one mówią, w jaki sposób pojmują i przedstawiają Mickiewicza ogółowi w ustronnych nieraz zakątkach kraju naszego, to wiedzieć dla całości obrazu nie byłoby rzeczą niepożądaną. Część ich a zwłaszcza mowy dostojników i wybitniejszych przedstawicieli społeczeństwa reprodukuje „Kronika Dra Adama Bieńkowskiego w Roku Mickiewiczowskim“, o której mi jeszcze później mówić wypadnie. Większej ich jednak ilości nie udało się dotychczas zgromadzić na jednem miejscu. Odezwa, którą do komitetów wydało „Towarzystwo im. Ad. Mickiewicza“, by nadsyłano wszystkie choćby najdrobniejsze objawy czci dla naszego wieszcza, odniosła tylko mały skutek. Z kilkunastu jedynie miejsc i od kilku zaledwie osób nadeszły programy obchodów, kantaty lub wiersze, najwięcej jeszcze od p. Schnür-Pepłowskiego. Reszta, nie życzyćby, aby zaginęła bezpowrotnie. Nie mówiąc już bowiem o tem, że skupione razem mogłyby się złożyć na wcale interesujący przyczynek, to przecież zaznaczyć wypadnie, iż po dokładniejszem zbadaniu możnaby polecić je w wyborze do dalszego rozpowszechniania przy powtarzających się dorocznych obchodach. Są tam wszakże nazwiska, już same przez się pewną rękojmię dające, jak Władysława Bełzy („Epilog“ Lwów), Jana Kasprowicza („Arcymistrzowi“ *Tydzień lwowski*), Franciszka Konarskiego („U stóp wieszcza“ Lwów), L. Rydla i Stan. Wyspiańskiego („Epilog przedstawienia w teatrze krakowskim“) i wreszcie Kazimierza Przerwy-Tetmajera („Ku czci Adama Mickiewicza“, zbiorek czterech ładnych wierszy, pisanych w latach 1889, 1890, 1893, 1898 z okazyi kilku rozmaitych uroczystości Mickiewiczowskich); są tam dalej kantaty, pieśni i śpiewniki Mickiewiczowskie (Edmunda Urbanka, Lwów), a nawet całe obrazki sceniczne jak Gołębiowskiego Jana „Powrót Taty“ (właściwie dobrze już znana opera w 3 odsłonach, muzyka Henryka

Jareckiego, Lwów i Złoczów), Jaśmina „Stuletnia rocznica“ (w 3 odsłonach, Stary Sącz) i Sarneckiego Zygmunta „Adam i Maryla“ (w 3 aktach, Lwów) [1].

Może powyższe słowa trafią do przekonania i pobudzą ludzi chętnych do zgromadzenia całej dotyczącej literatury na jednem miejscu, w bibliotece Towarzystwa im. Adama Mickiewicza, gdzie ona być powinna [2]. Zanim to jednak się stanie przejdźmy do rzeczy najważniejszych w niniejszym artykule, do utworów popularnych i z odcieniem naukowym. Pierwsze wyjaśnią nam, o ileśmy zrealizowali myśl Mickiewicza i uprzystępnili zrozumienie jego dzieł ogółowi, drugie przynajmniej w części wykażą, w jakim stopniu rok jubileuszowy przyczynił się do dalszego pogłębienia i znajomości utworów poety.

I.

Mamy przed sobą aż szesnaście (względnie 18) życiorysów popularnych [3], z których 6 przypada na Lwów, 4 na Kraków, 3 na

---

[1] Obrazek sceniczny p. Sarneckiego posiada niewątpliwie zanadto wiele liryzmu i patetyczności, a za mało życia. Kto jednak uwzględni, z jakiemi trudnościami ma autor dramatyczny do walczenia przy układzie takich *ad hoc* pisanych sztuk okolicznościowych i iloma względami musi się czuć skrępowanym, ten z pewnością przyzna, że p. Sarnecki niejedną przeszkodę zwalczył zwycięsko i że zwłaszcza jego piękny wiersz nie jest bez natchnienia i szlachetnych myśli. Najwięcej razi umyślne wprowadzenie do sztuki całego „zastępu“ podlotków, zostających wraz z swoją ochmistrzynią na utrzymaniu p. Wereszczakowej. Rozumiemy, że autor chciał przez to „marszałkową“ przedstawić w idealniejszem świetle, ale z tem wszystkiem, tak jak jest obecnie, to cały ten „konwikt“ pustych i nierozumnie figlarnych dzieweczek obniża poziom akcyi i nie pozostaje w żadnym związku ani z właściwą akcyą, ani z osobą Mickiewicza.

[2] Nadsyłać upraszamy na ręce niżej podpisanego, Lwów, ul. Krzyżowa l. 7/b.

[3] 1) Bełza Władysław, „Żywot Adama Mickiewicza“, z 31 rycinami. Lwów, nakładem księgarni H. Altenberga. Str. 104,

2) Dr. Koneczny Feliks, „Życie i zasługi Adama Mickiewicza“. (Czytelnia polska, t. II). Kraków, staraniem S. Szczepanowskiego i A. Potockiego. Str. 175.

3) Leitgeber Witołd, „Zasługi Adama Mickiewicza jako poety, patryoty, człowieka i katolika“. Ostrów, druk i nakład W. Leitgebra. Str. 60.

4) Maćkowski J. K., „Adama Mickiewicza życie i dzieła“. W stuletnią rocznicę urodzin nieśmiertelnego wieszcza dla ludu i młodzieży. z 6 ryc. Inowrocław, nakładem księgarni *Dziennika Kujawskiego*. Str. 32.

zabór pruski i 3 albo raczej 5 na Królestwo i Petersburg. Byłoby zatem w czem wybrać dla każdego, gdyby przynajmniej znaczna ich część stała na wysokości zadania. Lecz jakżeż tu trudno zachować należytą miarę i stworzyć coś takiego, coby i dostroiło się do warunków wymaganych i porwało za soba czytelnika, dla którego pracę przeznaczono!

Dla piszącego żywot popularny dwa przedewszystkiem względy są miarodajne: wykształcenie i wiek czytelników. Oba te czynniki łączą się mniej więcej na wyższym stopniu, rozchodzą na niższym. Lu-

---

5) Orsza H., „Kto był Mickiewicz". Warszawa. M. A. Wizbek, Str. 44, z 2 rycinami.

6) Parylak Piotr, „O największym naszym poecie, Adamie Mickiewiczu, w setną rocznicę urodzin wieszcza". (Wydawnictwo ludowe, t. 188). Lwów. Str. 112.

7) Pieniążek Czesław, „Adam Mickiewicz 1798—1898". Odbitka z Kalendarza J. Czecha. Kraków, nakład drukarni „Czasu". Str. 48.

8) Tenże, „O życiu i dziełach Adama Mickiewicza". Rzecz zalecona przez Komitet obchodu jubileuszowego Adama Mickiewicza. Lwów, nakładem Macierzy Polskiej. Str. 86.

9) Schnür-Pepłowski Stanisł., „Adam Mickiewicz 1798—1855". Lwów, nakładem Towarzystwa pedagogicznego. Str. 75.

10) Strażyńska H., „Adam Mickiewicz". Opowiadanie dla młodzieży. Kraków, nakładem autorki. Str. 109.

11) Strokowa Jadwiga. „Król pieśni". Poznań, nakł. *Gońca Wielkopolskiego*. Str. 109.

12) Synoradzki Michał, „Adam Mickiewicz". Upominek jubileuszowy. Warszawa, nakładem księgarni Dubowskiego i Gajewskiego. Str. 32.

13) Tarnowski Stanisław, „Adam Mickiewicz, życie i dzieła, zarys biograficzny". (Życiorysy sławnych Polaków). Petersburg, nakł. K. Grendyszyńskiego. Str. 102.

14) Wojnar Kasper, „Adam Mickiewicz, król pieśni polskiej, w setną rocznicę urodzin poety". (Ludowi młodzież). Kraków, staraniem i nakładem młodzieży Uniwersytetu Jagiellońskiego. Str. 128.

15) Wysłouchowa M., „Adam Mickiewicz, jego życie i dzieła, w setną rocznicę urodzin poety". (Wydawnictwo im. Kasyldy Kulikowskiej, książeczka IV). Wydanie trzecie powiększone. Lwów. Str. 107.

16) „Adam Mickiewicz, 1798—1898". Książka pamiątkowa dla polskiego ludu pracującego. Lwów, nakładem redakcyj: *Naprzodu*, *N. Robotnika*, *Prawa ludu* i *Równości*. Str. 46.

Już po napisaniu niniejszego artykułu doszła nas wieść jeszcze o dwu żywotach wydanych w Królestwie. Są niemi: 1) Brzozdowski Br., „O wielkim pieśniarzu Adamie Mickiewiczu". Warszawa, nakł. Arkonów. Str. 34 — i 2) Horowiczowa Regina. „Adam Mickiewicz". Życiorys. Łódź, nakładem redakcyi *Rozwoju*. Str. 58.

dzi wyższego, uniwersyteckiego wykształcenia, pragnących również w danej chwili dowiedzieć się czegoś bliższego o przedmiocie, którym sami zajmować się nie mogą, można pociągnąć niemal pod jedną miarę. Różnica wieku i wysztalcenia odgrywa tu małą rolę. Podobnie przedstawia się rzecz także u młodzieży nieco już dojrzalszej i ludzi przeciętnej inteligencyi. Tu również można jeszcze zachować mniej więcej jeden i ten sam punkt widzenia. Natomiast nie mógłbym tego powiedzieć o książkach dla dzieci i ludu. W tym wypadku różnica widoczna; zostaje ona w prostym stosunku do przedziału, jaki istnieje między ludźmi dojrzałymi a dziecinnem rzeczy pojmowaniem. Stopień wykształcenia może i tu nawet być podobnym, ale zresztą zapatrywania i usposobienie są tak różne, że wszelkie podobieństwo wykluczone.

Tak zatem przy popularyzowaniu wszelkiej niemal wiedzy i faktów musimy mieć zawsze na oku cztery oddzielne warstwy społeczeństwa: Ludzi o wykształceniu uniwersyteckiem, przeciętną inteligencyę wraz z dojrzalszą młodzieżą, lud w ściślejszem rzeczy pojęciu i wreszcie dzieci. Oczywiście nikt nie potrafi pisać dobrze dla wszystkich tych oddzielnych warstw. Każda z nich wymaga odmiennie ukształtowanego usposobienia u autora, który, aby rzecz udała się i celowi odpowiedziała, powinien nadto mieć już pewną wprawę i umiejętność zastosowania się do danych warunków. Ona to, tudzież wrodzony takt i poczucie harmonii i proporcyalności szczegółów wskażą mu najlepiej, gdzie i w jakiej mierze co umieścić, a co pominąć należy. Lecz na tem nie koniec. Popularyzator musi mieć jeszcze inne liczne zalety, jeżeli nie chce, by praca jego chromała i niedomagała pod niejednym względem.

Pierwszą z tych dalszych zalet jest zupełne panowanie nad przedmiotem. Kto bez niego bierze się do opracowania popularnego dziełka, ten, choćby dodatkowo najsumienniejsze poczynił studya i uniknął wszelkich błędów, nie stworzy całości porywającej i odpowiednio proporcyalnej. Równie ważnym jest brak wszelkiej stronniczej tendencyi. Upowszechnia się wprawdzie przekonanie, że można pisać także dla rozmaitych oddzielnych stronnictw, ale nauka nie zna podobnego zapatrywania. Tylko jeden sąd może być prawdziwym, a nie więcej. Dlatego, choć każdy utwór musi nosić na sobie piętno subjektywizmu, to przecież niech ten subjektywizm będzie jak najmniejszym, aby jak najmniej prawdę zaciemniał.

Od dziełka popularnego wiać też powinno serdeczne ciepło, którego autor również czytelnikowi udzielić nie zdoła, gdy sam przed-

tem przedmiotu nie umiłował. Wreszcie koniecznem jest jak największe zainteresowanie czytelnika, jako wynik żywego i obrazowego przedstawienia. To ostatnie jednak dane niewielu tylko autorom. W przeważnej części wystarczy, jeżeli styl będzie potoczysty, język wolny od usterek, a treść sama zajmującą przez to, że pominie się szczegóły mniej ciekawe a rzuci więcej światła na ważniejsze i bardziej uwagę przykuwające.

Zważywszy to wszystko przyjdziemy w istocie do przekonania, że napisać dobrą książkę popularną nie jest wcale rzeczą łatwą. Są tu trudności i znaczne przeszkody, które wymagają osobno ku temu zorganizowanego talentu. Inaczej przedstawienie będzie mdłem lub wręcz nieodpowiedniem.

Jakżeż więc do powyższych warunków ma się owych szesnaście [1] popularnych żywotów Mickiewicza?

Dla ludzi wyższego wykształcenia rok jubileuszowy przyniósł tylko jedną publikacyę o zakroju popularnym, ale ta jedna starczy za wiele. Jest nią książka prof. Stanisława Tarnowskiego, posiadająca wszystkie zalety, o których wyżej mówiliśmy.

Prof. Tarnowski pozostał i tu wprawdzie w przeważnej części samym sobą a więc także i pisarzem, na prace innych i dokładność szczegółów nie zawsze należytą uwagę zwracającym. Myli się też skutkiem tego, kiedy — pomijając inne drobiazgi, — powiada np. dwukrotnie (str. 15 i 29), iż towarzystwo Filaretów nie było związkiem tajnym, i kiedy wogóle sprawę ówczesnych stowarzyszeń wileńskich przedstawia niedokładnie; myli się dalej, gdy zjadliwą poniekąd Filipikę o Krytykach i recenzentach warszawskich przyczepia niewłaściwie do pierwszej edycyi Wallenroda, bo przecież dołączył ją Mickiewicz dopiero o rok później (r. 1829) do zbiorowego wydania petersburskiego; myli się wreszcie prawdopodobnie, gdy i teraz przynajmniej częściowo podtrzymuje twierdzenie (str. 77), które już dawno przedtem wypowiedział, iż fragment „Konfederatów barskich“ dowodzi wielkiego uzdolnienia Mickiewicza i na polu poezyi dramatyczcznej [2].

---

[1] Szesnaście tylko, bo dwu powyżej w uwadze wymienionych nie mogłem już wziąć w rachubę.

[2] *Wanderera* tłumaczył również Mickiewicz przed wyjazdem z Rosyi, a nie wówczas, gdy zjeżdżał z Alp w rozkoszne krainy włoskie. O tem jednak nie mógł autor należycie być poinformowanym, bo oczywiście nie

Zapewne, że należałoby uniknąć podobnych usterek, ale z tem wszystkiem nie ujmują one wysokiej wartości całemu dziełku, gdyż są to przeważnie szczegóły drugorzędne, całości w ogólnych rysach prawie nie zmieniające, gdyż co jest po za tem, to jest tak trafnem i pięknem, iż może w niewielu pracach talent autora okazał się nam w równym stopniu, jak tu. Złożyły się na to i pełnia owych zalet, które dziełko popularne mieć powinno i niemal zupełny brak owych stron ciemniejszych, jakie w innych pismach prof. Tarnowskiego niekiedy razić nas zwykły.

Szan. autor w króciutkiej przedmowie wyraża obawę, iż w tak skąpych ramach może nie zdoła uniknąć niedostatków i wniknąć głębiej w naturę poety i ducha jego dzieł. Próżne to jednak obawy! Zwięzłość, na jaką skazały go rozmiary książki, wyszła dziełku tylko na dobre. Wielka monografia Krasińskiego przez swoją rozwlekłość staje się właśnie nużącą. Tu przeciwnie tyle głębokich i pięknych myśli przesuwa się po sobie w nader krótkich odstępach czasu, że umysł czytelnika podąża za niemi bez wytchnienia aż do końca, nie mogąc równocześnie wyjść z podziwu dla rozległej wiedzy autora i jego nadzwyczaj obrazowego przedstawienia.

Zaraz pierwsze cztery strony wstępu przykuwają całą uwagę czytelnika. Jest to najlepsza obrona wartości poezyi wobec tych, co umieją cenić tylko objawy życia realnego. W niewielu podniosłych słowach wykazano znaczenie jej dla rozwoju umysłowego narodów, a wykazano jasno i rozumnie tak, że odrazu poznać tu historyka literatury, który podobne zagadnienia oddawna przetrawił w duszy i dzisiaj wynik swoich rozmyślań z całą siłą wewnętrznego, głębokiego przekonania złożył dla użytku inteligentnych czytelników. Po tych słowach niewiele już trzeba było dodać, aby wytłumaczyć czytelnikom zaraz u wstępu, dlaczego Mickiewicz zasłużył sobie na uwielbienie z strony naszej. Wystarczyła znowu jedna kartka (str. 5—7), a zasługi Mickiewicza zarysowały się w należytem świetle.

Następne cztery niewielkie rozdziały zamknęły na 90-ciu stronicach żywot i całą działalność Mickiewicza. Zupełne panowanie nad przedmiotem, wprawa i wrodzone poczucie piękna złożyły się tu na doskonałą harmonię i proporcyonalność szczegółów. Nie ma tu nic zbędnego, nic, coby nie dostrajało się należycie do całości. Czytelnik

miał jeszcze w ręku VI tomu „Pamiętnika Mickiewiczowskiego“ (str. 480—492 a zwłaszcza 487—490), który wyszedł z druku dopiero w czerwcu 1898.

z uwagą i wielkiem zajęciem musi podążać za autorem, bo oprócz harmonijnego pięknego opowiadania zmusza go do tego i styl nader obrazowy i to z głębi duszy wychodzące, żywe przejęcie się tematem, które poruszyć musi i mało wrażliwego, zwłaszcza że szan. autor, aby dać wyraz prawdzie, stanął na tak wysokim piedestale, iż z wysokości jego zmalały do szczętu i zgubiły się w dalekiem przeźroczu wszelkie inne względy.

Jest ponadto jeszcze coś w książce prof. Tarnowskiego, co ją stanowczo odróżnia korzystnie od dziełek poniżej omówionych. Oto w niej jednej znajdujemy należytą ocenę utworów Mickiewicza na szerokiem tle współczesnej literatury europejskiej. Przemówił tu za siebie estetyk, który bądź co bądź sam jeden, o ile na to środki nasze pozwalają, potrafi jeszcze najlepiej wytłumaczyć ogółowi, dlaczego przy czytaniu dzieł Adama odczuwa tak niewysłowioną rozkosz i dlaczego Mickiewicza nazywamy genialnym poetą. Żywot, jak rzecz słuszna, stał się tylko ilustracyą oceny literackiej i uzyskał uwzględnienie o tyle, o ile wymagało tego wytłumaczenie stopniowego rozwoju poety i żądał dowód, że Mickiewicz także jako człowiek ma wszelkie prawo do czci i chwały, do miłości i wdzięczności narodu. Jednem słowem dalsza treść pracy popularnej wyrównała wstępnym uwagom i usprawiedliwiła bliżej doraźnie rzuconą kwestyę, dlaczego właściwie Mickiewicz jest geniuszem narodu — pytanie, za które odpowiedzieć każdy z autorów był przedewszystkiem zobowiązany. Rozumiem wprawdzie, że zadanie prof. Tarnowskiego było poniekąd łatwiejszem, bo widocznie miał na oku tylko inteligentną publiczność, a tej snadniej wytłumaczyć poruszone przez niego pytania, lecz mimo wszystko i tu były niemałe trudności, które pokonać należało. Pokonał je też w istocie prof. Tarnowski wbrew obawom przez siebie w przedmowie wyrażonym i dał nam tak skończoną całość i tak ciepło i porywająco napisaną książkę, iż niewiele prac pomniejszych może stanąć z nią w jednej linii. Niesłuszną więc jest pewna gorycz autora, zapewne do niewiadomych mi z nazwiska przeciwników (por. str. 64 i 69)— gdyż tak pięknie napisaną książkę muszą chyba wszyscy bezstronni — a o tych jedynie chodzi — powitać z niekłamaną radością.

Młodzieży i ludziom o przeciętnej inteligencyi poświęcona książka dra Konecznego. Napisana rozumnie i jasno, uwzględniająca zarówno żywot jak i dzieła, bogata w szczegóły o szerokim podkładzie historycznym, może oddać niezaprzeczone zasługi i polecić też ją można

śmiało, jako owoc rzetelnej pracy i niemałych trudów. Mimoto jednak nie spełni ona zadania w swoim zakresie tak, jak je w swoim powinnaby spełnić monografia prof. Tarnowskiego. Na tę niezaprzeczoną między niemi różnicę składa się kilka czynników, niewątpliwą wartość książki Dra Konecznego znacznie obniżających.

Nie potrzeba do tego poprzedniej znajomości innych prac autora, by orzec wnet, iż monografię niniejszą pisał historyk właściwy, a nie historyk literatury. Szan. autor z przedmiotem zapoznał się dopiero *ad hoc* przy sposobności; zapoznał się wprawdzie nader rzetelnie i sumiennie, poczynił nawet w nowym dla siebie kierunku dość rozległe studya i oparł się trafnie na opracowaniach pierwszorzędnych, ale z tem wszystkiem nie zdołał już przetrawić materyału ani wyrobić sobie sądu na równie głębokiem, jak delikatnem zrozumieniu utworów polegającego. Stąd dr. Koneczny uniknął wprawdzie wszelkich pomyłek, sprawy ściśle historyczne jak np. dzieje towarzystw wileńskich, stosunki ówczesnej Rosyi przedstawił nawet lepiej, niż prof. Tarnowski, ale poza tem ani nie zdołał zapanować nad harmonią i proporcyalnością szczegółów, ani nie umiał ocenić równie głęboko i trafnie utworów Adama. Dość np. powiedzieć, że bądź co bądź znakomite na swój czas Wykłady o literaturze słowiańskiej pominięto prawie zupełnie, a natomiast okresowi młodzieńczemu do zapadnięcia wyroku poświęcono więcej niż połowę książki. Również i ocena Pana Tadeusza, bardzo pobieżna i szczupła, nawet z punktu widzenia tej warstwy społeczeństwa, dla której ją przeznaczono, nie znajduje się w żadnym stosunku do wartości i znaczenia dzieła. Jakżeż inaczej wypadło to wszystko u prof. Tarnowskiego! Tam działalność młodzieńcza nie zajęła więcej, niż trzecią część monografii, a na Wykłady i Pana Tadeusza rzucono słusznie światło, w danych rozmiarach jak najpełniejsze.

O bezstronności autora nie mógłbym także wyrazić się zbyt korzystnie. U prof. Tarnowskiego, jak powiedziałem wyżej, wobec pietyzmu dla Mickiewicza i uroczystej chwili, wobec głębokiego przejęcia się przedmiotem znikły wszystkie inne względy uboczne tak, że książka jego musi na każdym kroku sprawiać wrażenie niemałe samą prawdą i samem rzeczy ujęciem. Tu przeciwnie autor nie mógł się wstrzymać od uwag, może słusznych w zasadzie, lecz zawsze z osobistego punktu widzenia wypowiedzianych (np. str. 88), a przecież pisał swą książkę nietylko wyłącznie dla ludzi dojrzałych, jak prof. Tarnowski, ale także chyba i dla młodzieży, a ta z natury wrażliw-

sza, skoro tylko pochwyci coś podobnego, nie zawaha się uogólnić swej nieufności do całego rzeczy przedstawienia. Naga prawda mocą argumentów w niej samej tkwiących oddałaby tu niewątpliwie lepszą przysługę! Już zaś wprost nieodpowiedniem wydaje mi się niepomierne wywyższanie talentu Krasińskiego. „Talent jego“ powiada autor „to jakby połączenie Goethego i Mickiewicza (str. 128)“. W takim razie nie ulega wątpliwości, że Krasiński przewyższył obydwu, skoro ich właściwości w sobie połączył!

Rozumną jest wreszcie książka dra Konecznego, rozumną aż nadto. Monografia prof. Tarnowskiego porywa i unosi swem ciepłem i stylem obrazowym, tu przeciwnie ciepła i żywości nader mało. Jest tylko rozum i język dosyć poprawny[1] i potoczysty ale zresztą zwykły i za sobą nie porywający — to też poczytną książka Dra Konecznego mimo swych zalet prawdopodobnie nie będzie.

Niepanowanie nad materyałem było także główną przyczyną, dlaczego nie udała się książka p. Schnür-Pepłowskiego, wydana nakładem Towarzystwa Pedagogicznego, a więc przeznaczona przedewszystkiem dla nauczycieli ludowych i starszej młodzieży szkół średnich. P. Schnür-Pepłowski umie pisać, jeśli nie barwnie, to przynajmniej z wielką łatwością i potoczyście, ale w tym wypadku porwał się na rzecz, o której zapewne zaczął na seryo dopiero wtedy myśleć, gdy mu ją do opisania powierzono. Stąd wynikła prawdziwie rzadka nieproporcyonalność szczegółów. Mniejsza bowiem już z tem, że okresowi dziecinnemu poświęcono zbyt wiele miejsca, gdyż to dałoby się jeszcze wytłumaczyć poniekąd samem przeznaczeniem książki, ale doprawdy pojąć już nie mogę, dlaczego lwią część dziełka (str. 41—76) miały zająć lata najmniej produktywne po wydaniu Pana Tadeusza, tudzież opis pogrzebu i przeniesienia zwłok na Wawel. Między innemi doczekały się także niemal drobiazgowego opisu daremne próby utworzenia polskiego legionu we Włoszech, — czy dlatego, że było to spóźnione echo dawnych legionów napoleońskich, o których szan. autor pisał już poprzednio?

O znaczeniu i wartości dzieł Adama, jakby to słusznie doma-

[1] Formy: lubiał i lubiany, choć je lingwiści usiłują wytłumaczyć zdaje się, są dyalektyczne i gorsze od: lubił i lubiony. Dziwnem też i nowo ukutem będzie zapewne wyrażenie: profesorstwo (str. 161), użyte nawet przez autora za nagłówek osobnego rozdziału!

gać się należało ze względu na przeznaczenie książki, nie ma prawie nic; natomiast roi się tu literalnie od anegdot, nie zawsze dostatecznie uwierzytelnionych (np. ów epizod z wiewiórką!). Również pierwszy tomik poezyi nie wyszedł w r. 1820, jakto autor mylnie donosi, lecz o dwa lata później! Tekst dotyczącego ustępu wskazuje wyraźnie, że nie mamy w tym wypadku do czynienia ze zwykłą omyłką drukarską.

Podobną do książki p. Schnür-Pepłowskiego, lecz jeszcze bardziej bez należytego planu choć z większym zapałem napisaną jest praca p. Strokowej. Dla kogo ją właściwie szan. autorka przeznaczyła — naprawdę niewiadomo. Ze wstępu, w którym tłumaczy, co to jest pieśń i czem poeta, dalej z zachęty do czytania Grażyny i przytoczenia świadectw szkolnych *in extenso* wynikałoby, że p. Strokowa ma na myśli lud lub dzieci; tymczasem z treści w ogóle, tudzież uczonych cytatów z monografii Chmielowskiego trzebaby sądzić, że czytelnikami mają być chyba ludzie dojrzalsi, co najmniej o średniej inteligencyi. Czyż do tego stopnia miałaby treść właściwa odbiec od pierwotnego założenia?

Anegdot i drobiazgowych szczegółów jest tu jeszcze więcej, niż u p. Schnür-Pepłowskiego. Lata dzieciństwa, pierwszej młodości i stanu małżeńskiego uwzględniono tak obszernie, że z książeczki p. Strokowej można dowiedzieć się o wiele dokładniej, jakim kolegą, mężem i ojcem był Adam, niż dlaczego pozyskał sławę genialnego poety. Specyficznie właściwem autorce jest przekonanie, że W. ks. Konstanty zarządzał litewskiemi guberniami (por. str. 28, 32 i 36), właściwością także specyalną istny las cytatów i przytoczonych wierszy, w których pełno słów odznaczono drukiem tłustym dla lepszego zapamiętania. Niestety jednak tych tłustych czcionek jest tak wiele, że czytelnik zanadto musiałby swą pamięć obarczyć.

P. Strażyńska nazwała swoją pracę opowiadaniem dla młodzieży, choć z treści wynika, że przeznaczyła ją chyba dla małych dzieci, które, nie sądzę, by w tym wypadku należało brać również pod uwagę. One interesują się żywo bajeczkami, Robinsonami, królami i przeróżnymi bohaterami, ale do podziwiania żywotu poety nie mają jeszcze pociągu. Czuła to dobrze p. Strażyńska i pominąwszy prawie zupełnie utwory i społeczną działalność Mickiewicza wplotła do swojej książeczki wprawdzie zacne i naiwne, ale zawsze niemal tylko

same anegdoty i bajeczki, mniej lub więcej uwierzytelnione o chrzcinach Adama, dworkach w Nowogródku i Zaosiu, domowej menażeryi i w ogóle o latach szkolnego dzieciństwa. Na ten temat umie p. Strażyńska wiele opowiedzieć aż do najdrobniejszych szczegółów i treści toczonych rozmów, uzupełniając oczywiście niewielkie dane zapomocą własnej fantazyi. Poza tem uwzględniono dokładniej pobyt i więzienie w Wilnie, tudzież chwile poznania się z Celiną Szymanowską i wspomnienia z lat dziecinnych p. Maryi z Mickiewiczów Góreckiej. Reszty dotknięto zaledwie w najogólniejszych rysach. Stąd wynikło, że z dziełka p. Strażyńskiej można znowu nabrać wyobrażenia o Mickiewiczu jako dobrem dziecku, pilnym uczniu i troskliwym ojcu, ale nigdy jako o genialnym poecie i człowieku. Toteż nie wiem, czy dzieci nasze mogłyby się zachwycić podobną treścią, zwłaszcza że mimo wszystkie bajeczki i anegdoty opowiadanie jest raczej ckliwo-sentymentalnem, niż żywem i zajmującem, a już wprost nieodpowiedniem dla dzieci wydają mi się także wyrażenia, jak „największa postać naszego Parnasu (str. 109)“ lub takie cytaty, jak wyjątki z Dziadów, choćby najzrozumialsze o wywiezieniu Janczewskiego i Wasilewskiego na Sybir.

Książeczkę p. Władysława Bełzy możnaby polecić dzieciom już doroślejszym; dla dojrzalszej młodzieży nie nadaje się i ona, gdyż np. nawet starsi uczniowie szkół średnich wymagaliby słusznie czegoś więcej, niżby tam znaleźć mogli. Autor ograniczył się jedynie do opisu żywota Mickiewicza; utwory prócz obszernej wzmianki o idei Wallenroda pominął niemal zupełnie.

Z żywotem p. Bełza widocznie doskonale obeznany; poznać to natychmiast po dokładności, z jaką opowiada o kilku drobniejszych szczegółach, tudzież z pośredniego sprostowania kilku innych wiadomości, gdzie indziej mylnie przedstawionych. Trudu jednak szan. autor niewiele sobie zadał, jakto łatwo odgadnąć choćby tylko z zaniedbanego stylu, którego p. Bełza w innych pracach umie z łatwością uniknąć i rzecz swoją barwnie i pięknie opisać. Toteż jego żywot Mickiewicza nie rozgrzeje chyba żadnego dziecka, ani nie wywoła w niem podnioślejszego uczucia. Wartość jeszcze największą dziełka upatrywałbym w 31 rycinach, szczęśliwie dobranych i jak na nasze stosunki wcale ładnie wykonanych. Lecz i przy nich muszę zauważyć, iż portret ks. Józefa Mickiewicza należało koniecznie usunąć z rzędu załączonych rycin. Taki bowiem iście komiczny wizerunek, jaki na owym

znanym portrecie oglądamy, może w dziecku obudzić tylko śmiech i wywrzeć wrażenie wręcz przeciwne temu, jakiebyśmy wywołać pragnęli.

Dla młodzieży i ludu ma być przeznaczoną broszurka p. Maćkowskiego, choć jak wyżej zaznaczyłem, obie te warstwy wymagają już z góry odmiennego punktu widzenia. Podobny błąd w założeniu musiał oczywiście odbić się niekorzystnie i w samem traktowaniu przedmiotu.

Co p. Maćkowski opowiedział na początku w sposób jasny i przystępny o ofiarności mieszkańców Królestwa na pomnik Mickiewiczowski, to pewnie może być nader dobrem i pouczającem, zwłaszcza dla ludu pod panowaniem pruskim; reszta jednak począwszy od przytoczenia sądu p. Chmielowskiego o Adamie nie jest niczem więcej, jak zwykłym artykułem dziennikarskim, o ton może wyżej podniesionym. Dla ludu podobne rzeczy przedstawienie nie będzie ani zrozumiałem ani pociągającem, młodzieży zaś inteligentniejszej, obeznanej choć z grubsza z utworami Mickiewicza, ono również nie zadowoli, bo daje jej zanadto mało. P. Maćkowski zdaje się też o Mickiewiczu nie wiedzieć wiele więcej, niż każdy przeciętny Polak o wyższem wykształceniu, — stąd jego opowiadanie nie wolne od pomyłek zwłaszcza w części, studyom uniwersyteckim i pobytowi w Rosyi poświęconej.

Podobnie i broszurka p. Synoradzkiego posiada zacięcie raczej artykułu dziennikarskiego, niż monografii popularnej. Autor pisze wprawdzie z nieco większą werwą i większym talentem, niż p. Maćkowski, lecz mimoto praca jego nie nadaje się dla ludu zupełnie, a dla sfer inteligentniejszych potrzebaby również o wiele lepszego rozkładu i bardziej wyczerpującej charakterystyki utworów. Nieproporcyonalność szczegółów znaczna. O Grażynie zaledwie wspomniano, o Panu Tadeuszu także bardzo niewiele, za to o Kartofli i Historyi Przyszłości obszerne relacye! Sprawę towarzystw wileńskich przedstawiono również mylnie, a stosunek miłosny do Maryli objaśniono na podstawie subjektywnych, nieprawdopodobnych domysłów.

Zacną niewątpliwie i szlachetną tendencyą ma książeczka p. Leitgebra. Napisana z wielkiem ciepłem patryotycznem, językiem czystym i stylem podniosłym, choć nieraz szumnym i przesadnym, przekonywa nas niezawodnie, że autor odczuwał to głęboko, co wy-

powiedział, i że ogniem swych uczuć chciał również podzielić się z czytelnikiem, — ale z jakim właściwie? Po gorącej przedmowie i trafnem wytłumaczeniu, dlaczego czcimy pamięć wielkich ludzi, moglibyśmy się słusznie spodziewać, że dziełko przeznaczone dla ludu. Lecz marne to złudzenie! Dla ludu nie pisał autor widocznie, bo to i nie żywot Adama i styl niepopularny i nazwiska Dantego, Prometeusza i innych pewnie niezrozumiałe dla prostaczków. Same to raczej, że tak powiem, rozmyślania na temat wypadków z życia Mickiewicza, nie zestawione nawet w porządku chronologicznym i wymagające poprzedniego już, dokładniejszego obeznania się z przedmiotem. A więc *cui bono*? Chyba dla inteligencyi, — ale ta wówczas miałaby tym rozmyślaniom niejedno do zarzucenia.

Nauka idzie sobie swoją drogą, a p. Leitgeber swoją. Stąd niekiedy prawdziwa sprzeczność między zapatrywaniami jego a zdaniem krytyków poważnych, stąd pełno tu wplecionych niby charakterystycznych epizodów, które my oddawna za anegdoty uważamy. Już zaś wprost wyborne są miejsca niektóre. Autor np. poświęciwszy lwią część książeczki stosunkowi miłosnemu do Maryli, zastanawia się na str. 23 nad różnicą miłości poety a przeciętnego „zjadacza chleba“ i między innemi ciekawemi rzeczami pisze, że „poeta jak salamandra (!) płonąć musi w ogniu własnej namiętności“. Lecz niczem to jeszcze wobec zdania, iż w „Paryżu“ wnuk carycy Katarzyny, Aleksander I., z największą czcią ściskał dłoń Mickiewicza, „mimo że tenże do ostatka walczył przeciwko jego babce“. Kto nie wierzy, żeby coś podobnego było wydrukowanem, proszę, niech zechce popatrzeć do książeczki p. Leitgebra na str. 12. Sprawdza się więc zapatrywanie, że przecież czasem należy mierzyć „zamiar według sił“ a nie „siły na zamiary“.

Sprawiedliwość natomiast każe mi wyznać, że do niewielu monografii, które się udały, zaliczyć trzeba i książeczkę p. Wysłouchowej, świeżo wydrukowaną ponownie w 3 powiększonem wydaniu. Z toku i sposobu opowiadania wynika, że szan. autorka liczyła głównie na pokolenie młodsze i warstwy miejskie, mało inteligentne; dla całej masy naszego nader jeszcze nierozwiniętego ludu wiejskiego, dziełko jużby się mniej nadawało ze względu na styl, przecież miejscami dla prostaczków zanadto górny.

Pracy p. Wysłouchowej przyświecała niewątpliwie tendencya obozu radykalnego. Szan. autorka ze szczególnem upodobaniem podnosi to, co w utworach Mickiewicza, zwłaszcza Dziadach i Panu

Tadeuszu znalazła wymierzonego przeciw ciemiężcom wolności, uciskowi ludu wieśniaczego i zepsuciu warstw możniejszych. Spierać się o to nie będę, gdyż zależy od usposobienia każdego pisarza, na co chce zwrócić pełniejszą uwagę. Powtórzyć jednak muszę, com już dwukrotnie wyżej nadmienił, że tak w nauce jak i w pracach popularnych nie powinno być miejsca dla żadnej stronniczej tendencyi, bo prawda jest tylko jedna. Co najmniej też nierozważnie czyni ten, kto nie umie panować nad sobą i nienawiść i swoje za niewątpliwą prawdę dotąd nie uznane zapatrywania usiłuje wszczepić w serca młode lub warstwy społeczeństwa, jak dziecko jeszcze nierozwinięte i jak proch na ogień wrażliwe.

Atoli zarzut dość jaskrawej tendencyi jest jedynym zarzutem cięższym, jaki szan. autorce wypadło mi uczynić. Poza nim i poza mylnem przedstawieniem związków młodzieży wileńskiej (str. 15), wszystko inne przynosi prawdziwą chlubę p. Wysłouchowej. Ocena utworów nie dorównywa wprawdzie ani w dalekiej mierze głębokim i trafnym uwagom prof. Tarnowskiego, ale też p. Wysłouchowa o to nie kusi się wcale, bo punkt widzenia ze względu na przeznaczenie książki musiał być u niej z konieczności odmiennym. Natomiast co się tyczy innych, potrzebnych zalet, to nie wiem doprawdy, co więcej podziwiać, czy zręczne rzeczy ujęcie i delikatne odczucie warunków i potrzeb czytelników, czy umiejętność przystósowania się do ich poziomu, czy wreszcie język tak piękny i tak obrazowy.

Szczegółowo naprzód z góry ułożony plan sprowadził za sobą doskonałą rzeczy proporcyę; na korzyść jej poświęcono nawet Sonety i Towiańskiego, a za to położono główny nacisk na Pana Tadeusza. Szan. autorka nie obarczyła też swojej pracy ogromem wierszy dosłownie przytoczonych, ale gdzie tylko podejrzywała, że istnieć może jakakolwiek trudność w zrozumieniu, tam cytaty zastąpiła własnem streszczeniem, przeplatając je tylko gęsto słowami Mickiewicza.

Na dowód nader zręcznego i umiejętnego traktowania przedmiotu niech posłuży przykład, jakto szan. autorka umiała mądrze scharakteryzować ballady i uczynić przecież wzmiankę o walce, która po nich zawrzała (str. 23): „Gdy ballady Mickiewicza wyszły z druku, uczeni literaci czytali je i dąsali się. — Patrzcie go, tego młodzika! — mówili — pisze po swojemu, inaczej niż my. I któż widział bajać w poezyi o czarach, gusłach, zabobonach, w które tylko ciemny gmin wierzy? Któż widział kazić język wyrażeniami, przez prostych jeno

ludzi używanemi? O zaiste, taka pisanina wstyd tylko może przynieść piśmiennictwu polskiemu!“

„Tak mówili ci uczeni literaci, którzy do innej nawykli byli poezyi. Potępiali Mickiewicza, bo ten pisał w odmienny, nowy sposób, a każda nowość, choćby była tak wspaniałą, jak słońce, a potrzebną jak chleb, przeraża i gniewa małoduszných ludzi“.

„Ale ogół czytelników inaczej sądził, niż owi literaci. Ogół rozchwytywał książeczkę Mickiewicza, czytał z uniesieniem ballady, śliczne jak wiosenne kwiaty, uperlone rosą. — To dopiero poezya! — wołano z zachwytem. — A wszystko w tych pieśniach zrozumiałe, swojskie, nasze, jak naszą jest ta ziemia, powietrze, niebo! Niema w nich greckich i rzymskich wymysłów. Mickiewicz patrzy na świat oczami własnego ludu i dlatego jest prawdziwie narodowym poetą. Obyż pisał jak najwięcej dla dobra literatury, dla chwały narodu! I kiedyż doczekamy się dalszych jego poezyi?“

Na uwagę wreszcie zasługuje sąd kobiety o stosunku Mickiewicza do Maryli (str. 40), przez różnych pisarzy rozmaicie a przeważnie sentymentalnie omawianym: „Najboleśniej dotknął go w owym czasie zawód serdeczny. Młody poeta pokochał całą siłą ognistej swej duszy ładne dziewczę, Marylę Wereszczakównę. I Maryla nie była dlań obojętna, ale widocznie obok pięknych przymiotów, które zjednały jej miłość Mickiewicza, miała i przywary, była zwykłą sobie, próżną dziewczyną, bo stargawszy święte, choć nieślubowane przed ołtarzem związki serca, wydała się za hrabiego. Wolała być bogatą panią, niż żoną skromnego nauczyciela“. Jakżeż to trzeźwo odbija od sentymentalnego rozumowania niejednego z krytyków!

Zręczną także i ponętną nazwałbym broszurę nieznajomego autora „dla polskiego ludu pracującego“. Po dość długiej przedmowie, wytłumaczającej nam zaraz u wstępu „międzynarodowy socyalizm“ Mickiewicza, podano wcale ładnym językiem ważniejsze szczegóły biograficzne i zaznajomiono zwięźle czytelnika z utworami poety, kładąc oczywiście wszędzie nacisk na zwroty i myśli, pożyteczne i przydatne dla „partyi“. Czy jednak ten rzekomy socyalizm Adama mam w istocie brać na seryo? Nie takto dawno, jak Lelewel został zwolennikiem teoryi socyalistycznych; teraz — nie wierzyłbym temu, gdyby, jak powiadają, nie „stało“ wydrukowanem — przyszła kolej i na Mickiewicza.

U wstępu do niniejszego artykułu powiedziałem, że nie wierzę w szczerość podobnych teoryi, lecz uważam je za zręczne zaszachowanie przeciwnika i za konieczność liczenia się z ogólnem usposobieniem narodu. Lecz gdyby ów „nieznajomy autor“ w rzeczywistości mówił z przekonania, czy miałbym z nim rozprawiać się całym ciężkim zapasem argumentów i walczyć o każde niemal zdanie? Wystarczy, zdaje mi się, jeśli przypomnę, że Mickiewicz dbał zawsze o swój klejnot herbowy, że bohaterami w jego utworach są prawie wyłącznie ludzie szlacheckiego pochodzenia, że nawet zarzucano mu poniekąd słusznie, iż w Panu Tadeuszu do całości obrazu nie dołączył typu mieszczanina i nie uwzględnił więcej polskiego chłopa. A kogo i to nie przekona, ten niech zważy jeszcze, że głównym podkładem charakteru Mickiewicza były głęboka religijność i najszczerszy patryotyzm narodowy. Tkwiły one w jego duszy już w dzieciństwie, rozwinęły się potem więcej skutkiem przejść najrozmaitszych, aż wreszcie wybujały w mesyanizm. Jeżeli więc nieznajomy z nazwiska autor przytacza luźne cytaty głównie z *Tribune des peuples*, to musimy go ostrzec, że najważniejszem źródłem tego braterstwa ludów i tej dążności do ulżenia uciemiężonym jednostkom była chrześcijańska miłość bliźniego i nieugięta wiara w posłannictwo nowego „słowa“, które przedewszystkiem ukochanej przez Adama Polsce a także i innym narodom miało przynieść niepodległość i świeże, religijne, duchowe życie. A czyż do takiego, całe jestestwo jednostki pochłaniającego patryotyzmu narodowego i do takiej, z każdego uczynku przeświecającej religijności, chcieliby się przyznać „międzynarodowi“ i „bezwyznaniowi“ stronnicy idei socyalistycznych?

Prof. Czesław Pieniążek, znany autor ładnych noweli i obrazków, dostarczył nam aż dwu monografii popularnych, z których pierwszą umieścił w krakowskim kalendarzu Czecha i w osobnej odbitce. Jako artykuł kalendarzowy, do którego inną miarę przystósowywać musimy, może być praca p. Pieniążka bardzo dobrą i oddać wielką usługę tam, dokąd tylko kalendarz zwykł docierać. Nawet i obeznani już potroszę z żywotem Mickiewicza znajdą w niej pełno interesujących szczegółów; inne odświeżą sobie w pamięci z niemałym dla siebie pożytkiem, zwłaszcza że autor rozwiódł się słusznie obszerniej o okresie twórczości, a ostatnich lat życia z lekka jeno dotknął. Jako odbitka jednak wchodzi w zakres innych wymagań i, wyznajemy otwarcie, nie wytrzymuje krytyki.

Ponieważ tekstu nie zmieniono, przeto przeznaczenie pozostało tem samem, jakie miał artykuł kalendarzowy. A zatem będą to chyba inteligentniejsze sfery wiejskie i półinteligentne warstwy miejskie, które na oku mieć należało. Wówczas jednak tytuł odbitki powinienby najpierw brzmieć nie: Adam Mickiewicz lecz Żywot A. M., skoro dzieła poety wbrew słusznym wymaganiom doczekały się zaledwie dość suchego zaregestrowania. Jakiegoś dalej większego ciepła i usiłowań żywszego zainteresowania czytelników nie mógłbym również się dopatrzeć, a z powodzi szczegółów, nie zawsze krytycznie podanych, należy przedewszystkiem sprostować następujące: Związek Filaretów nie był „kołem szerszem“ lecz przeciwnie ciaśniejszem, założonem dopiero w r. 1820 nie 1819: jestto błąd, który za dawniejszemi opracowaniami powtórzyły niemal wszystkie omówione tu monografie jubileuszowe. Nadto w r. 1822 wyszedł tylko jeden, a nie dwa tomiki poezyi. Wreszcie cały ustęp o entuzyazmie Goetego i jego otoczeniu do Mickiewicza grzeszy grubą przesadą i ma znowu swe źródło w znanych „Wspomnieniach“ Odyńca.

Już po wydrukowaniu powyższej odbitki wezwał p. Pieniążka komitet obchodu jubileuszowego do napisania monografii dla ludu, którą też następnie wydała Macierz Polska. Punkt widzenia zmienił się tu znacznie. Szan. autor dlatego powinien był przedewszystkiem zdać sobie jasną sprawę, co z żywota i dzieł Mickiewicza może lud zająć, a co nie. Niestety z wydanego dziełka nie mógłbym nabrać przekonania, żeby to zasadnicze pytanie wzięto pod szczegółową i dokładną rozwagę. Owszem przeciwnie, p. Pieniążek do nowej monografii wziął po prostu za podstawę wydaną już pierwej, o innem przeznaczeniu, — jakto każdej chwili przekonać się można za pomocą porównania tekstu w obydwu pracach. Stąd pochodzi, że zwłaszcza w pierwszej połowie nietylko powtarzają się całe zwroty i okresy niemal dosłownie, lecz że nawet podział na rozdziały tudzież przydłuższe ich nagłówki przejęto z pracy poprzedniej prawie bez zmiany. Stąd dalej poszło, że, choć pominięto niektóre szczegóły, dodano świeżo streszczenia dzieł i starano się pisać językiem jasnym i zrozumiałym, to przecież tok i porządek myśli uległ wogóle tylko nader nieznacznej zmianie a wiele wiadomości znalazło się zupełnie niepotrzebnie w monografii ludowej, bo były już poprzednio w artykule kalendarzowym. I tak cóż np. obchodzić może nasz lud, że Mickiewicz w Kownie przesiadywał często u dra Kowalskiego, że w Moskwie poznał tych a tych, wymienionych

po nazwisku poetów i pisarzy rosyjskich, że w Petersburgu improwizował tragedyę o Samuelu Zborowskim, o którym autor nie wspomniał nawet ludowi, czem on właściwie był, że Hanka namawiał Mickiewicza do napisania powieści poetycznej z dziejów czeskich, że podziwiali go niemiecki poeta Karol Holtej i francuski krytyk Emil Haag, itd. itd. w nieskończoność. Jednem słowem stało się przeciwnie, jakbyśmy się spodziewać mogli. Praca poprzednia wyszła tylko na niekorzyść następnej, bo autor, — powiedzmy otwarcie — był zanadto wygodny.

Z pod wpływu swojej pierwszej pracy emancypuje się p. Pieniążek dopiero w części drugiej. Opowiadanie staje się też zaraz ciekawszem, a język żywszym i piękniejszym, ale za to natrafiamy na nowy błąd. Zamiast bowiem zbyć ostatnie lata krótko i węzłowato, jakto uczyniono w artykule kalendarzowym, sądził zapewne p. Pieniążek, że obowiązkiem jego jest uzupełnić ten mniemany brak i dlatego rozwiódł się szeroko o mesyanizmie, Towiańskim i czynnej polityce Mickiewicza, — oczywiście znowu całkiem niepotrzebnie. Toteż książeczka p. Pieniążka, choć skutkiem starań Macierzy trafi może do chat wieśniaczych, to przecież nie wywoła tam żywszego zajęcia się, bo wypadła dość nudnie i nie liczy się z potrzebami ludu naszego. A szkoda wielka, gdyż p. Pieniążek potrafiłby napisać dobrą książkę dla ludu, jak tego dowodzi choćby piękny ustęp o kłócących się braciach (str. 69) lub nader ładne i stósowne zakończenie (str. 83—86).

Również i dyrektor gimnazyum cieszyńskiego, p. Parylak, podjął się trudu napisania monografii dla ludu wiejskiego, — podjął się zapewne po raz pierwszy, to też zabrakło mu wprawy i doświadczenia na tem nieznanem dla siebie polu.

Szan. autor starał się ile możności zbliżyć do poziomu wiedzy maluczkich, silił się na zrozumiałość i nie omieszkał żadnej prawie sposobności, by w sposób może aż nadto widoczny wpleść stósowną naukę i przestrogę. Z tem wszystkiem jednak nie utrafił jeszcze należytej miary, bo szczegółów i nazwisk zbytecznych pełno tu tak samo, jak u innych. P. Parylak opowiada np. ludowi obszernie, w osobnym rozdziale (str. 39—43) o walce klasyków z romantykami i usiłuje nawet podać definicyę sonetów, która oczywiście ze względu na zrozumiałość musiała wypaść dość ciekawie: „Sonety są to utwory poetyczne, które składają się zawsze tylko z 14 wierszy i wypowiadają ja-

kieś uczucia albo myśl głębszą". Nie zapomniano także wytłumaczyć IV. części „Dziadów" na tle rozpaczliwej miłości do Maryli i zapełniono więcej niż połowę książki cytatami z Mickiewicza, między któremi same tylko wyjątki z sceny więziennej i spowiedź ks. Robaka zajęły razem 27 stron druku czyli niemal czwartą część dziełka, przyczem jednak nie objaśniono wcale takich słów, jak „Menada" (str. 82), „zrekuzował" (str. 87) itd. itd. Czyż taka mozaika może być zachęcającą dla ludu i zdoła mu uzmysłowić, dlaczego wielbić powinien Mickiewicza?

„Zapał tworzy cudy", powiada Mickiewicz — wierzymy w to chętnie; w nauce jednak i literaturze zapał może dokazać czegoś wielkiego tylko wtedy, gdy trwa czas dłuższy; od razu nie zastąpi on wprawy i doświadczenia. Cenimy więc bardzo owo szlachetne uczucie, które młodzieży uniwersytetu Jagielońskiego kazało uczcić chwile jubileuszu monografią dla ludu napisaną, ale mimoto nie możemy przyklasnąć wykonaniu p. Wojnara. Młodzież uniwersytecka byłaby niewątpliwie lepiej uczyniła, gdyby w swoim podniosłym zapale złożyła była jedynie stosowny fundusz pieniężny, a napisanie monografii poleciła komuś wytrawniejszemu, z działem piśmiennictwa ludowego dokładniej obeznanemu.

W pracy p. Wojnara powtarzają się te same błędy, któreśmy już przy innych zauważyli, tylko z nieco odmiennym odcieniem. Brak należycie wytkniętego planu i zrozumienia potrzeb ludu, tudzież pospiech, — oto zasadnicze usterki, które wpłynęły ujemnie na całość, nie mówiąc już o tem, że pod względem formalnym w stylu autora — potoczystym zresztą, ale nie barwnym i obrazowym — obok rzeczy dobrze wytłumaczonych trafiają się nader często słowa dla ludu wiejskiego pewnie całkiem niezrozumiałe.

Brak odpowiedniego planu i pospiech widoczne zwłaszcza w dysproporcyi szczegółów i niedokończeniu całości. Wypadki o r. 1823 zajęły stron 76 na 124 w ogóle! a ostatni rozdział przedrukowano po prostu z monografii p. Wysłouchowej, choć praca tejże o nieco odmiennym punkcie wyjścia, a przynajmniej nie przeznaczona specyalnie dla ludu wiejskiego, który przecież młodzież uniwersytecka miała głównie na oku. P. Wojnar pisał zatem częściami i nie zdołał zdążyć na termin skutkiem „różnych przeszkód", jak sam otwarcie wyznaje w uwadze na str. 116.

Braku zrozumienia potrzeb ludu dowodzi ogromna ilość szcze-

gółów zbytecznych lub wprost nieodpowiednich. Klasycznym tego przykładem są cytaty z dzieł Kalenbacha, Chmielowskiego i Tretiaka, tudzież stosunkowo zbyt rozwlekłe i drobiazgowe opowiadanie o życiu akademików wileńskich. Dobre to i stosowne z punktu widzenia akademickiego dla uczniów uniwersytetu, ale zupełnie niepotrzebne i niezrozumiałe dla ludu. Nie zapomniano tam nawet nadmienić, że Mickiewicz początkowo zapisał się na wydział matematyczny i dopiero potem przeszedł na literacki, lub że młodzież ówczesna przedstawiała rozmaite odrębne „typy“, których zalety niejako jednoczył w sobie Tomasz Zan (Por. str. 36 i 37). A przecież p. Wojnar miał gotowy i piękny wzór pod tym względem w pracy p. Wysłouchowej, której częściowo pozwolił się wyręczyć. Jakżeż tam całkiem inaczej! Jak tam choćby i w tym ostatnim rozdziale, dosłownie przedrukowanym, starano się o język barwny i obrazowy, aby trafić do serca czytelników, jak położono nacisk na szczegóły ważne a pominięto drobne i niestosowne tak, że nawet nie wspomniano o Towiańskim i mesyanizmie, skoro tego prawie niepodobna wytłumaczyć ludowi! Czyż tej różnicy między rozdziałami swoimi a obcymi nie czuł p. Wojnar? Sądzę, że ona nie uszła jego uwagi i że praca młodego autora byłaby również lepiej wypadła, gdyby ją był najpierw wykończył, a potem dokładnie przejrzał, poprawił, odrzucił, co było niepotrzebnego, a położył nacisk na to, co mogło wywrzeć większe wrażenie.

Najwięcej jeszcze wprawy i zrozumienia, jak i co należało pisać dla ludu wiejskiego, okazał autor, kryjący się pod pseudonimem H. Orszy.

Początek tworzy nader barwny opis niedawnego przeniesienia zwłok na Wawel i nader zręczne wytłumaczenie pytania, jakim to był ów poeta, którego z taką okazałością grzebano powtórnie. Następują „Dziecinne lata“, „Pobyt w Wilnie“ wraz z „Odą do młodości“, a za niemi w ślad „Ballady“, nad któremi autor rozwiódł się najdłużej, uważając je widocznie za pieśni, najlepiej do serca ludu przemawiające. Krótko i węzłowato, ale nie mniej jasno i przejrzyście wytłumaczono ich istotę a następnie cztery z nich: „Rybkę“, „Lilie“, „Panią Twardowską“ i „Trzech Budrysów“, przedrukowano niemal w całości, przeplatając tekst zręcznie i w miarę odpowiedniemi objaśnieniami. — Dalej idą: „Dziadów“ część II, „Grażyna“, „Konrad Wallenrod“, wyjątki z „Ksiąg pielgrzymstwa“ i „Pan Tadeusz“, przeplecione

najniezbędniejszemi szczegółami z żywota. Całe opowiadanie zamyka kilka słów o śmierci, do których jak przy „Panu Tadeuszu“ nawiązano zachetę, „jakby to dobrze było, gdyby .... w zagrodach wieśniaczych czytano .... księgi Mickiewicza..... A na to wszak łatwa rada. Dzieła Mickiewicza w wydaniu warszawskiem z objaśnieniami Chmielowskiego [1] kosztują 80 kopiejek (4 tomy). To przecież nie tak bardzo dużo, bo trzeba pamiętać, że grosz, wydany na dobrą książkę, wróci się zawsze sowicie, wzbogacając głowę w nowe myśli, a serca w szlachetne uczucia. Bajki wyszły w osobnej książeczce i kosztują tylko 5 kopiejek. — Do piosnek Mickiewicza dorobiono śliczną muzykę Łatwoby było też je sprowadzić i poprosić organisty lub jakiego skrzypka, znającego nuty, żeby je zagrał i nauczył melodyi“.

Tak pięknie i stosownie kończy p. Orsza swą książeczkę, nie wypadając nigdzie z raz przyjętej roli. O walce klasyków z romantykami i sonetach oczywiście ani słowa, bo i jakżeby to ludowi wytłumaczyć należycie? Dlaczego jednak autor pominął także więzienie Mickiewicza i pobyt w Rosyi, tego dokładnie nie rozumiem. Może być, że nie chciał iść śladem innych i pisać tak, jakby cenzura wymagała, a pisać inaczej nie mógł. W każdym razie oprócz pominięcia tych szczegółów, o które bądź co bądź mojem zdaniem koniecznie potrącić należało, wszystko inne jest tu trafnie obmyślane i do pojęć ludu mądrze zastosowane.

I inni autorowie zaczęli również od przeniesienia zwłok Mickiewicza i dali nam początek wielce obiecujący, lecz potem popadli w szczegóły i trudności, z których już wybrnąć nie potrafili. P. Orsza przeciwnie raz uderzywszy w ton właściwy, zdołał zachować go aż do końca i uniknąć równocześnie wszystkiego, cobyśmy słusznie w danym wypadku nazwali niewłaściwem lub zbytecznem. Nawet mnogość cytatów nie razi u niego, gdyż umiał je wybrać i przepleść opowiadaniem z całą, właściwą sobie zręcznością. Jeżeli więc do tych zalet dodamy jeszcze język, ładny i potoczysty, jasny, giętki i umiejętnie przystosowany, to wówczas prawdopodobnie nie będzie może za śmiałem twierdzenie, że w p. Orszy kryje się prawdziwy talent na ludowego pisarza.

*

* *

[1] O tem nazwisku uczynił autor dość zręczną wzmiankę już poprzednio na str. 47.

Reasumując powyższe dane przychodzimy do przekonania, że z szesnastu omówionych prac[1] udały się tylko trzy: prof. Tarnowskiego, p. Orszy i — choć już w mniejszym stopniu ze wzlędu na stronniczość — p. Wysłouchowej. Na pewne jeszcze odróżnienie zasługiwałoby dziełko dra Konecznego, napisane również nie bez wyraźnej tendencyi, tudzież „Dla ludu pracującego“, jeżeli przy niem odrzucimy dziką teoryę o międzynarodowym socyalizmie Mickiewicza, a zwrócimy jedynie uwagę na zręczność przedstawienia.

Kraków zatem zdobył się na monografię naukową o zacięciu popularnem, ale nakładcą jej był księgarz petersburski; Lwów przyniósł pracę dla warstw miejskich, mało inteligentnych, a jedynie Warszawa dostarczyła książki możliwej dla ludu wiejskiego. Odpowiada to zupełnie panującym u nas stosunkom.

Kraków jest w istocie punktem centralnym polskiej nauki, lecz głównym odbiorcą pozostają zawsze Królestwo i prowincye zabrane. We Lwowie skutkiem agitacyi politycznej powstała większa łączność z warstwą miejską o mniejszej inteligencyi. Natomiast na żywszą styczność z ludem wiejskim nie zdobyło się jeszcze społeczeństwo ani w Galicyi mimo gadania, ani w Prusiech, mimo silnego naporu Niemców. Lepszy już nieco kontakt z ludem zachowuje widocznie mimo najrozmaitsze przeszkody Warszawa, podobnie jak tam, a nie gdzieindziej rozwija się stosunkowo jeszcze najlepiej literatura dla dzieci i młodzieży. — Czyż mam na podstawie tych bijących w oczy rezultatów wyprowadzać jeszcze dalsze wnioski i snuć obszerniejsze uwagi na przyszłość?...

Dr. Korneli Juliusz Heck.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Z nowych powieści angielskich.

H. G. Wells: „The invisible Man“. — „The Time machine“. — „The island of dr. Moreau“.

Literatura angielska przez dziwną bardzo przechodzi fazę: czy wyobraźnia autorów, wybierająca do niedawna temata z przygód życia

[1] Dwu pozostałych (por. uwagą na str. 119) nie mogłem już uwzględnić.

codziennego i wyrabiająca z nich nieraz arcydzieła, wyczerpała się w końcu, czy też dostała zawrotu od szalonego ruchu, w jaki wprawia ludzkość zachodnią, wzmagający się rój świeżych wynalazków? Istotnie czytając zda się, że pod wrażeniem dziwów magnetyzmu i hypnotyzmu a nadto w ustawicznym wirze kolei, bicyklów, telefonów, telegrafów, dzwonków i innych drażniących nerwy przyrządów, wobec których niknie oddalenie i noc — trzeźwe dzieci Albionu straciły miarę między tem, co możliwe, a tem, co ludzką siłę przekracza, zapomniały granicy pomiędzy światem ducha a światem materyi. Stąd zamęt, którego wymownem odzwierciedleniem są obecnie powieści. Ziemia w nich miesza się z niebem lub piekłem; widzimy chodzącego widomie po świecie samego Chrystusa Pana, to znów w ludzkiem ciele uwięzionych szatanów, ludzi o dwóch duszach i jednem ciele, lub o dwóch ciałach i jednej duszy; innych, zostających pod wpływem planety Marsa; ówdzie wzdychającą do siebie a rozdzieloną parę, łączącą się regularnie na kilka godzin dziennie za pomocą sztucznego snu, podczas którego przenoszą się gdzie chcą i prócz istotnego życia inne uboczne prowadzą życie. Niektórzy autorowie czerpią ponure temata z Egiptu lub Indyj, a wtedy metampsychoza, lub jakieś zaczarowane posążki grają niepoślednią rolę: Tak np. w powieści *Princess Ziska* (M. Corelli) wódz egipski Arakses, zmarły za któregoś z Ramzesów, odnajduje się w osobie nowoczesnego francuskiego malarza i odbiera śmierć z ręki kobiety, którą był za pierwszego życia opuścił.

Jednym z najdziwniejszych, a raczej najdziwniejsze rzeczy piszących autorów, jest H. G. Wells. Pierwszej jego powieści *The war of the worlds* — „Wojna światów", niestety nie znamy; za to w trzech następnych widzimy rysujący się dobitnie kierunek myśli i rodzaj talentu. Autor nie wkracza w sfery nadprzyrodzone, tylko na nutę wynalazków wyprawia tryle fantastyczne, szalone, nieraz ponure, ale zawsze przyzwoite i co więcej, nie pozbawione głębszej, przewodniej myśli. Pierwsza powieść *The invisible Man* — „Niewidzialny człowiek", jest nawet zabawną, zwłaszcza w pierwszej połowie; w drugiej rozgrywa się rodzaj tragikomedyi zakończonej dramatem i całość może się przyśnić. Jest to historya młodego chemika, który za pomocą preparatu, odejmującego krwi barwę czerwoną, a następnie zastosowania różnych promieni i gazów, wynalazł sztukę nadania ciału ludzkiemu czy zwierzęcemu przezroczystości zupełnej. Przedstawienie całego chemicznego procederu wydaje się w oczach laika równie prawdopodobnem jak niejeden skład aparatu opisany w fantastycznych podróżach Verne'a, a potem

wykonany w rzeczywistości. Tutaj młody Griffin jest albinosem, co mu ułatwia działanie; duszę jednak musi mieć mniej białą od włosów, gdyż w braku potrzebnych do eksperymentu funduszów, okrada ojca z powierzonych mu przez kogoś pieniędzy, a gdy ojciec z rozpaczy się zastrzelił, nie odczuwa zgryzot ni żalu. Myśl o potędze, jaką przez niewidzialność pozyska, odurza go i zaślepia. Nasamprzód procederu probuje na białym kocie i celu dosięga wybornie, tylko dwie kota zielone źrenice pozostają i błyszczą w przestrzeni. Następnie próbuje sam i po nocy spędzonej w strasznych boleściach, przeraża się w pierwszej chwili widząc się w lustrze bez rąk i bez twarzy, jedynie części okryte odzieniem zachowały widzialny kształt ludzki. A zatem próba udała się, teraz jednak rozpoczyna się nieprzewidziany szereg trudności. Z izby Griffina słyszano miauczenie kota i właścicielka tegoż pewna, że chemik na nim wiwisekcyi dokonał, szturmuje do drzwi jego z gospodarzem domu i jego synami. Nie mogąc im ujść inaczej Griffin zrzuca ubranie i ucieka przez okno. Ucieczka łatwa dla niewidzialnego człowieka, ale raz na ulicy Griffin spostrzega, że stracił wszelkie prawa człowieczeństwa: ludzie trącają go, powozy najeżdżają nań, psy tylko węszą go i ujadają zawzięcie. Zimno przytem dokucza mu dotkliwie, skostniałe bose stopy ranią się na bruku i stają poniekąd widome od przylegającego do nich błota. Wkrótce też Griffin zauważa, że wilgoć mgły osiadająca na jego ciele, tworzy mu jakoby szklanną powłokę, gorzej jeszcze, gdy śnieg zaczyna padać i uwydatniać każdy płatek skóry, który go pokrywa. Zmęczony, zziębnięty, głodny, musi skradać się jako wilk, żyjąc łupieztwem, nie bacząc na ludzką krzywdę, nie zatrzymując się przed żadnym gwałtem. Wynikające stąd sceny są niesłychanie komiczne. Nareszcie nieszczęsny niewidzialny człowiek zdobywa całkowite ubranie z okularami, fałszywym nosem, fałszywą brodą, peruką i bandażami zasłaniającemi niewidzialne czoło; może nareszcie za skradzione pieniądze iść zjeść porządny obiad w osobnym gabinecie restauracyi, może go strawić swobodnie bez obawy, aby jadło widzialne w jego przeźroczystym żołądku zdradziło jego tajemnicę. Niedługo jednak zdoła się w niej utrzymać. W nadziei, że na prowincyi będzie mógł żyć w ukryciu, wyjeżdża z Londynu do maleńkiego miasteczka, gdzie oczywiście stokroć większą na siebie zwraca uwagę. Ludzie podpatrują go zrazu z ciekawości, a następnie gdy nowe popełnił złodziejstwo wobecności pastora, który ze zdumieniem widział biurko swoje otwierające się, a pieniądze podnoszące się w górę i wędrujące w powietrzu — napadają nań, aby go aresztować. Wszczyna się bójka, wśród której

Griffin zdzierając z siebie jedną po drugiej części ubrania, staje się stopniowo niewidzialnym, i poturbowawszy sporo osób umyka znów na pole. Ciągłe podrażnienie wszakże a może i użyte środki działają na jego mózg: gdy po nowej seryi awantur, zdradzony przez włóczęgę, którego był zmusił do służenia mu, gnany jak dziki zwierz przez gromadę roszczutych nań ludzi, chroni się do mieszkania jednego z dawnych kolegów — jest już zupełnym szaleńcem. Młody lekarz, dr. Kemp, nie chciał był zrazu wierzyć wieściom szerzonym w gazetach o niewidzialnym człowieku, ale teraz już wątpić nie może, bo nietylko słyszy głos Griffina, nietylko czuje niezbyt łagodny uścisk jego dłoni, ale widzi krew, która kapiąc mu z rany staje się widzialną, gdy krzepnie. Przyjmuje tedy, karmi i szlafrokiem odziewa swego dziwnego gościa a spostrzegłszy się, że ma do czynienia z niebezpiecznym waryatem, proponującym mu współudział w wielkich planach mordu i rabunku, zaprowadzenia na okół panowania strachu i grozy, wysyła z cicha list do przyjaciela swego, naczelnika policyi. Z bijącem sercem aż do przybycia pomocy zajmuje rozmową Griffina, który za przyjściem policyi broni się jak zwierz rozjuszony i raz jeszcze wydostaje na wolność, poprzysięgając mu zemstę. Teraz już ścigany staje się napastnikiem. Odpocząwszy gdzieś w ukryciu przez 24 godzin rozpoczyna szturm do domu Kempa. Walka potworna z niewidzialnym przeciwnikiem opowiedziana jest z najwyższą grozą: kończy się zwycięztwem przemożnej siły większości. Griffin upada z piersią zgnieconą, a ciało jego w miarę działania śmierci nabiera barwy i kształtów. W godzinę po zgonie jest to już zwykły trup bardzo poturbowanego młodzieńca... Kemp lituje się nad nim, a bardziej jeszcze nad stratą trzech ksiąg zawierających klucz do tajemnicy Griffina, a znikłych zda się na zawsze. Książki jednak istnieją schowane przez owego włóczęgę, który ukradłszy je wraz ze złupionemi przez chemika pieniędzmi i założywszy sobie kawiarnię pieści się niemi, choć ich nie rozumie i nie myśli oddać do śmierci.

Druga powieść *The Time machine* daleko mniej od poprzedniej zabawna a bardziej fantastyczna, może być uważaną za bajkę mniej lub więcej zdrowej doniosłości społecznej. Uczony mechanik, zbyt genialny według autora, aby mógł mieć mir w kołach uniwersyteckich, wynajduje maszynę, za pomocą której może się przenosić nie w przestrzeni ale w czasie. Pierwszą próbę wykonywa w gronie przyjaciół: wytłumaczywszy im, że prócz trzech miar geometrycznych: szerokości, długości i grubości, jest jeszcze czwarta miara: trwałość czyli czas,

która to miara może być naukowo opanowaną równie jak tamte, puszcza w ruch maleńki model swego przyrządu, który po chwili staje się mglistym i znika: stolik na którym stał pozostaje pusty, tylko świeca jedna na kominie od poruszenia powietrza zgasła! Przyjaciele rozchodzą się zdumieni przyjąwszy zaproszenie na obiad na następny czwartek, za tydzień. W ten dzień istotnie gromadzą się znowu ale na pana domu długo przychodzi im czekać, a gdy wreszcie się zjawia, ledwie zdołają go poznać. Twarz jego wynędzniała, nogi skrwawione i bose, odzież zużyta i zdarta, wzrok pełen niewymownego lęku i grozy. Dopiero po sporym hauście szampana przychodzi nieco do siebie, idzie się oporządzić, a następnie z wilczym apetytem w milczeniu pożera obiad i ochłonąwszy nieco poczyna mówić:

Nazajutrz po zadziwiającej próbie z modelem przyrządu, wsiadł był na prawdziwą swoją maszynę i nacisnął sprężynę. Przez parę minut jeszcze widział wkoło siebie mury pracowni, potem stracił ją z oczu, i znalazł się w coraz to wzmagającym się wirze. Przed nim wskazówki oznaczające godziny i dnie migały coraz to szybciej; słońce jak meteor przelatywało ze wschodu na zachód, po dniach zaczęły lecieć miesiące i lata i wieki... Teraz już białość zimy i zieloność lata mijały się raz po raz jak cienie, z dnia i nocy, których już rozeznać nie zdołał, utworzył się rodzaj jednostajnego zmroku. Zrazu chwilami jeszcze dostrzegał wkoło siebie zmieniający się widok, potem oszołomiony przestał się patrzeć i tak bezmyślnie leciał w przyszłość daleką. Późno dopiero oprzytomniał, i nie bez trwogi przycisnął drugą śrubę, aby przyrząd zatrzymać. Wstrząśnienie było gwałtowne; podniósłszy się z ziemi, na którą potoczył się wypadając z maszyny ujrzał się na łączce obrosłej krzakami rododendronu, opodal wzniesiony na olbrzymim postumencie ze spiżu stał równie olbrzymi kamienny sfinks i zdał mu się urągać wyżartemi od starości usty. Wskazówki mierzące przebyty czas znaczyły 2800 rok naszej ery. Zdala z pośród zieleni i kwiatów, widniały ogromne pałace, obeliski, posągi, wszystkie świadczące o wspaniałości czasów minionych i o powolnym upadku. Kwiaty były cudownie piękne, znać przez długie lata kultury doprowadzone do doskonałości gatunku ale teraz rosnące dziko, bez ładu. Drzewo o pysznych owocach rozwijały się snać dawno ludzką nie krzesane ręką; pól, zboża, uprawnej ziemi nie było nigdzie. Wkrótce atoli ukazali się ludzie w krasne a strojne przybrani jedwabie. Podróżnik zrazu wziął ich za dzieci, tak byli misterni, delikatni a piękni. Płeć ich przezroczysta biała kwitła rumieńcem, jaki dziś tylko czasem u młodych su-

chotników widzimy. Wszyscy byli młodzi, wszyscy weseli, kobiet od mężczyzn nie można było odróżnić, dzieci wydawały się dziwnie szybko dojrzałe. Podróżnik usiłował wejść z nimi w rozmowę, ale ich śpiewnego szczebiotu zrozumieć nie zdołał, oni też przypatrywali mu się ciekawie, śmiali się i szeptali, a potem prędko znudzeni biegli szukać innej zabawy. W jednym z pałaców, do którego wszedł wraz z całą gromadą tych ładnych istot, ujrzał ich w obszernej jadalni pokrzepiających się owocami różnego gatunku i pomimo tęsknoty za chlebem i mięsem musiał sam się zadowolnić tą strawą. Innej bowiem ówcześni ludzie nie znali. Wkrótce też odkrył, że równie nie znali pracy i nie byli zdolni do najmniejszego wysiłku: nie znali własnych domów, ani rodziny, ani żadnej organizacyi społecznej. Dzień schodził im na zabawie, noc spędzali gromadnie, leżąc pokotem na stosach poduszek rozesłanych w jednej sali gmachu, nie zdali się spostrzegać, że wspaniałe rzeźby i malowidła gmach ten zdobiące pękały i opadały po trochu, że proch od wieków nie starty powlekał kotary i gzymsy. Wszędzie dokoła sterczały resztki murów, grubo ziemią i zielonością zasnute, z wysokiego pagórka wyglądało coś jakoby bęben z żółtego metalu, zapewne wierzchołek zasypanej kopuły. Podróżnik czuł się na ruinach dawnej stolicy, patrzał na srebrną wstęgę Tamizy, wijącą się swobodnie: o dokach, mostach, i statkach nawet i pamięci nie było. Nie dziw, iż siedząc wieczorem na owem sztucznie wzniesionem wzgórzu i patrząc na zachodzące słońce myślał i o zachodzie rodu ludzkiego. To, co go otaczało było hypertrofią, zwyrodnieniem cywilizacyi: na całej kuli ziemskiej nie było już ani jednego szkodliwego zwierzęcia lub gadu, ani jednego złośliwego bakcyla, ani jednej trującej rośliny, nie było chorób ani żadnego pozoru niebezpieczeństwa. Wszystko to było dziełem dawnych generacyj doszłych długoletnią pracą, badaniem, nauką, do zamienienia naszej planety w kolosalny, rozkoszny park. Gdy jednak cel ten został osiągniętym, a ludzkość znalazła się bezpieczna i spokojna wobec życiodajnej natury, wraz nieużyte już siły umysłowe a za niemi fizyczne poczęły niknąć; rasa zajęta litylko używaniem zwolna zdrobniała, wyrafinowała się nad miarę, zdziecinniała, zgłupiała... Jedna rzecz wydawała się jeszcze zagadką: kto poruszał maszyny wyrabiające tych małych ludzi odzienie, kto w inne ich zaopatrywał potrzeby? Wprawdzie tu i ówdzie wśród gąszczów widać było rodzaj głębokiej studni, z której dochodził huk i gwizd jakoby podziemnych warsztatów, ale kto dla tych niepracujących pracował? Drugie pytanie, czemu mieszkańcy ziemskiego raju z taką odrazą odwracali się od tych

studzien; czemu, zapomniawszy użycia ognia, taką trwogę okazywali w ciemnościach. Że krom trwogi pozostały im niektóre inne ludzkie uczucia, świadczyła wdzięczność okazywana przez śliczną dziewczynkę, nazwaną Weena, podróżnikowi, który ją tonącą wydobył z fali. Znosiła mu kwiatki, śpiewała i tańczyła jak ptaszek; on też nosił ją na ramieniu niby przyswojonego gołąbka. I w niej przed ciemnością zauważył trwogę, a trwoga ta zamieniła się w przerażenie i rozpacz, gdy zaciekawiony podziemnym hukiem a bardziej jeszcze zaniepokojony zniknięciem swego podróżnego przyrządu, w poszukiwaniu za nim spuścił się po wystających sztabach w jedną ze studzien. Podróżnik śmiał się z jej trwogi, zaledwie jednak dosięgnął dna, począł sam drżeć zimnym potem oblany: pod całą powierzchnią ziemi ciągnęły się podziemia, a w nich roiła się ludność zupełnie inna, także drobna i pojedynczo słaba, ze skórą zbielałą, jak skóra zwierząt zawsze zamieszkujących ciemności, z ogromnemi, pozbawionemi powiek oczami, zamykającemi się przed światłem jak oczy sów. Były to raczej larwy niż ludzie... Podróżnik poczuł wnet ich zimne, wilgotne ręce dotykające jego ramion i twarzy, otrząsnął się z obrzydzeniem, a napastowany z uporem, począł jedną po drugiej zaświecać zapałki. Larwy oślepione cofnęły się, a on korzystając z chwili rzucił się napowrót ku studni i odetchnął dopiero, gdy się znalazł przy Weenie, bezpieczny w słońca promieniach. Przyrządu swego nie widział ni śladu, zato dostrzegł inne maszyny puszczane w ruch przez podziemnych mieszkańców. Dostrzegł też, że się żywili mięsem, a że wszelka rasa bydła na ziemi wygasła, domyślił się ze zgrozą, jakie to było mięso. Zrozumiał dlaczego górni ludzie bali się ciemności, dlaczego żaden z nich nie już siwizny, ale nawet średnich lat nie dochodził. Dolni ludzie wykradali ich i jedli, zwano ich Morlokami. Zrozumiał też ich pochodzenie, przemysł otaczający klasę bogatą wszystkiemi urokami zbytku, a robotnika spychający w dół, wytworzył był przed laty pomiędzy temi dwiema gałęziami ludzkości przepaść straszliwą. Nie dziwiło go to wielce, toż już dziś po wielkich miastach, a zwłaszcza w Londynie, tworzy się stopniowo pod ziemią drugie miasto, robocze, czarne i smętne, podziemne restauracye, koleje, składy, warsztaty. „Widocznie“, pomyślał nasz podróżnik, dążność ta szła *crescendo*, aż wreszcie przemysł utracił swe prawa obywatelstwa pod słońcem. Ludność robocza coraz to większą część życia spędzała pod ziemią, aż w końcu!... A czyż teraz robotnik z dzielnicy East-end nie żyje w sztucznych warunkach, odcinających go faktycznie ze zwykłej powierzchni świata? Podobnie dąż-

ność do wyłączności u ludzi bogatych, wynikła bez wątpienia z wzrastającej wykwintności ich wychowania, i pogłębiająca się otchłań pomiędzy nimi a gwałtowną rubasznością ubogich, staje się przyczyną zagrodzenia na niekorzyść tych ostatnich rozległych przestrzeni kraju. Na okół Londynu n. p. przeważająca część pięknych miejscowości zamknięta jest dla publicznego użytku... Z tych wszystkich przyczyn autor wyprowadza stopniowy podział kast, o jakim nie marzyły poprzedzające nas wieki, a którego podróżnik nasz widział obecnie zatrważający epilog. Nie tak był on sobie wystawiał stan dojrzałości społeczeństwa ludzkiego! Wprawdzie to, co widział, było już jego upadkiem: był czas zapewne, gdzie rozum ludzki doprowadził organizacyę do równowagi zupełnej, gdzie kapitalista bezpieczny był o swoje mienie a wyrobnik o swój zarobek i życie, ale ta równowaga nie zdołała się utrzymać. Przy trawiącej siły moralne i fizyczne bezczynności jednych, przy moralnej i fizycznej ciemności drugich przyszło do wyzdrowienia wszystkich. I tak ród ludzki założywszy swój cel w dobrobycie, w samolubnem wyzyskiwaniu wzajemnem konał w najsmutniejszej nędzy duchowej.

Brak nam czasu, aby w ślad za uczonym zwiedzać szczątki olbrzymiego muzeum i filozofować nad marnością ludzkiej wiedzy i ludzkiej pracy wobec rozpadających się w proch ksiąg bibliotecznych, z których zaledwie tu i ówdzie walał się kawał okładki, aby powtórzyć jego opowieść o strasznej walce stoczonej z Morlokami wśród zewsząd płonącego boru, aby wreszcie po odnalezieniu w postumencie Sfinksa podróżnego przyrządu, uciec na nim w dalsze jeszcze wieki przyszłości, widzieć ziemię wracającą stopniowo do pierwotnych dni stworzenia, obumierającą z żywotnych tworów, patrzeć na zamarcie słońca, na lód ogarniający całą powierzchnię świata i zamarzający wszystko... Nie dziw, że zgromadzeni przy obiednim stole towarzysze z pewnem powątpiewaniem słuchają opowieści powracającego podróżnika, który w ostatniej chwili czując, że sam umiera, znalazł był jeszcze dość sił, aby śruby swego przyrządu pchnąć w tył, i w paru godzinach przebyć wstecz wieki dzielące koniec świata od dnia obecnego. Za dowód jego prawdomowności świadczą w kieszeni zniszczonego walką ubrania uwiędłe kwiaty w naszej botanice nieznane, świadczy stan maszyny i samego wędrowca wracającego z krańców istnienia wszechświata.. Słuchacze jednak wątpią, a najsceptyczniejszy z nich, lekarz domyśla się umysłowego zboczenia. Brak mu atoli czasu do skonstatowania swych wniosków, gdyż niezmordowany podróżnik uzbrojony w aparat

fotograficzny znika pewnego dnia z pracowni wraz ze swą wielką maszyną. Znika przy drzwiach zamkniętych i tym razem nie wraca: czy trafił w przestrzeni czasu na jakiś wiek szczęśliwości i zgody, czy marnie zginął wpadłszy między ichtyosaury i smoki? O tem nie dowie się nikt. Warto zauważyć, że imię Pana Boga nie jest ani razu wspomnianem w ciągu tej allegoryi, że przy końcu świata niema wzmianki o sądzie.

Stąd jednak nie należy wnioskować, że autor jest bezwyznaniowym. Trzeci jego utwór *The island of dr. Moreau* — „Wyspa dra Moreau" zdaje się świadczyć przeciwnie. Znajduje się tam zdanie, „jestem przecież wierzącym jak wszyscy rozumni ludzie", całość zatem jest lekką satyrą polityczną, osnutą na tle wielkiej satyry anti-darwinistycznej. Czy wyśmianie tych nowych prądów było istotnie zamiarem Wellsa, czy też mimowoli z wybryków jego fantazyi wyrosło — dość że takim jest moralny wynik powieści zajmującej drugą, większą połowę tomu *Tauchnitz Edition* nie objętą przez podróż po wiekach.

Anglik Edward Prendick w skutek rozbicia statku na Oceanie Spokojnym, dostaje się po całym szeregu awantur na niewielką, ledwie na mapach naznaczoną wyspę, rzekomo niezamieszkałą. Są tu jednak ludzie: osławiony wiwisekcyjnemi eksperymentami dr. Moreau i jego pomocnik Montgommery, młody medyk zmuszony unikać ojczyzny z powodu jakiegoś brzydkiego skutkiem pijaństwa popełnionego czynu. Są też prócz nich różnorodne istoty, których tak kształty jak i zachowanie się zdumieniem i wstrętem napełniają Prendicka: są to niby ludzie o bardzo krótkich nogach, przygarbionym grzbiecie i dziwnie spłaszczonych głowach; pełnią służbę, rąbią drzewo, noszą ciężary, nawet jako tako gotują strawę, ale mowa ich bełkotliwa jest i niewyraźna, oczy biegające szybko i błyskotliwie, a zasób wyrażanych pojęć niesłychanie szczupły i jednostajny. Każdy z nich przypomina jakiegoś zwierza, to psa, to małpę, niedźwiedzia lub lamparta; są i nadzwyczajne mieszańce, łączące w sobie właściwości dwojga różnych zwierząt. Wszystko to jakieś biedne, sztywne, śmieszne i wylękłe pod batem królujących nad niemi ludzi. Prendickowi zdaje się, że to istotnie ludzkie stworzenia zezwierzęcone, zwyrodniałe, spodlone. Słyszy z laboratoryum dra Moreau wychodzące dniem i nocą krzyki i jęki boleści, a niekiedy jakoby ludzkie szlochanie, wpadłszy tam dostrzega jakieś krwawe ciało rozciągnięte na drewnianej kracie, a wypędzony przez zagniewanego chirurga dochodzi do konkluzyi, że Moreau w chorobliwonaukowym szale zamęcza ludzi odzierając ich z cech człowieczeństwa.

Wtedy w obawie o własną skórę ucieka i już ma wskoczyć do morza, aby śmiercią ratować się od spodlenia, gdy go Montgommery i Prendick skłaniają do opamiętania. Opis tej ucieczki po szuwarach i skałach przed pogonią całej wyszczutej nań menażeryi jest przejmującym. Wróciwszy do domu Moreau, raczy nareszcie wyjawić tajemnicę: nie ludzi przerabia on na zwierzęta, ale zwierzęta na ludzi, a czasem i na fantastyczne potwory. Po prostu rzeźbi w żywem ciele odejmując tu, dodając tam, przelewając w żyły obcą krew, nacinając muszkuły i mięśnie, zaszczepiając obce soki. Nad niektóremi pracuje tak, dniem i nocą przez cały tydzień... „Główna różnica między człowiekiem a małpą — powiada — polega na kształcie krtani". Najgorszą biedę ma z mózgiem, nad którym również operować musi, aby mu nadać właściwości mózgu ludzkiego, przyczem dopomaga sobie silnie hypnotyzmem i suggestyą. Gdy zaś Prendick wymawia mu okrucieństwo, w zadawaniu tak okropnych cierpień, Moreau odpowiada mu, że musi chyba być materyalistą, skoro cierpienie fizyczne lub rozkosz stanowi dlań rzecz godną uwagi. Według niego wszelki ból, wszelkie uczucie fizyczne jest właściwością zwierzęcą, nad którą człowiek inteligentny powinien się wznieść zupełnie[1]. „Za każdym razem, mówi, kiedy żywe stworzenie zanurzam w kąpiel palącego bolu, powiadam sobie, że wszystko co w niem jest zwierzęcego, tem cierpieniem wypalę"... Pracuje tak od lat dwudziestu, raz z lepszym, raz z gorszym skutkiem, bez wątpienia doszedł do rezultatów ogromnych, a jednak przyznaje, że jest coś, czego nie może dosięgnąć, nie tak w inteligencyi, choć i w niej bywają niespodziewane przerwy i braki, ale gdzieś w siedlisku, w pierwotnem źródle uczuć... Gdy ze zwierzęcia urobił człowieka, wydaje mu się zrazu wybornym, nie różniącym się w niczem od niższych jednostek człowieczeństwa, ale już po kilku dniach wrażenie to zanika, zatarte rysy zwierzęce jeden po drugim wracają na jaw, ciało zwierzęce napowrót porasta. Nie traci wszakże nadziei, że i tę trudność z czasem pokonać zdoła...

Nadzieja okazuje się zwodniczą. W kilka tygodni później nowa ofiara d-ra Moreau, puma, którą właśnie urabiał na obraz i podobień-

[1] Ta sama zasada wprowadzoną jest praktycznie w życie, przez pewne stowarzyszenie kobiet amerykańskich: „kobieta chrześcijanka, powiadają te panie, powinna zapomnieć o tem, że posiada ciało", a zatem w najgorszym bolu i w chorobie nie przerywać pracy, ani zwykłego trybu życia. O ile to jest wykonalnem przy złamaniu nogi, lub tyfusie osądzić łatwo.

stwo swoje, urywa łańcuchy, ucieka w las i tam dognana przezeń, rzuca się na niego i zagryza. Inne, dzikie niegdyś, a dziś w stroje ludzkie przybrane bestye, przychodzą chłeptać krew jego, na całej wyspie powstaje rewolucya, bunt przeciwko panowaniu człowieka. Montgommery z rozpaczy i trwogi ucieka się do wódki, upaja swych ulubieńców z pomiędzy bardziej przyswojonych zwierząt i rozpaliwszy wielkie ognisko, krzyczy z niemi i skacze dokoła przez całą noc aż rozwścieczone bestye rzucają się jedne na drugie i zagryzają wzajemnie. Prendick nadbiegłszy z pomocą, zastaje go konającego pod pazurami jakiegoś nieokreślonego potwora. Całe zabudowania d-ra Moreau wraz z jego aparatami padają pastwą płomieni. Prendick sam jeden z ludzi pozostały na wyspie, kryje się wśród gąszczy i skał, w towarzystwie wielkiego psa-człowieka, który ze swej psiej natury nie pozbył poczciwej wierności; zwolna jednak zatraca wszelkie nałożone nań przemocą pęta człowieczeństwa. Podobnie inne zwierzęta porastają napowrót sierścią, chodzą na czterech łapach jak wprzódy i po trosze przestają mówić, wracając do dawnych zwierzęcych dźwięków. Całe ich zachowanie się w czasie i po śmierci tyrana, przypomina do zbytku zachowanie się ludzi w podobnych politycznych warunkach. Prendick ratuje się na przybłąkanej łodzi i powraca do Anglii, gdzie wpada w *spleen*, bo mu nikt nie chce dać wiary.

Jeżeli można co zarzucić tej powieści Wells'a, to lubowanie się w opisie okropności, a nadto niedostateczne utrzymanie się w zamierzonym tonie. Zwierzęta, o których powiada, że nie mają myśli własnych, tylko niektóre *idées fixes*, zasuggestyonowane im podczas operacyi, mówią zbyt wiele i zanadto rozsądnie. Być może jednak, że i nasze niesuggestyonowane zwierzęta mówiłyby równie mądrze, gdybyśmy rozumieli ich język, ich instynkt idzie niezaprzeczenie dalej niż człowiek zazwyczaj przypuszcza. Jest tylko owo „coś, w pierwotnem źródle uczuć", coś, w czem, pomimo panów darwinistów, zawsze się różnić będą od najniżej upadłego człowieka.

T. W.

Familien-Almanach unter Mitwirkung hervorragender Schriftstellerinnen herausgegeben von *E. M. Hamann*. Stuttgart. Jos. Roth'sche Verlagshandlung 1899. (Str. 282).

Dawniej almanachami zwano kalendarze, z których niejeden służył za źródło obfite dowcipów. Dziś nazwa rozciągnęła się na druko-

wane mozaiki, złożone z mniej lub więcej kosztownych kamyczków w formie wierszyków, aforyzmów, drobnych powiastek i szkiców. Najczęściej takie zbiory wypadają niefortunnie, choć bywają w niektóre sławne opatrzone nazwiska: autorowie bowiem nie zadają sobie pracy napisania czegoś nowego, ale dają zapomniane na dnie biórka kawałki, ustępy wyrzucone z większych dzieł lub poematów: trzeba już początkującego pisarza, aby takie *silva rerum* traktował na seryo. Niemniej przeto ozdobny tomik, który mamy w rękach, ma wygląd przyciągający, a kilka zawartych w nim portretów przedstawia nam twarze intelligentne, poczciwe, nie mające nic wspólnego z dzisiejszym pseudo-feminizmem i pseudo-emancypacyą. I nie dziw, toż to wszystko utwory gorąco katolickich autorek, walczących siłą swego talentu z owemi właśnie prądami. Na czele ich stoi siostra Alfonsa XII. infantka *Maria de la Paz*, małżonka księcia Ludwika Ferdynanda Bawarskiego. I ona podała swą cząstkę, wierszyk niemiecki dotyczący najświeższych klęsk Hiszpanii, rodzaj ody do spokoju, bardzo budującej ale równocześnie budzącej myśl, że jeźli wszyscy Hiszpanie tak *coûte que coûte* pragnęli spokoju, to nie dziw, że musieli być zbici... Za tym następuje to, coby winno przodować, nietylko tu ale i w każdym zbiorze: rzewna powiastka *D'Pepi* i szereg poezyi przez M. Herbert, poezyj tak ślicznych, iż niektóre z nich warto nie tylko przeczytać, ale się na pamięć nauczyć. Najładniejszemi są może kawałki zatytułowane: *Stille Zeiten* i *Rückkehr der Seele*. W ostatnim przedstawioną jest dusza jako biały, czysty list ręką Bożą puszczony w świat i powracający do Niego, ale w jakim stanie! Zapisany na wszystkie boki, okryty obcemi, różnorodnemi stemplami, odrzucony od wielu wrót, biedny list powraca do swego autora, bo nigdzie do adresu nie trafił. Prosi więc pana Boga, aby zdarł zużytą, sponiewieraną kopertę i z wnętrza jej odebrał sobie co swoje, czego żadna ludzka nie dotknęła ręka...

Prawie równie ładne jak u pani Herbert są wiersze A. Jüngst. Z tych każdy chciałoby się przytoczyć, zwłaszcza obrazek szkolny, gdzie modernistyczny nauczyciel wykładając maleńkim uczniom historyę naturalną, zapytuje do jakiego królestwa należy człowiek, po niemiecku: *In welches Reich gehört der Mensch?* — na co odbiera z ust ślicznego dziewczątka odpowiedź: *Der Mensch gehört zum Himmelreich.*

Ciekawym jest Józefiny Grau zbyt krótki szkic historyczny o opactwie w Fuldzie, a raczej o duchownym stosunku z tymże opactwem uczonych średniowiecznych niewiast, mianowicie św. Lioby, zwanej przez

Bollandystów „Apostołką Niemiec". Była to — pisze autorka — najzdolniejsza i najuczeńsza z owych anglosaksońskich oblubienic Bożych, które pobudzone sławą „Apostoła Niemiec" przebyły w XVIII. w. morza i lądy, aby na wzór jego pracować wśród lasów Germanii. Lioba była blizką krewną Winfrieda-Bonifacego, który osadził ją w Bischofsheim nad rzeką Tauber jako ksienię klasztoru, mającego wkrótce pod jej wodzą stać się głównem ogniskiem wykształcenia dla kobiet niemieckich. Dzieje Kościoła przekazały nam świetny obraz tej świętej.. Po śmierci mnisi fuldajscy zwłoki jej z wielką uroczystością przenieśli do swego kościoła, aby je złożyć przy grobie św. Bonifacego, jak im to był za życia swego przykazał. Małżonka Karola W. Hildegarda obdarzyła bogato klasztor w Fuldzie przez wspomnienie dla zmarłej, z którą łączyła ją najczulsza przyjaźń, jak to mnich Ruodolf spowiednik i kaznodzieja Ludwika Niemieckiego opowiada w biografii św. Lioby, napisanej z rozkazu wielkiego opata Rhabanusa Maurusa, który sam niejeden wierszowany napis jej pamięci poświęcił. Św. Lioba nie była jedyną; Józefina Grau przytacza dużo imion kobiet, którym dedykowane były dzieła świętobliwych i uczonych mężów: niejedno, jak sami autorowie przyznają, było pod ich natchnieniem stworzone. Do wymienionych możnaby dodać różne jeszcze nazwiska kobiet, które w średnich wiekach i w przededniu Odrodzenia nic już nie inspirowały drugich, ale same pisały. Wartoby z tego całą książkę ułożyć, opisując obok umysłowych zajęć dziewic klasztornych rozległą a czynną działalność ówczesnych żon i matek, na których głowie pozostawał cały zarząd majętności, cała opieka i władza nad poddanymi, podczas gdy mężczyźni nieraz przez długie lata wojowali w oddali. Zawarłoby się tem usta niejednej emancypantce, lub autorce wzdychającej nad ujarzmieniem niewieściego rodzaju w czasach, gdzie przewaga Kościoła górowała nad światem.

Z innych cząstek Almanachu warto już tylko zaznaczyć wierszyk o Aniele stóżu p. t. *Der gute Tag* przez Teklę Schneider, dalej ciekawe i zabawne anegdoty z młodości Chopina przez Joannę Baltz, ładne aforyzmy Emy Ghierl, *Nur ein Ave* rzewny obrazek z czasów rewolucyi francuskiej przez hr. Greiffenstein a w końcu śliczną nowelkę czy też szkic Eweryldy von Pütz: *Der alte Wendelin* był niegdyś młodym i dziarskim góralem; żaden szczyt nie był mu zbyt stromym, żadna przepaść zbyt czarną. Pewnego dnia jednak znalazł się w niebezpieczeństwie, z którego cudem niemal wyrwany, przyrzekł Matce Najśw., że będzie

do śmierci obraz jej w parafialnym kościele kwiatami ozdabiał. Odtąd też wkoło ołtarza nigdy nie brakło świeżego stroju choćby, wśród zimy, misternie splecionych mchów i choiny. Na nieszczęście Wendelin dostrzegł raz w sąsiednim kościele girlandę ze sztucznych kwiatów i nuż u kwieciarki w miasteczku uczyć się delikatnego rzemiosła. Ciężko szło palcom sztywnym, do siekiery przywykłym, ale czegóż się nie zrobi dla swojej Matusi? Wendelin powrócił na wieś z tryumfem w sercu i wielkim zapasem jaskrawych bibułek. Nim wziął chleb w usta stworzył dwie olbrzymie róże dla Najśw. Panny. Świeże kwiaty znikły z ołtarza zastąpione girlandami z bibułki, których barwy stawały się coraz żywszemi w miarę, jak Wendelin się starzał i wzrok mu niedomagać poczynał. Trwało tak, póki żył stary proboszcz. Gdy umarł, przyjechał nowy, młody, dobry ale niestety bardzo wykształcony; pierwszem jego staraniem było odnowienie kościoła, zwłaszcza ołtarza Najśw. Panny. Wendelin cieszył się, że czci drogiej jego „Matusi“ stanie się zadość; w ciszy, drżącemi od starości rękami przysposabiał olbrzymi, czerwony wieniec. Przyniósł go był właśnie do pustego jak mniemał kościoła i modlił się odpoczywając w ławce, gdy naraz doszedł go głos proboszcza rozmawiającego z jakąś panią: „Mam nadzieję — mówiła ta ostatnia — iż ksiądz proboszcz nie pozwoli nadal temu staremu szpecić pięknego ołtarza?“ „Poczciwy on — odrzekł proboszcz — ma najlepsze chęci, ale istotnie muszę jakoś te jego kwiaty usunąć“. Jeszcze nie domówił tych słów młody kapłan, gdy z ławki usłyszał stłumiony jęk i ujrzał staruszka chwiejnym krokiem wychodzącego z kościoła. U stóp ławki czerwienił się wieniec olbrzymich róż. Proboszcz pobiegł za nim, usiłował przeprosić, utulić, obiecywał, że przy uroczystości jutrzejszej tylko jego kwiaty będą obraz zdobiły — napróżno! Stary nie gniewał się, ale cios zbyt głęboko utkwił w jego sercu: „Matusiu moja Najświętsza — mówił ze łzami — jam ci przecież chciał służyć! jam całe życie na spełnienie mego ślubu poświęcił a zamiast stroić twój ołtarz jam go szpecił i psuł!“ — Powrócił smutny do domu i całą noc samotnie na ławce przed wrotami przesiedział. Nazajutrz był ciężko chory a w trzy dni potem skonał w objęciach płaczącego proboszcza. Skonał z okrzykiem radości: naprzeciw niego wyszła Najświętsza Panna strojna w jego róże i jego fiołki...

Wymieniliśmy kilka z pomiędzy kilkudziesięciu drobnych utworów zawartych w książce. Wiele tam jest rzeczy ładnych; złych, lub skrzywionych niema na lekarstwo, a pomimo to, całość wypada blado.

Nie mogło być inaczej choćby tylko dla wymienionych tu na wstępie powodów. Przypuszczamy, że każda z pań piszących równie dobre a silniejsze w swojem życiu napisała rzeczy; miło zaś jest widzieć, że jest ich tak wiele posiadających wzniosłą duszę, zdrowy sąd i wdzięczne, choć nie zawsze wybitne zdolności.

T. W.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

MASONERYA WE FRANCYI.

Nikt chyba o tem nie wątpi, że masoni istnieją, ale czem masoni są, jakie ich zasady, jakie dążności, jakie siły, o tem najrozmaitsze słyszeć można zdania. Jedni przypisują masonom wpływ skryty, ale nadzwyczajnie potężny na wszystkie ważniejsze wypadki naszych czasów; oni mieli dać inicyatywę do wszystkiego, co się w tem stuleciu przeciwko Kościołowi zrobiło; laicyzacya szkół, konfiskata dóbr kościelnych, prześladowanie kleru, krępowanie wolności Kościoła — wszystko to przypisuje się machinacyom masońskim, międzynarodowym ich rządom. Inni zaś widzą w podobnych zapatrywaniach tylko twory chorobliwej imaginacyi, nie przeczą istnieniu masoneryi, ale uważają ją tylko za stowarzyszenie filantropijnie postępowe, które wcale nie ma wpływu na sprawy publiczne a nawet w nie się nie miesza. W tem ostatniem zdaniu utwierdzają wielu fantastyczne rzeczywiście opowiadania o kulcie szatańskim, któremu to loże niby hołdują, i o bezpośredniej styczności, w której bracia wolnomularze pozostawać mają z księciem ciemności. Odsłonięcie oszustw Leona Taxila i cała sprawa miss Vaughan, mogły tylko przyczynić się do tego, by się uważało wszystkie wieści o organizacyi masońskiej za urojenia dziecinne.

I rzeczywiście; niełatwą jest rzeczą wyrobić sobie dobry sąd o masonach i ich wpływach. W tak trudnej kwestyi, przynajmniej każdego katolika zastanawiać musi stanowisko, które Stolica św. w kwestyi masońskiej zajmowała i zajmuje do dziś dnia. Nigdy Stolica św. nie wdawała się w tajemnicze wieści — można powiedzieć legendy, które się utworzyły koło masoneryi, ale samą masoneryę, jej cele i dążności, papieże od pierwszej chwili powstania tej sekty stanowczo potępili. Tak Klemens XII. w konstytucyi *In Eminenti* z r. 1738, wydanej zaledwie 20 lat po założeniu wolnomularstwa, tak Benedykt XIV., Pius VII., Leon XII., Grzegorz XVI. A dwaj wielcy ostatni papieże nieraz to ustnie, to w uroczystych encyklikach zwracali uwagę wiernych na wielkie niebezpieczeństwo, które ze strony masoneryi Kościołowi grozi i zachęcali usilnie do energicznej walki przeciwko skrytemu nieprzyjacielowi. Pius IX. w konstytucyi *Apostolicae sedis* rzucił na nowo klątwę na wszystkich, którzyby należeli do masonów; Leon XIII. poświęcił jej po raz ostatni w r. 1884 encyklikę *Humanum genus*.

O ile przesadne opowiadania o przewrotności masonów dobrej sprawie szkodzą, o tyle z radością powitać trzeba każdą dążność do wyświecenia kwestyi masońskiej na podstawie autentycznych dokumentów. W ostatnich miesiącach zaczęto w tym kierunku pracować we Francyi. W czasopismach zupełnie od siebie niezależnych i nawet od katolicyzmu dalekich, pojawiły się w ubiegłych miesiącach niezmiernie ciekawe artykuły o francuskiej masoneryi. Rozpoczął tę kampanię Jules Le Maitre w *Echo de Paris*, za nim pojawił się obszerny artykuł w numerze kwietniowym miesięcznika *La jeunesse catholique;* nawet w *Revue des deux Mondes* (z 1 maja) spotkaliśmy się ze zdumieniem niemałem z obszernym, bo aż 44 stron liczącym artykułem o sekcie masońskiej, wreszcie bardzo ciekawe uzupełniające szczegóły do pracy w *Revue* przyniósł nam *Correspondant* z 25 maja.

Wszystkie te prace oparte są na oficyalnych pismach i sprawozdaniach z kongresów masońskich. Źródła, z których autorowie czerpią, są wszędzie najdokładniej podane; niema tam żadnych fantastycznych opowiadań o dyabelskich schadzkach, ale

za to są fakta jawnie stwierdzone o działalności masonów w ostatnich czasach. Wszystkie prace dochodzą do jednej konkluzyi, że masonerya francuska, to organizacya wpływem swoim dla państwa groźna, dla religii i wolności społeczeństwa zgubna. Artykuł w *Revue des deux Mondes* widocznie z bardzo ważnych przyczyn nie jest podpisany, za to artykuły w *Echo de Paris* noszą podpis Le Maitre'a, człowieka zaiste niepodejrzanego o klerykalizm. Nie dobro Kościoła ani religii katolickiej, do której się Le Maitre wcale nie przyznaje, ale miłość ojczyzny i wolności prawdziwej natchnęły go, jak sam powiada, do otwartej walki z masoneryą. — Mniejby nas było zdziwiło czytać w takich czasopismach artykuły w obronie masoneryi aniżeli na jej potępienie.

Z tych powodów uważaliśmy za stosowne zaznajomić naszych czytelników choć pobieżnie z wynikami tych najnowszych prac o masoneryi francuskiej. Powiadamy: masoneryi francuskiej, bo dokumenta przytoczone tylko do niej się odnoszą, owszem wykazują, że francuscy masoni mają cechy sobie właściwe.

Bardzo ciekawa jest ewolucya, która się w ostatnich latach w łonie masoneryi francuskiej odbyła. Aż do r. 1877 wszystkie dokumenta Wielkiego Wschodu „najwyższej rady dla Francyi i posiadłości francuskich", nosiły tradycyjną dewizę: „A .·. L .·. G .·. D .·. G .·. A .·. D .·. l'U .·." tj. pierwsze litery francuskiego zdania brzmiącego w dosłownem tłumaczeniu: Na chwałę wielkiego architekta wszechświata. W konstytucyach wydanych w tym samym roku oświadczono też wyraźnie, że masonerya „przyjmuje jako podstawę istnienie Boga, nieśmiertelność duszy, solidarność rodu ludzkiego, że uważa wolność sumień, jako prawo właściwe człowiekowi, i nikogo dla swych wierzeń nie wyklucza... Jest ona instytucyą filantropijną, filozoficzną i postępową, która sobie za przedmiot obrała studyowanie i poszukiwanie prawdy, studyowanie moralności, nauki i sztuki i wykonywanie dobroczynności". Istnienie Boga, nieśmiertelność duszy i wolność sumień nazwał jeden z mowców na konwencie z 28 października 1854 r. „ulubionemi dogmatami masoneryi". Ale już w r. 1864 brat Aleksander Massol rozpoczął był pracę

szerzenia ateistycznych poglądów między masonami francuskimi. Jego zasady moralności niezależnej, znalazły z początku ostrą krytykę ze strony masonów. M. Scarchefique napisał odpowiedź przeciw twierdzeniom Massola, której konkluzya była: „Bóg istnieje, wszelka moralność, która nie wypływa z tej pierwszej zasady, jest moralnością niemoralną“ [1]. Filozofię Massola potępiono też na wielkim konwencie r. 1865. Ale nieprzyjaciele najwyższej Istoty nie dali za wygraną, pracowali nieustannie słowem i piórem, aż im się nareszcie udało uzyskać na sesyi z 13 września 1877 r. usunięcie starej formułki o architekcie wszechświata i nieśmiertelności duszy. Uchwała ta pociągnęła za sobą zerwanie stosunków ze strony wszystkich lóż angielskich, irlandzkich i północno-amerykańskich, loże te piętnowały ten krok jako herezyę masońską i aż dotąd uważają masonów francuskich jako wyklętych heretyków, bo jak brzmi odpowiedź wielkiego mistrza połączonych lóż Anglii, Albrechta księcia Walii: „Wiara w Boga jest pierwszym wielkim znakiem wszelkiej prawdziwej nieskażonej masoneryi“.

Na próżno francuscy masoni oświadczyli, że nie chcieli usunąć deizmu i postawić na jego miejsce innej doktryny, że „uważają wolność sumień jako prawo i nikogo dla swych wierzeń nie wykluczają“. Zbyt widocznem było, że masoni francuscy w tym wypadku tak postępowali, jak teraz socyaliści. Aby uzyskać loże angielskie i amerykańskie, udawali neutralność wobec wszelkiej religii, ale na wszystkich swych zebraniach, we wszystkich swych pismach, jak to *Correspondant* obficie wykazuje, wielbili jako najwyższy postęp usunięcie Boga z konstytucyj masońskich, „tej dogmatycznej baryery wzniesionej przy samem wejściu do masoneryi“. Kiedy w r. 1893 jednemu z mowców wyrwało się słowo: „dusza“, powstał szmer wśród słuchaczy, a mowca musiał się usprawiedliwić, że to są tylko resztki klerykalnego wychowania, które otrzymał.

W samem łonie francuskich masonów objawiły się także niektóre choć bezskuteczne protesty. „Wolnomularstwo Wiel-

[1] *Revue des deux Mondes* z 1 maja b. r. str. 88.

kiego Wschodu Francyi — pisze między innemi brat Francolin w r. 1885 — zapomina mojem zdaniem na tradycyę powszechnej masoneryi, wystawia ją na pociski nieprzyjaciół a porzuciwszy formułę zresztą tak mało dogmatyczną: na chwałę wielkiego architekta wszechświata, która jest jeszcze formułą prawie wszystkich masonów na kuli ziemskiej, tj. 2,000.000 (nas we Francyi jest tylko 18—20.000), zbliża się wprost do kultu ateizmu i materyalizmu, do kultu również nietoleranckiego jak najbardziej nietolerancki kult religijny". Ostatnie słowa charakteryzują zdaje się znakomicie usposobienie obecne francuskich lóż masońskich, które *Revue des deux Mondes* krótko streszcza w trzech słowach: n i e n a w i ś ć k u w s z e l k i e j r e l i g i i.

Ta nienawiść ku religii zwraca się z natury rzeczy przedewszystkiem przeciwko Kościołowi katolickiemu. „Różnica między katolicyzmem i klerykalizmem — powiada brat Courdaveaux w mowie z 8 maja 1887 — jest czysto oficyalną, subtelną, potrzebną dla trybuny, ale tutaj w loży, powiedzmy to otwarcie, dla prawdy, katolicyzm i klerykalizm jest tylko jedno". A w konwencie w r. 1885 brat Merchier również szczerze powiada: „my wolnomularze musimy usilnie pracować nad ostatecznem zniszczeniem katolicyzmu".

Źródłem potężnej siły masoneryi w tej walce, jest ogromna ostrożność i skrytość. Ile masoni sami tej tajemniczości przypisują, jak wysoko ją cenią, widzimy najlepiej z okazyi niektórych prądów, które w ostatnim czasie dążyły do wprowadzenia walki na otwarte pole. Wobec częstych ogłoszeń nazwisk masonów, podniosły się na konwencie r. 1893 głosy ostrzeżenia przed wielkiem niebezpieczeństwem, grożącem z powodu niezachowania tajemnicy. Zwracano uwagę braci masonów na to, że w masoneryi są tajemnice, są nazwiska; że „niema potrzeby ogłaszać w buletynach ani jednych ani drugich". W roku następującym kongres znowu się zajmował sprawą skrytego, tajnego postępowania; nazwano tajemniczość jednem z zasadniczych praw masoneryi, które starsi zakonu słusznie braciom w każdym cyrkularzu przypominają. Nareszcie na przeszłorocznem zebraniu zatwierdzono tradycyjne przepisy. „Nasza akcya jest tylko

potężną, jeżeli jest ukrytą", „Wolnomularstwo jest siłą przez swe milczenie, które i nadal zachować trzeba". Oto zdania, zdaje się nam, dość jasne, które już nie pozwalają zaliczyć tajemniczości akcyi masońskiej do dziecinnych bajek. Dołączyć trzeba jeszcze jako fakt znaczący, że od r. 1896 masoni już nie przedkładają w Bibliotece nacyonalnej — jak prawo tego wymaga — swych pism i sprawozdań. Są to jedyne druki — pisze *Revue des deux Mondes* — „które się usuwają z pod kontroli władz i ciekawości uczonych". Nasuwa to myśl, że i urzędnicy republikańscy dopomagają do zachowania tajemnic masońskich. Utwierdzić może w tym sądzie fakt podany w *Echo de Paris* mianowicie, że w 1883 *Gazeta Lyońska* za wyjawienie nazwiska jednego z masonów skazaną została na karę 1000 franków. Nie zaprzeczono faktowi, ale karano za wyjawienie tajemnicy.

Najnowsze prace francuskie rzuciły nietylko światło na zasady masońskie [1], lecz pokazały także wielką rolę, jaką masonerya w rządach rzeczypospolitej aż do tej chwili odgrywa. I tak pokazuje się jawnie z podanych dokumentów, że cała zacięta walka o laicyzacyę szkół, o wyrugowanie z nich duchowieństwa i ostatnich śladów religii, przedsięwziętą została i kierowaną głównie przez masonów. Ligę nauczania *(Ligue de l'enseignement)*, którą katolicy od dawna nazywali kreacyą masońską, masoni z dumą uważają za swoje dzieło, stwierdzają z zadowoleniem, „że duch masoński ciągle tą instytucyą kieruje"; żałują tylko, że dla swej jawności mniej aż dotąd zdziałała. Prawa w parlamencie ukute przeciw religijnemu charakterowi szkoły, były zawsze już przedtem przygotowane i uchwalone w lożach. Projekt ustawy wniesiony przeszłej jesieni do parlamentu, o którym wówczas na tem miejscu obszernie pisaliśmy, znajduje się już w ogólnych zarysach w aktach masońskich z r. 1888. Znalazł on wówczas nawet między masonami przeciwników dla zbytniej swej nietolerancyi, ale masonerya pozbyła się tych niewy-

[1] Znaleźliśmy także niektóre szczegóły o zbliżeniu masoneryi do socyalizmu, o którym się już nieraz mówiło. Zwrot ten byłby nadzwyczaj doniosły i dla masoneryi i dla socyalizmu. Za mało jednak mamy aż dotąd dat pozytywnych o tych nowych planach masońskich.

godnych skrupułów; na konwencie z r. 1898 uchwalono stanowczo założenie monopolu uniwersyteckiego i zabronienie wszystkim członkom kongregacyj religijnych udzielania nauki czy prywatnie czy publicznie, a oprócz tego uchwalono, aby rząd jak najprędzej wydał dekret „do wszystkich urzędników Rzeczypospolitej, że niedobrze jej służą, jeżeli dzieci posyłają gdzieindziej, aniżeli do szkół rządowych". Uchwalono również zebrać listę urzędników posyłających dzieci do zakładów prywatnych, która miała być rozrzuconą za darmo „między profanami". Wszystkie te uchwały zapadły we wrześniu przeszłego roku a w 3 miesiące później wniesiono równobrzmiące przedłożenia do izby!

Krzyczące zgwałcenie tolerancyi wobec kleru, przebijające się w powyższym projekcie, masoni tak charakterystycznie sobie tłumaczą, że warto przytoczyć ich rozumowanie nad tolerancyą względem przeciwników. „Naszem zdaniem — powiada jeden z nich — nie można nawet mówić o wolności dla istot, których ani natura, ani społeczeństwo uznawać nie może. Ci mężczyźni, te kobiety, postawili się dobrowolnie poza społeczeństwem, przeklęli i zabili w sobie dobrowolnie naturę, względem nich niema mowy o prawach społecznych i naturalnych".

Działalność masonów nie ograniczała się jednak na polu nauczania. Bez przesady powiedzieć można, że ile razy idzie o gnębienie katolicyzmu, zawsze się znajdują potężne ich wpływy. Tak loże nawoływały do wywyższenia władzy cywilnej nad władzę wojskową, do denuncyowania wkradającego się w armię klerykalizmu, zanim jeszcze ów ruch w kraju się rozwinął. — Po liście papieskim, zachęcającym Francuzów do uznania Rzeczypospolitej, uchwalono w masońskich lożach zmienioną taktykę i reorganizacyę partyi republikańskiej w duchu masońskim. — W roku 1896 udało się masoneryi utworzyć gabinet Bourgeois, czysto masoński, którego wszyscy członkowie, prócz Berthelota, byli masonami. — Kiedy kandydatura Brissona na prezydenta Rzeczypospolitej im się nie udała, starali się wszelkiemi sposobami pozyskać Faure'a, nawiązując do dawnych jego z lożą stosunków, witając go wszędzie w czasie jego podróży prezy-

dentalnych jako dawnego druha, sprawiając mu owacye, wygłaszając mowy na cześć jego prawowierności masońskiej. — Gabinetu Méline'a, który pierwszy odważył się oświadczyć publicznie, że Francya ma już dość tych skrytych masońskich intryg, zamącających życie społeczne narodu, masoni, rozumie się, długo ścierpieć nie mogli. Dzwonili na wszystkich punktach do alarmu, uzyskali wszędzie znaczny wpływ na wybory 1898 r. Tym wpływom zawdzięczyć trzeba niespodzianki, które wybory przyniosły. Ta masońska agitacya tłumaczy niejedno, co przedtem było ciemnem. O zwycięstwie loży przy wyborach sprawozdawca na kongresie tego roku tak się wyraża: „Nie zasypiajmy na wawrzynach chwilowo zdobytych; chlubmy się ze zwycięstwa wczorajszego dnia przygotowując się na walkę jutrzejszą; w pokoju jak w walce naszem hasłem zostanie na zawsze: klerykalizm — oto nieprzyjaciel!“

Nie możemy zapuszczać się w dalsze cytaty, zalecamy wszystkim, i tym, którzy wierzą we wpływ masoneryi i tym, którzy sceptycznie na nią się zapatrują, aby czytali prace, z których czerpaliśmy te krótkie uwagi. Autor artykułu w *Revue des deux Mondes* nie dziwuje się wobec rzeczywistego osiągnięcia wpływu, że w roku 1890 M. Fernand śmiał powiedzieć, że jeżeli „masonerya się zorganizuje... to po 10 latach nikt we Francyi bez niej się nie ruszy“. „10 lat przeszło od tego czasu — pisze ów autor — a zdaje się, że Francya nie ufając międzynarodowej masoneryi, tracąc nadzieję poznania tajemniczego celu, do którego jej polityka wewnętrzna i zewnętrzna prowadzi, usiłuje dopominać się razem z prawem asocyacyi i prawa ruszania się“. Wobec licznych innych podobnych wynurzeń, można słusznie uważać ostatnie słowa za wyraz przekonań wielu poważnie myślących Francuzów.

RYTUALIŚCI ANGIELSCY

Szereg listów z Anglii zaznajomił z końcem przeszłego roku naszych czytelników z różnemi prądami religijnemi, budzącemi się w samem sercu Wielkiej Brytanii. W ostatnich czasach ruch ten nie zmniejszył się wcale, ale stał się tak intenzywnym, że się zdawało, iż doprowadzi wkrótce do jakichś

znacznych zmian. Dwie rzeczy w Anglii zwracają dzisiaj na siebie uwagę wszystkich myślących ludzi. Szybki rozkwit Kościoła katolickiego nietylko pod względem liczebnym, ale przedewszystkiem pod względem powagi i znaczenia i jeszcze dziwniejsze przeobrażenia w samym Kościele anglikańskim.

Na miejscu czterech ubogich wikaryuszów apostolskich i 400 księży, którzy z początkiem tego wieku przedstawiali w Anglii hierarchię katolicką, wiek XX. zastanie 17 biskupów, 3000 księży świeckich, i mnóstwo zakonów męzkich i żeńskich. Katolicy z początkiem tego wieku nieznani i pogardzeni, prawie wyklęci ze społeczeństwa, niezdolni do piastowania jakichkolwiek urzędów, dzisiaj na równi stoją pod względem obywatelskim z Anglikanami. Tylko król, następca tronu, lord-chancellor i wice-król Irlandyi muszą być protestantami, wszystkie inne urzęda są i dla katolików przystępne; w parlamencie zasiada 41 posłów katolickich, wśród ministrów znajduje się zawsze choć jeden katolik. A to wszystko jest tylko słabym wyrazem nadzwyczajnej zmiany, która w ostatnim czasie nastąpiła w opinii publicznej.

Trudno rzeczywiście uwierzyć, jakie pojęcie o katolikach mieli Anglicy jeszcze w połowie tego wieku. Kardynał Newman, najlepszy w tej sprawie świadek, porównuje je z wyobrażeniami, które ogół pogan w pierwszych czasach chrześcijaństwa miał o sekcie Galilejczyka; samo słowo „rzymski katolik“ budziło wstręt i oburzenie, przypominało obłudę, zabobon, martwy formalizm, tak że pan domu musiał przeprosić gości, jeżeli się odważył wprowadzić katolika do towarzystwa. Ta niechęć ku katolicyzmowi zrosła się w jedno z patryotycznem czuciem Anglików — tem dziwniejsza tak olbrzymia zmiana w przeciągu krótkiego tylko czasu. Stary biskup z Liwerpool skarży się w przemowie do duchowieństwa z końcem 1897 r., że już nie widzi wkoło siebie tego wstrętu do papizmu, onegdaj jeszcze powszechnego w całem królestwie. Opinia publiczna — powiadał — tak bardzo się zmieniła, że prawie do dobrego tonu należy zapominać o dobrodziejstwach reformy, i że porównania,

które się czyni między protestantyzmem a romanizmem, wypadają nieraz nawet na korzyść ostatniego. Arcybiskup z Jorku wyrażał się na wielkiem zebraniu biskupów z najwyższą czcią o papieżu i o rzymskim Kościele, „który wydał tylu świętych..., od których Anglicy w minionych wiekach, w czasach nieszczęścia i słabości otrzymali pomoc znaczną i pełną miłości". Cześć i uznanie dla Kościoła katolickiego wzmogła się do tego stopnia, że arcybiskup z Canterbury po wielkim synodzie biskupów anglikańskich całego świata zaprosił na wspólną ucztę kard. Vaughan'a, który też zaproszenie przyjął. Nawet godności kardynalskiej anglikańscy biskupi oddają cześć należną.

Wewnętrzna ta przemiana w Kościele anglikańskim jest bez wątpienia i donioślejszą i pod względem psychologicznym ciekawszą od liczebnego [1] i moralnego wzrostu Kościoła. Widzimy tu na nowo, że choć fałsz zwyczajnie większemi rozporządza środkami, to przecież prawda w społeczeństwie ludzkiem zupełnie stłumić się nie daje i po zaciętych walkach, zawsze znów na światło dzienne się wydobywa. Tą jedynie wiekową prawdą daje się tłumaczyć owe zbliżenie się do Kościoła katolickiego, które się teraz odbywa w łonie anglikanizmu.

Słusznie autor znakomitego artykułu w *Correspondant* [2] zauważył, że czasy, w których dzieła Stuarta Milla, Darwina, Herberta Spencera, nauką swą i rozgłosem zajmowały wszystkie umysły, nie mogły być z natury swej podatne dla zwrotu ku religii bardziej dogmatycznej, bardziej nadprzyrodzonej, a powszechnie pogardzanej, a przecież uskutecznił się ten zwrot właśnie w tych czasach. Pionierzy prawdy sławni uczniowie i profesorowie uniwersytetu oxfordzkiego, (Pusey, Newman, Manning) poczęli przez naukowe badania coraz bardziej oczyszczać prawdę od grubej powłoki fałszu, która ją przez trzy wieki pokrywała. Zrządzeniem Opatrzności Boskiej, tylko część inicyato-

---

[1] Kard. Vaughan oblicza liczbę nawróceń na miesiąc na 600.

[2] 25 octobre 1898, Pan Thureau-Dangin, *La renaissance catholique en Angleterre au XIX siècle.*

rów sławnego ruchu oxfordzkiego przeszła na katolicyzm. Ten co zajmował wówczas najwyższe stanowisko społeczne dr. Pusey, nie odstąpił od anglikanizmu i przez to właśnie sprawił, że ruch ku katolicyzmowi w samym anglikanizmie mimo przeciwnej opinii publicznej nie znikł, lecz dalej fermentował i niejako całemu społeczeństwu anglikańskiemu się udzielił.

Zbliżając się coraz więcej do Kościoła rzymskiego duchowni synowie Pusey'a, doszli obecnie do tego, że nietylko w dogmatach, ale i w ceremoniach kościelnych w niczem prawie od nas się nie wyróżniają. Liczba t. zw. rytualistów nie jest wprawdzie zbyt wielką, ale ich zasady szersze coraz ogarniają warstwy [1]. Najlepszym tego dowodem burza, która w ostatnich miesiącach przeciwko nim się podniosła. Przyczynili się do niej zręczni agitatorzy, jak Kennsit w Londynie, za pomocą broszur i meetingów, ale wrzała ona również silnie i znacznie groźniej także w najinteligentniejszych warstwach społecznych. I tak dyskusya nad mową tronową przy otwarciu parlamentu na wiosnę dała powód do namiętnego roztrząsania kwestyi rytualistycznej nietylko w parlamencie ale także w Izbie lordów. Ten sam przedmiot zajmował Izbę przez kilka sesyi, aż nareszcie 11 maja przedłożono bill „dla wzmocnienia dyscypliny w państwowym Kościele", zagrożonej przez wprowadzenie nowości romanistycznych. Bill ten, choć poparty świetną mową sira Williama Harcourta „przeciw konspiracyi papieskiej", został odrzucony większością 150 głosów i parlament zadowolnił się uchwałą, że dopiero wtenczas przystąpi do użycia energiczniejszych środków, jeżeli się biskupom nie uda uspokoić umysły.

Walka parlamentarna lepiej od wszystkich zgromadzeń i burd wykazała wielkie znaczenie ruchu rytualistycznego. Mowcy przeciwni wystąpili z całym arsenałem dat statystycznych, dokładnie stwierdzonych, które pozwalają utworzyć sobie dość dokładny obraz rzeczywistego stanu rzeczy. Za *Uniwers'em* poda-

---

[1] W miesiącu lutym b. r. zapisało się 1035 nowych członków do *English church union*.

jemy tylko niektóre cyfry. I tak w przeszło 2000 kościołach używane są ornaty rzymskie, w przeszło 4000 świece, w 4 dyecezyach w użyciu są książki katechizmowe, które prawie w niczem się nie różnią od katechizmów rzymskich [1]. Biskup z Truro poleca swoim księżom *Manuale* spowiedników ks. Gaume'a, rozpowszechniają się dzieła św. Franciszka Salezego, O. Lallemand'a T. J., i innych katolickich ascetów, odprawia się nabożeństwo majowe i czerwcowe, tworzą się kongregacye zakonne, w Londynie jest klasztor, w którym panie wielkiego świata zbierają się na kilkodniowe rekolekcye, a kiedy członek akademii francuskiej p. Thureau-Dangin, autor wspomnianego już artykułu zapytał się, jakich książek używają do rekolekcyj, odpowiedziano mu: Książki ćwiczeń duchownych św. Ignacego Loyoli. Pastorowie-rytualiści odznaczają się powszechnie wielką gorliwością, hojnością dla ubogich, życiem wzorowem i apostolskiem, stąd też coraz powszechniejsze jednają sobie u ludu uznanie.

Trudno przewidzieć, co się z tego ruchu wyłoni. Społeczeństwo angielskie do chwili obecnej nie umie sobie zdać z niego sprawy dokładnie, co się najlepiej objawiło na arenie parlamentarnej. Mimo nadzwyczajnego zajęcia, które dyskusye nad tym tematem budziły, widzimy, że przy głosowaniach czasem połowa, czasem więcej niż połowa posłów wstrzymywała się od głosowania, — widocznie, że sami nie mieli wyrobionego sądu o tak ważnej kwestyi.

Stanowisko biskupów zaś jest po prostu rozpaczliwe; cóż biskupi mają robić, kiedy zasadniczo żadnego prawa nie posiadają stanowczego rozstrzygnięcia kwestyj religijnych. Cokolwiekby zrobili nigdy nikogo nie zadowolnią, nigdy umysłów nie uspokoją. Gdy arcybiskup z Canterbury, dr. Templer, posiadający między biskupami najwpływowsze stanowisko, z początkiem tego roku wydał list pasterski, mający niby rozstrzygnąć niektóre spory rytualistyczne, spotkał się zaraz z oburzeniem par-

[1] *Times*, który naturalnie także przeciw rytualistom walczy, podawał nam z tych katechizmów dość szerokie ustępy w materyach spornych, o komunii św., o transsubstancyacyi, o mszy, o czci świętych; nie znaleźliśmy słowa, któreby się nie zgadzało najzupełniej z nauką Kościoła.

tyi antirytualistycznej. Lord Harcourt przypomniał biskupom, że w kościele anglikańskim wierni sami są tłumaczami tradycyi a wierni na zebraniach uchwalili, że sami się zabiorą do reformy swego Kościoła. A gdy znowu biskupi na swej konferencyi postanowili ścigać i karcić rytualistów przez sądy kościelne, lord Halifax, głowa *High church'u* i rytualistów znowu się odwołał na zasadę, że praktyka całego Kościoła (lord Halifax mówiąc o Kościele Chrystusowym wcale nie wyklucza rzymskiego Kościoła), rozstrzyga w rzeczach wiary a nie zdanie pojedynczych biskupów.

Żadnej zgoła wątpliwości nie ulega, że biskupi tego ruchu opanować nie zdołają. Na to potrzeba stanowczości w przekonaniach i powagi, a oni ani jednego ani drugiego nie posiadają Nic więc nie pozostaje jak wkroczenie rządu i parlamentu dla poskromienia ruchu grożącego urzędowemu Kościołowi. Ale taka interwencya ma także swoje niebezpieczne strony. Może ona zapewne, mimo przeciwnych twierdzeń lorda Halifaxa, bardzo rytualistom zaszkodzić, ale może ona też wobec prądów liberalnych i radykalnych doprowadzić do zniesienia przez parlament samego Kościoła urzędowego.

Gorąco pragniemy, by ruch rytualistyczny taki, jakim obecnie się przedstawia, wzmocnił się i spotęgował, bo uważamy go za bardzo korzystny dla Kościoła katolickiego, mimo jego przeważnie indywidualnego charakteru, który łączy go jeszcze z protestantyzmem, mimo znacznego oziębienia przyjaźnego usposobienia względem Rzymu skutkiem dekretu uznającego święcenia anglikańskie za nieważne. Naprzód dopomaga on niezmiernie do usunięcia przesądów przeciw Kościołowi naszemu, przyjmując na nowo wszystkie jego praktyki, a po drugie prowadzi dusze na drogę, na której nie znajdą odpoczynku, dopóki nie zajdą do wnętrza Kościoła katolickiego. Katolickie ich poglądy na Kościół, na konieczną potrzebę jednej nieomylnej reguły wiary, musi ich doprowadzić do opoki Piotrowej, niemniej jak inne praktyki religijne, które będąc owocem i objawem zewnętrznym przekonań katolickich, odwrotnie przez psycholo-

giczny wpływ doprowadzić muszą albo przynajmniej ułatwić przyjęcie tych przekonań, jeżeli się je zachowuje z religijną czcią i sumiennością.

Ks. Wł. Ledóchowski.

Ze świata nauk, odkryć i wynalazków.

Nowe pierwiastki w powietrzu atmosferycznem.

Chemicy, jak widzimy, nie próżnują: w listę pierwiastków, z których nasza planeta złożona, mamy znów do wpisania cztery nowe nazwy: metargon, neon, ksenon i krypton. Już w r. 1894, kiedy to wspólnym usiłowaniom lorda Rayleigh'a i profesora Ramsaya udało się wydobyć z azotu powietrza argon, poczęły się odzywać tu i owdzie między uczonymi zdania, że i ten argon nie jest czystym pierwiastkiem, że znajdują się w nim może domieszki innych gazów, dotychczas nam nieznanych. Jakoteż przewidywania te sprawdziły się zupełnie, bo jak dowiadujemy się z najnowszych prac, ogłoszonych przez prof. Ramsaya, wykryto w argonie cztery nowe pierwiastki i niewiadomo, czy ich nie odnajdzie się w nim więcej. Zanim jednak przejdziemy do streszczenia wyników badań wyżej wymienionego uczonego, przypomnieć musimy w najogólniejszych przynajmniej zarysach tak zwany peryodyczny system pierwiastków.

Rzecz ta zresztą powszechnie znana: obliczając ciężar atomowy pierwiastków, a zarazem badając bliżej ich własności chemiczne i fizyczne, zwrócili uczeni uwagę na pewien dziwny związek, jaki zachodzi pomiędzy ciężarem atomowym pierwiastków a ich własnościami. Różne pojawiały się próby, by rzecz tę wyświecić, by teoretycznie te dwa czynniki: ciężar atomowy i własność pierwiastków, jakoś ze sobą powiązać. Wreszcie w r. 1869 dwaj uczeni: Mendelejeff i Meyer ogłosili jasno sformułowane twierdzenie, znane pod nazwą prawa peryodyczności pierwiastków. Jeżeli mianowicie uporządkujemy elementy według ich ciężarów atomowych, tak, że zaczynając od najlżejszego, idziemy do coraz cięższych, spostrzegamy, że pierwiastki dzielą się na peryody; co kilka lub kilkanaście pierwiastków następuje peryod nowy, w którym kolejno powtarzają się własności pierwiastka peryodu po przedniego

Stąd np. pierwszy pierwiastek drugiego peryodu sód, podobny jest do pierwszego pierwiastka peryodu pierwszego tj. do litu, drugi wyraz drugiego peryodu magnez, zbliżony jest swemi własnościami do drugiego wyrazu pierwszego peryodu berylu i t. d. Gdy więc w ten sposób uporządkowano pierwiastki w peryody i szeregi, okazało się, że własności pierwiastków zmieniają się od jednego pierwiastku do drugiego wraz ze zmianą ciężaru atomowego i to nie nagle, lecz powoli, czyli, jak się zwyczajnie mówi, są zależne w sposób ciągły, albo są funkcyami ciągłemi ciężarów atomowych.

Lecz jaki to wszystko ma związek z wykrywaniem nowych pierwiastków? Bardzo prosty. Pokazało się bowiem, że w tej tablicy pierwiastków są jeszcze w niektórych miejscach przejścia niezapełnione, skoki zbyt gwałtowne od jednego ciężaru atomowego do drugiego i z tego przewidywano możebność istnienia pierwiastków, których ciężar atomowy i własności jesteśmy w stanie w pewnem przybliżeniu oznaczyć, chociaż samych pierwiastków jeszcze zgoła nie znamy. A dalej ten system pomaga wielce do skontrolowania, czy dobrze oznaczono ciężar atomowy znanych już elementów. Bo oznaczenie to wcale łatwem i pojedynczem nie jest i zdarzało się nieraz, że dopiero po długim czasie spostrzeżono w tym względzie pomyłkę.

Łatwo wobec tego, cośmy wyżej powiedzieli, pojąć, że odtąd, gdy odkrytym zostanie nowy jakiś pierwiastek, pierwszem, najpilniejszem zadaniem jest oznaczenie jego ciężaru atomowego, by go umieścić w tym systemie peryodycznym pierwiastków i by sprawdzić, czy on rzeczywiście do tego systemu się nadaje. Tak też czyniono i z argonem. Z początkowych obliczeń wynikło, że gęstość argonu wynosi 20, czyli jego ciężar atomowy jest 40. Ta cyfra spotkała się jednak z niedowierzaniem wielu chemików. Ażeby więc usunąć wątpliwość, trzeba było starać się o jak najdokładniejszą metodę postępowania. Zwykle oznacza się ciężar atomowy pierwiastków przez badanie związków chemicznych, jakie dany pierwiastek tworzy — u argonu zaś dotychczas takiego związku nie znano, bo z azotem miał być tylko zmieszany mechanicznie. Trzeba więc było szukać, czy nie znajdzie się w przyrodzie jakiegoś ciała, któregoby jednym ze składników chemicznych był argon. Poszukiwania te, jakkolwiek nie doprowadziły do zamierzonego celu, przecież bezowocnemi nie były. W klewicie i innych metalach uranowych, napotkano mianowicie na hel, ten sam, którego istnienie w fotosferze słońca odkryto już dawniej za pomocą analizy spektralnej. Teraz więc obliczono jego ciężar atomowy, który podano

na 4. Gdy następnie umieszczono hel i argon w odpowiednich miejscach systemu peryodycznego pierwiastków, nasunęło się przypuszczenie, że powinienby istnieć jeszcze pierwiastek o ciężarze atomowym mniej więcej 10 tj. pośredni między obydwoma powyższemi pierwiastkami. Natychmiast rozpoczęto poszukiwania za tym nowym pierwiastkiem, przetrząśnięto, że się tak wyrazimy, rozmaite minerały, przedewszystkiem te, które zawierają hel, dalej niektóre wody mineralne a nawet kilka meteorytów — jednak bezskutecznie.

Równocześnie jednak skierował prof. Ramsay uwagę swoją w inną stronę, mianowicie ku tak mało jeszcze zbadanemu argonowi. Ażeby się przekonać, czy gaz ten, jak go dotychczas z powietrza otrzymano, jest w stanie czystym, poddano go dyfuzyi. Pokazało się, że część argonu, która przeniknęła pierwej, jest lżejszą od części pozostałej — jest więc może zanieczyszczoną jakimś lżejszym, nieznanym dotychczas pierwiastkiem. Myśl ta dodała bodźca do czynienia poszukiwań w tym kierunku. A poszukiwania te wcale łatwemi nie były, bo najpierw należało postarać się o znaczną ilość argonu, co, jak później wyjaśnimy, jest zadaniem niesłychanie żmudnem i heroicznej prawie wymagającem cierpliwości — a powtóre odebrać mogła odwagę badaczom i możliwość, że wynik całe miesiące trwającej ciężkiej, usilnej pracy, będzie zupełnie negatywnym. Lecz ludzie prawdziwie naukę miłujący niełatwo dadzą się takiemi trudnościomi odstraszyć, a zresztą nieraz znak zapytania na końcu gubiącej się w oddali drogi, więcej do siebie pociągał, niż pewność choćby znacznych lecz znanych skądinąd rezultatów. Zabrano się więc raźno do przygotowań, to jest do otrzymania znacznej ilości argonu.

Argon otrzymać można dwojakim głównie sposobem: Jeżeli się przez zbiornik, zawierający zaczerpnięte z atmosfery powietrze przepuszcza silne iskry elektryczne, to pod jej wpływem tlen powietrza łączy się z azotem, a przez usunięcie tego związku za pomocą potażu żrącego, pozostaje argon. Ten sposób wprawdzie jest dosyć prosty, lecz zbyt powolny. Rayleigh i Ramsay przepuszczając przez zbiornik mieszczący w sobie 7 litrów powietrza, (do którego dodawano nadto powoli pewną ilość tlenu), prąd o 2.400 woltach przez 7 dni bez przerwy, po tak długim czasie otrzymali tylko 65 ct. sześć. argonu. Dogodniejsza jest metoda następująca: Powietrze uwalnia się od tlenu, przeprowadzając je przez rury napełnione rozżarzoną do czerwoności miedzią. Powstaje w tych rurach tlenek miedzi, a azot, który stąd uchodzi,

wprowadza się do rur napełnionych rozgrzanym magnezem. Azot łączy się mianowicie chciwie z tym pierwiastkiem, a na zewnątrz wypływa argon. Oczywiście podaliśmy tutaj tylko dwa najważniejsze momenty tej operacyi, w rzeczywistości nie jest to rzecz tak prosta i tak łatwa. Dość powiedzieć, że samo przepuszczanie azotu ponad rozgrzanym magnezem trwało w doświadczeniach prof. Ramsay'a i Raygleigh'a 15 dni; przyczem tak trzeba było uważać na to, by gaz płynął zupełnie regularnie, jednostajnie i by zawsze utrzymywać odpowiednią temperaturę, że taki lord Rayleigh, który już tyle dał dowodów niestrudzonej cierpliwości przy swych badaniach, oświadcza, że czynność ta jest jedną z najuciążliwszych i najprzykrzejszych prób, na jakie się można odważyć. To też nic dziwnego, że przygotowanie znaczniejszej ilości argonu zabrało profesorowi Ramsay'owi kilka miesięcy czasu.

Teraz przywołano do pomocy nowego współpracownika, nie od dawna znanego, który jednak już wielu ciekawych odkryć w fizyce stał się przyczyną. Mamy tu na myśli skroplone powietrze. Płyn ten, jak wiadomo, paruje w temperaturze bardzo nizkiej (około 180° poniżej zera), stąd daje on nam możność czynienia wielu badań i doświadczeń w temperaturze takiej, jakiej przedtem w praktyce nigdy osiągnąć nie zdołano [1]. Z jego pomocą można też dzisiaj z łatwością skraplać gazy bardzo do skroplenia trudne jak np. wodór.

Powszechnie znanem jest dzisiaj to zjawisko, że gdy takie skroplone powietrze paruje, to najpierw ulatnia się przeważnie azot, zaś część pozostała płynu jest bardzo obfitą w tlen i argon. Otóż gaz pochodzący z takiej pozostałości płynnego powietrza uchwycił Ramsay do zbiornika, uwolnił go od tlenu i resztek azotu. Gaz, który teraz pozostał, miał gęstość 22,5 a więc daleko większą od argonu. Pokazało się, że argon był tu pomieszany z nowym, nieznanym dotąd pierwiastkiem, któremu dano nazwę krypton. Głębszych badań nad nim jeszcze nie czyniono, tylko przy analizie spektralnej uderzyła ta okoliczność, że linia zielona kryptonu (5566,3) schodzi się prawie zupełnie z linią zieloną zorzy północnej (5567). Dlatego Berthelot proponuje Ramsayowi, by gaz ten nazwał eosium.

---

[1] Wielce pomocną jest tu ta okoliczność, że za pomocą maszyn Hampsona lub Lindego można z wielką łatwością i małym nakładem skraplać powietrze, tak, że litr płynnego powietrza wypada na kilkanaście centów. W Ameryce, gdzie wszystko wielkie, mają maszynę Lindego, wydającą 50 litrów na godzinę płynnego powietrza.

Zabrano się teraz do głównej seryi doświadczeń, mianowicie z owym pierwej już przygotowanym znacznym zapasem argonu. Ze zbiornika głównego przeprowadzano argon do niewielkiej kolbki, otoczonej skroplonem powietrzem. Ażeby powietrze prędzej parowało, a przez to by osiągnąć możliwie nizką temperaturę, usuwano szybko tworzące się powietrze gazowe za pomocą pompy powietrznej. W ten sposób argon otoczony tak nizką temperaturą począł przechodzić zwolna w stan płynny i po upływie pół godziny był prof. Ramsay w posiadaniu 25 cm. sześciennych skroplonego argonu. Był to płyn przeźroczysty, bezbarwny, bardzo ruchliwy, jednak pływało w nim, jakby w zanieczyszczonej studziennej wodzie, jakieś kłaczkowate ciało stałe.

Teraz przestano pompować powietrze, temperatura się nie podniosła i wnet skroplony argon począł parować. Pierwszą część ulatniającego się gazu, a więc najlżejszą, schwycono osobno. Naturalnie przystąpiono natychmiast do oznaczenia ciężaru gatunkowego tego ciała i znaleziono, że wynosi ono 14,67. Oczywiście, gaz ten nie był czystym. Poddano go więc osobno skropleniu, znowu przy pomocy szybko parującego płynnego powietrza. Jednak mimo wszelkich usiłowań, nie udało się całej ilości tego gazu w płyn zamienić. Prof. Ramsay zbadał więc przedewszystkiem część jego nie skraplającą się i przekonał się z wielką radością, że gęstość tego gazu wynosiła 9,96 i że jest to nowy pierwiastek, zanieczyszczony jednak, jak wykazała analiza spektralna, argonem i helem. Pierwiastek ten nazwano neonem. W dalszych badaniach oznaczono jego gęstość na 10,04. Jednak całkiem czystego neonu otrzymać jeszcze nie zdołano, a dalszym w tym względzie usiłowaniom stanął na przeszkodzie brak materyału: przez ciągłe różnorodne operacye zmniejszyła się w końcu ilość otrzymanego pierwotnie neonu tak dalece, że niepodobna już było czynić z nią doświadczeń. Dodać tylko jeszcze należy, że widmo optyczne neonu jest dosyć bogate, odznacza się kilkoma liniami czerwonemi, żółtą ($D_5 = 5853$), zielonemi i niebieskiemi.

Lecz neon, jak widzieliśmy, znaleziono w owej pierwszej, najlotniejszej części skroplonego argonu. Pozostały jeszcze dwie: cięższy nieco płyn i to ciało stałe, w formie białych kłaczków. Otóż w tych częściach argonu odkryto 2 jeszcze następujące pierwiastki: metargon (w owem ciele stałem) i ksenon, którego gęstość podają na 32,5. Bliżej jednak nie zdołano się jeszcze zająć badaniem własności tych nowych pierwiastków.

Wszystkie te gazy, począwszy od argonu, odznaczają się wielkim brakiem powinowactwa chemicznego. Odludki te błąkają się po atmosferze, a chociaż otoczone zewsząd wszelkiego rodzaju pierwiastkami, bo przecież do atmosfery ulatują ustawicznie uwolnione chwilowo z połączeń elementy, a nadto jest ona w ciągłej styczności z rozmaitemi ciałami stałemi i płynnemi, przecież nie łączą się z żadnem, podobne do owych nowożytnych mizantropów, którzy stroniąc od stosunków z ludźmi, usuwają się właśnie do największych miast, gdzie wśród wrzącego naokół życia, pozostają niespostrzeżeni i nikim się nie zajmują. Jak się to zwykle dzieje, przyczyna tego odłączenia się i mizantropii jest wygórowana miłość własna. Zaraz to wyjaśnimy językiem naukowym. Wiadomo, że według panującej obecnie w chemii teoryi, najmniejsze cząstki ciała, które istnieć mogą w stanie wolnym, czyli tak zwane drobiny, złożone są z atomów, to jest cząstek, których nawet chemicznie rozłożyć, podzielić nie można. Lecz liczba tych atomów wchodzących w skład drobiny, może być rozmaita. Tak np. drobina tlenu, kwasu solnego, zawiera dwa atomy, drobina np. cukru trzcinowego zawiera ich 45. Otóż według Crookes'a, drobina argonu składa się z dwóch atomów, które tak się ściśle nawzajem przyciągają, że cała ich energia chemiczna zużywa się na to wewnętrzne łączenie się, a przez to stają się one zupełnie obojętne na działanie chemiczne obcych atomów.

Inni natomiast, idąc za Bevanem, w czem innem upatrują ten brak powinowactwa: twierdzą oni, że argon znajduje się w atmosferze w stanie tak zwanej częściowej dyssocyacyi. Zjawisko dyssocyacyi napotyka się w chemii często. Polega ono na tem, że jeżeli jakieś ciało poddamy działaniu bardzo wysokiej temperatury, niektóre drobiny tego ciała rozpadają się na pojedyncze atomy, z których powstały. Przykład takiej dyssocyacyi widzimy np. u jodu. Para tego ciała ma gęstość 126,5, a jej drobina składa się z dwóch atomów. Skoro zaś ją ogrzejemy ponad 800^0, gęstość jej maleje, bo odtąd w miarę podnoszenia się temperatury, coraz więcej drobin rozpada się na pojedyncze atomy, które w tej ciepłocie istnieją w stanie wolnym; przy temperaturze około 1500^0 gęstość pary jodu wynosi już tylko połowę gęstości pierwotnej. Jako drugi przykład weźmy wodę: gdy ogrzejemy ją (oczywiście jej parę) ponad 1000^0 dyssocyacya się rozpoczyna, a przy temperaturze 2500^0 już połowa drobin rozłożyła się na tlen i wodór. A zauważyć trzeba, że jod topi się przy 113^0, zaś dyssocyacya jego

pary rozpoczyna się przy 600°, woda (tj. lód) topi się przy 0°, rozkłada przy 1000°. Więc nie jest wykluczona możebność, że argon istnieje już częściowo rozłożony w temperaturze zwyczajnej naszej atmosfery, która przecież jest mniej więcej 200 stopni wyższą od punktu topliwości argonu, zamienionego na ciało stałe.

Wytłumaczenie nieczynności, apatyi chemicznej argonu, łączy się, jak widzimy, z rozwiązaniem pytania, z ilu atomów składa się drobina tego gazu. Badania doświadczalne, czynione w tym kierunku, nie dały dotychczas zgodnych rezultatów. Metody fizyczne dają wyniki, któreby skłaniały więcej ku jednoatomowości argonu, gdy tymczasem metody chemiczne oświadczają się za dwuatomowością. Spór ten jest o tyle ciekawym, że wchodzą tu w grę podstawowe niejako teorye fizyczne i chemiczne: teorya kinatyczna gazów i wspomniany wyżej system peryodyczny pierwiastków, a jedno i drugie zawadza o tyle ciekawą kwestyę budowy materyi, kwestyę, która według zdania najpoważniejszych fizyków, z bezwarunkową pewnością nigdy rozwiązaną nie będzie.

Ks. F. Hortyński.

Druk ukończono 27 czerwca 1899 r.

MŁODA POLSKA W POWIEŚCI I POEZYI.

1. Naturalizm i modernizm.

I.

Pośród form, w jakich dusza ludzka w XIX. wieku szukała dla siebie wyrazu, najulubieńszą i najzwyklejszą była forma powieści. Żadna może inna w ruchu literackim stulecia nie odegrała czynniejszej roli, żadna nie przebyła tylu ewolucyi, ani dosięgła takiego stopnia udoskonalenia. I dziś, kiedy wytworne tomiki poezyi budzą dreszcz rozkoszy tylko u „nadludzi“, kiedy dawna tragedya i bohaterska komedya usypiają, a nowy dramat jątrzy i roznamiętnia, lub straszliwie denerwuje tak, że znękany pracą i życiem widz nadaremnie od niej domaga się rozrywki dziś jeszcze powieść bez obawy liczyć może na gościnne przyjęcie u najbogatszych i najuboższych, najuczeńszych i prostaczków.

Powiedział raz Zola, że w powieści skupił się cały rozum naszej epoki; nie jest to wcale słuszne. Myśmy odziedziczyli po XVIII. wieku zabobonną cześć dla rozumu; natomiast schyłek wieku dobiegającego przekonał nas dostatecznie o bankructwie tego rozumowego dziedzictwa. Uogólnienia, oparte na małej ilości faktów szczegółowych, prysły jak bańki z mydła, miejsce tez filozoficznych zapełniło gorzkie rozczarowanie, gmachy naukowe zioną czarną otchłanią dziur i luk, socyalne syntezy rwą się i kruszą w strzępy, — a sceptycyzm nie bylejakie święci tryumfy: niewiara w siebie — to główne znamię wszystkich dzi-

siejszych młodych duchów. Gdzież jest tedy rozum naszej epoki? Czyżby bankructwo jego dotknęło także piętnem śmierci i formę, w którą się zdaniem Zoli wcielił? Nie — wcale, powieść żyje, wpływ jej może nawet rośnie. Tę żywotność zawdzięcza forma właśnie swej giętkości, podatności na zmiany i kierunki. Nie stała się ona służebnicą chwilowych upodobań, nie uległa zbyt silnemu skrępowaniu reguł i przepisów; jest wciąż dość elastyczną, aby wsączyć w siebie nowe pragnienia i nowe idee: okazuje się najlepszą rzecznicą zmiennych prądów literackich, najstosowniejszą urną, w którą można zawrzeć różne ideały, najdoskonalszym instrumentem, za pomocą którego rozsyła się fale głosu w dal, w zwyż i w głąb. Temu zawdzięcza powieść, że artyści ją lubią, a ogół również ceni.

Przechodziła ona od XVIII. wieku począwszy liczne przeobrażenia. Na pozór minął ten czas, kiedy powieściopisarz usiłował tylko bawić: przeprowadzał on swego bohatera po wązkiej linie, nad przepaściami wiszącej, wytężał wyobraźnię i wynalazczość, aby stworzyć dowcipne niespodzianki, wplątać jakąś jednostkę w awanturnicze i niebezpieczne zawikłania, z których wszakże umiał go równie szczęśliwie wywieść i ocalić. Taką była powieść Dumasa ojca, Eug. Sue'go lub Wiktora Hugo. Balzac, Flaubert a po nim cały szereg twórców t. zw. realizmu podłożyli pod fabułę powieściową niezliczoną ilość drobiazgowych obserwacyj — i te sprawiły, że powieść z latarni czarnoksięskiej, w której przesuwają się wśród łamanych sztuczek szeregi maryonetek, zamieniła się w arenę, gdzie przed okiem widza roztaczają się zapasy i szamotania się dusz ludzkich wśród namiętnych konwulsyj czy to rozkoszy czy bolu. Przyszedł Zola i powiedział: doświadczalny romans gotów wyjaśnić zjawiska przyrody, zjawiska indywidyum ludzkiego lub społeczeństwa, które metafizyka dotąd tłumaczyła nierozsądnie i niedorzecznie.

Powieść wzięła na się rolę upowszechnienia tych idei, jakie wyłożył August Comte w *Philosophie positive* i Claude Bernard w *Introduction à la médecine expérimentale*. Nawet więcej: powieść miała stać się sztuką i umiejętnością, zabawą i nauką. Młodzieńcza i krewka wystąpiła teraz do boju z wrzawą wojenną i bra-

wurą, wymachując na prawo i lewo ostrą szabelką sarkazmu i ciętej krytyki. Wszystko, co nie chciało się ukorzyć, nazwano głupiem i nędznem; powieść naturalistyczna anektowała cały arsenał formułek i hipotez naukowych, wydobyła z leksykonów legiony nowych słów, poddała żargon pod swą władzę, zaczęła błąkać się po zaułkach i kanałach miast, po poddaszach obór i stajni, po karczmach wiejskich, pralniach i suterenach miejskich, wypłókała wszystkie brudy, wymiotła z kątów całe kupy smrodliwego śmiecia, odsłoniła niezliczoną ilość ran, sączących świeżą lub cuchnącą z przestarzenia ropę, — i cały ten ściek plugastwa, nędzy i marności opatrzyła szumnym nagłówkiem: życie.

„Życie — to główna siła. Książki, tchnące niem, mogą jedynie zdobyć sobie czytelników". Rozumie się, że nietyle indywidualne życie śmiało się do powieściopisarza wszystkiemi ponętami, jak życie społeczne i towarzyskie. Tak zdobyła wielką powagę tendencya.

II.

Nie nowy to surogat powieści. W „Pameli" Richardsona tak dobrze, jak w „Germinalu" Zoli lub „Tryumfie śmierci" d'Anunzia istniała ona i istnieje. W pierwszej była moralną, w drugiej stała się społeczną, w trzeciej artystyczną. Zawsze wyobraża ona pewien kąt widzenia, z którego się ogląda szereg objawów, czy to wyjętych z życia towarzyskiego czy społecznego czy indywidualnego. Może najwięcej napisano społecznych powieści. Był bowiem czas, kiedy powieściopisarz uważał się za wyobraziciela pewnych kierunków politycznych lub społecznych. Mniemał, że bierze w siebie promienie jakiejś grupy — dajmy na to — politycznej, skupia je, natęża i sam promieniuje, jako ośrodek świetlny. Jeżeli był chłopomanem, to malował w żywych barwach ucisk chłopów ze strony szlachty lub też ich bezdenną ciemnotę i niedolę; jeżeli był socyalistą, to kreślił obraz krwawej walki klas roboczych i wyzysku kapitalizmu. Rzecz prosta, że jak żaden obraz nie zbliży się do natury, tak też żadna powieść nie bywa wierzytelną kopią rzeczywi-

stości. Wprawdzie Zola twierdzi, że twórcza siła wyobraźni nie polega na przyozdobieniu rzeczywistości, lecz na łączeniu w całość rysów i zdarzeń, które w życiu jawią się oddzielnie i ułamkowo, ale tu właśnie spoczywa istota tendencyjności. Występujące oddzielnie i ułamkowo zjawiska nie odgrywają w życiu nigdy tak wydatnej roli ani też nie mają pretensyi do tak intenzywnego i jaskrawego uwydatnienia syntetycznych znamion grupy, jak też same zjawiska zebrane i złożone w całość w tym celu, aby pewne znamiona się oświetliły, inne zapadły w cień, a synteza wystąpiła taka — nie inna. Zawsze tedy kąt widzenia artysty gra w procesie twórczym nie bylejaką rolę. Jednakże ze wszystkich rodzajów tendencyjności, naukowa okazała się najtrwalszą i najsilniejszą. Jeżeli każdy powieściopisarz ma być panem dobrego i złego, kierować życiem, rządzić społeczeństwem rozstrzygać problemata socyalizmu, dostarczać trwałych podstaw prawodawstwu, — to przedewszystkiem tkwi w nim filozof i psycholog. Zatem analiza duszy ludzkiej. Ale rozumie się, że nie chodzi tu o jakiś psychiczny lub psychopatyczny stan człowieka, lecz o zachowanie się pewnego osobnika, obdarzonego pewnym aparatem myślowym i nerwowym, wobec szeregu zjawisk, w taką a nie inną całość ustawionych. Przypuszcza się, że człowiek jest maszyną, że funkcye tej maszyny znane są jeśli nie z doświadczeń i twierdzeń naukowych, to przynajmniej z teoretycznych domysłów. „Kiedyś przecież fizyologia wyjaśni proces myśli i uczucia; poznamy, jak działa indywidualna maszyna ludzka, jak człowiek rozważa, jak kocha, jak przechodzi od rozumu do żądzy lub szału“ i t. p. (Zola). Analiza psychologiczna staje się przeto nieodzownym współczynnikiem powieści, rozrasta się i buja w niej, jak zwrotnikowa roślinność. Znalazłszy glebę niepewną i niedość zbadaną, twórczość poetów-powieściopisarzy eksperymentuje na nowem polu po dyletancku, ale z zapałem i żarliwością. Lada drobiazg obarcza się sutym balastem obserwacyi; nie można zrobić formalnie jednego kroku bez niej. Tendencyę społeczną ruguje się na plan drugi, towarzyską uprawia się rzadko i bez powodzenia. Analiza u najlepszych pisarzy dzisiejszych wielce popłaca i dokonywa się z mi-

strzowstwem. Wprawdzie można się spotkać i dzisiaj przeciwko niej z protestem. „Sekcyi dokonywa się tylko na trupach“ — mówi Hipolita Sanzio w Tryumfie śmierci d'Annunzia (str. 11), słusznie oburzona na to spokojne, metodyczne i straszliwe pastwienie się nad jej duszą. Ale okrzyk taki należy uważać za rzecz wyjątkową, błahą i bez treści dopóty, dopóki na miejsce analizy nie znajdzie się jaki nowy a doniosły współczynnik powieści. Tymczasem zaś w dzisiejszej powieści panuje taka rozmaitość upodobań i kierunków, że niepodobna wskazać jakiegoś górującego prądu tak samo, jak w całym ruchu literackim i artystycznym spółczesnej doby. Znajdą się i dziś jeszcze przedstawiciele zarówno naturalizmu, jak i romantyzmu. Symbolizm odzwierciedla się w romansach Huysmans'a i poematach Maeterlincka, neokatolicy lubują się w starych katedrach, pod sklepieniami których rozpływa się woń kadzideł. Mistycyzm pojmuje się jako pewien odrębny wyraz czy rodzaj uczuciowości. Pośród czytelników nietrudno spotkać takich, którzy głoszą swój zachwyt w jednakiej mierze względem tak odmiennych pisarzy, jak Tołstoj i d'Annunzio, Ruskin i Ibsen, Brandes i Edm. Rostand. Stąd w gustach twórców i czytelników anarchia, jakiej przykładu szukać trzebaby długo w literaturze powszechnej ubiegłych stuleci. Stąd oczywiście także wypływa źródło lekceważenia dorobku narodowo-literackiego i tradycyi narodowej, oraz ogromne wybujanie indywidualizmu. Indywiduum przeważnie figuruje w europejskiej powieści. Oczywiście nie bez podziału. Zrzadka otrzymują duży rozgłos i powieści o tendencyi społecznej, zwłaszcza jeżeli zdolni pisarze zastosują do przeprowadzenia jej środka zgoła nowożytnego. Zrzekłszy się psychologii, operują w powieści masami ludzi, pragnąc wielką ilością przesuwanych przed okiem czytelnika figur, sylwetek, interesów, obrazków czy to ulicznego, czy kawiarnianego, czy rodzinnego życia, obrazków przyrody, widoku dzieł rąk ludzkich, ruchu i obrotu spraw, mnóstwa podłostek, drobnych cnót, ofiar, zawiści, żądz i pożądań, intryg i plotkarstwa, uraz i pochlebstw, słowem, całej nędznej krętaniny i zabiegów ludzkiego mrowiska, — pragnąc w ten sposób schwycić jak w negatywie i utrwalić

na kilkuset kartach druku ułamek życia — o ile można — wiernie i drobiazgowo. Ale takie przeniesienie na papier żywcem choćby nawet krótkiego momentu zbiorowego życia grupy ludzkiej przedstawia ogrom trudności: nie pokusi się o to bylejaki talent.

III.

Daleko ponętniejszem zadaniem wydaje się psychologiczna lub nawet psycho-fizyologiczna dysekcya indywiduum. W bieżącym wieku wyrosło ono ogromnie i wyosobniło się z szeregów émy ludzkiej. Jeżeli i dawniej trudniono się analizą duszy ludzkiej, to jednak pomiędzy jej pojmowaniem przez naturalistów francuskich, a dzisiejszym indywidualizmem w powieści i poezyi istnieje cała przepaść. Wyśmiawszy charaktery i typy ludzkie naturalizm zagłębił, a przynajmniej udawał, że zagłębił swój ostry skalpel w rdzeń istoty ludzkiej; chodziło mu jednak o życie codzienne człowieka. Z drobiazgową ścisłością pisał on dziennik jednostki najczęściej przeciętnej, nie celującej wybitnemi darami serca czy umysłu. „Naturalizm — drwi sobie jeden z młodszych krytyków i powieściopisarzy, Ola Hansson [1] — był to kierunek literacki, który człowieka i co ludzkie — charakter, starcia, końcowy los objaśniał wyłącznie zewnętrznemi wpływami, równocześnie pomijał nowy organiczny punkt węzłowy, którym jest indywidualność — ja ludzkie, a nie otoczenie, nie dziedzictwo po przodkach, lecz nowy związek chemiczny, niepojęty dla zmysłów, myśli, wiedzy każdego i wszystkich ludzi, z wyjątkiem poety". Tkwią w tem zdaniu drwiny z naturalizmu, ale obok tego i ważne myśli. Pomimo wszelkich analiz psychologicznych uznano dawny prąd za przestarzały, objaśniający zewnętrznemi rysami charakter; indywidualnością nazwano jakowyś nowy związek chemiczny, coś niedostrzegalnego dla zwykłych śmiertelników; poetę zaś wyodrębniono z pośród szarego tłumu i dano mu oczy jasnowidza, który przenika dno serc i dusz ludzkich. Przeciętne życie, przeciętny człowiek, prze-

[1] W dziełku: „Młoda Skandynawia". Przekład. Warszawa, r. 1893.

ciętny charakter, rzeczywistość życia — społeczna czy towarzyska — przestaje istnieć, a właściwie poeta okazuje się na nią zgoła obojętnym. Natomiast poczyna się skrzętne poszukiwanie pośród ludzi tego czegoś, czego ani otoczenie nie dało, ani w dziedzictwie wzięte, lecz leży poza granicą zmysłów. Już bracia Goncourt'owie badali i malowali *états d'âme*, za kresem umysłowej spostrzegawczości rozpostarte. Później wykazała analiza rozdwojenie jaźni. „Nie da się zaprzeczyć, że świadomość krępuje tajemną grę wizyonerskich sił duszy, czego dowodzi sen. Podług najnowszego rozumienia budowy mózgu, które stwierdziło rozłam jaźni i wykazało, że środki nerwowe działają zosobna, dusza odzyskała swe prawa. Podczas stanu całkowitej nadczułości działa ona jako czysty motor refleksyjny bez kontroli świadomości. Skutkiem jakiejkolwiek podniety, czasowej czy przestrzennej, wyodrębnia się odpowiednie *residuum* z bezwiedzy, tego ciemnego chaosu duszy, bez względu na skutki, jakie za sobą pociągnie“ [2]. Takie nowe pojmowanie twórczości i duszy ludzkiej zawdzięcza literatura Bourget'owi, Maeterlinck'owi a zwłaszcza Oli Hanssonowi, w którego dziełach „Sensitiva“ i „Parias“ te artystyczne popędy uświadomiły się i artystycznie ukształtowały. Tak tedy nowożytna dusza indywidualna zgoła do dawnej niepodobna. To coś niepojętego, tę czystą, czyli jak ją u nas nazwano nagą duszę, wkłada poeta w ciało jakiegoś człowieka — dawnym trybem, i prowadzi wśród ludzi – dawnym trybem. Tylko, rozumie się, jego istnienie w świecie warunkuje się odmiennemi znamionami jego istoty. Bywa on prawie zawsze mniej lub więcej odbiciem duszy swego twórcy, który także podlega wyjątkowym prawom pomiędzy ludźmi. Artysta i jego kreacye, artysta i człowiek przeciętny — to są w dzisiejszej literaturze kwestye drażniące i drażliwe. Grupa psychologów, między nimi Lombroso, utrzymuje, że podobnie jak zbrodniarze tworzą pewien typ rasowy tak, iż są rodziny zbrodnicze, tak samo to, co nazywamy geniuszem, jest stanem zwyrodnienia, pozostającym w związku z epilepsyą i obłę-

[1] Rudolf Klein. Ola Hansson. *Gesellschaft*. 1897. luty, str. 238—240.

dem. Ale nowsze badania fizyologii mózgu dowodzą u zbrodniarzy ciężkich zboczeń w ukształtowaniu mózgowia, zwłaszcza zaś kory mózgowej, podczas gdy w geniuszu wyróżniają odmianę *homo sapiens*. Lombroso również przypuszcza u zbrodniarza zboczenia w budowie mózgu, u geniusza zaś wygórowaną nadczułość. Przeciwko temu twierdzeniu przeciwstawia się hipotezę o przeczuleniu u zbrodniarza, o nader bogatem rozgałęzieniu mózgowia u geniusza. Psychiatra i fizyolog prof. Flechsig wynalazł ośrodki w części czołowej mózgu silnie rozwinięte u ludzi genialnych. Łączą się z nimi pierwiastki wyobraźni, zajmują one nadto pośród innych ośrodków stanowisko kierownicze, a stąd owa przewaga wyobraźni u artystów [1]. Genialny artysta jest wśród ludzi istotą wyjątkową. „Żąda on, aby wszystko, co nie ma siły twórczej, podlegało mu, służyło jego woli i rozkazowi było posłuszne. Im ściślej zaś działalność jego wiąże się z dążeniami kultury, im silniej wpływa na ludzi, tem bardziej uzasadnionem jest domaganie się pod każdym względem niezależnego stanowiska władzy. Człowiek genialny, na jakiemkolwiek polu religijnem, umiejętnem czy artystycznem, to szlachcic z urodzenia, nie związany żadnem prawem, stojący ponad prawem; wolno mu ulegać tylko jednemu przepisowi: *suprema lex mea (i. e. ingenii mei) voluntas*. Jeżeli przekracza prawo, czyni to z twórczego popędu, a ma on naturalny przywilej — nie dbać o zewnętrzne ustawy, o ile stoją na drodze jego artystycznej działalności“ [2]. Sam nadczłowiek tworzy również nadludzi. Jemu wszystko wolno,

---

[1] Bliższe rozpatrzenie sprawy znajdzie czytelnik w artykule: *Lombroso und die moderne Gehirnphysiologie* v. dr. S. Epstein *(Gesellschaft*, 1897, str. 106 i d.). Nie zgłębiając zresztą tej kwestyi, która dla mego przedmiotu ma epizodyczne znaczenie, zauważę, że jednak cechy obserwowane u zbrodniarzy: brak pragnienia wiedzy, niezdolność zdawania sobie sprawy ze skutków popełnianych czynów, szybkie wyczerpanie mózgu, stąd żądza odmiany wrażeń, ciągła zmiana miejsca pobytu, brak uczuć moralnych w charakterze — niekiedy towarzyszą i geniuszowi; a z drugiej strony trafia się zbrodniarz, obdarzony niepospolitemi zdolnościami, że wspomnę choćby poetę francuskiego Villona lub poetę mordercę Lacenaire'a, o którego pamiętnikach, wydanych w 1836 pisał Vrchlicky. *(Wiener Fremdenblatt* nr 266, r. 1898).

[2] Heinrich Driesmans. *Die Moral der Kunst. (Gesellschaft*, 1897 I, str. 161

jego bohaterom podobnież. „Miliony milionów ludzi istnieją tylko po to, aby kilka razy na stulecie wydać ze siebie wielkiego bohatera". „Tschandala zaś powinien leżeć na samym spodzie, jako nawóz, użyźniający i chroniący przed zimnem, byle tylko szlachetny pień aryjczyków mógł wzrastać i okrywać się kwiatem na wzór aloesu raz jeden na stulecie". Otóż ów kwiat aloesu, ów wielki bohater — to nowożytny poeta. W powieści maluje zazwyczaj siebie, własne rozkosze i zachwyty, swoją pogardę dla tłumu, marzenia swej duszy, swoje poglądy na piękno i sztukę. Ośmielę się twierdzić, że nigdy indywidualizm w sztuce nie wybujał tak nad wszelką miarę, jak obecnie. Samo przez się rozumie się, że cele i środki nowożytnej powieści, co więcej — cały etyczny pogląd na świat nowożytnego bohatera radykalnej uległ przemianie. Nie jest już zgoła ani pożądanem, ani ponętnem malować życie w jego tysiącznych widokach i kształtach. Owszem, im obrazy okażą się mniej zgodne z pierwowzorem natury i życia, tem lepiej dla nich. Nie jest też właściwem kreślić ideały lub wzory etyki, wykładanej przez kościół i chrześcijaństwo. Owszem, im bohater dalej odskoczy od prawowierności, im zuchwalej będzie urągał wszelkim zasadom etyki chrześcijańskiej, tem snadniej uzyska sobie poklask nowego światka artystycznego. Bezkarnie chodząca w słońcu zbrodnia, bluźnierczą śliną tryskające ciągle usta, ręce, świętokradzkim rabunkiem zajęte, nienawiścią ku wszystkiemu, co legalne, zionące serce, nerwy, roztrzęsione wszelkiego rodzaju wyuzdaniem zmysłów — oto ulubiona figura dzisiejszej powieści. Kiedy w „Queen Mary" Tennysona, mówi królowa o Courtenay'u, że „jak pies w padlinie — w żądnem ugrzązł ciele", to łacno zastosować da się do nowożytnego Lowelasa. Balzac w którejś swej powieści wyraził się o Paryżu, że to „rak gnijący po obu brzegach Sekwany". Możnaby zwrócić to orzeczenie do świata, zamkniętego w najnowszej belletrystyce. Tylko nie należy na mocy spostrzeżeń ze światka tego zebranych uogólniać wad, gdyż powieść obecna nie maluje typów. Jednakże, jeżeli czytelnik spotyka w belletrystyce bez ustanku indywidua o karłowatych kształtach, jeżeli nieraz sam powieściopisarz błędy i winy generalizuje, to się

znów zdobywa wrażenie, że pesymizm rozsiadł się szeroko na niwie dzisiejszej powieści, i wiedzie ją gorliwie ku coraz spadzistszym nizinom uczucia. Gdzie jest normalny człowiek? Pokażcie nam normalnego i jako tako zdrowego osobnika! Wszak jeszcze nie wymieramy, wszakże pomimo kretynizmu, wzdłuż i w szerz ziemi — jak powiadacie — grasującego, są jeszcze może ludzie zdrowi. Doszło do tego, że ludzkość z tęsknotą i upodobaniem będzie niedługo poszukiwała w produkcyi artystycznej człowieka średniej miary, ale zdrowego na duszy i ciele. Dziś to trud Syzyfowy, gdyż pisarzom chodzi o stany wyjątkowe, o przejawy duszy silne, gwałtowne, wskutek tego dla uwydatnienia ostrych dysonansów, wydatnych wypukłości i bezdennych szczelin, muszą szukać nienormalnych indywiduów. „Ponieważ odmiennym jestem od innych — mówi o sobie Tullio Hermil w „Intruzie“ d'Annunzia — ponieważ z natury inny mam ustrój, mogę też mieć prawo uchylenia się od obowiązków, które inni pragnęliby mi narzucić, mam prawo pogardzać resztą ludzi i żyć z absolutną otwartością życiem, odpowiedniem naturze wybrańca“ [1]. Powieściopisarz przeprowadza Tullia przez cały szereg ciężkich i straszliwych męczarni uczuć; kładzie jego serce raz po raz na rozpalonym ruszcie żądzy, zazdrości, nienawiści, upokorzenia, potęguje niesłychanie grozę położeń urokiem słonecznej przyrody i jej szczęścia, potęguje ją zarazem opisem bezbrzeżnych cierpień Juliany, jak zestawieniem z torturami tych dusz błogosławionego spokoju i jaśnienia dusz niewinnych dzieci: Mani, Natalki i samego intruza Rajmunda. Cóż się przeciwstawia piekłu zgryzot Tullia i Juliany? Oto dzielny, czynny Fryderyk i rozumna, pracowita matka Hermila, obie postaci epizodyczne, włożone w obraz dla równowagi, ale niknące we współczuciu czytelnika, który zgodnie z wolą poety wraz z Tulliem i Julianą przebywa dziewięć kręgów piekielnych udręczeń.

Jednakże bywa jeszcze gorzej. Przed paru miesiącami zdarzyło mi się czytać opis doświadczeń, jakie turyński profesor Lombroso czynił w swej pracowni z Pickmanem, odgadywaczem

[1] str. 4, przekł. pol.

myśli. Lombroso pisze, że osobnik to niepospolity. Puls jego bije 79 razy na minutę i może słabnąć lub przyspieszać się wedle woli; cyna i ołów działają nań bardzo silnie, prawa ręka przy najsłabszem tarciu czerwienieje i długo pozostaje czerwoną, w smaku i wzroku zboczenia, ogólny stan czułości równa się prawie bólowi, rozstrój psychiczny niezwykły. System nerwowy rozbity histeryą, podobną do somnambulizmu. Otóż całe to bardzo zresztą zajmujące sprawozdanie uczonego fizyologa przypomniało mi się, gdym czytał nowelę J. H. Rosny'ego p. t. *Un autre monde*[1]. Istota, która występuje w pierwszej noweli tego zbioru, pozbawiona jest znamion ludzkiego typu. Ten cud natury ma cerę blado-fioletową, ciało kruche, żywi się alkoholem, patrzy z rozkoszą w blaski słoneczne; tam, gdzie my rozróżniamy jedną barwę, on rozróżnia ich tuzin, wzrokiem przecina las, widzi przez drzwi zamknięte, mówi trzy razy szybciej, niż człowiek. W atmosferze poznaje istoty, o których nie mamy pojęcia i z osobliwem zamiłowaniem lgnie do jakiegoś innego świata, do jakiejś dziedziny tajemnic. Łączy się węzłem ślubnym z ubogiem, historycznem, nerwowem dziewczęciem, z którem ma syna, spadkobiercę swego ustroju fizycznego i duchowego. Pozwolę sobie zapytać, czy przeciętny czytelnik, dający wciąż jeszcze opinię dziełu, może odnieść się doń z należytem zrozumieniem i współczuciem, gdy pomiędzy umysłowym obrębem jego a zdecydowanego osobnika, niema najsłabszej nici wspólnej?

IV.

Obok nader bujnego indywidualizmu rozpostarł się w dzisiejszej powieści pełen goryczy i przygnębienia pesymizm. W czem szukać przyczyn i czy ich dość się zbierze, aby usprawiedliwić takie przesiąknięcie utworów ducha tchem, kursującym w powietrzu?

Renan powiedział raz, że „oto jesteśmy uczestnikami najuroczystszej chwili na naszej planecie: złączenia i braterstwa ludów". Naukowe zjazdy, ciągłe wystawy, ogromna ilość do-

[1] Zbiór wyd. w Paryżu u Plona w b. r.

broczynnych instytucyj, niezmierna mnogość złota, bez liku wynalazków, łatwa nad pojęcie i nadzieje komunikacya, — słowem olbrzymi postęp na każdem polu życia. Pozory łudzą. Bez względu na całą błyskotliwość cywilizacyi nigdy dotąd nuta rozpaczy nie dźwięczała tak głośno, jak ku końcowi dobiegającego wieku, nigdy człowiek cywilizowany nie czuł tak dotkliwie braku celu i racyi życia, jak obecnie. Składa się na to tysiąc przyczyń i zjawisk ekonomicznych i duchowych. Statystyka stwierdza, że śmiertelność ogólna powiększa się zwłaszcza wśród ludu, a natomiast zmniejsza się wymiar cząstek ziemi na osobę; zmniejsza się też ilość zwierząt domowych i urodzajność ziemi. Średnie trwanie życia i roboczego okresu u człowieka coraz krótsze; ilość fizycznie niezdolnych do wojska rośnie; mnoży się tłum bezdomnych i bezrolnych, a z nim przybywają tysiące i miliony żebraków. Wśród tego ekonomicznego pochylenia daje się dostrzegać przerażający upadek prywatnej moralności. Niewiara się szerzy, jak pył gryzący pod tchnieniem wiatru; zamęt w przekonaniach powszechny; ilość zmieniających swe zasady dla osobistego interesu coraz większa; brak charakterów dotkliwy; kompromisy z własnem sumieniem dokonywają się bez trudu i odbywają się codziennie; poszanowanie i poczucie własnej godności, idące w parze z czynem i własną za swe postępki odpowiedzialnością — coraz rzadsze. Najpospolitszą zbrodnią bywa właśnie najpodlejsza i najbezecniejsza tj. kradzież. Dodajmy do tego niezwykłe zdenerwowanie ogólne, nadmiernie podniesiony stan uczuciowości, lęki wobec śmierci i przyszłego życia, szerzące się wizyonerstwo, chorobliwą żądzę użycia i nadużycia wszelkich rozkoszy, chociażby kosztem zdrowia, czci, honoru i dobrej sławy, to otrzymamy obraz bankructwa, od widoku którego włosy się jeżą na głowie. Co chwila — wszędzie — na ulicy, w restauracyi, teatrze, parlamencie spotyka się ludzi z chorym systemem nerwowym, z potrzebą nieustannych silnych podniecień, bez mocy i woli przeciwdziałania naciskowi zewnętrznemu. Przy pierwszem niepowodzeniu zamyślają oni o zabójstwie albo samobójstwie. Czy pojedynkomania nie staje się już i u nas jedną z chorób społecznych, na które zwraca się stro-

skane oko psychologa? Czy szerzący się alkoholizm nie trapi miłośników zdrowia ludzkiego? Oto — jak maluje jeden z nich dzisiejszy rozdźwięk pomiędzy postępem a szczęściem człowieka. „Ponieważ mówią nam, że masy ludowe są szczęśliwsze w ustroju przemysłowym i ekonomicznym, spojrzmy na nie. Występują one, pełne skargi i groźby do szturmu przeciwko społeczeństwu nowoczesnemu, a nigdy za dawnych lat nie były tak zbrojne w wymagania; z dniem każdym podnosi się poziom zbrodni, jak istny krwawy przypływ; z dniem każdym mnożą się samobójstwa, o których czytamy na szpaltach pism i które należałoby ogłaszać czerwonym drukiem; rzecz niesłychana, zjawiają się nawet samobójstwa dzieci. Codziennie w jakimś punkcie świata cywilizowanego wybucha bunt robotniczy, łamiąc owe cudowne, a kruche narzędzia, które nauka wymyśliła dla rzekomego szczęścia. Miasta nasze (angielskie) stały się puszczą machin tkackich, a lud nie ma się w co ubrać; dymy fabryczne pokryły sadzą angielskie bory, a lud umiera z zimna; w przystaniach naszych jak las stoją maszty statków handlowych, a lud umiera z głodu. Skoro wycięto bory na budowę fabryk i zamiast śpiewu ptasząt słyszymy zewsząd gwizd i sapanie machin parowych, to może przynajmniej robotnicy stali się weselsi i chętniej śpiewają? Niestety — nie. Ongi uboga Francya lubiła śpiew: śpiewano przy stole, śpiewano przy pracy; dzisiejsza zbogacona Francya — podobnie jak ów zbogacony szewc z bajki — zaprzestała śpiewów. Obietnice szkoły manchesterskiej zawiodły świat. Może doktryny socyalistyczne gotują światu jeszcze więcej obietnic, ale nie chodzi tu o to, że odbierając tłumom wiarę, tradycyę, obyczaj i piękno, o b i e c a ł y w zamian szczęście. Czy d o t r z y m a ł y swej obietnicy?

Nie potrzebujemy na to odpowiadać, gdyż odpowiada za nas głos nowych pokoleń. Spostrzeżono już, że szczęście nie jest jedną z tych rzeczy, *quae numero, pondere, mensurave constant,* lecz że jest raczej B o s k ą monetą, którą roztrwoniono z całym skarbem B o s k i c h wierzeń. Porażka jest krwawą, widoczną, niedającą się ukryć. Można bowiem robotnikowi lub chłopu dowieść za pomocą dowcipnych i pokrzepiających statystyk, iż

jest bogatszym od robotnika i chłopa dobrych starych czasów, lecz nie sposób mu dowieść, iż jest szczęśliwszym, skoro sam się czuje inaczej. Chwalimy się, żeśmy zwiększyli szybkość środków lokomocyi, lecz środki, które zabieramy ze sobą w drogę, galopują z tą samą szybkością. Mawiano niegdyś:

Chagrin d'amour ne va pas en voyage,
Chagrin d'amour ne va pas en bateau.

Czyż jest dziś troska, któraby nie szła za człowiekiem wszędzie? Im bardziej wygodne są szlaki podróży, tem rzadziej coś może rozerwać nas, głusząc wewnętrzną mękę. Ponieważ tedy znika szczęście istot żyjących, ponieważ burza unosi pieśni ptaków i pieśni ludzi, to czyż nie jest rzeczą konieczną szukać przyczyny bankructwa harmonii społecznej i estetycznej“ [1]. Jako ostateczny zatem wynik i rezultat dzisiejszej kultury pojawia się brak duchowego spokoju, zatrata celu życia, zmniejszenie się jego wartości, upadek moralny, uwielbienie złotego cielca, hołdowanie żądzom i popędom, powszechny egoizm i t. p. Wysuwają się na czoło ludzie sprytni i cieśnią uczciwych. Prawi zamiast protestować — milczą. Kultura — mimo pozornego blasku — stacza się po równi pochyłej. Kierunek tego pędu wyraża się najlepiej w głoszonych coraz jawniej i coraz śmielej zasadach praktycznej filozofii, którąby można nazwać filozofią zgnilizny. Podstawą jej bezlitośny stosunek ku bliźniemu, co się zazwyczaj usprawiedliwia źle pojętą teoryą Darwina walki o byt. Pesymizm, który usiłuje podkopać ideę o Bogu, zburzyć moralność, obowiązek, naukę, wysiłek i trud, uważając je za bezcelowe i zbędne, jest taką filozofią rozkładu, a ostatnim wyrazem i apostołem jego — Nietzsche. „Zasadniczym popędem zdrowego człowieka nie jest altruizm i współczucie, lecz egoizm i okrucieństwo“ *(Zur Genealogie der Moral)*. „Rozkoszą jest przemoc swą wywrzeć na bezsilnym, rozkoszą jest *de faire le mal pour le plaisir de le faire* (Tamże str. 21). „O moi bracia, czyż jestem okrutny? Ale wam powiadam: co upadnie, to trzeba

[1] Robert de la Sizeranne, „Ruskin i kult piękna“. Przeł. Ant. Potocki. Lwów 1899. T. II, str. 109—114.

jeszcze głębiej popchnąć". „Strzeż się dobrych i prawych! Chętnie krzyżują tych, co własną cnotę sobie wynaleźli. Strzeż się świętej mierności. Strzeż się napadów miłości swojej. Za prędko wyciąga rękę samotnik do każdego, kogo spotyka" *(Also sprach Zarathustra)*. „Co stacza się ku piekłu, to należy na drogę nogą kopnąć" — powtarza za nim uczeń jego Przybyszewski [1]. „Niema grzechu — z wyjątkiem głupoty", — wtóruje esteta angielski Oskar Wilde [2]. Za nimi uczy Maeterlinck: „powiadają wam: kochaj bliźniego, jak siebie; ale jeżeli będziesz kochał siebie lękliwie, to tak samo postąpisz i z bliźnim. Naucz się przeto egoizmu przestronnego, zdrowego, mądrego i zupełnego. Czemuż brak wam odwagi wyznać, że płacz z tymi, co łzy leją, ból z tymi, co cierpią, ofiarowanie serca przechodniom na podeptanie i rozdarcie, — to nie jest zgoła najwyższy obowiązek moralny" [3]. Tak ci koryfeusze etyki nowego stempla pomiatają dotychczasowym ideałem dobra i miłości bliźniego. Moralność chrześcijańska jest według nich moralnością niewoli. Tęsknotą, pragnieniem i szczytem marzeń — złożenie hekatomby egoistycznym żądzom nadczłowieka. A jednakże ból życia nie od dziś ani od wczoraj gnębiącą zmorą nęka serca ludzkie. Jakkolwiek Leopardi śmierć nazywa „słodką i potężną władczynią", jakkolwiek wierzy, że natura obojętna dla cierpień ludzkich, że ludzie żywią wstręt dla widoku nędzy, to jednak miewa chwile odrodzenia uczuć. „O serce moje — woła w *Il risorgimento* — ja wiem, że życie, siłę i zapał tobie tylko zawdzięczam. To samo Rolla Musseta. Nie pociąga go do niemych świątyń Chrystusa modlitwa, bo rozpusta wygryzła i zniszczyła w nim wszelkie ziarno wiary, jak rdza trawi i kruszy żelazo, a pomimo tego nie bez tęsknot on żyje i przecudny świat starożytny nęci go urokiem swej niezachmu-

---

[1] „Was zur Hölle fahren will, dem muss man noch einen Fusstritt auf den Weg geben". *Das Grosse Glück.* (*Gesellschaft*, Jänner 1897, str. 67).

[2] Jest to zresztą zdanie dosłownie przetłumaczone z Protagorasa Platona 30, 345 B.: αὕτη μόνη ἐστὶ κακὴ πρᾶξις, ἐπιστήμης στερηθῆναι.

[3] Porównaj z tem zdanie Mickiewicza:

. . . . Ten najwyższy w tłumie,
Kto zaparłszy się swoich, innych łzy zrozumie.

rzonej, wesołej harmonii, kiedy to „życie było młode — śmierć nadziei pełna“. Jeżeli nawet Lorezaccio uległ słabości ludzkiej i pełen zrazu hardych zamiarów, stał się wnet u boku nikczemnego księcia Florencyi poplecznikiem jego szpetnych nałogów, to jednak wstrząsa się niegdyś czyste serce wstrętem, pogardą i oburzeniem dla brzydoty własnej zarówno, jak innych. A cóż mówić o Vigny'm, najszlachetniejszym z pesymistów romantyków? Nie tyle osobiste cierpienia, jak raczej ból świata i niepodobieństwo rozwiązania pytań i zagadek bytu stanowią kanwę jego rozmyślań. „Dlaczego istnieje zło na ziemi? Jak pogodzić nędzę i niedolę ludzi z mądrością, sprawiedliwością i dobrem? Jaki pożytek tych rozpaczy, które chylą skroń człowieka ku ziemi? Odpowiedź: niegdyś jakiś tajemny wyrok padł nań i musi cierpieć *(Mont des Oliviers)*.

Natura obojętna na losy ludzkie: myśli ani słowa do niej nie dochodzą — i człowiek staje się igrzyskiem losu. Ale jest coś wolnego od przemocy losu. To świat wewnętrzny, świat idei. Bez względu na zmiany losu tam tkwią niespożyte: piękno, dobro i prawda. Kto w sercu swem stworzył królestwo Boże, ten dobrowolnie wyrzeka się świata żądz — owego „ogrodu śmierci“, w którym wszystko, co rośnie i kwitnie, nieodwołalnie na zgon skazane. *(La maison du berger)*. A śmierć? Od zwierząt należy się uczyć umierać. Oto wilk — przez myśliwych pędzony, przeszyty strzałami, podarty przez psy, od ran we krwi opływający — ginie bez jęku. „Jeżeli możesz, człowieku, spraw, by dusza twa siłą myśli dosięgła tego stopnia stoickiej dumy, jaki zdobyłem w leśnem ustroniu. Skargi, łzy i lamenty zarówno bez pożytku. Pełń swą powinność, a potem cierp i konaj bez żalu“ *(La mort du loup)*.

Zawszeć w tym świecie dawnym, choć pesymizm gra wszystkiemi barwami — nie wszystko jednak stracone. Znajdzie się pośród morza rozpaczy jakaś zaciszna ostoja: w głębi duszy uchroniła się, co było najpiękniejsze, najlepsze i prawdziwe.

A dzisiejsza powieść i poezya? Może ona także skupia w sobie promienie tej trójcy Vigny'ego, któremu przecie twórczość przedstawia się jako dar Boski, a poeta w „Crattertonie“

jako nauczyciel, apostoł i mistrz zapoznany ludzkości". W każdej prawie dzisiejszej duszy poetycznej zieje otchłań sceptycyzmu i niewiary, której niema czem zapełnić. Jedni pragną ją nasycić coraz nowemi wrażeniami, inni marzycielstwem. Hansson widzi „uspokojenie w skamieniałej wśród wzgórz samotności, by w tej ciszy mógł odczuć wypływające z dna duszy na powierzchnię bańki wewnętrznego spokoju, by mógł z wszechświatem powiązać nici dla życia na wieki pocięte". Wielbiciele jego zapewniają nawet — jakoby znalazł ten spokój życia. „Zdawało się, że najwyższa kultura coś chorobliwego ze sobą niesie, wyklucza szczęście i spokój. A oto w noweli *Vom Tode* stwierdza Hansson po raz pierwszy co innego. Znajdzie to, czego nieszczęśni sceptycy Bourget i Huysmans nadaremnie szukają w reakcyi religijnej, znajduje ciszę wewnętrzną, ciszę *der Toteninsel* i *der Gefilde der Seligen*[1]. Można mu oczywiście powinszować, chociaż zazdrościć niema czego.

(C. d. n.)

Antoni Mazanowski.

[1] Klein, „Ola Hansson". *Gesellschaft* 1897, I, str. 245.

Układy o ligę przeciw Turkom za Zygmunta III.

(Ciąg dalszy).

Zamojski zachęcany przez papieża Klemensa VIII, który poznał go osobiście, gdy jako legat Sykstusa V starał się o wypuszczenie Maksymiliana z niewoli — dosyć gorliwie krzątał się około sprawy ligi i starał się króla Zygmunta do niej nakłonić [1]. Chociaż przewidywał, że wojna nie będzie łatwą dla wielkich wydatków i opozycyi sejmu przeciw większym poborom, oświadczał się za ligą nie dlatego, że się cesarz o nią starał, ale przez wzgląd na niebezpieczeństwo, jakie Polsce zagrozić mogło, jeżeliby ostatnie twierdze węgierskie dostały się w ręce tureckie.

W tej myśli radził królowi wpływać na szlachtę, przed sejmem zwołać radę senatu i na niej sprawę przygotować, żeby łatwiej na sejmie przejść mogła [2].

Za wstęp do wojny tureckiej proponował kanclerz królowi większą wyprawę na Krym, w odwet za ostatni najazd hordy. Po pobiciu Tatarów należałoby, jak radził, pobudować zamki dla powstrzymania zagonów tatarskich i czekać, jaki rezultat przyniosą układy o ligę. Gdyby nastąpiła zgoda na wojnę, powinni Polacy zabrać Mołdawię i Wołoszczyznę, a wtedy, chociażby nawet wojska cesarskie zostały przez Turków pobite, Rzeczpospolita mogłaby sama z Turkami walczyć, bo Tatarzy zostaliby odcięci,

[1] Theiner III. 220.

[2] Malasp. 9/12. 1594. T. Rz. 52.

a stanowisko silne nad Dunajem w rękach polskich, pozwoliłoby odpierać zapędy Turków [1].

Kanclerz tak natarczywie niemal sprawę wyprawy na Tatarów przedkładał, że aż król począł podejrzywać, czy to nie jakie praktyki wymierzone przeciw niemu [2], i dlatego nie godził się z początku na projekty kanclerza, ale lidze nie był przeciwny i postanowił wnieść sprawę na najbliższy sejm, byle cesarz nakłonił Maksymiliana do złożenia królewskiego tytułu i przedłożył korzystne dla Polski warunki [3].

II.

Na to jednakże się nie zanosiło. Cesarz Rudolf, chociaż po powrocie króla przysyłał posłańców w sprawie traktatów o ligę, nie przedkładał od siebie ani programu przyszłej wojny, ani wskazówek na jakich warunkach liga powinna się oprzeć, a posłańcy cesarza nietylko nie potrafili przygotować nic do zapowiedzianych traktatów, ale niezręcznem występowaniem psuli nawet sprawę. Chociaż np. agitacye ludzi cesarskich na Niżu nie były bez wpływu na najazdy kozaków na Mołdawię, a Polaków tak oburzyły, że z konwokacyi warszawskiej, zwołanej podczas nieobecności króla, wysłano ostry list do cesarza z wyrzutami, że łamie pakta z Polską i miesza się do spraw Rzeczypospolitej [4], mimo to posłańcy cesarscy jeździli do króla ze skargami na Niżowców, a miesiąc przed sejmem wystąpili przed senatem z żalami, że Tatarów przez Polskę puszczono do Węgier [5].

O jasno sformułowanych propozycyach ligi cesarz nie pomyślał, a ponieważ i papież nie wystąpił od razu z inicyatywą i nie mógł czy nie chciał oprzeć negocyacyi na podstawie planów króla Stefana, jak mu to Malaspina doradzał, niepodobna

[1] Malasp. 22 wrześ., 1594.
[2] Malasp. 26 październik.
[3] 23 sierpnia.
[4] Reussner. 73. *Epistul. Turcic.* lib. XIII.
[5] Malasp. 22/12, 1594.

było przygotować należycie sejmików, żeby sprawa ligi na sejmie łatwiej przejść mogła.

Mimo niedostatecznego przygotowania sejmików, sejm krakowski zwołany na 6 lutego 1595 roku dla obmyślenia bezpieczeństwa od Tatarów, Turków i kozaków, okazał się dosyć skłonnym do ligi, a poselstwa obce, które podczas sejmu przybyły do Krakowa, pozwalały przypuszczać, że sprawa weźmie poważny obrót.

Zanim przybyli zagraniczni posłowie omawiano sprawę ligi w senacie, i to dosyć korzystnie dla projektowanego przymierza przeciw Turkom.

Wielu senatorów przemawiało za wojną otwarcie i gorąco, zwłaszcza kardynał Radziwiłł i kasztelan krakowski Janusz ks. Ostrogski, inni byli niezdecydowani, bo obawiali się Turcyi, inni wreszcie oświadczali się przeciw wojnie, powołując się na dotychczasową politykę wobec Turcyi, z którą Polsce nie zbyt źle było, i na mały rezultat ligi świętej mimo zwycięztw pod Lepanto.

Zamojski wotował za wojną, bez względu na przymierze z cesarzem. Wspominał o planach Batorego, do których należało nawiązać rokowania o ligę, i był zdania, że całą sprawę należy śmiało podjąć i rozgłosić, żeby i w Stambule dowiedziano się o zabiegach sąsiadów dla pozyskania polskiej pomocy na wojnę [1].

Także koło poselskie, jak zapewniał kanclerz nuncyusza, było dobrze usposobione dla ligi, ale i lękano się zarazem tych traktatów, żeby Turcy na wieść o nich nie uprzedzili Polaków i nie napadli, zanimby liga stanąć mogła.

Wyczekiwano też dosyć niecierpliwie na poselstwo cesarza, Rzeszy i stanów węgierskich, bo od warunków, jakie posłowie ci mieli ofiarować, zależał teraz cały obrót sprawy.

Poselstwa przybyły dopiero w drugiej połowie sejmu, naprzód od cesarza: biskup ołomuniecki Stanisław Pawłowski i marszałek czeski Wacław Berka. Po nich przybyli do Krakowa po-

[1] Malasp. 10/2, 1595.

słowie od stanów węgierskich, Rzeszy, Siedmiogrodu i obu hospodarów. Wszyscy prosili o pomoc w wojnie z Turkami, ale sami nie wiele obiecywali.

Biskup Pawłowski, w mowie przed sejmem przedstawiał opłakany stan Węgier i kłopoty cesarza. Cesarz — jak mówił — pragnie pozyskać jak najwięcej sprzymierzeńców na wojnę. Sejm Rzeszy w Ratysbonie uchwalił już na potrzeby wojenne znaczne zasiłki, pieniędzy dostarcza także król hiszpański — na środkach więc do walki nie zabraknie; zwłaszcza, że papież przyrzekł pozyskać do przymierza Hiszpanię i książąt włoskich. Może nawet do ligi wejdzie i Moskwa, bo cesarz o to się stara, a może się uda poruszyć przeciw Turcyi Persów, Georgian i Albańczyków. W przymierzu z temi państwami wojna nie będzie trudną, szczególnie gdy Polacy posiadający tyle rycerskiego ludu i broń podobną do tureckiej przystąpią do ligi. O innych warunkach ligi biskup nie wspomniał, oświadczył tylko, że cesarz nie zawrze pokoju z Turcyą bez Polski, a gdyby Turcy większe siły przeciw Polsce zwrócili, pośle wojska sprzymierzone na pomoc [1].

W pierwszych dniach marca składali poselstwo Węgrzy: ks. Napragy, Mikołaj Cokol i Michał Kellemez. Ks. Napragy także rozwodził się nad upadkiem węgierskiej ziemi, potężnej dawniej, a przez Turków „podeptanej i prawie zewsząd splugawionej", i to przeważnie wskutek spuszczania się na pakta i przyjaźń turecką. Przestrzegał, by Polacy nie zważali na fałszywe obietnice Porty, jeżeli nie chcą, by Rzeczpospolita doszła do stanu takiego, w jakim znalazły się Węgry. W końcu prosił o wieczyste przymierze Polski z Węgrami i rychły ratunek, a mianowicie, żeby pozwolono zaciągać żołnierza w ziemiach polskich, i żeby Polacy swoje wojska na pomoc posłali [2].

Pod koniec sejmu przybyli także posłowie Rzeszy, wysłani za pełnomocnictwem innych elektorów [3], od pro-elektora saskiego

---

[1] *Rudolphi imperatoris orationum... ad Sigism.* III. *et ordines oratio. Cracoviae 1595.*

[2] „Poselstwo węgierskich posłów" przełożył Januszowski. Kraków 1595; Fessler, *Geschichte von Ungarn,* IV. 24.

[3] Reusner 105.

Fryderyka Wilhelma i Jana Jerzego brandenburskiego. Prócz listów do panów polskich i do Zamojskiego, przynieśli oni na sejm przyrzeczenie, że Rzesza jak dotąd będzie użyczać pomocy na wojnę, i stałą się w niej okaże [1].

Prócz ogólników, jakie wygłaszali przed zgromadzonymi stanami, i wezwań do ligi, nie przynosili posłowie ci nic jasnego i sformułowanego, dlatego nie można było wnieść na sejm sprawy ligi, i trzeba było ułożyć wprzód jakieś warunki i podstawę do projektowanego związku.

Do dyskusyi a raczej do *colloquium* z cesarskimi posłami wyznaczono przeto w senacie deputatów, między innymi kardynała Radziwiłła, biskupów: Rozrażewskiego i Maciejowskiego, obu kanclerzy: Zamojskiego i Sapiehę Lwa, podkanclerzych, krakowskiego kasztelana, ks. Janusza Ostrogskiego i wojewodę Mikołaja Zebrzydowskiego [2]

Delegaci polscy na wstępie tego *collequium* zaznaczyli wyraźnie, że Rzeczpospolita, jeżeli przystąpi do ligi, to dobrowolnie, bo chociaż przymierze z Portą naruszył ostatni napad Tatarów, to jednak łatwiej je odnowić, jak ściągać na siebie całą turecką potęgę, która dla Polski jest tem groźniejsza, że prócz Turków, ma Rzeczpospolita pod bokiem Tatarów, gotowych każdej chwili do łupiestw. Dlatego też, zanim sejm za wojną się oświadczy, musi mieć pewność, że nie ściągnie na siebie całego ciężaru wojny i żądać musi jak najpewniejszych gwarancyj, że proponowana liga nie obróci się na szkodę Polski.

Ponieważ cesarscy posłowie nie przynosili żadnych gotowych warunków do zawarcia ligi, ale chcieli, żeby Polacy je przedłożyli, odniesiono się do króla i po naradzie z posłami i senatorami przedłożono cesarskim posłom spis pytań i postulatów, ułożony jak się zdaje przez Zamojskiego [3]. Zapytywano mianowicie o sprzymierzeńców, ich siły, rodzaj wojska, plan wojny, czas jej trwania, dowódców, zwłaszcza jakie stanowisko miałby król, gdyby osobiście wyruszył na wyprawę

[1] *De bello sociali Turcico brevis commonitia ad Sigism.* III. *Cracoviae* 1595.
[2] Heidenstein, 309.
[3] Malaspina. Dep. z 31/3, 1595. Teka 52.

i jakie obiecywano Polsce nabytki, gdyby Turków pobito i odparto. W razie zwycięztwa żądali Polacy dla Rzeczypospolitej Mołdawii i Wołoszczyzny po morze Czarne, a na wystawienie i utrzymanie wojska subsydyów pieniężnych. Do ligi chciano wciągnąć prócz papieża i książąt włoskich także i Hiszpanię a jeżeli można i Moskwę, a od cesarza spodziewano się, że przynajmniej 80.000 żołnierzy wystawi i to połowę w górnych Węgrzech a połowę w Kroacyi. — Cesarscy posłowie nie mogli na te pytania dać jasnych i stanowczych odpowiedzi, bo przybyli na sejm bez pełnomocnictwa i ze szczupłą instrukcyą. Napierani przez Malaspinę oświadczyli tylko, że do ligi prócz papieża wejdzie książe siedmiogrodzki. Z Rzeszą formalnego przymierza nie potrzeba, bo wystarczy powaga cesarza, by zyskać stamtąd pomoc w ludziach i pieniądzach. Pomagać będą i inne państwa, bez formalnego przystąpienia do związku, co będzie nawet wygodniejsze, bo nie wezmą udziału w zdobyczach. Cesarz wystawi 80.000 wojska. O planie wojny nic nie wiedzą, ale sądzą, że zależny będzie od porozumienia hetmanów i że król, gdyby był z cesarzem przy wojsku, miałby równorzędne stanowisko, a bez cesarza naczelne dowództwo. O zasiłku pieniężnym dla Polski nie mieli żadnej wskazówki, przynajmniej nic nie obiecywali, a co do bezpieczeństwa ligi przyrzekali, że cesarz da taką gwarancyę, jakiej król i stany zarządają.

Oświadczenia te nie mogły oczywiście służyć za podstawę do jakichś układów, bo cesarscy musieli się wprzód odnieść do Pragi, a że termin sejmu upływał i nie było czasu czekać na cesarską odpowiedź, wyznaczono ze strony polskiej 14 senatorów i 18 deputatów z koła poselskiego do bliższego omówienia ligi z cesarskimi komisarzami[1].

Komisarze królewscy mieli się zjechać w Poznaniu do narad z komisarzami cesarza, ułożyć warunki ligi, poczem miał król zwołać nadzwyczajny dwutygodniowy sejm w Warszawie dla przyjęcia uchwał komisyi. Rokowania miały się toczyć na podstawie ułożonego skryptu, za zgodą obojga narodów *in vim laudi*

[1] Lew Sapieha. 28/3, 1595. *Script. R. P.* VIII. 217.

publici[1], w którym między innemi punktami zaznaczono i to, że wprzód ugodę będzińską powinien zaprzysiądz arcyksiąże Maksymilian, a jako kaucyę na bezpieczeństwo ligi mieli sprzymierzeńcy wystawić odpowiednie pisma, i z wyjątkiem papieża zaprzysiądz związek, co także i król i delegaci polscy mieli uczynić. O wyznaczeniu deputatów na komisyę zawiadomił król elektorów[2], a cesarzowi dano znać, że sejm nie mógł niczego postanowić, bo jego posłowie nie przynieśli jasno sformułowanych instrukcyj i późno przybyli.

Wyznaczenie przez sejm delegatów, było głównie zasługą Zamojskiego, który nakłonił izbę posłów do przedłużenia obrad sejmowych na jeden dzień, i wyznaczenia deputatów[3].

Sejm prócz wyznaczenia deputatów, uchwalił także pobór łanowy na potrzebę wojenną, wybrańców z dóbr królewskich w Koronie i Litwie i pospolite ruszenie, z którem także Tatarzy litewscy mieli wyruszyć, gdyby do wojny przyszło[4]. W zasadzie wyprawa ta miała się zwrócić na Tatarów, jako odwet za ostatni najazd, a plan jej i ostateczną decyzyę miał powziąć król z senatem. I za wyprawą tatarską był głównie kanclerz, który ją uważał za wstęp do tureckiej wojny i spodziewał się, że „na wiek nie mały“ uprzątnie się wroga, a przy tej okazyi będzie można pomyśleć o „uprzątnięciu“ także kozaków niżowych[5]. Rada senatu plan ten przyjęła i postanowiono zaciągnąć za pobór w Polsce kilkanaście tysięcy żołnierza, w Litwie kilka tysięcy, a Dnieprem na Niż przesyłać wcześnie żywność i materyały wojenne[6] — słowem zanosiło się na jakiś zwrot wojenny w Rzeczypospolitej.

Postanowienie sejmu krakowskiego, można było brać seryo i dlatego także, że nie było na nim mowy o odnowieniu paktów z sułtanem. Przed sejmem w styczniu 1595, umarł bowiem

[1] *Vol. leg.* II, 1425.

[2] Reussner, 115.

[3] Malasp. 31/3, 1595.

[4] *Vol. leg.* II, 1426, 27. — „Gdyby się niebezpieczeństwo jakie wielkie mianowicie od cesarza tureckiego dowodnie pokazało“. Januszowski, „Statuta“ 365.

[5] *Scriptores* VIII, 116, 28/1, 1596.

[6] Sapieha 28/3, l. c. 217. Malasp. 14/4, 1595.

Murad III., a miejsce jego zajął Machomet III., bardziej przedsiębiorczy i energiczniejszy od zniewieściałego poprzednika. Dotychczas po każdej zmianie sułtana wysyłano do Stambułu po odnowienie paktów, teraz chociaż Machomet sam pragnął pozyskać przyjaźń Polski i wysłał nawet liczny orszak poselski, który co prawda nie przekroczył granic Rzeczypospolitej, bo w Mołdawii został rozbity [1], ze strony polskiej jednak nie spieszono się z odnowieniem paktów, a to w nadziei, że liga z cesarzem dojdzie do skutku.

Rzeczą cesarza było, wyzyskać ten zwrot i pociągnąć Polskę do ligi, korzystnymi warunkami przymierza, ale cesarz, jak zwykle, nie kwapił się i niczem nie pokazywał, że seryo o lidze myśli. Chociaż wtedy miał dosyć pieniędzy, z subsydyum Rzeszy, od papieża i króla hiszpańskiego, nie miał ochoty dać 700.000 flor. na polskie zaciągi, bo nie ufał Polakom [2] nastraszony przez ks. Zygmunta Batorego, że jeżeli Zamojski stanie na czele silnego wojska, zabierze dla Polski Mołdawię i Wołoszczyznę, których się Polacy za ligę spodziewali.

Oficyalnie po powrocie swych posłów z Krakowa, wyraził tylko żal, że liga jeszcze nie stanęła, obiecał ponowić starania, by Włochy, Hiszpanię i Rzeszę pozyskać dla niej, a w końcu prosił, żeby wojska, uchwalone na Tatarów, stanęły rychło na granicy i nie puszczały hordy do Węgier [3].

Za wyznaczenie przez sejm deputatów, nie podziękował nawet królowi, nie zapowiedział, czy i kiedy swoich komisarzy wyśle na zjazd, a nie wspomniał o tem nietylko zaraz po sejmie, ale prawie przez cały rok, i zachował się tak, jakby zerwał z Polską zupełnie stosunki.

Następstwem tego lekceważenia ustawy sejmowej, było wielkie oburzenie w Polsce na cesarza i niekorzystny zwrot w usposobieniu dla ligi. W Polsce głośno sarkano, że cesarz chyba kpi z Polaków, skoro w sprawie, o którą sam prosił, nie odpowiada ani słówkiem [4] a i Malaspina w depeszach do Rzymu

[1] Hurm. III, 228; Reussner. 121, 12/4.
[2] Rel. wenec. z Pragi w Hurm. III, 2, 112.
[3] List do króla 27/4, 1595. [4] Malasp. 27 październ. 1595.

przyznawał, że cesarz nietylko nic nie robi dla posunięcia sprawy naprzód, ale postępuje tak, jak gdyby chciał całą sprawę zupełnie zaprzepaścić [1].

Wiedział np. cesarz, że jedną z głównych przeszkód w sprawie ligi jest upór Maksymiliana przy tytule królewskim, bo drażni Polaków, zraża króla, a niechętnym nastręcza okazyę do rozmaitych podejrzeń. Mimo to nietylko nie potrafił się zdobyć na jakiś energiczniejszy krok, żeby wymódz na arcyksięciu wypełnienie ugody będzińskiej, ale nawet oddał mu dowództwo nad wojskiem w górnych Węgrzech, chociaż i na sejmie krakowskim głośno mówiono, że liga będzie trudna, jeżeli Maksymilian nie złoży tytułu i będzie stał z wojskiem nad granicami Polski, a król po sejmie wyraźnie prosił cesarza, żeby arcyksięciu nie dawał dowództwa nad granicami Polski.

W Polsce krok ten był istotnie przyczyną nowych podejrzeń, zwłaszcza że adherenci arcyksięcia już od dawna chcieli go widzieć na czele wojska u granic, żeby na wypadek jakiego zamętu w kraju, lub ustąpienia króla do Szwecyi mógł łatwiej Kraków opanować.

Obawy te były o tyle słuszne, że arcyksiąże nie zarzucał myśli o pozyskaniu korony dla siebie, i łudził się, że prędzej czy później powinno się to udać. W roku 1592 przyrzekł wprawdzie Klemensowi VIII., że tylko przez rok jeszcze dla „pewnych przyczyn“ tytuł zatrzyma, ale te pewne przyczyny tj. nadzieja, że król ustąpi, a Moskwa go poprze, trwały i nadal, a Maksymilian wskutek tego trwał w uporze, chociaż go papież dosyć ostro napominał, by dla czczego tytułu nie szkodził sobie, cesarskiemu domowi i ważnej dla chrześcijaństwa sprawie ligi [3]. Przed sejmem 1595 gdy królowa zachorowała, wystarczyły arcyksięciu do nabrania otuchy jakieś pogłoski, że król na wypadek jej śmierci ustąpiłby do Szwecyi, lub może do klasztoru[4], a kilka miesięcy później, gdy dostał jakieś listy króla Zygmunta

[1] 24/12, 1595.
[2] Malasp. z kwietnia, 1595.
[3] 8/4, 1595. Thein. III, 223.
[4] Malasp. dep. 12/11.

do Ernesta w sprawie odstąpienia korony, zdawało mu się, że jest blizkim celu [1]. Ponieważ zaś prędzej czy później dowiadywali się o tem nieprzyjaciele arcyksięcia w Polsce, nie dziw, że ciągle mówiono o praktykach Maksymiliana, a król żalił się przed legatem, że cesarz nie pomny na związki, jakie go z nim łączą, ani na życzliwość dla domu cesarskiego, pozwala, by nad granicą polską stał na czele wojska arcyksiąże, jako drugi król Polski i zagrażał Rzeczypospolitej [2].

Podejrzywania przeciw zamiarom Maksymiliana zwiększyły się jeszcze bardziej w lecie 1595 r., gdy arcyksiąże przyjął na służbę buntowniczego Nalewajkę i przywołał go na Węgry, co było nietylko obrazą praw Rzeczypospolitej, ale wyglądało wprost na popieranie buntu kozaków przeciw Polsce. Czy arcyksiąże istotnie zamyślał o osiągnięciu korony przy pomocy kozaków, na to wyraźnego dowodu niema, ale że wtedy głośno o tem w Polsce mówiono, to pewna.

Pomiędzy Niżowcami, którzy przed sejmem krakowskim zajęli Bar i Bracław, widziano cesarskich ajentów [3], a kanclerz miał wiadomości, że ludzie arcyksięcia podżegają kozaków do trwania w buncie, że obiecywali pomoc żołnierzy węgierskich, niemieckich i siedmiogrodzkich, i że nawet myślą o jakimś zamachu na króla [4]. W marcu po sejmie krakowskim, chodziły nawet wieści, że Maksymilian porozumiał się z Zygmuntem Batorym i wspólnie knują coś przeciw królowi, znoszą się z Gdańskiem, Elbłągiem i z dyssydentami [5]. a chociaż król pogłosek nie brał na seryo, to jednak podejrzenia te, nie przyczyniały się wcale do zbliżenia ściślejszego między Polską a cesarzem, i nie przygotowywały umysłów dla ligi.

Także zachowanie się stronników Maksymiliana w kraju,

---

[1] Malasp. 12/5, 1595.

[2] Malasp. 13/2, 1596.

[3] Malasp. 9/12. 1594.

[4] 6/1, 1595. Malasp.; Żółkiewski pisał później do króla: „Brzydko aż i wspominać do czego się to swawoleństwo brało, jakie wspominanie Majestatu W. Kr. M., jakie zamysły o Krakowie, stolicy sławnej, rozbiciu, wytraceniu stanu szlacheckiego". Pisma 151.

[5] Malasp. 30/3 1895.

mogło powiększać te podejrzenia. Malaspina np. w depeszy do Rzymu wspomina o jakimś liście prymasa, który rozpisywał się nad sposobami, jakby króla nakłonić do ustąpienia z kraju, i gotów był wtedy ogłosić Maksymiliana królem [1], a na razie przeszkadzał poborom, żeby nie przyszło do zapowiedzianej wyprawy na Tatarów, i żeby przez to Zamojski nie zyskał większego wpływu w kraju. Jakoż rzeczywiście województwa wielkopolskie odmówiły wydawania poborów na wojsko [2]; za Wielkopolską odmówiła poborów także Litwa, a wskutek tego zamiary Zamojskiego o wyprawie na Krym, musiały upaść, bo zabrakło pieniędzy na większe zaciągi.

Prymas Karnkowski starał się także wpłynąć na opinię ogółu, żeby korzystniejszy zwrot ku wojnie tureckiej ostudzić, i w tym celu napisał po sejmie krakowskim broszurę *Festina lente* [3], gdzie nagromadził ile mógł dowodów przeciw lidze, a chociaż dla formy kilka myśli za ligą przytoczył, radził nie spieszyć się, ale czekać i zwlekać, bo tylko zwłoka może dostarczyć sposobności pomyślnych dla wojny z Turcyą. Już i bez tej broszury usposobienie dla ligi zmieniło się na gorsze, a pod koniec roku 1595 zaniosło się raczej na zatarg między cesarzem a Rzecząpospolitą, jak na połączenie wojska przeciw Turkom.

Jak wspomnieliśmy wyżej, Zamojski przeparł na radzie senatu wyprawę na Tatarów, co miało być pierwszym krokiem i przygotowaniem do wojny z Turcyą, ubezpieczyć kresy i uwolnić Rzeczpospolitą od płacenia hordzie upominków [4]. Ponieważ tylko niektóre województwa wydały uchwalony na sejmie pobór, nie można było myśleć o donioślejszej akcyi wojennej, zwłaszcza że król nie mogąc się doczekać odpowiedzi cesarskiej w sprawie ligi, niechciał zaczepiać Porty [5].

---

[1] 21/10 1595.

[2] Malasp. 12/5 1595.

[3] Malasp. 20/4 1596. Heidenst. 310. — Zdaje się, że jestto „Deliberacya o spółku... z pany chrześcijańskimi przeciwko Turkowi", którą wydał Turowski 1858, bo za motyw jej służy: *Festina lente.*

[4] Lew Sapieha, *Scriptores* VIII, 217. 28/3 1595.

[5] Mal. 24/6.

Zamojski widząc, że zaczepne działanie jest niemożliwe, ruszył z kilku tysiącami żołnierzy zaciągniętych z kwarty ku Dniestrowi, bo miał wiadomości, że han Kazigerej ma połączyć się z wezyrem Sinanem Baszą, który wtedy przedsięwziął wielką wyprawę na hospodarów, żeby bunt zgnieść i na hospodarstwach tureckich baszów poosadzać [1].

Zamojski miał pilnować kresów przed hordą, ale że ks. Zygmunt Batory krótko przedtem pojmać kazał Arona podejrzywanego o związki z Portą, a hospodarem zrobił Stefana Rozwana, Zamojski poczęści dla czynnego zaprotestowania przeciw mieszaniu się księcia do Mołdawii, a głównie żeby przeszkodzić zajęciu Mołdawii przez hana Kazigereja i osadzeniu w Jassach sandżaka z Tehiny przeszedł Dniestr, bez przeszkody dostał się do Jass i zrobił hospodarem Jeremiego Mohiłę, lennika Polski. Krokiem tym ściągnął na siebie hordę Tatarów, bo han niechciał połączyć się z Sinanem, dopóki Zamojskiego z Mołdawii nie wyprze. Zamojski jednak z okopów Cecory, odparł Kazigereja pod koniec października 1595 r., a w prowizorycznym układzie wymógł na nim, że w trzech dniach wróci z Mołdawii na Krym i postara się o zatwierdzenie Jeremiego przez Portę, za co miał otrzymać odnowienie przymierza z królem i zatrzymane upominki.

Powstrzymanie hordy i zmuszenie hana do ustąpienia z Mołdawii przyczyniło się w niemałym stopniu do zwycięztwa wojewody Michała i ks. siedmiogrodzkiego nad Sinanem Baszą, bo ten nie mogąc się doczekać Kazigereja, siedział czas jakiś bezczynnie w Bukareszcie, a potem spiesznie ustępował ku Dunajowi, gdzie dopadnięty przez wojska związkowe poniósł wielką klęskę pod Giurgiu, w przeprawie przez Dunaj.

Mimo korzystnej dywersyi, jaką była wyprawa Zamojskiego, książe siedmiogrodzki, a za nim dwór cesarski, podnieśli okrzyk zgrozy, że Polacy zamiast się łączyć przeciw Turkom, połączyli się z nimi przeciw wojskom chrześcijańskim. Zygmunt Batory zwłaszcza pisał listy na wsze strony, także i do Klemensa VIII.,

[1] „Wyprawa Zamojskiego na Mołdawię". *Przegl. Powsz.* LVI, 74.

że gdyby nie Zamojski, niebyłoby już Turków we Węgrzech. W Pradze i Wiedniu drukowano paszkwile na Zamojskiego, jako na wroga chrześcijan, a dla odciągnięcia go z Mołdawii wysłał arcyksiąże Nalewajkę z Węgier[1], by pustoszył dobra Zamojskiego — ale i to sprawy nie polepszyło. Zamojski wprawdzie wrócił do Polski, ale część wojska zostawił przy hospodarze na leżach, a roty te chociaż zaskoczone nagłym najazdem Rozwana z wojskiem ks. siedmiogrodzkiego, rozbiły go w połowie grudnia pod Suczawą, gdzie przeszło 2000 Węgrów poległo, a ujęty Rozwan został na pal wbity z rozkazu Jeremiego.

Jeżeli pierwsza wyprawa Zamojskiego, chociaż skończyła się odparciem hordy, podała Polaków w podejrzenie, że działają w porozumieniu z Portą, w co i Klemens VIII zdawał się wierzyć, bo przysłał listy pełne wyrzutów i żalu do króla i Zamojskiego, to teraz po krwawej klęsce wojsk Zygmunta Batorego, który wtedy uchodził za głównego pogromcę Turków, mógł papież tem bardziej uwierzyć w zmowę Zamojskiego z sułtanem przeciw cesarzowi, a to musiało go bardzo boleć, bo sam ligi przeciw Turkom i pragnął, i w tym właśnie roku wysłał 10.000 ludzi pod swym bratankiem cesarzowi na pomoc do Węgier[2]. Wprawdzie listy Malaspiny, króla, Zamojskiego, jak i poselstwa biskupa płockiego Alberta Baranowskiego, przedstawiały całe zajście w innem świetle, ale Klemens VIII. nie bardzo im wierzył, a w obawie żeby zamiast ligi nie przyszło do wojny między Polską a cesarzem, wysłał czemprędzej do króla z zapowiedzią nadzwyczajnego legata, biskupa Caserty Benedykta Mandinę, by zatargi załagodzić, przeszkodzić połączeniu się Polski z sułtanem i próbować zawiązać nowe starania o ligę[3].

Jeżeli plany ligi nie miały zupełnie upaść, trzeba się było istotnie spieszyć, bo zajścia w Mołdawii, i zatwierdzenie Jeremiego, lennika polskiego przez Portę w końcu roku 1595 zbliżało Polskę do Turcyi, a wymówki Klemensa VIII. i broszury

[1] Malasp. 1/12, 1595.
[2] Huber, IV, 392.
[3] Thein. III, 250. 12/1 1596. 5/1 1596.

przeciw Polakom, drażniły uczucie narodowe i popychały chwiejne umysły do złączenia się z sułtanem.

Podejrzenia o sojusz z Turkami dotknęły także bardzo króla, a w senacie takie zapanowało rozdrażnienie, że większość senatorów oświadczyła się za jak najprędszem odnowieniem przymierza z Portą, by w tych warunkach zyskać korzystny pokój, podczas gdy inni oświadczyli się nawet za złączeniem się z Portą przeciw cesarzowi, a i lepiej usposobieni czynili królowi wymówki, że zamiast myśleć o bezpieczeństwie Rzeczypospolitej, myśli o lidze, mimo że ze strony cesarza zamiast jakiejkolwiek pomocy, rozsiewa się uwłaczające narodowi podejrzenia [1].

Domagano się powszechnie rychłego zwołania sejmu, żeby się pokazało, czy Polacy mieli porozumienie z sułtanem, a z drugiej strony w odwet za te podejrzenia chcieli niektórzy, zwłaszcza stronnicy Zamojskiego, wytoczyć przed sejmem całą sprawę „praktyk“ Maksymiliana, podczas gdy adherenci arcyksięcia, podburzani przez prymasa, chcieli zatarg mołdawki wyzyskać na swą korzyść i słali do króla artykuły na Zamojskiego, że samowolnie postąpił sobie, by ściągnąć Turków na Polskę [2].

Wzajemne podejrzenia nie zapowiadały teraz porozumienia w sprawie ligi, a chociaż ją król zamieścił w listach na sejmiki, przez wzgląd na papieża i zapowiedziane w tej sprawie poselstwo biskupa Casertańskiego [3], nie miał nadziei, że sprawa weźmie pomyślny obrót, zwłaszcza jeżeli ze strony cesarskiej nie zaprzestaną oszczerstw i drażnienia kanclerza, od którego ostatecznie, jak król legatowi wyraźnie oświadczył, cały prawie obrót w lidze może być zależnym [4].

W tym duchu pisał też Malaspina listy do nuncyusza w Pradze, wzywał, by zaniechano podejrzeń, i ze swej strony nie dawano do nich okazyi przez konszachty z kozakami, ale na dworze cesarskim chciano wprzód namacalnych dowodów, że kanclerz nie ma porozumienia z Portą. Malaspinę pomawiano

[1] Malasp. 1/12, 16/12, 29/12. 1595.
[2] Malasp. 27/10 1595, 2/2 1896.
[3] Malasp. 26/1 1596.
[4] 12/3 1596.

o porozumienie z kanclerzem, a w końcu nie przysyłano mu z Pragi żadnych informacyj [1].

Zamojski mimo podejrzeń, że pracuje nad przeszkodzeniem wojnie tureckiej, w gruncie rzeczy był ciągle jeszcze za wojną czy z cesarzem, czy bez cesarza, byle jaką korzyść wojna Polsce przyniosła. Głównie chodziło mu, żeby Rzeczpospolita wzmogła się na siłach i wystawiła na każdy wypadek liczniejsze wojsko [2] i to w najbliższym czasie, bo sułtan Mochamet III. gotował się do wielkiej wyprawy do Węgier na r. 1596 i sam miał na nią ruszyć. Dlatego chciał kanclerz „mieć Rzeczpospolitą jako najlepiej potężnością opatrzoną“ i dlatego nie chciał utrudniać sprawy ligi, chociaż nie palił się do niej i niewiele się po pomocy cesarza spodziewał.

Zamojski zapatrywał się na sprawę ligi ze stanowiska utylitarnego a ponieważ związek z cesarzem nie obiecywał Polsce takich korzyści, jak przypuszczano na początku układów, przedłożył Zamojski swój plan królowi, by mianowicie dojść układami z Turcyą do tego, czego po cesarzu nie można się spodziewać. Porta po klęskach doznanych w r. 1595 na Węgrzech i w Wołoszczyźnie, powinna być skłonna do ustępstw, gdyby król chciał teraz odnowić przymierze. Wypada więc wysłać kogoś do Stambułu, żeby wybadać sytuacyę, a gdyby sułtan chciał odstąpić Polsce Mołdawię i Wołoszczyznę, odnowić z nim przymierze, ale nie obejmować niem Tatarów, z którymi powinna się Rzeczpospolita stanowczo uporać [3].

Król poszedł za tą radą, bo wysłał istotnie do Stambułu posłańca w styczniu 1596, żeby pod pozorem starań o paszport dla przyszłego poselstwa, dowiedział się, o ile pokój z Turcyą byłby korzystny [4], a robił to dlatego, że dotychczasowy przebieg rokowań niewiele obiecywał, i należało przygotować drogę do odnowienia przymierza z Turkami, gdyby liga nie doszła.

Z przebiegu sejmików, które wogóle nie były lidze prze-

[1] 3/11, 24/12 1595; 6/4 1596.
[2] Do Sapiehy. *Script.* VIII, 114, 28/1 1596.
[3] Malasp. 14/12 1595.
[4] Malasp. 19/1 1596.

ciwne, z wyjątkiem sejmików Wielkopolski, gdzie postawiono żądanie by król wypełnił wprzód *pacta conventa* — powziął król nadzieje, że może wreszcie sprawa weźmie lepszy obrót, jeżeli cesarz przyśle renuncyacyę Maksymiliana, zrzeczenie się pretensyi do Mołdawii i korzystniejsze propozycye, a początek sejmu warszawskiego, otwartego 26 marca 1596 r., zdawał się te nadzieje utwierdzać.

Na drugi dzień po witaniu posłów, wystąpił w senacie biskup Mandina z pierwszem formalnem wezwaniem od papieża do związku. Legat zaznaczył w swej mowie, że papież pragnie ligi całem sercem, o czem powinna Polaków przekonać choćby sama pomoc wojskowa i pieniężna, jaką w roku ubiegłym posłał Klemens cesarzowi do Węgier. Papież wzywa i Polskę do udziału w wojnie, bo tylko wojna wspólnemi siłami podjęta zapewnić może pokój chrześcijaństwu. Polska powinna wziąć w niej udział we własnym interesie a nie spuszczać się na fałszywą przyjaźń turecką, i odstąpić od tradycyi Jagiellonów, którzy mogli chować przymierze z Turcyą, gdy niebezpieczeństwo wojny było dalekie a nie było tylu widoków, że wojnę zakończy się zwycięstwem. Teraz siły wojenne Turków są słabsze, janczarowie znikczemnieli, coraz częściej się buntują, a sułtan musi wzywać pomocy Tatarów, których przedtem lekceważył. Wojnę z Turcyą i tak prędzej czy później Polska podjąć będzie musiała, a lepiej walczyć wspólnemi siłami, jak osobno, zwłaszcza że Polska nie będzie mogła później na pomoc obcą liczyć, jeżeli teraz odrzuci prośby sprzymierzeńców [1].

Jak biskup Caserty tak i Malaspina nie mówił nic szczegółowego o papieskiej pomocy pieniężnej, której się w Polsce spodziewano, starał się tylko wykazać, że Polska nie może się spuszczać na tureckie przymierze, przypominał ciągłe pogróżki sułtana i niedawne kroki wojenne, by haracz na Polsce wymódz, straszył wreszcie zapowiedzią wojny, bo w Stambule wiedzą dobrze, że Polacy chcieliby z Turkami zerwać, gdyby się

[1] *Domini Benedicti Mandinae oratio de foedere contra Turcas paciscendo.* Cracoviae 1596.

potęgi tureckiej nie bali, i że mają tam mowy i pisma polskie w tej sprawie tłumaczone. Żeby Turcy nie mogli Polski uprzedzić, trzeba przystąpić do związku i skorzystać z pomocy, jaką sprzymierzeńcy ofiarują. Wprawdzie Rzesza nie może formalnie przystąpić do ligi, ale bez tego dostarcza i dostarczać będzie posiłku w ludziach i pieniądzach. Posiłków takich można się i od innych państw spodziewać, a chociaż to może wydawać się za małe do tak wielkiej sprawy, nie powinni się Polacy targować o jak najdogodniejsze dla siebie warunki, nie zwalać wszystkich ciężarów na sprzymierzeńców, ale w nadziei zwycięstwa i korzyści, zdobyć się na ofiary i ze swej strony [1].

Wystąpienie obu legatów papieskich, zwłaszcza biskupa Mandiny, zrobiło dobre wrażenie, a przy następnem wotowaniu nad ligą, prawie wszyscy senatorzy oświadczyli się za podjęciem wojny wspólnej, nawet prymas Karnkowski, który tym razem nie usunął się od sejmu i za pośrednictwem papieża pogodził się z królem [2].

Swoją droga i przy wotowaniu senatorów słychać było głosy przeciw cesarzowi [3]. Biskup Wereszczyński np. chociaż gorący zwolennik wojny przeciw Turkom, żądał by Rakuszanie z Polską „odkrycie szli", jeżeli chcą ligi; Goślicki, biskup przemyski zwalił na cesarza winę, że liga dotychczas nie doszła, mówił o buncie Nalewajki, o jego służbie pod Maksymilianem, i o ks. siedmiogrodzkim, któryby raczej na Polskę jak na Turków pójść gotów. Niektórzy ze senatorów radzili nawet, żeby wytoczyć na sejmie praktyki Maksymiliana [4], ale wogóle zgodził się senat na ligę i na wojnę. Dosyć obszernie omawiał sprawę wojny tureckiej biskup łucki Maciejowski, powoływał się na wyzywające stanowisko Turcyi w ostatnich latach i przejście Tatarów przez Pokucie, przepowiadał, że Polska i bez związku będzie musiała ponosić koszta obrony granic, a między korzyściami, jakie wojna z Turcyą przynieść może, wskazywał i na to, że zmniejszy się

[1] *Illustrissimi Marchionis Germanici Malaspinae... oratio.* Cracov. 1596.
[2] Malasp. 6/4, 14/5 1596.
[3] Rkp. Czrt.. 96, 349. Część dyaryusza.
[4] Malasp. 6/4.

w kraju swywola i mniej będzie Nalewajków, gdy wichrowate żywioły znajdą upust dla wojennego animuszu. Ze świeckich senatorów popierał bardzo projekty wojenne kasztelan krakowski i jak poprzedni mowcy zaznaczał, że pokój długi z Turcyą jest niemożliwy, bo sułtan nie darmo soboli się dopomina, dziś pokój obiecuje, a jutro po upominki śle.

Obszernie nad projektami wojny zastanawiał się Zamojski, i po sprawozdaniu z mołdawskiej wyprawy wotował za wystawieniem silnego wojska, by Rzeczpospolita była w stanie zmierzyć się z Turcyą czy to w związku z cesarzem, czy sama, a w najgorszym razie by z bronią w ręku wymódz na Porcie korzystne warunki pokoju. Dlatego radził zatrzymać Mołdawię w imię dawnych praw Rzeczypospolitej i ze względu na wygodny teren do projektowanej wojny.

W sprawie ligi — jak mówił — jest niezdecydowany, bo chociaż uznaje, że sprawa jest zaszczytną a może konieczną, wie także, że jest bardzo trudną i rzadko kiedy korzystną. Cesarz musiałby wpierw usunąć wszelkie podstawy do podejrzeń, nakłonić zwłaszcza arcyksięcia i stany wągierskie do wypełnienia warunków będzińskiej ugody, bo bez tego trudno żądać od Polaków, żeby uwierzyli w nową ugodę co do wojny tureckiej. Gdyby wojnę chciano prowadzić według zamiarów cesarza, tj. ograniczyć się do odbierania zamków z rąk tureckich, wojna przeciągnąćby się musiała na długi czas, co pociągnęłoby za sobą wielkie koszta i pobory, o co w kraju tak trudno. To też chociaż osobiście pragnąłby ligi, nie radzi się spieszyć i dopiero gdy się pokaże, z kim i z czem będzie można wspólną wojnę podjąć, należy przystąpić do akcyi zaczepnej, ale „nie poczynać jej od nogi nieprzyjacielowi, tylko od gardła zaraz“, by się wojna prędko skończyła [1].

Jak najpewniejszej gwarancyi, że liga nie obróci się na na szkodę Rzeczypospolitej, ale do zwycięstwa doprowadzi, chciał nietylko kanclerz ale i wszyscy, którzy z zasady wojnie się nie sprzeciwiali; to też po wotach senatu nabrał król przekonania,

[1] Rkp. 96, l. c. Reussner XIV, 176.

że tym razem liga powinna dojść do skutku, jeżeli przez wypełnienie będzińskiej ugody wyjaśni się sytuacya i umilkną podejrzenia, a zasiłki pieniężne od papieża i cesarza ułatwią przygotowania wojenne [1].

Inaczej usposobioną była izba poselska. Posłowie ziemscy zamiast nad ligą się zastanawiać i nad wotami senatorów, wszczęli długie spory to o obsadzenie biskupstwa wileńskiego, to o konfederacyę religijną, to o Estonię, której król się jeszcze nie zrzekł na rzecz Polski. Po długich sporach przystąpiono wreszcie i w izbie poselskiej do propozycyi o lidze, przyczem zdania były bardzo podzielone. Dyssydenci wraz z opozycyą podnieśli wrzawę na papieża i legatów, że sprawą ligi niepotrzebnie drugi już sejm zajmują, niepozwalają odnowić przymierza z Turcyą, przez co Polska stoi otworem dla podrażnionych układami wrogów. Tylko stronnicy króla za wojną i poborami się oświadczali, i chcieli żeby wyznaczyć znowu delegatów dla układów z cesarskimi komisarzami [2].

Cała sprawa byłaby może mimo protestów opozycyi doszła do skutku, gdyby cesarscy posłowie przynieśli wreszcie jakieś korzystne przyrzeczenia od cesarza w sprawie związku przeciw Turkom, ale cesarz nie mógł się na coś podobnego zdobyć. Całoroczne milczenie w tej sprawie wykazywało, że Rudolfowi nie bardzo zależy na lidze i byłby zupełnie zaniechał dalszych rokowań, gdyby mu papież nie zagroził, że inaczej nie da mu więcej posiłków na wojnę [3]. Pod pressyą papieża przysłał więc swoich posłów, ale chociaż dobrze wiedział z poprzedniego sejmu, jakie są polskie postulaty, i teraz nie przysłał jasnych propozycyj od siebie, ani odpowiedzi na żądania polskie, a w sprawie ugody będzińskiej, jak i w kwestyi mołdawskiej nie przysłał żądanej przez Polaków renuncyacyi.

Biskup wrocławski Jędrzej Gerinus i Adam Popel z Lobkowic, którzy z początku kwietnia przybyli do Warszawy, powtarzali przed sejmem ogólniki o staraniach cesarza około nawią-

[1] Malasp. 27/3, 18/4.
[2] 14/5.
[3] Heidenst. 341.

zania spółki przeciw Turkom, a biskup wrocławski straszył Polaków, że jeżeli nie przystąpią do ligi z cesarzem, tem dotkliwiej odczują turecką niewolę, im większych dotychczas zażywali wolności [1].

Nuncyusz Malaspina, gdy przejrzał instrukcye cesarskich posłów i przekonał się, że o sprawie będzińskiej, mołdawskiej i zasiłku pieniężnym na polskie zaciągi niema w nich nic konkretnego, wysłał do Pragi gońca po pełnomocnictwo do rokowań. i odłożył *colloquium* polskich delegatów z cesarskimi, ale gdy odpowiedź nie nadchodziła a sejm dobiegał do końca, zwołał deputatów na narady 22 kwietnia[2]. W pomieszkaniu legatów papieskich odbyto 4 czy 5 posiedzeń [3], omówiono niektóre punkta, ale w braku pełnomocnictwa cesarskiego, nie można się było na nie zgodzić.

Polscy deputaci powtarzali to, o czem cesarz doskonale wiedział, tj. że bez wypełnienia ugody liga dojść nie może do skutku, że cesarz powinien zrzec się pretensyi do Mołdawii, a na wojnę dostarczyć posiłków i zyskać jak najwięcej sprzymierzeńców; podczas gdy cesarscy posłowie odpowiadali w kółko, że arcyksiąże złoży tytuł, jeżeli liga wprzód stanie, że można się spodziewać pomocy obcych państw na wojnę, że cesarz prawdopodobnie będzie mógł wystawić ze 70.000 wojska i t. d. [4].

W *colloquium* brał udział także Zamojski, i przedstawiał posłom cesarskim, że wojna powinna być zaczepną, i należy akcyę zacząć wspólnie złączonemi siłami, żeby można odnieść ze dwa wielkie zwycięztwa nad turecką armią i prędko wojnę zakończyć, a gdy cesarscy posłowie nalegali raczej na defensywne stanowisko, przedłożył plan, pośredni, podobny do tego, jaki już królowi był przedłożył. Według pomysłów Zamojskiego i niektórych senatorów powinien cesarz, dopóki nie wyprze Turków z Węgier, powierzyć Polsce Wołoszczyznę i obronę Siedmiogrodu za 80—100.000 talarów subsydyum jednorazowego,

[1] Rkp. 96, 337.
[2] Dep. 21/4.
[3] Heidenst. 337.
[4] Bielski. Dalszy ciąg Kroniki Pol. 1755.

Polacy podejmą się tego zadania, wystawią kaucyę, że tymczasowe zajęcie tych krajów, w niczem nie przesądzi praw cesarskich, i że postarają się o tymczasowy pokój z Turcyą, żeby wprowadzić załogi polskie do Multan. Bezpośrednią korzyść miałby cesarz tę, że Tatarów nie potrzebowałby się obawiać, boby ich Polacy nie puścili do Węgier, ale z Multan musiałby na razie ustąpić hospodar Michał na rzecz nowego kandydata, któregoby cesarz wyznaczył a król od siebie przedstawił Porcie do potwierdzenia, tak jak zrobił z hospodarem Jeremim w Mołdawii. Gdyby liga tymczasem doszła do skutku i zyskano innych sprzymierzeńców, Polska wypowiedziałaby Turcyi wojnę i odrazu z wojskami cesarza mogłyby wojska sprzymierzone ruszyć za Dunaj [1].

Jeżeli na inne postulata cesarscy posłowie nie mogli nic odpowiedzieć, to tem bardziej na tak drażliwą propozycyę, i to jeszcze wychodzącą od Zamojskiego [2].

Trzeba było ze wszystkiem odnieść się do cesarza, a że sejm się kończył i delegaci sejmowi nie mogli czekać na cesarskie odpowiedzi, starał się Malaspina, by jak po sejmie krakowskim wyznaczono komisarzy dla ułożenia sprawy poza sejmem. Polacy do tego nie mieli już ochoty, zrażeni jałowemi *colloquiami* z cesarskimi posłami, ale że papież nalegał na króla, by się trudnościami nie zrażał, i nie dał okazyi do sądów, że z winy Polski liga do skutku nie doszła [3], a nadto zapowiedział jeszcze jednego legata przysłać i to z pełnomocnictwem do traktatów, sejm warszawski, chociaż tak zamącony sporami i burzliwy, że ani król, ani Zamojski podobnego nie pamiętali [4], zgodził się na nadzwyczajną komisyę o sprawach ligi. Z pośród senatorów duchownych i świeckich i z koła poselskiego wyznaczono ponownie 40 depu-

[1] Reussner 182. Malasp. z kwietnia 18.

[2] Jest u Reussnera opinia jakiegoś *viri Germanici* (p. 184) o tej propozycyi, który wietrzy z niej plan turecki, żeby zabrać Siedmiogród i Multany. Sejmowi polskiemu radzi nie ufać, jak zresztą wszystkim Polakom, ale podjąć akcyę z Moskwą, Danią i Prusami" — *ut res nostra ubique sit firma contra Polonos.*

[3] 20/4 1596. Thein. III, 262.

[4] Malasp. 14/5.

tatów na komisyę z zastrzeżeniem, że komisarze niczego nie mają uchwalać, ale tylko traktować, a najdalej do końca sierpnia[1] zakończyć układy, żeby rezultat ich sejmikom porozsyłać.

I znowu sprawa ligi została w powietrzu; po dwu latach nietylko nie posunęła się naprzód, ale wchodziła raczej w coraz gorsze stadya, bo w Polsce mniej już było do niej ochoty jak na sejmie krakowskim, a trudności ze strony cesarza zamiast się zmniejszać, wzrastały i mnożyły się. Jedynie akcya papieża jeszcze ją podtrzymywała, a nowy nadzwyczajny legat, kardynał Gaetani miał całą sprawę ożywić.

(Dok. nast.)

Ks. Józef Sas.

[1] *Vol. leg.* II, 1443.

WE FIESOLE.

Piętnasty wiek, jak wszystkie przejściowe okresy w historyi ludzkości wydał liczne grono wybitnych postaci, stojących jakby na straży gasnącej epoki.

Takiemi pomnikowemi postaciami są dwaj mnisi, Dominikanie, Fra Giovanni Angelico da Fiesole i Savonarola, których wspomnienie ożywia mury klasztoru św. Marka we Florencyi.

Ci dwaj mężowie uosabiali wybitne cechy średniowiecznego mistycyzmu, w dwóch odrębnych formach.

Savonarola był ascetą-wojownikiem, żarliwym i nieubłaganym — Fra Angelico zaś łagodnym mistykiem, pełnym natchnienia, o miękiej duszy i bujnej fantazyi.

Obydwaj nosili habit tego samego zakonu, żyli wśród ciasnych murów tego samego klasztoru, poświęcając się służbie Bożej, oddzieleni od świata, którym pogardzali, tam też w celach i na korytarzach klasztoru św. Marka, zostały po nich pamiątki, odrębne od siebie, jak i charakter obydwóch postaci.

Fra Angelico uwiecznił się szeregiem fresków, które tchną słodyczą i idealną łagodnością — po Savonaroli pozostały tylko resztki włosiennicy i nadpalone drewienka ze stosu, na którym zginął.

Potężna dusza i kamiennej twardości charakter odszczególniały moralną stronę spalonego mnicha, jak głęboko osadzone, ponure oko, wychudła twarz o marmurowych rysach i ostro zakrojone usta wyciskały piętno na zewnętrznej jego postaci.

Nieubłagany dla drugich, równie jak dla siebie, przeszedł przez życie, jak gdyby był tylko duchem, ubranym w habit mniszy.

Lorenzo Medici słysząc o wymowie i niezwykłych zdolnościach młodego Dominikanina, ściągnął go z Ferrary i osadził w klasztorze San Marco, gdzie w dwa lata później obrano Savonarolę przeorem.

Wówczas żył w małej celce, z zakratowanem oknem, o nagich ścianach i paru sprzętach, które jeszcze dziś pozostają nietknięte.

Tam pisał dzieła o reformacyi Kościoła i społeczeństwa i praktykował na sobie najsurowszą ascezę. Czasami tylko wychodził na cichy, klasztorny dziedziniec, gdzie mu towarzystwa dotrzymywały, samotnie stojące cyprysy i gdzie echem jego kroków odzywały się puste krużganki.

Dopiero gdy po upadku Medicich opuścił klasztorne mury, aby wziąć udział w rządach miasta, gdy chciał reformować całą Florencyę, całe Włochy, a nawet papieztwo, wtedy zetknął się marzyciel — asceta ze światem rzeczywistości i w tej walce uległ.

Na Piazza della Signoria przed Palazzo Vecchio, gdzie odbywały się ludowe festyny i maszkarady, zbrojne zbiegowiska i turnieje, tam urządzono także groźne widowisko stracenia trzech Dominikanów, tam powieszono a następnie spalono Savonarolę i jego towarzyszy.

Malowidło przedstawiające egzekucyę, wykonane z dokładnością holenderskiego obrazka, zdobi celę Savonaroli w klasztorze św. Marka, a razem z włosiennicą i z polankiem okopconego drzewa stanowi ponure tło, od którego tem jaśniej odbijają postacie na freskach Fra Angelica.

Ten spędził także całe swoje życie na służbie Bożej, lecz nie walczył słowem, nie ciskał gromów na zepsucie ludzi, nie rzucał rękawicy całemu społeczeństwu, lecz tworzył na murach kościołów i klasztorów idealne postacie, malował raj i wieczną szczęśliwością promieniejące twarze wybranych, nawracając tym sposobem ludzi i zachęcając do sprawiedliwości i cnoty.

Był bardzo nabożny i przytem niezwykłej skromności i łagodności. Nikt go nie widział gniewnego i dla wszystkich miał

słodki uśmiech na ustach. Głęboką wiarę, którą był przejęty, wlewał w twory swego pędzla, i był przekonany, że każde dzieło jego ręki jest tylko spełnieniem woli Bożej. Nie odważał się też nigdy zmieniać lub poprawiać tego, co rzucił farbami na ścianę w chwili natchnienia.

Nie brał palety do ręki, nie poleciwszy się wprzódy Bogu i nie namalował nigdy Ukrzyżowanego, nie wylewając gorących łez ze wzruszenia. Był to mistyk średniowieczny, żyjący w idealnym świecie, który naokoło siebie tworzył, zaludniając go postaciami wybranych i świętych.

Już w młodym wieku wstąpił do klasztoru Dominikanów w Fiesole, gdzie przybrał imię Fra Giovanni, choć do potomności przeszedł pod imieniem Fra Angelica, które swem brzmieniem odpowiada anielskiej słodyczy jego kompozycyi.

W czasie soboru pizańskiego Dominikanie z Fiesole, którzy trzymali stronę detronizowanego papieża Grzegorza XVII-go, schronili się na kraniec Umbryi, do Foligno i w tem dzikiem ustroniu spędził Fra Angelico kilka lat w zetknięciu z mistycznym kierunkiem szkoły sienneńskiej, która stanowczo oddziałała na rozwój jego talentu. Powróciwszy z całym zakonem do Fiesole w r. 1418, przebył tam w zaciszu lat ośmnaście i dopiero w r. 1436 zamieszkał w murach klasztoru San Marco we Florencyi, zbudowanego przez Kozmę Medycyusza. Z małą przerwą spędził tam resztki życia i stworzył najcenniejsze dzieła, które przeszły do potomności.

Zaraz przy wejściu znajduje się w krużganku, otaczającym klasztorny dziedziniec, fresk przedstawiający Chrystusa, jako pielgrzyma, którego witają dwaj Dominikanie. Postać Zbawiciela na tym fresku jest najwznioślejszym typem Chrystuta, jaki kiedykolwiek stworzyła ręka artysty. Twarz otoczona długimi zwojami jasnych włosów, oczy w dół spuszczone, usta bolesnym uśmiechem lekko ściągnięte, a na idealnych rysach rozlana dobroć i łagodność, z odcieniem smutku i zmęczenia. Skóra wielbłądzia stanowi odzienie, jedna ręka sparta na długim kosturze pielgrzyma, druga, wyciągnięta ku mnichom, którzy ze współczuciem witają tego zdrożonego wędrowca. Ten Chrystus jest

Bogiem, lecz zarazem przedstawicielem cierpiącej ludzkości, jest człowiekiem — wędrowcem, który odbywszy ciężką, ziemską pielgrzymkę, znużony i wyczerpany, szuka schronienia i pokrzepienia u swojej braci.

W tym samym krużganku spotykamy św. Piotra męczennika, z palcem na ustach, przypominającego zakonną regułę milczenia i Chrystusa ze znamionami męczeństwa — dwie postacie unoszące się w obłokach, otoczone aureolą mistycznej poezyi. W sali kapituły jest wreszcie największe dzieło Fra Angelica, ukrzyżowanie Chrystusa, wielki fresk z dwudziestoma postaciami naturalnej wielkości. Chrystus na krzyżu między dwoma łotrami, a naokoło rzesza Świętych, którzy klęcząc lub stojąc składali hołd Zbawicielowi. Ugrupowanie nieco monotonne, figury nieco sztywne i bez ruchu, lecz ożywione uczuciem wielkiej miłości i głębokiej wiary, która zdaje się promienieć z ostrych twarzy i wiotkich postaci.

Matka Chrystusa, upadająca w objęcia klęczącej przed nią niewiasty, podtrzymywana przez św. Jana i przez Martę uosabia nadmiar boleści. Spokój i szlachetność linii tej postaci, ma w sobie coś z klasycznego nastroju starożytnej rzeźby, co przypomina posąg Nioby, uosabiający boleść macierzyńską po stracie dzieci.

Na pierwszem piętrze, w budynku klasztornym, znajduje się długi bielony korytarz, z którego otwierają się małe celki, ze zakratowanemi okienkami. Tych cel jest dwadzieścia dwie, a każda z nich ozdobiona freskiem z historyi Nowego Testamentu, wykonanym ręką Fra Angelica.

Są to sceny z życia Chrystusa o średniowiecznej naiwności kompozycyi, pełne religijnego ducha z idealnemi twarzami Świętych i uduchowionemi postaciami wiernych.

„Zmartwychwstanie“ przedstawia Zbawiciela, w promieniejącej gloryi, z długimi zwojami włosów, z głęboko osadzonemi oczami, unoszącego się, jak zjawisko, nad otwartym grobem, podczas gdy na fresku „Koronacya Panny Maryi“ Chrystus w białych szatach, siedzi obok swej matki na wzniesieniu i wkłada koronę

na głowę Maryi, która schylona, z wyrazem słodkim pokory, przyjmuje ten dar z ręki Syna.

„Chrystus objawiający się Magdalenie jako ogrodnik“ jest uroczą kompozycyą, pełną wdzięku i poezyi. Chrystus przedstawiony na niej, jak na wszystkich freskach, w białej, powłóczystej szacie, z długimi zwojami jasnych włosów, o łagodnym i smutnym wyrazie twarzy, jakby płynął wśród morza kwiecia, zalewającego idealny ogród, podczas gdy Magdalena klęczy przed Nim z twarzą pełną uszanowania i podziwu.

W dalszych celach inne sceny z Pisma świętego, lecz wszystkie twarze równie pełne słodyczy, wszystkie postacie równie szlachetnie pojęte, rysunek miękki, koloryt łagodny i przyćmiony a całość oblana dziwną, mistyczną poezyą.

Chodziliśmy godzinami po pustych, bielonych krużgankach i celach, skąd nie widać zewnętrznego świata, prócz skrawka nieba lub gałęzi cyprysu, zaglądającej do zakratowanego okienka.

Orszaki idealnych postaci, z ludzkiemi twarzami o niebiańskich rysach, z oczami pełnemi zachwytu, osnuły nas swym urokiem przenosząc w inny świat. Fantastyczne obrazy zrodzone w duszy Fra Angelica, zestępują z murów, wkradają się powoli do duszy widza, przeobrażają ją i odmładzają o pięć wieków.

Fra Angelico udzielił nam za pośrednictwem idealnych postaci swych fresków, spokoju i jasności swej duszy, na kilka chwil wyzwolił nas z więzów rzeczywistości i wzniósł do wyższych sfer ponad poziom codziennego życia.

Jesteśmy w przedsionku jakiegoś innego, lepszego, idealnego świata, dokąd nie sięgają okrzyki złości i skargi biedy ludzkiej...

Fiesole, miejsce, gdzie Fra Angelico spędził większą część życia, jest miasteczkiem położonem na wzgórzu, panującem nad Florencyą. Za godzinę można się tam dostać powozem lub elektryczną koleją, a warto się podjąć tego trudu, jeżeli nie dla wspomnień i Fra Angelico, które ożywiają to miejsce, to dla samego położenia i widoku.

Wyjechawszy za miasto, znajdujemy się wśród murów ogrodowych, które po obydwu stronach bieżą wzdłuż drogi. Z poza murów wyglądają cyprysy i akacye, nad naszemi głowami rosną na tarasach magnolie i caprifolium, zwieszają się zewsząd festony róż i jaśminów.

Początek maja, więc wszystko w kwiecie, całe otoczenie gra różnemi barwami i rozlewa odurzające wonie. Gdzie niema kwiatów, tam rosną figi, oliwki i winna latorośl, bo cały kraj naokoło Florencyi, kąpie się w bujnej wegetacyi i południowem słońcu, jako jeden wspaniały ogród. Od czasu do czasu błysną gdzie niegdzie, wśród zieleni, różowo malowane ściany willi lub wiejskiego domostwa, które rozsiadłszy się po stokach wzgórz, zdają się służyć do dekoracyi i urozmaicenia krajobrazu.

Na zaprószonej drodze mijamy dwukolny wózek, osiołkiem zaprzężony, stosem jarzyn naładowany, prowadzony przez młodego chłopaka w aksamitnej kurtce i kalabryjskim kapeluszu. Osiołek z czerwoną, mosiądzami nabijaną uprzężą, piramida różnokolorowych główek i wiązanek jarzyn, chłopak w malowniczem ubraniu, stąpający koło wózka, z rękami w kieszeni — to wszystko oświecone jarzącem słońcem, przedstawia się jako odpowiedni stafaż dla włoskiego krajobrazu...

Obok piękności natury i oryginalności typów, kraj, który nas otacza, nęci rojem wspomnień z przeszłości. Naokoło Florencyi, tej kolebki średniowiecznej kultury i sztuki, każda piędź ziemi była widownią, po której przesuwały się postacie zapisane w historyi ducha ludzkiego.

Willa schowana w zieleni, wśród rozległego ogrodu, którą mijamy na lewo od drogi, przywodzi na pamięć imię Boccaccia.

Przebywał on często w tych stronach, przechadzał się po tych drogach i przylgnął do tego wesołego krajobrazu. Owa willa nosząca obecnie nazwę Villa Palmieri, jest uwiecznioną w literaturze, bo miała służyć za miejsce pobytu dla wymarzonych panów i pań, którzy się zabawiali powiastkami zawartemi w „Decamerone“. Tu zbierało się fantastyczne towarzystwo, które skracało czas bajkami, aby zapomnieć o morowej zarazie, szalejącej wówczas we Florencyi i w całych Włoszech.

Ten pierwowzór formy literackiej romansu, gdyby nie odznaczał się bogactwem fantazyi i szeregiem wesołych lub dramatycznych postaci, przeszedłby z pewnością do potomności dla samego języka, który obok utworów Petrarki, stanowi wzór wykształconej, nowoczesnej włoszczyzny. Boccaccio, znany przez ogół tylko jako autor „Decamerone“, był przedewszystkiem wielkim lingwistą, znawcą i admiratorem greczyzny, a przytem poetą z łaski Bożej.

Jego muza zawdzięcza także natchnienie miasteczku Fiesole, celowi naszej wycieczki. Kraj pełen kwiecia i wesołości, poddał mu temat do pasterskiej idylli, którą napisał pod tytułem „Ninfale Fiesolane“, poemacik pełen naiwnego humoru i lekkości, przypominający Bajronowskiego „Don Juana“.

Utwór ten powstał w czasie wielkiego morowego powietrza w r. 1348, które poniekąd stanowi tło dla „Decamerone“. Dziwny kontrast — wesoła idylla i lekki romans, w epoce najstraszniejszej zarazy — coś przypominającego owe bale, urządzane w Bastylli przez ofiary terroryzmu na śmierć skazane. Lecz cała groza gilotyny jest niczem wobec tej zarazy, którą tylko można porównać do jednej z plag egipskich.

Śmierć rozbiła obóz w najpiękniejszym zakątku ziemi, wśród ludzi, dla których życie było jednem pasmem zabaw i festynów i rozpoczęła żniwo. Kto wówczas patrzył z Villa Palmieri na śmiejącą dolinę Arno, tonącą wśród ogrodów, błyszczącą kopułami i marmurami Florencyi a zamienioną w jedno cmentarzysko — i nie upadł na duchu, ten mógł zostać filozofem, zabijającym swój czas bajkami!...

Niedaleko za tą willą spostrzegamy kościół a za nim na wzgórzu stojący, piękny, renesansowy budynek. Jest to Badia di Fiesole, klasztor założony jeszcze w r. 1028, następnie przez Bruneleschiego przebudowany, który służył jako długoletnie miejsce pobytu dla Fra Angelico.

Oprócz Madonny ze Świętymi, w chórze kościoła, nie zostało tam po nim ani jednej pamiątki i trudno się nawet dopytać, w której celi przemieszkiwał. Miejscowość wydaje się być dzisiaj opuszczoną, i pogrążoną w ciszy, mimo że w pobliżu

prowadzi droga do miasteczka, ożywiona ruchem miejscowej ludności i przejezdnych.

Dawniej, przed wiekami, również ta droga nie stała pustkowiem i nie brakowało jej ni ludzi, ni koni, tylko, że zamiast elektrycznej kolei i florenckich *vetturinów*, wiozących kosmopolityczny, gapiący się tłum podróżnych, toczyły się po tej drodze wspaniałe kolasy, stąpały konie w bogatych rzędach i przesuwały się postacie w sajetach i złotogłowach. Orszaki dążyły wówczas do willi, położonej za klasztorem (obecnie zwanej Villa Spence), w której chętnie przemieszkiwał Lorenzo Magnifico.

Położona na stoku wzgórza, ma przed sobą otwarty i rozległy widok na dolinę i na miasto, u stóp położone. Budynek o płaskim dachu z kolumnadami i kilkopiętrowemi tarasami, otoczony grupami cyprysów i pomarańczy, przedstawia się jako typ wiejskiej włoskiej willi, zastosowanej przez budowniczego do położenia, do tła, do całego krajobrazu, stanowiącej z nim jedną całość.

Dziś, mimo że stoi opuszczona, z zamkniętemi okiennicami, bez śladu życia i ruchu, przedstawia się ze swemi przeźroczystemi galeryami i lekką budową swojsko i wesoło. Jakże musiała się wówczas wydawać, gdy mieściła w swych murach wspaniały dwór Medyceuszów? Wtedy stołów, zastawionych misternem złotem i srebrnem naczyniem nigdy nie sprzątano, lutnia i śpiewy nigdy nie milkły, a po tarasach i cyprysowych alejach przechadzały się pary w pysznych, klejnotami zdobnych strojach... Lorenzo, ów sybaryta na polu sztuki, spoglądał z zadowoleniem na otoczenie, ustrojone przez naturę i przez sztukę i układał w myśli projekta wspaniałych florenckich budowli.

Przed nami, na wzgórzu rysują się na tle nieba wieże i dachy kościelne, — to już samo miasteczko Fiesole, do którego dojeżdżamy drogą, wijącą się w zakosy, na pochyłości wzgórza.

Starożytna siedziba ludzka, której początki dalej sięgają, aniżeli źródła historyi. Etruskowie założyli na tej wyniosłości miasto, „Faesulae“, którego spadkobiercą jest dzisiejsza mieścina. Tam zostawili ślady swej wysokiej cywilizacyi. W czasie pomroki dziejowej przywędrowali do Włoch niewiadomo skąd,

zapewne z dalekiej północy, bo ich religijna tradycya, naznaczała bogom wysoką północ, jako stałą siedzibę.

Zdaje się, że już ze sobą przynieśli pierwiastki kultury i że pod tym względem wyprzedzili Rzymian, którzy od nich przejęli religijne obrzędy, urządzenia państwowe i formy z dziedziny sztuki. Owe sławne płaskorzeźby na grobowcach lub figury terakotowe o artystycznych ozdobach, to wszystko przeszło bezpośrednio do sztuki starego Rzymu.

Za te cywilizacyjne dary zapłacił zwycięzca zniszczeniem, bo gdy Etruskowie, idąc za ogólnym prądem emancypacyjnym ludów italskich, ciśniętych przewagą Rzymian, chcieli sobie wywalczyć równe prawa i przywileje, przyszedł okrutny Sulla, zniszczył miasta, postawił znakomitszych obywateli na rusztowaniu, a lud zapędził w niewolę.

Wtedy spokojne i uśmiechnięte wzgórza, naokoło Fiesole, i cicha dolina Magnone musiały być świadkami groźnych scen mordu i pożogi, przedstawiać obraz strasznej zemsty zwycięzcy, który szalał z potęgą i okrucieństwem pierwotnych szczepów, gdy się pasowały ze sobą na śmierć lub życie...

Szczątki cyklopowych murów, które otaczały miasto, sterczą jeszcze w wielu miejscach, a muzeum na placu katedralnym, w starym pałacyku umieszczone, zawiera bogaty zbiór wykopanych zabytków etruskiej sztuki: najpiękniejsze marmurowe kapitele, znakomite wyroby gliniane i bronzowe i mnóstwo drobnych dzieł sztuki o artystycznej formie i skończonej technice.

Niedaleko głównego placu miasteczka znajdują się szczątki starożytnego teatru.

Szesnaście kolistych stopni, przeznaczonych do siedzenia i otaczających scenę zachowało się prawie bez szczerby a naokoło utrzymały się jeszcze niektóre łuki, pochodzące z okalających korytarzy, oraz szczątki schodów. Ciosy kamienne o czystej krawędzi leżą jakby wczoraj obrobione, niektóre łuki są nietknięte, schody dobrze zachowane i do chodzenia przydatne. To co zniszczało, to widocznie nie uległo wpływowi czasu, tylko runęło, zburzone ręką ludzką.

Z górnych siedzeń teatru rozlega się obszerny widok na

wesołą dolinę, w której się wije wśród zieloności strumyk Magnone. Dolinę zalega cisza, kamienie etruskiej budowli drzemią wśród zieloności i tylko koza skacząca po stoku wzgórza ożywia ten martwy zakątek, gdzie niegdyś rozlegały się oklaski widzów i głosy chóru deklamującego wiersze uwielbienia lub klątwy. Na głównym placu miasteczka wznosi się katedra, należąca do najwcześniejszych okazów romańskiego stylu. Bazylika o głównej i dwóch bocznych nawach, których płaski strop wspierają szeregi staro-rzymskich marmurowych kolumn, stanowi pomnik chrześcijańskiej sztuki, zdobny w zabytki starożytnej cywilizacyi, wiążąc bezpośrednio dwa okresy ludzkości.

W katedrze są dzieła rzeźbiarza Mino da Fiesole, który obok Fra Angelico rozsławił w zakresie sztuki imię swego rodzinnego miasta i należy do wybitnych postaci wczesnego renesansu. Pomnik fiesolańskiego biskupa Salutati, zamówiony przez niego za życia, jest najcenniejszem dziełem wspomnianego rzeźbiarza a zarazem typowym okazem sztuki ówczesnej epoki. Popiersie biskupa, prawdopodobnie modelowane z natury, a przedstawiające go ostremi i charakterystycznemi rysami, jest pełne siły i oryginalności. Nad nim znajduje się sarkofag, bogato ornamentowany płaskorzeźbami. W każdym szczególe przebija indywidualność artysty, który szedł nowemi drogami: ze siebie czerpał formy odradzającej się sztuki.

Z głównego placu prowadzi wśród budynków stroma droga na wzgórze, dominujące nad miastem i nad okolicą, na którem wznosi się klasztor Franciszkanek.

W domkach, wzdłuż drogi położonych, mieszkają koszykarze, gdyż wyroby koszykarskie z ryżowej słomy stanowią główne zajęcie ludności w Fiesole. Na progu każdego domu siedzą kobiety, zajęte robotą, rozmawiające przytem gwarno ze sobą lub nucące jaką melodyjną piosnkę, podczas gdy grono dzieci biegnie za każdym przechodniem, ofiarując różne plecione drobiazgi na sprzedaż, zachwalając je śmiałą przemową lub żartobliwą miną.

Na szczycie wzgórza wznosi się klasztor. Kilkanaście szerokich, kamiennych schodów, trawą porośniętych, prowadzi z ob-

szernego tarasu do kościółka z dwoma wieżami. Budynek nosi na sobie ślady wieku i zaniedbania. Nadwyrężone ciosy, uszkodzone gzemsy i sczerniałe mury wymownie o tem świadczą, — podczas gdy głęboka cisza, zalegająca otoczenie dodaje mu smutnej powagi.

Z tarasu roztacza się widok, dla którego Fiesole jest godnym celem wycieczki.

Na prawo sinieją na zachodniem niebie łagodne linie wzgórz Monte-Albano, z poza których wysuwają się pojedyncze, strome szczyty Carrary. Bliżej widać tarasowate pogórki, otaczające Florencyę a przed nami, u naszych stóp, roztacza się miasto, zatopione w morzu zieloności, z której wynurzają się pojedyncze gmachy: wieża Palazzo Vecchio, smukła kopuła katedry, Kampanilla Giotta i inne wieże i od marmurów bielejące gmachy. Zachodzące słońce oblewa miasto złotą powodzią i czepiając się krzyżów i miedzianych dachów i szyb w oknach, zapala tysiączne, drgające światełka — rzucając na zieleń potoki jaskrawych barw. Opalowe niebo, sine góry i morze zieleni składają się na krajobraz, zdołający chyba dosięgnąć piękności Elizyum, jak je sobie przedstawiała poetyczna fantazya starych Greków.

Natura wysypała róg obfitości na ten zakątek ziemi, sztuka dodała do tych skarbów swoje klejnoty i z Florencyi, noszącej nazwę stolicy kwiatów, posiadającej jako herb woniejącą lilię — stała się z czasem stolica sztuki, kolebka odrodzenia. Ona zabłysła jasnem światłem wśród ciemności i upadku sztuki, z niej rozeszły się w cztery strony świata nowe hasła i nowe prądy...

Słońce zapadło za łańcuch wzgórz, białe męty zaczęły zasłaniać widnokrąg; wieczór zachodził a ciszę tego klasztornego zakątka przerywała tylko nucona na dalekiej ulicy piosnka koszykarki, której smętne nuty płynęły ku dolinie.

Józef Rystan.

ASTRONOMICZNE OKREŚLENIE DNIA WIELKANOCY

U OJCÓW KOŚCIOŁA.

Dawno już minęły czasy, kiedy jeszcze całe chrześcijaństwo razem obchodziło Wielkanoc. Dzięki soborowi nicejskiemu brzmiało wesołe *Alleluja* jednego dnia we wszystkich Kościołach i Cerkwiach, a Ojcowie święci z mozolną troską pielęgnowali dzieło soboru. Dziś, wobec zniweczonej pracy soboru i Ojców przychodzą na myśl słowa, któremi bizantyński filozof, Nikifor Gregorasów, opisuje, jak smutnie wygląda chrześcijaństwo, kiedy jedni, wycieńczeni pokutą i postem, z poważnym wyrazem twarzy wybladłej, ze skruchą w sercu, cicho wracają z ciemnej jutrzni albo żałobnych obrzędów wielkiego tygodnia, a drudzy, jakby nie jednym chrztem obmyci w imię jednego Boga, ze śmiechem gwarnie wracają ze zabaw w dzień wycieczki uczniów do Emaus... Lud prosty i ogół tych, co sądzą z pozorów, w dwóch Wielkanocach widzą objaw dwóch Wiar w Chrystusa, i cierpliwie albo obojętnie spoglądają na to, czemu nie zaradzą. Przecie niektóre koła nie uważają sprawy za straconą, a otuchę w nich budzi objaw coraz wyraźniejszy od paru lat: myśl o powrocie chrześcijaństwa do jednej Wielkanocy zajmuje umysły coraz powszechniej, i w zimnych ludziach serce zaczyna bić dla myśli chrześcijańskiej.

Prąd tedy coraz żywszy niesie ze sobą różne książki, roz-

prawy, ustne odczyty i naukowe poglądy w czasopismach poważnych i przystępniejsze uwagi w dziennikach. Widok ten przypomina ubiegłe wieki, w których dzieje chrześcijaństwa zapisywały żywy tok rozpraw wiedzionych nad Wielkanocą niejeden raz, i nie przez ludzi miary zwyczajnej. Kto całego toku tych rozpraw nie śledził, temu niedość łatwo zdać sprawę z przeszkody, jaką Cerkwie Wschodnie spotkały w wieku szesnastym na drodze do zgody z Zachodem w sprawie Wielkanocy. Wielu upatruje upartą niechęć do Rzymu w tem, co skądinąd pochodzi, a nie przedstawia, przynajmniej dzisiaj, nic wspólnego ze stanowiskiem, z jakiego Cerkwie Wschodnie spoglądać chcą na Papiestwo. Z kalendarzem gregoryańskim weszły do kościelnych ksiąg zachodnich zmiany tak dokonane, że astronomowie widzą teraz zgodę między niebem a nową tablicą świąt ruchomych, ale duchowieństwo Wschodnie nie dostrzega wyraźnego związku między tą tablicą, a tablicą dawną, dziełem Ojców świętych. Niejedna Cerkiew Wschodnia oświadcza, że pragnie zgody z astronomią, ale takiej zgody, któraby ocaliła pierwotną myśl Ojców świętych i uwydatniła, że w tej ich myśli oczyszcza ich dzieło z błędu astronomicznego, nagromadzonego przez lata późniejsze, ale że z niem nie zrywa. Czy te Cerkwie pragną rzeczy możliwej? Aby tego żądać, trzeba przypuszczać, że Ojcowie święci dokładnie z astronomią obeznani, dokonali dzieła, któremu wystarcza jakaś poprawka zewnętrzna, aby pozostało samem sobą, a przecie odnowione, wskazywało Wielkanoc poprawnie. Czy tacy Ojcowie święci, w astronomicznym zawodzie biegli, wystąpili kiedy na widowni dziejowej?

Największe światła chrześcijaństwa, które błyszczą i głęboką wiedzą i cnotą nad zwykłą miarę, więc takie imiona, jak święci: Anatol Laodycejski, Leon Wielki, Maksym Męczennik, Andrzej Kreteński, a przedewszystkiem aleksandryjscy patryarchowie, święci: Teofil, Atanazy, Protery i Cyryl, po nich imiona najchlubniej na Wschodzie zapisane w dziejach rozkwitłej oświaty bizantyjskiej, więc Nikifor Filozof, albo Izaak Mnich, a na Zachodzie opat Dyonizy i wielebny Beda: oto zastęp mężów,

przejętych dla sprawy wielkanocnej całym zapałem, z jakim na każde pole walki szli bronić skarbów chrześcijańskich [1].

Dzieło Ojców świętych, przeznaczone, aby spoić w jedno ciało świat chrześcijański jednolitym obchodem Wielkanocy, dzisiaj rozdarte, zamiast spajać, rozdwaja Wschód i Zachód: wznieciło spór na większe rozmiary, niż panował przed nicejskim soborem.

Sobór ten po znojnej walce stłumił ostatecznie rokosz „Czternastodniowców", (po łacinie: Quartodecimani), tą nazwą napiętnowanych za to, że razem z Żydami chrześcijańską Wielkanoc obchodzili w dniu Mojżeszowej Paschy, więc w dniu czternastym po nowiu wiosennym (w przeddzień pełni). Dopiero znacznie późniejsze wieki, IX. albo XI. utarły w potocznej mowie ów zwrot (dzisiaj zwyczajnie używany), że: wielkanocna niedziela wypada po pierwszej pełni wiosennej; nie pełnię, a przeddzień pełni stawiali Ojcowie za kres, od którego zaczynali szukać niedzieli wielkanocnej; potępiali „Czternastodniowców", przeciw którym wystąpił sobór nicejski za to, iż w dniu

[1] Aby ocenić dzieło Ojców świętych, trzeba iść w ślady utarte przez astronoma Litrowa, chronografa Idelera i ks. metropolitę Jachimowicza; ten ostatni tak wyjaśnia sprawę: (Григорія Яхимовича Росправа о правилахъ, ведля которыхъ Славяне греческого обряда день Пасхи вычисляютъ. Русскій Сіонъ 1875, str. 16, 261, 293 i t. d.): „Aby znać co roku zmienny porządek nabożeństw, używa łaciński Kościół rubryceli i dyrektoryów, a grecka Cerkiew w samych księgach obrzędowych znajduje tablice, które zawsze oznaczają święta wielkanocne. Jednak te tablice podają tylko wyniki dokonanych obliczeń, wyrażone głoskami i cyframi, ale nie pokazują drogi, którą można dojść do tych wyników. Prostaczek na tych tablicach poprzestaje, ponieważ nic więcej nie potrzebuje, jak wyszukać rok w tablicy i zapamiętać sobie głoskę, zwaną kluczem granicznym, aby pod nią znaleźć wszystkie święta ruchome. Ale to nie wystarcza, jeśli kto ślepo iść nie chce, a bada także podstawy, na których spoczywają te wyniki". Zatem metropolita Jachimowicz roztrząsa źródło tych tablic i pojedyńcze w nich nagłówki; jednak tutaj nie można poprzestać na pragmatycznym wykładzie, jaki wystarczył metropolicie, wypada tu zbadać jeszcze historycznie początek i rozwój tych tablic, aby uwydatnić pracę astronomiczną Ojców świętych i zwrócić uwagę na sposób, w jaki ci Ojcowie usiłowali utrzymywać swoje tablice w zgodzie z niebem. W ostatnich latach prof. Karliński podniósł myśl, która nakoniec wyświeca sprawę zupełnie i pozwala, według wskazówek Ojców Kościoła, pogodzić ich dzieło z astronomią współczesną.

starozakonnej Paschy, więc w dniu 14-ym po nowiu a w przededniu pełni obchodzili chrześcijańskie święto; sobór najbliższą niedzielę, następną po żydowskim obrzędzie, przeznaczył na Wielkanoc. A zebrani w Nicei biskupi nie nową powzięli uchwałę: potwierdzili tylko i zaprowadzili szczęśliwie na cały świat chrześcijański prawo, wyrażone w liście Wiktora, papieża rzymskiego, do św. Teofila, nowo-cezarejskiego patryarchy, ścisłemi liczbami: „od czternastego następnych siedm dni (aż do dwudziestego pierwszego dnia po nowiu) stanowią tydzień, przed którym i po którym niedziela wielkanocna wypaść nie może". Z Wiktorem inni biskupi, (których wylicza Eusebiusz Χρον. β, rok 129,) Narcyz Jerozolimski, Polikrates Efezki, Ireneusz Lugduński, Bachil Koryncki i t. d., zabrali głos w sprawie, wywołanej przez biskupów Małej Azyi, życzliwych „Czternastodniowcom". Uchwałę Wiktora sobór nicejski, poparty ramieniem cesarskiem, rozesłał na cały świat w liście zbiorowym, (w Historyi Sozomena 2, 12 i Teodoreta 1, 9), gdzie mówi: „Wszyscy bracia, którzy zamieszkują Wschód, i dotąd naśladowali Żydów w ich zwyczaju co do świętego dnia Wielkanocy, odtąd pójdą za Rzymem, i nami, i wszystkimi, co zachowują zwyczaj odwieczny".

Ta uchwała soboru złamała upór „Czternastodniowców", bo nie dopuszczała im żadnego wykrętu: nie w przeddzień pełni, ale po tym kresie w najbliższą niedzielę wszyscy chrześcijanie zaczną razem obchodzić Wielkanoc.

Ale, aby zastosować tę uchwałę, trzeba z astronomii pożyczyć światła, któreby wskazało dokładnie i dzień nowiu i czternasty po nim dzień. Więc w dziedzinę astronomii wkroczyli rzeczeni Ojcowie Kościoła. Nie o to tylko im szło, aby na każdy rok poszczególny osobno wyśledzić nów wiosenny: szukali wskazówek, jakby można na przeciąg lat jak najdłuższy z góry obliczyć owe przedednie pełni, kres wielkanocny.

Objąć te kresy w jakieś prawo i napisać jego wzór ogólny, była to praca, do której stawali święci biskupi aleksandryjscy Dyonizy i Hipolit, ale pomyślnie załatwił ją dopiero następny Aleksandryjczyk, a pod koniec życia biskup Laodycei w Syryi, św. Anatol; jego praca do dzisiaj służy na Wschodzie i Zacho-

dzie, chociaż tu i tam oblekła inną postać. Na jakiej podstawie astronomicznej oparł święty Anatol swoje dzieło, o tem czytamy (w VIII. tomie Rozpraw Wydziału matematyczno-przyrodniczego Akademii Umiejętności z r. 1880, § 4) słowa prof. astronomii, d-ra Karlińskiego [1]:

„Ponieważ rok juliański liczy 365·25, miesiąc zaś synodyczny (tj. od jednej pełni księżyca aż do drugiej liczony) 29·53059 dni, przeto stosunek tych dwu okresów czasu rozwinąwszy na ułamek ciągły

$$\frac{365{\cdot}25}{29{\cdot}53059} = 12 + \frac{1}{2} + \frac{1}{1} + \frac{1}{2} + \frac{1}{2} + \frac{1}{24}$$ i t. d., i takowy zwijając mamy wartości przybliżone $\frac{12}{1}, \frac{25}{2}, \frac{37}{3}, \frac{99}{8}, \frac{235}{19}, \frac{5739}{464}$....

„Z tych stosunków przybliżonych, trzy pierwsze, jako słabo przybliżone, zupełnie pominąć można. Czwarty $\frac{99}{8}$ służył za podstawę pierwszym kanonom pełni wiosennych, jak na to mamy dowód w ks. VII. rozdziale 20 Historyi kościelnej Eusebiusza, gdzie mówiąc o świętym Dyonizyuszu, biskupie aleksandryjskim (251—268 po Chr.) powiada: „i ogłosił kanon ośmiolecia, dowodząc, że nie inaczej, jak po równonocni wiosennej trzeba obchodzić święto wielkanocne“ [2], więc zatrzymał się przy wartości przybliżonej $\frac{8}{99}$, to jest, że co lat 8 pełnie wracają na ten sam dzień roku, co oczywiście jest jeszcze bardzo niedokładnem [3].

---

[1] Por. „Kilka uwag nad obliczeniem dnia Wielkanocy chrześcijańskiej“ tegoż autora, str. 22, przypisek. Ta rozprawa dotąd nie wyszła z druku, ale prof. Karliński łaskawie pozwolił korzystać z niej do niniejszej pracy.

[2] Καὶ κανόνα ἐκτίθεται ὀκταετηρίδος, ὅτι μὴ ἄλλοτε ἢ μετὰ τὴν ἐαρινὴν ἰσημερίαν προσήκοι τὴν τοῦ Πάσχα ἑορτὴν ἐπιτελεῖν παριστάμενος.

[3] Stosunek bowiem $\frac{99}{8}$ zrównany ze stosunkiem $\frac{365{\cdot}25}{29{\cdot}53059}$ daje z jednej strony $8 \times 365{\cdot}25 = 2922{\cdot}0$ dni, z drugiej $99 \times 29{\cdot}53 = 2924{\cdot}5$ dni, co nas uczy, iż co 8 lat juliańskich pełnie posuwają się o 2·5 dnia poza datę pierwotną; po ośmiu więc latach datę pełni o całe dwa dni zmniejszyć potrzeba.

„Św. Anatol, biskup Cezarei, wziął wartość przybliżoną lepszą $\frac{235}{19}$ i wprowadził okres dziewiętnastoletni; mianowicie stosunek przybliżony $\frac{235}{99}$ zrównany ze stosunkiem $\frac{365{\cdot}25}{29{\cdot}53059}$ daje z jednej strony $19 \times 365{\cdot}25 = 6939{\cdot}75$ dni, z drugiej strony $235 \times 29{\cdot}53059 = 6939{\cdot}68865$ dni, co nas uczy, iż co 19 lat julianskich pełnie wracają do swej pierwotnej daty, wyprzedzając ją tylko o małą część 0·06135 dnia, która dopiero w 310 latach urasta w jeden dzień".

Za pierwszą tedy zasadę przyjął św. Anatol powrót nowiów co 19 lat na ten sam dzień roku.

A czy w ciągu dziewiętnastolecia, pełnie, nowie albo jakiebądź zmiany księżyca, idą po sobie w jakimś porządku stałym?

Przytoczony astronom tak na to pytanie odpowiada:

„Ponieważ znowu 12 miesięcy synodycznych obejmuje $12 \times 29{\cdot}53 = 354{\cdot}36$ dni, czyli rok bez 11 dni blizko, a z drugiej strony 13 miesięcy synodycznych obejmuje $13 \times 29{\cdot}53 = 383{\cdot}89$ dni, czyli rok i 19 dni blizko: przeto pełnia wiosenna z roku jednego na drugi albo przyspiesza o 11 dni, albo się spaźnia o 19 dni. Potrzeba więc tylko znać datę pełni wiosennej dla pierwszego roku dziewiętnastoletniego okresu, aby z niej przez proste odejmowanie 11-tu albo dodawanie 19-tu dni otrzymać daty pełni wiosennej następujących lat 18-tu".

W świetle tych słów nowożytnego astronoma można zaraz zrozumieć drogę, jaką szedł św. Anatol, mianowicie zadał sobie pytanie: „Który rok wziąć za pierwszy? czyli, co na jedno wychodzi, gdzie położyć początek dziewiętnastoletniego okresu? i jaka data pełni temu początkowi ma odpowiadać?"

Na te pytania odpowiada ustęp z kanonu św. Anatola, przytoczony w Dziejach kościelnych Eusebiusza:

„Z kanonów wielkanocnych Anatola.

„Masz tedy w pierwszym roku nów pierwszego miesiąca, (który to nów rozpoczyna całe dziewiętnastolecie), w dniu egipskiego miesiąca Psamenot dwudziestym szóstym a w dwudziestym drugim dniu macedońskiego miesiąca Dystron, jakby zaś powiedzieli Rzymianie: jedenastego dnia przed pierwszym kwie-

tnia; znajdujemy zaś, że słońce (rzeczonego dnia 26-go Psamenot), przekracza już nietylko pierwszą część, ale nawet i czwartą dnia, wtedy wstępując w drogę: a tę część dnia nazywają dwunastodziałem i równonocnią, i początkiem miesięcy, i progiem dziewiętnastolecia i wstępem do drogi planetarnej“ [1].

Temi słowami św. Anatol wypowiada stanowczo zasadę, którą znajdujemy wiernie zachowaną u następnych Ojców; trzeba wziąć ten rok za pierwszy, w którym nów wypada w dzień równonocny. Słońce i księżyc mają razem wychodzić z jednego znaku zwierzyńca niebieskiego, jakoby ze wspólnych wrót, do których znowu wrócić mają, słońce po dziewiętnastu zawrotach swojej drogi rocznej, a księżyc po dwustu trzydziestu pięciu obiegach, czyli miesiącach synodycznych; to wyraża słowo św. Anatola: „wtedy wstępując w drogę“.

Rok tedy co dziewiętnasty rozpoczynać miał liczbę porządkową zwaną wrotami księżyca, która wyrażała, ile lat upłynęło od dnia, kiedy słońce w znaku równonocnym z księżycem na nowiu razem zaczyna drogę.

Aby należycie zrozumieć całą myśl św. Anatola, trzeba znać jego termin: *numenia*. Słowniki języka greckiego, nawet najdokładniejsze, prawie jednym wyrazem wszystkie odpowiadają: νουμενία znaczy nów; ale nie dodają, czy rozumieją pod słowem „nów“ astronomiczną konjunkcyę, zgodnie z językiem książkowym, czy też używają wyrazu nów tak, jak lud po polsku nazywa nowiem, albo mówi o księżycu na nowiku, kiedy widać już cienki sierp księżyca nazajutrz po konjunkcyi. Dopiero obszerne dzieje zwyczajów i obyczajów starożytnych wyjaśniają świętego Ojca Kościoła, bo nie pozwalają wątpić, że Grecy

---

[1] Ks. VII, r. 32: Ἐκ τῶν περὶ τοῦ Πάσχα Ἀνατολίου κανόνων·

Ἔχεις τοίνον ἐν τῷ πρώτῳ ἔτει τὴν νουμενίαν τοῦ πρώτου μηνὸς, ἥτις ἁπάσης ἐστὶν ἀρχὴ τῆς ἐννεα καὶ δεκατηρίδος, τῇ κατ' Αἰγυπτίους μὲν ψαμενὸθ ἕκτῃ καὶ εἰκάδι, κατὰ δὲ τοὺς Μακεδόνων μῆνας, Δύστρου δευτέρᾳ καὶ εἰκάδι, ὡς δ' ἂν εἴποιεν Ῥωμαῖοι πρὸ ἕνδεκα Καλανδῶν Ἀπριλίων. Εὑρίσκεται δέ ὁ ἥλιος ἐν τῇ προκειμένῃ ψαμενὸθ ἕκτῃ καὶ εἰκάδι οὐ μόνον ἐπιβὰς τοῦ πρώτου τμήματος, ἀλλ' ἤδη καὶ τετάρτου ἡμέρας ἐν αὐτῷ διαπορευόμενος· τοῦτο δὲ τὸ τμῆμα, πρῶτον δωδεκατημόριον καὶ ἰσημερινὸν καὶ μηνῶν ἀρχὴν, καὶ κεφαλὴν τοῦ κύκλου καὶ ἄφεσιν τοῦ τῶν πλανητῶν δρόμου καλεῖν εἰώθασιν.

numenią nazywali nów taki, o jakim lud mówi, zgodnie ostatecznie z etymologią [1].

Więc w pierwszym roku dziewiętnastolecia księżyc nowy zaczynał swoją drogę miesięczną dwudziestego drugiego dnia marca (zwanego Dystron w macedońskiem narzeczu). Tegoż dnia spostrzeżono, że słońce przebyło już nietylko pierwszą, ale już i czwartą ćwiartkę dnia: tedy słońce opuściło już wrota między zimą a wiosną, a razem księżyc przeszedł z zimowego do wiosennego miesiąca. Wskazują zatem słowa św. Anatola na równonocnię i konjunkcyę 21-go marca.

Równonocnię 21-go marca rzeczywiście spostrzedz można było tylko między rokiem 157-ym a 279-ym chrześcijańskiej ery Dyonizego; na któreż tedy lata przypadała także konjunkcya w dniu 21-ym marca? czyli, które lata służyły za rok początkowy dziewiętnastolecia u św. Anatola?

Odpowiedzieć na to pytanie trzeba dlatego, aby poznać początek tak zwanych wrót księżyca i liczby złotej, a przytem zaraz zdać także sprawę z pomyłki, której nie mógł uniknąć św. Anatol przy ówczesnym stanie wiedzy astronomicznej. Tę pomyłkę spostrzegł w parę wieków potem św. Cyryl Aleksandryjski i znalazł stosowną poprawkę, bo (jak wyznaje sam w Prologu do swoich tablic), cierpliwie patrzeć nie umiał na księgi kościelne z niebem niezgodne. Poprawkę swoją św. Cyryl oparł na stanie nieba ówczesnym, a nie zastosował jej do czasów naszych; jednak zostawił nam raz na zawsze wskazówkę, jak można utrzymywać tablicę św. Anatola w zgodzie z astronomią.

Aby wyjaśnić pomyłkę św. Anatola, trzeba wspomnieć o na-

[1] Tak czytamy u Iwana Muellera (*Alterthumswissenschaft* t. 1, str. 563): „Der Kalender musste den Tag, auf welchem der alte Monat aufhört und der neue anfängt, entweder zum ersten des neuen oder zum letzten des alten Mondes machen; man wählte den letzten, ohne Zweifel deswegen, weil dadurch auf den ersten die seinem Namen (νουμηνία) entsprechende erste Sichtbarkeit des Mondes treffen konnte; Numenie wurde so der erste vollständig dem neuen Monde angehörige bürgerliche Tag — nicht wie Ideler meint, weil die erste Erscheinung gewöhnlich am Tage nach der Koniunktion einzutreten schien".

der ciekawej okoliczności, na którą pierwszy zwrócił uwagę prof. Karliński, mianowicie: Święci astronomowie aleksandryjscy, tak umieli obliczyć kanon wielkanocny, że w pierwszym wieku ery naszej błąd w tablicach ukryty wynosił 0·0 dni, to jest kanon pokazywał dokładnie na ten rok zmiany księżyca; więc nie służył już dobrze za czasu soboru nicejskiego, wbrew utartemu mniemaniu. Wyrazić tę sprawę można krótko: ci Ojcowie przerzucali na pierwszy wiek nazwy dobre w wieku trzecim; wpadali przytem w błąd co do równonocni, przecie dobrze oznaczali daty Męki i Zmartwychwstania Pańskiego, o które właśnie szło w całej sprawie.

Sprawę tę wyjaśnia załącznik I. (str. 246).

Słowem, mimo anachronizmu w przerzucaniu dat swoich na wiek pierwszy, Ojcowie błędu nie popełniają; skądże to pochodzi?

Najdawniejsi Ojcowie w pismach swoich na wielu miejscach świadczą, że znali szczegóły o dniach Męki Pańskiej i Zmartwychwstania, za świeżej pamięci żywemi ustami podawane im przez ich poprzedników. Dnie te były dla Ojców Kościoła wskazówką, do której usiłowali astronomicznie dostosować coroczną pamiątkę tych świętych wypadków. Bieg księżyca, znany im bardzo dokładnie, nie mógł ich narazić na pomyłkę w astronomicznych wywodach; ale niedość zbadane prawa równonocni, przesuwanej z dnia na dzień w kalendarzu juliańskim, narażały ich na błąd ów szczególny: tak mógł św. Anatol wiedzieć, że to albo owo zjawisko na niebie zaszło w dzień równonocny wieku pierwszego; ale Ptolomeusz w wieku następnym znalazł równonocnię dnia 22-go marca starego stylu; stąd łatwo w drugim wieku przywiązywać do dn. 22-go marca wypadek, zdarzony w poprzednim wieku podczas równonocni, która dopiero dnia 23-go marca miała miejsce, więc zbłądzić o jeden dzień, i tak ułożyć kanon wielkanocny, że zjawiska w nim zapisane wyprzedzą niebo o całą dobę w wieku II-gim, a coraz więcej w wiekach dalszych, a przecie dobrze przystają do tła wypadków z wieku I-go, o których nieprzerwany ciąg świadków donosił szczegóły, dzisiaj stwierdzone astronomicznie. Słowem, dnie mylnie podane na

czasy twórcy kanonu, mogą taki kryć błąd, że zawrócone w tył i odstawione do początku drogi, zgubią ten błąd i przypadają na czas swój właściwy.

Takiego rodzaju pomyłka znalazła sobie łatwy dostęp do kanonu św. Anatola; oprócz nieustalonego dnia równonocni zawinił przytem także nieustalony jeszcze wówczas początek doby, którą jedni zaczynali, jak Żydzi dziś, z zachodem słońca, drudzy o zmierzchu, albo o północy, a znów inni o świcie albo o wschodzie słońca [1].

W rozprawie tedy prof. Karlińskiego [2] czytamy: „Rachunek ścisły okazuje, że w roku 0 ery chrześcijańskiej, równonocnia wiosenna była dnia 22·81 marca, pełnia wiosenna (właściwie przeciwległość średnia) 37·82 marca, według czasu średniego aleksandryjskiego. Różnica wynosi dokładnie dni 15". A pół miesiąca synodycznego wynosi o parę godzin mniej, niż 15 dni; więc nów wypadł już nazajutrz po dniu równonocnym w roku 0. Mimo to, drobna różnica paru godzin nie zwraca na siebie tyle uwagi, aby potocznie nie mówiono, że w roku tym nów, w 15 dni przed pełnią, wypadł tego samego dnia, co równonocnia.

Tyle mógł słyszeć św. Anatol od przodków i stąd rozpocząć dziewiętnastolecie rokiem 0, jako tym, w którym nów wypadł w dniu równonocnym, rzekomo 22-im marca [3].

W lat 133 potem, więc równo po 7-iu dziewiętnastoleciach, wypadał rok 1-y olimpiady 228-mej, albo 445-y ery Seleucydów, „w którym to roku — pisze prof. Karliński [4] — według Almagestu (Ks. IV., rozdz. 5) Ptolomeusz w Aleksandryi obserwował zaćmienie księżyca, a więc pełnię, dnia 6-go maja = 67-go marca i to około północy; upłynęło zatem od równonocni dnia 22-go marca do owej pełni, dni 67 — 22 = 45", zatem półtora miesiąca sy-

---

[1] Por. Mueller Iwan, *Alterthumswissenschaft t.* I, *Zeitrechnung der Griechen und Römer* von Dr. Georg Fr. Unger.

[2] „Kilka uwag" str. 17.

[3] Nazwa „rok 0" oznacza ten rok, przy którego końcu (25 grudnia) Dyonizy stawia przyjście na świat Chrystusa Pana. Pomyłka Dyonizego nic w tym razie nie znaczy.

[4] „Kilka uwag", str. 2, 16,

nodycznego, stąd liczyć można nów synodyczny 22-go marca, tegoż dnia, co równonocnia. To utwierdzić musiało św. Anatola w zasadzie, że rok 0 rozpoczyna dziewiętnastolecie, i dlatego początek okresu dziewiętnastu lat wrócił w roku 133-im. Tymczasem, chociaż Ptolomeusz oglądał zaćmienie księżyca 6-go maja około północy, ale ogłoszona przez księdza Mémain tablica Hillela wskazuje dokładniej, że wkrótce p o północy nastąpiła owa cykliczna pełnia, więc już, według naszych pojęć, dnia 7-go maja, a Ptolomeusz zaliczał do doby jeszcze 6-ej maja całą noc aż do wschodu słońca 7-go maja [1]. Zatem i rok 0 i rok 133 widział księżyc na nowiu nazajutrz po równonocni.

Podobnież w roku 136 po Chr., według kanonu przeddzień pełni wiosennej winien był być dnia 2-go kwietnia a 33-go marca, a poprzednia pełnia, zimowa ostatnia, dnia $33 - 28{\cdot}5 = 4{\cdot}5$ marca. Tymczasem Ptolomeusz oglądał ją o północy z dnia 5-go na 6-ty marca, przeto znowu o całą dobę później [2].

Słowem, kanon w wieku II. spieszył o dobę, bo przekładał nów z dnia pierwszego po równonocni na sam dzień równonocny 22-gi marca star. stylu; następnie odstawiał na 22-gi marca st. stylu w wieku I. ten nów, gdyż poczytywał ów dzień za równonocnię. W III. wieku równonocnia znowu przyspieszona, wypadała o dzień wcześniej: 21-go marca stylu starego i nowego; więc nazajutrz mógł wypaść przecie na dzień 22-gi marca nów, raz na zawsze przywiązany do tego dnia przez kanon. Teraz nów, zawrócony do wieku pierwszego, znalazł swój dzień wła-

---

[1] Wykazuje to Iwan Mueller jak wyżej str. 605, zgodnie z Idelerem I. 100, 181: „Anfang des Kalendertages war in der makedonischen Kolonie Alexandreia der Sonnenaufgang. So bei dem Astronomen Ptolemaios: für die Sonnwende Metons liegt er in der Rechnung 6 Uhr Morgens zu Grunde, seine ausdrückliche Angabe ihrer Tageszeit lautet abwechselnd πρωΐας und περὶ τὴν ἀρχήν des 21 Phamenoth". Potem przytacza za świadka Geminosa, który o innym początku doby pojęcia nie miał, stąd nieraz mylnie powtarzał daty za innymi astronomami. Istotnie w dziele Geminosa Εἰσαγωγὴ εἰς τὰ φαινόμενα rozdz. 5 czytamy jedynie zasadę: ἡμέρα λέγεται χρόνος ὁ ἀφ' ἀνατολῆς μέχρι ἡλίου αὖθις ἀναβολῆς.

[2] Prof. Karliński opiera ten dowód na *Researches on the Motion of the Moon, made at the United States Naval Observatory Washington* by Simon Newcomb Prof. U. S. Navy Part. I. Washington 1878.

ściwy, a 14-ty dzień po nowiu wypadł na dzień kwietnia 5-ty now. stylu (7-y star. stylu), zgodnie w wieku I. z kanonem św. Anatola.

Ta tedy droga wiodła do ostatecznego wniosku, że jak w r. 133-im, podzielnym przez 19 bez reszty, i jak w roku 0, tak w każdym roku podzielnym bez reszty przez 19: wraca nów dn. 22-go marca, a przeddzień pełni wiosennej dn. 22 + 14 = 36-go marca = 5-go kwietnia. „Data ta — uważa tamże prof. Karliński — po prostu z obserwacyi Ptolomeusza wzięta, niema w sobie nic cudownego, jak to niegdyś mniemano“ [1].

Tak oznaczony przeddzień pełni na rok pierwszy dziewiętnastolecia daje datę przedednia pełni na lata następne przez proste odejmowanie dni 11 albo (gdyby reszta została mniejsza od 21) przez dodawanie dni 19. Stąd powstaje dla całego dziewiętnastolecia tablica

Na rok dziewiętnastolecia	1-y	2-gi	3-ci	4-ty	5-ty	6-ty	7-my	8-my
Wielkanoc w niedz. pierwszą po dniu	5 kw.	25 mca	13 kw.	2 kw.	22 mca	10 kw.	30 mca	18 kw.
Do 22 marca upłynęło od nowiu dni	0	11	22	3	14	25	6	17

9-y	10-y	11-y	12-y	13-y	14-y	15-y	16-y	17-y	18-y	19-y [2]
7 kw.	27 mca	15 kw.	4 kw.	24 mca	12 kw.	1 kw.	21 mca	9 kw.	29 mca	17 kw.
28	9	20	1	12	23	4	15	26	7	18

[1] „Alexandrini igitur et Graeci, per quamdam, ut fertur, formulam ab Angelo traditam, paschae terminos Romanis mensibus respondentes, hoc modo adnotarunt: Anno primo cycli decemnovennalis terminus Paschae quinta die Aprilis etc“. *Calendarium Romanum magnum, Cesareae Maiestati dicatum.* D. Ioanne Stoeffler Iustingensi Mathematico authore. Oppenhegni 1518 in 4-o propositio 34-a.

Por. W. Beda, *De temporum ratione* cap. XLIII. Migne t. XC, str. 482.

[2] Pierwszy (górny) rząd wyraża liczby porządkowe na każdy z dziewiętnastu lat (zwane liczbą złotą), zaczęte od 1 a skończone na 19; każda o jednostkę przewyższa resztę, jaka zostaje z podziału liczby lat przez 19, więc aby znaleźć liczbę złotą jakiegobądź roku, trzeba liczbę lat, zwiększoną o jednostkę, podzielić przez 19; reszta okaże miejsce roku w powyższej tablicy; słowem trzeba użyć wzoru $\frac{L+1}{19}$.

Drugi (środkowy) rząd liczb przedstawia dnie, po których w najbliższą niedzielę wypada Wielkanoc, czyli tak zwane „kresy Wielkanocne“. Te dwa rzędy liczb załatwiają całą sprawę dla kalendarza wschodniego; kto zapa-

Chociaż zgodnie z astronomią św. Anatol wyznaczył kres wielkanocny 5-go kwietnia na lata 0, 19, 38 i dalsze I. wieku ery chrześcijańskiej, i chociaż z tego względu słusznie rozpoczął kanon tych 19-tu kresów od roku podzielnego przez 19 bez reszty, przecie nie pod każdym względem osiągnął to, co zamierzał; myślał o początku okresu w roku, w którym nów wypada w dzień równonocny, a lata podzielne przez 19 bez reszty w wieku I, pokazują równonocnię w przeddzień nowiu cyklicznego, chociaż tam kładą nowie, gdzie kanon wymaga. Astronomicznie całkowity błąd kanonu w roku 0 znikł, jak zwraca na to uwagę prof. Karliński, jedyny astronom, o ile można wiedzieć, który to spostrzegł. Jednak nie w roku 0 słońce z księżycem razem w drogę wyruszało z owych wrót wspólnych, jakiemi wówczas zwano znak równonocny; dopiero w 11 lat potem księżyc o całą dobę wcześniej zachodził w nów: już w sam dzień równonocni, nie dopiero nazajutrz[1]. Zatem dopiero lata 11, 30, 39 i t. d., odpowiadały zasadniczej myśli, z jaką św. Anatol zamierzał rozpocząć

---

mięta te liczby, ten bez książki może na wszystkie wieki oznaczyć, po którym dniu w najbliższą niedzielę każdego roku Cerkwie Wschodnie obchodziły i obchodzić będą Wielkanoc.

Trzeci (dolny) rząd liczb wyznacza, ile dni od nowiu upływa do zasadniczego dnia równonocni, 22 marca, w każdym z dziewiętnastu lat; więc podaje „przyrost“ dni księżyca, stąd grecka nazwa „epakta“: przyrost, nadwyżka. Środkowy rząd liczb podaje, kiedy wypadają czternaste dnie po nowiu, zatem łatwo obliczyć, ile dni upłynie każdego roku od nowiu do 22 marca. Nowych pojęć ten rząd epakt nie dodaje; tylko innym sposobem wyraża to, co mówi rząd kresów wielkanocnych; mimo to epakty zyskały bardzo wielką wagę w późniejszych wiekach i dzisiaj sprawa epakt przybrała rozmiary poważne, bo utrudnia powrót chrześcijaństwa do jednego dnia Wielkanocy. Cała uwaga zwrócona na epakty pomału usuwała na bok kresy wielkanocne, które to samo pokazują, co epakty; nakoniec kresy odpadły z tablic zupełnie. Z nowszych pisarzy kościelnych wspomina o nich jedynie metropolita Jachimowicz pod nazwą: Граница пасхальна (j. w. str. 392 i t. d.), ale stawia je nie jako dnie, po których dopiero nastąpi niedziela wielkanocna, tylko jako dnie, od których zacząć już można Wielkanoc; dlatego podnosi każdą datę o jednostkę; – to oczywiście rzeczy nie zmienia.

[1] Bo $11 \times 365{\cdot}25 = 4017{\cdot}75$, a 136 miesięcy synodycznych liczy dni $136 \times 29{\cdot}53086 = 4016{\cdot}158$, więc księżyc o całą dobę wcześniej kończy swój obrót.

okres od roku z nowiem w dzień równocny. Z tego względu liczba złota, chociaż wskazywała poprawnie kres wielkanocny na wiek I., przecież nie w erze chrześcijańskiej dopiero, ale jeszcze w dawniejszych wiekach wskazywała lata, kiedy podług myśli św. Anatola nów w sam dzień równonocny rozpoczynał dziewiętnastolecie. Pierwszą myśl okresu dziewiętnastoletniego poruszył Ateńczyk Meton w V. w. przed Chr. P. i tak zapalił nią swoich rodaków, że ci ulali ze złota 19 liczb, które umieścili na podwojach świątyni Minerwy; stąd pochodzi nazwa „złotej liczby". Dawniejszą tedy myśl św. Anatol stosował do kanonu wielkanocnego.

Szczegół ten wyjaśnia przyczynę, dlaczego w ostatnich czasach powstał nawet o to spór, czy sam też kanon aleksandryjski od św. Anatola pochodzi? Dziwić musi takie pytanie wobec świadectwa pisarzy, którzy albo żyli prawie współcześnie ze św. Anatolem, albo niedługo potem sprawę zdawali z jego kanonu, a jednogłośnie wymieniają jego twórcę, jako bezsprzecznie uznanego przez wszystkich. Z ich świadectwem zgodnie przemawia prof. Karliński i z astronomicznego stanowiska odpiera zarzuty, nagromadzone dość licznie. Wobec tej powagi dziejów i astronomii wypada nie zawieszać sądu o twórcy kanonu aleksandryjskiego, a to tem bardziej, iż tylko przebiegły podstęp, niezawodnie Czternastodniowców, sprawę niewątpliwą wyprowadził w pole domysłów.

„Z pomiędzy Aleksandryjczyków, żyjących w 2-ej połowie III. wieku, znających doskonale arytmetykę, geometryę i astronomię — pisze prof. Karliński — wymienia Eusebiusz Anatoliusza", z którym prawie współcześnie żył (ur. ok. 260, † ok. 339); jego więc świadectwo zasługuje na uwagę, a w jego to właśnie dziejach kościelnych znajdujemy załączony wyjątek z kanonu św. Anatola. Sam ten kanon nie należał wcale do dzieł zaginionych albo zapomnianych jeszcze w wieku VII. i VIII.; księgę św. Anatola w rękach miał i W. Beda i jego przyjaciel Wicrhedas; rozprawę ich z powodu niektórych słów tej księgi zamieszcza Migne[1]. Obaj przyjaciele w wieku VIII. nie wątpią

[1] *Pat. lat.* t. XC, str. 599—606.

jeszcze nic o twórcy kanonu, ani Beda nie tai, na czyjej powadze oparty przypisuje ten kanon św. Aleksandryjczykowi; przywodzi na świadków Eusebiusza rzeczonego i dwóch znawców z zawodu: Wiktora, biskupa kapuańskiego i opata Dyonizego, zwanego Exiguus. I w tej rozprawie i w innem dziele [1], Beda pełen czci dla uczonego biskupa, narzeka wyraźnie na to, że łacińskie przekłady niektóre przekręcają kanon, „przez podstęp oczywiście tych, co nieznając prawdziwego dnia Wielkanocy, radziby poparli błąd swój powagą takiego Ojca“ [2]. Sam Beda przytacza z kanonu to, co czytał w przekładach i odpisach wiarogodnych, a co zastanowić musi uwagę, bo odpowiada wskazówkom dzisiejszej astronomii. Ani nie śmiałby, ani nie mógłby Beda w ósmym wieku poprawiać Anatola według wskazówek, jakich użycza astronomia w wieku dziewiętnastym; widocznie powtarza to, co tak napisał św. Anatol, jak przystało na aleksandryjskiego astronoma.

Ale te pisma i skargi Bedy widocznie nie wpadły do rąk pisarzy, którzy w późniejszych czasach łamali sobie głowę nad zepsutym kanonem, np. Petavius [3] albo Wilhelm Lang [4]. W ostatnich wiekach Idzi Bucher także pozbierał szczątki jakiejś księgi, rzekomo Anatoliuszowej i wydał je w łacińskim przekładzie z uwagami. Ale Dupuis uważa całą pracę Buchera za zbiór pomyłek [5].

Otóż przytoczony tu na początku ustęp kanonu zawiera także słowa niezawodnie podrobione w wieku najwcześniej VI., ale jeszcze nie wsunięte w odpisach, znanych W. Bedzie, który czyta, że „słońce rzeczonego dnia 26-go Phamenot przekracza już nietylko pierwszą część, ale nawet i czwartą dnia, wtedy wstępując w drogę“. Ze względu na szyk nie stoją te słowa zgrabnie i jasno, chociaż język grecki lubi zwroty podobne; ale ze

[1] *De temporum ratione*, tamże str. 475.

[3] „Eorum nimirum fraude, qui Paschae verum tempus ignorantes, errorem suum tanti Patris auctoritate defendere gestirent“.

[3] *Animadvers. ad Epiphanii haereses* 51, str. 194 i nast.; tenże Lib. VI *De doctr. temp.* cap. II.

[4] *De Annis Christi* l. I, cap. 7.

[5] *Bibl. nov. auct. eccl.* I l. p. 193.

względu na myśl nic wyrażają nic niezrozumiałego dla Bedy, który wyjaśnia, że w ciągu czterech lat juliańskich kolejno na każdą ćwiartkę dnia wypada chwila, kiedy słońce wchodzi w znak równonocny; raz o północy, drugi raz rano, potem w południe, w końcu wieczór; otóż św. Anatol mówi o wypadku, kiedy z początkiem dziewiętnastolecia słońce wychodzi w drogę roczną dopiero około godziny 6-ej wieczorem; przekracza już nietylko pierwszą część, ale nawet i czwartą dnia [1].

Otóż dochowany nam dzisiaj przez Eusebiusza ustęp z kanonu brzmi, że „słońce przekracza już nietylko pierwszą część, ale nawet i czwarty dzień, wtedy w drogę wstępując: οὐ μόνον ἐπιβὰς τοῦ πρώτου τμήματος, ἀλλ' ἤδη καὶ τετάρτην ἡμέραν", zamiast „τετάρτου ἡμέρας". Zagadkowo tu wygląda „pierwsza część" przeciwstawiona nie części „czwartej dnia", ale „czwartemu dniowi"; tę zagadkę pisarze rozwiązują jeszcze jako tako, bo pod tą pierwszą częścią chcą rozumieć pierwszy znak zwierzyńca niebieskiego. Ale co począć z astronomicznym błędem, jakoby słońce 22-go marca w wieku św. Anatola liczyło już czwarty dzień drogi od równonocni? Co począć z całą zasadą, że w pierwszym roku dziewiętnastolecia wypada nów w dzień równonocny?

Otóż Ideler [2], biorąc to wyrażenie „τετάρτην ἡμέραν, czwarty dzień" za *ipsissima verba* samego Anatola (a przynajmniej Eusebiusza) twierdzi, że św. Aleksandryjczyk ułożył kanon, którego początek wypada na rok 277-y, nie na rok 0, że na pierwszy rok położył nów 22-go marca, dnia 4-go po równonocni, że podał 14-y po nowiu dzień 4-go kwietnia, nie 5-go, i t. d. Stąd wniosek, że nie św. Anatol ułożył poprawny kanon aleksandryjski [3].

---

[1] Tak Leverrier (*Napoleon Histoire des Cèsars* II, 518) obliczył, że równonocnia w r. 55-ym przed Chr. P. wypadła 23-go marca o 17-ej godzinie (czasu paryskiego), w 54-ym o ćwierć dnia później, w 53-ym jako przestępnym, o pół dnia wcześniej, w 52-im o ćwierć dnia wcześniej, aby następnego roku wrócić nieomal tam, gdzie była przed czterema latami.

[2] *Lehrbuch der Chronologie* str. 360.

[3] „Nur so viel ist klar, dass Anatolius die Jahre seines Cyclus nicht nach der oben gedachten Weise zählte (to jest, że początkiem dziewiętnastolecia jest rok podzielny bez reszty przez 19), und zum Anfange des Frühlings noch nicht (? chyba: nicht mehr) den 21. März machte. Eusebius

Wypada przypuścić, że Ideler byłby przytoczył książkę Buchera, gdyby z niej czerpał swoje poglądy; skoro nie przytacza, dziwić musi, jak rozumuje; z Buchera nie korzysta, a powtarza błędy jego rozumowania, których kilka wytyka prof. Karliński.

I tak po 1-e: Jak świadczy przytoczony ustęp, Eusebiusz nic tu ze swojej strony nie dodaje, ale wprowadza Anatola, który tak samo u Eusebiusza, jak u Bedy, wyraźnie powiada: „Masz (Ἔχεις) w pierwszym roku nów pierwszego miesiąca, będący początkiem (ἀρχή) całego dziewiętnastolecia“ dnia 22-go marca. Skoro więc (powtarzamy) nów 22-go marca, to Luna XIV. (kres wielkanocny 14-go dnia od nowiu w przeddzień pełni) dnia 22 + 14 = 36-go marca czyli 5-go kwietnia, nie zaś 4-go kwietnia, jak wyliczył przez omyłkę Ideler. A ten kres wielkanocny 5-go kwietnia odpowiada istotnie liczbie złotej 1, to jest początkowi dziewiętnastolecia kanonu aleksandryjskiego [1].

---

bemerkt nähmlich, dass er im ersten Jahr seiner Enneadekaedris den Neumond auf den 26 Phamenoth oder 22 März gesetzt habe. Hiernach stellt sich die Ostergrenze auf den 4 April. Doch ist aber in der alexandrinischen Tafel der Ostergrenzen das Datum der Luna XIV. für die güldene Zahl 12. Er muss eben seinen Cyclus mit dem Jahre 277 angefangen haben, vermuthlich aus keinem anderen Grunde, weil er ihn in demselben entwarf. Weiterhin versichert Eusebius, dass ihm jener 26 Phamenoth der vierte Tag seit Eintritt der Sonne in das erste Himmelszeichen gewesen, woraus folgt, dass er die Frühlingsnachtgleiche auf den 19 März gesetst haben müsse etc“.

[1] Skąd Ideler dostał na pierwszy rok okresu przeddzień pełni 4-go kwietnia? Istotnie na ten dzień wypadłby kres wielkanocny, gdyby św. Anatol wskazał na I. wiek nów w dzień równonocny 21 marca nowego stylu. Wtedy zacząłby dziewiętnastolecie nie od roku 0, ale od 11, na który przypada liczba złota 12, i w którym nów przypadł na dzień równonocny, jak poprzedni dowód wykazał. W takim razie, św. Anatol postąpiłby zgodnie i z astronomią i z własną swoją myślą przewodnią, ale tem samem liczyłby rok 11 po Chr. P. za pierwszy w dziewiętnastoleciu i przypisałby dla niego liczbę złotą 1 nie 12 — ale nie na tem koniec; w takim razie św. Anatol liczyłby dnie pierwszego wieku po Chr. P. według kalendarza gregoryańskiego, a nie według juliańskiego, bo równonocnia w wieku I. wypadała w dniu marca $\frac{\text{23-im star st.}}{\text{21-ym now. st.}}$, a 14-ty dzień po nowiu w latach 11, 30, 49 i t. d.,

Wskutek tego, po 2-e: Nie mógł położyć i nie położył z pewnością Anatoliusz początku swojego cyklu na rok 277-y, ale zaczął od roku podzielnego bez reszty przez 19, a więc albo od roku 266-go albo od 285-go, prawdopodobnie od 266-go, bo w tym roku żył jeszcze, kiedy natomiast w r. 285-ym rozpoczęło się, według Idelera, prześladowanie chrześcijan przez Dyoklecyana, którego, jak się z Eusebiusza pokazuje, Anatol nie dożył.

Po 3-e: Ani Anatol ani Eusebiusz nie byli tak lichymi astronomami — mówi prof. Karliński — iżby nie wiedzieli, że skoro Hipparch w r. 146-ym przed Chr. P. obserwował równonocnię wiosenną dnia 24-go marca, a Ptolomeusz w r. 138-ym po Chr. P. dnia 22-go marca, to równonocnia ta za czasów Anatola nie mogła być 19-go marca. Wyrażenie więc τετάρτην ἡμέραν czwarty dzień nie jest wyrażeniem Anatola ani Eusebiusza, ale po prostu mamy przeróbkę kanonu dokonaną w szóstym wieku, kiedy równonocnia była istotnie 19-go marca, a więc 22-gi marca dniem czwartym drogi słońca.

Niema przeto najmniejszego powodu do obawy, czy od św. Anatola nie pochodzi jakibądź kanon błędny raczej, niż aleksandryjski; przytoczone świadectwa i uwagi przekonują, że twórcą kanonu kresów wielkanocnych starego kalendarza był nie kto inny, jak Aleksandryjczyk Anatol, biskup Laodycei w Syryi w pierwszych dziesiątkach drugiej połowy wieku III. po Chr. P.

Uważając z tych powodów św. Anatola za twórcę aleksandryjskiego kanonu, wbrew przeciwnemu twierdzeniu Idelera, tem samem iść musimy za świadectwem historycznem Ojców

---

wypadał w dniu kwietnia $\frac{\text{6-ym star. st.}}{\text{4-ym now. st.}}$. Widocznie do rąk Idelera doszedł kanon aleksandryjski wydany poprawnie w czasach nowożytnych, więc którego św. Anatol nie układał. A nowożytny wydawca poprawnego kanonu nie uniknął pomyłki, po której W. Beda odróżniał kanon pierwotny od podrobionych; kto co zrozumiał po swojemu, to przerobił, a nie poprawił, czego zrozumieć nie mógł; stąd jedno z drugiem nie licowało. Tak Ideler nie zrozumiał, że liczba złota 12 wskazuje 12-ty rok dziewiętnastolecia z kresem wielkanocnym 4-go kwietnia, więc przestawił ten rok na początek okresu, a mimo to zostawił przy nim liczbę złotą, która w takim razie zupełnie na nic nie służy.

i astronomicznem prof. Karlińskiego, i twierdzić, że ze św. Anatolem nic wspólnego nie mają błędy wydane przez Buchera pod napisem: *Canon paschalis Anatolii Alexandrini Laodicensis episcopi.* Nieprawidłowo ustawiane lata przestępne, równonocnia raz przyspieszona do 19-go marca a potem cofnięta na 24-y marca, złota liczba i wrota księżyca podawane jak wypadło, choćby w porządku, jakiego ani w Rzymie, ani w Aleksandryi nikt nie znał, a co najważniejsza, czternaste dnie podane tak jakoś dwuznacznie, że nie wyglądają na kres, za którym idzie niedziela wielkanocna, ale wprost na sam dzień święta, więc wyraźnie postawiona zasada, że samo święto Wielkanocy wraca w ten sam dzień co lat dziewiętnaście: to wszystko przechodzi rozmiary mimowolnych pomyłek pisarza. Chyba tu więc nie mamy nic innego, jak heretycki kanon Czternastodniowców, Anatolowi niegodziwie podsunięty. Albowiem uczony ten biskup-astronom przynajmniej to (pominąwszy wszystko inne), wiedział dobrze, że równonocnia 25-go marca przypadała przed Hipparchem w III. wieku przed Chr. P., albo że niedziele wracać mogą w stałym porządku dopiero po latach 28-iu a nie po 19-tu; nakoniec spostrzegł braki tablic św. Dyonizego i Hipolita, opartych na ośmioleciu i pierwszy wprowadził okres 19-letni. Ten sam szczegół już świadczy, że św. biskup zbyt jasno rozumiał swój przedmiot, aby mógł utworzyć w takim stanie jakieś tablice, w jakim znalazł Bucher rzekomy kanon tego Ojca Kościoła.

Jakież koleje spotykały pracę św. Anatola w wiekach następnych?

Kilku pisarzy kościelnych podaje, że (jak przodkowie ich mówią), sobor nicejski w zasadzie przyjął ten kanon, jako prawidło ogólne, a co do szczególnych lat poruczył sprawę aleksandryjskim patryarchom, którzy mieli co roku stwierdzić astronomicznie, kiedy wypada Wielkanoc, a na ich świadectwie oparty patryarcha rzymski miał ostatecznie ogłaszać dzień wielkanocny wszystkim Kościołom [1].

---

[1] Tak opat Dyonizy w początku Przedmowy (Migne t. LXVII, str. 485): „idziemy we wszystkiem w ślad za wielebnymi trzystu ośmnastu bisku-

Aleksandryjscy patryarchowie w poruczonym sobie zakresie pilnie pracowali, jak świadczą i ślady pism po nich ocalone przed pożarem Aleksandryi, i wyraźne słowa niejednego pisarza. Tak opat Dyonizy w liście I. do Petroniego [1] donosi: „Aleksandryjskiej stolicy arcybiskup, błogosławiony Atanazy, podczas soboru nicejskiego dyakon Aleksandra biskupa i we wszystkiem pomocnik, a dalej wielebny Teofil i Cyryl, od czcigodnej uchwały synodu wcale nie odstąpili. Owszem właśnie, wiernie zatrzymując okres dziewiętnastolotni, zwany po grecku ἐννεακαιδεκαέτηρις, wstawiali weń obieg dni wielkanocnych bez żadnej zmiany. Biskup zaś Teofil Teodozemu starszemu cesarzowi zadedykował swoją tablicę wielkanocną na przeciąg lat stu, a św. Cyryl, ułożywszy wielką tablicę na lat 95, zachował wszystko, co podaje sobór o czternastych dniach, od których zależy Wielkanoc".

W biegu tych lat zaszedł wypadek, który pokazuje, jak powaga chrześcijańskich astronomów w Aleksandryi nawet Żydów przekonała o nieładzie w ich tablicach paschalnych. Przed soborem nicejskim chrześcijanie do żydowskich tablic stosowali swoje; rozkwit astronomicznej wiedzy wśród grona patryarchów

---

pami, którzy w Nicei... także utrwalili niewzruszone i stałe czternaste dnie (na jakie Wielkanoc potrzebuje zwracać uwagę), powtarzane kolem po okresie dziewiętnastoletnim". Także św. Ambroży w liście 83 do biskupów w Emilii (Migne t. XVI, str. 1075): „zgromadzeni na sobór nicejski... także dla święta rzeczonego, przy pomocy znawców, przyjęli dziewiętnastolecie, i ustanowili jakoby koło i wzór dla lat następnych". Równie Beda (*De ratione computi* cap. 16: Migne t. XC, str. 592): „synod nicejski przypisał okres dziewiętnastoletni czternastych dni wielkanocnych, bo każda zmiana księżyca po dwustu trzydziestu pięciu zawrotach, staje na tym samym dniu roku po dziewiętnastoleciu słonecznem". Św. Cyryl w Prologu (Migne t. LXXVII, str. 385): „Zgoda soboru świętych z całego świata uchwaliła, aby Aleksandrya, iż posiada w swoim kościele znawców, co roku uwiadamiała Kościół rzymski, na który dzień roku i miesiąca wypadnie obchód Wielkanocy, zatem apostolska powaga pouczy o tym dniu Kościół Powszechny bez żadnego powodu do sporów". Tak pisze w r. 437, a wkrótce po nim Leon Wielki (Migne t. LIV, str. 1056); „Święci ojcowie troskę tę aleksandryjskiemu biskupowi powierzyli, (gdyż Egipcyanie uchodzą od dawien za znawców,) aby corocznie o tym dniu uroczystym uwiadamiał Apostolską Stolicę, a ta roześle pismo na dalsze Kościoły".

[1] Migne LXVII, str. 19.

aleksandryjskich pozwolił chrześcijanom pomijać pomoc rabinów, jako niedostateczną, owszem wytknąć im zły stan ich kanonów. W pożyczonem z Aleksandryi świetle, rabin Hillel, zwany patryarchą z Tyberyady, ułożył dla współwyznawców swoich nową tablicę, zgodną ze stanem nieba. Oparł ją na zaćmieniu księżyca, które miało miejsce w r. 344-ym po Chr. Panu 23-go września o godzinie 9 minut 41 według południka jerozolimskiego [1]. Ten czas, obliczony w ułamku dnia, wyraża, że w chwili owego zaćmienia, przestępny rok 344-y liczył 266·88472 dni. A następny nów wiosenny wypadł o 6 miesięcy synodycznych później, kiedy rok liczył 266·884 72 + 177·183 591 6 — 366 = 78·068 2638: zatem cykliczny nów wiosenny r. 345-go wypadł 20-go marca około godziny 1 po północy, tego samego dnia, którego słońce przechodziło przez punkt równonocny w wieku IV. Tą samą drogą łatwo przejść na nowie wiosenne z każdego nowiu jesiennego, podanego w tablicy Hillela na dziewiętnastolecie od roku 345-go do 363-go włącznie.

Tablica ta uderza zmienionym początkiem dziewiętnastolecia. U św. Anatola na pierwszem miejscu staje rok podzielny przez 19 bez reszty, więc w tym razie rok 342 albo 361. Hillel przekłada lata 342, 343 i 344, albo 361, 362 i 363 na koniec kanonu, a zaczyna od roku 345, który w dziewiętnastoleciu św. Anatola nastąpiłby po trzech latach początkowych na 4-tem miejscu.

Tę samą zmianę w początku dziewiętnastolecia przyjęły Wschodnie księgi Cerkiewne bez żadnych bliższych opisów, skąd i dlaczego opuszczają św. Anatola. Ale jeszcze św. Cyryl Aleksandryjski szedł drogą pośrednią; zachował początek okresu w roku podzielnym przez 19 bez reszty, ale w trzy lata potem rozpoczyna drugi rząd liczb porządkowych, o trzy jednostki niższych od liczby złotej, i nowym liczbom daje nazwę wrót księżycowych. I tak Wschód liczy do dziś dnia wrota księży-

[1] W zapiskach swoich Hillel podaje czas o 6 godzin późniejszy, bo zaczyna dobę wcześniej, już o 6-ej wieczorem.

cowe, o trzy jednostki niższe od pierwotnych liczb, zachowanych na Zachodzie pod nazwą liczby złotej.

Całą tę zmianę łatwo wyjaśnić; dość pamiętać, co za myśl przewodniczyła świętemu twórcy kanonu, kiedy wyznaczał jego początek: za próg dziewiętnastolecia uważał rok, w którym nów wiosenny przypada jednego dnia z równonocnią. Otóż równonocnia w wieku IV. przypadała, jak wyżej powiedziano, dnia 20-go marca. Zatem nów wiosenny, który rzeczywiście w IV. w. wypadał 22-go marca r. 342-go, nie odpowiadał owym słowom: „Masz początek dziewiętnastolecia“ i t. d. Więc w przewodniem świetle pierwotnej zasady, następcy św. Anatola spostrzegli inny rok, w którym słońce razem z księżycem rozpoczynało swoją drogę, mianowicie r. 345-ty, który teraz odpowiadał zasadzie, ale przyspieszonej o dwa dni od wieku soboru nicejskiego: z 22-go na 20-ty dzień marca.

Ta poprawka dwóch dni dowodzi, że Aleksandryjczycy nie ślepo wierzyli kanonowi; spostrzegli w nim błąd, który wówczas wynosił właśnie dwa dni, wbrew sądowi często spotykanemu, że kanon był dobrym za czasów soboru nicejskiego. Tak jednak nie było. W wieku bowiem IV. równonocnia przypadała d. 20-go marca, a kanon cofał ją w czasy Ptolomeusza na dzień 22-gi marca.

W wieku znowu I. po Chr. P. kanon równonocnię dobrze wskazywał, ale dniami nowiów i pełni wyprzedzał niebo o całą dobę. A że pominięto w nim ową małą różnicę, wynoszącą w 310 latach jeden dzień, w trzy zatem wieki błąd kanonu co do księżyca wyniósł $+1-1=0$, to znaczy kresy wielkanocne od razu przyspieszone o dobę, a potem zatrzymane na miejscu, przeczekały, aż księżyc je dogonił. Stąd wynikło, że kanon po soborze nicejskim mógł zrównać swoje kresy i rzeczywiście zrównał z księżycem.

Poprawkę tę dodali ci patryarchowie, których astronomicznej nauce powierzył sobór pieczę nad kanonem. Uderzyć tu musi ten sposób, pełen czci dla dzieła poprzedników, w którym święci Atanazy, Teofil i Cyryl zostawiają całe dzieło św. Anatola nie tknięte, i wierni jego zasadzie, w jego myśli na inny rok przekładają ten początek wrót księżyca, którego nie zna-

leźli w roku podzielnym przez 19 bez reszty. Zarówno zastanawia inne pytanie: czemuż ci święci nie zaradzili przytem owemu nieporządkowi z równonocnią, która od Hipparcha do Ptolomeusza skoczyła z 25-go marca na 22-gi, od Ptolomeusza do soboru z 22-go na 20-y marca? Co do tego pytania można spostrzedz, jak wyraźnie już od Ptolomeusza, i święci Ojcowie, i późniejsi pisarze wschodni aż do wieku XIV. coraz bliżej zaczynali poznawać, że równonocnia spieszy nieustannie, ale nie znali jeszcze dokładnie rozmiarów tego przyśpieszania. Ta sprawa, zrównania słońca, od której zależy data miesiąca, zupełnie różna jest od sprawy zrównania księżyca, od której zależy Wielkanoc, i o której obecnie piszemy. Tą pierwszą sprawą Kościół nie zajmował się wcale; zdawał się czekać na Kopernika, którego obserwacye umożliwiły dokładne sprostowanie równonocni.

W każdym razie poprawkę co do początku dziewiętnastolecia uwzględnili święci patryarchowie aleksandryjscy. Nikt na Wschodzie tej potrzeby nie zapoznał, choć nikt nie poszedł zaraz tak daleko, jak Żyd Hillel, który nie zważał na św. Anatola ani na pierwotny jego początek okresu i wyprowadził swoje dziewiętnastolecie od r. 345-go. Kościół Wschodni, jak powiedziano, poszedł w ślady Hillela, Zachodni został przy św. Anatolu [1].

Ks. Konstanty Czaykowski.

---

[1] Ta zmiana początku nie dotknęła epakt, które właśnie od wieku dopiero IV. zaczęły, zgodnie z niebem, wyrażać przyrost dni księżycowych od nowiu, w dniu rzekomej równonocni 22-go marca. Stąd na każdy z dziewiętnastu lat przypadały teraz te same epakty, które w wieku II. pokazywały nowie o jeden dzień zawcześnie; więc poszły na Wschodzie, zastosowane do nowych wrót księżyca:

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19
3	14	25	6	17	28	9	20	1	12	23	4	15	26	7	18	0	11	22

;

na Zachodzie zostały epakty przy starej liczbie złotej:

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19
0	11	22	3	14	25	6	17	28	9	20	1	12	23	4	15	26	7	18

Załącznik I. (do str. 231).

Widzimy to u św. Teofila, metropolity Nowej Cezarei, który przewodniczył na soborze palestyńskim w r. 198-m, więc w czasie, kiedy równonocnia wypadała 21 marca, zatem ów święty z czasów przednicejskich używał tej samej daty, którą mamy teraz w kalendarzu gregoryańskim. Podczas soboru przyszło do rozprawy o Wielkanocy, przyczem święty metropolita, zgodnie z innymi biskupami, mówił, że Chrystus Pan cierpiał od wieczora 22-go marca, od chwili zdrady Judasza, a 25-do marca zmartwychwstał. („Passus ab XI. Cal. Apriles, qua nocte a Iuda est traditus, et ab VIII. Cal. Apr. resurrexit". Migne, *Patr. Lat.* XC, 495). Tedy piątek Męki Pańskiej wypadł 23-go marca. Ale był to sam dzień równonocny w pierwszym wieku; więc żadną miarą Żydzi nie mogliby jeść Paschy w tym dniu; musieliby jeszcze czekać do nowiu wiosennego, i dopiero po nim liczyć dni 14 do Paschy. Więc chyba odrzucić świadectwo św. Teofila? Wcale nie potrzebuje o tem myśleć, kto pamięta, że 23-ci dzień marca w wieku św. Teofila wypadał już w dwa dni po równonocni, to znaczy, odpowiadał 25-u marca st. stylu w wieku I; ta uwaga naprowadza na domysł: może św. Teofil dobrze wskazuje dzień w wieku pierwszym, ale nazwę na ten dzień wziął od trzeciego wieku? Aby wyśledzić prawdę, wystarczy zbadać, w których to latach pierwszego wieku piątek wypadał w dniu, uważanym za 23-ci marca w czasie świętego Teofila? Na to pytanie odpowiada matematyczny wzór, (u prof. Karlińskiego, „Przyczynek, 3 str.: $5 = r\left(\frac{23 + \Delta R}{7}\right)$, to znaczy, reszta 5 zostać ma z podziału sumy $23 + \Delta R$ przez 7, a ΔR wyraża liczbę dowolną od 0 do 6, więc tu wypada $\Delta R = 3$), który uczy, że taki wypadek zachodził w latach 3, 8, 14, 25, 31, 36, **42**, 53 i t. d. O którymże z tych lat myślał św. Teofil? Z jego słów już nie można tego wiedzieć, ani ze słów św. Eusebiusza, który w tak zwanej Kronice Paschalnej podaje także piątek 23-go marca, ale niczem więcej nie określa tej daty. Jednak wielu innych Ojców dodaje szczegół, który uzupełnia słowa św. Teofila. Tak św. Cyryl (Migne, *Patr. Gr.* LXXVII, 389: „czternastego dnia po nowiu zdradzony, piętnastego cierpiał, w nocy z 16-go na 17-y zmartwychwstał"), św. Ambroży (Migne, *P. L.* XVI, 1074: „Pan nie 14-go dnia po nowiu cierpiał, ale 15-go, a 17-go zmartwychwstał"), św. Proter (Migne, *P. L.* LXVII, 507: „we czwartek Pan 14-go dnia 1-go miesiąca w wieczerniku z uczniami Paschę spożył, następnego dnia w pełnię ukrzyżowany, w niedzielę zmartwychwstał 17-go dnia po nowiu"), nakoniec W. Beda (Migne, *Patr. Lat.* XC, 495) mówi: „Pan wstąpił na krzyż w dzień pełni". Samego Bedy świadectwo starczy za wielu innych, bo trudno znaleźć na świecie lepszego świadka od Bedy, a to z przyczyny prostej: żaden z Ojców nie dorówna Bedzie w obawie, aby nie zmienić myśli i nauki poprzedników, aby nie dodać ze siebie ani słówka, ani głoski, ani prawie przecinka. Więc i o dniu Męki Pańskiej tylko to powtórzył W. Beda, co ogół przed nim mówił i pisał: że Pan umarł w piątek podczas pełni, a w przeddzień pełni spożył wieczerzę z uczniami.

W których latach przypadał przeddzień pełni na czwartek, w pierw-

szym wieku ery chrześcijańskiej? Znowu potrzeba zapożyczyć z matematyki wzoru, („Przyczynek“, str. 11 i 17: na ów rok R wypada zrównanie

$$r\left\{\frac{r\left[\frac{19r\left(\frac{R}{19}\right)+15}{30}\right]+r\left(\frac{1{\cdot}25R}{7}\right)}{7}\right\}=4 \text{ albo } r\left[\frac{r\left(\frac{19c+15}{30}\right)+\Delta R}{7}\right]=4,$$

kładąc $r\left(\frac{R}{19}\right)=c$, $r\left(\frac{1}{7}R\right)=\Delta R$, stąd można wyliczyć na lata:

0	$r\left(\frac{36+0}{7}\right)=1$	19	$r\left(\frac{36+2}{7}\right)=3$	38	$r\left(\frac{36+5}{7}\right)=6$
1	$r\left(\frac{25+1}{7}\right)=5$	20	$r\left(\frac{25+4}{7}\right)=1$	39	$r\left(\frac{25+6}{7}\right)=3$
2	$r\left(\frac{44+2}{7}\right)=4$	21	$r\left(\frac{44+5}{7}\right)=0$	40	$r\left(\frac{44+1}{7}\right)=3$
3	$r\left(\frac{33+3}{7}\right)=1$	22	$r\left(\frac{33+6}{7}\right)=4$	41	$r\left(\frac{33+2}{7}\right)=0$
4	$r\left(\frac{22+5}{7}\right)=6$	23	$r\left(\frac{22+0}{7}\right)=1$	42	$r\left(\frac{22+3}{7}\right)=4$
5	$r\left(\frac{41+6}{7}\right)=5$	24	$r\left(\frac{41+2}{7}\right)=1$	43	$r\left(\frac{41+4}{7}\right)=3$
6	$r\left(\frac{30+0}{7}\right)=2$	25	$r\left(\frac{30+3}{7}\right)=5$	44	$r\left(\frac{30+6}{7}\right)=1$
7	$r\left(\frac{49+1}{7}\right)=1$	26	$r\left(\frac{49+4}{7}\right)=4$	45	$r\left(\frac{49+0}{7}\right)=0$
8	$r\left(\frac{38+3}{7}\right)=6$	27	$r\left(\frac{38+5}{7}\right)=1$	46	$r\left(\frac{38+1}{7}\right)=4$
9	$r\left(\frac{27+4}{7}\right)=3$	28	$r\left(\frac{27+0}{7}\right)=6$	47	$r\left(\frac{27+2}{7}\right)=1$
10	$r\left(\frac{46+5}{7}\right)=2$	29	$r\left(\frac{46+1}{7}\right)=5$	48	$r\left(\frac{46+4}{7}\right)=1$
11	$r\left(\frac{35+6}{7}\right)=6$	30	$r\left(\frac{35+2}{7}\right)=2$	49	$r\left(\frac{35+5}{7}\right)=5$
12	$r\left(\frac{24+1}{7}\right)=4$	31	$r\left(\frac{24+3}{7}\right)=6$	50	$r\left(\frac{24+6}{7}\right)=2$
13	$r\left(\frac{43+2}{7}\right)=3$	32	$r\left(\frac{43+5}{7}\right)=6$	51	$r\left(\frac{43+0}{7}\right)=1$
14	$r\left(\frac{32+3}{7}\right)=0$	33	$r\left(\frac{32+6}{7}\right)=3$	52	$r\left(\frac{32+2}{7}\right)=6$
15	$r\left(\frac{21+4}{7}\right)=4$	34	$r\left(\frac{21+0}{7}\right)=0$	53	$r\left(\frac{21+3}{7}\right)=3$
16	$r\left(\frac{40+6}{7}\right)=4$	35	$r\left(\frac{40+1}{7}\right)=6$	54	$r\left(\frac{40+4}{7}\right)=2$
17	$r\left(\frac{29+0}{7}\right)=1$	36	$r\left(\frac{29+3}{7}\right)=4$	55	$r\left(\frac{29+5}{7}\right)=6$
18	$r\left(\frac{48+1}{7}\right)=0$	37	$r\left(\frac{48+4}{7}\right)=3$	56	$r\left(\frac{48+1}{7}\right)=0$

wypadają lata 2, 12, 15, 16, 22, 26, 36, **42**, 46 i t. d.

Więc jedni wymieniając dzień miesiąca, a drudzy określając dzień po nowiu, oznaczają dwa szeregi lat, które mają człon wspólny: rok 42 ery Dyonizego; w tym roku pełnia wypadła w piątek 23-go marca.

Św. Epifaniusz (Migne, *P. G.* XLI, 934) także powtarza, że przeddzień pełni wypadł we czwartek, ale (Haer. 50 n. 1) wyczytuje piątek 25 marca w rzekomych *Acta Pilati,* na których polegali bardzo Montaniści i Czternastodniowcy. Jeżeli to źródło zasługuje na wiarę, tedy właśnie odpowiada powyższym świadectwom Ojców, którzy trzeci dzień po równonocni liczyli w III. wieku jako 23 marca, a owe akta, spisane w wieku I., liczą ten dzień za 25 marca. Św. Hipolit zostawił swój kanon wyryty na kolumnie, odkrytej dopiero w nowszych czasach, i zapisuje tam 25 dzień marca przy dniach Męki i Zmartwychwstania Pańskiego. Równie niejasno i mimochodem potrąca tę sprawę św. Augustyn (Migne, *P. L.* XXXIV, 629), bo nie odróżnia szczegółowo piątku Męki Pańskiej od niedzieli Zmartwychwstania, tylko wogóle wspomina o tych wypadkach i zestawia je z dniem Zwiastowania Matki Boskiej; słowem wskazuje 25 dzień marca jako wspólną rocznicę Wcielenia Syna Bożego i Jego śmierci albo Zmartwychwstania. Ale jasne słowa Ojców wschodnich pozwalają zrozumieć zgodną myśl w ciemnych wyrazach św. Augustyna i św. Hipolita.

Sprawa więc cała dość jasno wygląda, jeżeli uważamy, że Ojcowie znali stan nieba z wieku III. i w tył przerzucali, na I. wiek, daty swoje, te właśnie, króre utrwalone przez sobór nicejski i reformę Grzegorza XIII., opierają rachubę na równonocni 21 marca; Ojcowie, słowem, gregoryańskim stylem liczyli dnie z czasów Chrystusa Pana.

Inaczej zupełnie postąpił św. Maksym (Migne, *P. G.* XIX), a prowadzi do tego samego wyniku, bo piątku Męki Pańskiej nie określił ani dniem miesiąca, ani dniem po nowiu, tylko rokiem, oznaczonym wrotami słońca 18 i złotą liczbą 5. Używa przy tem ery, zwanej etyopską, przy której złotą liczbę oblicza, jak Kościół rzymski, wzorem $r\left(\frac{R+1}{19}\right)$, ale do wrót księżyca stawia wzór $r\left(\frac{R+4}{28}\right)$, mianowicie o 16 miejsc niższe wrota stawia, niż Cerkiew wschodnia z wzoru $r\left(\frac{R+20}{28}\right)$. Stąd na r. 641 ery Dyonizego Zachód używa liczby złotej 15, a Cerkiew wrót słońca 17; św. Maksym z tą samą liczbą złotą dostaje wrota słońca 1 i dochodzi do Wielkanocy 8 kwietnia, zgodnie z Rzymianami i Grekami. Na jakiż tedy rok wypadają wrota słońca i złota liczba według wzorów św. Maksyma? Matematyka odpowiada [$r\left(\frac{R+4}{28}\right) = 18$, $\frac{R+4}{28} = x + \frac{18}{28}$, $R + 4 = 28x + 18$; $r\left(\frac{R+1}{19}\right) = 15$, $\frac{R+1}{19} = y + \frac{15}{19}$, $R + 1 = 19y + 15$; $R = 28x + 14 = 19y + 4$; $10 = 19y - 28x$; $\frac{28}{19}x + \frac{10}{19} = y = x + \frac{9}{19}x + \frac{10}{19} = x + u$; $9x + 10 = 19u$; $x + \frac{10}{9} = \frac{19}{9}u = 2u + \frac{u}{9}$; $x = 2u - 1 + \frac{u}{9} - \frac{1}{9} = 2u - 1 + w$; $u - 1 = 9w$;

$u = 9w + 1$; $x = 18w + 2 - 1 + w = 19w + 1$; $y = 19w + 1 + 9w + 1 = 28w + 2$; $R = 28 . 19w + 28 + 14 = 19 . 28w + 38 + 4 = 532w + 42$] i znowu wskazuje rok 42 ery Dyonizego a 34 ery etyopskiej. Na ten rok powyższe wzory podały pełnię w piątek dnia 23 marca: tak wszystkie drogi prowadzą do tegoż wyniku, do dnia śmierci Zbawiciela: w samą pełnię, w piątek dnia 23-go marca roku 42-go ery Dyonizego.

„DZIADY“ MICKIEWICZA

W OŚWIETLENIU PANI M. KONOPNICKIEJ.

Biblioteka Warszawska zamieściła w zeszytach: wrześniowym i październikowym z. r. artykuł pani M. Konopnickiej p. t. „O I-ej i II-ej części Mickiewiczowskich ‚Dziadów‘ słów kilka“. Jakkolwiek tytuł zdawałby się ograniczać zakres rozprawy tylko do dwu pierwszych części „Dziadów“, to jednak mamy tu do czynienia z poglądem autorki na całokształt „Dziadów“, jak to się w toku rzeczy pokaże. Zapatrywania głośnej poetki na wielki utwór Mickiewicza są charakterystyczne i zasługują tem bardziej na baczną uwagę, ile że autorka załatwia się bez ceremonii i w sposób bezwzględny z różnemi poglądami poprzednich na tem polu pracowników. Miałem też zamiar zaraz po ukazaniu się artykułu pani K. napisać o nim słów kilka; różne przeszkody, ważniejsze zajęcia, z których tylko wymienię przygotowania do obchodu Mickiewiczowskiego w Lozanie, zmusiły mnie do odłożenia na później niniejszych uwag. Że zaś właśnie mnie spieszno było z wyrażeniem swego zdania, zrozumie to każdy, kto pracę p. Konopnickiej odczytał. Zaznacza ona wyraźnie z samego początku swego artykułu: „Autorem, którego tu trzymać się zamierzam, jest dr. Józef Kallenbach, prof. fryburskiego Uniwersytetu. Książka, na której się oprę, jest dwutomowe dzieło jego p. t. ‚Adam Mickiewicz‘, wydane w 1897 r. w Krakowie“.

Niestety! p. Konopnicka nietylko nie „trzyma się“ mnie, ani się nie „opiera“ na mej pracy, ale owszem w ciągu całego swego artykułu usiłuje obalić, osłabić, wydrwić moje zapatrywania na „Dziady“. Byłoby to dla mnie bardzo upokarzające i zawstydzające, gdyby było słuszne. Byłoby dla całej kwestyi „Dziadów“ bardzo ważne, *epochemachend,* jak mówią Niemcy, gdyby było — prawdziwe.

Nie ułatwia mi to zadania, owszem utrudnia je w większym, niżby kto przypuszczał, stopniu, że polemizując z wywodami p. Konopnickiej, powoływać się muszę na własną książkę; mimowolnie nabiera przez to rzecz przysmaku osobistego, o który tu bynajmniej nie chodzi. Będę się starał mówić o zapatrywaniach autorki na „Dziady“, skoro jednak spotkał mnie ten wątpliwy zaszczyt, że właśnie moja monografia stała się celem pocisków i dała pochop p. Konopnickiej do wypowiedzenia swych uwag o I-ej i II-ej części „Dziadów“, bądź całkiem mylnych, bądź też skrzywionych dowolnością sądu — zmuszony będę nieraz przytoczyć ustęp z mej książki, a czytelnika proszę z góry o cierpliwość. Spotka się on bowiem z takiemi dziwnemi poglądami autorki na sposób naukowy traktowania przedmiotu, że może go opanować i nuda i zniecierpliwienie, którym i ja sam, jakkolwiek najbardziej interesowany, kilkakroć uległem w trakcie odczytywania artykułu p. Konopnickiej.

Przedewszystkiem zaznaczam i będę tego w ciągu mego artykułu dowodził:

Pani Konopnicka przystąpiła do napisania swej pracy bez dokładnej znajomości danego przedmiotu, bez pobieżnego nawet rozczytania się w literaturze obszernej, dotyczącej „Dziadów“.

Dowody. Pierwsze zdanie artykułu p. Konopnickiej zawiera pierwszy, pierwotny błąd, za którym pójdą, i z którego zrodzą się inne. „Nazywamy dowolnie“ — mówi p. Konopnicka [1]) — „pierwszą częścią „Dziadów“ luźne, po śmierci poety

[1] Podkreślenia wyrazów odemnie pochodzą, ilekroć nie zwrócę osobno uwagi czytelnika, że przytaczam wyraz, podkreślony przez panią K.

wydane „Fragmenty“, lubo nie zostało dotychczas wyjaśnionem, czy rzeczywiście stoją one w stosunku poprzedniości do „Dziadów“ części drugiej, owszem, lubo zupełnie jest wątpliwem, czy wogóle obie te części wypełniają sobą już uporządkowany pod względem planu poetycki pomysł“ (str. 489). „Faktem jedynie pewnym jest, że w tece poety znalazły się po śmierci jego owe niewydane urywki, że je jako I-szą część „Dziadów“ wydano, i że za taką powszechnie, lubo całkiem bezkrytycznie przyjęte zostały“ (str. 490, por. także str. 520).

Gdy się to czyta, oczom się wierzyć niechce Któż się to ośmielił tak nas zmistyfikować? Kto śmiał dowolnie przysądzić I-ej części „Dziadów“ luźne fragmenty, i jakież straszne zaćmienie padło na historyków literatury, że tak „powszechnie“, lubo całkiem bezkrytycznie niewydane urywki uznano za szczątki I-ej części „Dziadów“?! I to wszystko nie zostało dotychczas wyjaśnione, aż przyszła p. Konopnicka i rzekła: *Fiat lux!*

Na szczęście dla owej „bezkrytyczności“ są przecież argumenty, które bezkrytyczność p. Konopnickiej we właściwem ukazują świetle. Wiadomo, w jakiem to wydaniu ukazały się po raz pierwszy fragmenty I-ej części „Dziadów“. Wydawał je z autografu Julian Klaczko. Czy mógł człowiek takiego rozumu (nie mówiąc już o takcie estetycznym i o sumienności wydawniczej) nadawać bezkrytycznie i samowolnie jakimś fragmentom miano I-ej części „Dziadów“? Przypuśćmy na chwilkę (choć i przypuszczać trudno), że tak, że Klaczko wydał fragmenty z dowolnym tytułem: „I-sza część Dziadów“. Czy syn poety, kiedy przystępował do ogólnego, ponownego wydania, nie byłby właściwego stanu rzeczy podał?

Ale p. Konopnicka nie potrzebowała nawet sobie nad tem wszystkiem łamać głowy. Przed dwunastu laty wydała Akademia Umiejętności dokładną rewizyę tekstu „I-ej cz. Dziadów“ w tomie VI. Wydziałów pamiętnika filologicznego i historycznego. Podałem tam wierną kopię autografu poety, który przez dłuższy czas miałem w ręku i na posiedzeniu Wydziału filologicznego

pokazałem. Cóż czytamy na pierwszej stronicy autografu, z samego jej początku:

„Prawa strona teatru. ‚Dziady', widowisko. Część I. Dziewica w samotnym pokoju" i t. d.

A teraz pytam się wszystkich ludzi zdrowo myślących:

Kto wiedział lepiej czy pisze I-szą lub inną część „Dziadów" — Adam Mickiewicz, czy też p. Konopnicka?

Czy nie mam racyi, mówiąc, że autorka nie zna literatury danego przedmiotu? Czy mogłem przypuszczać, że w 12-cie lat po ogłoszeniu tekstu autografu znajdzie się ktoś, piszący o I-ej części „Dziadów" i — skompromituje się uwagami o „bezkrytyczności" i „dowolności" w nazwaniu tej właśnie części I-szą?

Ale to dopiero początek przyjemności. Czytamy na str. 495 *(Bibl. Warsz.* wrzesień 1898 r.): „Gdy mu (Kallenbachowi) przychodzi mówić o pierwszem wileńskiem wydaniu „Dziadów", wydaniu obejmującem, jak wiadomo, część II-ą i część IV-ą, pisze tak:

„‚Kiedy poeta z czterech części ‚Dziadów' dwie postanowił wydać i t. d.' — zapominając najzupełniej, że owe dwie części, II-a i IV-a, wydane w kwietniu 1823 r. nie mogły być wybrane z czterech części ‚Dziadów'[1] już dla tej przyczyny, że *(słuchajcie, słuchajcie!)* część ich III-a napisaną została w 9 lat później dopiero, a mianowicie w r. 1832 w Dreźnie. Że, co większa, nie tylko w chwili owego postanowienia poety wydania dwóch części ‚Dziadów z części czterech', część ta III-a nie istniała, ale, że jej materya, to jest wypadki treść jej stanowiące, zaszły w pół roku zaledwie po owem kwietniowem wydaniu, bo w październiku 1823 r. Daty te zbyt są powszechnie wiadome i zbyt elementarnie obowiązują piszących o Mickiewiczowskich ‚Dziadach', aby przypuszczać było można, że dr. Kallenbach ich nie zna. I nie byłoby zgoła powodu powoływać tu ich nieścisłości, gdyby nieścisłość ta nie była charakterystyką traktowania całej tej sprawy w książce, o której tu mowa".

[1] Podkreśla pani K.

Pani Konopnicka nie żartuje wcale. Wraca raz jeszcze do tego samego zarzutu w XIII. ustępie swej inwektywy i pisze (*Bibl. Warsz.* październik 1898 r., str. 121):

„Niepodobna było przypuszczać prawie, aby ta nieuwaga (nazwana wyżej „nieścisłością“) powtórzyła się raz jeszcze. Tymczasem powtórzyła się ona... Motywując bowiem określenie to („Upiora“) pisze dr. K. tak: „Mickiewicz n i e w y d a j ą c c a ł y c h ‚Dziadów‘[1], ale tylko część II-ą i IV-ą chciał w „Upiorze“ wyjaśnić czytelnikom, kto się pojawi pod koniec części II-ej i kto będzie pustelnikiem w części IV“. „Otóż n i e u w a g a[1] taka, okazana po dwakroć w tym samym przedmiocie przez b a d a c z a[1] przedmiotu tego, z a c z y n a b y ć n i e p o k o j ą c a“.

Gdyby niepokój ten był istotnym niepokojem, a nie zwrotem ironicznym, mającym wyrazić ubolewanie nad b a d a c z e m, byłby może skłonił autorkę do pilniejszego rozczytania się, jeżeli nie w literaturze „Dziadów“, to przynajmniej w tej biednej książce, na której się przecież „oparła“, według własnego jej wyznania (str. 490).

Jest tak prostą rzeczą, że aż wstyd o tem się tutaj rozpisywać, domysł, którego nie starałem się nawet obszerniej w mej książce uzasadniać: Skoro Mickiewicz wydaje części dwie „Dziadów“, i nazywa je sam: częścią II-ą i IV-ą, toć oczywiście miał plan c a ł o ś c i, zamierzonej na kilka części. Wydał drugą i czwartą, a zatem przyjąć koniecznie trzeba, że przynajmniej w myśli poety była część I-a i część III-a. Dziś wiemy dokładnie z opowiadania Karoliny Jaenisch, że nietylko w myśli poety istniały te części, ale że były istotnie napisane. Powinna o tem wiedzieć także autorka artykułu o I-ej i II-ej części „Dziadów“, skoro przytacza tekst opowiadania Karoliny Jaenisch. Ale p. Konopnicka, która tak pochopnie zarzuca drugim: „nieuwagę“, „nieścisłość“, „bezkrytyczność“, nie umie, albo raczej nie chce przytoczyć dokładnie tekstu Karoliny Jaenisch. Nie chce zaś dlatego, że wówczas wszystkie jej wywody o genezie „Dziadów“

[1] Podkreśla pani K.

i o rzekomem pierwszeństwie chronologicznem drugiej części „Dziadów“, rozwiewają się jak mary senne.

Na str. 255 tomu I-go mej monografii mogła była p. Konopnicka przeczytać, co następuje: „K. Jaenisch zapytała raz poetę, dlaczego z czterech części „Dziadów“ ogłosił tylko dwie; odpowiedział jej Mickiewicz: ‚Bo odczytawszy dwie drugie, aby je dać do druku, znalazłem je tak liche i nudne, żem rzucił w ogień‘“. — Przytoczyłem to dosłownie z listu Karoliny Jaenisch, wydrukowanego po raz pierwszy przez Wład. Mickiewicza („Żywot“, t. I., str. 271). Obaczmy teraz, jak opowiadanie to wygląda u p. Konopnickiej. Kilka razy przytacza je autorka i zawsze popełnia rozmyślnie... nieścisłość.

„Mickiewicz — mówi p. Konopnicka — zapytany przez p. K. Jaenisch, co się stało z częścią I-ą „Dziadów“ — odpowiedział po chwilowym namyśle: — Zniszczyłem‘“. *(Bibl. Warsz.* wrzesień, str. 523; także 520 i 522).

Tak się pisze studya krytyczne. Karolina Jaenisch pyta Mickiewicza: „Dlaczego z czterech części „Dziadów“ ogłosił tylko dwie“. Pani Konopnicka przerabia to na pytanie: „co się stało z częścią I-ą „Dziadów“! Mickiewicz odpowiada wprost, (nie „po chwilowym namyśle“, który dorabia p. Konopnicka) że „odczytał dwie drugie“ i t. d. Ale to zbyt niedogodne dla ścisłej badaczki; woli zamiast tego włożyć w usta Mickiewicza krótką a węzłowatą odpowiedź: „Zniszczyłem“. Dla większej zaś własnej satysfakcyi powtórzy to kilka razy p. Konopnicka, np. jeszcze na str. 111 *(Bibl. Warsz.* paźdź.) ...fragmenty[1], o które zagadnięty przez p. Jaenisch poeta odpowie: „Zniszczyłem“.

Bis repetita placent. — A dzieje się to zapewne za sprawą owej wspaniałej dewizy naukowej, która ma nadać tyle powagi sądom p. Konopnickiej: „Punktem wyjścia dla wszelkiego ścisłego badania może być tylko fakt pewny i niezaprzeczalny“. *(Bibl. Warsz.* str. 496).

Kto zatem zechce wierzyć, że Mickiewicz lepiej wiedział,

[1] Podkreśla pani K.

od p. Konopnickiej, ile części „Dziadów“ w Wilnie napisał, ten będzie zmuszonym ze mną się zastanawiać, jaka mogła być treść części I-ej, z której tylko fragmenty posiadamy, i części III-ej, wileńskiej, co do której domysły tylko stawiać będzie wolno. Nikt też chyba nie posądzi mnie o jakąkolwiek konfuzyę owej wileńskiej, zagubionej części III-ej, z późniejszą drezdeńską częścią III-ą; nawet p. Konopnicka nie byłaby tego uczyniła, gdyby pisząc swój artykuł zajrzała była do drugiego tomu mej monografii, gdzie na str. 80 wydrukowano:

„Stąd dla tej nowej historyi Konrada zachowana dawniejsza, tajemnicza szata nazwy „Dziadów“; stąd i nazwa III-ej części „Dziadów“, nie jako wypełnienie braku między II-ą a IV-ą, bo chronologiczne następstwo jasno temu przeczy, ale po prostu, jako przeciwstawienie dwom dawniej ogłoszonym częściom, nowej części III-ej z kolei. *(Mélanges posthumes,* II. 219)“. W tomie zaś I-ym mej monografii byłaby p. Konopnicka znalazła jeszcze jeden dowód, że całość I-ej części „Dziadów“ istniała (o czem powątpiewa na str. 491: „Ale gdzie dowód, że całość taka rzeczywiście istniała?“) i nie byłaby popełniła „nieścisłości“ w następujących wyrazach: „Takiego dowodu dr. Kallenbach nam nietylko nie daje, ale żadnym wywodem logicznym domysłu(!) swego nie popiera“.

Na str. 255 tomu I-go napisałem: „Pierwotnie do wydania petersburskiego miały wejść brakujące części ‚Dziadów‘, a przynajmniej pierwsza“. Odyniec w liście do L. Chodźki z dnia 11 lutego 1829 roku podaje następujące szczegóły o wydaniu petersburskiem: „W Petersburgu wychodzi edycya dzieł Mickiewicza w 3-ch tomach, zawierająca oprócz znanych poezyj nowe poema „Siciński“, pierwsza **część ‚Dziadów‘,** przekład ustępu ‚Piekła‘ z Danta i t. d.“. — Odyniec daje tu tak szczegółowe fakta, nie myli się co do Sicińskiego i przekładu z Danta, że i ten szczegół o I-ej części „Dziadów“ nie jest z pewnością z palca wyssany. Zestawić go należy z tem, co mówi Mickiewicz pannie Jaenisch: „odczytawszy dwie drugie (części ‚Dziadów‘) aby je **oddać do druku“,** i t. d.

Kwestya tych różnych części „Dziadów“ wiąże się ściśle

z planem i genezą całego utworu. Pani Konopnicka nie omieszkała podać ze swej strony próby rozwiązania kwestyi; wprawdzie „może być, iż ta próba okaże się niedostateczną". Ale zaraz dodaje autorka, zdziwiona własną skromnością: „Będzie to zarazem podstawa do nowych badań, gdyby te okazały się potrzebnemi"(!) (*Bibl. Warsz.* str. 495).

Przypatrzmy się tej „podstawie".

II.

Autorka nie jest przedewszystkiem zadowoloną z określeń pierwszej części „Dziadów", podanych przezemnie. Zdaje jej się, że są gołosłowne, żadnym ani rzeczowym ani logicznym dowodem niepoparte, a co gorsza: „wszystkie przeczą sobie wzajem" (str. 491).

Pierwszy zarzut dotyczy nazwania fragmentów „szczątkami pierwotnej I-ej części „Dziadów". Wykazałem już przed 12-u laty, że sam poeta pisze w autografie: „Dziady, widowisko, część pierwsza". Αὐτός ἔφα. Nie ja, ale Mickiewicz odpowiada tu p. Konopnickiej.

Charakterystycznym jest zarzut drugi: „Jeżeli jednak „Fragmenty" z pośmiertnej teki są szczątkami[1] jakiejś części I-ej, jakim sposobem, pytam, mogą one być pierwszym planem, pierwszym pomysłem[1] dzieła". Bo jeśli to jest plan[1] i pomysł[1], „pierwszy plan" i „pierwszy pomysł jakiejś całości, rysującej się dopiero w wyobraźni poety", — całość ta, jako skończona część I-a „Dziadów" istnieć jeszcze nie mogła i co zatem idzie(?) — nie mogła zostawić po sobie „szczątków".

Każdy, odczytawszy powyższe wywody, zrozumie ich sztuczność i sofisteryę. Jasną jest rzeczą, że Mickiewicz zabierając się do pisania „Dziadów", przystępował do nich z pewnym planem, z jakimś pomysłem całości. Z tego pierwotnego planu zachowały się tylko fragmenty. Boć oczywiście całość mogła być w duszy poety, ale pierwotny pomysł nie zaspokoił go i bądź to inaczej rzecz całą chciał przedstawić, bądź też na innych,

[1] Podkreśla pani K.

niezachowanych kartkach autografu pierwotny pomysł do skutku przyprowadził; poczem, niezadowolony z całości I-ej i III-ej części, obie, jak słyszeliśmy, w ogień wrzucił. Dlaczego więc, pytam z mej strony, p. Konopnicka nie może, czy nie chce przypuścić, że pierwszy pomysł rysującej się w wyobraźni poety I-ej części „Dziadów“ mógł i rzeczywiście pozostawił po sobie „szczątki“?!

Pani Konopnickiej zdaje się, że „zna matematyczną niemal ścisłość pierwotnych rzutów kompozycyjnych Mickiewicza“, i „naturę tej arcylogicznej twórczości“ (str. 492) i stwierdza tylko temi słowami, że nie zna „choć pobieżnie“ nawet korespondencyi poety. Byłaby się bowiem tam dowiedziała, że Mickiewicz nie miał „matematycznej ścisłości“ w swych pierwotnych „rzutach“ kompozycyjnych; że w listach do Odyńca pisze o planie Wallenroda, który się zmienił; z listów do przyjaciół wyraźnie zaś widać ciągle rosnący, przekształcający się plan „Pana Tadeusza“, który z sielanki na wzór „Hermana i Doroty“ wyrasta na epopeję narodową. — Natura twórczości Mickiewicza była istotnie „arcylogiczną“, ale nie w tem ciasnem znaczeniu „matematycznej ścisłości“, jak bezpodstawnie mniema p. Konopnicka. Plan poetyczny to nie geometryczna konstrukcya, z góry wykreślona, od której potem zboczyć nie wolno — nie! Plan Mickiewicza, to żywy organizm, który z małego ziarnka wyrasta na bujne, szeroko rozgałęzione drzewo. Któż mógłby z góry przewidzieć, jaki będzie „plan“ drzewa, ile będzie miało gałęzi i liści? Wszystko zatem, co p. Konopnicka pisze o niedostateczności mych definicyj I-ej części „Dziadów“ jest pretensyą, którą zwrócićby raczej powinna była pod adresem samego poety. W książce mej wyraźnie zaznaczyłem trudności objaśnienia poszczególnych scen i postaci z I-ej części „Dziadów“, trudności wynikających z fragmentarycznego stanu tej części. Pani Konopnicka przedrwiwa me „domysły“ i mój „kłopot“. Ale czy w zamian daje przynajmniej wytłumaczenie trudności, przezemnie poruszonych? Czy objaśniła postacie starca i wnuka? A kiedy ja o tych właśnie osobach twierdzę (I. 132), że „obie te postacie miały w planie I-ej części „Dziadów“ pierwotnie

jakieś znaczenie, którego dziś już dociec niepodobna“, — p. Konopnicka zamiast zmierzyć się z trudnością, schodzi jej po prostu z drogi. Nazwałem wreszcie „to, co jest w części I-ej ważnym i niezbędnym prologiem do tego, co nastąpi w części II-ej“ (I. 127). Pani Konopnicka w zwykły sobie sposób wyczytuje w słowach mych więcej, niż zamierzałem powiedzieć. Od prologu wymaga, aby był „czemś, rzucającem światło swoje na rzecz, która ma nastąpić“ (str. 494). Bez wątpienia, gdyby część I-a dochowała się była w *całości*, byłaby sporo światła rzuciła na inne części; nie sądzę jednak, aby już sama przez się dawała była rozwiązanie myśli przewodniej „Dziadów“. Że Mickiewicz doskonale sam czuł konieczność wydania części I-ej, o tem świadczy choćby tylko zamiar ogłoszenia jej w Petersburgu (wedle wyznań Odyńca i opowiadań panny Jaenisch), a następnie zamiar pisania I-ej części nawet w Lozannie!

Aby już przecie raz skończyć z definicyami, które tyle nieprzyjemności sprawiły autorce, muszę jeszcze zaznaczyć, że najniepotrzebniej i całkiem „bezkrytycznie“ przypisuje mi p. Konopnicka, jakobym nazwał Fragmenty I-ej części „nawet ramą“ (stronica 519). Pamięć p. Konopnickiej trochę wierniejszą jest w zeszycie październikowym *Biblioteki Warszawskiej*, gdzie na str. 94 powiedziano, że według mnie oba monologi (Dziewicy i Gustawa z I-ej części „Dziadów“) razem rozważane być powinny, a to, „jako rama, ujmująca scenę guślarza i chóru“. Z ujmującą swobodą zapytuje autorka: „Co do mnie, zupełnie niewiem, dlaczego te dwa monologi mają być ‚ramą‘“. Czytelnik jest zapewne przekonany, że p. Konopnicka wiernie przytoczyła me zdanie? Ja sam ledwie śmiem inaczej przypuścić. Ale zaglądam do I-go tomu mej monografii i na stronie 122 czytam:

„Oba te monologi Dziewicy i Gustawa, które jakby w ramy ujmują luźne sceny guślarza z wieśniakami i starca z wnukiem“ i t. d. W ten sposób przypominam w książce mej czytelnikowi rzeczywisty stan autografu, w którym istotnie monologi powyższe otaczają i ujmują jakby w nawias inne sceny części I-ej. Każdy nieuprzedzony czytelnik zrozumiałby, o co

mi chodzi, zrozumiałby, że uważać coś za ramę, a powiedzieć: „ująć w ramy“, to są dwa całkiem odmienne pojęcia.

Gdybym teraz chciał krótko powiedzieć, o co właściwie p. Konopnickiej w rozprawie jej chodzi, to z góry musiałbym zrzec się tego przedsięwzięcia i pióro odłożyć. Tak bowiem pomieszaną jest u niej polemika z własnemi hypotezami, tak twierdzenia splątane są z negacyami, tyle frazeologii zużyto tam na rzeczy jasne, proste, nie potrzebujące wyjaśnień, tyle znowu patosu i rzekomego oburzenia wylano na „impotencyę twórczą“ krytyków z zawodu, że czytelnik oszołomiony prawdziwą ulewą retorycznych zwrotów, sporo czasu straci, nim nareszcie do jądra kwestyi się dobierze.

Parturiunt montes...

„Jądrem i zawiązkiem dzieła jest ludowość obrzędu tego“ (str. 496–497).

Tego pierwiastku ludowości szuka przedewszystkiem p. Konopnicka w „Dziadach“ i w miarę tego, jak ludowość silniej i wierniej jest przez poetę wyrażona, grupuje autorka części „Dziadów“, i chronologicznie je szereguje. Wyniknie z jej zapatrywania, że druga część „Dziadów“ jest najstarszą, najpierwotniejszą, bo najbardziej „ludową“.

„W tej chwili zajmuje nas wykreślenie granic pierwotnego pomysłu dzieła, a to idąc śladem ludowości[1] jego, jedynym(!) śladem, który nam użycza dostatecznych wskazówek do oznaczenia, co w dziele było wpierw[1], a co potem[1], w miarę jak ludowości[1] tej bliższem[1] jest lub dalszem[1], a to wbrew bałamutnej i nic wspólnego z naturą[1] dzieła nie mającej plątaninie sprzeczności i domysłów, w których tę sprawę uwikłały wywody całego grona krytyków“ (*Bibl. Warsz.* wrześ. str. 503). (Nawiasem wtrącę, że do owego grona, które p. Konopnicka chce dać czytelnikowi „chociaż mimochodem“ poznać należą profesorowie: St. Tarnowski, J. Tretiak, P. Chmielewski i autor niniejszych uwag). W tej to ludowości „Dziadów“ jest punkt drgający, żywy, tu zawiązek wszystkiego... Tu jest

[1] Podkreślenia pani K.

złożony, że tak powiem, akt stanu cywilnego, który pierworodztwo oznaczonej powyżej w granicach swych i w naturze swej sceny w kaplicy stwierdza, i który ją, lubo dla późniejszych względów(?!) pomieszczoną została w części dzieła zwanej „II-ą“ do rewindykowania należnego sobie pierwszego w niem miejsca uprawnia“ (l. c. str. 506).

Nazwanie dowolne, fantastyczne części II-ej pierwszą — otóż i *ridiculus mus* owego strasznego gór połogu. Bo, że ludowość „Dziadów“ nie jest wynalazkiem p. Konopnickiej, nad tem nie ma potrzeby się rozwodzić. Nie kto inny, tylko sam Mickiewicz w przedmowie do części „Dziadów“, wydanych w Wilnie, wskazał dobitnie źródło swego natchnienia i dobitnie zaznaczył nietylko „ludowość“ tematu „Dziadów“ w ciasnem rozumieniu p. Konopnickiej, ale wszechludzkość tej prastarej uroczystości, której początki giną w pomroce dziejów ludzkości pierwotnej. „Godna uwagi — mówił tam poeta — iż zwyczaj częstowania umarłych zdaje się być wspólny wszystkim pogańskim ludom, w dawnej Grecyi za czasów homerycznych, w Skandynawii, na Wschodzie i dotąd po wyspach nowego świata“.

Na kwestyą „Dziadów“ ze stanowiska *folk lore'u* zwróciłem uwagę czytelników mej monografii (t. I. str. 140). Już po wydaniu swej pracy, nie mogąc tam zbytnio poświęcać miejsca temu przedmiotowi, starałem się tymczasowe wyniki mych poszukiwań zestawić w studyum p. t. „Tło obrzędowe Dziadów“, które wydrukowano w *Przewodniku naukowym i literackim*, w zeszycie marcowym r. 1898. Na pół roku zatem przed ogłoszeniem artykułu p. Konopnickiej w *Bibl. Warsz.* przypomniałem raz jeszcze „ludowość“ „Dziadów“ i zastanowiłem się ponownie nad fragmentami I-ej ich części. Gdyby p. Konopnicka trochę mniej gardziła „krytykami“, byłaby jej ta mała moja rozprawka oszczędziła wielu niepotrzebnych dociekań. Pisałem tam między innymi: „Dostatecznie już stwierdzono doniosłość wpływu poezyi ludowej i wierzeń ludowych na rozwój uczuć Mickiewicza... Wątpliwości ulegać nie może, iż najdonioślejszy wpływ na poetę i myśliciela wywarły ludowe „Dziady“, „najpiękniej-

sze święto, bo święto pamiątek“. — Zasadnicza myśl poematu nie mogła być inna, niż podstawna idea samej uroczystości, nadającej nazwę poematowi“. (*Przew. nauk. i lit.* marzec 1898 r., str. 246 – 248). — Nie chcąc przedłużać i tak już długiego artykułu, nie będę tu przedrukowywał mych zapatrywań na ideę zasadniczą obrzędu „Dziadów“. Odsyłam interesujących się bliżej tą sprawą do wymienionego studyum „Tło obrzędowe Dziadów“ [1]. Tutaj chcę tylko zaznaczyć, że rozróżniałem i rozróżniam ideę „Dziadów“ wileńskich od idei „Dziadów“ drezdeńskich. Wbrew wszystkiemu, co p. Konopnicka o ludowości wszystkich części „Dziadów“ napisała, utrzymuję, że plan i idea „Dziadów“ rozszerzały się i rozrastały w miarę rozrostu duchowego samegoż poety. Tak jak Konrad nie jest już Gustawem, choć idzie z Gustawa, tak idea drezdeńskich „Dziadów“ nie jest tylko ideą „Dziadów“ wileńskich, chociaż z nich wyrasta, ale jest czemś więcej, czemś, co te wileńskie „Dziady“ o całe *niebo* przerasta. Tę różnicę starałem się uwydatnić w mej monografii, mówiąc w tomie I-ym (str. 151) o idei przewodniej, siejącej swe blaski na cały poemat wileński (str. 151), a w tomie drugim (str. 82) o idei wiążącej wszystkie części „Dziadów“: „od fragmentów I-ej części począwszy aż do ostatniej drezdeńskiej“. Tylko, że p. Konopnicka pisząc artykuł swój o ludowości „Dziadów“ nie przeczytała jeszcze drugiego tomu mej monografii i zapatrywań tam wyrażonych nie wciągnęła w zakres swych... inwektyw; jakkolwiek nie omieszkała i III-ej części „Dziadów“ rozpatrzeć „od strony“ ludowości, mówiąc jej stylem. Następstwem tego było to, że o Improwizacyi Konrada pisze p. Konopnicka w sposób, który byłby wcale zabawnym, gdyby nie był wprost rubasznym:

„Więcej(!!) powiem. W tym najwyższym wzlocie, na który geniusz ludzki, kiedykolwiek się ważył, w wielkiej Improwizacyi Konrada, jest coś z ludowej bezpośredniości w stawianiu się człowieka przed obliczem Boga. — „Jak chłop nie mógł sobie

[1] Przedrukowano je w księdze pamiątkowej p. t. „Rok Mickiewiczowski“. Lwów 1899.

rady dać, tak poszedł do Pana Boga, tak mówi: „Panie Boże“, i t. d. To bajka tylko, tak. Ale w tej bajce t k w i w z a w i ą z k u c a ł y m o t y w(!!) tego odniesienia się bezpośredniego do nadziemskich potęg“... (str. 499). — Oto do jakich dziwolągów, bo inaczej tego nazwać nie umiem, doprowadziło autorkę rozpatrywanie „Dziadów“ „od strony“ ludowości, ciasno pojętej. Niedokładności, nieścisłości, fantastycznych domysłów takie mnóstwo w rozprawie p. Konopnickiej, tyle urojeń nieraz na jednej tylko stronicy, że iść krok w krok za nią i zbijać to wszystko i objaśniać i prostować, na to potrzebaby dwa razy więcej czasu i miejsca, niż mamy. Poprzestać muszę na kilku przykładach:

Dobitnie zaznaczyłem w mej pracy (t. I., 137), jak pojmuję stosunek „Dziadów“ z I-ej części do obrzędu „Dziadów“ w części II-ej. Oto me słowa: „Kto może powiedzieć, jaką rolę odegrały „Dziady“ (tj. obrządek l u d o w y) w I-ej części poematu? Z fragmentów I-ej części widzimy tylko p r z y g o t o w a n i a wieśniaków do „Dziadów“, ale naturalnie **nie** d o t y c h s a m y c h „D z i a d ó w“, które rozwijają się w II-ej części“. Pani Konopnicka chcąc udowodnić, że II-a część „D z i a d ó w“ była napisana przed „Fragmentami“ z I-ej części, usiłuje wykazać różnice w nastroju duchowym poety przy pisaniu obrzędu „Dziadów“ i „Fragmentów“ i rozpoczyna od wykazania, że guślarz z II-ej części a guślarz z „Fragmentów“, że dalej chór z II-ej części a chór z „Fragmentów“ to całkiem odrębne osoby, i pisze tak: „Jest to niezawodnie punkt porównania jedynie obowiązywać nas mogący... A to tem bardziej, gdy sam dr. Kallenbach i d e n t y c z n o ś ć o s ó b t y c h w scenie z „Fragmentów“ i w scenie z kaplicy (tj. II-a część „Dziadów“ p r z y j m u j e“ (str. 507). Proszę porównać, co wyżej przytoczyłem z mej książki i proszę mi wykazać, gdzie tam znajdzie się, nie już zdanie, ale słówko jedno, któreby p. Konopnicką upoważnić mogło do twierdzenia, że ja sam i d e n t y c z n o ś ć osób (guślarza i chóru) z „Fragmentów“ i II-ej części przyjąłem kiedykolwiek! Pani Konopnicka z fantazyą, godną lepszej sprawy, stwarza sobie przeciwnika i walczy z nim heroicznie:

„Guślarz — mówi — ze sceny ‚Fragmentów‘ n i e j e s t po-

stacią ludową, a chór z tej sceny nie jest ludową gromadą[1]. A to tak dalece nie jest, że ani guślarz z „Fragmentów“, ani chór nie mogą, ściśle rzeczy biorąc, być uważanymi za jedno z guślarzem i z chórem z kaplicy, że **zatem** (*nieocenione* zatem!) nie są postaciami związanemi z pierwotnym pomysłem dzieła, że niepodobna łączyć ich ze sobą i nadawać im znaczenie tożsamości, ciągłości, identyczności, jak to czyni dr. Kallenbach *(gdzie?)* przyjmując „Fragmenty“ za pierwotną I-ą część „Dziadów“ w stosunku poprzedniości do sceny z kaplicy, która poprzedniość **tylko** na takiej tożsamości, identyczności i ciągłości polegaćby mogła“ (str. 509). — Otóż nie, nie i jeszcze raz nie! Poprzedniość I-ej części „Dziadów“ nie ma żadnego związku z tożsamością lub nietożsamością guślarza i chóru. Mógł jednego roku guślarz Piotr przewodniczyć „Dziadom“, a na drugi rok guślarz Paweł, a na innych znowu „Dziadach“ (III-a część drezdeńska) jakiś jeszcze inny guślarz. Ani osoby, ani chór nie są, nie muszą być identyczne; nigdzie tego nie twierdziłem i p. Konopnicka nie ze mną się spiera, ale z własnem urojeniem. Zestawiać guślarza z „Fragmentów“ i guślarza z II-ej części „Dziadów“ o tyle nie ma racyi, że we „Fragmentach“ postać ta zaledwie zaczyna się rysować, że nie przewodniczy obrzędowi, ale dopiero na tem obrzęd prowadzi („ze łzami idziem na groby“), że zatem nie może na drodze tak przemawiać, jak ten guślarz z II-ej części, który celebruje „Dziady“. — A chóry? Pani Konopnicka tak pobieżnie czyta „Fragmenty“, tak jest już zapalona swą hypotezą, że i ten chór z „Fragmentów“ nie znajduje łaski w jej oczach:

„Z chóru, który się pojawia w scenie z „Fragmentów“... bardzo prędko wydziela się samoistny chór młodzieńców tak, że o jednolitości tego chóru, jako osoby i konstrukcyi psychicznej zupełnie tu mowy być nie może“ (str. 513). I dalej:

---

[1] Mickiewicz widocznie źle był poinformowany. Napisał bowiem na drugiej karcie autografu: „na lewą stronę teatru wchodzi chór wieśniaków, niosących jedzenia i napoje; starzec pierwszy z chóru na czele. (Starzec) Guślarz“. Owych niefortunnych „wieśniaków“ nie może znieść badaczka: na str. 94 (*Bibl. Warsz.* paźdz.) dostaje się im wykrzyknik!

„Chór z „Fragmentów“ jest pełen inicyatywy. On nietylko wyłącza z siebie samorzutnie swoje indywidualne pierwiastki psychiczne w grupie młodzieńców, ale nadto obiera sobie **samowolnie** stanowisko „w połowie drogi między wsią a cmentarzem i wybór ten **samodzielnie** motywuje“ (str. 514).

Oto jak wygląda w poemacie ta samowolność i samodzielność chóru młodzieńców:

Tu guślarz **kazał** młodzieży
Stanąć na drogi połowie

A więc młodzież „nie obiera sobie samowolnie stanowiska“. Guślarz **kazał**, a młodzież słucha go, bo wie dlaczego guślarz tak kazał; bo to nie żadna zachcianka, to ceremoniał „Dziadów“:

Nie godzi się do wsi wracać,
Nie godzi się biedz w ich ślady,
Tu będziemy święcić Dziady...

Nie wolno zatem bez narażenia się na zarzut „bezkrytyczności“ i „nieścisłości“ porównywać chóru z kaplicy z chórem młodzieńców“, jak to czyni p. Konopnicka (str. 514 i n.).

A już zarzuty, jakie p. Konopnicka stawia temu chórowi z I-ej części „Dziadów“, chórowi młodzieńców! „Nie wierzy (ten chór) w samą istotę Dziadów. To jest mądry chór. Chór rezonujący... Chór naucza „młodą wdowę“, co jej czynić należy:

Dla niego *(zmarłego kochanka)* na mszę daj młoda wdowo.

Ale p. Konopnicka nie kontenta z tego. „Daj na mszę“! mówi (str. 515) — „oto wszystko, co ten mądry, ten wiedzący chór odpowiada na łzy i na załamane ręce młodej wdowy“.

„Śmiało — mówi dalej — *(winszujemy tej śmiałości, ale jej nie zazdrościmy)* śmiało rzec można, że w całem Mickiewiczowskiem dziele, i na przestrzeni całej jego twórczości nie znajdujemy drugiego przykładu tak **chłodnego racyonalizmu,** jaki nas w tym chórze z ‚Fragmentów‘ uderza“.

Nareszcie dowiedzieliśmy się, że dać na mszę, to złożyć tem samem dowód „chłodnego racyonalizmu“! *Das also war des Pudels Kern!*

Taki to Chór Młodzieńców! „Głębszy rzut oka“ (str. 516)

wykazał zupełną „różność elementów“ w I-ej i II-ej części „Dziadów“. — Chór młodzieńców, który mówi o zmarłym kochanku:

On ciemny krzyżyk w prawicy trzyma
A miejsca w niebie szuka oczyma...

taki chór, jak „śmiało rzec można“, jest pełen „chłodnego racyonalizmu“... Dajże nam Panie, Boże, jak najwięcej takich racyonalistów wśród młodzieży naszej, ludowej i nieludowej!...[1]

Gdyby ten probierz „ludowości“, stosowany przez autorkę do I-ej i II-ej części „Dziadów“ był istotnie tak niezawodny, byłby powinien wykryć, że część II-a „Dziadów“ jest na wskróś ludowa, że natomiast części I-ej fragmenty nie są „ludowe“. Nie byłoby to jednak jeszcze wcale rozstrzygającem w sprawie chronologicznego pierwszeństwa jednej części przed drugą, bo niepodobieństwem jest przypuścić nawet, aby Mickiewicz był tworzył jakąkolwiek część „Dziadów“ pod wyłącznym wpływem owej „ludowości“ w pojęciu p. Konopnickiej. Tymczasem autorka tak zrazu zachwycona „ludowością“ II-ej części „Dziadów“ zmuszona jest w ciągu swej pracy stwierdzić „ślady wahania się poety“. „Przychodzą nadpisy takie, jak Duo, Arya, *Recitativo,* obce zarówno samej istocie obrzędu, jak i temu niezniszczalnemu *(sic)* tętnu szczerej ludowości, która jest i materyą i duchem tej części dzieła. Jednem słowem zaczyna się(!) panowanie sentymentalizmu“ (str. 528). Jeżeli tak, to już po owej „pierwotności“ II-ej części „Dziadów“! skoro sentymentalizm występuje zaraz na wstępie „Fragmentów“ I-ej części w monologu Dziewicy. Rzekomy argument, mający świadczyć o później-

[1] Argumentacye p. Konopnickiej są częstokroć tak zagmatwane, że trudno zrozumieć, czy istotnie ma ona błędne pojęcia, czy też niejasno się tłumaczy. Na str. 129 (paźdz. *Bibl. Warsz.*) czytamy: „Jakoż część IV-a (mylnie wydrukowano III-cia) zaczyna się od modlitwy księdza i dzieci za dusze zmarłych. A więc otwiera część tę zaprzeczenie (?) wszelkiej koniecznej kary, razem więc wszelkiej koniecznej odpowiedzialności. Otwiera je interwencya pierwiastku wszystkim tym (?!) koniecznościom obcego, interwencya stawająca pomiędzy czynem a jego skutkiem“.

Nie będąc teologiem, nie jestem w stanie zrozumieć, o co tu właciwie p. Konopnickiej chodzi. Ale może i teolog nie dałby sobie z tym ustępem rady?!

szości „Fragmentów“ zwraca się najfatalniej przeciw hypotezie p. Konopnickiej.

„Sentymentalizm“ nie może stanowić kryteryum w poszukiwaniu pierwotności. Panowanie jego znać bowiem na całym obszarze wileńskich „Dziadów“, jakkolwiek nie był on pierwiastkiem duchowym Mickiewicza. Był tylko naleciałością owych czasów, które mogły wydać „Waleryą“ p. Krüdener. Pod tym względem oboje: Maryla i Mickiewicz byli dziećmi epoki i zupełnie przesadnie oskarża autorka wyłącznie Marylę o wpływ jej sentymentalizmu na poetę. Przecież: „Na wzgórku Russa czytaliśmy razem“. „Nowa Heloiza“ rozpalała równocześnie obie młode, rozmarzone, rozkochane głowy, a że płomienne serce poety silniej czuło i goręcej kochało, o tem wiedzieliśmy dawno, bo jeszcze za czasów Zana, Domejki i Odyńca. Wizerunek Maryli skreślony przez p. Konopnicką jest przeładowany i przesadny. Sentymentalizm był, zapewne, jednym z rysów charakteryzujących młodą, rozmarzoną Marylę, ale nie był rdzeniem jej duszy; był modą, był przemijającą szatą, nie był istotą jej ducha, bo byłby zraził Adama Mickiewicza, który ckliwej przesady w niczem i w nikim nie znosił. Że Maryla umiała czuć po prostu, że mimo pozoru sentymentalizmu umiała cenić prostotę i piękno właśnie ludowej poezyi, o tem świadczy sam poeta w ważnem zwierzeniu, które przekazał Aleksander Chodźko. Zwierzenie to ma siłę pierwszorzędną, bo pochodzi z czasów, kiedy poeta w dojrzałych latach, w Paryżu, zastanawiał się nad swą młodością i nad źródłami swych natchnień. Mówi wtedy o błogiem życiu w zaściankach litewskich, o swych wakacyach w latach 1815—1820, o całych nocach spędzonych w lasach, nad jeziorami: „Wysłuchawszy raz bardzo zajmującej bajki, opowiadanej przez rybaka, Maryla obracając się do mnie, zawołała: ‚Oto poezya! napisz coś takiego‘. Te wyrazy **głęboko się wpiły** w duszę moją i odtąd wziąłem mój kierunek poetyczny“.

Wychodzi zatem „ludowość“ od Maryli, za jej sprawą, za jej zachętą. Pani Konopnicka czytała ten ustęp, ale jej nie trafił do przekonania. Bo jakżeż? Dowiodła przecie, że Maryla była na „wskróś sentymentalna“, że była „heroiną sentymentalizmu“,

aż tu właśnie ta „heroina sentymentalizmu“ zachwyca się poezyą ludową i wzywa Mickiewicza do napisania „czegoś takiego“. Jakże sobie z tym faktem poradzi p. Konopnicka? Wszakżeż „punktem wyjścia dla wszelkiego ścisłego badania może być tylko fakt pewny i niezaprzeczalny“, jak to ogłosiła na str. 496! — Poradzi sobie p. Konopnicka bardzo po prostu. O przytoczonem opowiadaniu Mickiewicza wyrazi się tak: „Ale było to złudzenie“ (str. 531).

Biedny Mickiewicz! On mówi, że „wyrazy Maryli głęboko się wpiły w duszę“ jego, że „odtąd“ wziął swój kierunek poetyczny — aż tu przyjdzie w kilkadziesiąt lat potem „z własną u piersi swoich uczepioną latarką“ (str. 131) „badaczka“ i powie mu wręcz: „Było to złudzenie!“

Dziwne złudzenie, które trwa lat kilkadziesiąt! Dziwniejsza dusza, która wie jednak po tylu latach, gdzie, kiedy i jakie wyrazy głęboko się w nią „wpiły!“ Przychodzi tu nam powtórzyć słowa własne p. Kopopnickiej: „Jest to prawdziwe nieszczęście, że tak rzadko pozwalamy rzeczom być tem, czem są“ (str. 94, *Bibl. Warsz.* paźdź.).

Istotnie! Gdyby p. Konopnicka pozwoliła i słowom Mickiewicza i jego „Dziadom“ być tem czem są, oddałaby tem wielką literaturze naszej przysługę.

Ludowość „Dziadów“ Mickiewicza jest, jak już wspomniałem, bardzo starym wynalazkiem. Zwróciłem na to uwagę w mej pracy; zaznaczyłem także, w czem się „Dziady“ Mickiewicza od rzeczywistej ludowej uroczystości różniły. Przytoczyłem tam (t. I. str. 138) opis obchodu ludowego Dziadów, według Narbutta, aby wykazać różnicę między poezyą Mickiewicza a świętem ludowem. Zdawaćby się mogło, że dogodziłem przez to p. Konopnickiej, że to woda na młyn jej „ludowości“! Właśnie w porę się wybrałem! Napisałem dosłownie tak: „Oddaję tu głos badaczowi starożytności litewskich, stojącemu chronologicznie najbliżej II-ej części „Dziadów“. Teodor Narbutt tak pisał o uroczystości Dziadów w roku 1835“ i t. d. — Oto wszystko. A teraz zobaczmy, co z tego zrobiła p. Konopnicka:

„Przedewszystkiem niepotrzebnie czyni tu p. Kallenbach

Mickiewicza odpowiedzialnym(!!) za nieznajomość książki Narbutta, która wyszła w 13 lat po ukazaniu pierwszego wileńskiego wydania „Dziadów“, bo 1835 r. Powtóre zaś, niepotrzebnie wogóle wygrzebuje(!) tego biednego Narbutta i stawia go nam twarzą w twarz na to, abyśmy zmuszeni byli mu powiedzieć: Dobrze! Ale my wolimy te niewierne w szczegółach, te poetyckie, te Mickiewiczowskie „Dziady“. (*Bibl. Warsz.* paźdz. str. 124).

No, i ja także wolę „te Mickiewiczowskie Dziady“! Ale jakże będzie z ludowością? z „ogromną duszą ludu“ (str. 533), która inaczej „Dziady“ pojęła i wykonała?! Jakże będzie „z nieznajomością podań i guseł ludowych, tych wielkich czynników poezyi gminnej?“ (str. 527). Równocześnie, w tym samym artykule (co prawda, nie w tym samym zeszycie *Bibl. Warsz.*) ujmuje się p. Konopnicka za Zosią pasterką, w której widzi „Latawicę“ z podań i pieśni gminnych — a jednak uważa za „niepotrzebne wogóle“ wykazanie w mej książce, jak się ma II-a część „Dziadów“ do rzeczywistego obchodu ludowego... Taka to już „dobroduszność w ocenie psychologicznych momentów tworzenia!“ (str. 124)[1]

III.

Pani Konopnicka nie jest zadowolona z tego, że od czasu Wojciecha Cybulskiego różni pisarze znajdowali różne idee

[1] Nadużyłbym stanowczo cierpliwości czytelnika, gdybym chciał zbić wszystkie nieścisłości i rażące niedokładności artykułu, o którym piszę. Stwierdzę tylko na jednym przykładzie tendencyjność w sposobie przytaczania mych tekstów:

Mówiąc o „Upiorze“ i jego stosunku do „Dziadów“, napisałem: „Zdawałoby się, że do przeprowadzenia idei Upiora, wystarczyłoby o wiele krótsze przedstawienie obrzędu „Dziadów“; że przedewszystkiem należałoby uwydatnić stosunek zagrobowy upiora do dawnej kochanki. Zamiast tego mamy szeroko nakreślony obrzęd guślarski Dziadów...“

Pani Konopnicka podkreśla wyraz należało, oburza się nim, daje mi lekcyę grzeczności wobec Mickiewicza, a na domiar złego wykrywa nawet „pewną gorycz“ w wyrazie szeroko (str. 123). Jest to *sui generis* chemia literacka, która do ciekawych rezultatów może doprowadzić. Trudno dalej posunąć dowolność i — bezkrytyczność.

przewodnie lub zasadnicze w „Dziadach“. „Nie należy pytać — naucza p. Konopnicka — jaką poeta miał „zasadniczą myśl“, lub jaką miał „przewodnią ideę“ przy tworzeniu dzieła. Owszem. Nie należy pytać, nie należy chcieć wiedzieć, czy wogóle miał on myśl i ideę taką“. — Do dzieła, którego ideę chcemy znaleźć, trzeba iść tak, jak szła do kaźni ojcowskiej Derwidowa dziewka, ta w niezawiązanej koszuli“ z próżnemi rękoma. Znaczy to: że nie należy nic swego wnosić do dzieła, nie zabierać z sobą żadnych teoryj, żadnych doktryn, żadnych systemów filozofii duchownej czy świeckiej. Należy się z nich zwlec, wyzuć, ogołocić, a to aż do lnianej, niezawiązanej koszuli — zupełnej prostoty“ (*Bibl. Warsz.* paźdź., str. 127). Bardzo to piękna, a przedewszystkiem bardzo lekka, wygodna teorya. I znowu szkoda, że autorka do niej się nie zastosowała. Ale p. Konopnicka chce tu pójść za przykładem Lilli Wenedy:

W niezawiązanej przychodzę koszuli,
Nie niosę chleba, nie mam nic przy sobie...

Ale wiemy dobrze, co to wszystko znaczy:

Głowę ubrałam w lilije — —

a potem powie:

W lilijach było mego ojca życie...
Lilije wodne nas od głodu bronią!

Tak samo p. Konopnicka. Przychodzi rzekomo „z próżnemi rękoma“, „w niezawiązanej koszuli“, „nie należy do poszukiwaczy myśli zasadniczej“, ani „idei przewodniej w ‚Dziadach‘“ (str. 128) — ale... ale...

„Gdy jednak wsłuchuję się w głębokie, żywe tętno dzieła, **czuję punkt**, w którym duch poety z duchem przedmiotu tak się właśnie w ogniach tworzenia zespolił... I to także czuję, że punktem tym, na którym duch poety i duch przedmiotu przenika się wzajem, jest ludowość[1] dzieła“.

Otóż i lilie wodne!

Zaraz potem idą: i „siermiężna filozofia“ i „stara mądrość

[1] Podkreśla pani K.

ludowa" i „ludowa etyka mądra..." i nie wiadomo, jak to wszystko wniosła ze sobą teorya „niezawiązanej koszuli" i „próżnych rąk" Ba, lilie wodne...

A tymczasem od lat sześćdziesięciu kilku mamy wyjaśnienie idei „Dziadów", wyjaśnienie podane przez samego Mickiewicza. Pani Konopnicka powie zapewne, że to „złudzenie"! Niepoprawni w uporze, będziemy jednak wierzyć autorowi „Dziadów". Kiedy poemat ten miał ukazać się w tłumaczeniu francuskiem p. Burgaud des Marets (1833—1834), poeta dał dla użytku tłumacza krótki rzut oka na „Dziady". Na przekór p. Konopnickiej, która każe nie pytać o ideę przewodnią utworu, Mickiewicz chce tam uwydatnić „myśl panującą i tendencyą autora"[1]. I cóż jest tą myślą przewodnią „Dziadów".

„Wiara w wpływ świata niewidzialnego, duchowego na sferę myśli i działań ludzkich — oto idea-matka poematu; idea ta rozwija się postępowo *(progressivement)* w różnych częściach poematu, przybierając różne kształty, stosownie do różnicy miejsc i epok".

Wszystko to przytoczyłem w drugim tomie mej monografii (str. 82—84), po uwagach o drezdeńskiej części „Dziadów". Idea wileńskich „Dziadów", taka jak ją podałem w pierwszym tomie (str. 151) idea znaczenia człowieka na ziemi, jego powołania, celu i — dodałbym: obowiązku — ta idea znajduje zupełne uzasadnienie i pogłębienie w „idei-matce", wskazanej przez samegoż poetę. Wileńskie „Dziady" to jakby krąg ziemski otoczony kręgiem niebiańskim „Dziadów" drezdeńskich (aniołów, jasnowidzeń i t. d.). Idea-matka tkwi w jednych i drugich „Dziadach", ale tego chyba nikt nie zaprzeczy, że idea ta od „Dziadów" wileńskich do drezdeńskich rozwinęła się, według słów poety, „postępowo". Gustaw z I-ej i IV-ej części wyrasta po latach dziesięciu na genialnego, prometeuszowego Konrada, a „ludowość" części II-ej zakwita męczeńskiem kwieciem narodowości w części drezdeńskiej. Od narodowości zaś

[1] *Mélanges Posthumes.* Paris 1879, II, 219—220: „la pensée dominante et la tendance de l'auteur".

byłby może w dalszych, zamierzonych częściach „Dziadów“ wzniósł się poeta „w postępowym locie“ do — wszechludzkości!

* * *

Kończymy spostrzeżeniem własnem p. Konopnickiej: „Twórczość wielkiego poety... to jest szyb, głębokiej szyb kopalni, do którego badacz z własną, u piersi swoich uczepioną latarką, zejść musi i tyle tylko widzi, ile mu to światło, od piersi jego bijące, pokazać jest w stanie. Szczęśliwy, jeśli nie sam cień tylko własny, odbity na ścianach szybu, ogląda“. — Nie będę zbyt przypatrywał się temu porównaniu, które z prawidłami optyki nie jest w zgodzie; powiem tylko, że p. Konopnicka w tej próbie spuszczenia się do szybu twórczości Mickiewicza istotnie tylko własny cień ujrzała. Tym cieniem jest owa nieszczęsna „ludowość“, która zdaje się być jedyną miarą, jaką autorka do arcydzieł naszej poezyi przykładać zamierza. Oto, co czytamy w pięknem zresztą studyum o T. Lenartowiczu: („Ludzie i rzeczy“, str. 416).

„Co my! Ludowości takiej, jaka przenikała na wskróś całą istotę Lenartowicza, nie miał ani Syrokomla, ani Bohdan, ani żaden z poetów naszych!“

Według moich, być może mylnych, zapatrywań, ludowość jest wielką, bardzo wielką, „ogromną“, rzeczą, ale nie trzeba jej ani w poezyi, ani w życiu narodu nadużywać. Są arcydzieła poezyi bez odrobiny ludowości, a mimo to pozostaną arcydziełami. Wiem dobrze, że za dni naszych zrobiono z „ludowości“ magiczne lekarstwo na wszystkie nasze biedy. Ale zdaje mi się, że dla niektórych, dla bardzo wielu niestety! „ludowość“ jest pojęciem związanem ściśle z pewnemi formułkami o „siermiężnej filozofii“, o pierwotnej „etyce ludowej“, która to etyka „złość i krzywdę doznaną od pana natychmiast chce mieć pomszczoną równie drapieżnym i bezlitosnym gwałtem“ (str. 128, *Bibl. Warsz.* paźdz.). — Takiej „ludowości“ należy przypomnieć słowa Mickiewicza:

„Ogromnie wiele na tem zależy, aby mieć słuszne wyobra-

żenie o tem, co nazywamy ludem. Można być w łachmanach chłopa słowiańskiego, albo w bluzie chłopa francuskiego i nie należeć do ludu; a można mieć na sobie strój kapiący od złota i należeć do ludu. Lud — to człowiek, co *cierpi*, co *tęskni*, człowiek wolny w duchu, człowiek, który nie przychodzi z zapasem gotowych systemików". (Lekcya w *Collège de France* z d. 9 stycznia, 1844 r.).

Mogą zatem i krytycy należeć do ludu, być z ludu w pojęciu Mickiewicza, mogą wreszcie mieć jasne o ludowości pojęcie. I krytycy są ludzie. — Może się w swych sądach częstokroć mylą; mają przecie tę przynajmniej zaletę, że z obowiązku przywykli do wiernego, dokładnego przytaczania cudzych tekstów. Jest to, zapewne, drobnostka; jest to jednak, bądź co bądź, punkt wyjścia dla jakiejkolwiek naukowej dyskusyi.

Na zakończenie przypominają mi się słowa Mickiewicza z listu do Odyńca: „Każdy jest panem swego sumienia literackiego, a my się tem pocieszajmy, że dobry poeta bywa niekiedy złym krytykiem".

Józef Kallenbach.

Pisałem we Fryburgu Szwajc.
w maju 1899 r.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Z nowych wydawnictw dla młodzieży.

Walery Przyborowski: „Namioty Wezyra“. — Teresa Jadwiga: „Z życia znakomitych Polaków i Polek“, „Kara Boża“, „Wilczek“, „Odnowiciel“. — Zuzanna Morawska: „Król Kurkowy“. — Zofia Bukowiecka: „Młotem i kielnią“. — Maryan z nad Dniepru: „Dzieje ojczyste aż po najnowsze czasy opowiadane dziatwie polskiej“, „Dzieje literatury ojczystej dla młodzieży polskiej“. — H. Sienkiewicza „Quo vadis“, ułożył i objaśnił Romuald A. Bobin.

Tegoroczne żniwo dzieł dla młodzieży składa się już niemal wyłącznie z powiastek historycznych, co świadczy o dobrych chęciach, ale równocześnie i o niejakim braku wyobraźni u ludzi piszących. Na pozór nic łatwiejszego jak skleić taką historyczną powiastkę: bierze się z pamięci lub pierwszego lepszego podręcznika parę znanych imion osób i miejscowości, ludzi ubiera się w zbroje, opończe a w potrzebie i skrzydła husarskie, okolice w strumienie i bory, stawia się gdzieniegdzie strzechę lub gródek otoczony częstokołem, białogłowy uzbraja się w kądziel i stroi w bursztynowe paciorki, nastawia się gdzieś w pobliżu Niemców albo Pomorzan, aby w stosownej chwili napadli, a dobroczynnych pielgrzymów, aby również w stosownej chwili ratowali sytuacyę — ot, i robota skończona. Mało który autor lub autorka zada sobie pracę przestudyowania epoki, o której pisze, nadania bohaterom swoim charakteru licującego z historyczną prawdą, lub oparcia biegu wypadków na autentycznej relacyi. Jest wszakże rzeczą bardzo ważną, aby pod pozorem pracy nad wykształceniem dziecka, nie kłaść mu

do głowy rzeczy, które mu nauczyciel przy lekcyi będzie musiał z pamięci wybijać; należy pamiętać, że fakt przedstawiony dramatycznie w powieści, daleko większe robi wrażenie od mniej lub więcej suchych zapisków podręcznika szkolnego, że zatem nie jest obojętnem czy się go tak lub owak przedstawi. Znam kogoś, który na całe życie zachował antypatyę do pięknej postaci Długosza z powodu rózgi, z jaką go widywał na obrazkach dziecinnych, karcącego synów Jagiellończyka. Nie jest zatem słusznem to, co niektórzy mówią, że „dla dzieci to wszystko jedno!“ — Raczej możnaby powiedzieć, że „dzieciom“ jest wszystko jedno, ale nie „dla dzieci“ — jeżeli wogóle się dba, aby poznały porządnie dzieje swego narodu. Dobrych podręczników mamy dosyć, aby mogły piszącym służyć za podstawę; trzeba tylko pilnie do nich zaglądać i poznać gruntownie to, o czem się ma pisać. Inaczej — lepiej opowiadać dzieciom coś współczesnego, jaki epizod z życia Maryni lub Zosi, Antosia lub Józia — można i w tym rodzaju stworzyć coś ślicznego, przydatnego dla rozwinięcia rozumu i serca.

Powyższe ogólne uwagi nie dotyczą oczywiście skróconego dla młodych „Quo vadis“, ani życiorysu Mickiewicza p. Strażyńskiej, ani też epizodu z czasów Jana III. opowiedzianego przez Walerego Przyborowskiego p. t.: „Namioty wezyra“ [1]. Jest to opowiastka przeznaczona dla młodego wieku, mogąca jednak służyć ku rozrywce każdego od lat 10 do 100; najlepszy to probierz książek dziecinnych, jeżeli je starsi z przyjemnością przeczytać mogą. O stylu i werwie p. Przyborowskiego niema już co mówić, gdyż zbyt dobrze z poprzednich utworów są znane. Tu jeszcze do werwy dodaną jest wesołość, poczciwa, szczera wesołość, o jaką dziś coraz trudniej, komiczność bez śmieszności wydarzeń ani wyrażeń. Możnaby skrytykować jedynie wyraz „powieść“ umieszczony na tytułowej kartce, treść bowiem nie jest dostatecznie zaokrągloną przy końcu i wygląda raczej na wyborny epizod z historycznej powieści. Młodziutki szlachcic Piotrek Rzecki, daje się dla miłości siostry równie jak i dla miłej zgody wyzuć przez macochę ze swej ojcowizny i wyjeżdża z przedzierzgniętym na giermka parobkiem Maćkiem, aby zaciągnąć się do wojska na kampanię wiedeńską. Ów Maciek, paradny typ mazurskiego chłopa, jest istotnym bohaterem powiastki; zarazem zapamiętały i tchórz, dowcipny i jak

[1] Walery Przyborowski: „Namioty Wezyra“. Powieść historyczna z czasów Jana III. z 9 ilustracyami J. Kossaka i K. Puławskiego. Str. 225. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1899.

to mówią „z głupia frant“, przemyślnością swoją ratuje swego pana w niejednej trudnej chwili, poczem przez nieostrożność naraża go i wystawia na inne biedy. Po przeróżnych przygodach młodzi błędni rycerze jadący z Łomżyńskiego ku Warszawie, wpadają nieświadomie do parku willanowskiego, gdzie natknąwszy przypadkowo na samego króla, Piotrek stawia mu się zuchwale, a następnie, poznawszy swój błąd, pokorą i żalem nietylko uzyskuje przebaczenie, ale zostaje przyjęty w poczet pokojowców pańskich. Odtąd Piotrek i Maciek obracają się w kole znanych historycznych postaci, jadą z Janem III. pod Wiedeń, wraz z nim odpędzają Turków i obławiają się tureckim łupem. Osobistości ich wszakże z dodatkiem również wybornego typu wziętego do służby Piotrkowej warszawskiego andrusa, Adamczyka, nie przestają rysować się zabawnie i wyraźnie na tle ściśle historycznych szczegółów pochodu i bitwy. Być może, iż przy spotkaniu Sobieskiego z cesarzem, postać Maćka rysuje się nawet zbyt ostro, on też w ucieczce pierwszego dnia pod Parkanami odgrywa rolę bohaterską, bodaj czy nie owego bezimiennego po dziś dzień rajtara, który istotnie uratował życie królowi i prawdopodobnie własnem je życiem przypłacił, gdyż przy poszukiwaniu go dla nagrody — nigdzie go potem dopytać się nie było podobna. Tu przeciwnie, Maciek wynagrodzony jest sowicie; to też wyniesiony do stanu szlacheckiego, wynosi się dumnie ponad wzbogaconego mieszczanina Adamczyka, którym już i przedtem, jako kmieć, „łykiem“ serdecznie pogardzał. Szkoda, że opowiadanie kończy się zbyt nagle, szkoda też, że opisawszy pokrótce porażkę parkańską, o której tak swojego czasu, jak i w późniejszych zbyt wiele hałasu narobiono po świecie, autor nie odmalował choć pokrótce tryumfu dnia następnego, owej bitwy, która istotnie złamała siły tureckie, raczej spłoszone niż rozgromione pod Wiedniem. Za to jesteśmy mu wdzięczni za wydobycie z cienia rycerskiej postaci Ruszczyca (Jerzego nie Romana jak przez pomyłkę pisze p. Przyborowski), widniejącej na każdej karcie współczesnych wojennych źródeł a jakoś zapomnianej od dziejopisarzy. Takich historycznych powieści jak „Namioty wezyra“ pragnęlibyśmy jak najwięcej dla naszych dzieci niemniej jak i dla siebie.

Pomiędzy Walerym Przyborowskim a Teresą Jadwigą, różnica jest ogromna; tak czytelnik jak recenzent musi uczynić skok, ale nie w górę. Intencye jak zawsze są dobre, moralność i religijność głęboka, styl bez zarzutu, język również, niektóre opisy ładne; zalety zaiste nie-

małe i nie dane każdemu, ale nie okupujące banalności treści i niedokładności graniczącej z zaniedbaniem czy nawet lekceważeniem prawdy historycznej. Wprawdzie na tym ostatnim punkcie jest od przeszłego roku niejaki postęp ale niedostateczny; zdarzyło mi się słyszeć chłopca dziesięcioletniego wytykającego błędy w jednej z powiastek szanownej autorki. Najmniej ich jest w książce zatytułowanej: „Obrazki z życia znakomitych Polaków i Polek[1]“, choć i tam czytamy ze zdziwieniem o poselstwie z Prus od związku Jaszczurczego przybywającem do Kazimierza Jagiellończyka nie w r. 1452 przy końcu jego wesela, ale w długie lata później, już po przeprowadzonej i uciszonej walce z Kościołem o nominacye biskupów. Dowiadujemy się również, że Czarniecki swą ranę w usta odebrał, walcząc ze Szwedami w Krakowie, a nie jak uczą dokumenta przy obleganiu w Monasterzyskach Bohuna; czytamy o zacnym domu Cyllejskim, co przypuszczamy, że jest chyba błędem drukarskim; widzimy Jadwigę przy wjeździe do Polski, odbywającą podróż z pośrodka Tatr do Krakowa (podróż przerywaną mowami i przyjęciami) w jakie 10 godzin, bo wyjechawszy z rana, stanęła na Wawelu przed zachodem słońca! I tu jest pewien postęp, widzieliśmy bowiem w „Wielkim królu“, że św. Wojciech krocząc doliną tatrzańską patrzał na blizkie już wieże Krakowa... „Obrazki“ podzielone są wiekami, każdy zaś wiek mieści kilka lub kilkanaście rozdziałów. Jest z jakie dziesięć postaci historycznych, reszta zaś należy do literatury. Możnaby nawet śmiało te dziesięć wyrzucić i zastąpić je wizerunkami tyluż autorów, a wtedy dzieło p. Teresy Jadwigi byłoby ładnym i pożytecznym przyczynkiem do dziejów naszej oświaty. Jest nim poniekąd i dzisiaj, zawiera bowiem prócz życiorysów wyciągi z poszczególnych dzieł: np. długi ustęp z „Lilli Wenedy“ Słowackiego, scena z „Geldhaba“, długi ustęp wierszy Janickiego i t. p. Obok literatów mamy kilku artystów, jak Chopin, Moniuszko, Matejko. Dziwnem i smutnem tu jak i w niektórych innych szkicach literackich jest — między nowszymi — zupełne przemilczenie Szujskiego. Czyliż ten niezmordowany pracownik, ten gorący miłośnik kraju, prawdy i piękna, ten autor istnej biblioteki cennych dzieł, nie więcej zasłużył się ojczyźnie lub przynajmniej nie tyle co np. Korzeniowski lub Kremer, o których nikt niezapomni? W tem przemilczaniu prawdziwej zasługi jest coś demorali-

[1] „Obrazki z życia znakomitych Polaków i Polek“, przez Teresę Jadwigę. Z 40 portretami. Str. 412. Petersburg. Nakładem K. Grendyszyńskiego. 1899.

zującego dla młodszych pokoleń. — Ale wracajmy do „Obrazków“ Teresy Jadwigi. Czyż nie możnaby poprosić szanownej autorki, aby czasem opisała coś nowego, a nie zaczynała ośm razy na dziesięć przyjazdem swego bohatera, poprzedzonym kłębiącą się na drodze kurzawą i uwagami oczekującego tłumu. Aby również zaniechała dziecinnych niemal zwrotów, jak np. Kazimierza Wielkiego, podającego swój kodeks praw z przemową: „Oto jest Statut w i ś l i c k i!“

Oprócz „Obrazków“ mamy trzy nowe powieści historyczne tegoż samego pióra: „Kara Boża“, „Wilczek“ i „Odnowiciel“. Dwie pierwsze mieszczą się w jednym tomie[1]; krótsza z nich „Wilczek“ zawierająca 109 stron, szkicuje z grubsza walki Mieszka I-go z Niemcami i jego przejście pod sztandar krzyża. Sam bohater, Wilczek, jest chłopięciem znalezionem w lesie, dokąd był uciekł z jakiejś chaty spalonej przez najeżdżających Niemców. Przyprowadzony na dwór Ziemomysła w sam dzień pamiętnych postrzyżyn Mieszka, pozostaje tam jako towarzysz królewicza, z którym dzieli następnie rozrywki i trudy wojenne. Ze wspomnień dziecinnych wszakże zachowuje ślepą nienawiść do Niemców i do ich wiary, to też pomimo swego przywiązania do Mieszka, opuszcza go, gdy widzi, że tenże ku chrystyanizmowi się skłania. Przy końcu oczywiście powraca i pod wpływem cudu przyjmuje chrzest. Całość jest wcale niezłą, acz stereotypową powiastką z prastarych czasów. Za to „Kara Boża“ przenosi nas już pod panowanie Jagiełły, i w części prywatnej swej treści zawiera różne ładne ustępy. Bardzo dobrym jest u wstępu opis krakowskiej „gospody Frydrychsa“, kędy gospodarz, bardzo typowy, czatuje uzbrojony w jadło i napitek na gości powracających z nabożeństwa w kościele Maryackim. Zanim się jednak nabożeństwo skończyło, przybywa doń gość innego rodzaju, rycerz butny i hałaśliwy, zawadyaka i gbur. Jest to syn ziemianina osiadłego w okolicach Lwowa, Grzegórz z Odolan, który powróciwszy niegdyś do domu po długiej wędrówce i zastawszy oprócz ojca i brata niespodziewaną macochę z dwojgiem dzieciaczków, opuścił był na nowo dom, tym razem w największym gniewie, i poszedł włóczyć się po świecie, zaciągając się tu i ówdzie na wojnę, aż w końcu oparł się na dłużej w hufcach Witolda. Obecnie odpocząwszy nieco w gospodzie i usłyszawszy z ust jednego z Frydrychsowych klientów jakiś zarzut

[1] Teresa Jadwiga: „Kara Boża“, „Wilczek“. Dwie powieści historyczne. Z 10 ilustracyami S. Sawiczewskiego. Warszawa. Gebethner i Wolff. 1898. Str. 280.

czyniony litewskiemu księciu, poczyna w oburzeniu miotać obelgi na wszystkich obecnych, i radby ich wyciął na miejscu, gdyby nie powaga najznaczniejszego z nich rycerza Zoliwy, który biorąc zwadę na siebie, sam go na pojedynek wyzywa. Walka jednak ma się odbyć w Odolanach, dokąd Grzegórz chce spieszyć objąć ojcowiznę po świeżo zmarłym rodzicu, aby do niej nie dopuścić dzieci z drugiego małżeństwa. Gdy jednak wkrótce potem zacny Zoliwa puszcza się w podróż, aby słowa dotrzymać, i już do Odolan dojeżdża, spotyka na drodze samotne dziewczątko, od którego dowiaduje się, że Grzegorz przybywszy do domu, chciał odrazu wygnać macochę, wstrzymywany przez rodzonego brata, zabił go, potem gdy wystraszona niewiasta nadbiegła ratować pasierba, rzucił się na nią wściekły i byłby również zarąbał, gdyby sama upadając nie ugodziła głową o kamień i w kilka godzin umarła. Następnie siostrze, małej Monisi, rzucił woreczek z pieniędzmi i kazał iść precz, jedynie brata jej Bolka wygnać nie mógł, bo go w dzieciństwie ukradli cyganie. Wieści te wstrzymują Zoliwę, który nie chcąc już mierzyć swej szabli z szablą zbrodniarza, zawraca do domu uwożąc biedną sierotę, poczem zanosi skargę przed króla. Odpowiedzią Jagiełły jest wyrok śmierci na Grzegorza i wzięcie w opiekę Odolan aż do pełnoletności Monisi i odnalezienia jej brata. Wyrok jednak omija winowajcę, który znów do Witolda na wojaczkę podążył. Monisię bierze na swój dwór królowa Jagwiga i wychowuje aż do własnej śmierci. Epizod ten śmierci Jadwigi istotnie piękny, mógłby w najlepszej figurować powieści. Po zniknięciu świętej królowej, Zoliwa chce Monisię odebrać, ale sam król, który przywykł do twarzy dziewczęcia sprzeciwia się temu; po jego powtórnem ożenieniu, Monisia pozostaje we fraucymerze Anny Cyllejskiej. Tymczasem stracony brat jej Bolek, błąka się wciąż z cyganami, wśród których mu tęskno i obco, aż pewnego dnia, oświecony przedśmiertnem wyznaniem cyganki, która go niegdyś ukradła, idzie prosić o pomoc i radę starego plebana w Odolanach; ten zaś nabrawszy przekonania, iż ma przed sobą opłakiwanego przez tyle lat chłopczynę, zatrzymuje go przez pewien czas przy sobie, a potem wysyła do króla. Jagiełło jeszcze niepewny, ale ujęty wdziękiem młodzieńca, każe mu iść z sobą na wojnę, a jest to wojna z Zakonem, kampania grunwaldzka. Tu już przed samą bitwą, w namiocie królewskim następuje niespodziewane spotkanie obu braci: Grzegórz uderzony podobieństwem Bolka ze starszym bratem, którego zabił, truchleje w myśli, że nieboszczyk zmartwychwstał. Król chce go kazać

stracić natychmiast, wstrzymany jednak prośbą Witolda i blizkością walki, zmienia wyrok na zupełne wydziedziczenie z włości. Kara ziemska zatem omija zbrodniarza. Za to spotyka go kara Boża: po bitwie znaleziony jest z rękami obciętemi po łokcie, nogami po kolana, z piersią i głową pokaleczoną okrutnie. Że jednak żyje, więc Jagiełło oddaje go bratu mówiąc, aby z nim zrobił co mu się żywnie podoba. I tu zaczyna się nie banalna, nie tuzinkowa część powieści. Bolek rannego otacza największą opieką, a choć ten wróciwszy do zmysłów odpłaca mu się nieustającą obelgą, pełni dalej swą służbę anielską, przy zabójcy matki i brata, przy zdziercy, który jego i siostry ojcowiznę usiłował zagarnąć. Namówiona przez Bolka Monisia, opuszcza dwór, aby mu być pomocną i tak we dwoje w Odolanach mieniają się przy łożu kaleki. Ten lży ich i łaje wciąż, nazywa darmozjadami, których z łaski u siebie chowa, zwolna jednak przyzwyczaja się do ich obecności i gniewa, gdy go opuszczają na chwilę. Trwa tak czas długi, aż wreszcie przychodzi cud, o który Monisia niegdyś prosiła u trumny Jadwigi: nawrócenie Grzegorza. W powieści atoli przychodzi ono w sposób zbyt nagły: pewnego dnia chory zasypia zły, i budzi się z sercem zmiękczonem, bez żadnego widocznego powodu zmiany. Czytelnik radby widzieć potem jego zgon jako zakończenie kary Bożej, która jest i srogą pokutą dla innych; pociecha ta jednak jest nam odmówioną. Tyle dobrego, że Bolek wyjeżdża do boku króla, ale pokuta trwa dalej, a Monisia wydana za jednego z synów Zoliwy, każe mężowi osiedlić się w Odolanach, aby módz dalej pielęgnować Grzegorza.

Osnowa powieści zatem jest wcale ładna, skoro jednak ma tło historyczne, mielibyśmy prawo nieco więcej zażądać dokładności, nie tyle co do faktów, ile co do ich chronologii. Trudno bowiem pojąć jakim cudem u samego wstępu panowania Jagiełły, Witold już znalazł dość czasu aby się wiązać z Krzyżakami i opuścić ich, dać się Tatarom pobić nad Worsklą, a co więcej rozszerzyć granice swoje poza Psków i Nowogród!... Czytający już się ze strachem spodziewa, że i bitwa pod Grunwaldem i unia w Horodle w tym jednym roku się pomieści, szczęściem obawa okazuje się płonną. Natomiast dowiaduje się, że Jadwiga towarzyszyła mężowi w apostolskiej podróży na Litwę, że Skirgiełło był wielkorządcą Podola, a nie Kijowa, jak nas dotąd uczono, słyszy po raz pierwszy o jakimś kanclerzu Oleśnickim za czasów Jadwigi... Bitwa pod Grunwaldem opisana ładnie, ale raczej według obrazu Matejki, niż według historyi: pojmuje się, że autor powieści nagina tu i ówdzie wypadki dla zaokrąglenia swojej fabuły, ale po co nam bez potrzeby

opowiadać rzeczy inaczej niż były? po cóż kazać Jagielle czekać przez długie dni na Witolda wśród pól Grunwaldu, gdy wszyscy wiedzą, że przybył na nie dopiero w sam dzień bitwy tj. 15-go lipca rano, a już 30-go czerwca połączył się był z Witoldem w Czerwińsku? Po co przedstawiać jako obelgę wyrządzoną Polakom owo przysłanie przez w. mistrza dwóch mieczów na znak szlachetnego wyzwania do walki? Wszak to był ówczesny obyczaj rycerski, a jeżeli go nie wszyscy u nas wówczas zrozumieli, toć go zrozumieć musiał choćby sam Witold i niema potrzeby uwidoczniania naszego barbarzyństwa na korzyść Niemców... Nie podnosilibyśmy tych wszystkich szczegółów, gdyby książka nie była „dla młodzieży", a przez to samo obowiązana do sumienności gruntownej.

Trzecią powieścią historyczną jest „Odnowiciel", gdzie prócz dziejów powrotu Kazimierza do spustoszonej ojczyzny, mamy i panowanie Mieszka II. Tu już widzimy na pierwszym planie same niemal historyczne postacie i fantastyczne nieco, ale z grubsza z prawdą zgodne historyczne wypadki. Nie wątpimy, że książka będzie zajmującą dla młodych — dla nas wszakże trudno nie zauważyć, że osobistości grające w niej rolę, ustawiają się zawsze jak na komendę, rzekłbyś figuranci w balecie lub żywym obrazie, że wszystkie wypadki dzieją się zawsze nagle i niespodziewanie a rzadko kiedy w czasie, w którym się działy istotnie. Napad Czechów pod Brzetysławem na Gniezno np. następuje podczas rządów Bezpryma, i tak znienacka, że dopiero wrzaski ulicznej rzezi ostrzegają Ryksę i Kazimierza na zamku. Niepotrzebnym i nieprawdziwym jest powrót Mieszka z czeskiej niewoli zagłodzonego i w łachmanach, śmiesznem przedstawienie Niemców, jako ludzi trwożliwych a zniewieściałych, dziwną nieco wzmianka na str. 107 o rusznicach (przed wynalezieniem prochu!), błędną i lepszej sprawy godną wytrwałość autorki w łączeniu najstarszego i najmłodszege z synów Chrobrego, Bezpryma i Ottona, w jedną i tę samą postać — rzekomego Ottona-Bezbraima „knezia Słowaczyzny!" Pomimo więc szczerego uznania dla niejednej zalety „Odnowiciela", pomimo wdzięczności dla autorki za to, że nam nie każe szukać królewicza Kazimierza w murach klasztornych a ojcu jego przyznaje cnotę

[1] Teresa Jadwiga: Powieści historyczne. III.: „Odnowiciel". Powieść dla młodzieży z czasów Mieczysława II. i Kazimierza I. Z 6 ilustracyami M. Kotarbińskiego. Petersburg. Nakładem księgarni K. Grendyszyńskiego. 1899. Str. 181.

dzielności — mimowoli przychodzi na myśl sprytna uwaga z komedyi Al. Mańkowskiego o ludziach piszących historyę „od ucha!“

Niestety, trzeba nam tym razem do ich grona i p. Zuzannę Morawską policzyć. Już w przeszłym roku przy ocenie „Jaszczura“ zauważyliśmy, że to pióro obrotne i sympatyczne, gdy kreśli epizody życia prywatnego choćby z odległej epoki, traci swobodę i pewność na gruncie historyi. Najświeższy jej utwór „Król Kurkowy“, jest tego dobitnym dowodem, z tą różnicą, że gdy w „Jaszczurze“ sprawy dziejowe były tylko przygrywką do zgrabnej i zajmującej fabuły, tu przeciwnie, panują wszechwładnie, miejscami tylko umajone powieściowym dodatkiem. Byłoby to bardzo pięknie, gdyby historya ta była istotnie historyą, gdyby szczegółowo opisana niefortunna odyssea arcyksięcia Maksymiliana w roli współzawodnika Zygmunta III., była co do tychże szczegółów prawdziwą. Wiem, iż zarzut ten będzie bolesnym autorce, która się widocznie o autentyczność siliła, skoro podała nam kopię prawdziwego acz niewiele dowodzącego dokumentu, listu Zebrzydowskiego do w. hetmana... Ale cóż robić — trzeba przedewszystkiem mówić prawdę, nawet gdy chodzi o recenzye książek dla młodzieży. Idąc za tem prawem, powiedzieć musimy, że cały epizod ataku Maksymiliana na Kraków, jest wręcz niedokładny: czytając, zdawałoby się, że w mieście, jako władza był jeden Zebrzydowski, że ciężar bardzo nieznacznej obrony spoczął cały na barkach mieszczan i że nie siła broni, ale fortel młodego Jaśka Komorowskiego, podchodzącego z tyłu w nocy z nielicznym oddziałkiem, wystraszył arcyksięcia z pod murów, gdy przeciwnie prawdą jest, że sam hetman Zamojski kierował obroną, poruczywszy straż zamku staroście Zebrzydowskiemu, miasta wojewodzie Andrzejowi Tenczyńskiemu, Kazimierza Farensbachowi, i że dopiero zacięta walka, wśród której 2000 ludzi poległo, tak że miejscami „trup leżał na trupie“, zdołała miasto od napastników uwolnić. Zasadniczym błędem jest stanowisko i rola nadane Zebrzydowskiemu w całej powieści: autorka już wtedy, w 1587 roku, czyni zeń nawpół ukrytego rokoszanina, kaptującego mieszczan i szlachecką hołotę, aby ich przeciw Zygmuntowi III. obrócić, czyni zeń zdrajcę konszachtującego z Maksymilianem, przeciwnego i wielce podejrzanego Zamojskiemu! Toć przecie żadnej nie ulega wątpliwości, że ówczesny starosta a później wojewoda krakowski był do śmierci kanclerza jego stronnikiem i niemal wychowańcem i narzędziem, że zrazu dla swej pobożności bardzo dobrze widziany u dworu, oddalił się od króla wraz z Zamojskim, że w jednej tylko sprawie nie byli zupełnie zgodni tj. w awan-

turze, jak ją kanclerz nazywał, Dymitra Samozwańca, któremu Zebrzydowski od początku sprzyjał i o którego losy miał później skrycie oprzeć swój rokosz. Rokosz ten jednak nastąpił w 20 lat po bitwie byczyńskiej a wtedy Zebrzydowski sprawował opiekę nad Tomaszem, synem zmarłego przed dwoma laty hetmana. Toż Zamojski nie byłby go opiekunem swego jedynaka mianował, gdyby już w r. 1588 widział w nim swego nieprzyjaciela i zdrajcę. Zresztą Zebrzydowski później dopiero a nie w epoce wstąpienia na tron Zygmunta począł grać wybitną rolę, jaką mu przypisuje p. Morawska. Bitwa pod Byczyną też niedokładna, podobnie jak i opis postępowania Zamojskiego z arcyksięciem: Zamojski wcale do miasta nie wjeżdżał, ani się rozsiadał impertynencko w pokoju Maksymiliana; owszem wyjeżdżającego doń z miasta cesarskiego jeńca przyjął z największem uszanowaniem, odwiózł w karecie do Krasnego Stawu i nie musiał z nim być w najgorszych stosunkach, skoro go na zapusty do Zamościa zaprosił. Czy Maksymiliana zwano Cezaryaninem, o tem nie słychać nigdzie, natomiast Cezaryaninami zwali się stronnicy ojca jego, cesarza Maksymiliana, obranego równocześnie z Batorym. Czy młody arcyksiąże ustawicznie „wydymał wargi", co miało być oznaką dumy, czy był tak głupim i śmiesznym, jakim jest tu przedstawiony, także nie wiadomo. Że to był nieszczególny charakter, to rzecz niewątpliwa, bezpieczniej jednak zbytnio nie ośmieszać, ani jego osoby, ani pretensyi do polskiego tronu; toż wybór jego był równie ważny, jak elekcya Batorego przeprowadzona głównie przez tychże samych Zborowskich, którzy obcego elekta zbrojno do korony wiedli... Oprócz głównego przebiegu faktów, autorka podaje nam opis uroczystości kurkowej, odbytej z świetnością wielką w Krakowie na rynku wobec JKMci Zygmunta III., który tu równie smutno jak Maksymilian wychodzi z obrazu. Opis jednak barwny równie jak i opis późniejszej uczty u burmistrza Makuły. Głównym bohaterem jest Król Kurkowy, młody mieszczanin Wojtek, który od zajęć handlowych na wojaczkę ucieka, obok niego równie ważną gra rolę uliczny chłopak Maciuś, narażający co chwila swe życie dla służby krajowej, co daje asumpt Zamojskiemu do parokrotnej uwagi: „Dziwne to czasy, plebs rwie się, żeby służyć ojczyźnie, a ci co z dziada pradziada jej służyli z obcymi się łączą!..."

Uwaga ta pachnie nie XVI. ale XIX. wiekiem; nigdy chyba nie brakło poszczególnych junaków z „plebsu", którzy rwali się do dzielnego czynu; od tego była nobilitacya i przypuszczenia do herbu. Ta-

kich zaś, co się z obcymi łączyli, można w każdej epoce znaleźć tu i owdzie w naszej historyi; jest ich jednak bez porównania mniej i daleko surowiej bywają sądzeni, aniżeli po innych krajach.

Język i styl p. Morawskiej jest tu jak zawsze wyborny; w opowiadaniu dużo żywości i ruchu. Raz jeszcze tedy powtarzam: nie podnosilibyśmy z takiem zawzięciem błędów historycznych w jej książce równie jak i ostatnich utworach p. Teresy Jadwigi, gdyby były przeznaczone dla starszych. Że jednak czytać je ma młodzież i to młodzież pozbawiona skądinąd nauki dziejów ojczystych, niepodobna zbytnio nalegać na święty obowiązek podawania jej najczystszego ziarna. Toż dla niemowlęcia niemającego w jadle wyboru, dobiera się jak najlepszego pokarmu; to samo trzeba czynić i tutaj. A rzecz niemożliwą nie jest, ani się autorowie mogą wymówić potrzebami swojego kunsztu górującego nad oschłością faktów i dat; jeżeli Kraszewski mógł niewolniczo naginać swój talent do przewodniej nici średniowiecznych kronik, jeżeli Sienkiewicz trzyma się wiernie historyi a przy oblężeniu Zbaraża lub Kamieńca ani kroku nie odstępuje od współczesnych relacyj, jeżeli wreszcie p. Przyborowski, autor równie poważnych dzieł jak i fantastycznych powiastek, umie gdy dotknie historyi trzymać się jej tak ściśle, że nawet budzik Sobieskiego według dokumentów na godzinę 3-cią nakręca, toć i my prości śmiertelnicy, którym nie wolno to, coby uszło wielkim, możemy przed zaczęciem dzieła pokornie nad podręcznikiem się schylić. Nie zawadzi to ani polotowi myśli, ani barwności wyobraźni a doda pracy wartość dodatnią, nieocenioną i niezastąpioną niczem wartość prawdy dziejowej.

Teraz przejdźmy do nowego utworu p. Zofii Bukowieckiej: „Młotem i kielnią“ [1]. Tej autorce już chyba nikt nie zrobi zarzutu, że pisząc, za mało zagląda do źródeł. Wprawdzie książki jej nie są powieściami historycznemi, przy każdej sposobności jednak zaczepia o historyę i to ze znajomością faktów, miejscowości i ludzi, świadczącą o gruntownej wiedzy. Już to niema obawy, aby podała jaką niedokładną datę, aby czyją osobistość ukazała w samowolnem fantastycznem świetle, aby kazała swym bohaterom przebyć w kilka godzin odległość, którą lokomotywa lub statek parowy przebiegają w półtorej doby. Wiedza ta atoli nie dotyka wyłącznie drogiej nam a straconej przeszłości; obejmuje i teraźniejszość z całem bogactwem jej prądów, po-

[1] Zofia Bukowiecka: „Młotem i kielnią“. Opowiadanie dla młodzieży. Warszawa. Nakład Gebetnera i Wolffa. 1899. Str. 297.

trzeb i nędz. Radaby wszystkiemu złemu zapobiedz, wszystkie zalety narodowe wyzyskać, wszystkie narowy wytępić. Jeżeli jej wogóle a w obecnym utworze w szczególności można uczynić zarzut, to chyba ten, że zapał ku dobremu zbytnio w nim jak na powieść góruje nad wyobraźnią, że książka przeznaczona „dla młodzieży", jest dla młodzieży zbyt poważną, opowieść zbyt przerywana wycieczkami w dziedzinę historyi i ustępami rozumowań moralnych. Powtarzamy toż samo, co przeszłego roku tylko z większym jeszcze naciskiem: szkoda tych pięknych rzeczy, które książka zawiera, bo ich młodzi nie przeczytają, goniąc za przygodami Wicka Broniaka, starsi zaś, którzyby przeczytali, nie wezmą książki do ręki, mniemając, że jest nie dla nich, ale dla ich dzieci pisana. Do ładnej i bardzo pouczającej osnowy nie potrzeba było tyle dodawać balastu, natomiast można było użyć do innego utworu przeznaczonego dla ojców i matek.

Łatwo się domyślić z tytułu „Młotem i kielnią", że autorka „Antka Górnika" przeniesie nas tym razem w świat rzemieślniczy. Młody czytelnik odnajdzie z przyjemnością w dziarskim a inteligentnym majstrze ślusarskim panującym w artystyczno-przemysłowym warsztacie dawnego znajomego z pomiędzy „Dzieci Warszawy", owego Filipa Szczygła, płatającego figle naprzemian z heroicznemi czynami miłosierdzia. Odnajdzie i wielu innych znajomych, tylko podrosłych i dziwnie spoważniałych; chcąc się zatem zabawić, muszą patrzeć nie na nich, ale na młodszą generacyę, wśród której trzyma prym wspomniany Wicek Broniak, zrazu wesoły urwisz nie mogący w żadnym wytrzymać terminie, potem uciekający na statku do Gdańska, ratujący po drodze upuszczone do Wisły dziecko, co mu wielce potrzebnych jedna opiekunów, potem w Gdańsku wynoszący z płomieni duszącą się już staruszkę, a wreszcie przetapiający swój zapał awanturniczy w hart i wytrwanie w pracy. W przedostatnim rozdziale już jako majster mularski powraca do Warszawy, gdzie zaślubia córkę Filipa Szczygła Są i inne ważne osobistości: jest syn zubożałego szlachcica Florek Ziółko (nazwisko nieszczęśliwe bo śmieszne), pracujący niemal dniem i nocą w warsztacie Szczygła, aby zebranemi pieniędzmi zapłacić sumę przeniewierzoną przez ojca, który w kraju za umarłego miany, pracuje tymczasem ze swojej strony w Ameryce, i szczęśliwym wynalazkiem w dziale mechaniki zarabia nietylko tyle, aby módz się z długu uiścić, ale dość aby od licytacyi uratować dobra dawnego chlebodawcy. Oto są główne rysy powieści, które jednak nie mogą o niej dać wyobrażenia: właściwie bowiem jest to mniej powieść aniżeli wyłożona teza.

Głównym i pięknym jej celem jest poprawa losu nie tak materyalnego jak moralnego chłopców terminatorów, naleganie aby dom majstra, który im w rozkwicie pierwszej młodości zastępuje dom rodzicielski, był dla nich istotną przystanią ochraniającą ich dusze od złego, istotnem ogniskiem, przy któremby i serce rozgrzać i umysł oświecić mogli. Nad tą drażliwą a tak żywotną dziś kwestyą oświaty, ścierają się tu dwa obozy: postępowy acz umiarkowany Filipa Szczygła, i stary, zacofany pierwszego jego czeladnika a Wickowego wuja Zielonki. Jest jeszcze i trzecie stronnictwo malkontentów, warchołów, rzecby można socyalistów, gdyby rzecz zamiast w Warszawie działa się w Krakowie... Między tymi, a umiarkowanymi postępowcami walka zaostrza się w chwili wyborów na starszego w cechu: umiarkowani już są blizcy zwycięstwa, gdy zacofani, przeciwni jednym i drugim, włażą klinem pomiędzy nich i przeprowadzają wybór starego niedołęgi, niezdolnego do czynu ani do woli. Cały ten epizod zręcznie przeprowadzony przypomina niejedne wybory na szerszem polu instytucyj krajowych; wątpić jednak należy, aby mógł zająć młodziutkie umysły. Mimowoli też widząc jak fałszywy kierunek bierze nieraz oświata, czytelnik słucha bez oburzenia rozumowań starego Zielonki, znajdując, że choć przesadza, to przecież w niejednem ma słuszność... Bardzo nowoczesnemi są na pensyi, gdzie się wychowuje córka Filipa Szczygła, rozmowy panienek snujących wielkie plany działalności na przyszłość: możnaby mniemać, że to przyszłe emancypantki, lub jedne z tych biednych a energicznych stworzeń, których skrzydła mimo zdolności i pracy złamią się kiedyś o niechęć ludzką i twarde życia zapory. Szczęściem dla nich p. Bukowiecka jest miłosierna, i po dzielnie skończonych naukach posyła im kawalerów usuwających możność i potrzebę szarpania się o karyerę. Zadziwił nas nieco ustęp o tlejącej w każdym Polaku namiętności do zamorskich wypraw i dalekich awantur, gdy cała nasza historya zadaje kłam temu twierdzeniu: podczas gdy inne narody odkrywały świat i zdobywały to handlem bogactwa, to mieczem kolonie, myśmy siedzieli jak krety i nie umieli nawet, jak na to już utyskuje Bielski, skorzystać z pięknych brzegów Czarnego morza. Chyba obecna emigracya włościan do Ameryki mogła podobny żal nasunąć autorce.

Prócz wielu innych widzimy jeszcze w książce *pia desideria* zniesienia czy to z góry czy z dołu wszelkich przesądów i przegród kastowych; lekarstwo na nie widzi w równości nie majątku ale wykształcenia. Zaprawdę marzenie piękne ale prawdopodobnie skazane na po-

zostanie do końca świata w dziedzinie marzeń. Da się ono urzeczywistnić jedynie na bardzo drobną skalę i to z warunkiem zachowania tego wykształcenia na tak nizkiej stopie, iżby ludzie zajęci wyłącznie fizyczną pracą, mogli się na jej poziomie utrzymać. Przykład takiego społeczeństwa istnieje na Helgolandzie, gdzie ludność rybacka (około 2000 dusz), mówi biegle trzema językami, umie pisać, czytać i rachować, i gdy nie wyjeżdża na morze, tuli się w maleńkich izdebkach wzorowej czystości. W szerszem społeczeństwie taki stan jest niemożliwym — w żadnym kraju lada cień arystokracyi rodowej nie imponuje tyle co w Ameryce północnej, a choćby i tej na świecie nie było, będzie zawsze arystokracya duchowa, umysłowa, nie dopuszczająca między ludźmi szablonowej równości. Można tedy niektóre kwestye a raczej odcienia kwestyi przedyskutować z p. Bukowiecką, trzeba jednak przyznać, że każda jej myśl jest szlachetną, każde uczucie wzniosłem, płynącem z nieba i do nieba wiodącem, a przytem wyrażonem z prostotą, wdziękiem i wielką dozą zdrowego i wesołego humoru.

Trudno o milszą i ładniejszą książeczkę, jak „Dzieje ojczyste“ Maryana z nad Dniepru [1]. Powierzchowność jej nęci, a treść cieszy nadzieją, że dzieci nasze zakosztowawszy z niej opowieści dziejów ojczystych na całe życie zachowają w sercu ich najgłówniejsze zarysy. Styl jest bardzo przystępny, opowiadanie jasne, gładkie i prócz kilku bardzo drobnych usterek dostatecznie dokładne. Co najważniejsza sąd wszędzie zdrowy i na wskróś uczciwy. Pytanie tylko, czy u wstępu nie należało dodać choćby dwóch lub trzech stron z króciutką wiadomością o Słowiańszczyźnie, o jej walkach z Niemcami, wreszcie o podaniach z nad Wisły. Historya polska dla dzieci bez Krakusa i Wandy, również jak i bez Popielów i Myszej wieży, trochę dziwnie wygląda, bo choć to dzieje bajeczne, przecież znać je trzeba. Łatwiej w życiu obejść się można bez wiadomości o bitwie pod Worsklą lub o rozejmie Andruszowskim, niż o tych baśniach, w których zresztą nie wiemy jak wielka ilość prawdy się kryje. Tu opowiadanie zaczyna się wprost od Piasta; przez pierwsze wieki zanadto usiane cudami, chwilami więcej na legendę niż na historyę zakrawa. W tym względzie z dziećmi należy być bardzo ostrożnym, aby snać gdy wyrosną nie nastąpiła

[1] „Dzieje ojczyste aż po najnowsze czasy opowiadane dziatwie polskiej“ przez Maryana z nad Dniepru. Kraków. Spółka Wydawnicza Polska. 1898. Str. 200.

reakcya. W późniejszych epokach za to, im dalej tem lepiej. Opowiadanie trochę poważnieje nie tracąc wszakże swojej zwięzłości i wdzięku.

Tak co do treści. Równą jednak a może i ważniejszą rolę w książce odgrywają ilustracye tak piękne, jak ich mało które dzieło polskie posiada. Są to nie licząc tytułowej kartki zdobnej w barwne herby głównych dzielnic Rzeczypospolitej, 132 obrazków wykonanych prześlicznie, „wedle współczesnych pieczęci, sztychów i rycin, nowszych zdjęć z natury, portretów, obrazów najcelniejszych malarzy“ i t. p. Na pierwszej stronie np. mamy Zamek krakowski z r. 1655 z dzieła Puffendorfa, dalej pomnik Mieczysława i Dąbrówki, korona Chrobrego, starożytne widoki Krakowa i Warszawy, grób Bolesława Śmiałego i t. d., i t. d. Wszystko to autentyczne i wysoko artystyczne, tak że dla samych rycin wartoby mieć książkę dla ozdoby salonu. Ale tu znowu pytanie — czy te ilustracye nie są zbyt „mądre“ dla dzieci? Jest pewna sprzeczność pomiędzy niemi a tekstem: treść bowiem jest dla bardzo małych dziatek, podczas gdy obrazki są dla bardzo dorosłych i bardzo wykształconych ludzi. Powiedzmy zatem, że Maryan z nad Dniepru obdarował nas wszystkich, bo ilustracye dał dla rodziców, a opowiadanie dla dzieci. Za oboje serdeczne — Bóg zapłać.

Temu samemu autorowi zawdzięczamy również „Dzieje literatury ojczystej dla młodzieży polskiej“ [1]. Aż strach pomyśleć co te dwa tomiki kosztowały pracy. Są w nich rzeczy wyborne, są i długie, śliczne ustępy, jak np. cały początek części II-ej traktujący o szkole wileńskiej i o największych poetach naszego wieku. Cała ta pieśń pochwalna napisana widocznie *con amore*, z przejęciem i uniesieniem, dozwalającem wszakże dostrzedz zboczenia zaszłe w biegu opiewanych gwiazd. Wogóle książka dla celów dydaktycznych skreślona, może się nauczającemu jako podręcznik niemało przysłużyć; znajdzie w niej i krótkie a ładne życiorysy autorów i treściwą a zawsze uczciwą ocenę ich dzieł. Dla samego ucznia nie dość może ogólnych poglądów; autor przeszedłszy trochę szybko nad pisarzami z czasów Rzeczypospolitej to jest nad owocami umysłowej pracy tysiąca lat naszego istnienia, rozszerza się w początkach XIX. w., a w końcu absolutnie tonie w pośród literatów ostatniej doby. Niebezpieczną rzeczą było na owe morze się puszczać; historyi literatury nie można zawsze pisać na świeżo, lepiej poczekać trochę, aż męty na dno opadną, gdyż wtedy dopiero się widzi

[1] Maryan z nad Dniepru: „Dzieje literatury ojczystej dla młodzieży polskiej“. 2 tomy. Kraków. Księgarnia Spółki Wydawniczej. 1898.

jakie nazwiska i dzieła zmienność czasu przetrwały, jak głębokie wyorały bruzdy na umysłowej niwie narodu. Szkoda też braków, jakie z podobnego systemu powstają i powstać muszą; są bowiem autorowie, o których nie wiedzieć czy już ich umieścić lub nie. Tak tu np. próżno szukamy Józefa Szujskiego pomimo, że widzimy Siemieńskiego, Kazimierza Stadnickiego, ks. Goliana i t. p. starszych wprawdzie od niego ale współcześnie żyjących.

Sąd o utworach jest pod względem etycznym zawsze zdrowym i prawym; jest nim po większej części i pod literackim względem. Oczywiście trzeba nawet w podobnych „Dziejach literatury“ wziąść pod rachubę różnicę gustów i zdań, sprawiającą iż krytyk może za błąd poczytać to, co się jego osobistemu upodobaniu sprzeciwia, a nie jest powiedzianem, aby miał słuszność on a nie autor. Że jednak jest przyjętem, iż receuzentowi zazwyczaj wolno własne wypowiedzieć zdanie, przeto pozwolimy sobie zaznaczyć, iż nam zdawałoby się, że np. siła talentu Ujejskiego nie dość oceniona wysoko, nadto że w ustępie o Lelewelu po przyznaniu, iż w życiu publicznem „okazał się pozbawionym wszelkiego zmysłu politycznego“, nie dopowiedziano, iż ten brak zmysłu odbił się na jego dziejopisarskiej pracy, że za pomocą „zdumiewających śmiałością pomysłów nadających nowy zwrot pojmowaniu przeszłości“, pojęcia o niej nieraz zamącił zacierając w myśli współczesnych trzeźwiejsze sądy poprzednich autorów, choćby tylko Naruszewicza i Tadeusza Czackiego (w przedmowie do „Praw Litewskich i Polskich“). Podobnych usterek, jeśli je nawet usterkami nazywać można, jest bardzo niewiele, a książka dobra, nabita treścią, a pięknym i lekkim stylem skreślona, bardzo jest miłym i użytecznym nabytkiem.

A tout seigneur tout honneur. — Zostawiliśmy na sam koniec, jako przysmak „Quo vadis“ [1] Sienkiewicza, urządzone dla młodzieży. Pan Bobin, który się podjął tej pracy, winien być zaliczonym między dobrodziejów ludzkości. Szkoda było, wieczna szkoda nie podzielić się z młodymi tą skarbnicą piękna, lecz również niepodobna roztoczyć przed ich oczami całej zgnilizny pogańskiego świata, jakiej „Quo vadis“ zawiera opisy. Dziś trudność ta usunięta; z arcydzieła pozostały strony świetlane, tamte zaś usunięte starannie. Być może iż tu i ówdzie

[1] Henryk Sienkiewicz: „Quo vadis“. Powieść z czasów Nerona dla dorastającej młodzieży, ułożył i objaśnił Romuald A. Bobin. Z 10 rycinami. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1899. Str. 498.

znajdzie się jeszcze jak np. w scenie między Lygią i Akte, lub przy końcu uczty Nerona (druga uczta na statku całkiem wycięta), kilka zdań lub wyrazów niepotrzebnych dla oczu panienek, że w innych miejscach znów obcięto za dużo, nie podając, zapewne przez uszanowanie, streszczenia. Taka praca epuracyi trudniejszą jest, niż się zdaje; niepodobna wszystkim opiekunom dogodzić. Pamiętam bardzo skrupulatnych rodziców, zaznaczających w książkach dla córek ustępy, które miały omijać: otóż ci dwoje wciąż się sprzeczali zarzucając jedno drugiemu, że zaznacza ustępy obojętne, a zostawia szkodliwe. Być więc może, że czyby zrobił tak czy owak, zawszeby tensam zarzut spotkał p. Bobina.

A teraz skorośmy już mówili o tekscie wszystkich na pierwszej stronie wymienionych utworów, warto pomówić i o ilustracyach; napomknęliśmy dotychczas o ilustracyach tylko raz przy „Dziejach ojczystych“ Maryana z nad Dniepru. Prześliczne są ryciny w „Quo vadis“, te same, co zdobią angielskie wydanie, tylko że od nich liczniejsze. Śliczny zwłaszcza jest obrazek przedstawiający Lygię, Akte i Popeę w ogrodach Nerona i drugi przedstawiający Ursusa niosącego ciało Krotona, mniej udaną postać Petroniusza oraz spotkanie św. Piotra z Panem Jezusem. Kto je wykonał? Na tytułowej karcie niema wymienionego nazwiska; za to na samych obrazkach stoi u dołu z jednej strony cyfra nad gwiazdką a z drugiej napis F. Van Muyden. Jestże to imię artysty czy rytownika? — Inne też dzieła są ilustrowane: „Namioty wezyra“ bardzo pięknie przez Juliusza Kossaka i K. Puławskiego — bodaj czy to nie ostatnia praca Kossaka! Jedna postać króla Jana wydaje nam się trochę skrzywdzoną; reszta paradna tak, że można powiedzieć, iż „wart pałac Paca i Pac pałaca“. — W „Obrazkach“ Teresy Jadwigi jest 40 portretów, tam gdzie brakło współczesnego modelu, wzięto rysunek z nagrobka jak np. Kazimierza W. lub z portretów królów Matejki. — „Kara Boża“ i „Wilczek“ posiadają ilustracye S. Sawiczewskiego, wszystkie krom dwóch postaci bardzo dobrze udane; tożsamo „Odnowiciel“ M. Kotarbińskiemu zawdzięcza podobnie jak i „Król Kurkowy“; podobnie też dobre są obrazki Wł. Jasieńskiego, ilustrujące „Młotem i kielnią“. Wogóle część artystyczna dzieł dla młodzieży z każdym rokiem idzie ku lepszemu i gdyby obrazek był zawsze równie dobrze rytowany jak jest rysowany, nasze wydawnictwa nie ustępowałyby w tym względzie francuskim.

T. W.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Grundzüge der psychologischen Erziehungslehre. Nebst einem Anhang über Charakterologie. *Dr. A. Huther.* Berlin 1898. (Str. 169).

Nie da się niestety zaprzeczyć, że w czasach dzisiejszych i rodzina i szkoła troszczy się, ogólnie mówiąc, zbyt mało o wychowanie młodzieży. Prawda, że ktokolwiek zastanawia się nad zadaniem szkoły, godzi się na zasadę, powszechnie przyjętą (także w austryackim „Zarysie organizacyjnym"), iż szkoła powinna dążyć w pierwszym rzędzie do wytworzenia „szlachetnego charakteru"; ale w praktyce jest wychowanie najczęściej na drugim planie z wielu powodów: oto 1) większa część nauczycieli sądzi, że ich zadaniem jest tylko uczyć i żądać od młodzieży uwagi i pilności, — ale co uczeń czyni poza szkołą, jakie wpływy na niego działają, jak się rozwija jego charakter, to ma dla szkoły znaczenie o tyle tylko, o ile objawia się na zewnątrz w jego postępach lub w pewnych wykroczeniach, które zakłócają porządek szkolny, albo też świadczą o zepsuciu moralnem ucznia i muszą dlatego być uwzględnione przy klasyfikacyi z obyczajów. 2) Władze szkolne poprzestają zazwyczaj na ogólnikach, polecających nauczycielom, żeby z młodzieżą obchodzili się uprzejmie, po ojcowsku i t. p., a zresztą są zupełnie zadowolone z profesora, jeżeli nie wpływają na niego skargi uzasadnione, jeżeli nie daje publicznego zgorszenia a przy hospitacyach i egzaminie maturalnym pokazuje się, że uczniowie jego nabyli zasobu wiedzy, wymaganego przez przepisy. 3) Dyrektorzy mają również często na oku przeważnie, obok spraw administracyjnych, postępy młodzieży w naukach. 4) Znaną jest rzeczą, że od czasów Rousseau'a i pod wpływem jego „Emila" zaczęto coraz mniej zajmować się w szkołach kształceniem charakteru, bo mniemano, że człowiek jest dobrym z natury i rozwinie się najlepiej, idąc za popędami, które mu są wrodzone. Także w „Zarysie organizacyjnym" nie uwzględniono prawie całkiem zadania wychowawczego szkoły, bo nie podano żadnych pod tym względem wskazówek szczegółowych. Całą sprawę wychowania zdano na „roztropność i takt nauczycieli". Religię pozostawiono w rzędzie przedmiotów naukowych, ale nie oznaczono bliżej, jak ma się odbywać wychowanie „religijno-moralne". Dość powiedzieć, że nie wydano nawet dotąd ogólnego przepisu, któryby obowiązywał nauczycieli szkół średnich do uczęszczania razem z uczniami na nabożeństwo niedzielne! Zdarza się więc w prowincyach innych monarchii austro-wę

gierskiej, że sam tylko katecheta prowadzi młodzież do kościoła i z nią się modli (w Galicyi wyznacza się przynajmniej po kilku profesorów do „wykonywania nadzoru“ w czasie egzorty i nabożeństwa, a są też zakłady, w których całe grono uczestniczy w nabożeństwach szkolnych); w biurach zaś ministeryalnych nie wiedzą jeszcze, że młodzież potrzebuje koniecznie dobrego przykładu! A cóż powiedzieć o wpływie demoralizującym widowisk teatralnych, na które wolno dziś uczniom uczęszczać? Skoro więc z jednej strony najgorsze wpływy działają na młodzież, a z drugiej znaczna część rodziców i nauczycieli nie umie lub nie chce pracować nad jej wychowaniem, więc też nie można się dziwić, że szkoły nasze wydają mało dzielnych charakterów, a za to mnoży się ciągle liczba pojedynków, samobójstw i innych bardzo smutnych objawów.

Dobrze więc zrobił p. Huther, że znów nam przypomniał główne nasze zadanie, jakkolwiek nie można powiedzieć, żeby lektura jego książki była bardzo przyjemną; panuje w niej suchy ton Niemca-pedanta, wyłuszczającego swe myśli ze systematycznością nieubłaganą; tworzy on z upodobaniem schematy z rzeczy dawno znanych, a sądzi, że podaje nam coś nowego i bardzo głębokiego (por. np. s. 79). Przewodnikami jego głównymi są: w psychologii Wundt, a w pedagogii Herbart, którego teoryi chce on dać podstawę psychologiczną. Nie idzie on ślepo za Wundt'em, owszem niekiedy odstępuje od jego wyników, ale przeważnie uważa je za prawdy dowiedzione. A więc nie uznaje on także istnienia wolnej woli, albo raczej popada on w tę samą sprzeczność, którą napotykamy u Wundt'a (i innych przeciwników wolności): wola nasza jest zawsze zdeterminowana, chociaż aktom jej towarzyszy „wyobrażenie“, że zamiast pobudki, której ulegamy, mogłaby była jakaś inna wywrzeć wpływ decydujący[1]. Czyż jednak nie jesteśmy wszyscy przeświadczeni, że możemy w każdym wypadku uczynić wybór wolny, a nieprzymuszony między pewnemi pobudkami? To nie da się zaprzeczyć, więc też Huther przyznaje (równie jak Wundt), że wola „panuje“ nad pobudkami i potrafi jednę, która jej się właśnie narzuca, odepchnąć, a drugą „powstrzymaną“ chwilowo w swej działalności, „wydobyć na wierzch i zapewnić jej zwycięstwo; jest ona zdolną do twórczej syntezy“ (jak mówi Wundt), więc można i trzeba o niej powiedzieć, że działa sama, z własnego popędu, że nie musi ulegać pobudkom silniejszym (s. 19 Huther'a). Jeżeli działamy według zasad,

[1] Por. s. 18 i Wundt'a *Physiologische Psychologie* 4 wyd. s. 573.

których jesteśmy świadomi, natenczas dokonywamy „czynów wolnych“ i jesteśmy za działanie swoje odpowiedzialni (s. 41—42). A przecież z drugiej strony ma być także prawdą, że cały związek przyczynowy naszych dążeń i czynów, jest „zdeterminowany“ przez nasze właściwości wrodzone i cały rozwój naszego życia duchowego: „Wir sind determiniert in Bezug auf die gesammte Causalität des Willens wie sie sich im Charakter ausprägt, der auf der vorangegangenen Entwicklung des Bewusstseins in Verbindung mit den angeborenen Anlagen beruht!“ (s. 19). Jakże mamy pogodzić te dwa twierdzenia? Oto po prostu p. Huther czyni, jak wielu innych [1]: nie uznaje on właściwie istnienia wolnej woli, wychodząc z założeń filozoficznych, z któremi ta „hipoteza“ nie da się pogodzić, ale wprowadza potem znów wolność innemi, bocznemi drzwiczkami, widząc, że uznanie wolności przecież jest potrzebne z niejednego względu a zwłaszcza w pedagogii.

W dalszym więc ciągu opiera się on już na tej zasadzie, że czyny człowieka zawisłe są od niego samego i żąda całkiem słusznie, żeby to przekonanie wpajano w wychowanków. W tej części znajdu-

[1] Wymieniam tu jeszcze tylko Lindner'a-Kulczyńskiego ze względu na to, że podręcznik ten utrzymuje się jeszcze w niektórych gimnazyach galicyjskich. Czytamy tu w § 94 najpierw o „wolności psychologicznej“, która ma polegać na tem, że przyczyny aktów woli leżą „przeważnie w osobie działającej“ a nie w „zewnętrznych warunkach i pobudkach“, ale poniżej dowiadujemy się (uwaga 2), że wola nasza jest zawsze „skutkiem“ pobudek, że jej postanowienia są zawsze konieczne; że nawet to, co filozofowie nazywają „wolnością woli“ jest „niedorzecznością“ (! s. 185). W II-em wydaniu oryginału niemieckiego (które tłumacz miał także przed sobą), uległ ten paragraf (zapewne z polecenia władz wyższych) zupełnej zmianie i już nie broni determinizmu (por. także *Zeitschrift für die öster. Gymnasien* z r. 1898, zeszyt II, s. 169 i 1055 i r. 1899 s. 288). Kiedy więc w prowincyach niemieckich Austryi zarzucono już determinizm (niema go też w podręczniku Höfler'a: *Grundlehren der Psychologie*, który zapewne wyprze książkę przestarzałą Lindner'a, bo jest bez porównania lepszy), szerzy się jeszcze ten błąd w Galicyi z katedr gimnazyalnych! Tu warto jeszcze zaznaczyć, że nawet w dzisiejszej Francyi, rządzonej przez masonów i materyalistów, nie pozwala się na to, żeby nauczyciele już w szkołach średnich zaprzeczali tych prawd zasadniczych, do których należy wolność woli: por. *Instructions concernant les programmes de l'enseignement secondaire classique* (Paris. Delalain 1892, p. CXX—CXXII). Na s. CXIV wymienione są jako *grands principes: l'existence de Dieu, de l'âme, de la loi morale, de la liberté*. Na s. CXIII czytamy o filozofii: „C'est une bonne discipline de la raison qui fera des esprits éclairés qui sauront, suivant de l'expression de Pascal ‚croire où il faut, douter où il faut, affirmer où il faut'“.

jemy dużo wskazówek praktycznych, opartych na doświadczeniu, chociaż nie nowych, jak wogóle możnaby wykazać, że to, co znajdujemy dobrego w pismach pedagogów nowoczesnych, najbardziej dziś wychwalanych, było już dawno znane pedagogom chrześcijańskim. Bo przecież oni wszyscy wiedzieli i trzymali się w praktyce tej zasady, że trzeba wychowankowi szczerą okazywać życzliwość, bo w innym razie można go wprawdzie zmusić do posłuszeństwa, ale nie można wpłynąć zbawiennie na rozwój jego charakteru; że dalej trzeba inaczej obchodzić się z dziećmi, które dadzą się chętnie prowadzić na pasku, a inaczej z młodzieżą dojrzewającą, która zaczyna już myśleć i wytwarzać sobie własne zasady, która więc domaga się pewnej samodzielności (s. 103); że czytanie romansów, gra w karty, odwiedzanie szynków, wpływa zgubnie na młodzież (s. 126) i t. d.

Zresztą p. Huther należy do pedagogów tej szkoły liberalnej, która uznaje do pewnego stopnia potrzebę religii, ale pojmuje ją błędnie i chce z nią skojarzyć swoją etykę racyonalistyczną; na s. 169 czytamy o „nietolerancyi“, w którą popada „prawowierność kościelna“, na s. 48 powtarza swoje zdanie, w innej rozprawie już wypowiedziane, „dass der Religionsunterricht der Ergänzung durch eine systematische ethische Belehrung bedarf, welche die Zöglinge in den Stand setzt, die aus den einzelnen Fällen und Lagen des Lebens sich ergebenden sittlichen Aufgaben mit bewusster Klarheit zu erkennen“. Gdzieindziej znów przyznaje on, jak przystało pedagogowi liberalnemu, najwyższą „powagę realną“ państwu (s. 50), lecz nie występuje przeciw „organizacyi kościelnej“, która staje obok państwowej, uważając się za równouprawnioną (s. 51). Dobra jest polemika autora z Wundt'em (s. 52 sqq.), który jedynie pracę dla dobra publicznego i ogólnego postępu uważa za moralną(!).

Ks. Aleksander Pechnik.

Die Erbschaftssteuer im internationalen Rechte. Von *Dr. Ioachim v. Bartoszewicz.* Lemberg. Seyfarth & Czajkowski. 1899. (W 8-ce, str. 73).

Kwestya kolizyi statutów już niejednokrotnie była przedmiotem roztrząsań naukowych; miano tu jednak głównie na oku tylko prawo prywatne i karne. Natomiast nie uwzględniano bynajmniej prawa skarbowego, w szczególności tej jego części, która się zajmuje podatkami. Dopiero w najnowszych systemach finansowych jak Wagnera i Schäffiego, poświęcono obszerniejsze ustępy tej kwestyi. Sprawą tą zajął

się obecnie obszerniej w rozprawie powyżej wymienionej p. Bartoszewicz. Nie jest on jednak pierwszym, który osobną pracę poświęca temu przedmiotowi, jak zdaje się sądzić o tem. Już przedtem, bo jeszcze w r. 1892 pisał o tej kwestyi Georg Schanz w pracy p. t.: *Zur Frage der Steuerpflicht* (*Finanzarchiv* 1892, II, str. 19).

Słusznie przedewszystkiem zaznacza autor różnicę zachodzącą między kolizyą statutów na polu prawa prywatnego a kolizyą statutów na polu prawa podatkowego. W razie kolizyi statutów na polu prawa spadkowego np. sędzia musi rozstrzygnąć albo wedle tej lub wedle tamtej ustawy, wedle jednego tylko prawa bowiem można oznaczyć dziedzica, obie więc ustawy obowiązują tylko alternatywnie, nie łącznie. Inaczej w prawie podatkowem. Tu może być opodatkowaną ta sama spuścizna przez dwa lub więcej państw, tu ustawy podatkowe na innych opierające się zasadach, nie wykluczają się nawzajem, tu mogą one bowiem wejść w zastosowanie obok siebie, czyli że może wówczas dojść do skutku opodatkowanie podwójne. Dwie bowiem są zasady — zdaniem autora — na których się opiera kompetencya państw, do nakładania podatków. Albo opiera się państwo na zasadzie terytoryalnej albo na prawnopaństwowej zasadzie osobistości. Zasada terytoryalna polega na tem, że państwo może wszystko opodatkować, co się na jego terytoryum znajduje: osoby, rzeczy i czynności. Wykonać to prawo może państwo tylko w obrębie swego terytoryum; poza temi granicami wykonać go już nie może. Prawo to jednakże dotyczy również osób przynależnych do państwa, choćby się one znajdowały poza jego granicami. Prawnopaństwowa zasada osobistości *(staatsrechtliches Personalitätsprincip)* opiera się znów na tem, że państwo może opodatkować tylko swoich poddanych bez względu na miejsce ich zamieszkania czy pobytu. Zasada w swojej czystości tj. bez połączenia z zasadą terytoryalności nigdzie nie znalazła zastosowania.

Obok tych dwóch systemów wymienić należy jednakże jeszcze trzeci, tutaj przez autora pominięty, choć później przez niego wspomniany: system przynależności gospodarczej. Jest on różny od systemu terytoryalnego, bo obejmuje nietylko osoby znajdujące się w obrębie danego terytoryum państwowego, nie tonie zaś w zasadzie prawnopaństwowej przynależności, gdyż ta kładzie nacisk na moment prawny, gdy tu główna waga leży w okolicznościach gospodarczych więc faktycznych.

Wobec istnienia tak różnorodnych systemów kolizya a względnie opodatkowanie podwójne jest bardzo łatwo możliwem. By usunąć tę

kolizyę, nie wystarcza jednak, jak w prawie międzynarodowem prywatnem, teoretyczne uznanie zasady, że sędzia winien w tym wypadku uwzględnić prawo obce, tu jest rzeczą wprost nieodzowną wprowadzanie tej zasady do prawa kodyfikowanego. Władza podatkowa jest obowiązaną, sądzi autor, bezwzględnie postępować wedle swojej ustawy. Nie wynika jednakże z tego, by państwo nie miało się oglądać w tym względzie na kraje ościenne, bo wobec spójni kulturalnej, łączącej cały świat cywilizowany, będzie nawet musiało to uczynić. Co innego jednakże władze podatkowe, które muszą się trzymać bezwzględnie litery prawa, a co innego piastun władzy państwowej. Dlaczego atoli ma zachodzić taka zasadnicza różnica między prawem międzynarodowem prywatnem a podatkowem, tego nam bliżej autor nie wyjaśnia.

Przechodząc do omówienia kwestyi kolizyi statutów, o ile ona dotyczy w szczególności podatku od spadków, słusznie przedewszystkiem odrzuca autor opinię Scheela i innych, jakoby podatek ten był formą państwowego prawa dziedziczenia; godzimy się również z autorem w zupełności, jeśli nie chce dać utonąć podatkowi od spadków w opłacie spadkowej, odrzucając mianowicie twierdzenie, że podatek od spadków jest usprawiedliwiony względami na koszta czynności władz państwowych w postępowaniu spadkowem. Odpłatą za te czynności jest opłata spadkowa *(Erbschafts-Gebühr)* nie zaś podatek spadkowy *(Erbschaftssteuer)*, które to dwa pojęcia ściśle należy od siebie odróżniać, choć nie zawsze to ma miejsce w praktyce skarbowej. W prawie międzynarodowem nie jest to rozróżnienie bez znaczenia; opłata spadkowa jako odwzajemnienie podatnika za czynności władz państwowych w postępowaniu spadkowem przedsięwziętych, winna oczywiście przypaść tej władzy, która przedsięwzięła te czynności. Na tej podstawie nie można jednak oprzeć podatku od spadków, już choćby z tego powodu, że jest on różny w miarę stopnia pokrewieństwa dziedziców w stosunku do spadkodawcy tudzież w miarę wartości majątkowej spuścizny. Pojmowanie podatku od spadków, jako odwzajemnienie za ogół czynności przedsiębranych przez władze dla ochrony życia i mienia jednostek, jest kwestyą ogólniejszą, bo dotyczy pojęcia podatku wogóle, z tego też powodu nie stanowi cechy charakterystycznej podatku od spadków.

Przechodząc do pozytywnego określenia pojęcia podatku od spadków, stawia autor dwie tezy w tym względzie: 1) podatek ten jest podatkiem majątkowym w formie podatku od obiegu; 2) jest on również podatkiem od przyrostu majątkowego. Trudno się jednak zgodzić

z autorem, gdy twierdzi, że podatek spadkowy ma być ekwiwalentem za należytości skarbowe, nie uiszczone za życia spadkodawcy. Cóżby się bowiem działo wówczas, gdyby wszystkie wspomniane należytości zostały uiszczone skarbowi państwowemu? Podatek spadkowy musi się oprzeć na innej podstawie, któraby nietylko w niektórych wypadkach znalazła zastosowanie, ale która mogłaby być stosowaną wszędzie i zawsze. Taką zaś zasadą jest pojmowanie podatku od spadków, jako podatku od przyrostu majątkowego. Zapewne za podstawę wymiaru jest majątek spadkodawcy nie zaś jego dochody. Czy jednak jest rzeczą wprost nieodzowną pojmowanie podatku spadkowego jako podatku majątkowego, wymierzanego od całej spuścizny? Zapewne że ten sposób pojmowania znalazł swój wyraz w prawie kodyfikowanem. Ale czy wówczas nie można mówić o podatku spadkowym, gdy podstawę wymiaru stanowić będą poszczególne masy majątkowe nie zaś spuścizna jako całość. Zapewne, że wedle systemu rzymskiego, ten drugi sposób pojmowania rzeczy wykraczałby przeciw zasadzie, że dziedziczenie to *successio in universum ius defuncti,* ale czy nie należałoby przynajmniej w tym wypadku przyjąć zasady germańskiej w odrębnych masach majątkowych? Wprawdzie autor mówi, że to nie byłaby już *Erbschafts steuer* ale *Erbensteuer.* Być może. Jeśli jednak abstrahować będziemy od tej różnicy czysto formalnej (która wydaje nam się zresztą wielce wątpliwą), to za traktowaniem podatku od spadków, jako podatku od masy majątkowej, przypadłej dziedzicowi czy zapisobiorcy od spadkodawcy czy zapisodawcy przemawia wzgląd na to, że podatek spadkowy bezsprzecznie jest podatkiem od przyrostu majątkowego. Czy zaś podatek spadkowy jest podatkiem majątkowym, o tem także wątpię. W obecnem stadyum rozwoju gospodarczego, podatki majątkowe istnieją głównie jako podatki uzupełniające podatek dochodowy i podatki przychodowe. Jeśli się zważy jednak, że spadek nieobjęty *(hereditas iacens)* jest przedmiotem podatków bezpośrednich i nadal, jeśli się zważy i to, że w Austryi np. spadek leżący jest przedmiotem opodatkowania podatkiem osobisto-dochodowym, że więc w tym wypadku rzeczywiście znajduje zastosowanie recypowana przez autora romanistyczna doktryna o *universum ius defuncti,* wówczas musi się dojść do wniosku, że jakieś uzupełnienie w tym wypadku przychodów nieopodatkowanych jest zgoła zbędne. Z wywodów powyższych wynika, że jedynie druga teza autora o podatku spadkowym jako podatku od przyrostu majątkowego jest słuszną i uzasadnioną. Z kwestyami powyższemi łączy się ściśle

sprawa kompetencyi podatkowej. Tu winna, zdaniem autora, rozstrzygać wyłącznie przynależność spadkodawcy, natomiast jest obojętnem *forum rei sitae*. I z tą opinią nie jesteśmy w zgodzie. Prawdopodobnie wpłynęła tu na opinię autora tendencya powszechna we współczesnym świecie naukowym a przychylna podatkom osobistym. Ale zasada ta nie może być, mojem zdaniem, stosowaną wówczas, gdy chodzi o przyrost majątkowy. Za tym poglądem przemawia także i okoliczność, że teorya i ustawodawstwo czynią różnicę między ruchomościami a nieruchomościami, tylko do pierwszych rzymską stosując zasadę. Autor opiera to rozróżnienie na tej okoliczności, że podatek spadkowy od nieruchomości, wybiera to państwo, w którem nieruchomość się znajduje a skoro to ma miejsce za życia spadkodawcy, może to się dziać i po jego śmierci.

Skoro przy opodatkowaniu ruchomości decydującą jest, zdaniem autora, przynależność spadkodawcy, nasuwa się pytanie, na czem należy oprzeć tę przynależność. Tu zaś dwie okoliczności wchodzą w uwzględnienie: jedna prawna, druga faktyczna; prawna przynależność pewnej osoby do państwa i faktyczna, czyli spowodowana miejscem zamieszkania czy pobytu. Tylko w razie prawnopaństwowej przynależności jest obowiązek podatkowy uzasadniony etycznie. Obcy zaś jest obowiązany do opłacania podatków tylko dla odwzajemnienia za ochronę życia i mienia udzielaną mu przez państwo. Do opłacania podatku spadkowego są powołani dziedzice jako dziedzice; w sprawie przynależności decydującą jest tu więc osoba spadkodawcy a nie dziedziców. Ze względu zaś na to, że, wedle autora, podatek spadkowy jest ekwiwalentem nieuiszczonych należytości skarbowych, chodzi tu o to, w którem głównie państwie spadkodawca uzyskał swój majątek, któremu więc państwu winien przypaść ów ekwiwalent. Oznaczyć to musi oczywiście z góry ustawa podatkowa. Zachodzi więc pytanie, czy za podstawę należy tu wziąść z jednej strony państwo ojczyste *(Heimathsstaat)* spadkodawcy, z drugiej zaś państwo, w którem znajdowało się jego ostatnie miejsce zamieszkania lub pobytu, czyli o którem z tych państw należy bardziej przypuszczać, że w niem właśnie nastąpiło powstanie spuścizny. Odpowiedź na to pytanie jest bardzo trudna, zwłaszcza ze względu na nader skomplikowane i różnorodne stosunki, niejednokrotnie obecnie zachodzące. Chwiejną byłaby ta podstawa i bardzo często nieuzasadnioną, jeśliby miano brać na uwagę miejsce zamieszkania spadkodawcy, natomiast bardziej racyonalną by-

łaby zasada prawnopaństwowej przynależności. Ta ostatnia winnaby jednak doznać pewnej korektury w uwzględnieniu momentów faktycznych; obok przynależności prawnopaństwowej należałoby uwzględnić przynależność gospodarczą; oznaczyćby się ona dała przez dłuższy pobyt w pewnem państwie np. 5—10 lat. Byłoby to więc *centrum* stosunków gospodarczych i życiowych pewnej osoby *(principal établissement)*. Dochodzi więc autor w końcu do następujących rezultatów: 1) Ruchomości spadkowe należy obłożyć podatkiem spadkowym w tem państwie, do którego spadkodawca należał jako poddany. 2) Jeśli ostatnie faktyczne miejsce zamieszkania spadkodawcy w obcem państwie trwało przez czas dłuższy, przechodzi prawo opodatkowania na to ostatnie państwo. 3) Nieruchomości spadkowe opodatkowuje to państwo, w którem one się znajdują. W końcu przyznaje autor, że jeżeliby miał wejść w życie podatek dziedziców, musianoby uwzględnić miejsce zamieszkania tych ostatnich. Zdaje nam się jednak, że uwzględnienie tego miejsca już i dzisiaj nie powinnoby napotkać na zasadnicze trudności. W każdym razie godzimy się na żądanie autora, by zgodność ustaw podatkowych w tym względzie unormowano w drodze konwencyj międzynarodowych.

Choć w niejednym punkcie nie godzimy się z wywodami autora, przecież przyznać musimy jego książce wielką sumienność i dokładność; styl jasny i potoczysty, samoistny sąd krytyczny, oparcie na szerokiej podstawie ustawodawstw europejskich, systematyczne a z wielkim nakładem pracy dokonane zestawienie poszczególnych pozytywnych postanowień ustawowych, obszerną znajomość literatury tak prawa międzynarodowego jak i nauki skarbowej, uwzględnienie praktyki skarbowej, nakoniec samo zajęcie się tematem prawie wcale nieopracowanym — przynajmniej odnośnie do podatku spadkowego — to wszystko dowodzi, że w d-rze Bartoszewiczu zyska polska literatura bardzo zdolnego i sumiennego pracownika. Bo nie wątpimy, że p. Bartoszewicz odezwie się niebawem w ojczystym języku. Jedną tylko jeszcze wadę chcielibyśmy wytknąć p. Bartoszewiczowi, wadę, którą z nim dzielą prawie wszyscy polscy uczeni, w obcych piszący językach: oto, że nie uwzględnia on wcale polskiej literatury. Jest ona co prawda ubogą, ale to, co w niej jest, jak prof. Lea „Podatek od spadków“ obok podręczników profesorów Bilińskiego i Głąbińskiego z pewnością zasługiwało na uwagę. Jeżeli my sami o sobie nie będziemy pamiętać, któż ma to uczynić.

Dr. Zygmunt Gargas.

Herrin. Novelle v. *Friedrich Spielhagen*. Fünftes Tausend. Leipzig. L. Staackmann. 1899. (Str. 306).

To co dla zwyczajnego człowieka bywa najczęściej tylko przykrem przypomnieniem nadeszłej starości i blizkiego końca — data odległych urodzin — staje się dla sławnych literatów okazyą do świetnych tryumfów, do zbioru za życia pełnego żniwa laurów i kwiecia. W tym roku Fryderyk Spielhagen kończy 70-ty rok życia, to też cała czytająca część Niemiec — a ta pono bardzo jest liczną — spieszy złożyć swe hołdy u stóp ulubionego powieściopisarza. Główny jego utwór: *Problematische Naturen* przez drugą już generacyę z równym zapałem czytany, wychodzi w jubileuszowem, to jest ozdobnem, ilustrowanem wydaniu. Co prawda Spielhagen niema co się dziwić pamięci współziomków, gdyż pomimo posuwającego się wieku nie zaprzestał na nią pracować, zachęcany nieustającem nigdy powodzeniem. Z nowszych jego dzieł *Faustulus* poszedł na 5000 egzemplarzy, *Mesmerismus* na 4000, *Zum Zeitvertreib* znów na 5000, *Sonntagskind* doczekało się czwartego wydania, *Stimme des Himmels* piątego, podobnie jak najświeższa w jubileuszowym roku autora napisana powieść *Herrin*.

Dziwny to zaprawdę utwór. Trudno orzec czy jest w nim teza, czy tylko psychologiczne studyum, czy typowy obrazek? Znana antypatya autora do junkierskiego świata objawia się i tu wyraźną pogardą, bohaterem powieści jednak jest właśnie junkier i to bohaterem nie lada, bo posiadającym najszlachetniejsze zalety. Prócz niego i paru mniej znacznych figur, wszyscy inni to Żydzi, stanowiący, sądząc z treści, niemal wyłącznie żywioł intellektualny w dzisiejszych Niemczech. Oczywiście są to już Żydzi podniosłego gatunku, profesorowie, lekarze, uczeni. Nie można wszakże powiedzieć aby autor był filosemitą... Główną osobistością jest Rebeka Lombard, piękna, inteligentna, bogata, jedyna córka zbyt pobłażliwego ojca. Ojciec ten, tajny radca i słynny profesor medycyny na uniwersytecie w Bonn, zdobył praktyką lekarską znaczny majątek, który następnie, dzięki zręcznym choć uczciwym manewrom wiernego ajenta, pomnożył się aż do cyfry dwudziestu milionów. Sam profesor zatopiony w swojej nauce, na spekulacyach nie zna się wiele, nie zna się też na wychowaniu dziewcząt, gdyż owdowiawszy po młodej małżonce, staje się potulnym sługą pozostałej mu córki, pozwala jej na męzkie studya w Zurychu, na przyjaźń z Maryą Backirczew w Paryżu, patrzy z boleścią ale bezczynnie na zanikającą w niej wiarę. Cała jego gorąca, żydowska pobożność, jego łagodność, rozum i dobroć stoją bezsilne wobec demona pychy, który już od lat najmłodszych

opętał dziewczynę. Dla niej modlitwa, pokora przed Bogiem, wydały się poniżeniem. Znaczenie w świecie, zapanowanie nad ludźmi, stało się celem jej życia. Piękność jej i majątek mogły służyć do celu, ale nie wydały się dostatecznemi; zaczęła się uczyć, aby przewagę umysłową pozyskać — przestała, gdy obok siebie ujrzała dziesiątki innych dziewcząt, zbierających z równą łatwością uniwersyteckie laury, zwalczających też same co ona trudności. Nie było po co się męczyć, skoro się wyróżnić nie można. Jedynym dotykalnym wynikiem tych czasów była broszura, w której wszem wobec zaprzeczała istnienia Boga i wypierała się „Mojżeszowego“ wyznania. W Paryżu próbowała wydoskonalić swe artystyczne zdolności; głos miała dobry, i talent do malarstwa dosyć pokaźny — było jednak tysiące innych, które lepiej śpiewały, obrazki jej nie przekraczały miary przyzwoitej mierności. A zatem nauka i sztuka zawiodły, trzeba było na innem próbować polu: Rebeka zamarzyła o pozycyi wielkiej właścicielki dóbr. Właśnie okoliczności składały się po temu; ojciec jej zakupił był na zachodniem Pomorzu kilka folwarków, na jednym z nich w Polchowie, udało się w prędkim czasie urządzić zbytkowny pałacyk i stworzyć śliczny park ze stawami, na których bielały łabędzie, z grządkami, na których najcudniejsze kraśniały kwiaty. Tu Rebeka licząca już 23 lat, osiadła w towarzystwie miłej i poczciwej wdowy p. Krafft, której zostawiała cały zarząd domu, podczas gdy sama z pomocą dwóch rządców objęła kierunek gospodarstwa rolnego. Napróżno ojciec przedkładał jej, że jako Żydówka, córka uczonych i handlarzy, niema we krwi potrzebnych do tej pracy zdolności, ani jako młoda kobieta doświadczenia i wiedzy — Rebeka uparła się, więc ustąpił. Bawił go zapał, z jakim troszczyła się o lasy i pola, i choć wiedział dobrze, że i ten kaprys minie jak inne, nie gniewał się gdy bilans dorocznie wykazywał coraz to mniejsze dochody.

Przewidywania starego Geheimratha spełniły się; Rebeka po trzecim roku już tylko ze znużeniem pełniła dalej swe gospodarskie funkcye, a przytem nudziła się trochę na wsi, gdzie z sąsiadującą szlachtą żadnego nie miała stosunku. Panie spotykały ją czasem po sklepach w blizkim Greifswaldzie i oglądały ciekawie piękną milionerkę, ale żadna ku niej nie uczyniła kroku, żadna nie przekroczyła progów Polchowa. Ostracyzm ten dodał nowego żaru do ognia ambicyi płonącego wciąż w sercu Rebeki. Na domiar złego widziała wciąż z okien wieżę starego zamku w Selchowie, zamku, do którego dawniej należały wszystkie posiadłości dziś jej własnością będące. Smutna to była historya.

Potomek starożytnego rodu hrabia Bassedow, stracił cały majątek na rozpustę i karty i w końcu zastrzelił się w Monaco. Żona jego dawno była zmarła, córka wyszła na Ślązk za hr. Szwykowskiego, jednego z najgorliwszych wodzów opozycyi w parlamencie niemieckim, syn Kurt, wychowany w kadeckiej szkole, potem przez szereg lat oficer w gwardyi, poróżnił się był świeżo ze swym pułkownikiem i wziął dymisyę, którą zbyt lekko w ministeryum wojny przyjęto. Zbyt lekko doprawdy, bo szkoda było tak wybornego rotmistrza. Bardzo wysoki, chudy, o cienkich arystokratycznych rysach, posiadał dumę, ale też i wszystkie cnoty średniowiecznego rycerza. Z żołnierzami obchodził się dobrze; nikt z ust jego grubszego nie dosłyszał słowa, a przecież jedno spojrzenie jego starczyło, by karność utrzymać. Poza obowiązkiem wojskowym świat dla niego nie istniał; ten bowiem, który widywał w salonach, wydał mu się bańką mydlaną; czułości rodzinnej nie zaznał nigdy, a wychowanie w szkole wojskowej nie nagięło jego umysłu do literackich rozkoszy. Po śmierci ojca zmuszony był sprzedać zadłużone dobra, aby módz siostrę wypłacić, część pozostałej sumy wydarł mu jakiś szwindel żydowskiego bankiera. Był tedy ubogim, tak ubogim, że nawet bez zatargu z pułkownikiem nie byłby mógł w wojsku pozostać. Obok ubóstwa jednak pozostała mu cześć swej godności; przez nią odrzucił świetne małżeństwo z Angielką, której nie kochał; przez nią też pozwolił sobie na szalony zbytek zachowania starego, pustego zamku, z którego ojciec był nawet meble wysprzedał. Nawet folwark za murem parku nie należał do niego — należał do Żyda. Nie dziw, że Żyd ten chłodnego doznał przyjęcia, gdy nazajutrz po przybyciu Kurta, do niego się zgłosił. A jednak przybywał z poczciwym zamiarem, trzymanym w tajemnicy przed córką. Ofiarował pomoc do odbudowania fortuny, a gdy ją młodzieniec z podejrzliwą pogardą odrzucił, opowiedział mu własny niegdyś z ojcem jego stosunek, jak z lekarskiej dyagnozy przekonany o niezupełnej poczytalności hrabiego, usiłował parękroć wstrzymać go nad brzegiem przepaści, ale usiłował napróżno. Teraz synowi przez pamięć tego biednego ojca ofiarował odsprzedaż wszystkich dóbr z pozostawieniem nań własnej hipoteki. Kilkanaście lat dobrego zarządu starczyłyby, aby je całkowicie oczyścić. Kurtowi zrobiło się wstyd, że starca obraził, wstyd przed wielkiemi, czarnemi oczami, które tak przenikliwie, a zarazem z taką dobrocią w głąb jego duszy patrzały. A jednak odmówił wręcz, nie chcąc wchodzić w dług, z którego nie umiałby się uiścić. Profesor odjechał nieco smutny ale nie gniewny, podejrzliwość młodego Grafa nie mogła go dziwić; wieluż to Żydów

nadużyło dobrej wiary ludzkiej, toż i samego Kurta niedawno obdarli! Zostało mu raczej uczucie szacunku dla nieugiętego charakteru junaka. Wielki też był jego strach, gdy Rebeka oświadczyła mu wręcz, że hrabiego zamyśla poślubić. Wtedy dopiero jako hrabina Bassedow, pierwsza dama na zachodniem Pomorzu, będzie mogła drugim przewodzić!

Przez całą drogę z powrotem do Bonn, profesor modlił się, aby Bóg z serca jego dziecka usunął tę żądzę płodną tylko w upokorzenia i łzy. Zrazu zdało się, że Bóg go wysłuchał; hrabia nie pojawił się w Polchowie, nawet dość niegrzecznie odesłał Rebece przyrządy do malowania, które zastał w zamkowej kaplicy: Żydówka ta śmiała kopiować obraz Madonny, w którym on upatrywał podobieństwo z własną, słodko wspominaną matką! Co więcej, zabronił czerpać wody ze studni folwarcznej i jął pić wodę zepsutą ze starej zamkowej studni, ani zamarzył, że w tych mętnych kroplach kryło się dlań nieszczęście całego życia. W kilka dni już czuł się chorym, przypisując słabość upałom i nadchodzącej burzy; wyszedł z parku i szedł błądząc po polach aż do gościńca, gdzie wśród bijących piorunów stracił przytomność. Przypadek zdarzył, iż przejeżdżająca Rebeka dostrzegła go i prawie konającego do swego domu uwiozła. Tu otoczony najtroskliwszą opieką Kurt po dwóch tygodniach gorączki odzyskał przytomność, musiał jednak długo jeszcze w Polchowie pozostać, a przez ten czas wdzięk czarodziejki zaostrzony jej zaciętą wolą dokonał swego: biedny hrabia powrócił do swego gniazda zakochany na zabój. Dobroć okazywana mu w chorobie w sposób równie delikatny jak skromny, zdała mu się być objawem iście anielskiej duszy, cudna piękność tłumiła głos tradycyi rodowej, nie wątpił ani na chwilę, że Rebeka przed ślubem się ochrzci. Z prawdziwem uszanowaniem prosząc o jej rękę, napisał do starego jej ojca. Profesor dał przyzwolenie, bo cóżby ukochanemu dziecięciu odmówił, ale serce jego ogarnął niepokój wielki. Parękroć słyszał poprzednio z ust córki, wyrażoną pogardę miłości; co gorzej, nie mógł zapomnieć przestrogi znakomitego psychiatry Gutmanna, który jako najbliższy lekarz wezwany w prędkości do chorego Kurta, zauważył w Rebece nienaturalny chwilami stan podniecenia i wzrok, jaki zwykł tylko u początkujących widywać szaleńców. Z początku jednak wszystko szło po myśli; dzień ślubu był naznaczony, legiony robotników restaurowały stare zamczysko, Rebeka wraz z narzeczonym objeżdżała sąsiedztwo. Teraz już znała wszystkich po trosze, bo na pierwszą wieść o ciężkiej chorobie hrabiego, cała okoliczna szlachta była

się do Polchowa zwaliła, zasięgając o nim wiadomości z troskliwością niezmierną tak, jak gdyby był popadł w moc wroga. Wizyty mogły tylko dla chorego się liczyć; mimo to panna Lombard z ojcem oddali je wszystkie, uprzejmie wszędzie przyjęci. Teraz Rebeka spodziewała się jeszcze grzeczniejszego przyjęcia; wkrótce jednak zauważyła, że obok Kurta osobistość jej zdała się niknąć; on był pierwszą osobą w salonie, do niego zwracano mowę, wpadając co chwila na ludzi i rzeczy, których ona, odgrodzona dotąd od świata, absolutnie nie znała. Wprawdzie cała ta szlachta była stekiem ludzi ciemnych, ograniczonych w szczupłych ramach zastarzałego przesądu... Ale w domu, w Polchowie, działo się inaczej. Pierwszy profesor ustępował moralnie kroku przed przyszłym zięciem; rządcy zwykle ospałe lub mrukliwie odpowiadający na jej rozkazy lub zapytania, rozpromieniali się i rozgadywali gdy Kurt do nich przemawiał, po stajniach i podwórzach czapki zlatywały z głów, gdy jego wyniosła postać ukazywała się w dali. Ona rozkazywała, a z trudnością zyskała posłuch, on zdał się prosić, a każdy ulegał z radością. Ona sama czuła z przestrachem i złością, że trafiła na wolę silniejszą od swojej, że pomimo majątku nie ona będzie panią, ale on panem. Cóż to pomogło, że mu niepodobna było brać udziału w mądrych dyskusyach, jakie umyślnie przed nim prowadziła z uczonymi lekarzami lub profesorami — byli to przeważnie Żydzi, jej świat, jej ludzie, a ją ambicya właśnie pchała do jego ludzi i w jego świat. W tej ciągłej rozterce humor jej stawał się zmienny, wobec innych czasem zalotny, wobec niego wzgardliwy i ostry. W chwilach samotności nieraz przerażała się sama, czując, że władze w jej mózgu chwilami tężeją, zostawiając tylko pole jednej, zawsze tej samej a męczącej myśli, że wzrok nie może się z jednego punktu oderwać.

W końcu musiał przyjść wybuch. Kurt zaczynał już wątpić o miłości narzeczonej, gdy odebrał list od dawnego przyjaciela i wojskowego kolegi, wówczas następcy tronu a dziś panującego nad jednem z lennych niemieckich książtewek. Książe wzywał go, aby przyjął u jego dworu posadę wielkiego marszałka, winszował małżeństwa z osobą słynną z piękności, majątku i rozumu, nie wątpiąc, że albo już jest chrześcijanką, albo nią przed ślubem zostanie. Odpowiedzi zażądał w przeciągu trzech dni... Kurt widział już od dawna zbliżającą się chwilę, gdzie będzie musiał Rebece postawić stanowcze pytanie, to zaś, co zrazu zdawało mu się rzeczą najprostszą, teraz stawało się co dnia trudniejszem. Po liście księcia zwlekać już nie mógł. Pojechał tedy wprost do Polchowa, gdzie zastał Rebekę wsiadającą na koń, w niezbyt we-

sołem usposobieniu. Tegoż dnia ojciec przed swoim wyjazdem wspomniał był o kwestyi religii, i chociaż Żyd wierzący namawiał ją do ustępstwa; wolał może aby była chrześcijanką niż bezwyznaniową... Kurt towarzyszył jej w konnej przejażdżce, lecz teraz i konna jazda była kamieniem niezgody. Rebeka szczyciła się wielkim talentem w tej sztuce, hrabia zaś wyćwiczony, kawalerzysta, łajał ją ciągle, że konia szarpie i drażni tak, że się kiedyś może w wypadek przyprawić. Istotnie właśnie na tym spacerze koń Rebeki stracił cierpliwość, uniósł ją i gdyby nie zwinność i siła Kurta, byłby się z nią stoczył z wysokości kilkudziesięciu stóp. Kurt konia wstrzymał na chwilę, narzeczoną jak dziecko podniósł z siodła i na ziemi postawił, poczem oboje w milczeniu wrócili do domu. Po tem zajściu hrabia chciał odłożyć ważną rozmowę i dopiero na nalegania Rebeki dał jej do przeczytania list księcia. Ona zaś widząc, że ją chce widokiem posady u dworu do chrztu przynęcić, wybuchła pogardą i gniewem; on stał w pomroku z płonącemi stalowym blaskiem oczyma, zrozpaczony ale stanowczy i silny, a gdy upojona własnem szaleństwem jęła mu obelgę za obelgą w twarz ciskać, jednem grzmiącem „dość!“ od którego szkła na półkach zabrzękły, zmusił ją do milczenia i w paru słowach żegnając ją na zawsze, oddalił się z pokoju i z domu. Rebeka chwilę stała struchlała a potem nagle padając na ziemię wyciągnęła ku drzwiom ramiona: teraz dopiero poznała, że jej był drogim, i że go straciła na wieki. W kilka godzin później dwaj konni posłańcy pędzili cwałem wśród ciemnej nocy do bram Polchowa; jeden wysłany po profesora, drugi po Kurta: Rebeka w strasznem obłąkaniu zmysłów to się mieniła królową Saby i niewidzialnym dworakom wydawała rozkazy, to padała zemdlona i zdawała się blizką konania. W kilka dni potem umarła. Hrabia, u którego litość wszelki gniew przemogła, wyjechał zaciągnąć się do straży zbrojnej w Afryce; ci co go przed wyjazdem widzieli mogli naprzód odgadnąć, że nigdy nie wróci.

Oto główna treść powieści z pominięciem mnóstwa pobocznych zdarzeń i mniej ważnych osobistości, z pomiędzy których zakochany w Rebece praktykant Wladimir von Plat niesłychanie niesmacznie się przedstawia. Oprócz hrabiego i Rebeki są jeszcze dwie inne pary mięszane, które się pobierają: żyd z chrześcijanką i chrześcijanin z żydówką, właściwie nie wiedzieć po co, gdyż autor byłby mógł ich w sposób bardziej dobrany skojarzyć. Pytanie też czemu Rebekę uczynił szaloną? Czyż szatańska jej pycha nie byłaby stokroć bardziej ukaraną, gdyby jej był za nią całą odpowiedzialność zostawił? Zapytania

płonne, na które Spielhagen odpowiedzieć nie raczy: musiało go uderzyć pomięszanie żywiołu żydowskiego z chrześcijańskim w społeczeństwie niemieckim, skoro je tak żywo opisał. Nie domyśliłby się nikt, że to jest dzieło siedmdziesięcioletniego jubilata: można zeń wróżyć, że jeśli mu Opatrzność jeszcze żyć długo pozwoli, to nowy szereg romansów i noweli wzbogaci literaturę niemiecką.

T. W.

Privatwohlthätigkeit im Mittelalter. Unter besonderer Berücksichtigung des skandinavischen Nordens. *Wilh. Schmitz S. I.* Historisches Jahrbuch. T. XIX, zesz. II, str. 288—304.

Nasz wiek chlubi się często swoją humanitarnością, swemi zakładami dobroczynnemi i dziełami filantropijnemi, z tem wszystkiem miłosierdzie, dobroczynność i litość chrześcijańska w barbarzyńskich średnich wiekach daleko wyraźniej występuje niż niejednokrotnie w dzisiejszem spogańszczonem i liberalizmem zarażonem społeczeństwie. Prześliczny choć może zbyt wyidealizowany obraz tego miłosierdzia średniowiecznego zwłaszcza w Skandynawii podaje w powyżej wymienionym artykule O. Schmitz. Wedle niego w niektórych krajach trzecia, w innych czwarta część dziesięciny kościelnej szła na utrzymanie ubogich. Ponieważ cała organizacya dobroczynności wyrastała z przekonania religijnego, ponieważ wypływała z przekonania o zasłudze dobrych uczynków, ubóstwo, czyniące człowieka podobnym do Zbawiciela, nie było hańbiące, zamożni z drugiej strony uważali za obowiązek dawać jałmużnę. Średniowiecznej katolickiej dobroczynności oddają hołd tacy nieprzyjaciele Kościoła, jak Luter i jego zwolennicy [1]. Przy każdym ważniejszym akcie życia, przy chrzcie czy bierzmowaniu, przy spowiedzi czy komunii, przy ślubie małżeńskim czy pogrzebie hojną dłonią rozdawano jałmużnę; nie było nabożeństwa, gdzieby nie składano ofiary na ubogich. Nie było czasu kiedyby tyle czyniono dla ubogich, co w średnich wiekach, powiada jeden z badaczy chrześcijańskiego miłosierdzia [2]. Przedewszystkiem średniowieczne testamenty są pełne zapisów na ubogich, na zakłady dla ubogich, starców, chorych, pielgrzymów, nieuleczalnych, trędowatych. — Aby chronić rękodzielników przeciw lichwie, zwłaszcza w drugiej połowie XV. wieku, zakładano lombardy lub banki miłosierdzia, gdzie za złożeniem zastawu

[1] „Dzieła Lutra“ V, 264; XIII, 123; XL, 131; XLIII, 164.
[2] Uhlhorn, *Die christliche Liebesthätigkeit*, I, 389.

za drobny procent lub bez procentu otrzymał potrzebujący pożyczkę w pieniądzach lub zbożu. Ze względu, że dobroczynni bogacze z miłości ku Bogu gromadzili w tych bankach potrzebne kapitały, otrzymały one nazwę *Montes pietatis*, a ponieważ kwitły te zakłady szczególnie w północnych Włoszech, otrzymały nazwę „lombardów". Gdzie niektóre z dawniejszych tego rodzaju instytucyj dostały się w ręce lichwiarzy, tam papieże: Pius II., Paweł II., Sykstus IV. i Leon X., starali się o reformę tych lombardów. W skandynawskich krajach przynosili wierni we wigilie niektórych świąt M. Boskiej do kościoła wiktuały dla ubogich, a Palladyusz, pierwszy protestancki biskup Seelandyi, chwaląc miłosierdzie katolickie w średnich wiekach, mówi, że istniały wtedy po kościołach skrzynie, gdzie wierni składali zboże dla ubogich, przynoszone w rękawach i fartuchach. Prywatna dobroczynność nietylko wszakże wobec ubogich się objawia, miłosierdzie połączone z troską o zbawienie duszy, wynajduje najróżniejsze pola do działania, staje się jednym z walnych czynników w rozwoju społecznym i kulturalnym. Tak np. zniesienie niewoli jest jednem z dzieł Kościoła, dokonanem za pomocą prywatnej dobroczynności. Kościół dążąc wytrwale do zniesienia niewolnictwa, postępował przy tem powoli, bez gwałtu i w ten sposób udało mu się we wszystkich krajach chrześcijańskich, prędzej czy później znieść pogańską instytucyę niewoli. Tak samo, jak dzisiaj misyonarze w Afryce, postępował już św. Ansgar, apostoł Skandynawii. Dla kształcenia duszpasterzy zakładał on szkoły, do których przyjmował przez siebie wykupionych chłopców duńskich lub słowiańskich.

O następcy i biografie św. Ansgara, św. Rimbercie podają źródła, że aparaty kościelne sprzedawał, by wykupywać więźniów i niewolników. „Bogu przyjemniej jest — mawiał — jeżeli w razie potrzeby zrzeczemy się tych świętości, aby wykupić chrześcijanina, który jest dzieckiem Bożem, niż gdy zatrzymawszy je, staniemy się winnymi, iż w cierpieniach niewoli odpada człowiek od wiary". O św. Sygfrydzie, apostole Szwecyi w XI. wieku, piszą, iż zakładał kolonie z wykupionych niewolników. Przykłady te biskupów wprawdzie nie sprowadziły natychmiastowego zniesienia niewoli, przygotowały atoli grunt do tego. Na razie powstawały pod wpływem chrześcijańskim prawa, które utrudniły popadanie w niewolę. Wierzyciel np. musiał wpierw krewnych dłużnika się zapytać, czy nie zapłacą za niego długu, nim go mógł użyć jako niewolnika, i to tylko na tak długo, póki dług nie był spłacony. Norwegskie prawa groziły najcięższą karą pieniężną temu, kto wolnego

z powodu długów sprzedał lub kupił. W Szwecyi dzieci z małżeństwa, w którem jedna strona była niewolna, mimo to były wolne. Sprzedaż niewolników za granicę lub poganom była surowo wzbroniona. Z drugiej strony prawo ułatwiało wyzwolenie z niewoli. Za złożeniem pewnej sumy przez siebie zarobionej, mógł niewolnik się wykupić. W Norwegii np. było zwyczajem, że corocznie na sejmie walnym lub nawet sejmiku jednemu niewolnikowi przywracano wolność. Kanut W. postanowił, że kto zgwałci swą niewolnicę, zobowiązany jest obdarzyć ją wolnością. Dzięki tym właśnie prawom, powoli właściwa niewola znika. W Szwecyi w połowie XIII. wieku zakazano sprzedaży wolnych ludzi, a w r. 1296 król Birger Magnusson wydał rozporządzenie, że każdy niewolnik sprzedawany przy tej sprzedaży właśnie wolność odzyskuje. W roku zaś 1336 Magnus Erikson wydaje prawo, by ten, kto pochodzi z rodziców chrześcijańskich nie był ani zwał się niewolnikiem. Tak więc w skandynawskich państwach pod koniec XIV. w. znikła faktycznie niewola. Przyczynił się do jej usunięcia bardzo legat papieski Wilhelm z Sabiny. Że wyzwolenie z niewoli głównie się odbyło za sprawą Kościoła, dowodzi ta okoliczność, iż akt wyzwolenia odbywał się w kościele parafialnym. Taki zwyczaj np. panuje we frankońskiem państwie około r. 549, podobny później w Norwegii, przyczem niewolnikowi przywiedzionemu do ołtarza kładziono na głowę Ewangelię, by się wskutek wyzwolenia tem chętniej poddawał nauce Chrystusowej. Podczas gdy dawne pogańskie prawa pozwoliły kaleczyć i zabijać niewolnika bezprawnie, to po zaprowadzeniu chrześcijaństwa barbarzyński ten zwyczaj szybko zniknął. Niewolnik miał przystęp do wszystkich Sakramentów z wyjątkiem kapłaństwa. Co do małżeństwa, to aczkolwiek było mezaliansem zawierać je z niewolnikiem lub niewolnicą, jednak takie małżeństwa przychodziły do skutku. Niewolniczej pary małżeńskiej nie wolno było właścicielowi rozłączać, wzbronionem było również pojedynczo małżonków sprzedawać. Synodalne uchwały postarały się także i o swobodne święcenie niedziel przez niewolników. „Jeżeliby niewolnik — opiewa uchwała synodu toledańskiego z r. 697 — pracował w niedzielę z rozkazu pana, niewolnik staje się wolnym, a pan jego płaci nadto 30 soldów kary". Średnie wieki wreszcie wytwarzają zakony, poświęcone wykupowi niewolników i jeńców, takich Trynitarzy i Mercedarzy. — Ciekawem jest dalej, że za sprawą Kościoła także ułatwienie komunikacyi w średnich wiekach jest dziełem prywatnego miłosierdzia przez budowanie dróg, mostów, gospód. Celem utrzymania mostów częstokroć przy nich umieszczano skarbonę. Skandynawskie

przepisy prawne, zwane *Frostathingslov*, rozporządzają, by każdy chłop zamiast dotychczasowego wyzwalania niewolników, skoro ich nie ma, jeden dzień w roku poświęcał budowie dróg. Prywatne miłosierdzie buduje przy mostach, w górach szpitale, gospody czyli gościńce, kaplice i studnie dla podróżnych. W Skandynawii słynie szereg biskupów z budowy dróg i gospód. Reguła Cystersów nakazuje założenie takiej gospody połączonej zwykle z mieszkaniem samego opata. W południowej Francyi nawet powstało bractwo religijne pod nazwą *patres pontifices, frères pontifes*, poświęcające się budowie mostów. Głośne hospicyum na Górze św. Bernarda jest pozostałością z licznych tego rodzaju zakładów w Alpach. Fundowano także gospody dla pielgrzymów i chorych po wielkich miastach np. w Rzymie, we Włoszech, w Ziemi św. i t. d. Prywatne miłosierdzie zatem miało, ogółem biorąc, daleko szersze pole działania w średnich wiekach i daleko większe zastosowanie niż dzisiaj, ono to dopiero przygotowało grunt pod dzisiejsze humanitarne instytucye publiczne. Miłosierdzie publiczne bez miłosierdzia prywatnego, to rzeka bez źródła. Przypomnieć to w naszych czasach nie zawadzi, i ten cel miała niezawodnie praca O. Schmitza a i niniejsze jej sprawozdanie.

Dr. K. Krotoski.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Reakcya katolicka i socyalizm.

Oprócz świetnego soboru biskupów amerykańskich, który niezawodnie wielki wpływ wywrze na dalszy rozwój Kościoła w Ameryce i jaśniej określi stanowisko katolików wobec nader zawikłanych kwestyj narodowych i społecznych, nie było w ostatnich tygodniach żadnego wybitniejszego dla Kościoła zdarzenia. Ale za to każdy prawie dzień przynosił nam wiadomości o lokalnych wypadkach, w sobie samych niezbyt znaczących, lecz zapowiadających jak łyskania przed burzą zbliżający się dzień starcia się w strasznej może walce dwóch najpotężniejszych sił naszej Europy — katolicyzmu i socyalizmu.

Najgroźniejszemi objawami były rozruchy w Belgii spowodowane projektem o zmianie ustawy wyborczej nowego ministerstwa Vandenpeerboom. Projekt ten zamierzał zaprowadzić system proporcyonalny, uwzględniający w każdym okręgu także mniejszość, ograniczony jednak do wielkich tylko okręgów miejskich. Rzeczywiście przedewszystkiem w miastach najjaskrawiej występuje potrzeba reformy wyborczej. Ale ponieważ właśnie w dużych tych okręgach socyaliści aż dotąd mieli większość, to

znaczy wszystkie mandaty w swem ręku, stąd taka reforma byłaby dla nich bardzo niekorzystną i do pewnego stopnia niesprawiedliwą; musieliby bowiem w tych okręgach ustąpić kilka mandatów mniejszościom tj. katolikom i liberałom, a za to mniejszości socyalistyczne w okręgach wiejskich wcale nie byłyby uwzględnione.

Socyaliści nie próbowali nawet walczyć legalnemi środkami przeciw nowemu projektowi. Uważali za stosowne chwycić się środków rewolucyjnych. Tumulty, które wszczęli w parlamencie były tak dzikie, że według wyrażenia naocznego świadka, wrzaski, szamotania się i bójki nietylko, że przekroczyły wszelkie granice przyzwoitości, ale sprawiały wrażenie domu waryatów. Z parlamentu socyaliści walkę przenieśli na ulicę. Tłumy groziły napadem na ministerstwa, policya musiała kilkakrotnie używać broni, tak że setki ludzi zostało zranionych. Podobne demonstracye powtórzyły się i na prowincyach. Mówią, że gazety grubo przesadzają rozmiary tej rewolucyjnej agitacyi. I to być może. Że jednak rozruchy były groźne, to i najpoważniejsze organa katolickie stwierdzają. Ostrze zaś rozruchów socyalistycznych zwrócone było głównie przeciw klerykalizmowi. Z okrzykami: „Precz z królem!“ „Niech żyje rzeczpospolita!“ mięszały się okrzyki: „Precz z duchowieństwem!“ „Precz z Jezuitami!“ Energiczne i roztropne postępowanie rządu, który gwałty siłą odepchnął a na spokojne zbadanie uczynionych mu zarzutów chętnie się zgodził, przywróciły na razie całemu królestwu spokój.

Smutne choć niekrwawe agitacye we Francyi noszą tę samą cechę: walki przeciwko reakcyi klerykalnej. Osią wszystkich wypadków jest nieszczęśliwa sprawa Dreyfusa. Sprawa ta jest tak zawikłana, tyle w niej mistyfikacyi, tyle intryg, że zupełnie niepodobna utworzyć sobie jakiegokolwiek sądu, opartego na wewnętrznych dowodach. Tyle jednak stwierdzić można, że po stronie Dreyfusa stoją wszyscy Żydzi, wszyscy masoni, wszyscy socyaliści nietylko Francyi ale całej Europy, i że skrzętnie z tej sprawy korzystają, aby rozszerzyć akcyę przeciw grożącej reakcyi klerykalizmu. Uwolnienie Dreyfusa, pisze *Neue freie*

Presse z dnia 2 lipca b. r., „jest zwycięstwem zasady, jego powrót jest zdarzeniem politycznem, klęską pamiętną, może rozstrzygającą, zadaną nieprzyjaciołom cywilizacyi, ludzkości i rozwoju socyalnego“. Wszystkich, którzy nie byli przychylni Dreyfusowi, okrzyczano za anarchistów, za klerykałów. Rozszerzono wieści o wielkich, jezuicko-monarchistycznych spiskach, a choć mimo badań nic się nie wykryło, choć ludność widocznie stanęła po stronie przeciwnej Dreyfusowi, to przecież się udało niezmordowanej żydowsko-masońskiej agitacyi doprowadzić do ministeryum jak najbardziej wrogiego katolicyzmowi. Prezydentem ministrów jest znany liberał Waldeck-Rousseau, minister handlu Millerand i minister prac publicznych Baudin, są socyalistami, a głównym celem nowego rządu, ma być walka przeciwko reakcyi monarchistycznej i klerykalnej. Dziwnem zaiste jak to hasło łączyć zdoła najprzeciwniejsze sobie żywioły — socyalistę Milleranda z Gallifetem, obecnym ministrem wojny, strasznym pogromcą komuny w roku 1871. Skład nowego ministerstwa jest zbyt sztuczny, iżby ono mogło długo istnieć. Na razie jednak nie przyjaciele Kościoła słusznie się niem chełpić mogą. Prawa ukute przez takie ministerstwo mogłyby straszne ciosy zadać sprawie katolickiej we Francyi.

We Włoszech partya socyalistyczna odniosła nadzwyczajne zwycięstwa przy wyborach municypalnych przeciw partyom rządowym. W niektórych wielkich miastach jak w Medyolanie i w Parmie socyaliści zwyciężyli zupełnie, w innych znaczna liczba ich kandydatów przeszła do rady gminnej. Katolicy odnieśli tylko w dwóch miastach tj. w Rzymie i w Genui większe zwycięstwo. W Rzymie wybrano wszystkich 20 kandydatów katolickich, w Genui 21 na 24. Partya rządowa poniosła prawie wszędzie znaczne straty. Za to udało się ministrowi Pelloux oktruować Izbie mimo najgwałtowniejszych obstrukcyj dekret królewski z nadzwyczaj surowemi rozporządzeniami przeciw zgromadzeniom, wszelkiego rodzaju strejkom i prasie. Dekret ów może być w rękach rządu bronią równie niebezpieczną dla socyalistów jak i dla katolików; ale sam nielegalny sposób wprowadzenia go w życie przez to, że król z góry naznaczył termin,

w którym dekret ma wejść w życie bez względu na to, czy Izba się zgodzi, czy nie — to samo wskazuje, że rząd niema silnego gruntu pod nogami. Grunt ten zyskują socyaliści, radykali i katolicy, a niechęć przeciwko liberalnemu rządowi jest tak wielką, że jak niedawno temu generał Garibaldi, syn sławnego wodza oświadczył, radykali skłonniejsi są dzisiaj do pogodzenia się z Watykanem aniżeli z rządem.

Mimo wielkiej różnicy społecznych stosunków w wyborach do sejmu bawarskiego, również zwycięstwo odnieśli tylko katolicy i socyaliści z wielką stratą liberałów. Wiadomą jest rzeczą, jak w tym na wskroś katolickim kraju liberali bezczelnie gospodarowali, prześladując formalnie Kościół katolicki. Było to zawsze dla nas zagadką, jak Bawarczycy znieść mogli takie rządy. Nareszcie udało się *Centrum* pozyskać absolutną większość tj. 81 mandatów na 159. Obok katolików, którzy pozyskali 8 nowych mandatów, powiększyła się liczba socyalistycznych mandatów o 6, tak że obecnie 11 przedstawicieli wysyłają do sejmu. Bardzo pocieszającemi były klęski, poniesione przez t. zw. Bauernbündlerów, partyi powstałej od kilku lat, która z początku zdawała się być niebezpieczną dla stanowiska *Centrum* w Bawaryi, a obecnie ledwie 7 mandatów zdobyła. Najfatalniejszy jednak był wynik wyborów dla liberałów. Oni, którzy aż dotąd rej wodzili, są zepchnięci do stanowiska partyi drugorzędnej, bez nadziei, jak to wybory pokazały, prędkiego powstania.

Milczeniem pominąć tu nie możemy kompromisu zawartego w dwóch okręgach, tj. w pierwszym okręgu monachijskim i w Spirze między katolikami a socyalistami. Wynikiem kompromisu było, że katolicy uzyskali dwa mandaty a liberali najdotkliwsze ponieśli straty. Stąd powszechne między nimi oburzenie na taki „niemoralny“ kompromis. Oburzenie to ze strony liberałów jest po prostu śmiesznem, kiedy widzimy, jak liberali we Francyi i w Belgii najotwarciej przeciw katolikom się łączą ze socyalistami, bez którychby już nie istnieli. Nawet w Bawaryi udowodniono im, iż szukali pomocy u socyalistów, ale zostali odepchnięci. W zasadzie jednak większa część ka-

tolickich gazet kompromis potępia, jak: *Germania, Kölnische Volkszeitung, Augsburger Postzeitung, Bayerischer Courier.* W chwili, kiedy to piszemy, niema jeszcze oświadczenia urzędowego z *Centrum*, na jakich podstawach kompromis został zawarty i czy wogóle kompromis był dziełem partyi czy jednostki. Zanim te dwa punkta nie będą rozjaśnione, sądu o moralnej wartości kompromisu wydać nie można.

Dolna Austrya, a mianowicie Wiedeń, była także widownią tumultów socyalistycznych, podobnie jak Belgia. Tam najbliższym powodem była reforma praw wyborczych do Rady Państwa, tu reforma tego samego prawa do Rady gminnej, wniesiona przez d-ra Luegera. Manifestacye socyalistyczne świadczyły i tutaj o prawdziwej potędze ich partyi. Kto potrafi zebrać 15.000 robotników, ten ma za sobą jeszcze potężną falangę i w każdym razie sprężystą organizacyę. Dlatego prawie dziecinnemi się wydają uwagi niektórych pism katolickich, które powiadają, że 15.000 wobec $1^1/_2$ milionowej ludności niewiele znaczy. Oprócz wielkiego zebrania na Ringu, odbyły się liczne zgromadzenia we Wiedniu i w okolicach. W Kalksburgu dwutysięczny tłum demonstrował przed willą wiceburmistrza i próbował też wtargnąć do ogrodu jezuickiego. — Postępowanie socyalistów spotyka się z najgorętszemi pochwałami żydowskich gazet *à la Neue freie Presse* i z oburzeniem całej katolickiej ludności Wiednia.

Zastanawiając się spokojnie i objektywnie nad wypadkami ostatnich tygodni, któreśmy w krótkości zestawili, nie można nie wyznać, iż przedstawiają one obraz dość ponury. Liczne wprawdzie znaki, na które nieraz zwracaliśmy uwagę, jak szybki rozwój szkół wyznaniowych, powstanie licznych katolickich stowarzyszeń, ogólny zwrot ku religii na wszystkich polach, nawet nauki i sztuki, wskazują na to, że w Europie budzi się silna reakcya katolicka, ale za to i wrogowie nasi nie zasypiają. Starzy liberali, których ideałem zawsze było zgniecenie Kościoła katolickiego, szamotają się na widok tej reakcyi; sami jednak już sił nie mają, by przeciwko niej skutecznie wystąpić. Dlatego gdzie mogą tam się bratają ze socyalistami, którzy jedynie obok ka-

tolików są dzisiaj żywotną partyą, a którzy także katolicyzm uważają za największego swego wroga. Postępy socyalizmu są w niektórych krajach znacznie szybsze od postępów katolickiej akcyi, a tam gdzie katolicy górę biorą, socyaliści przed żadnemi środkami się nie cofają, aby ich wyprzeć ze zajętego stanowiska.

My katolicy wiemy, że ostateczne zwycięstwo po naszej stronie będzie, a jednak ostatnią tę godzinę poprzedzać jeszcze mogą ciężkie chwile. Ciekawem może będzie usłyszeć o wyniku tej walki zdanie doświadczonego męża stanu niekatolika Méline'a. Dawny prezydent ministrów, wierny swym zasadom, chciałby utworzyć we Francyi partyę umiarkowaną i zupełnie nie sympatyzuje z obecnemi radykalnemi prądami rządów Rzeczypospolitej. Krytykując ów kierunek, tak się o nim w jednej ze swych ostatnich mów wyraził: „Radykali i progresiści znajdą się niechybnie między socyalizmem i reakcyą. Radykali pierwsi zjedzeni będą, ponieważ sami się rzucili w paszczę Minotaura. Kiedy oni z nami jako partya rządowa znikną, nie pozostaje nikt na placu jak rewolucya socyalna i reakcya a między niemi walka w kraju, jakim jest Francya, długo trwać nie będzie. Jeżeliby socyalizm mógł mieć dzień tryumfu, to byłby to dzień bez jutra, jutro byłoby tryumfem reakcyi i socyaliści mieliby wówczas rząd, do którego sami doprowadzili i na który zasłużyli".

Największem niebezpieczeństwem dla katolików jest owa nieszczęśliwa niezgoda, która nawet wobec tak groźnego nieprzyjaciela, jakim jest socyalizm, nieraz przeszkadza energicznemu skupieniu sił. Największa niezgoda między partyami katolickiemi jest może we Francyi i dlatego Ojciec św. w ostatnich miesiącach kilkakrotnie się zwrócił do biskupów, nawołując znowu katolików do skupienia się na gruncie republikańskim.

I u nas socyaliści energiczniej się ruszają wobec powstającej organizacyi nowego stronnictwa, które dąży do złączenia wszystkich katolików. Widzieliśmy to na wiecu w Tarnowie, dokąd sztab krakowskich socyalistów się udał, aby przeszkodzić odczytowi i dyskusyi nad programem nowej katolickiej partyi.

Tak samo w Krakowie, aż ze Sącza sprowadzono posiłki, aby rozbić wiec przez młodą partyę zwołany. Może bezczelne ale energiczne postępowanie socyalistów otworzy naszym pół-katolikom, którzy socyalistami być nie chcą, oczy, i przekona ich, że przyznawanie się otwarte i konsekwentne do katolickich zasad, jest jedynym ratunkiem przed rewolucyą socyalistyczną. Może nareszcie i ci przejrzą, którzy aż dotąd zdobyć się nie mogą na zrzeczenie się ciasnych interesów partyjnych. W naszym kraju wybiłaby w tej samej chwili, w którejby się to stało, ostatnia godzina dla socyalizmu.

Ks. Wł. Ledóchowski.

Polacy na obczyźnie.

Francuski psycholog Fouillée, zastanawiając się nad charakterem anglosaskiego plemienia, dziwny onego hart i wytrwałość, przypisuje ucieraniu się z najezdnikami, uciskowi Normanów, który zamiast zniszczyć szczep skazany na zagładę, owszem spotęgował dodatnie pierwiastki, urobił duszę prześladowanych, oblekając takową w osobną moc i dzielność. Spostrzeżenie to, cofające nas w dal historyi, aby dzisiejsze jej zagadki tłumaczyć, przyniosło nam kordyał otuchy wśród dni mrocznych i ciężkich, w których hasło: *Ausrotten!* zewsząd się przeciw Polakom podnosi. Czuliśmy się już tak słabi i zgnębieni, gdy wydana nam zewsząd wojna, przekonała nas nad własne przeświadczenie o żywotności naszego imienia i naszego plemienia, o mocy złożonej w krzywdzie, o sile oporu i odporu, rozbudzonej zdeptaniem...

Bo to co się obecnie w Prusach dzieje, acz przechodzi szałem ślepej nienawiści wszystkie plemienne antagonizmy w historyi, dotąd chyba spodziewanych nie odniosło skutków. Zamiast wynarodowienia, znaczy się raczej skrzepienie ducha, przyrost dzielności. Gdy przed kilkoma laty na Ślązku radzono jakby uczcić pamięć Ligonia, jednego z zasłużonych mężów, co się najwięcej przyczynił do ożywienia tamże polskiego ruchu i ducha, jeden z obecnych włościan ozwał się, że pod tym względem największą zasługę położył sam książe Bismark, prze-

śladowaniem Kościoła, prześladowaniem polskości, budząc senną w ślązkim ludzie świadomość religijną i narodową. A ten hołd ironiczny chyba najdrastyczniej ujawnił następstwa bezmiernego ucisku...

Dziwne bo też bywają onego skutki. Podczas gdy komisya kolonizacyjna w Wielkopolsce, a ustawy dziedziczne na Litwie i w krajach zabranych kurczyć usiłują ziemię ojczystą, mnożne polskie plemię rozlewa się poza rozbiorów granice, sięga kresów z najświetniejszej doby naszych dziejów. Nie brak dziś polskich osiedleńców w smoleńskiej i czernihowskiej gubernii, a fala włościańskiego wychodźtwa z Poznańskiego rozsiada się dziś nad Łabą, jakby powrotem w podbite przez Chrobrego dzierżawy. Ruch ten tak olbrzymie w ostatnich latach przybrał rozmiary, iż jął niepokoić czujną zawiść stronników hakatyzmu, zawsze do denuncyacyi skłonnych. Już przed rokiem zaczęli oni mnożyć ostrzeżenia o rzekomo zbierającym się w samemże łonie państwa wrzodzie polonizmu, o wysuniętym posterunku i przednich czatach owych niesfornych Polaków, którym ks. Bismarck nie chciał jednej piędzi ziemi pozostawić, wyprawiając ich szyderczo do Monaco... Podług urzędowych spisów z grudnia 1897 r., już się wtedy znajdowało do stu tysięcy Polaków w obwodzie przemysłowym westfalskim i dolnoniemieckim, czyli dziesięć procent ogólnej liczby mieszkańców. W niektórych powiatach, jak w Gelsenwischen i Recklinghausen, Polacy stanowią nawet dwadzieścia procent ludności a cała kotlina Ruhr'y przepełniona jest robotnikiem polskim [1]. Odtąd, oczywiście cyfry te jeszcze podnieść się musiały. Znamiennym jest rysem, iż wychodźtwo polskiego robotnika dopiero w r. 1870 przybrało znaczniejsze rozmiary, a więc z chwilą gdy coraz cięższe warunki polityczne wyrywały ich z dotychczasowego zadomowienia. Nie sama zresztą Westfalia i brzegi Renu ściągają napływ polskiego żywiołu. Pola buraków w Saksonii, miasta portowe jak Hamburg i Kilonia, większe zakłady rękodzielnicze i fabryki z kolei zaczęły coraz liczniej werbować i zajmować naszych robotników. Gdziekolwiek kilkuset lub kilka tysięcy Polaków się znalazło skupionych na jednem miejscu, wnet jęli odczuwać potrzebę wiązania się w bractwa, w spółki czy towarzystwa. Zrozumieli, iż łączność jedna może ocalić ich narodową odrębność, że odporność rozbitków spotęguje się węzłem spólnej akcyi.

[1] Statystyka szkolna z r. 1896 stwierdza, iż w szkołach Westfalii i Rheinlandu, liczba polskich dzieci dochodziła półsiodma tysiąca już przed trzema laty.

Nie będziemy wyliczać wszystkich niebezpieczeństw, wszystkich zasadzek zagrażających wierze i narodowości wychodźców. Na straży najdroższych skarbów, stoi drobne, ludowe czasopismo, rozchodzące się w tysiącach egzemplarzy i sprawujące rzadkiej doniosłości posłannictwo. Wydawany w Bochum *Wiarus Polski*, nad inne nasze czasopisma spełnia właściwe prasy zadanie. Wertując kilkunastomiesięczne numera *Wiarusa*, przyszliśmy do przekonania, iż bodaj znaleźć pismo ludowe lepiej odpowiadające zakreślonemu celowi. Przedewszystkiem próżno tam szukać wielkiej polityki, nieznośnie ciężącej na prasie galicyjskiej. Musi już zajść jakiś wypadek nadzwyczajny, aby w te ciasne dostać się łamy. Wypełnione są one bliższemi wiadomościami, przedewszystkiem z różnych punktów, dokąd przybija fala wychodźtwa polskiego. Polacy na obczyźnie, oto dział główny, naczelny, uzupełniony rubryką Z różnych stron, zamieszczającą drobne echa i osobiste wieści, podczas gdy tamta niesie raczej odgłosy zbiorowego życia towarzystw i związków, tak bujnie powstałych w ślad polskiej biedy, zabiegającej na obce sobie i dalekie szlaki. Zabór pruski przeważnie bywa uwzględniony, a więc Poznańskie, Prusy, nareszcie *last not least*, Śląsk, mieniony tu Starą Polską. Ze świata względnie mało wiadomości. *Wiarus* zastępuje bodaj zamianę listów pomiędzy rozbitkami, wypartymi z własnych siedzib, aby szukać chleba na obczyźnie. Przedewszystkiem tedy ich obchodzi co się dzieje tu czy tam, w portowem czy fabrycznem mieście, jaki bywa zarobek, jakie trudności lub powodzenia, jakie wypadki, katastrofy, czy też pomyślne w stosunkach miejscowych zwroty. Lwią też część tygodniowej gazetki zagarniają sprawozdania z ruchu towarzystw. Zaledwie garstka Polaków zbierze się w jakiejś niemieckiej okolicy czy mieścinie, wnet sprawia sobie chorągiew własną, zawiązuje się w towarzystwo, mnoży zebrania; niebawem wspólnie przyjdzie obchodzić „gwiazdkę“, w wilię Bożego Narodzenia; wspólnie spożywać „święconkę“, jak w Wielkopolsce nazywają wielkanocne agapy; w zapusty, jeśli na to środki pozwolą, stowarzyszeni urządzają sobie zabawy, teatra amatorskie, a trudno określić, jak bardzo ta niewinna rozrywka przyczynia się do pielęgnowania mowy ojczystej. I rocznica zawiązania każdego pojedynczego towarzystwa przyczynia sposobności gromadzenia się; niektóre związki liczą już po kilka, po kilkanaście lat istnienia. Oczywiście i narodowe obchody odzywają się echem w tych dalekich stronach. Rzewne sprawia wrażenie odbycie się Mickiewiczowskich uroczystości nad brzegami Łaby czy Ruhr'y. Obok towarzystw bractwa, obok bractw związki cechowe,

koła śpiewackie, stowarzyszenia oświaty, mnożą w nieskończoność nieprzeliczone ogniwa łańcucha jedności. Skorzy do denuncyacyi polskich rzeczy hakatyści, obliczają już na kilka tysięcy poszczególne stowarzyszenia polskie w pruskim zaborze, chcą upatrywać polityczną agitacyę tam, gdzie istnieje tylko potrzeba łączności i wzajemnego oparcia. Dość przejrzeć kilka sprawozdań rocznych, aby zbadać samąż istotę tych związków. I tak np. w Castrop Towarzystwo św. Wojciecha w przeciągu jednego roku odbyło 31 posiedzeń. Członków liczyło sto kilkadziesiąt, z chorągwią występowało dziesięć razy. Zabaw urządziło dwie oraz wspólną „gwiazdkę“ i „święconkę“. Sprawiło sobie nową chorągiew, ksiądz polski był w Castrop siedm razy. Do Komunii przystępowało towarzystwo wspólnie raz. Mszy św. zamówiło dwie. Dochodu było około siedmset marek, biblioteka składa się z 180 tomów. Gazet abonują kilka; członkowie przeważnie trzymają bochumskiego *Wiarusa*. W Langendrur towarzystwo śś. Cyryla i Metodego liczyło 133 członków, zebrań odbyło 26, z chorągwią wystąpiło ośm razy, zamówiło pięć Mszy, z których dwie za zmarłych członków Towarzystwa. Wspólnie przystępowali do Komunii św. pięć razy. Dochodu było pięćset marek, rozchodu czterysta. W Essen towarzystwo św. Stanisława okrom zwykłych uroczystości, urządzało sobie odczyty, deklamacye, śpiewy. Książek w obrocie wypożyczalni było blizko czterysta. Wszystkie te sprawozdania mniej więcej jednako się przedstawiają, z różnicą tylko rozmiarów, liczby członków oraz dochodów, urastających w kasę chorych, kasę pogrzebową. Dość spojrzeć na czwartą stronę *Wiarusa Polskiego*, aby objąć liczbę wciąż wzrastającą stowarzyszeń naszych wychodźców. Na chybił trafił wspomnijmy Towarzystwo św. Andrzeja w Bochum, św. Jacka w Braubauerschaft, św. Józefa w Horsthausen, św. Jakóba w Solingen, św. Stanisława w Katernberg, św. Jacka w Bottrop, św. Michała w Bruch i t. d. i t. d. Oczywiście, wśród górników najczęstszą patronką św. Barbara wypraszająca dobrą śmierć wśród tysiącznych niebezpieczeństw. To też mnóstwo naszych towarzystw zawiązuje się pod jej wezwaniem. Osobna rubryka zwiastuje naszej stutysięcznej na obczyźnie parafii przejazd i przyjazd księdza polskiego. Coraz to na innem miejscu bywa ogłoszone nabożeństwo z polskiem kazaniem, trzydniowa jakoby misya, z której Polacy skorzystać winni, aby do Sakramentów św. przystępować. Pobożni synowie św. Franciszka przeważnie dotąd sprawowali opiekę duchowną nad polskiem wychodźtwem, ogłaszając naprzód miejsce i czas, gdzie słuchać będą Spowiedzi i odprawiać nabożeństwa dla

Polaków. Dni i godziny tak są rozłożone i obliczone, aby jak najwięcej pobożnych mogło korzystać z obecności kapłana mówiącego po polsku.

Nieoszacowany ks. Buk, do niedawna apostoł Drezna, zdjęty litością nad polskim żołnierzem, przyswoił sobie mowę naszą, tem łatwiej się jej ucząc, iż sam pochodząc z Łużyc, był Słowianinem. W różnych stronach Niemiec spotykamy się z gorętszą, kapłańską duszą, zwłaszcza wśród młodszego kleru, uczącego się po polsku, aby sprostać potrzebom swych polskich owieczek. A znając upodobanie naszego ludu w pieśniach pobożnych, naznaczają osobne dla Polaków godziny, nawet dla popołudniowej adoracyi Najśw. Sakramentu. Coraz też troskliwiej zaczynają biskupi niemieccy zajmować się dusznemi potrzebami polskiej a tak bardzo katolickiej ludności, napływającej do ich dyecezyj. Skargi bo naszych robotników coraz częściej bywają przedstawiane najwyższym władzom pasterskim, nieraz sformułowane z wielką, sierocą rzewnością, czasem z odcieniem niecierpliwości, spowodowanej zwłoką w uwzględnieniu ich żałoby. Nie rozumieją ani wyrozumieją trudności w dobraniu wystarczającej liczby pasterzy po wyłomie zdziałanym w seminaryum kulturkampfem. Przedewszystkiem brak zakonów dotkliwie się uczuć daje naszym wychodźcom, nieprzestającym orędować o ich powrót, o oddanie Redemptorystom misyi wśród ludności roboczej. Ten odcień niecierpliwości w prośbie, razi zbyt często spokojniejszych katolików niemieckich i szkodzi sprawie, którą tylko z należytą powagą i pokorą należałoby przeprowadzić. Ale uwzględnić należy rozpacz tych biedaków, gdy nieraz na łożu śmierci nie mogą się jak przynależy wyspowiadać, gdy patrzą na rosnące bez należytej katechizmowej nauki dzieci własne. A przytem tu jeden czynnik występuje niewątpliwie. Dla przybyszów z Poznańskiego, z Prus, „Mimiec“ a protestant to jedno, Polak i katolik to drugie. To zespolenie wiary z mową ojczystą, a herezyi Lutra z niemczyzną, zbyt głęboko się zakorzeniło w naszym ludzie aby nie potęgować żądzy usłyszenia polskiej pieśni i polskiego słowa w kościele, jako rękojmi prawowitości. A w istocie położenie jest bardzo smutne. Gdy więc całe dwakroć stotysięcy Niemców-katolików w Poznańskiem wyrzeka na rzekome upośledzenie, ponieważ mają tylko 90 księży niemieckiej narodowości, coby powinien mówić zastęp stutysięczny Polaków w środkowych Niemczech, którzy mimo tylu próśb i zachodów, nie posiadają dotąd ani dziewięciu księży mówiących po polsku? Ta zaś kwestya zaostrza się zagadnieniami chwili. Jeśli ci Polacy nie stracą wiary ani obyczaju

przodków, stanowić będą wał ochronny przeciw socyalizmowi. Przeciwnie, jeśli z braku opieki duchownej duch ich ostygnie, staną się łatwą pastwą socyalizmu czyhającego zewsząd na nowe posiłki. Wysunięty ten polsko-katolicki posterunek gotów stać się rozsadnikiem wiary, jeżeli jej wierności dochowa, lub też wygrzewalnią przewrotu, jeśli mu ta wiara wydartą zostanie. Głęboki badacz stosunków religijnych w Niemczech, p. Goyau, uderzony był zarazem i wielką pobożnością ludu polskiego i łatwością, z jaką ta pobożność stygnie, gdy jej pomocy duchownej zabraknie. Trzeba się więc podwójnie liczyć z tem usposobieniem, i popierać żałobę naszych wychodźców u władz dyecezalnych, a daj Boże i dostarczać gotowych misyonarzy tym parafiom polskim *in partibus.*

Ta troska religijna nie przestaje wzbudzać i mnożyć stałe orędownictwa, petycye, rezolucye często-gęsto zwoływanych wieców polskich, na które rosnąca fala ludu polskiego na obczyźnie raz po raz się zdobywa. Wszystkie te zebrania w pierwszym rzędzie stawiać zwykły wnioski dotyczące tej najważniejszej sprawy, naznaczają deputacye do zarządu dyecezalnego, wszystkie inne kwestye na podrzędne spychając stanowisko. Wiece te uderzają doskonałem zorganizowaniem; i znów o polityce tam niewiele słychać, własne tylko, najbliższe potrzeby bywają omawiane. Ta nadzwyczajna organizacya uderza mianowicie przy wyborach. Ostatecznie, przy olbrzymim napływie żywiołu polskiego, nie byłoby wykluczonem, aby polskiego też stawiać kandydata, a przynajmniej głosy innych rozstrzelić stronnictw. Tyle pewnego, że głosy polskie o zwycięstwie tu rozstrzygają. Oczywiście, nie brak kusicieli, usiłujących je na tę lub ową przeciągnąć stronę. Wyborcy polscy atoli z wspaniałą jednością idą za danem z góry hasłem, oddają głosy na kandydata *Centrum,* zobowiązując go do czuwania nad ich potrzebami na arenie sejmowej. Nieoceniony *Wiarus Polski* z nadzwyczajną praktycznością te hasła powtarza, obowiązki przypomina, wyborców poucza, miejsce i porę głosowania naznacza, słowem, jako dobry wódz pilnuje powinności wszystkich swych czytelników.

Przewija się tedy całe życie naszych wychodźców przez łamy *Wiarusa Polskiego,* ich smutki, wesela, trudności. Na każdym kroku przychodzi się ucierać z niechęcią, z butą germańską, nieuwzględniającą żadnego prawa ni życzenia tych Helotów, używanych do najcięższej pracy, a odtrącanych na każdym kroku od korzystania z państwowych praw i przywilejów. Świeżo zostało wydane w Dortmund rozporządzenie, żądające dokładnej znajomości języka niemieckiego od każ-

dego górnika, pod pozorem, iż dość częste wypadki w kopalniach zostały spowodowane niezrozumieniem regulaminu i ostrzeżeń w samychże podziemiach umieszczanych! Reskrypt ten wprost mierzył w Polaków, chcąc tym sposobem dokonać dzieła wydalań, nietylko obcych poddanych, lecz i pruskich, polskiej narodowości. Tymczasem nasi górnicy zaprotestowali urzędowo, iż ani jedna katastrofa nie została spowodowaną przez nich, nie może być tedy upozorowaną niezrozumieniem regulaminu. A zresztą łatwo zapobiedz możliwemu złemu, drukując ostrzeżenia dla pewności w dwóch językach. Niema obawy, aby wyrzucono naszych robotników nawet pod pozorem niedostatku ich znajomości języka niemieckiego. Brak rąk do pracy zawsze zmusi większych przedsiębiorców do zatrzymania polskiego najmity. Odkąd hakatyści zagaili kampanię zagłady przeciw wszystkiemu co polskie, nie wystarcza im już ni Wielkopolska, ni Prusy, ni Ślązk, przenoszą swą akcyę i na obczyznę, w ślad fali tułactwa polskiego. Coraz częstsze pojawiają się dziś denuncyacye, mające na celu stłumienie życia polskiego wśród górników i robotników Westfalii i Rheinlandu.

A tymczasem inseraty *Wiarusa* wskazują, jak dalece owe kolonie nasze, samoistne sobie i odrębne wyrabiają stosunki. Wogóle, nie same pierwsze strony *Wiarusa* są pouczające, ostatnie pozwalają chwycić za puls tę olbrzymią falę wychodźtwa, to wojsko trudu i pracy. Tą drogą się zaproszenia rozsyła np. na wspólnie odprawiane pielgrzymki. Zamiast Częstochowy lub Leżajska, Gostynia lub Góry św. Anny, idą nasi pątnicy do Werl, do Neviges, do opiewanego przez samegoż Heinego Kevlaaru. Idą śpiewając swoje pieśni ukochane, i budują lud miejscowy żarliwością swego nabożeństwa. Nie zawsze rozproszeni mogą się przygarnąć do ołtarzy Pańskich, nawet w święta i niedziele. Tam gdzie niema kościoła katolickiego, tam gdzie polskiego nie usłyszą kazania, zabiega niedzielny posłaniec, dodatek bezpłatny *Wiarusa*, który pod tytułem *Nauki katolickiej* niesie wiernym lekcyę i Ewangelię przygodną, kazania na oznaczoną uroczystość, pobożne jakie czytania, oraz sprawozdanie z Śto-Józefacia, dobrowolnej składki na polsko-katolickich studentów, z których Bóg wzbudzić raczy zastęp pasterzy dla tych rozbitków naszych na obczyźnie. Zresztą *Nauka katolicka* nie jest wyłącznym dodatkiem *Wiarusa*. Wspomnieć należy i barwne *Zwierciadło*, pełne najróżniejszej humorystycznej treści ku zabawie czytelników, i *Głos górników i hutników* traktujący specyalniej kwestye fachowe, wychodzący trzy razy na tydzień. *Wiarus* z tygodniowemi trzema dodatkami kosztuje na rok zaledwie 6 marek!

U wstępu błyska powtarzający się nagłówek: Módl się i pracuj! oraz także w każdym numerze powtórzone wstępne słowo: „Rodzice polscy! Uczcie dzieci swe mówić, czytać i pisać po polsku! Nie jest Polakiem, kto potomstwu swemu zniemczyć się pozwoli!“ Zaczem idą artykuły świadczące o pilnej baczności na wszystkie możliwe niebezpieczeństwa zagrażające rozbitkom, a więc związków z innowiercami, małżeństw z Niemkami, zaniedbań wychowania dzieci i t. d. i t. d. *Wiarus* ostrzega pilnie przed zmianą ortografii nazwisk polskich, przed narzuconą germańską pisownią na *tz* lub *y*. „Któżby posiadając piękne polskie nazwisko Błażejewicza lub Janickiego, zgodzić się miał na *Błażejewitz* lub *Janitzky?*“ Dba o czystość językową, odrzuca germanizmy i naleciałości, nawet w górniczej gwarze.

Słyszeć nam przychodzi zewsząd narzekania na nieudolność redakcyi niejednego ludowego u nas czasopisma. Tym co pod tym względem szwankują, dobrzeby się rozpatrzeć w prawdziwie mistrzowskim układzie *Wiarusa Polskiego,* który spełnia pożądaną rolę miłego gościa, posłańca, poradnika i przywódcy kolonij polskich na Zachodzie.

Jaka tych kolonij przyszłość? odgadnąć na razie i orzec niepodobna. Pesymiści twierdzą iż ten *exodus* przyprawia nas o krociowe straty, że Kościół, że naród nasz uszczupla się mnóstwem odpadających osobników. Optymiści naodwrót widzą w tym wychodźtwie za chlebem, za pracą, szkołę hartu, w której wzrośnie krzepkie pokolenie, łączące niemieckie zalety z polską cnotą i sercem. Jedni i drudzy idą może zbyt daleko w swych wywodach i wnioskach. Oczywiście, byłoby najbardziej pożądanem, aby wzbogaciwszy się lepszym na obczyźnie zarobkiem, robotnicy nasi wracali własną uprawiać niwę, ojczysty kupować zagon, koło rodzinnej chodzić roli. Ale im bardziej wzrasta ruch roboczy, a jednocześnie i osadnictwo polskie puszcza głębsze na Zachodzie korzenie, tem trudniej marzyć, aby wszyscy wrócili, i o to tylko chodzi, aby tym dalekim a blizkim zapewnić najlepsze warunki życia doczesnego i wiecznego, i ubezpieczyć ich duszę wśród krzątania się około powszedniego chleba, ażeby bez uszczerbku największych darów duszny ch, dokonać mogli wędrówki i pielgrzymki życia. W każdym razie, ten przypływ pracy i biedy polskiej do środka Germanii, godzien jest i zbadania bliższego, i serdecznej opieki, i rozpatrzenia się w jednym z fenomenów naszej epoki. Nigdy się narodowe różnice i waśnie, odrębności i sprzeczności nie zaostrzyły w równym stopniu co za dni naszych. A jednocześnie zniesienie przestrzeni i walka o byt

zmierzają do coraz większego pomięszania i zespolenia plemion i szczepów, ludów i narodów.

Od czasu gminoruchów nie przejawiły się na ziemi równie gwałtowne prądy przesiedlenia i pochodów dalekich. Gorączka ta przygotowuje nowe w historyi przełomy, nową epokę, czy nowe też niebiosa i ziemie? Jest-li to zorza lepszych dni, czy mroczny zachód okresu bez jutra? Świt-li to czy idąca noc? Wędrówki te, którym dziś towarzyszy także rozbudzenie narodowej świadomości i uczuć, alboż nie doprowadzą do ich zatarcia? Przesądzać niepodobna, a tymczasem godzi się podawać rękę tym spracowanym dłoniom górników w Bochum, robotników w Essen, rękodzielników rozpierzchłych po wszystkich fabrycznych miastach niemieckich, aby ich utrzymywać w bratniej przynależności do matki-ojczyzny, dzielić ich troski, popierać ich zabiegi, i skurczoną przez niemiecką kolonizacyę ziemię ojczystą.

M.

Druk ukończono 27 lipca 1899 r.

ŚWIĘTYCH OBCOWANIE[1].

I.

POTĘGA SOLIDARNOŚCI U STARYCH CHRZEŚCIJAN.

Kiedy wglądamy w zabytki ducha starych chrześcijan, w pisma, które po nich pozostały, w ślady myśli, jakie wyryli lub wymalowali na ścianach swych domów i miejsc modlitwy i aż na swych grobowcach, to uderza nas, między innemi dziwnemi i pięknemi rzeczami, szczególna jakaś wśród nich solidarność.

Każda doktryna, każda sekta stwarza solidarność jakąś między swymi zwolennikami. Pewnie słuchacze Portyku, a jeszcze bardziej wtajemniczeni w *mysteria* Izydy albo Mitry, poczuwali się do związku między sobą. Ale u starych chrześcijan widać solidarność zupełnie innego rodzaju, czuć działanie pierwiastka jednoczącego, z którym nic analogicznego inne sekty nie mają.

Pierwiastkowi temu z różnych stron przypatrywać się będziemy. Ale zacznijmy od rzutu oka na zdumiewającą potęgę, z jaką się w ówczesnym świecie objawia. Inne sekty do istniejących już w społeczeństwie nawyknień dodają nowe konwencye; członków swych stykają ze sobą tylko chwilowo, powierzchownie. Pierwiastek chrześcijański rwie wszystkie przeciwne konwencye, wyorywa z korzeniem aż do głębi dusz wszystko,

[1] Patrz: „Wstęp do studyum o Świętych Obcowaniu“ w *Przeglądzie Powszechnym* ze stycznia b. r.

co zlaniu się przeszkadza, i tak nie po wierzchu solidarność swoją buduje.

W świecie opanowanym przez cesarstwo rzymskie, antagonizm narodowy nie był zapewnie tak zaostrzony jak jest dzisiaj — chociaż zawsze rodowity Rzymianin wynosił hardą głowę ponad podbite plemiona; a rodowity Grek gardził Rzymianinem i resztą świata, jako barbarzyńcami; a nadto jeden naród wynosił się w swej nacyonalnej pysze jeszcze sto razy wyżej, naród niegdyś wybrany. Bądź co bądź, nacyonalizm rzymski i nacyonalizm grecki tak prędko uległy sile jednoczącej chrystyanizmu, że śladu ich oporu w dziejach pierwotnego Kościoła niema. Imię Chrystusa przynosi do Rzymu garstka pomiatanych Żydów, między innymi rybak z Galilei; zamieszkują najprzód na Transtewerze, w ubogiej żydowskiej dzielnicy. Mimo to patrycyusze rzymscy: Korneliusze, Cecyliusze, Attykowie, Pomponiusze, Emiliusze, Glabryonowie, poddają się ich nauczycielstwu[1]. Po niewielu latach Piotr, zniewolony zapewne ich prośbami, osiada w dzielnicy patrycyuszowskiej na Wiminale, prawdopodobnie w samym domu Korneliusza Pudensa[2]. Jego pochodzenie z obcego i wzgardzonego plemienia nie przeszkadza Rzymianom i Grekom wszelkich stanów otaczać na klęczkach jego katedrę.

Cięższą miał chrystyanizm z nacyonalizmem żydowskim przeprawę, której echo odzywa się przeciągłym jękiem poprzez

---

[1] Wszystkie te nazwiska, prócz Glabryonów, znajdują się w najstarszej części katakumby Kaliksta w tak zwanym dziale Lucyny *(area Lucinae)*. Tytuły *clarissimi* albo λαμπρότατοι wskazują, że to osoby pochodzenia senatorskiego. Groby znów rodu Aciliuszów Glabryonów niedawno, bo r. 1888, odkryte zostały przez Rossiego w katakumbie św. Pryscylli. Wogóle, po badaniach Rossiego i innych dzisiejszych znawców katakumb, jest dziś rzeczą pewną, że nietylko wielu członków patrycyatu rzymskiego, obojej płci, przyjęło wcześnie chrystyanizm, ale że pewna ich liczba przystała już do niego w pierwszej dobie, za czasów apostolskich.

[2] O tem, że św. Piotr zamieszkał w domu Pudensa, jest stara tradycya, którą w ostatnich latach przyszły poprzeć nowe odkrycia w katakumbie św. Pryscylli. Patrz rozprawę ks. prof. Bilczewskiego: „Nowe odkrycia w katakumbie św. Pryscylli“ w *Przeglądzie Powszechnym* z r. 1895, t. XLV, str. 226 i 378.

wszystkie Listy św. Pawła. Nacyonalizm ten, wyegzaltowany spaczonem rozumieniem wybrania Izraela — wszystko raczej znieść mogący, niż równouprawnienie poganina z Żydem w religii — sprawił, że ogromna część tego narodu odwróciła się od ewangelii; a w szczupłej stosunkowo liczbie, jaka ją przyjęła, jeszcze jakiś czas pokutował. Nie bez walki zgodzili się oni na uwolnienie nawracających się pogan od obrzędów żydowskich. A i po tym wyroku nie łatwo zdobywali się na braterskie przestawanie z nieobrzezanymi braćmi i dzielenie ich uczt. Sam nawet Książe Apostołów uległ chwilowo tej ułomności swych ziomków — za co go św. Paweł śmiało upomniał[1]. Wnet jednak siła jednocząca chrystyanizmu i to przeciwieństwo pochłonęła i urzeczywistniła swe bezwzględne hasło: *Niemasz różnicy poganina i Żyda.* A szczątki pierwiastka żydowskiego, które w łonie chrystyanizmu przetrawić się do reszty nie dały, wydzieliły się niebawem z Kościoła, w formie heretyckich sekt: Nazarejczyków, Ebionitów i innych.

Lecz jeśli różnice narodowościowe nie tak bardzo dzieliły ówczesny świat, za to dzieliły go ogromnie różnice klas. Z ustroju demokratycznego republiki rzymskiej już nie zostało innego śladu, jak w tytułach. Lud, abdykowawszy w ręce imperatora, wyzuwszy się wszelkiej myśli o dobru publicznem, przestał tem samem być wartością moralną. Odległość społeczna między jego ubóstwem a posiadaczami wielkich fortun wyrosła olbrzymio. Biedacy czepiali się jeszcze klamki bogaczów, cieszyli się jeszcze nazwą *clientes;* ale już im tylko przez okna rzucano *sportulas,* koszyczki z jadłem. A kiedy hojność prywatna nużyła się karmieniem tych darmozjadów, musiało państwo utrzymywać ich „publicznemi jałmużnami“ [2]. Byli tak nizkimi, że samo prawo rzymskie śmie ich nizkimi i najniższymi nazywać: *humiles, humiliores, tenuiores, tenuissimi* [3].

---

[1] Galat. 2, 11.

[2] Salustius ich określa jako takich, co żyją *privatis publicisque largitionibus* (Catilin. 37).

[3] Ulpianus, Paulus, Marcianus, Callistratus. *Digest.* IV, 3, 11, § 1. — XXXVI, 10, 3, § 16. — XLVII, 22, 1, 3, § 3 etc.

Ale jeszcze nieskończenie większy był odstęp, przedział między ludźmi wolnymi a niewolnikami. Przedziału tego ani wyobrazić sobie łatwo nie możemy, tak nam brakuje punktu porównawczego w warunkach społecznych, wśród których żyjemy. Liczba niewolników w Rzymie cesarskim przewyższała ogromnie liczbę ludzi wolnych. Paweł Allard, znakomity badacz starożytnego niewolnictwa[1], oblicza że, ile kto miał tysięcy złotych reńskich majątku, tyle miał przeciętnie niewolników. Najmniejsza tylko ich część używaną była do posług domowych. Część największa uprawiała rolę swych panów, pracując w kajdanach, noc spędzając w okropnych „ergastulach". Wielka wreszcie ich liczba po różnych rękodzielniach i warsztatach miejskich wytwarzała, pod batem dozorców, wszelkie wyroby, jakich rozwinięta aż do zbytkowności kultura wymagała. Niektóre wielkopańskie domy za punkt honoru uważały, żeby wyrabiać u siebie wszystko zgoła, czego potrzebowały; największa jednak część takich rękodzielni niewolniczych wytwarzała towary na sprzedaż. I dlatego właściwie ludzie wolni niemajętni nie mogli żyć z własnej pracy — bo praca niewolnicza nie dopuszczała ich do zarobku — musieli więc chcąc nie chcąc dać się żywić z publicznych datków. Dzisiejsze fabryki nazywane czasem bywają piekłem, nie bez pewnej słuszności — niewolnicy jednak, którzy w wielkich rzymskich warsztatach pracowali, pewnieby je rajem nazwali. Plaut, który najlepiej podpatrzył życie tej warstwy rzymskiego społeczeństwa, szkicuje raz po raz obrazy, jakby żywcem wzięte z niższych kręgów Dantejskiego Piekła. Ot jak wygląda np. piekarnia: „Tam płaczą źli niewolnicy, którzy jedzą polentę; tam się rozlega trzask batów i brzęk łańcuchów; tam pasy z wołowej skóry drą skórę ludzi żywych"[2]. Z tem wszystkiem roboty miastowe uchodziły, nawet u niewolników, za igra-

---

[1] Allard, *Esclaves, serfs et mainmortables. — Les esclaves chrétiens* depuis les premiers temps de l'Église. (Ouvrage couronné par l'Académie Française). Z dzieł tych dużośmy korzystali w tem, co w następujących kartkach o niewolnictwie mówimy.

[2] Plautus, *Asinaria* I, 1, 20—23. — Porównaj tegoż *Captivi* III, 5, 63—80; *Bacchides* IV, 6, 732; Terencyusza *Andria* I, 2, 8.

szkę wobec robót polnych i górniczych i życia w ergastulach. „Nieraz widziałem męki piekielne wymalowane; ale prawdziwem piekłem jest miejsce, z którego wracam“ — tak się wyraża niewolnik, który się świeżo z kopalni wydostał [1].

A to wszystko nie było wybrykiem przeciw prawu, kaprysem złych ludzi. Było to systemem społecznym, porządkiem, prawem. Niewolnik nie był uznany za osobę, ale za rzecz, w ścisłem znaczeniu. Ustawy państwa i kontrakty prywatne stawiają go systematycznie w jednym rzędzie z bydłem: „niewolnik, lub inne bydlę“ — mówią o nim [2]. Tą samą grzywną karzą zabicie cudzego niewolnika, co zabicie wołu, owcy, kozy [3]. Konsekwentnie, niewolnik nie miał żadnego zgoła prawa [4]. Nie miał prawa do życia: pan go dowoli mógł zabić; interes zwykle kazał go żywić, ale kiedy zesłabł, okaleczał lub postarzał się, wtedy nawet interes nakazywał go się pozbyć. Sam Kato radzi przezornym gospodarzom pozbywać się zawczasu starzyzny: „sprzedawać stare konie, stare wozy, żelaziwo, starszych niewolników“ [5]. — Nie miał również niewolnik prawa do małżeństwa, do rodziny: „Na Herkulesa! — śmieje się Plautus — co to za małżeństwo niewolnika! Kto kiedy widział, żeby niewolnik się żenił?“ [6] Chwilowych związków między służbą, *contubernia,* właściciel dopuszczał lub zabraniał, kierując się w tem jedynie ekonomicznym interesem swoim. — Dzieci niewolnika do niego nie należą. Własność ich idzie tym samym torem prawnym, co własność owoców, drzewa lub płodów trzody. Właściciel je sprzedaje, prostytuuje; kiedy spieniężyć nie może, często poprostu porzuca, „exponuje“ [7]. Kiedy zaś je chowa w domu, to nie zostawia ich ojcu lub matce — oni mają co innego do roboty — ale powierza je wspólnemu „karmicielowi“, którego urzędem jest cały ten „przyrostek domu“

[1] Plaut, *Captivi* v, 4, 21—23.

[2] *Servus vel aliud animal,* mówi Ulpianus, *Digest.* vi, 1, 15, § 3. — *In servis vel iumentis caeterisque rebus,* wyraża się Gaius, *Digest.* vii, 1, 3, § 1.

[3] Gaius, *Digest.* ix, 2, 2, 2.

[4] *Servile caput nullum ius habet.* Paulus, *Digest.* iv, 5, 3.

[5] Cato, *De re rustica.*

[6] Plaut, *Casina.* Prolog.

[7] Clem. Alex., *Paedagog.* iii, 4.

wykarmić i wyćwiczyć [1]. — Najmniej oczywiście miał prawa niewolnik do sumienia, do moralności, do wstydu. Już Arystoteles odmawiał mu przyrodzonej zdolności do wolnej woli i do szczęścia [2]; prawo zaś rzymskie sankcyonowało na zimno wszelkie możliwe użycia i nadużycia właścicieli [3]. A Plaut opowiada, z uśmiechem cynicznym i tragicznym zarazem, jak te nadużycia wyglądały w praktyce [4]. Prawo rzymskie jest nawet tak straszliwie konsekwentne w odmawianiu niewolnikom sumienia, że nie uważa ich za zdolnych występku przeciw obyczajom, i w najprzeciwniejszych naturze związkach niewolników nie upatruje zdrożności [5].

To też właściciel nie na tem spekuluje, żeby wyrobić w niewolniku jakiś zmysł moralny, jakieś poczucie obowiązku — to z góry uważa on za niemożliwe — ale jedyny środek, jakiego używa i jaki mu tak prawnicy jak i filozofowie doradzają, jest to terroryzm. Zamożniejsze domy mają własnego kata do karania służby; ubożsi posługują się założonemi na ten cel przedsiębiorstwami, gdzie wysłany z kartką niewolnik odbiera wyznaczoną od pana liczbę plag, i odnosi kwit. Rozumie się, że oprócz tych pod liczbą wymierzonych razów, padała jeszcze na bezbronnego nieobliczalna ilość uderzeń, czasem okaleczeń, z ręki nadzorców, albo i samego pana, gdy się zdarzyło w jego obecności stanąć. Ta straszliwa, niczem nieokiełznana władza karania domowników w pierwszym porywie gniewu, doprowadzała do takiego rozpasania tkwiącej w naturze ludzkiej dzikości, że to przerażało myślicieli. Seneka ohydny tych okrucieństw kreśli obraz, w swem dziele *de Ira*. Poeci zaś, Owidyusz [6], Juwenalis [7], z przekąsem opisują, jak panie rzymskie prześcigają jeszcze panów w pastwieniu się nad nieszczęśliwemi ofiarami swemi.

---

[1] *Inscr. Hensen* 6256, 6258, 6291.

[2] *Politic.* I, 5; III, 7.

[3] Mnóstwo przykładów z *Digestów* przytacza Allard, *Les esclaves chrétiens*, l. I, ch. 4.

[4] *Captivi, Asinaria* etc.

[5] Papinian, *Digest.* XLVIII, 5, 6 — także dekret Dyoklecyana z r. 290.

[6] *Amor.* I, XIV.

[7] *Satyr.* VI.

Nadużycia te rosną, w miarę jak się wzmagają fortuny rzymskie, a nędznieją charaktery. Nareszcie cesarze zmuszeni są wydawać prawa dla ich poskromienia. Kiedy się czyta te prawa [1], ma się w pierwszej chwili złudzenie, że się dola nieszczęsnych niewolników poprawia; ale kiedy się czyta dalej, a widzi że cezarowie, jeden po drugim, ponawiają te same mniej więcej dekrety, czasem i kilkakrotnie w ciągu jednego panowania, aż do czasu Konstantyna — wtedy ma się przeciwnie dowód, że zło nietylko się nie naprawiało, (jakby niektórzy historycy chcieli), ale tak głęboko zakorzenionem było, iż bezskutecznie prawa przeciw niemu walczyły.

Takiemu traktowaniu ze strony człowieka wolnego, jaki stan duszy odpowiadał ze strony niewolnika? Nie trudno odgadnąć: w rozpaczy spróbował był kilka razy chwycić za miecz: w Sycylii pod Eunusem, w Italii pod Spartakusem. Przekonawszy się o bezskuteczności buntu, zgiął się beznadziejnie, do szczętu się spodlił. W zamian za radości rodzinne, do których nie miał przystępu, oddawał się z towarzyszami niedoli orgiom obrzydliwym, na które przezorny właściciel chętnie pozwalał [2]. Zamiast religii, od której go również prawo oddalało, oddawał się pokątnym zabobonom. Wobec pana nic mu nie zostawało, jak tylko nienawiść — nienawiść tem zaciętsza, że bezsilna, bo wiedział, że gdyby się na pana targnął, to nietylko on, ale i wszyscy jego towarzysze niewoli natychmiast byliby straceni. Za krzywdy, za pogardę bez granic, mścił się nieszczęsny nienawiścią bez granic. Podwójna przepaść — której, powtarzam, wyobraźnia nasza, na dzisiejszych stosunkach wyrobiona, objąć nie może.

Otóż tę przepaść pierwiastek chrześcijański podejmuje się zapełnić — i to mu się udaje. Te warstwy społeczeństwa, odległe jak dwa światy w przestrzeni, łączy ze sobą. Nietylko panom każe być sprawiedliwymi, łagodnymi względem niewolni-

---

[1] Przytacza ich długi szereg Allard, *Les escl. chrét.* l. I, ch. 4.

[2] Wspominają o tych orgiach Plaut i Horacy. Porówn. Wallon, *Hist. de l'esclavage dans l'antiquité.* T. I, p. 334.

ków, zaniechać gróźb, a niewolników uczy sumiennie, z szlachetnych i wysokich pobudek pełnić swą służbę [1] — to są ogólne obowiązki, które chrześcijanie względem wszystkich swych panów albo sług, nawet pogan, pełnić powinni [2] — ale, co nierównie jeszcze dziwniejsza: we własnem swem łonie, między wiernymi, pierwiastek chrześcijański urzeczywistnia ten cud, że pan i niewolnik stanowią jedno — różnica między temi extremami się znosi. Między wami, mówi im tekst święty, „którzykolwiek jesteście ochrzczeni w Chrystusie — nie jest Żyd ani Greczyn, nie jest niewolnik ani wolny, nie jest mężczyzna ani niewiasta, albowiem wszyscy wy jedno jesteście w Chrystusie“ [3]. Całą głębię w tych słowach zawartą dopiero później zrozumiemy; tymczasem to tylko zaznaczamy, co tekst najjaśniej wypowiada: że ci, którzy są złączeni z Chrystusem, są też między sobą jedno, i dlatego różnice między nimi giną. — Jakto, różnice giną? Niewolnicy przecież zostają niewolnikami; nawet od panów-chrześcijan Kościół nie wymaga ich uwolnienia [4]; bogaci, nawet bohaterowie Chrystusowi, zostają bogatymi [5]. Chrystyanizm nie burzy (jak się często mówi) społecznej i ekonomicznej budowy starego świata; daje tylko impuls do jej odmiany na lepsze. Ale (na co się nie dość zwraca uwagi), zanim się ta ewolucya dziejowa dokona, chrystyanizm od razu daje swoim drugą wewnętrzną sferę życia, w której się ten ideał jedności w Chrystusie doskonale urzeczywistnia. Chrześcijanie, w epoce heroicznej, robią mi wrażenie aktorów, którzy na widowni rzymskiego świata, jakby na deskach, grają sumiennie nałożone sobie role panów, sług, urzędników, wodzów; ale świadomi są sztuczności i kłamu tych kostyumów, tej sceneryi, *figura hujus mundi*. A mają oprócz tego swoje prawdziwe rodzinne życie, przy domowem ognisku, gdzie są prawdziwie sobą. Otóż tam różnic niema; tam

---

[1] Koloss. 4, 1. Efez. 6, 9.
[2] *Dominis carnalibus*. Efez. 6, 5.
[3] Gal. 3, 27, 28.
[4] List do Filem.
[5] Akta wielu męczenników, Cecylii, Agnieszki i t. d.

zasada: *Jesteście jedno w Chrystusie,* pełni się literalnie; widać to we wszystkich funkcyach życia chrześcijańskiej gminy.

Najprzód jednoczą się wszyscy w modlitwie — a modlitwa, trzeba wiedzieć, ogromną część ich życia stanowi. Schodzą się nocami, bądź w katakumbach, bądź w domach służbie Bożej poświęconych; spędzają część nocy na psalmodyi, słuchaniu Pisma i nauk biskupa; nad ranem biorą udział w ofierze eucharystycznej i przyjmują Ciało Pańskie. Żadnych tam wyróżnień ni miejsc osobnych dla możniejszych niema [1]; modlitwa wszystkie serca zlewa. „Śpiewanie psalmów, pisze blizki owych czasów Chryzostom, łączy głosy starców i młodzieży, bogatych i ubogich, kobiet i mężczyzn, niewolników i wolnych... Ofiarujemy wspólną ofiarę; jeden nie jest czemś więcej od drugiego, jesteśmy wszyscy równi w godności, i jeden głos wznosi się z rozmaitych ust do Chrystusa“ [2].

Tuż obok wspólnej modlitwy występuje w pierwotnym Kościele prześliczna praktyka wspólnej uczty, zwanej a g a p ą tj. miłością. Pierwszą agapą była ostatnia Wieczerza, którą Chrystus z uczniami odprawił w wilię swej śmierci. Zwyczaj ten zaraz przyjął się w Kościele. Pisze już o nim wyraźnie św. Paweł w pierwszym Liście do Koryntyan [3]. O niej też zapewnie wspominają św. Piotr i św. Tadeusz w swoich Listach, gdzie już i sama nazwa ἀγάπαι się znajduje [4]. Uczta ta zdaje się być w czasach apostolskich bezpośrednio złączona z ofiarowaniem i pożywaniem Eucharystyi, podobnie jak przy ostatniej Wieczerzy. Jeszcze z początku II. wieku związek jest tak ścisły, że św.

---

[1] *Const. Apost.* II. 58.

[2] Chryzost., *De Lazaro hom.* 6, n. 2.

[3] 1. Cor. XI, 20—27.

[4] Jud. 12: οἱ ἐν ταῖς ἀγάπαις ὑμῶν σπιλάδες: ci heretycy są w agapach waszych szkopułami. — Tłumacz Wulgaty czytał αὐτῶν, zamiast ὑμῶν, ale to mniej odpowiada kontekstowi.

II Petr. 2, 13: ἐν ταῖς ἀγάπαις αὐτῶν συνευωχούμενοι ὑμῖν, tak widocznie czytała Wulgata, skoro tłumaczy: *in conviviis suis,* i tak mają najlepsze rękopisy (B), a nie ἐν ταῖς ἀπάταις, jak dziś przyjęty tekst grecki. Porówn. Vigouroux, *Diction. de la Bible, Agapes.*

Ignacy sam obrząd eucharystyczny agapą nazywa [1]; ale już opis Mszy św. w Apologii Justyna, w połowie tegoż wieku, świadczy o dokonanem oddzieleniu mszy od agapy. Ta ostatnia nie przestaje jednak być rzeczą świętą, w organicznym związku z życiem chrześcijańskiej gminy. Czasem, pod naciskiem prześladowcy, musi się odbywać o innej porze niż obchód Eucharystyi; innemi razy, z powodu ciasnoty kaplic, musi innego miejsca szukać. Pliniusz, legat Bitynii, donosi cesarzowi, że chrześcijanie odbywają nabożeństwo tylko rano, uczty zaś wskutek jego zakazu zaniechali [2]. W Rzymie znowu, gdzie często obchodzono *natales,* czyli rocznice śmierci męczenników, mszę św. odprawiając przy ich grobach, nie miano tam miejsca do odbywania agap; i dlatego może stawiano w pobliżu osobne *triclinia*, jakich okaz widzieć jeszcze można przy wejściu do krypty św. Domitylli [3]. — Okrom jednak tych szczególnych okoliczności, właściwa pora agapy była tuż po liturgii, a właściwe ich miejsce był tu sam kościół. „Wierni — mówi Chryzostom — po wspólnem wysłuchaniu kazania, po modlitwie i uczestniczeniu w Tajemnicach, nie rozchodzili się zaraz; ale bogatsi, przyniosłszy z domu potrawy, ugaszczali uboższych; i wszyscy razem, w samym kościele, używali jednego stołu i jednej uczty. W ten sposób, przez wspólność stołu i poszanowanie świętego miejsca, węzły miłości się zacieśniały, z wielką radością i pożytkiem wielkim“ [4].

Była to istotnie piękna rzecz ta agapa, ale też była czemś niezmiernie trudnem w onym czasie — i przez to była ogromną siłą jednoczącą. Pomijam, że ludzie przyzwyczajeni w pogaństwie do uczt graniczących z orgiami, łatwo zapomnieć mogli o granicach mierności i przyzwoitości. Nieporządki takie

---

[1] „Nie wolno bez biskupa chrzcić ani agapy czynić“. List do Smyrn 8.

[2] Prawdopodobnie przenieśli ją w sekrecie na inną porę i inne miejsce. Plin., *Epist.* l. x, n. 97.

[3] *Rome Souter.* 2. edit., p. 106.

[4] Chryz., *Homil. in Resurrect.* Niemniej pięknie mówi on o agapach w *Homil.* 27 in 1 Corinth.; także w *Hom.* 22 na tekst: *oportet haereses esse,* gdzie nazywa tę praktykę „przedziwnym zwyczajem“. — Piszą również o niej Teodoret, Ekumeniusz, Teofilakt, wszyscy trzej w Komentarzach in 1 Corinth. xi, 16, 17.

prędko uchylone być musiały, gdyż po Liście św. Pawła do Koryntyan, który ich dotyka, żadnej o nich wzmianki nie znajdujemy. Owszem Tertulian w swej Apologii śmiało podnosi umiarkowanie, skromność i powagę agap chrześcijańskich jako rzecz notoryczną[1]. Ale inne były większe trudności do pokonania. Przenieśmy się myślą w pierwszy wiek chrystyanizmu, i przypatrzmy się takiemu stołowi, przy którym jedzą: nawrócony do Chrystusa Żyd obok nawróconego poganina, patrycyusz rzymski, taki Korneliusz Pudens albo Aciliusz Glabrio, obok nędznego niewolnika. W Żydzie, który całe życie strzegł się jedzenia z „gojem“ i brzydził się „trefnemi“ potrawami, moc jednocząca chrystyanizmu ogromne odnosi zwycięstwo — a niemniejsze odnosi ona w patrycyuszu. Eucharystya, którą przed chwilą razem spożyli, daje im do tego zjednoczenia wewnętrzną moc łaski, ale uczta wspólna wprowadza to zjednoczenie w życie, w czyn. Uczta, przy której ludzie składają zwykle troski i wymuszone nastroje, są najwięcej sobą i poufalej z spółbiesiadnikami przestają, jest (gdzie się da w życie wprowadzić) szczególnie skutecznym środkiem do zbliżenia i zjednoczenia ludzi. — I to, sądzę, tłumaczy nam względnie krótkie trwanie zwyczaju tych uczt miłości. Już św. Chryzostom, jakeśmy widzieli, wspomina o nich, jak o pięknym zwyczaju dawno minionych czasów[2]. Otóż w początku chrystyanizmu agapa była potrzebną; ale wkrótce, gdy żydowszczyzna zanikła w łonie Kościoła i klasy społeczne dostatecznie się zbliżyły, potrzebną być przestała.

Nie dosyć, że niewolnicy modlą się i ucztują razem z wolnymi; oni też mają równy przystęp do godności kościelnych, stają się zwierzchnikami swoich panów, i to zwierzchnikami z niebywałą dotąd na świecie władzą, dosięgającą wiary i sumień. Wszystkie stopnie hierarchii kościelnej bez różnicy stoją

[1] Tertul. *Apolog.* 39.

[2] Kiedy jeszcze późniejsi pisarze, jak święty Augustyn, wspominają o agapach, to już jest mowa o czem innem: zwykle o stypach, które zamożniejsi chrześcijanie sprawiali ubogim, jako uczynek miłosierdzia na korzyść dusz swych krewnych.

otworem niewolnikom. Zbiegły niewolnik Karpofora zostaje sławnym papieżem, Kalikstem św. [1]. Między udzielającymi chrztu kapłanami i dyakonami wymienia św. Cyryl Aleksandryjski „niewolników i wolnych“ [2]. Pliniusz Młodszy pisze, że niewolnice wykonują u chrześcijan w Bitynii urzędy dyakonisek [3]. Niewolnice obok wolnych ślubują w kościele panieństwo i otrzymują poświęcony welon, według pięknego obrzędu, wymalowanego w katakumbie Pryscylli; jedne i drugie zowią się jednak *ancillae Dei* [4]. „Jeżeli twoje niewolnice chcą razem z tobą ślubować panieństwo, pisze jeden z Ojców do Rzymianki z wysokiego rodu, to nie postępuj względem nich po pańsku. Macie jednego Oblubieńca, śpiewacie razem psalmy, przyjmujecie razem Ciało Chrystusa: czemużby były między wami różnice?“ [5].

Różnice tak prędko i tak zupełnie się zacierały, że aż zawracało się nieraz biednym niewolnikom w głowie. Już św. Paweł upomina ich, żeby nie lekceważyli swych panów, dlatego że są przez nich traktowani jak bracia i kochani [6]. O to samo ich upominają św. Ignacy [7] i inni Ojcowie. Konstytucye Apostolskie, później św. Leon, św. Gelazy warują prawami, aby niewolnicy nie sięgali po godności kościelne w zamiarze wydostania się z niewoli [8]. Jeżeli do tego doszło, że niewolnicy potrzebowali

---

[1] O ciekawych przejściach życia Kaliksta — który był najprzód niewolnikiem, później zbiegiem, później skazanym do kopalń za wyznanie Chrystusa, po tem wszystkiem archidyakonem rzymskim i wreszcie papieżem — posiadamy wiele szczegółów, bo zacięty jego przeciwnik, autor Filozofumenów szeroko się o nim rozpisał w IX księdze, oskarżając go o nieuczciwość, herezyę i laksyzm. Ale pamięć jego zwycięsko obronioną została przez Döllingera, Armelliniego, Le Hir'a, wreszcie Rossiego, który prawie cały rocznik 1866 swego *Bolletino* tej sprawie poświęcił.

[2] Catech. XVII, 35.

[3] Epist. X, 17.

[4] De Rossi, *Bollet.* r. 1863. Świeżo wydał o tym przedmiocie wspaniałą monografię, prześlicznie ilustrowaną, ks. J. Wilpert, *Die Gottgeweihten Jungfrauen in den ersten Jahrhunderten der Kirche.* Freiburg im Br. 1892.

[5] Hieron. ad Eustoch. epist. 22.

[6] I ad Timoth. VI, 2.

[7] Epist. ad Policarp. 4.

[8] Allard, *Les esclaves chrétiens,* l. II, ch. 2. Tenże przytacza aż trzy synody orleańskie z V. wieku, regulujące święcenia niewolników na dya-

takich przestróg o skromności, to widać, że się nie czuli upośledzeni w Kościele.

Równi w życiu, byli oni tem bardziej równymi wobec śmierci. Śmierć ówczesnemu małemu światu chrześcijan, otoczonemu oceanem pogaństwa, przedstawiała się w postaci męczeństwa. Męczeństwo nie było jakimś wypadkiem wyjątkowym, z którym można się nie liczyć. Było ono na porządku dziennym. Raz po raz ogłaszano nowe edykta cesarskie; co chwila dochodziły wieści, że w Rzymie jakiś chciwy pretor, na prowincyi jakiś legat, pragnący popisać się gorliwością, skuł w kajdany grono Chrystusowych uczniów; biskupi pisali do nich listy pokrzepiające[1]; wierni zakradali się do ich więzień, niosąc im ulgi i pociechy. Każdy uwieńczony śmiercią męczennik był chlubą i przedmiotem kultu miejscowego kościoła, był też szczególnym zaszczytem swej rodziny. Nieraz zamożna rodzina, budując sobie w katakumbach familijny cmentarz, przyrządzała naprzód *arcosolium* dla przyszłego męczennika rodu[2]. Całe życie owego małego świata zaprzątnięte było myślą męczeństwa. Otóż, gdy się czyta akta autentyczne tych męczenników, uderza prześliczna rola, jaką między nimi grają niewolnicy. Widać wobec tej straszliwej śmierci, jak sami są doskonale zrehabilitowani i jak za takich wobec drugich uchodzą. Albo żadnej nie znać różnicy w opowiadaniu ich męczeństwa — albo znać jakiś czulszy podziw: bo niewolnik biedny mógłby być słabszym, podobnie jak kobieta! Tak, znany list Kościołów Lionu i Wienny z r. 177, opisując zwycięską walkę kilku ze swoich, szczególnie się rozczula nad Blandyną niewolnicą. Podobnie akta autobiograficzne św. Perpetuy z szczególnem zamiłowaniem opowiadają poród w więzieniu i śmierć na arenie niewolnicy Felicyty; o innych zaś męczennikach tak mówią, że dotąd uczeni się spierają, którzy między nimi byli wolnymi, a którzy niewolnikami. Przypomina się

---

konów, kapłanów i biskupów, w taki sposób, żeby prawa właścicieli były ile możności ocalone.

[1] Taką jest np. prześliczna *Exhortatio ad Martyres* św. Cypryana.

[2] Niektóre takie arcosolia familijne, które pozostały próżnemi, pokazują w katakumbie Kaliksta.

tu i ta kochana św. Potamiena, młodziuchna, wielkiej urody niewolnica, której właściciel chce prawem swoim nadużyć. Ona śmie się wzbraniać — bo jest chrześcijanką. Pan skarży ją przed prefektem Aleksandryi. Prefekt grozi wrzuceniem do kotła z kipiącą smołą, jeśli pana nie usłucha. Potamiena z płaczem prosi — o co? nie żeby ją uwolniono od tego kotła — ale żeby ją do niego z ubraniem wrzucono!... i otrzymuje [1]. — Gdzież się podział ów pewnik, głoszony zarówno przez filozofów jak przez prawników: że niewolnicy nie mają duszy, że są tylko *corpora?*

A jak się nareszcie przedstawia stosunek niewolników do wolnych po śmierci, na cmentarzach? Te kamienie grobowe, na których starzy chrześcijanie tak wymownie kreślili swą wiarę i uczucia, muszą zapewne i o tem uszlachetnieniu niewolników wymownemi słowy świadczyć... Tak i ja myślałem — i szukałem nagrobków niewolników. Przypuszczałem, że w sąsiedztwie grobów patrycyuszów chrześcijańskich znajdą się napisy grobowe ich służby — i chciałem to przeciwstawić obyczajowi możnych pogan, którzy budowali dla swych niewolników *columbaria* i pokrywali ich groby napisami o ich funkcyach służebnych — sami zaś dla siebie wznosili *mausolea* wspaniałe. — Otóż darmo szukałem i dopytywałem się: grobowych napisów chrześcijańskich niewolników znaleźć nie mogłem. Później dopiero dowiedziałem się, że już inni uczeńsi szukali przedemną, równie bezskutecznie — aż znaleźli klucz tego milczenia katakumb o niewolnictwie. „Od 30 lat badam katakumby, zeznaje Marangoni, a tylko jeden grób znalazłem z napisem *libertus* (wyzwoleniec)“ [2]. Podobnie świadczy Rossi [3]; podobnie Allard [4]. Le Blant pisze, że z wszystkich przechowanych napisów grobowych tylko dwa noszą wzmiankę *servus* albo *libertus* [5]. — Przyczyny nie potrzeba daleko szukać. Niewolnik chrześcijanin, jakeśmy widzieli, w życiu

---

[1] Palladius, *Hist. Laus.* 3.
[2] *Acta s. Victorini.*
[3] *Bollet.* 1866, p. 24.
[4] *Les escl. chrét.*, l. II, ch. 2.
[5] *Inscriptions chrét. de la Gaule,* t. I, p. 119.

wewnętrznem Kościoła nie był niewolnikiem — był nim tylko na teatrze świata — tem mniej mógł za takiego uchodzić po śmierci, gdy już dusza jego zapewnie królowała z Chrystusem. Dlatego, chociaż pełno jest w katakumbach niewolników, tak jak pełno ich było w Kościele żyjącym, chociaż, jak dodaje Rossi, żadnego w tym względzie przepisu Kościoła nie było, jednak delikatne uczucie chrześcijan nie pozwalało wzmianki czynić na ich epitafach o ich kondycyi.

W grobach starych chrześcijan znajdujemy to samo, cośmy widzieli we wszystkich sferach ich życia i w ich śmierci. Wypełnił się, jak mówiłem, ideał Pawłowy literalnie: Niema w łonie Kościoła niewolnika ani wolnego, niema Żyda ani Greczyna; wszyscy są jedno w Chrystusie Jezusie.

Ks. Maryan Morawski.

MŁODA POLSKA W POWIEŚCI I POEZYI.

(Ciąg dalszy).

V.

Wśród powodzi paradoksów mistrza Nietschego znajduje się i ten niepochlebny, że w poezyi *die Lüge sich heiligt und der Wille zur Täuschung das gute Gewissen zur Seite hat.* Gdybym tylko zgodził się na sąd powyższy, nie potrzebowałbym szukać źródła tego znękania, upadku i rozkładu, jakich ślady nosi na sobie dzisiejsza twórczość. Cóż najczęściej bywa przedmiotem nowej powieści? Nie pytania polityczne lub społeczne; nie dzieje lub obyczajowość zamierzchłej przeszłości; nie sprytne i zawikłane sytuacye; nie zagadnienia religijne, moralne, narodowościowe lub socyalne. Natomiast prawie bez podziału i współzawodnictwa, rozparł się w treści rozbiór zmysłowości osobnika, zwłaszcza zaś na wszystkie tony i sposoby omawiany wzajemny stosunek dwóch płci. Ale i tu niema mowy o zdrowiu. Wszelką miarę przechodzące przeczulenie nerwów, spowodowało rozstrój wyobraźni tak dalece, że pospolitość i normalność poczytuje się za gminność i prostactwo; szuka się tedy zarówno położeń cudacznie powykręcanych na wzór „mistycznych“ róż i „symbolicznych“ lilij, szuka się dalej osób, odpowiednio uczuciem i stanami duszy dostrojonych do niezwykłych położeń. Ludzie to są pobudliwi, wizyonerzy i chorzy. „Żądze budziły się w nim z gwałtownością niesłychaną. Dość było ciepłego podmuchu, woni, jakiegokolwiek zetknięcia, nic nieznaczącej drobnostki, aby zmienić

całą jego istotę, nabawić osłabienia, rozpalić twarz płomieniem, przyspieszyć tętno arteryi, wtrącić go w niepokój, blizki szału“ [1]. Ponieważ tacy ludzie mają przed sobą szerokie widnokręgi działania, ponieważ kierują się wyłącznie prawem: *suprema lex voluntas mea,* ponieważ „niema grzechu z wyjątkiem głupstwa“, ponieważ sumienie jest *feig* i *hinterlistig* — jak mówi Przybyszewski — przeto też w ocenie i przedstawieniu świata powieściowego dostrzega czytelnik monstrualnej zmiany w stosunku do dawnej powieści. Jeżeli dawna uważała upadek zamężnej kobiety za godny nagany i potępienia, nowa uważa go za rzecz zupełnie właściwą i nienaruszającą czci ludzkiej; jeżeli dawna — malując łotrzyków, oszustów, złodziei, kłamców, rzezimieszków na różnych stanowiskach życia — pozwalała im broić do czasu, wznosić się na pewien szczebel drabiny, ale potem strącała w hańbę i poniżenie — nowa zwykła pogrążać prawych i dzielnych, a wieść do chwały i hołdami otaczać bezecnych.

Oto redaktor Lynge, oszust, oszczerca, wielokrotny kłamca, wyzyskiwacz łatwowierności ludzkiej, szyderca poczciwych serc, wyżeł, wyśmienicie wietrzący zysk w sprawach, obliczonych na wywołanie szpetnego rozgłosu, szczęśliwy gracz na targowisku wszelkich słabostek i podłostek ludzkich, szalbierz polityczny — ten wspina się po karkach nędzy w górę i aż do końca nic go nie obali. Ale uczciwy i szlachetny aż do szpiku Hejbro, marzyciel i prawdomowca, popełnił jedną tylko lekkomyślność, nawet nie dla siebie, jeno z litości dla innych — i dostaje się za kratę, aby powiększyć chwałę Lynge'go [2].

Oto Jan des Esseintes, dziedzic wszystkich występków i zwyrodnień gasnącego rodu, znudzony, okaleczały moralnie wskutek różnorakiej rozpusty, przekonawszy się, że ludzie szubrawcy, szuka zapomnienia w obłędnej samotności, pełnej niesłychanych, a czasem występnych dziwactw. Spotyka sierotę, upaja go, wiedzie do lupanaru, powierza ladacznicom, aby zaprawić go w występkach i przygotować na zbrodniarza, wstrzy-

[1] „Tryumf śmierci“ d'Annunzia, str. 221, Jerzy Aurispa.
[2] Hamson Knut, „Redaktor Lynge“.

kując mu w krew upodobania nad możność i środki[1]. Oto Gilles de Rays, wielokrotny morderca[2], oto cały bez końca rząd bałwochwalców zmysłowości, czy są bohaterami powieści Barrèsa, Strindberga, Harborga czy d'Annunzia. Nikt ze współczesnych powieściopisarzy uwielbieniu zmysłów nie otworzył tak szeroko bramy w swych utworach, jak Gabryel d'Annunzio. Odczuwać szał życia, siły i młodości, położyć zuchwale i pożądliwie ręce na tem, co piękne, napinać wciąż swój łuk na świeżą zdobycz, której żądza łaknie, to raj, to rozkosz *(Canto nuovo)*. Którykolwiek z jego bohaterów — czy Tullio Hermil *(Innocente)*, czy Jerzy Aurispa *(Trionfo della morte)*, czy Andrzej Sperelli *(Il piacere)*, każdy jest rozkosznikiem, znającym nietylko słodycze, ale i zgniłość zmysłów. Są to niekiedy najosobliwsi ludzie. „On tak lubił religijne emblemata — rozczula się poeta opisując samobójcę Demetria Aurispę — muzykę kościelną, zapach kadzideł, krucyfiksy, hymny katolickiego Kościoła. Był to mistyk, asceta, skłonny do namiętnej kontemplacyi wewnętrznego życia; a l e n i e w i e r z y ł w B o g a“ (str. 197). W rozkładzie barw i świateł uderzający brak równowagi. Prawda, że nazywa swego bożka miłości „uciążliwym bogiem“, prawda, że rozkosz i fałsz okazują się niemal jednoznacznikami, prawda, że w cyklu *Animal triste (Intermezzo)* opisuje „straszliwą smętność nieczystego ciała“, a w dedykacyi *Il piacere* pragnie malować całą nędzę rozkoszy — i to prawda, że miłość nazywa „największym ze wszystkich ziemskich smutków“[3] — niemniej przeto w każdym olśniewającym barwami obrazie, w potoku zmysłowych malowideł tonie szczupłe uczciwe moralne dążenie, a cała widownia, wszystkie działające osoby, każda sytuacya pobudza, drażni, rozpłomienia zmysły ludzkie. Krańcowem wyrafinowaniem jest miłość czysta, bezcielesna. Bohaterowie marzą o niej. „Umarłą stalaby (Hipo-

[1] Huysmans, *A rebours*.

[2] Tenże: *Là bas*.

[3] „Miłość, ku której cała jego istota rwała się mimowolnie z nieprzepartą gwałtownością, ta miłość była ze wszystkich smutków tej ziemi najopłakańszym chyba, największym. I do śmierci może skazany był na ten smutek najwyższy“. („Tryumf śmierci“, str. 8).

lita) przedmiotem dla myśli, czystym idealizmem. Z istnienia zależnego i niedoskonałego wstąpiłaby w istnienie doskonałe i pewne, porzucając na zawsze słabe, okaleczałe i zbyteczne ciało. Zabić ją, by posiąść! Dlatego, kto szuka niezależnej miłości — nie ma innego sposobu“ [1].

Postaci czyste, jako kontrasty zepsucia? — Są, ale cóż znaczy podrzędna taka postać wobec rzeszy przeciwnych, wobec wyszukanych form zmysłowości, wobec kazirodczych uczuć w „Dziewicach skał“ lub „Martwym grodzie“?

Gorzej niż mężczyźni wychodzą kobiety na tym drobiazgowym rozbiorze zmysłowości. Nowa literatura zajmuje się kobietą więcej, niż kiedykolwiek dawniej, jest nią formalnie nasiąknięta, przepełniona. Nie dba jednak o kobietę-rodzicielkę, kobietę-matkę [2], lecz o zwyrodniałą, chorą pod względem zmysłowości. Nie zna też prawie kobiety-dziewicy, a jeżeli się nią i zajmuje, to czyni to sposobem epizodycznym, ukazując czytelnikowi doświadczenia *in anima vili*. Jak się ona zachowa wobec kultury, narzucanej przez mężczyznę-wychowawcę, *nb.* takiego typu, jaki widzieliśmy powyżej. „Kobieta — jest istotą, której duchowy rozkwit *(seelisches Zur-Blüte-kommen)*, najczęściej zawisł od mężczyzny, w którego ręce ona wpadnie — staje się wówczas woskiem w jego dłoni“ (Hansson). „W ciągu dwóch lat — mówi Hipolita [3] — on mnie przetworzył, zrobił ze mnie całkiem inną kobietę: dał mi nowe zmysły, nową duszę, nową inteligencyę. Jestem jego utworem. Może się mną upajać, jak jedną ze swych myśli“. Są to też zaprawdę istoty nikczemne, wsłuchujące się w fałsz i kłamstwo miłosnego szeptu i dające się tym szeptem doprowadzić aż do kresu. Najczęstszym bowiem okazem nowej literatury jest kobieta-zwierzę. Ale też występuje w niej niezwykła rozmaitość odcieni, skąd się wytwarza potrzeba szukania różnorodnych środków uwodzicielskich. Ko-

[1] „Tryumf śmierci“, str. 305.

[2] Przeczytałem setkę utworów powieściowych i poetycznych najnowszej literatury zagranicznej i spotkałem się tylko w *Vermächtniss* Schnitzlera z oceną znaczenia kobiety-matki.

[3] „Tryumf śmierci“, str. 53.

bieta o temperamencie gwałtownym, inna usposobienia powolnego, kobieta o wykształconych misternie upodobaniach estetycznych, albo znów marzycielska lub ambitna polityczka, kobieta aktorka, literatka, malarka, religijna, nieśmiała, sensytywna, kobieta owładnięta nieposkromionym erotyzmem, każdy z tych okazów w różnym wieku, każdy na różnym stopniu uduchowienia... Każda przeto z nich wymaga odmiennych zabiegów ze strony mężczyzny, który bywa w miarę potrzeby namiętnym i gorącym, drugi raz znów staje się zuchwałym i natrętnym, odważnym i dziarskim; kiedyindziej bywa omdlewającym i czułym, delikatnym i onieśmielonym: zwycięża nagłością rzutu, zręcznem podejściem, wdziękiem lub brutalnością. Zawsze jednak na dnie słów, wzroku, zabiegów, westchnień — jest nieczystość: ku niej dążą wszystkie ścieżyny, wszystkie dróżki i manowce bohaterów i bohaterek nowożytnej powieści. Dawniejszą Nanę lub Damę Kameliową wyparła współczesna wielbicielka piękna, ale jak tamte podobnie i ta marzy o rozkoszach zgoła nie duchowych, tylko że dekoracya Heleny Muti lub Klotyldy Marelle jest odmienną od dawnej. Rdzeń rzeczy pozostał ten sam zupełnie, kształt i moda się zmieniła.

Żeby to można było przynajmniej powiedzieć, że malując ją w podobny sposób, otoczy też tę postać powieść choćby odrobiną szacunku i ugrzecznienia. Gdzież tam! Tysiąc przykładów brutalnych zniewag i upośledzeń.

Jako nadzwyczaj rzadki wyjątek zjawi się w powieści nowej dusza kobieca uspokojona, silna, wyższa, dla której szały obce są, podobna np. do *Frau Esther Bruce* Oli Hanssona. Daleko częściej obok erotyzmu ulega ona różnym występkom, jak np. Agnieszka Lindemann (w sztuce Amalii Skram), która pozbawiona środków utrzymania, gdy już wszystko sprzedała lub zastawiła, kłamie i oszukuje, pożycza, choć wie że nie odda, w końcu kradnie. A gdy się o nią oświadcza dr. Berg — wyzna mu wprawdzie swą podłość, gdy zaś on jej rękę odrzuca — pragnie zostać choćby jego — utrzymanką... I taką to kobietę lubi nowożytny romans otaczać niezwyczajnym krajobrazem, kwiatami symbolicznemi, morzem o sinej głębi, lubi osnuwać ją blado-seledynowym mro-

kiem księżycowych nocy, i owiewać gazą cichej słodkiej melancholii. Oto słowo przyszłości. „Melancholia to łza, która nie wysycha, lecz wciąż śród źrenic lśni się pod uśmiechem słońca i nigdy do ust nie spływa, by je napoić słoną goryczą“ (Montegazza). Ona jest siostrą i towarzyszką niejasnych, mgławych przeczuć ludzkiego serca, tęsknot i poruszeń duszy, zagłębionej w dal mistyczną i spragnionej i żądnej bez miary. Czyż nie jest takim melancholikiem Maeterlinck, gdy w swych *Serres Chaudes* śpiewa:

Je pleure les lévres fanées,
Où les baisers ne sont pas nés
Et les désirs abandonnés
Sont les tristesses moissonées?

Czyż nie jest nim Arne Harborg w swych „Kwilących duszach“ *(Müde Seelen)* albo Jacobsen w „Maryi Grubbe“? Melancholików ród mnoży się z przerażającą szybkością w życiu i literaturze obcej, a za nią i naszej. „Kwiatów życia, z których ssą codzienny pokarm, umieją melancholicy wyszukiwać w miejscach, gdzie dotąd nikt nie przypuszczał ich istnienia, zażywają rozkoszy, ukrytych pod liśćmi ciemnemi, na suchych gałęziach, zagnieżdżonych w trosce i rozpaczy“ [1].

Stąd krok tylko do symbolizmu w powieści. „Pragnie on dotrzeć do najgłębszych pokładów natury ludzkiej, „do tych nieprzeniknionych głębi, z których ongi wzlatywały wizye zwierząt i opętanie dyabelskie“. Mieści się tam zapewne coś nieodgadnionego, „źródło nieprzepartych popędów i nieokiełznanych namiętności, wielkich poezyj i wspaniałych hymnów, bohater-

[1] „Młoda Skandynawia“ — Hanssona. O ile ten rozmelancholizowany kierunek jest przeciwny romantyzmowi, łatwo sprawdzić porównując powyższe słowa z programowym „Śpiewem poety“ B. Zaleskiego, zwłaszcza ze zwrotką drugą:

Lecę, gonię wspomnień marę,
Z kwiatów życia wieniec plotę:
Piękność, miłość, czucie, wiarę
Na ogniwo spajam złote.

Czara życia nie wciąż miodna.
Gdy cykutę spełnić trzeba,
Chrześcianin — spełnię do dna
I wesoło spojrzę w nieba.

stwa i zbrodni“ [1]. Śmiało sięga młoda powieść po tę zagadkę niedoli i szczęścia, po ten owoc wszelkich wiadomości. Czy w tym kierunku powstaną dzieła nie łudzącej tylko wartości — trudno dziś orzekać. Jako reakcya naturalizmu ma swoją podstawę bytu i znaczenie, zwłaszcza że nie pod jednym względem może on uchodzić za dalszą ewolucyę romantyczną. Czy pogłębi on treść twórczości poetycznej — to jeszcze dziś zakryte mgłą niepewności. Bądź co bądź wpłynie niezawodnie na urobienie, udoskonalenie formy dzieł sztuki, co się już i dziś daje niejednokrotnie zauważyć.

VI.

W trzeciej pieśni „Child Harolda“ mówi Bajron o Russie, że był to „chodzący ogień, apostoł utrapienia, czarem odział namiętność i z cierpienia czerpał porywającą wymowę; umiał zachwycać się waryacyą, na zdrożne czyny i myśli rzucał cudowne blaski słowami, olśniewającemi jak słoneczne promienie i wyciskającemi łzy gorące i rzęsiste“. Wszystko dosłownie stosuje się do spółczesnych wybitnych pisarzy.

Nie od dziś poznano moc słowa. W dawnych i najdawniejszych czasach silne słowo działało na serca ludzkie potężnie, a prorocy izraelscy, mowcy i tragicy greccy i rzymscy, Dante, Szekspir i Kalderon dostarczają niezbitego dowodu. Romantycy wybornie to pojmowali. Najlepsze, najdoskonalsze dzieło — mówił ojciec francuskich romantyków — ginie bez stylu, który jest darem nieba, którego nabyć nie można [2]. A nasz Słowacki czyż nie cudnie pisze:

Chodzi mi o to, aby język giętki
Powiedział wszystko, co pomyśli głowa,
A czasem był, jak piorun jasny, prędki,
A czasem smutny, jako pieśń stepowa,
A czasem jako skarga Nimfy miękki,
A czasem piękny, jak aniołów mowa...

---

[1] Ola Hansson, „Młoda Skandynawia“, 202.

[2] „L'ouvrage le mieux composé, rempli de mille perfections est mort, si le style manque. Le style ne s'apprend pas, c'est le don du ciel, c'est le talent“ (Chateaubriand, N. d'O. t. II, str. 177).

Pomiędzy romantykami a dzisiejszym kierunkiem w tym względzie nie rozerwała się ciągłość. Owszem zdaje się, że dzisiejsza proza powieściowa a zwłaszcza poezya udoskonaliły się stylistycznie i jeżeli zawsze styl uchodził za probierz talentu, to dziś w wyobrażeniu artystów, niekiedy i ogółu, stał się nim więcej, niż zawsze. Z przesadą zachwala się częstokroć doskonałość utworu, celującego zaletami obrazowania i stylu, co stanowi nawet o losie dzieła i pisarza. Takie przecenianie formy ze szkodą treści poczęło się w piśmiennictwie francuskiem jeszcze przed naturalistami. „Dla poety mają słowa same w sobie — bez względu na sens — piękność i wartość, jak dyamenty nieoszlifowane i nieujęte w naramienniki, kolie i pierścienie: one czarują znawcę, który przebiera w chroniącej je czarze". (Gautier, *Les grotesques).* Marzeniem pewnego rodzaju poetów francuskich było, nawet jest: wymazać ze słownika wyraz *indicible.* Nie pamiętam, kto powiedział, że dziś od frazesu żąda się muzyki, barwy, bodaj czy nie właściwego zapachu; tego samego żąda Zola od stylu, tego domaga się prawodawca realistów H. Taine. Wszyscy atoli jeszcze liczą się z treścią i sensem, wszyscy jeno żądają, aby słowo wiernie odzwierciadlało myśl. Dopiero dekadentyzm francuski uczynił styl i piękne słowo synonimem sztuki. „Styl dekadentyzmu — to nic innego, tylko do punktu szczytowej dojrzałości doprowadzona sztuka: zręczny, skomplikowany, uczony styl, pełen stopniowania i wymysłów; rozsadza on obręby języka, zapożycza się u słowników, chwyta farby ze wszystkich palet i dźwięki od wszystkich instrumentów, usiłuje odtworzyć najzawilsze myśli, najlotniejsze i zwiewne zarysy kształtów, a iżby je odtworzyć — wsłuchuje się w subtelne i tajemnicze szepty neurozy, wyławia osobliwe złudzenia idei, przeradzającej się w obłęd. Styl dekadentyzmu, to najwyższe słowo twórcze, obejmujące sobą wszystko" [1]. „Radzę wam — zwraca się do poetów inny prawodawca dekadentów[2] — czytajcie słowniki, encyklopedye, fachowe dzieła o rzemiosłach i specyalnej umiejętności, spisy ksią-

[1] Gautier, *Les fleurs du mal Beaudelaire'a*, str. 17.

[2] Th. de Banville, *Petit traité de la versification française,* 2 wyd. Paris 1882, str. 54.

garskie i licytacyjne, muzealne katalogi, słowem książki, które mogą powiększyć zasób słów". Stąd możemy wysnuć naukę, że w stylu nowożytnym chodzi o wyraz: im zupełniej, dzielniej, z większą przemocą słowo lub zestawienie słów wpaja w czytelnika lub słuchacza ideę artysty, tem utwór doskonalszy. Dawne słownictwo wobec zmiany treści ludzkiej duszy i wobec zmiany kierunków i dążeń powieści czy poezyi — nie wystarczało tem bardziej, że romantyzm w ostatniej fazie swego rozwoju zmanierował się. Realizm i naturalizm odrzucił kwiatki romantycznego stylu. Prostotą się napoić, romantycznemi zachwytami gardzić, pisać trzeźwo, poważnie i poprawnie. „Mówiono nie bez podstawy, że język to filozofia; możnaby powiedzieć, że język to nauka. Źle pisać znaczy być złym filozofem i kiepskim uczonym. Język to logika. Dobrze piszesz wówczas, gdy trafnem słowem odtwarzasz ideę lub wrażenie". „Staliśmy się teraz metodycznymi, zręcznymi wirtuozami, wygrywamy cudne waryacye na bardzo znane tematy. Śpiewamy *au clair de la lune*, ale z dołączeniem takich wyszukanych instrumentalnych punktów, że dawna melodya zmieniła się nie do poznania". Tak pisał Zola; a odeń do dziś niedaleka droga. Naturaliści przeszukali słowniki i katalogi, wydobyli mnóstwo słów z podręczników naukowych, nie pogardzali żargonem — i wciągnęli do literackiej wyrazowej spuścizny romantyków ogrom nowego materyału. Zola w swoich romansach poświęca wiele stronic opisom, dokonywanym ze znajomością naukowego słownictwa danych przedmiotów. Typowemi przykładami tego są opisy rynku warzywnego w *Le ventre de Paris*, ogrodów kwiatowych lub oranżeryj w *La faute de l'abbé Mouret*, którejkolwiek bitwy w *Debâcle* i w innych. Dawniejszy wielbiciel tego pisarza, dzisiejszy mistyk i symbolista Huysmans, w swej Katedrze na kilkudziesięciu stronach objaśnia mowę roślin i zwierząt na gzymsach i balustradach: trawa wyraża mądrość, kolczasta jeżyna złość i potwarz, bławatek — okrucieństwo, pokrzywa — odwagę i t. p. Oto np. opis rachitycznego dziecka u d'Annunzia[1]: „Szyja była długa i giętka, jak zwiędła łodyga;

[1] „Tryumf śmierci", str. 144.

klatka piersiowa, boki, łopatki niemal widzialne z poza skóry tworzyły wypukłość, którą uwidoczniał jeszcze cień, nagromadzony w częściach wklęsłych; kolana zgrubiałe zdały się węzłami; brzuch nieco wzdęty, wypukły około pępka, uwidoczniał jeszcze bardziej chudość kanciastą bioder“ i t. d. A jakże długi, potworny i straszliwie męczący jest w temże dziele opis miejsca odpustowego (od str. 338 do str. 389).

Takie nadużycie obrazowego stylu czyni go ciężkim, pozbawia go rozmaitości, a powieść dzisiejsza często przybiera pozory rozprawy naukowej. Jeśli powieściopisarz wnika w duszę ludzką, nie omieszka obciążyć stylu niezliczoną ilością wyrażeń, wziętych z podręczników fizyologii i psychologii, chociażby one dźwięczały obco dla uszu czytelnika. Oprócz tego w nowożytnym stylu da się zauważyć nadzwyczajne usiłowanie wynalezienia dobitnych, silnie dane pojęcie odtwarzających wyrażeń, albo też niezwykłych, chociażby niezrozumiałych. „Obejmował ją wzrokiem, jak płomieniem“; „zdawało się, że natrętne spojrzenie widzi przez suknię; „jego źrenice piją coś ze mnie“; był to głos obojętny, dwoisty(?), dwupłciowy(?), głos androginy“.

Nierzadko dzisiejszy poeta szermuje obrazami, jakich średniowieczny ascetyzm używał na odmalowanie żarliwych uczuć religijnych. Posługiwanie się pięknemi przenośniami litanii loretańskiej nawet w zastosowaniu do kobiet wątpliwej wartości moralnej przeszło prawie w manierę: wieża z kości słoniowej, róża złota, hostya w użyciu pospolitem, jako dekoracya zewnętrzna sceny, razi sprofanowaniem rzeczy drogich sercom katolickim. Gabinet sypialny Sporellego zdobią gobeliny z biblijnemi scenami, obrazy treści religijnej i t. p., a jest to gabinet, w którym odnosi swe zwycięstwo niejedna sprosna chętka bohatera. Ale pomiędzy językiem naturalistów i poetów dzisiejszych da się odczuć różnicę przedewszystkiem w samym tonie opisów i rozmów. Prostota i wierność były dawniej zaletami. Dziś do stylu wdziera się przesada. Pisarz unosi się na paluszki, udaje natchnionego, pstrzy swój styl frazesami usilnej a przesadnej i natężonej dyalektyki, sili się na coś niepospolitego.

Niesłychanie długie, nudne tyrady szumią w uszach czytelnika, jak powietrze, opuszczające nadęty balon. Na pytanie najzwyklejsze płynie z ust takiego pozera okres za okresem. „Który miesiąc pan woli — kwiecień czy wrzesień“? Rzecz, zdawałoby się, niepotrzebuje ani długiego namysłu ani długiej odpowiedzi. Tymczasem „pan“ wygłasza nastrzępioną pomysłami odpowiedź, zajmującą 17 wierszy druku 8-o [1].

Dalszą różnicę pomiędzy naturalistami a dzisiejszym kierunkiem stanowi odmienne pojmowanie i układanie sceneryi z życia i natury. Pierwsi malowali i malują świat otaczający zupełnie przedmiotowo, acz ściśle — w drobiazgach i z dokładnością. Czy to będzie Balzac, Stendhal, Garborg, Jacobsen czy Zola — wszyscy zbierają materyał i dokumenty ludzkie wprost z życia, studyują przyrodę i odtwarzają wiernie. Nowszy romans, pogłębiwszy dociekanie duszy ludzkiej, musi je osnuć odpowiednią atmosferą miejsca, czasu i okoliczności, aby czytelnik, któremu w zwykłych warunkach i w większości wypadków obce są opisywane męczarnie, zdołał jednak sztucznie dopiąć do nich swoje nerwy i wyobraźnię. Maeterlinck lubi tajemnicze pałace, księżycowe blaski, posępne i martwe ogrody, niejasne szmery i szelesty w naturze; d'Annunzio przenosi scenę akcyi w jednej powieści po kilka razy w różne miejsca, w jakieś ciche, ustronne miasteczka włoskie, gdzie ulice porasta trawa, gdzie ku obłokom pną się wysmukłe wieże gotyckich świątyń, albo nad brzeg skalisty morski, zalany masą palących promieni słońca, albo na arenę wyścigową, albo do sklepu starożytnika; Rodenbach niezmiernie lubi stare miasta belgijskie w rodzaju *Bruges-la-morte,* jeszcze nie tknięte skrzydłem kultury, senne, pełne gotyckich budowli, pokrytych czerwoną dachówką, o wązkich uliczkach i nieruchomej wodzie kanałów, po której majestatycznie pływają białe łabędzie; Huysmans rozmiłował się w średniowiecznych katedrach z ich symboliką, w potwornych kształtach dziwacznych ptaków, usadowionych na roślinności, pnącej się po kamiennych balkonach Notre-Dame, w dwugłowych wyżlicach o kocich ła-

[1] d'Annunzio, „Dziecko rozkoszy“, str. 206, 207.

pach, w zębatych jastrzębiach i temu podobnej menażeryi. Tak to najnowsi powieściopisarze urozmaicają scenerye, okazując zarówno sporo wyszukanego smaku, jak i znajomości różnorodnych przedmiotów.

W malowaniu i pojmowaniu natury także wielka zmiana. Romantyk wkładał w naturę swoją duszę, czynił ją powiernicą, czasem i lekarzem własnych swoich uczuć. Dość przeczytać „Panteizm“ Carducci'ego lub „Chmury“ Shelley'a, aby się o tem przekonać. „Step, koń, kozak, ciemność — stanowią jedną dziką duszę“; „morze szumi, wyje lub płacze“; dalekie poświsty wichru w dole są dla Leopardi'ego jednoznacznikiem życia („Nieskończoność)... Przybył naturalizm i zażądał od opisów przyrody przedmiotowości. Może on być artystyczny, ale powinien być objektywny: ma się zebrać i ułożyć wybitne znamiona pejzażu tak, aby się otrzymało wrażenie całości, podobne do wrażenia, jakie się osiąga przy bezpośredniem spostrzeganiu. Wybór krajobrazu pozostawia się poecie. Przytem okazuje się niekiedy wyjątkowe upodobanie lub wyjątkowa własność artysty. Jeden zaznacza cechy krajobrazu, które działały na zmysł wzroku, inny na zmysł słuchu, jeszcze inny na zmysł powonienia lub smaku. Największy z naturalistycznych powieściopisarzy okazuje dziwną pojętność w odczuwaniu woni, a natomiast słabo widzi barwy. „Powietrze lasu było napełnione zapachem ziemi, mchów, mięszaniną świeżości i zgnilizny, sokami drzewnemi i zbutwiałemi liśćmi“ [1]. Krajobraz w drodze do Marylu pełen kwiatów. „Od ich tchnienia mocnego, nieustającego powietrze zgęszcza się, przybiera pewien smak, staje się mdłe. A jeszcze tęższa woń kwitnących pomarańcz zdaje się słodzić to, czem się oddycha, robić z tego przysmak dla węchu“ [2]. Rozumie się, że ustępy podobne — charakterystyczne, nawet wyjątkowe — jako objawy zastosowania zmysłów powonienia i smaku do spostrzeżeń, nie celują wzorową przedmiotowością. Takich wzorów szukać wypada u poetów o mniejszym talencie, jak np. Strindberg lub

[1] Guy de Maupassant, *Bel-Ami*.
[2] Tenże, „Siostry Rondoli“.

Jacobsen. Przytaczam obrazek pierwszego [1]. „Łódź z pluskiem posuwała się naprzód pomiędzy skałami i kępami, poza któremi odzywały się kaczki, a na brzegu w sosnowym lesie tokowały cietrzewie. Tymczasem zapanowała zupełna ciemność: niebo zaiskrzyło się mnóstwem gwiazd. Łódź wypłynęła na pełne morze, gdzie widać było w oddali główną latarnię morską. Od czasu do czasu mijali białe morskie znaki lub pasy niestopniałego jeszcze śniegu, podobne do białego płótna, rozesłanego do bielenia — albo też przepływali obok wynurzającego się z pod czarnej wody pływaka jakiejś sieci rybackiej, zapuszczonej w głębinę. Senna mewa zerwała się z krzykiem ze skały i wrzaskiem swym wywołała śród świata mew i jaskółek ogłuszający alarm. W oddali pojawiły się czerwone i zielone oczy ogromnego parowca, poza którym snuł się szereg okrągłych światełek, rzucanych z okien kajut“. Czytelnik widzi, z jaką drobiazgową uwagą zestawia artysta szereg zjawisk, spływających się w jeden obraz. Podobnie Jacobsen w duńskiej literaturze, opisując las, wyszczególnia nietylko barwy, ale odcienie barw i wpływy jednej plamy świetlnej na drugą. Oprócz tego różne składniki lasu: drobne życie, tętniące pod płytką powierzchnią wątłych trawek, ukryte zioła, nieznane robactwo, ptaki i t. p.

Tak malował przyrodę naturalizm. W najnowszej powieści stosunek natury do człowieka przedstawia się podobnie, jak w romantycznej, tylko jeszcze skrajniej, jeszcze jaskrawiej, z użyciem obfitszego aparatu silnych obrazów. Przedmiotowość znikła. Artysta zabarwia krajobraz nader misternie potrzebną mu do głównego celu przymieszką subjektywizmu; dostrzega takie znamiona, jakie do uwydatnienia i wzbudzenia chwilowego nastroju są niezbędne. Jest to zatem celowość w opisach — tem doskonalsza i sztuczniejsza, im zręczniejszy opis, im mniej dostrzegalne są szwy, spajające całość. Oto uczucie miłości rodzi się dopiero w sercach dwojga młodych ludzi: poeta przenosi ich na wieś, nad brzeg morza, w czas wiosenny, w okres kwitnienia. „Ten gaj czarowny świecił kwiatem i owocem, wygięty

[1] „Mieszkańcy Hemsoe“.

w arkadę niby hipodrom głęboki i przeświecony słońcem, a w nim wdzięk morskiego wybrzeża — zda się — zebrany był cały. Pnie krzewów mącznicy, smukłe i strzelające w górę, różowe po większej części, inne znów żółtawe, dźwigały korony lśniącego liścia zielonego z wierzchu a modrawego spodem, nieruchomego w tem cichem powietrzu“ i t. d. Ale oto miłość wezbrała w sercach, rozżarzyła się posępnym ogniem namiętności i weszła w stadyum najsilniejszego fermentu. Powieściopisarz przenosi nas w pobliże Rzymu i maluje uczucia dwojga ludzi na tle krajobrazu podmiejskiej okolicy. „Krwawe opary, rozpłomieniające widnokrąg, rzucały odblaski krwi i złota na ciemne tonie, na niebie kłębiły się obłoki purpurowe w tych oparach, podobne do potwornych centaurów na wybuchającym wulkanie, a w tragicznem tem świetle grobowy jakiś orszak, złożony z szmat chmur czarnych sunął na samym krańcu horyzontu, u skraju wód, niby żałobne jakieś welony“ [1]. Istny obraz Böcklina: miłość i śmierć, gwałtowne, tchu i świadomości pozbawiające uniesienie i żałobny kir wiekuistego kosarza, a wszystko przesiąknięte gorącemi barwami krwi, złota, purpury. W obu obrazkach działa poeta nastrojowo za pomocą formy i treści. Krajobrazu w celu przygotowania uczucia i wyobraźni czytelnika do odpowiedniego zrozumienia stanów duszy w pierwszym razie Sporellego i Maryi Verres, w drugim — Sporellego i Heleny Muti. Dzieje się to w imię zasady, że „prawdziwa poezya, wypływająca z tajemniczych przełomów własnego ja, musi być poezyą Hamleta, światłocieniem Rembrandta, oraz przyrodą uduchowioną, wybitną, wszechwładną“ [2]. Uduchowienie przyrody posunęło się znacznie dalej, niż u romantyków. Krajobraz i ludzie u Oli Hanssona stanowią jeden organizm o pokrewnej wegetacyi, nawzajem odczuwający się i rozumiejący [3]. Belgijczyk Jerzy Rodenbach dostrzega w przyrodzie życia: ona — jak człowiek — cierpi, martwi się, choruje. Oto kona bukiet i słychać jęk umierającego kwiatka

[1] d'Annunzio, „Dziecię rozkoszy“, str. 160.
[2] Ola Hansson, „Młoda Skandynawia“, str. 194.
[3]) Zwłaszcza w noweli *Meervögel*.

(le cri d'une fleur qui décède). Oto mech okrywa wielkie kamienie, chwyta je ze wszech stron i zbliża ku starości i śmierci. Obłoki smętne są i tęsknią, owiewając smutkiem serce ludzkie. Rzeki i strumienie czują miłosny pociąg do błękitów nieba, a woda kanałów jest dla cierpiącego człowieka *une soeur de charité*. Przeróżne zjawiska przyrody stają się dla dzisiejszego poety symbolami jego duchowych nastrojów, jego tęsknot i bolów życia. „Fala deszczu — mówi poeta — zalała szyby. Widać było, jak małe drzewko się porusza, niemal krąg zataczając, jakby pod siłą ręki, która chciałaby je wyrwać z korzeniem. Przez kilka minut przypatrywali się oboje (Jerzy i Hipolita) temu gwałtownemu wstrząśnieniu, które w tem bladem świetle, w nagiej pustce, w nieruchomości wsi przybierało dziwny pozór świadomego życia. Hipolita doznawała niemal litości. Cierpienie drzewa przywodziło im na myśl własną boleść“ [1]. Podobnem pojmowaniem przyrody i jej stosunku do człowieka zbliża się dzisiejszy kierunek do romantyków, stanowiąc — jak i pod wielu innemi względami — dalszą ewolucyę romantyzmu.

Czy idąc w tym kierunku nowa poezya stanie się „wybitną i wszechwładną“ — okaże przyszłość. Dziś można tylko powiedzieć, że nad powieścią i poezyą najnowszą pierwiastek wyobraźni i uczucia rozszerzył swą wszechwładzę z większą przemocą, niż to się działo kiedykolwiek z wyjątkiem chyba średniowiecza.

(C. d. n).

Antoni Muzanowski.

---

[1] d'Annunzio, „Tryumf śmierci“, str. 43. Gdzieindziej tenże poeta wkłada w rozmyślania swego bohatera takie słowa: Niema żadnego związku między nami a przyrodą. Mamy tylko niedokładne pojęcie jej zewnętrznych kształtów. Niepodobna, aby człowiek wchodził w związek z przedmiotami. Człowiek ma władzę wlewania w rzeczy własnej treści, ale nie odbiera w zamian od nich nic nigdy. Morze nie będzie miało dlań nigdy zrozumiałego języka. Ziemia nie odsłoni mu nigdy swych tajemnic. Człowiek może czuć dokładnie całą krew, krążącą w fibrach drzewa, ale drzewo nigdy nie użyczy mu żadnej kropli swych soków życiowych (str. 210).

Zasadniczy punkt wyjścia w badaniu filozoficznem.

(Dokończenie).

VI.

In diesem Sinne ist die Erkenntniss der allgemeinen Gültigkeit des Satzes vom Grunde der Geburtsmoment der Vernunft selber.

Wundt.

Do najczęstszych wyrazów, jakich dziecko w samych początkach psychicznego rozwoju swego używa, należy niezaprzeczenie po „mama“ i „tato“ wyraz „dlaczego“. Tym pytajnikiem dziecko posługuje się na każdym kroku, to „dlaczego“ stawia każdemu przy każdem po raz pierwszy spostrzeżonem zjawisku, po każdem zdziwieniu lub zastanowieniu. A owe ogromnie dziwne, dziwnie nieraz dla osób starszych niewytłumaczone postępowania dziecka z zabawkami, z wszystkiem, co mu się tylko pod rękę nawinie, — o czem matki kochające mogłyby nam opowiadać bez końca — to, jak najmłodsza z latorośli psychologicznych, psychologia dziecka, coraz jaśniej i pewniej wykazuje, doświadczenia w prawdziwem tego słowa znaczeniu, to eksperymenty w zakresie dziecięcym naukowe, co mają zmusić lalkę, konika, łyżkę, świecidełko do odpowiedzi na jakieś „dlaczego“. — Kiedy zaś wyjdzie z lat dziecięcych, czy zaprzestaje niepokoić siebie i innych tem nieustannem „dlaczego“? Gdzież tam! używa go równie często, jak przedtem. Wprawdzie pewne wadliwe metody pedagogiczne, zmierzając nieraz może bezwiednie do wykreślenia tego wyrazu ze słownika uczniów, przygłuszają nieco

głośniejsze odzywanie się tego pytajnika, atoli któryż nauczyciel nie przekonał się dosadnie, że każdy uczeń chętnie stawia wielorakie „dlaczego“, że każdy z prawdziwem zadowoleniem wewnętrznem i wdzięcznością przyjmuje odpowiedź „dlatego że“. — Cóż znowu najgwałtowniej i najuporczywiej nurtuje w psychicznych głębiach młodzieńca podczas jego przełomowej epoki, jeśli nie liczne, ciężko niepokojące „dlaczego“, z przejmującym nieraz krzykiem podnoszące się z dna jaźni jego? Co wyrabia prawdziwą męzkość charakteru u człowieka w pełni sił i wieku, jeśli nie ciągłe budzenie się pytania „dlaczego“ i czujnej, rozumnej odpowiedzi „dlatego że“? A starzec, co chwiejnym krokiem posuwa się do kurhanu cmentarnego, i którego wzrok gubi się już w ciemnej grobu przepaści, czyż zapomniał wskutek osłabienia pamięci na owo pytanie? Czy chłód grobowy zamroził mu je w sercu? czy nadciągające z innego świata obłoczki przesłoniły mu je na korze mózgowej? Ależ nad progiem świadomości jego nigdy jeszcze w życiu nie zarysowało się wyraźnie tyle, tak brzemiennych, tak doniosłych „dlaczego“, jak właśnie w tej chwili!

Gdziekolwiek i jakikolwiek jest człowiek, byle tylko w stanie był porozumiewać się z drugimi, rozmawiać z sobą samym — wszędzie on wielu zjawiskom dziwić się będzie, zawsze od pytań rozlicznych rozpoczynać będzie: a z wszystkich pytań czy sobie czy innym postawionych najczęstsze, najważniejsze jest pytanie „dlaczego“.

Czy nie możnaby tak samo postawić jakiegoś „dlaczego“, jakiegoś pytania przynajmniej o samem tem powszechnem „dlaczego“?

Co oznacza, co zawiera w sobie, co suponuje to „dlaczego“? Dlaczego wyraz ten powraca tak wartkim kołowrotkiem na usta, na myśl każdego człowieka, dlaczego w żadnym języku, w żadnej jaźni ludzkiej nie brak tego „dlaczego“?

Pytanie „dlaczego“ może się odnosić do bardzo rozmaitych rzeczy. Raz chodzi nam w niem o przyczynę sprawczą uważanego zjawiska, drugim razem o konieczne warunki jego, kiedy indziej o prawa, podług których zjawisko się odbywa, to znowu o wewnętrzną naturę zjawiska lub o celowość i znaczenie jego w ca-

łości wszechświata; w innych przypadkach jeszcze, stawiając „dlaczego“, chcemy zbadać wewnętrzne sprężyny i motywa czynności psychicznych, albo też idzie nam o najrozmaitsze uzasadnienia prawdziwości i pewności w aktach poznawczych. Zawsze zaś każde takie „dlaczego“ przypuszcza jednocześnie jako rzecz pewną, że tego rodzaju przyczyny, warunki, prawa, motywa, uzasadnienia mają w rzeczywistości miejsce, chociażby nawet na razie wykryć się nie dały.

Skąd się to jednak bierze, że wszystkie języki, a więc wszyscy ludzie, oznaczają i wyrażają tak bardzo różnorodne rzeczy jednem i tem samem słówkiem „dlaczego“? Czy charakterystyczny rys ten symboliki językowej nie daje do zrozumienia, że umysł ludzki upatruje na spodzie tych wszystkich różnorodności coś spólnego i ogólnego, pod co wszystko bez wyjątku da się podciągnąć bez trudności i naciąganej sztuczności? Co to jest zatem, co tkwi w samym rdzeniu i trzonie istotnym każdego „dlaczego“?

W każdem pytaniu „dlaczego“ chodzi nam przedewszystkiem o jedną rzecz, o odpowiedź „dlatego że“. Każda zaś odpowiedź „dlatego że“ oznacza zawsze racyę tego, o co się pytamy.

A zatem w każdem „dlaczego“ chodzi nam o racyę danej rzeczy, o to, przez co ta rzecz staje się sama w sobie możliwą, przez co możliwość jej zostaje urzeczywistnioną, przez co i możliwość jej i rzeczywistość staje się dla nas zrozumiałą. Każde zatem „dlaczego“ zawiera w sobie t. zw. zasadę racyi tj. prawdę ogólną, orzekającą, że każda rzecz, że wszelki byt ma racyę. Żadne „dlaczego“ nie miałoby najmniejszego sensu bez tej zasady, bez niej nawet nie byłoby wogóle możliwe; każde bowiem opiera się najwidoczniej na niej, każde jest szczególnem tylko zastósowaniem tego ogólnego prawa, jest powołaniem się na powszechność i pewność niezawodną tej zasady. Owszem samo „dlaczego“, to najlepszy, najdosadniejszy i najodpowiedniejszy wyraz zewnętrzny tej zasady. Krócej a jaśniej od „dlaczego“ trudno naprawdę sformułować zasadę racyi.

Przypatrzmy się nieco dokładniej tej zasadzie racyi. Najpierw atoli weźmy ją na uwagę tak, jak ją powszechny zdrowy

rozum ludzki pojmuje, a więc, jak się nią zawsze i wszędzie posługują wszyscy ludzie i filozofowie i niefilozofowie, czyli jako zasadę ogólnego „dlaczego".

Co mówi ta zasada „dlaczego", w ten prosty sposób pojęta?

Niema żadnej rzeczy na świecie, niema zjawiska, niema najdrobniejszej modyfikacyi w czemkolwiek, niema czynu psychicznego, niema zależności lub związku między pierwiastkami, ciałami, systemami wszechświata, między wyobrażeniami, pojęciami, sądami, wnioskami — niema nic takiego, o czembyśmy nie mogli postawić pytania „dlaczego". Więc zasada „dlaczego" suponuje, że każda rzecz, każda zmiana, każda czynność, każdy związek i stosunek ma swoją racyę; innemi słowy, że wszelki byt, jakikolwiek on jest, o ile tylko jest, ma racyę. — Stawiając pytanie „dlaczego", nie twierdzimy wcale, jakobyśmy racyę samej rzeczy widzieli; owszem, dlatego właśnie stawiamy pytanie, że racyi tej nie widzimy, a chcielibyśmy ją znaleźć i poznać; tem samem jednak uważamy za rzecz niewątpliwą i przez się zrozumiałą, że dana rzecz musi mieć racyę. Zasada zatem „dlaczego" oznacza tylko, że wszelki byt ma i mieć musi racyę swoją, samej atoli racyi nie podaje, nie dotyka nawet jej wcale. — Przez każde „dlaczego" pragnęlibyśmy dojść do poznania jakiejś racyi, do zrozumienia jakiejś rzeczy; nieraz atoli przekonywamy się w ciągu samego poszukiwania aż nadto dobrze, że w danych warunkach i obecnym stanie kwestyi nie zdołamy uchwycić racyi, o którą nam chodzi, a niekiedy nawet zupełnie jasno widzimy, że poznanie racyi w danym przypadku przewyższa siły umysłowości ludzkiej, przekracza granice skończonego rozumu naszego — jednakowoż i w tych razach nie cofamy bynajmniej raz już postawionego „dlaczego", i wtenczas ani na chwilę nie przypuszczamy, żeby coś było możliwe bez racyi. Więc zasada racyi nie mówi, jakoby racya każdego bytu musiała być koniecznie dostępną dla naszego rozumu, ona orzeka tylko, że wszelki byt ma niewątpliwie swoją racyę, zrozumiałą dla jakiejś przynajmniej, wyższej od naszej i doskonalszej inteligencyi.

Taki, zdaje się nam, jest najprostszy sens samego „dlaczego" i jego zasady.

Jakie jest znaczenie i doniosłość tej zasady, w taki sposób wziętej na uwagę?

Jest to przedewszystkiem jedna z najrdzenniej podstawowych zasad. Fundamentalność ta objawia się dosadnie w całem życiu naszem. Bez tej zasady całe życie ludzkie byłoby nonsensem, byłoby wprost niemożliwe.

Niemożliweby było życie wogóle [1]. W świecie bez zasady racyi, a więc w świecie bez praw wszelkich, ślepemu pozostawionym trafowi, wykonywając te same czynności i w tych samych okolicznościach i warunkach, nie moglibyśmy wywołać tych samych skutków, nie mogłoby nawet być mowy o skutkach wogóle; bezład powszechny porwałby nas niezawodnie w wir swój szalony, a życie nasze narażoneby było na każdym kroku na szwank bez racyi. Najczystsza i najlepsza woda, orzeźwiająca mię i podtrzymująca jędrność organizmu mego, mogłaby w jednej chwili, nie zmieniając się wcale, przeciąć wszystkie nici mego żywota na sposób kurary lub kwasu pruskiego; najwybitniejszy pierwiastek życiowy, tlen, mógłby równie dobrze rozpocząć nagle działać na mój ustrój wewnętrzny, jak chlor lub tlenek węgla. A przed niczem uchronić się, niczemu zaradzić w tej szalonej zawiei nie byłoby można, bo żadnej katastrofy ni źródła jej przewidzieć, żadnego niepodejrzanego punktu oparcia znaleźć niktby nie był w stanie. Jakżeby więc można w tego rodzaju środowisku wykonywać prawidłowo chociażby tylko wegetacyjne czynności? w jaki sposób na pobudzenia takiego świata mogłyby odpowiednio reagować nasze zmysły zewnętrzne? kiedy wszystkiego tu i niczego zewsząd spodziewać się można, kiedy wszystko tu z każdej strony możliwe jest i niemożliwe jednocześnie!

Jeszcze dosadniej ta podstawowość prawa racyi objawia się w życiu praktycznem społecznem. Coby to było za potworne indywiduum społeczne, któreby praktycznie tej zasady naprawdę uznawać nie chciało! Ktoby je mógł choć w części zrozumieć,

---

[1] Cfr. A. Fouillée, *Les origines de notre structure intellectuelle et cérébrale. Revue phil.* T. XXXII, p. 576 sq.

z kim ono samo porozumiećby się mogło? złodziej i mężobójca, jak dobrze uważa Fouillée, byłby stokroć bardziej socyalną jednostką, niż tego rodzaju istota!

A mowa sama, owo konieczne i znakomite więzadło i spoidło między ludźmi, czyż nie jest możliwa jedynie na podstawie zasady niesprzeczności i racyi? Czyż mowa bez tych zasad nie byłaby prostym, niedorzecznym psytacyzmem, bezmyślnem brzęczeniem wstęg głosowych i fal powietrznych?

Cóż dopiero mówić o życiu umysłowem człowieka! Czem byłaby czyjakolwiek inteligencya bez zasady racyi? Byłaby szałem, zawrotem, igraszką przykrą, nieprzerwaną ułudą, wszystkiem — jeno nie inteligencyą. Człowiek każdy to zwierzę nieustannie przyczyn szukające, *das rastlose Ursachenthier;* on zawsze i wszędzie pyta się o przyczyny i racye, czyli zawsze i wszędzie przyjmuje za pewnik niewzruszony zasadę racyi i staje na niej bez wahania, niezachwianie. Stąd możnaby słusznie do pewnego stopnia nazwać z Fouillée prawo racyi instynktem naszego rozumu. To nas prowadzi do uświadomienia sobie fundamentalności naszej zasady w życiu ściśle naukowem [1].

Już Arystoteles dobrze określił naukę jako znajomość rzeczy z przyczyn, a starzy zwykli byli mawiać, że *sapere* znaczy *cognoscere causas.* W istocie, którąkolwiek stronę jakiejkolwiek nauki, miana tego godnej, weźmiemy na uwagę, przekonamy się bez trudności, że wszystko ostatecznie opiera się na zasadzie racyi.

Sam najpierw punkt wyjścia każdej nauki jest ściśle związany z zasadą racyi. Bez niej żadna nauka nie byłaby w stanie postawić kroku pierwszego, najprostszej kwestyi swojej; każde bowiem pytanie naukowe jest wyraźnem twierdzeniem prawa racyi. W ten sposób nasza zasada jest głównym bodźcem i pierwszym inicyatorem myśli naukowej, a każda nauka w samem źródle swojem, w swoich początkach i zawiązkach spoczywa na tej zasadzie. „Nauka polega na szukaniu racyi bytu: trzeba zatem

---

[1] Krótko i jasno znaczenie zasady racyi w naukach zwłaszcza doświadczalnych przedstawia E. Rabier (*Leçons de philosophie* I[3]. *Psychologie* p. 367 sqq.), za którym na tem miejscu w wielkiej części idziemy.

te racye już naprzód przewidzieć, odgadnąć, stwierdzić. Otóż w jaki sposób stwierdzamy te racye? Na mocy zasady racyi. „Ażeby uprawiać naukę, powiedział Cl. Bernard, trzeba naprzód wierzyć w naukę; wierzyć zaś w naukę nie oznacza nic innego, jak wierzyć, że nic się nie dzieje bez określonych racyj!“ Obal zasadę, że wszystko ma racyę, a kogo znajdziesz, coby się zabrał do szukania racyj, o których jest przekonany, że ich niema wcale“ [1].

Zasada racyi to nietylko podstawowy bodziec nauki, to jednocześnie najważniejsza dźwignia badań naukowych. Każda nauka stanowi pewien system sądów prawdziwych i prawdopodobnych, a najważniejszą rzeczą w nauce jest uzasadnienie czyli dowodzenie tych sądów. Zazwyczaj wyróżniamy dwa główne rodzaje dowodzenia: dedukcyjne i indukcyjne. Jednego i drugiego walną podwaliną jest zasada racyi.

Dowodzenie dedukcyjne podaje racyę pewnej prawdy szczegółowej lub mniej ogólnej zapomocą innej prawdy ogólniejszej, a tem samem i zawiera w sobie zasadę racyi i wyraża ją na sobie dobitnie. Jednakowoż prawo racyi podobnie, jak zasada tożsamości i niesprzeczności, nie jest w tym przypadku bezpośrednią racyą siły i konieczności samej konkluzyi, to tylko ostateczny fundament wszelkiej dedukcyi.

Nieco inaczej rzecz się ma z dowodzeniem indukcyjnem, które na podstawie niewielu zazwyczaj faktów szczegółowych dochodzi w wyniku do praw ogólnych i prawd koniecznych. Mamy zaś na myśli indukcyę właściwą, a więc niezupełną. Otóż zasada racyi jest dla indukcyi nietylko ostatecznym fundamentem w taki sposób, co zasada tożsamości i niesprzeczności, ale nadto jest bezpośredniem źródłem, z którego indukcya czerpie siłę i przekonywającą moc swoją, jest racyą, na której prawda i pewność indukcyi formalnie się opiera. Bez tej podwaliny nie możnaby nigdy ani z największej ilości faktów szczegółowych wysnuć sądu lub prawa iście ogólnego i powszechnego, bez tej podstawowej ostoi żadna indukcya nie mogłaby stanowić wy-

[1] Rabier l. c.

starczającego prawdziwie dowodu. I zdaje się nam, że na tym punkcie co do rzeczy samej niema dwu zdań między myślicielami najbardziej nawet sobie przeciwnych sekt filozoficznych. I neoscholastycy i neokantyści, nawet pozytywiści i assocyacyoniści w dziwnie harmonijnej występują tu zgodzie. Inna rzecz, że pozytywiści i assocyacyoniści wpadają zazwyczaj na tem miejscu w błędne kółko i popełniają grubą *petitionem principii* [1].

A nietylko indukcya wogóle jest ściśle związana z zasadą racyi; każde jej zastósowanie szczegółowe, każda z tak zwanych metod indukcyjnych, każde doświadczenie naukowe: czy to w dziedzinie fizyki i chemii, czy w dziedzinie anatomii i morfologii, czy też w dziedzinie biologii i fizyologii, opiera się najwidoczniej na tej zasadzie. Czemże bowiem jest jakiekolwiek doświadczenie naukowe, jeśli nie postawieniem jakiegoś „dlaczego“ samej przyrodzie? czem najrozmaitsze metody doświadczalne i naukowe, jeśli nie zmuszeniem samej przyrody do odpowiedzi „dlatego że“ na postawione pytanie „dlaczego“? Ważność zatem, ostateczna i najwłaściwsza legitymacya każdego doświadczenia, każdej metody badania naukowego, zawisła rdzennie od zasady racyi. Bez tej sprężyny zasadniczej ani na krok w nauce ruszyć się nie można, bez tej podstawowej i powszechnej zasady każdy sąd syntetyczny a ogólny jest sądem nieuzasadnionym, więc logicznie nierozumnym a psychologicznie niemożliwym.

To też nauki doświadczalne nawet w ostatecznych wynikach swoich nie mogą się jeszcze obejść bez silnego oparcia na zasadzie racyi. Są to bowiem najczęściej sądy syntetyczne a jednak jednocześnie stosunki i prawa ogólne i powszechne.

A zatem „bez zasady racyi lub jej pochodnych nauka doświadczalna nie jest w stanie ani postawić swych pytań, ani

---

[1] Cfr. J. Lachelier, *Du fondement de l'induction*. 3-me éd. Paris, Alcan 1898. — T. Pesch, *Institutiones logicales*. I, n. 369. — Sigwart, *Logik*. II², § 93.— J. S. Mill, *Système de logique*. Trad. par. L. Peisse. I, l. 3, c. 3 sq. — Taine, *De l'intelligence*. II⁸, p. 312, 461. — Rabier, *Psychologie*. l. c., *Logique*, c. 9, § 3. — A. Bain, *Logika*. Warszawa 1878. — W. Schuppe, *Grundriss der Erkenntnisstheorie u. Logik*. Berlin 1894.

dostarczyć właściwych sobie dowodów, ani wyciągnąć swoich konkluzyj“ [1].

Rozumie się zaś samo przez się, że wszystko, co się odnosi do nauki wogóle, da się zastósować i do filozofii, czyli że zasada racyi jest i dla filozofii w ścisłem tego słowa znaczeniu prawem fundamentalnem. A podstawowość ta prawa racyi objawia się nawet w filozofii o tyle rdzenniej i wybitniej, o ile królowa i pani wszech nauk przewyższa nauki specyalne i góruje nad niemi. Prócz tego filozofia z natury swej jest ze wszystkich nauk najwięcej refleksyjną i krytyczną, więc i dlatego zasada racyi występować w niej będzie na każdym kroku dosadniej i widoczniej. Wszak jeśli która nauka, to filozofia nie chce, nie powinna, nie może niczego przyjąć bez racyi! — To też praktycznie wszelka filozofia, każdy jej odłam i każda jej sekta, przyjmuje zasadę racyi za niewzruszony punkt oparcia swego, i na nim dopiero stanąwszy niezachwianie, śmiałym i pewnym wzrokiem obejmuje swe dalekonośne widnokręgi. I chociażbyśmy nawet wzięli na uwagę owe szkoły, naprawdę pseudofilozoficzne, które z filozofią właściwą nic wspólnego nie mają, bo są zaprzeczeniem i całkowitą zagładą wszelkiej myśli filozoficznej, jeszcze i tam znaleźlibyśmy zasadę racyi w gruncie rzeczy nietkniętą i nienaruszoną. Któryż sceptyk bowiem, nawet powszechny i rzeczywisty, jeśli możliwy jest taki, potrafiłby seryo powiedzieć sobie lub komu innemu, że wątpi bez racyi? Który krytycysta sceptyczny potrafi zabrać się do swej termitowej roboty bez zasady „dlaczego“? Niewątpliwa właśnie pewność zasady „dlaczego“ jest po części i źródłem i uzasadnieniem i sceptycyzmu wszelkiego i wyłącznego krytycyzmu skrajnego. Sceptyk powątpiewa o wszystkiem, krytycysta podkopuje i nadwereża wszystko dlatego tylko, że nie chce, że nie może praktycznie zastósować wątpienia czy nadwerężenia swego do zasady racyi; innemi słowy samo wątpienie o wszystkiem, kwestyonowanie wszystkiego jest możliwe tylko na zasadzie racyi, jest tej zasady najlepszem twierdzeniem.

---

[1] Rabier, *Psychologie*, p. 368.

A więc zasada „dlaczego“ jest nietylko dźwignią, sprężyną i podwaliną filozofii wogóle, ale nawet jest dźwignią, sprężyną i założeniem koniecznem wszelkiej skepsis i krytycyzmu każdego.

Tak się przedstawia fundamentalność naszej zasady, na chłopski rozum pojętej, w praktycznem życiu: i codziennem i naukowem i filozoficznem. — Żaden człowiek, żaden uczony, żaden filozof praktycznie tej zasady nie zaprzecza, owszem na każdym kroku stwierdza ją i suponuje. Tem zaś samem psychologiczna powszechność naszej zasady czyli praktyczne uznanie i przyjęcie jej za podstawowe założenie przez wszystkich ludzi nie ulega najmniejszej wątpliwości. Niewątpliwą również rzeczą jest, że podług tego praktycznego i powszechnego uznania, zasada racyi ma znaczenie nie czysto podmiotowe, ale przedmiotowe, ontologiczne; że jest podobnie, jak zasada tożsamości i niesprzeczności, zasadą bytu, a tem samem nie jest zacieśniona do pewnej tylko kategoryi zjawisk, ale odnosi się do całego zakresu wszechbytu, że jest zatem zasadą logicznie powszechną. A tego powszechnego i koniecznego przekonania i sceptyk żaden zaprzeczyć nie zdoła, zaprzeczyć naprawdę nawet nie próbuje.

Cóż wobec tego faktu niewątpliwego ma począć filozof? I najgłębszy i najoderwańszy myśliciel jest człowiekiem; i filozof nie może zedrzeć ze siebie skóry ludzkiej, nie może przedewszystkiem zabić w sobie natury ludzkiej; — musi zatem, chcąc nie chcąc, przynajmniej jak długo pozostaje prawdziwym człowiekiem, podzielać przekonanie o zasadzie „dlaczego“ z innymi ludźmi, musi rozpocząć badanie swe od jakiegoś „dlaczego“, musi zasadę racyi przyjąć za nieodzowną podwalinę swoją i na niej praktycznie oprzeć się musi. Owszem, jakeśmy to już widzieli, mus ten i konieczność są u filozofa potężniejsze i natarczywsze, niż u innych ludzi. Tem samem atoli, że filozof zasadę racyi przyjąć musi, nie może jej samej przyjąć bez racyi. Zasada racyi bowiem, orzekając, że wszystko ma racyę, domaga się ściśle od każdego umysłu, a od filozofa w pierwszym rzędzie, aby niczego ślepo nie twierdził, niczego nie przyjmował bez racyi.

Chodzi więc teraz o to, ażeby filozof nie przyjął zasady

racyi bez racyi, ażeby z racyą uznał ją za konieczny fundament filozofowania samego.

Czy jest więc racya w zasadzie „dlaczego“, racyą dostateczną, ażeby tę zasadę można i teoretycznie przyjąć i uznać za ogólne, powszechne, konieczne i podstawowe założenie poznania i badania wszelkiego?

W tym celu zobaczmy najpierw, jak się na tę kwestyę doniosłości niemałej zapatrują najwybitniejsi myśliciele.

Wcale dobry, treściwy pogląd na historyczny rozwój zasady racyi podał świeżo amerykański filozof, Wilbur Urban [1]; niedawno zaś Edmund Koenig przedstawił w dwu sporych tomach rozwój kwestyi przyczynowości od Kartezyusza aż do naszych czasów [2], przyczem raz po raz musiał potrącić i o zasadę racyi. Korzystając z tego, pominiemy zupełnie mniej potrzebne szczegóły historyczne, a tylko na najważniejsze punkta zwrócimy uwagę.

Dziwne to a jednak prawdziwe zjawisko w rozwoju myśli filozoficznej, że zasada racyi ze wszystkich prawd podstawowych najmniej może dotychczas jest wyświecona, a najpóźniej ze wszystkich sformułowana została. Że filozofia od pierwszego zarania swego tj. od pojawienia się na skorupie ziemskiej inteligencyi ludzkiej zasadę tę praktycznie uznawała, na to bez najmniejszej trudności wszyscy się godzą. Faktem jest jednak niemniej pewnym, że z dokładniejszem określeniem tej zasady, z pierwszem jej wyraźnem postawieniem i pierwszą jej formułą spotykamy się dopiero w czasach nowożytnych, u Leibniza. Prawda, że filozofia starożytna i średniowieczna zajmowała się często szczegółową analizą pokrewnego prawa przyczynowości, że nieraz przez to prawo rozumiała tę samą rzecz, co my dzisiaj przez zasadę racyi; prawda, że już Platon zaznaczał wyra-

---

[1] *The History of the Principle of Sufficient Reason: Its Metaphysical and Logical Formulations.* Princeton, N. J. 1898.

[2] *Die Entwickelung des Causalproblems.* I. *Von Cartesius bis Kant.* Leipzig 1888; II. *In der Philosophie seit Kant.* Leipzig 1890.

żnie [1], jako niemożliwa jest rzecz, żeby cokolwiek stało się bez racyi, a w nauce o ideach swoich przyjmował ogólną zrozumiałość bytu; prawda również, że u Arystotelesa znajdujemy nawet wyróżnienie trojakiej racyi: istnienia, stawania, poznania, w tych samych niemal słowach, co później u Leibniza [2]; — jednak właściwego wyróżnienia samej zasady racyi, jako prawa ogólniejszego i powszechniejszego od prawa przyczynowości przed Leibnizem naprawdę nie spotykamy.

Dopiero twórca Monadologii i Teodycei stawia po raz pierwszy wyraźnie obok zasady tożsamości t. zw. *principium rationis sufficientis* jako drugą walną i podstawową zasadę. „Nasze rozumowania opierają się na dwu wielkich zasadach, na zasadzie niesprzeczności, na mocy której uważamy każdy sąd sprzeczny w sobie za fałszywy, a sąd fałszywemu przeciwny lub z nim sprzeczny za prawdziwy, i na zasadzie racyi dostatecznej, na mocy której utrzymujemy, że żaden fakt nie może być prawdziwy ani rzeczywisty, żaden sąd logicznie prawdziwy bez racyi dostatecznej, dla której tak jest a nie inaczej, jakkolwiek racye te najczęściej mogą nam być nieznane“ [3]. — Godne uwagi na pierwszem miejscu u Leibniza jest to, że ile razy omawia lub wspomina swoje prawo, nazywa je zawsze i stale, chociaż różnemi słowy, zasadą racyi d o s t a t e c z n e j. Pochodzi to stąd, że Leibniz bardzo często nie uznaje prawa racyi za zasadę poznania w dziedzinie prawd analitycznych i koniecz-

---

[1] πᾶν τὸ γιγνόμενον ὑπ' αἰτίου τινὸς ἐξ ἀνάγκης γίγνεσθαι παντὶ γὰρ ἀδύνατον χωρὶς αἰτίου γένεσιν σχεῖν. Tim. p. 28 A.

[2] πασῶν μὲν οὖκ κοινὸν τῶν ἀρχῶν τὸ πρῶτον εἶναι ὅθεν ἢ ἔστιν ἢ γίγνεται ἢ γιγνώσκεται. Met. v, 1. — Por. Leibniza określenie zasady racyi w piątym liście do Clarkea: „Ce principe est celui du besoin d'une raison suffisante, pour qu'une chose existe, qu'un événement arrive, qu'une vérité ait lieu“.

[3] „Nos raisonnements sont fondés sur deux grands principes, celui de la contradiction, en vertu duquel nous jugeons faux ce qui en enveloppe, et vrai ce qui est opposé ou contradictoire au faux, et celui de la raison suffisante, en vertu duquel nous considérons qu'aucun fait ne saurait se trouver vrai ou existant, aucune énonciation véritable, sans qu'il y ait une raison suffisante, pourquoi il en soit ainsi et non pas autrement, quoique ces raisons le plus souvent ne puissent point nous être connues“. Monadol. 31, 32.

nych, ale zacieśnia je niepotrzebnie do prawd czysto empirycznych więc nie bezwzględnie koniecznych. Oczywista jednak rzecz jest, że zasada racyi odnosi się równie dobrze i do każdej prawdy rozumowej, koniecznej, „wiecznej“. Dlatego wolimy prawo to krótko nazywać zasadą racyi bez przydawki. I sam Leibniz zresztą wyraża nieraz to prawo zupełnie ogólnie, tak iż możnaby je odnieść do całej dziedziny poznania naszego, a nie tylko do części jego zakresu. Nie trzeba nadto zapominać, że Leibniz wszędzie pojmuje swe pryncypium i jako ogólne prawo metafizyczne i jako zasadę logiczną, jak to najwyraźniej widać i z przytoczonego ustępu i z innych licznych miejsc filozoficznych pism jego.

Pewne wahanie się i brak ścisłej precyzyi w określeniu natury i doniosłości naszej zasady u Leibniza, nie wyszły jej na korzyść w dalszym rozwoju myśli filozoficznej. Jakkolwiek bowiem większość myślicieli późniejszych zajmuje się coraz częściej i coraz goręcej analizą tej zasady, to jednak ona miasto coraz więcej przez to zyskiwać, traci raczej na przejrzystości i jasności. Jedni filozofowie biorą tylko metafizyczną jej stronę na uwagę, inni wyłącznie logiczną; pierwsi widzą w niej prawo rdzennie ontologiczne, które z zasadami logicznemi nie ma nic spólnego, drudzy uważają ją za podstawową zasadę logiczną, której mieszać nie można z prawami bytu[1]. Jeśli nadto do jednego i drugiego sposobu zapatrywania dodamy wszystkie spółczesne formalizmy, subjektywizmy, apryoryzmy — dziwnem nam nie będzie, dlaczego każdy niemal filozof odmiennie od innych pojmuje zasadę racyi, dlaczego nie bardzo łatwą jest rzeczą zrozumieć dokładnie zdanie któregokolwiek filozofa w tej mierze. Wystarczy zatem dla nas kilka przytoczyć przykładów.

Kant formuje zasadę racyi w całkiem oryginalny sposób. Oto jego słowa. „Najwyższe pryncypium wszystkich syntetycznych sądów jest: na każdy przedmiot wpływają konieczne warunki syntetycznej jedności, ogarniającej różnorodność intuicyi

[1] Cfr.. W. Urban l. c

zmysłowej w możliwem doświadczeniu“ [1]. Ogólna ta zasada rozpada się według kantowskiej tablicy kategoryalnej na następujące działy [2]:

1. Aksyomaty poglądowości (intuicyi zmysłowej) [3],
2. Antycypacye spostrzeżenia [4],
3. Analogie doświadczenia [5],
4. Postulaty empirycznego myślenia [6].

Schopenhauer w swojem osobnem dziele: „O czworakim pierwiastku zasady racyi dostatecznej“ zajmuje się więcej wieloraką aplikacyą tego prawa niż prawem samem, dlatego rozróżnia czworakiego rodzaju racye i stosownie do tego wyciąga

---

[1] „Das oberste Principium aller synthetischen Urteile ist also: ein jeder Gegenstand steht unter den notwendigen Bedingungen der synthetischen Einheit des Mannigfaltigen der Anschauung in einer möglichen Erfahrung“. *Kritik d. r. V.* 2-te Aufl. p. 197.

[2] Ib. p. 200.

[3] Ich zasadą podług Kanta jest: „Alle Anschauungen sind extensive Grössen“. Ib. p. 202.

[4] „Das Princip derselben ist: In allen Erscheinungen hat das Reale, was ein Gegenstand der Empfindung ist, intensive Grösse, d. i. einen Grad“. Ib. p. 207.

[5] „Das Princip derselben ist: Erfahrung ist nur durch die Vorstellung einer notwendigen Verknüpfung der Wahrnehmungen möglich“. Ib. p. 218.

Rozróżnia Kant nadto trzy analogie:

1a. „Grundsatz der Beharrlichkeit der Substanz: Bei allem Wechsel der Erscheinungen beharret die Substanz, und das Quantum derselben wird in der Natur weder vermehrt noch vermindert. P. 224.

2a. „Grundsatz der Zeitfolge nach dem Gesetze der Kausalität: Alle Veränderungen geschehen nach dem Gesetze der Verknüpfung der Ursache und Wirkung. P. 232.

3a. „Grundsatz des Zugleichseins, nach dem Gesetze der Wechselwirkung oder Gemeinschaft: Alle Substanzen, sofern sie im Raume als zugleich wahrgenommen werden können, sind in durchgängiger Wechselwirkung“. P. 256.

[6] 1. „Was mit den formalen Bedingungen der Erfahrung (der Anschauung und den Begriffen nach) übereinkommt, ist möglich.

2. „Was mit den materialen Bedingungen der Erfahrung (der Empfindung) zusammenhängt, ist wirklich.

3. „Dessen Zusammenhang mit dem Wirklichen nach allgemeinen Bedingungen der Erfahrung bestimmt ist, ist (existirt) notwendig“. Pag. 265 sq.

z ogólnej zasady racyi sposobem niejako algebraicznym cztery różne pierwiastki: *principium essendi*, *principium fiendi*, *principium agendi* i *principium cognoscendi;* samo zaś ogólne prawo racyi uważa za metalogiczne, przed logiką i poza logiką w zupełności stojące.

Sigwart natomiast wyróżnia prócz racyi ontologicznej, którą miesza z pojęciem przyczyny sprawczej, racyę psychologiczną czyli racyę pewności i racyę logiczną czyli racyę prawdy. Stosownie do tego mielibyśmy podług niego: prawo racyi ontologicznej, równoznaczne z prawem przyczynowości, które atoli nie posiada dostatecznej oczywistości ani bezwzględnej pewności, a może być postawione co najwyżej jako konieczny, apryoryczny postulat myślenia [1]; prawo psychologiczne, że nie można wydać sądu bez racyi psychologicznej jego pewności podmiotowej; wreszcie prawo logiczne, że niema sądu prawdziwego bez racyi logicznej. Poza tem wszystkiem ważne jest o racyi logicznej prawo: z racyą dany jest następnik racyi, ze zniesieniem następnika znosi się racya jego. I tylko to ostatnie prawo zasługuje podług Sigwarta na to, aby je postawić jako fundamentalną formę myśli naszych obok prawa sprzeczności [2].

I w ostatnich jeszcze latach ta sama panuje rozmaitość poglądów na zasadę racyi między filozofami. Najlepiej to maluje zestawienie dwu wybitnych myślicieli niemieckich z najświeższej epoki. Głośny pruski i prusofilski filozof, Hartmann, utrzymuje kategorycznie, że zasada racyi w dziedzinie logicznej albo jest fałszywa, albo jest tylko tautologicznem wyprowadzeniem z za-

---

[1] *Logik* II², § 73, zwłaszcza str. 171.

[2] *Logik* I², § 32. — „Sofern jedes Urtheil die Gewissheit seiner Gültigkeit voraussetzt, kann der Satz aufgestellt werden, es werde kein Urtheil ausgesprochen ohne einen psychologischen Grund seiner Gewissheit; und sofern es nur berechtigt ist, wenn es logisch nothwendig ist, behauptet jedes Urtheil einen logischen Grund zu haben, der es für jeden Denkenden nothwendig macht...

„Das Wesen der Nothwendigkeit im Denken spricht der Satz aus, dass mit dem Grunde die Folge nothwendig gesetzt, mit der Folge der Grund aufgehoben sei. Dieser Satz vom Grund und der Folge entspricht dem Satze des Widerspruchs als ein fundamentales Functionsgesetz unseres Denkens". P. 245 sq.

sady niesprzeczności, przeniesiona zaś w dziedzinę przedmiotową nietylko nie jest, ale nawet być nie może zasadą w znaczeniu logicznem [1]. — Przeciwnie znany i poważany powszechnie psycholog i logik, Wundt, przyjmuje jako rzecz przez się zrozumiałą, że zasada racyi jest podstawowem prawem wzajemnej zależności naszych aktów myślnych, pojęć, sądów i wniosków [2], że jest ona zatem prawem myślenia i poznania [3], że ma znamienny charakter prawa logicznego w taki sam sposób, jak zasada tożsamości [4].

Wspomnieć wreszcie nie zawadzi, że i dzisiaj jeszcze wielu filozofów miesza częściowo i zlewa zasadę racyi z ogólnem prawem przyczynowości. Tak np. niecodzienny również logik niemiecki, Schuppe, mówi stale o dwu zasadach myślenia: o zasadzie tożsamości i zasadzie przyczynowości [5], zaś warszawski filozof, Struve, uważa zasadę racyi tylko za logiczną formę prawa przyczynowości [6].

Dosyć już atoli mącenia i wikłania w kwestyi o naturze naszej zasady; powiedzmy teraz krótko jak się nam samym rzecz ta przedstawia.

Przez racyę wogóle rozumiemy wszystko, co może być odpowiedzią na jakiekolwiek „dlaczego“. O każdej rzeczy możemy stawiać najróżnorodniejsze „dlaczego“, w szczególności zaś można o każdym bycie postawić trzy ogólne „dlaczego“, a mianowicie:

---

[1] „Der Satz des Grundes rein innerhalb der subjectividealen Sphäre ist also entweder falsch oder eine tautologische Ableitung aus dem Satz vom Widerspruch.

„Dez Satz vom Grunde bezogen auf die objectivreale Sphäre, ist erst recht kein Grundsatz der logischen Determination in der subjectividealen Sphäre. Es ist unsere Geistesorganisation, die uns treibt, überall nach einer Ursache zu forschen, unter der Voraussetzung, dass schon eine da sein wird; das Postulieren einer Ursache ist nichts als eine Äusserung unserer Kategorialfunction“. *Kategorienlehre.* 1896. P. 311.

[2] *Logik* I², 1893, p. 573; *System der Philosophie*, 2-te Aufl. 1897, p. 83.

[3] *System der Philosophie*, p. 84.

[4] *Logik* I, p. 571.

[5] *Grundriss der Erkenntnisstheorie und Logik.* Berlin 1894.

[6] „Wstęp krytyczny do filozofii“. Warszawa 1896, str. 102.

a. dlaczego byt istnieje,

b. dlaczego byt jest takim a nie innym,

c. dlaczego byt tak a nie inaczej pojmujemy, dlaczego taki a nie inny sąd o nim wydajemy.

Pod te trzy „dlaczego“ wszystkie inne z łatwością podciągnąć się dadzą, dlatego można odpowiednio wyróżnić trzy ogólne racye bytu:

a. racyę istnienia bytu,

b. racyę istoty bytu,

c. racyę logiczną bytu.

Dwie pierwsze racye stanowią to, co możnaby nazwać racyą ontologiczną bytu. Oczywista rzecz, że racya ontologiczna nie jest to samo, co przyczyna sprawcza bytu; racya bowiem nie potrzebuje naprawdę różnić się rzeczowo od tego, czego jest racyą, natomiast przyczyna sprawcza we właściwem tego słowa znaczeniu nie może być identyczną ze skutkiem swoim.

Zasada racyi zatem: nic nie jest bez racyi, lub wszelki byt ma racyę, orzeka, że wszelki byt ma racyę istnienia swego, ma racyę istoty swej, ma racyę logiczną swego poznania przez jakąkolwiek inteligencyę.

Tak pojęta i postawiona zasada racyi ma, rzecz prosta, już z natury swojej dwie strony. Można ją uważać ze względu na sam byt a w oderwaniu od poznania aktualnego, i w takim razie jest pierwszorzędnie zasadą ontologiczną; można jednocześnie i powinno się brać ją na uwagę ze względu na poznanie bytu, a w tym przypadku mieć będziemy zasadę przedmiotowo-logiczną.

Wzięta zasada nasza w znaczeniu logicznem suponuje koniecznie prawo racyi ontologiczne, opiera się bezpośrednio na niem, a bez niego nie miałaby sensu żadnego, byłaby tylko nieznośnie cierpką ironią i ciągle zwodniczą iluzyą rozumu, niedorzecznością widoczną. Jeśli bowiem byt nie miałby racyi istnienia swego, natury swojej, własności swoich, zmian i stosunków swoich: to jakim sposobem możnaby jeszcze mówić o poznaniu racyonalnem czyli zapomocą racyi, i że byt istnieje lub jest możliwy, i że taką ma naturę a takie własności, i że takim zmia-

nom i stosunkom podlega? Nawzajem zasada racyi, wzięta tylko w znaczeniu ontologicznem, odnosi się wprawdzie do bytu przedmiotowego, jednakowoż nie do bytu uważanego, jak jest wyłącznie sam w sobie, jeno do bytu, o ile jest zrozumiały, racyonalny w sobie, czyli odnosi się do bytu w stosunku do poznawalności jego, poznania przynajmniej możliwego. Dlatego zdaje się nam, że można słusznie i śmiało utrzymywać, jako zasada racyi logiczna i ontologiczna stanowią w gruncie rzeczy jedną tylko walną zasadę.

Jest to więc zasada bytu wogóle, w jego stosunku do poznania aktualnego lub możliwego.

To nam tłumaczy najpierw ścisłą i rdzenną zasadniczość prawa racyi dla poznania wogóle. Poznanie z natury swojej nietylko jest przedmiotowe tj. suponuje bezwarunkowo jakiś przedmiot poznania, ale nawet sama możliwość poznania domaga się koniecznie i bezwzględnie, aby ten przedmiot był poznawalny, racyonalny, zrozumiały. Bez tej zrozumiałości i racyonalności przedmiotu, poznanie znalazłoby się od razu w łonie jakiejś próżni strasznie bezdennej i bezmyślnej szalenie, straciłoby najważniejszą swoją podwalinę przedmiotową, grunt swój i cel właściwy, bo przedmiot sam. Otóż zasada racyi, orzekając, że wszelki byt ma racyę, stwierdza innemi słowy, że wszelki byt jest zrozumiały, racyonalny. To też nie bez podstawy mawiali scholastycy, że *ens et intelligibile convertuntur*, a francuski myśliciel, Fouillée, wraz z innymi filozofami zupełnie słusznie nazywają zasadę racyi prawem racyonalności lub zrozumiałości bytu *(principe d'intelligibilité universelle ou d'universelle rationalité)*. Wyrażając zaś przedmiotową racyonalność bytu, tem samem zasada racyi stanowi, zabezpiecza i w niezachwianej pewności utrzymuje najistotniejszy ontologiczny fundament poznania wogóle a wszelkiego badania naukowego i filozoficznego w szczególności.

Już to mogłoby posłużyć filozofowi za jakąś racyę, by ze świadomością namysłową przyjąć zasadę racyi. Nie dosyć na tem. Zasada racyi, nie wyłącznie ontologicznie wzięta, jest nadto fundamentem logicznym każdego sądu, przynajmniej pewnego. Żaden filozof, żaden uczony, żaden człowiek nawet nie wyda

sądu niewątpliwego bez racyi. Wszelki sąd tego rodzaju, w jakimkolwiek on powstanie umyśle, będzie miał racyę i to racyę świadomą, poznaną. W niektórych sądach będzie to oczywistość, bezpośrednia intuicya przedmiotu, w innych jakiś krótszy lub dłuższy dowód — zawsze będzie świadoma racya. Jeżeli zatem niemożliwy jest sąd pewny bez racyi i to poznanej racyi — to niemożliwy jest sąd przynajmniej pewny, bez zasady racyi i to w tym samym sądzie mniej lub więcej wyraźnie stwierdzonej. Tem zaś samem zasada racyi jest nietylko ontologicznym fundamentem sądu pewnego, ale i logicznym.

Tak samo zresztą możnaby pokazać, że wszelki akt poznawczy właściwy, więc sąd wszelki, a nie tylko niewątpliwie pewny, opiera się na zasadzie racyi i jako prawdziwej swej podwalinie ontologicznej i jako bezpośrednim fundamencie logicznym. W każdym bowiem sądzie, nawet słabo prawdopodobnym tylko, umysł nasz wyraża jakąś niezachwianość poznania swego, przynajmniej jako częściowego lub jako prawdopodobnego; a tem samem stwierdza samą ogólną zasadę racyi niewątpliwie, z prawdopodobieństwem zaś lub wątpliwie zaznacza tylko, że racya poznana jest w istocie prawdziwą racyą rzeczy, o którą chodzi w danym przypadku. I nawet ten, coby o zasadzie racyi na seryo chciał wątpić lub pewności jej zaprzeczyć, musiałby to uczynić na podstawie zasady racyi, w przekonaniu, że ma i widzi po temu racyę, musiałby więc i wtenczas jeszcze stwierdzić konieczność, powszechność, fundamentalność zasady racyi. — Skoro zaś każdy sąd opiera się na zasadzie racyi jako na swej właściwej podwalinie, to nie tylko sądy zaznaczające różnice i związki wzajemne między przedmiotami, ale i sądy mniej lub więcej tożsamościowe. W taki sposób i w tem znaczeniu sama nawet zasada tożsamości i niesprzeczności stoi i opiera się na zasadzie racyi.

Fundamentalność ontologiczna i logiczna to wiele, to bardzo wiele — niekoniecznie dosyć to dla filozofa. Filozof mimo to wszystko może zawsze, a nawet powinien postawić pytanie i to na podstawie samej zasady racyi: jaka jest właściwa i najbliższa racya logiczna samej zasady racyi?

Nasamprzód nie może być racyą tej zasady żaden dowód we właściwem tego wyrazu rozumieniu. Bo jak po wszystkiem, cośmy dotąd powiedzieli, najzupełniej widoczną jest rzeczą, bez wyraźnej lub przynajmniej zasłoniętej *petitio principii* dowieść tego prawa nie można. Nie można nawet z Taine'em [1] i Rabierem [2] chwycić się tego sposobu uzasadnienia, jakobyśmy prawo to przyjmowali początkowo na podstawie niewielu konkretnych faktów przez jakąś podświadomą suggestyę, a następnie dopiero sprawdzali je w coraz liczniejszych zjawiskach i doświadczeniach w sposób naukowy. I w tem bowiem uzasadnieniu prawa racyi nietylko nie omijamy naprawdę błędnego koła, które bardzo wyraźnie wpada w oczy u większej części empirystów [3], ale nadto nadwerężamy bardzo silnie powszechną i niezachwianą pewność samej zasady. Jak sam Rabier [4] przyznaje, pewności absolutnej po tem uzasadnieniu mieć nie możemy, tem zaś samem jakaś przynajmniej możliwość wątpienia ma i grunt odpowiedni przygotowany i wrota dostatecznie otwarte.

Nietylko dowieść, ale nawet podciągnąć zasady racyi pod inną, sprowadzić jej do innych w żaden sposób nie można. Był wprawdzie okres ewolucyjny w dziejach filozofii, kiedy usilnie starano się o sprowadzenie zasady „dlaczego“ do zasady tożsamości; wszystkie atoli usiłowania spełzły ostatecznie na niczem. Leibnicyanin Wolff [5], Baumgarten i inni, za nimi zaś niektórzy późniejsi scholastycy zwykli byli rzecz tę przedstawiać w następujący sposób: Gdyby cokolwiek było bez racyi, natenczas nicość czyli niebyt byłby racyą czegoś czyli bytu, co jest oczywistą sprzecznością. Prawda to jest, jednocześnie jednak i to prawda, że zanadto wyraźne jest tu błędne kółko logiczne [6].

---

[1] *De l'intelligence*, II, l. 4, c. 3, § 3.

[2] *Psychologie*, chap. 30.

[3] Por. np. Logikę Milla l. c.

[4] L. c. p. 404.

[5] Ontologia, § 70.

[6] T. Pesch w swoich *Institutiones logicales* wykazuje wprawdzie, że nie można dowodnie zasady racyi wyprowadzić z zasady niesprzeczności (n. 1248), utrzymuje jednak, że do pewnego stopnia można redukcyę pierwszej do ostatniej uskutecznić. „Praeterea principium hoc (rationis) ad

Racyą zasady racyi nie może być również apryoryzm jakiś w rozumieniu kantystów i natywistów, tj. jakiś mus rozumu wrodzony i konieczny, a dla samego rozumu ślepy i nieuzasadniony. Przyjąć, że zasada racyi jest tego rodzaju formą umysłu apryoryczną, takim postulatem koniecznym, znaczyłoby stwierdzić w zasadzie ogólnej racyonalności i zrozumiałości rdzenną nieracyonalność i niezrozumiałość, a więc zadać rozumowi samemu rozpaczliwy cios śmiertelny i pogrążyć go w bezdenną otchłań skepsis całkowitej. Nie czarna pomroka i ponura ślepota, ale światło i jasność: to życie, to konieczność, to racya odpowiednia dla ludzkiej inteligencyi — dla rozumu każdego.

Racyą zatem w naszym przypadku mogłaby być tylko bezpośrednia oczywistość. Czy zasada racyi jest istotnie wprost oczywista?

Jest z wszelką pewnością oczywista *de facto*. Widać to doskonale z tego, cośmy obszerniej na początku tego rozdziału rozprowadzili. Wynika to również z tego, że przez tyle wieków filozofia opierała się jak najbezpieczniej na tej podwalinie, a o jej niezłomność, wytrzymałość, uzasadnienie nie troszczyła się wcale. Wreszcie świadczy o tem jeszcze i ten fakt, że na pierwszy rzut oka niełatwą jest rzeczą podać racyę zasady racyi. Wziąwszy bowiem całą rzecz konkretnie pod uwagę i wszystko zważywszy, dojdziemy do przekonania, że zjawisko to można wytłumaczyć tem tylko, iż owa racya musi być bardzo prosta i bardzo blizka, przez się bardzo jasna i z zasadniczemi elementami poznania ściśle sprzężona.

---

principium contradictionis aliqua ratione reducitur. Id enim, quod sine ratione esset, esset simul et non esset; „esset“ ex hypothesi, et simul „non esset“, quatenus enim aliquid sine ratione est, simpliciter ex nihilo est, nihiloque aequiparatur; ergo non est“ (n. 1246, 3°). — Naszem zdaniem i ta redukcya nie jest bez zarzutu, a nadto nie jest wcale potrzebna. Prawda, że zasada racyi opiera się na zasadzie niesprzeczności, jednak i to prawda, że nawzajem zasada niesprzeczności pod innym względem opiera się na zasadzie racyi. Dwie te zasady wyrażają dwa różne ogólne i powszechne prawa, są w swoim porządku niewątpliwie pierwsze, zawsze jedna drugą wzajemnie suponuje, żadna jednak z nich do pozostałej prawdziwie i całkowicie sprowadzić się nie da.

Czy jest oczywista *de iure?* Jest niezawodnie. Inaczej powszechna jej oczywistość faktyczna i praktyczna byłaby niedorzecznością. I chociażbyśmy nawet nie umieli jasno tego pokazać, jeszczeby naprawdę i cień podejrzenia nie mógł paść na oczywistość naszej zasady. Jest to przecież wogóle znamienna i naturalna cecha najprostszych elementów i właściwości naszego poznania, że ich określić żadną miarą nie można, chociaż ma się o nich najdokładniejsze i najjaśniejsze pojęcie. Zresztą z oczywistością naszej zasady rzecz ma się podobnie, jak z oczywistością zasady niesprzeczności i oczywistości. Trudno ją wykazać, nie trudno przekonać się o niej naocznie. Każdy bowiem może ją widzieć i łatwo bardzo i bardzo jasno, jeśli tylko nie będzie sięgał okiem rozumu za nadto daleko lub za nadto głęboko, jeśli krom tego, zanim przystąpi do patrzenia, złoży wszelkie przesądy i zabobony filozoficznych sekt subjektywnych. — Weźmy np. na uwagę najprostszy i najoczywistszy sąd: byt jest bytem. Wydajemy ten sąd bez wahania, dlatego że widzimy doskonale, iż istota bytu jest racyą jego tożsamości z sobą. A gdybyśmy tego z oczywistością nie widzieli, nigdybyśmy nie mogli postawić koniecznej i powszechnej zasady tożsamości. I w tem tkwi właściwa oczywistość zasady racyi. Umysł nasz, chwytając intuicyjnie sam byt jako taki, widzi jednocześnie bezpośrednio jego istotną zrozumiałość, racyonalność; na podstawie zaś tej intuicyi bezpośredniej wydaje sąd oczywisty: byt jako taki jest racyonalny, czyli wszelki byt ma racyę [1].

Z kwestyą oczywistości omawianej prawdy wielu autorów wiąże ściśle inne pytanie, czy prawda ta jest sądem analitycznym, czy syntetycznym, czy też syntetycznym *a priori.* Kwestya sama w sobie zwłaszcza od czasów Kanta niewątpliwie bardzo ważna, dla naszej atoli rzeczy jest naprawdę dosyć podrzędna, nawet obojętna. Jakimkolwiek sądem bowiem byłaby zasada racyi, to na mocy tych właściwości, któreśmy w niej widzieli, na podstawie tej doniosłości, jaką jej każdy przyznać musi, będzie ona

[1] Cfr. J. Gardair, *Les principes de la raison pure. Annales de phil. chrét.* T. 24.

należała do prawd pierwotnych i fundamentalnych. Wystarczy zatem krótko i węzłowato załatwić się z tą kwestyą. Nie pomijamy jej całkowicie dlatego jedynie, żeby nam nie zrobiono zarzutu, jakobyśmy tylko na łatwiejsze i przystępniejsze szczegóły zwracali uwagę, na kwestye trudniejsze i zawilsze z umysłu zamykali oczy.

Jakim więc sądem jest zasada racyi, analitycznym czy też syntetycznym? Zależy to w pierwszym rzędzie od tego, co kto rozumie przez sąd analityczny i syntetyczny.

Ścisła definicya sądu jest niemożliwa, bo sąd jako taki należy niezaprzeczenie do najbardziej zasadniczych pierwiastków naszego życia psychicznego. Dlatego najlepszem jeszcze określeniem sądu jest to, które ma najmniej pretensyi do określenia właściwego: akt psychiczny, w którym coś o czemś orzekamy, a którego zwyczajnym wyrazem zewnętrznym jest zdanie [1]. Ten akt psychiczny to rzecz ze wszystkich może najlepiej znana każdemu człowiekowi. Zastanawiając się nad naturą wewnętrzną tego aktu, łatwo zauważymy, że jest on z jednej strony aktem syntetycznym, co większość określeń sądu na pierwszy plan wysuwa, z drugiej zaś zawiera jednocześnie pewną analizę w sobie, tak dalece, że Wundt np. na tej własności opiera swoją definicyę sądu [2].

Oczywista rzecz, że kiedy idzie o podział sądów na analityczne i syntetyczne, nie można brać za zasadę tego podziału owej syntezy i analizy, która ostatecznie znajduje się na spodzie każdego sądu, ale trzeba jej szukać gdzieindziej. — Istotę sądu stanowi łącznik. Otóż racya łącznika, czyli racya połączenia podmiotu i orzeczenia albo tkwi w samym sądzie tj. opiera się na krótszej lub dłuższej analizie podmiotu i orzeczenia, albo też leży na zewnątrz sądu tj. opiera się na doświadczeniu lub na świadectwie drugich. Sądy pierwszego rodzaju można odpowiednio nazwać analitycznemi, zaś drugiego rodzaju syntetycznemi.

Według tak zrozumianego podziału zasada racyi jest pra-

---

[1] Cfr. Sigwart, *Logik* 1², p. 27.

[2] *Logik* 1², p. 156.

wdziwym sądem analitycznym. Racyą bowiem tego sądu właściwą, jakeśmy to widzieli, nie jest doświadczenie, ale intuicya umysłowa zrozumiałości i racyonalności bytu. Kto ma pojęcie bytu i pojęcie racyonalności, ten bez doświadczenia wyda sąd: byt jako taki jest racyonalny.

Nie wszyscy jednak zgodzą się na takie pojmowanie rzeczy. Weszło bowiem od czasów Kanta w zwyczaj te tylko sądy nazywać analitycznemi, których orzeczenie zawiera się w podmiocie, wszystkie zaś inne syntetycznemi[1]. Według tego rozumienia nieliczne tylko sądy byłyby ściśle analityczne, wszystkie musiałyby być mniej lub więcej tautologiczne, dlatego pod względem naukowym byłyby prawie zupełnie nieprzydatne. Natomiast wszystkie sądy, stwierdzające coś nowego, rozszerzające i pogłębiające naszą wiedzę, wszystkie niemal aksyomaty matematyczne i filozoficzne, należałyby do sądów syntetycznych.

Dwojakie Kant rozróżnia sądy syntetyczne. Jedne są szczegółowe, nie wyrażają żadnej ściśle logicznej konieczności, opierają się wyłącznie na doświadczeniu — dlatego Kant nazywa je sądami syntetycznemi *a posteriori*. Drugie są sądy ogólne i konieczne. Racya ich ogólności i konieczności nie może pochodzić z doświadczenia, bo doświadczenie pozostaje zawsze szczegółowe i konkretne, nie może też opierać się na analizie kantowskiej, bo orzeczenie tych sądów nie zawiera się wprost w podmiocie — racyą zatem tych sądów jest jakiś ślepy mus wewnętrzny, czysto subjektywny, czyli apryoryzm kantowski. To są najważniejsze sądy w krytycznej filozofii Kanta — sądy syntetyczne *a priori*.

Łatwo zrozumieć teraz, dlaczego kantyści muszą konsekwentnie uważać zasadę racyi i pewniki pokrewne za sądy syntetyczne *a priori*.

Nie trudno jednocześnie zrozumieć, dlaczego na to zapatrywanie żadną miarą zgodzić się nie można. — Sąd ślepy i bez racyi jest dla naszego rozumu sądem co najmniej nierozumnym; zresztą wszystkie niemal sądy syntetyczne *a priori* Kanta i kantystów są ściśle analityczne w naszem rozumieniu, mają one

[1] *Kritik d. reinen Vernunft.* Einleitung IV.

swoje racyonalne uzasadnienie, nie w doświadczeniu wprawdzie, ani w tem, że orzeczenie zawarte jest wyraźnie w treści podmiotu, ale w zestawionej analizie podmiotu i orzeczenia.

Zreasumujmy jeszcze pod koniec to, cośmy o zasadzie racyi powiedzieli. Jest to prawda ogólna i powszechna w najściślejszem i najszerszem tych wyrazów znaczeniu, jest to prawdziwa podwalina ontologiczna i logiczna poznania wogóle, badania naukowego i filozoficznego w szczególności, jest to prawda pierwotna do tego stopnia, że znajduje się na spodzie każdego sądu pewnego, że ani ściśle dowieść się nie da, ani dowodu żadnego nie potrzebuje, bo jest prawdą wynikającą z bezpośrednią oczywistością z intuicyi bytu jako takiego, a tem samem jest prawdą bezpośrednio analityczną.

Jest więc najzupełniej wystarczająca racya w zasadzie racyi.

Jeśli kto, to filozof nie powinien niczego przyjmować, niczego stawiać bez racyi; jeśli kto, to filozof musi na samym początku filozofowania swego niezbicie upewnić się o tem, że ma rzeczywiste, niekłamane prawo do stawiania wszędzie i zawsze pytania „dlaczego“. Jeżeli zatem na samym progu w przedsionku świątnicy filozoficznej grubo i głęboko musi być wyryte filozoficzne „dlaczego“ — to słuszna, potrzebna, konieczna jest, ażeby filozof na samym wstępie w podwoje świątyni filozoficznej z racyą przyjął i postawił niezachwianą racyi zasadę, zasadę pytania „dlaczego“.

VII.

πάντων χρημάτων μέτρον ἄνθρωπος.
Protagoras.

Co świątynia delficka nieświadomie do przechodniów mówiła, co Sokrates dobrodusznie lub ironicznie uczniom swoim lubił powtarzać, co św. Augustyn z głęboką refleksyą zwykł był na pierwsze miejsce wysuwać [1], to winien uczynić filozof na po-

[1] Por. np.: „Noli foras ire, in te redi; in interiore homine habitat veritas“. *De vera relig.* c. 39.

czątku filozofowania swego — wejść jak najgłębiej w siebie, zastanowić się jak najgruntowniej nad sobą, obejrzeć jak najdokładniej swój wszechświat wewnętrzny, i zapytać siebie samego: od czego mam zacząć badanie filozoficzne, na czem mam stanąć i oprzeć się w budowie tumu filozoficznego?

Zgiełk i ścisk ogromny na forum wewnętrznem, gonitwa prawdziwa i zmienność gwałtowna najróżnorodniejszych zjawisk psychicznych, robią chwilowo przygniatające na reflektującym umyśle wrażenie. Bezładna i prędka szalenie defilada wszystkiego, czego się uczyło, co się widziało w życiu i słyszało, o czem się marzyło i myślało, nie nastręcza nic niezłomnego, nic granitowo trwałego, czegoby się mocno uchwycić można, na czemby niezachwianie oprzeć się dało. I mimowoli wysuwają się zwolna coraz liczniejsze i coraz ogólniejsze pytania i wątpliwości: czy to prawda wszystko, czy złudzenie i majaczenie tylko? Lecz tłoczenie się to tych samych, to nowych obrazów psychicznych nie ustaje, jeno kłębi się potężniej, jeno wyżej fale swe podnosi i naglej przerzuca w podświadomości głębiny. A umysł zaczyna teraz wyróżniać rzeczy pewne od niepewnych, całkiem niewątpliwe od takich, o których absolutnie potrafiłby wątpić. Przekonywa się też niebawem, że mimo wszystko o niektórych rzeczach i prawdach wątpić na seryo nie byłby w stanie. — Gdyby się wiedziało, że wszystkie rzeczy i prawdy ostatniej kategoryi wystąpiły już na próg świadomości i przesunęły się przed oczyma umysłu, możnaby je w jakiś szereg ustawić, jedne pod drugie podporządkować, a następnie jedną lub kilka wybrać i przyjąć za podstawę do dalszej roboty. Lecz o tę pewność niezmiernie trudno. Więc umysł śledzi dalej niekończący się wcale pochód zjawisk wewnętrzny, przypatruje się im dokładniej, tym zwłaszcza, o które żadna wątpliwość zahaczyć się żadną miarą nie chce — i spostrzega, że to wszystko są właściwe akty poznania, sądy, jednocześnie zaś, że o tym fakcie samym posiada pewność absolutną. Zaczyna więc na nowo introspekcyę swoją z innego punktu widzenia a z baczniejszą jeszcze uwagą: czy niema nic, coby się we wszystkich sądach bez wyjątku stale powtarzało, coby koniecznie z naturą każdego sądu ściśle było związane? Wytę-

żenie uwagi i skupienie refleksyi nie pozostaje płonną robotą. Umysł w miarę tego, jak przyzwyczaja się do odrywania uwagi od różnorodności przedmiotowej sądów, a zwracania jej na właściwości wszystkim sądom spólne, widzi coraz wyraźniej, coraz pewniej i niewątpliwiej i to w każdym sądzie pewne wybitne a stałe znamiona.

Najpierw, że każdy sąd stwierdza niewątpliwie istnienie jaźni, która sąd wydaje, a jednocześnie ogólną przedmiotowość aktu poznawczego.

Powtóre przekonywa się umysł dosadnie, że wtenczas tylko uznaje sąd za prawdziwie pewny, kiedy posiada oczywistość, że rzecz tak się ma istotnie a nie inaczej.

Dalej stwierdza umysł i to oczywiście, że wszystkie sądy dadzą się sprowadzić do jakiejś modły ogólnej, że wszystkie taką modłę pewnej tożsamości i niesprzeczności wewnętrznej suponują, że tylko według niej możliwe jest wydanie właściwego sądu.

Wreszcie poznaje nie bez oczywistości, że sam nie wydaje żadnego sądu właściwego bez racyi, że każdy sąd na seryo wydany stwierdza niezbicie, jako przedmiot sądu ma racyę.

W ten sposób filozof-nowicyusz uświadamia sobie na samym początku filozofowania swego przedewszystkiem te cztery prawdy:

1. fakt samowiedzy,
2. fakt i zasadę oczywistości,
3. zasadę tożsamości i niesprzeczności,
4. zasadę racyi.

Teraz dopiero może poczynający filozof w swoim przeglądzie introspekcyjnym skupić i ześrodkować całą swą uwagę około tych czterech prawd, a wnet przekona się niezawodnie, że wszystkie są:

niezaprzeczalne, bo samo zaprzeczenie jest wyraźnem stwierdzeniem ich;

niewątpliwe, bo wątpić o nich nie można, nie opierając się na nich jednocześnie i nie przyjmując ich za bezwzględnie pewne;

niedowodliwe, bo wszelki dowód z góry je zawiera i suponuje, na nich się z bezwzględną koniecznością gruntuje i buduje;

najoczywistsze, bo z umysłowej intuicyi i analizy najlepiej nam znanego własnego aktu poznawczego, lub z intuicyi najprostszego i najjaśniejszego pojęcia bytu widocznie i bezpośrednio wypływają;

ściśle pierwotne, bo ani nawzajem jedna do drugiej, ani do prawd innych sprowadzić się w żaden sposób nie dadzą;

najrdzenniej fundamentalne, bo rdzeń i trzon sam każdego sądu stanowią, bo każdy sąd na nich się opiera, a bez którejkolwiek z nich sąd właściwy jest wprost niedorzeczny i niemożliwy.

Zdaje się nam, że w dalszym ciągu filozof nie będzie potrzebował długich i mozolnych rozmyślań, iżby się przekonać jasno i dosadnie, że z jednej strony, czy zechce, czy nie zechce, i skądkolwiek rozpocznie pracę filozoficzną, nawet chociażby miał na samym wstępie zwątpić i zrozpaczyć o całej filozofii, musi mieć koniecznie prawdy te w swojem założeniu fundamentalnem; z drugiej zaś strony ma aż nadto wystarczające racye, aby te właśnie prawdy nie tylko za jakąś bezwiedną posadę, ale za świadomy fundament, za zasadniczy punkt oparcia i wyjścia w swem badaniu filozoficznem, z filozoficzną refleksyą przyjął i postawił. Jeżeli chce zatem iść prostą i pewną drogą, nie zaś krętemi i gubiącemi się manowcami, innej ostoi i podwaliny, innego punktu wyjścia i oparcia szukać nie powinien.

Oto krótka rekapitulacya najważniejszych punktów, rozprowadzonych w poprzednich rozdziałach.

Przeciw całemu temu pochodowi myśli nasuwa się jedna tylko poważniejsza trudność, na którą najwygodniej w tem miejscu zwrócić uwagę.

Filozof, zastanawiając się nad pytaniem, na czem ma stanąć, od czego ma wyjść i zacząć w swojem badaniu filozoficznem, zanim jeszcze znajdzie i postawi swój fundament — w rzeczywistości już ten sam fundament suponuje, co więcej, znajduje i stawia swój podstawny punkt wyjścia i oparcia jedynie na mocy tego samego punktu oparcia.

Byłaby zatem w tem wszystkiem dosyć widoczna *petitio principii* lub *circulus vitiosus*.

Nie nowy to zarzut w dziejach filozofii. Już dawniejsi sceptycy znali doskonale to błędne koło, i sławna ta dyallela była często najsilniejszą racyą ich ogólnego wątpienia. Takiego myśliciela, jak Jouffroy, doprowadziło to rzekomo zasadnicze błędne kółko rozumu ludzkiego do rozpaczy filozoficznej, do sceptycyzmu. Od czasów Hegla stary ten zarzut zaczęto coraz częściej przedstawiać w innej nieco formie i zwracać go przedewszystkiem przeciw Krytyce czystego rozumu Kanta. Znane jest powszechnie podniesienie tej trudności przez Hegla zapomocą porównania z pływaniem. „Badać zdolność poznania jest to samo, co poznać ją. Żądanie zatem jest następujące: trzeba poznać zdolność poznania, zanim się ją pozna; zupełnie to samo, co chcieć pływać, zanim się wejdzie do wody“ [1]. W podobny sposób pojmują tę rzecz, a wyrażają ją w dosadniejszych jeszcze porównaniach: Baader, Herbart, Lotze i inni. Do dzisiejszego dnia zresztą wielka część neoscholastyków zarzuca Kantowi błędne koło logiczne w samem założeniu i celu jego Krytyki.

Czy zarzut ten jest słuszny i prawdziwy? Czy naprawdę natura rozumu naszego zawiera w sobie nieodzownie zasadnicze błędne koło logiczne? Gdyby tak w istocie było, trzebaby zwątpić o wszystkiem wogóle, sceptycyzmowi przyznać słuszność zupełną.

Kuno Fischer, Ueberweg, za nimi wielu innych myślicieli, rozwiązują powyższą trudność w ten sposób, że rozróżniają poznanie krytyczne czyli filozoficzne od poznania zwyczajnego, przedkrytycznego. Rozwiązanie z pewnością nie jest złe, może atoli rzeczy samej nie rozjaśnia dostatecznie.

Niewątpliwą najpierw jest rzeczą, że błędne koło logiczne w ścisłem tego terminu znaczeniu, czyli właściwa dyallela w poznaniu, jest jednym z najgrubszych błędów, a zatem wielką niedoskonałością. Z drugiej strony nie ulega żadnej dyskusyi między filozofami najrozmaitszych odcieni, że refleksyjna świadomość w poznaniu jest wielką doskonałością psychiczną, że zdolność

[1] Hegel, *Geschichte der Philosophie*, III, 555. — Porówn. również *Encyklopädie*, § 10.

refleksyi właściwa jest tylko inteligencyi prawdziwej. A czemże jest owa zdolność refleksyi umysłowej? — Niczem innem, tylko zdolnością zastanawiania się nad swojemi aktami psychicznemi, zdolnością poznawania samego poznania. — Ktoby zatem chciał koniecznie tej prawdziwej doskonałości samego rozumu, tej zdolności refleksyi i introspekcyi wewnętrznej nadać miano koła jakiegoś – zgoda; niech tylko nie identyfikuje ani nie miesza doskonałego koła psychologicznego z błędnem kołem logicznem [1].

Jak dobrze Balmes [2] zauważył, tylko inteligencya jest w stanie badać siebie samą. W tej zasadniczej zdolności rozumu, którą każdy człowiek zna jak najlepiej z ciągłego doświadczenia wewnętrznego, widzimy bez najmniejszej trudności prawdziwą doskonałość naszego umysłu, w żaden sposób nie możemy się w niej dopatrzeć niczego nielogicznego. Subtelna analiza zatem i mikroskopowe niejako badanie samych aktów poznawczych, ich natury wewnętrznej, ich założeń koniecznych i podwalin logicznych — to oznaka wielkiej potęgi rozumu, jego przyrodzonego dążenia do światła i jasności a głębokiego wstrętu do ślepoty i ciemności, to pierwsza powinność filozofa każdego, to kategoryczne zaprzeczenie tego, na czem się zasadza logiczny *circulus vitiosus* lub *petitio principii,* pogrążenia się w zasadniczej niejasności, nieracyonalności, całkowitej ślepocie duchowej.

W jednym przypadku byłoby możliwe w naszym pochodzie prawdziwie błędne koło — gdyby ktoś chciał czterech owych prawd podstawowych ściśle dowodzić. O tem jednak mowy wcale nie było, owszem raz po raz zaznaczaliśmy, że one właśnie z natury swej dowieść się nie dadzą, że wszelka próba udowodnienia ich byłaby rażącym błędem logicznym. W całej rzeczy chodziło nam naprawdę o to tylko, ażeby refleksyjnie zdać sobie sprawę z tego, co w każdym właściwym akcie poznania koniecznie suponujemy i przynajmniej *implicite* stwierdzamy, ażeby całkowicie uświadomić sobie to, na czem poznanie naturalne i codzienne

---

[1] Porównaj *circulus vitae* i *circulus vitiosus* w odmiennej nieco materyi u Schmida, *Erkenntnisslehre,* I, p. 14

[2] *Fundamente der Philosophie*, I, p. 7.

z konieczności swojej natury opiera się i buduje. W ten sposób poznaliśmy z oczywistością, że w każdym sądzie na seryo wydanym przynajmniej cztery owe prawdy zasadnicze i jako niewątpliwe koniecznie i jako kategorycznie stwierdzone zawierają się, że one są koniecznym fundamentem, są niejako podświadomemi *idées-fixes* poznania naturalnego: powiedzieliśmy więc sobie, że słuszna a nawet konieczna jest, ażeby i filozof, wysunąwszy je na pełne światło nad progiem świadomości, za swój fundament z refleksyą je postawił, za *idées-fixes,* ale świadome, poznania i badania filozoficznego przyjął.

Fundament nasz zatem nietylko nie jest chwiejny i wątpliwy — nie jest on też wadliwy. Mają te prawdy nadto jeszcze to do siebie, że są fundamentalne nietylko dla logiki formalnej lub teoryi poznania, ale i dla wszystkich gałęzi metafizyki, a więc dla filozofii całej. Są to niejako cztery kamienie węgielne w fundamentach gmachu filozoficznego, cztery główne filary, dźwigające sklepienia wyniosłej świątyni filozoficznej, cztery główne korzenie, zasilające i podtrzymujące olbrzymie drzewo umiejętności filozoficznych.

A każda z tych prawd jest w ścisłem słowa znaczeniu podstawowa. Bez którejkolwiek z nich nietylko zachwiałby się tum filozoficzny, ale runąłby niezawodnie; co więcej, runęłyby nawet trzy inne filary. Chociaż bowiem każda z tych prawd jest i pierwotna i fundamentalna, to jednak nie są one pod każdym względem niezależne od siebie. Każda z nich jest w jednym porządku pierwszą prawdą i od innych niezawisłą, jednocześnie każda pod innemi względami zależy od prawd pozostałych i na nich się koniecznie opiera.

Fakt samowiedzy jest pierwszy i niezależny co do swej świadomej aktualności; pod względem swej niewątpliwej oczywistości, konieczności, racyonalności, opiera się na trzech prawdach pozostałych.

Fakt i zasada oczywistości jest pierwszą i niezawisłą prawdą co do swej podmiotowej pewności i nieomylności; pod względem swej świadomej aktualności, logicznej konieczności, racyonalności zależy od prawd innych.

Zasada tożsamości i niesprzeczności jest pierwsza i niezawisła co do swej logicznej konieczności; gruntuje się na innych pod względem aktualności, nieomylnej oczywistości, racyonalności.

Zasada racyi jest pierwsza i niezależna pod względem swej racyonalności, zrozumiałości; nie jest pierwsza i zależy od innych, o ile jest sądem aktualnym, oczywistym, logicznie koniecznym.

W taki sposób mamy w fundamentach filozofii zagwarantowany podmiot poznający i przedmiot ogólny poznania, jako też ich konieczną tożsamość logiczną; mamy daną nieomylność poznania w pewnych przynajmniej warunkach ze strony jaźni i racyonalność lub zrozumiałość zasadniczą samej niejaźni.

Tak pojmujemy zasadniczy punkt wyjścia w badaniu filozoficznem. Nie zrywamy z pewnością zwyczajną, naturalną, ani burzymy jej wcale — jeno poddajemy ją introspekcyi, analizie szczegółowej; uświadamiamy ją sobie dokładnie, by następnie w poznaniu filozoficznem niczego nie przyjmować ślepo bez racyi, ani nawet instynktownie tylko, podświadomie. W samych fundamentach zaznaczamy, stwierdzamy i stawiamy pewną nieomylność, niezachwianość, bezwzględność umysłu naszego; stajemy w tym względzie po stronie krytycznego dogmatyzmu — bośmy się naocznie i namacalnie przekonali, że prawdy te, że fundament ten, w gruncie rzeczy wszystkie szkoły niedogmatyczne tak samo suponują i przyjmują; suponować i przyjąć, chociaż wbrew woli swojej, muszą.

Kiedy Archimedes odkrył i sformułował zasadnicze prawo dźwigni, zdziwiony jego prostotą i doniosłością, miał powiedzieć pamiętne te słowa: daj mi punkt oparcia, a poruszę ziemię (δός μοι ποῦ στῶ καὶ κινήσω τὴν γῆν). Pierwszy twórca mechaniki chciał tylko ziemię dźwignąć z węgłów swoich; umysł filozoficzny nie zadawala się ziemią, jego wzrok sięga głębiej, wyżej i dalej, on skończonością swoją pragnie chwycić nieskończoność samą, chce objąć wszechbyt cały. Filozof potrzebuje bardziej od Archimedesa punktu oparcia. Archimedesowi nikt nie ofiarował stosow-

nego miejsca, nikt nawet tego nie mógł uczynić — Archimedes nie poruszył ziemi z posad swoich. Filozof może w sobie samym znaleźć niewzruszony punkt oparcia dla pracy swojej, on ma bezpieczną ostoję i podwalinę niezachwianą w owych jasnych, bezpośrednich, przez się oczywiście zrozumiałych prawdach, między któremi cztery dokładniej przez nas rozebrane to najodpowiedniejsze cztery główne filary, cztery kamienie węgielne budowli jego. Na tym fundamencie filozof silnie może i bezpiecznie stanąć i oprzeć się. Wśród burz stać on będzie na posadach swoich niewzruszony i niezachmurzony — siłą i energią umysłu swego nie ziemię tylko, ale wszechświat cały poruszyć będzie w stanie; wzrok swój spokojnie zatapiać będzie w świecie nieskończonym ideałów, odwiecznych prawd, logicznych i metafizycznych; on dojdzie niezawodnie po szczeblach jestestw skończonych i względnych aż do Tego, który jest bezwzględną pełnią bytu, prawdy, dobra i piękna, do Tego, który kiedyś powiedział o sobie: Ἐγώ εἰμι ὁ Ὤν, Jam jest Jahve.

Ks. J. Nuckowski.

ASTRONOMICZNE OKREŚLENIE DNIA WIELKANOCY

U OJCÓW KOŚCIOŁA.

(Ciąg dalszy).

Hillel nie dla współczesnych tylko Żydów pracował, chociaż dla nich układał swoje tablice; także i nam wyświadczył dość wielką przysługę, bo jego tablice zupełnie zgodnie z wcześniejszym Ptolomeuszem, zgodnie nawet z Kopernikiem, późniejszym przecie o tyle wieków, zgodnie nakoniec z ostatniemi rocznikami astronomii, wystawiają nam stan nieba w r. 344-ym: dlatego pozwalają obliczyć cykliczne zmiany księżyca w wieku V-ym, kiedy tabliczkę św. Anatola utrwalił na wieki św. Cyryl; ten to aleksandryjski patryarcha korzystał już ze wszystkich dodatków do tej tablicy, używanych obecnie we Wschodnich Cerkwiach.

Bliżej tę sprawę wyjaśnia załącznik II. (str. 402).

W ciągu lat trzystu, od czasów soboru nicejskiego do świętego Maksyma, narósł nowy błąd w zrównaniu księżyca i doszedł do rozmiarów zbyt widocznych, aby kto mógł o nim wątpić. To też św. Maksym troskliwie bada stan kanonu i znajduje w nim na dziewiętnaście lat tylko pięć, w których dnie czternaste przypadają jeszcze zgodnie z księżycem; trzynaście razy kanon wskazuje owe dnie o całą dobę za późno, bo na niebie księżyc przebywa już pełnię, a raz na dziewiętnaście lat kanon aż o dwie

doby mylnie wskazuje czternasty dzień w dniu szesnastym po nowiu [1].

Nie lepiej stała sprawa z początkiem dziewiętnastolecia. Co do zasady, nikt nie przestawał ze św. Anatolim szukać roku, w którym nów wypada w dzień równonocny, na początek dziewiętnastolecia. Ale gdzie znaleźć ten rok? Poprawka z w. IV-go dodała wrota księżyca, (aby z wzoru $\frac{L+17}{19}$ odczytać ten początek,) ale w w. VII-ym na rok odpowiedni poprawce, wskazanej tym wzorem, nów wypadał 20-go marca, a równonocnia już 18-go. Więc św. Maksym stawia wniosek nowej poprawki, ale zawsze opartej na św. Anatolu, od którego myśli w niczem nie odstępuje [2].

Wschód, chociaż o oczywistym nieładzie nie wątpił, jednak przy nim pozostał, bo nie uznał za dostateczną rady św. Maksyma. A Zachód?... Dziwnie wtedy odbijał Zachód od uczonego Wschodu: bez Aleksandryi nikt na najdalszych krańcach Portugalii albo Anglii nie śmiałby kropki dodać albo ująć w dziele astronomicznem. Tak w „Egipcyan“ wierzy Beda, że zapytany, czemu równonocnia w jego czasie już 17-go marca wypada? czemu o trzy doby wyprzedza swój dzień kanoniczny? daje odpowiedź, którą chyba tak można streścić: u nas mgła wielka panuje, więc źle widzimy równonocnię; Egipcyanie oglądali ją lepiej, więc równonocnia wypada zawsze 21-go marca. Wobec obojętnego Wschodu i nieruchomego Zachodu, św. Maksym zabrał głos przestrogi, która przebrzmiała prawie bez posłuchu [3].

---

[1] Τοῦ ἐν ἁγίοις πατρὸς ἡμῶν Μαξίμου μονάχου καὶ Μάρτυρος ἐξήγησις κεφαλαιώδης περὶ τοῦ κατὰ Χριστὸν τὸν Θεὸν ἡμῶν σωτήριον Πάσχα. Λογος α΄ κεφ ις΄.

[2] Tamże: Λογος α΄ κεφ ιγ΄. Ποθὲν ἀεὶ τὸ πρῶτον ἄρχεται καὶ ποῦ τὸ τελευταῖον λήγει; Ἡ τεχνικὴ ψῆφος αὕτη καὶ μέθοδος γέγονεν... ἵνα καὶ ὡς εἷς ἐνιαυτὸς ἡλίου πάντοθεν ἑαυτὸν τυγχάνων ἴσος καὶ ὅμοιος ὁ πᾶς τῆς ἐννεαδεκαετηρίδος κύκλος δεχθῇ· ὡς ἀπὸ τοῦ αὐτοῦ εἰς τὸ αὐτὸ σημεῖον ἀρχομενός τε καὶ περατούμενος· οἷον κατὰ μὲν τὸ πρῶτον ἔτος αὐτοῦ λαμβάνων ἀεὶ τὴν ἀρχὴν ἐν τῇ τοῦ Μαρτίου μηνὸς εἰκάδι τρίτῃ· κατὰ δὲ τὸ τελευταῖον, ἤγουν τὸ ἔννεα καὶ δέκατον, τὸ τέλος δεχόμενος κατὰ τὴν τοῦ αὐτοῦ μηνὸς εἰκάδα δευτέραν.

[3] Pisma świętego męczennika świadczą, że kanon aleksandryjski stracił już swój pierwotny napis nad 14-emi dniami, przechowany w tablicy św. Cyryla; św. Maksym nie kładzie w ich nagłówku dobitnych liczb,

Po św. Maksymie już nikt nie wątpi o tem, że kanon stawia kresy wielkanocne na dnie pełni, ale zaczynają mniemać nawet na Wschodzie, że tak być powinno. Już tylko zachowawczy Zachód pamięta, że przed wiekami kresy wielkanocne wskazywały przeddzień pełni. Zatem w potocznej mowie przeszło w zwyczaj mówić, że Wielkanoc przypada w niedzielę po pełni. Niepoprawny zwrot mowy wyrobił potem jakoby nowe prawo dla dnia Wielkanocy.

Tak kanon, w sobie samym nie tknięty i w niczem istotnie nie zmieniony, zaczął znaczyć coś innego, niż wyrażał pierwotnie: w skutek jedynie nagłówka opuszczonego nad 14-emi dniami po nowiu. Drugą także różnicę przedstawia nam św. Maksym między kanonem z szóstego wieku a tablicą św. Cyryla. Ani ta różnica nie stanowi zmiany istotnej, przecie znowu wprowadza w błąd czytelnika, bo zaciera całą myśl, z jaką św. Anatol obierał początek dziewiętnastolecia, a którą św. Cyryl uszanował wiernie. Na pierwszy rok patryarcha-astronom postawił epaktę 0, aby wyrazić, że w tym roku równocześnie słońce wchodzi w znak równonocny na początek wiosny, a księżyc wraca do początku swojej drogi od nowiu. Powstał stąd pierwotny rząd epakt u św. Cyryla:

0, 11, 22, 3, 14, 25, 6, 17, 28, 9, 20, 1, 12, 23, 4, 15, 26, 7, 18.

Następnie epakty zaczęły wikłać sprawę: pokazywały w pierwszym roku dziewiętnastolecia nów, (więc przyrost dni księżyca = 0) na dniu 22-im marca, wszakże nie na dniu równonocni, bo ten już przeszedł: więc podawały sam nów zgodnie z księżycem w wieku V-ym, ale bez żadnego pożytku, bo nikomu nie zależało na tem nic, ile dni upłynęło od nowiu do dnia 22-go marca; dzień ten nie stanowił nic szczególnego, odkąd nie rozpoczynał wiosny. Więc epakty zalegały w tablicy bez potrzeby; mimo to nie usłyszały wyroku, że mogą odpaść z tablic; bez nich można

---

tylko napisuje wyraz: ποσταῖαι, a w przypiskach objaśnia ten wyraz dodatkiem: τῶν μηνῶν Μαρτίου καὶ Ἀπριλίου, ἐν αἷς συναντᾷ πάντως ἡ δ' καὶ ι' τοῦ πρώτου καθ' Ἑβραίους μηνὸς, ἤγουν τὸ κατ' αὐτοὺς Πάσχα, καὶ ἐκ ταύτης λοιπὸν εἰς τὴν ἐπιοῦσαν ἁγίαν ὑπερτιθέμεθα Κυριακὴν τὴν τῆς ἀναστάσεως ἑορτήν. Tamże: Λογος α', κεφ. ιβ' ιϐ', Λογος β' cały.

podzielić liczbę lat przez 19 i z pozostałej reszty odrazu znaleźć kres wielkanocny w tablicy św. Anatola. Przecie zmysł zachowawczy znalazł radę: z tablicy nie wyrzucił epakt, ale obrócił je na nowy użytek.

W dziewięć dni po 22-im marca następuje ostatni dzień tego miesiąca, który miał już coś osobliwego w siódmym wieku po Chr. P., bo stanowił koniec roku Cerkiewnego, jak świadczy św. Maksym w przytoczonem dziele. Otóż na dziesiątem pierwotnie miejscu stała epakta 9: ta przeszła teraz na pierwsze miejsce, aby wskazywać, że w pierwszym roku dziewiętnastolecia w dzień ostatni marca księżyc liczy dziewiąty dzień po nowiu. Na następny rok wypadła epakta 20 i tak poszły dawne epakty w porządku podobnym do dawnego, tylko na inne lata przeznaczone. Takiej zmiany nigdzie nie widać u pisarzów Zachodnich. Jednak św. Maksym podaje ją, jako przyjętą na Wschodzie, chociaż nieustaloną; nie gani tej zmiany, owszem przemawia w jej obronie [1].

Ale do tego użytku epakty nie długo służyły. Inny dzień zyskał przewagę nad dniem 31-ym marca, mianowicie pierwszy dzień stycznia. Od 1-o stycznia do 31-o stycznia upływa dni 89 w roku zwyczajnym, a ta całkowita liczba wyraża przybliżony przeciąg trzech miesięcy synodycznych, które dają dni 88·591 767 361: stąd wynika, że ile dni całych od nowiu liczy księżyc w ostatnim dniu marca, tyle ich ma w przyroście swoim

---

[1] Tamże: Λογος α' κεφ. κζ'. Αὗται δὲ ἐπακταὶ ἡμέραι τυγχάνουσιν, ἃς τὸ ἔτος τῆς σελήνης πάντη τε καὶ πάντως ἔχον εὑρίσκεται κατὰ τὴν τριακάδα πρώτην τοῦ Μαρτίου μηνός. Ἐπειδὴ ταύτας ἀεὶ δέον εἰδέναι πόται τυγχάνουσιν· λυσιτελοῦσι γὰρ εἰς τὸ τὴν ποσταῖαν τῆς σελήνης ἐν ἑκάστῳ τῶν δυοκαίδεκα μηνῶν ψηφίζεσθαι. Na nowy użytek obrócone epakty spełniały swój obowiązek jako tako zgodnie z księżycem, ale w samej rzeczy widać, że jeszcze powszechny zwyczaj nie ustalił nowego porządku, bo znajdujemy epakty nawet w pismach św. Maksyma różnie ustawiane: więc w księdze 1-ej rozdz. 1-ym idą od początku dawnego dziewiętnastolecia:

9, 20, 1, 12, 23, 4, 15, 26, 7, 18, 29, 10, 21, 2, 13, 24, 5, 16, 27;

w ks. 2-ej rozdz. 1-ym trochę inaczej od tegoż początku:

9, 20, 1, 12, 23, 4, 15, 26, 7, 18, 29, 10, 21, 2, 14, 25 6, 17, 28;

a według dziewiętnastolecia rzymskiego o trzy lata później:

12, 23, 4, 15, 26, 7, 18, 29, 10, 21, 2, 14, 25, 6, 17, 28, 9, 20, 1.

pierwszego dnia stycznia: więc jeszcze przed końcem siódmego wieku św. Andrzej Jerozolimski daje poznać, że epakty wskazują stan księżyca na dniu 1-ym stycznia [1].

Od początku 8-go stulecia każda epakta pokazywała nów zacofany o jeden dzień, który narasta w ciągu 310 lat, stąd powstać mogła wówczas zasada, później ogólnie przyjęta, że epakta wyznaczać ma pierwszy dzień po nowiu.

Ale do środka XIV-go w. błąd miał sześć z górą wieków czasu, aby dorość do trzech dni: więc spotykamy znowu zmieniony porządek epakt w tablicy, która w pismach Izaaka Mnicha z XIV-go w. przychodzi pod nazwą kanonu św. Jana Damasceńskiego, i bardzo już przypomina tablicę obecnie spotykaną w księgach Cerkiewnych. Tak tedy w XIV-ym w. wygląda Κανὼν τῆς τοῦ σεβασμοῦ καὶ μεγάλου Πάσχα εὑρέσεως συντεθὲν παρὰ τοῦ ὁσίου καὶ Θεοφόρου Πατρὸς ἡμῶν Ἰωάννου τοῦ Δαμασκηνοῦ.

Κύκλος	Πάσχα τὸ νομικόν	1 7 12 18	2 13 19 24	3 8 14 25	9 15 20 26	4 10 21 27	5 11 16 22	6 17 23 28	Θεμέλιοι ἡλίου
1	A 2	A 7	A 6	A 5	A 4	A 3	A 9	A 8	14
2	M 22	M 24	M 23	M 29	M 28	M 27	M 26	M 25	25
3	A 10	A 14	A 13	A 12	A 11	A 17	A 16	A 15	6
4	M 30	M 31	A 6	A 5	A 4	A 3	A 2	A 1	17
5	A 18	A 21	A 20	A 19	A 25	A 24	A 23	A 22	28
6	A 7	A 14	A 13	A 12	A 11	A 10	A 9	A 8	9
7	M 27	M 31	M 30	M 29	M 28	A 3	A 2	A 1	20
8	A 15	A 21	A 20	A 19	A 18	A 17	A 16	A 22	1
9	A 4	A 7	A 6	A 5	A 11	A 10	A 9	A 8	12
10	M 24	M 31	M 30	M 29	M 28	M 27	M 26	M 25	23
11	A 12	A 14	A 13	A 19	A 18	A 17	A 16	A 15	4
12	A 1	A 7	A 6	A 5	A 4	A 3	A 2	A 8	15
13	M 21	M 24	M 23	M 22	M 28	M 27	M 26	M 25	26
14	A 9	A 14	A 13	A 12	A 11	A 10	A 16	A 15	7
15	M 29	M 31	M 30	A 5	A 4	A 3	A 2	A 1	18
16	A 17	A 21	A 20	A 19	A 18	A 24	A 23	A 22	29
17	A 5	A 7	A 6	A 12	A 11	A 10	A 9	A 8	10
18	M 25	M 31	M 30	M 29	M 28	M 27	M 26	A 1	21
19	A 13	A 14	A 20	A 19	A 18	A 17	A 16	A 15	2

[1] Τοῦ μακαριωτάτου Ἀνδρέου Κρήτης τοῦ Ἱεροσολυμιτοῦ μέθοδος, πῶς δεῖ εὑρεῖν τὸν κύκλον τοῦ ἡλίου· Γίνωσκε δὲ καὶ τοῦτο ὅτι ἥλιος ἄρχεται ἀπὸ τῆς α' τοῦ Ὀκτομ-

Tablica ta ma na górze, zamiast liczb niedzielnych, wrota słońca tak stosownie ustawione, że odrazu z nich i z wrót księżyca, (zwanych κύκλοι,) można wyczytać niedzielę wielkanocną, obchodzoną w całem chrześcijaństwie do roku 1582-go, a na Wschodzie do dzisiaj. W drugim rzędzie liczb, pod nagłówkiem Πάσχα τὸ νομικὸν, przychodzą kresy wielkanocne św. Anatola, ale z początkiem dziewiętnastolecia przełożonym na trzecie miejsce od końca. W ostatnim rzędzie przechodzą epakty, pod nagłówkiem: Θεμέλιοι τῆς σελήνης, i wskazują stan księżyca w 1-ym dniu stycznia, (jak świadczy Izaak temi słowami w opisie kakanonu κεφ ϑ' ιξ': ὑπέθεντο μὲν τὴν ἀρχὴν τοῦ Ἰανουαρίου καὶ τῶν σεληνιακῶν κύκλων ἀρχὴν... ἀπὸ τοῦ Ἰανουαρίου τήν τε ἀρχὴν τῶν σεληνιακῶν ποιούμεθα κύκλων καὶ τὴν τῶν κατ' αὐτοὺς ἐπακτῶν λῆψιν.) Epakty tu już wróciły do lepszej zgody z księżycem, bo poszły znowu o dziesięć miejsc dalej, niż ustawiał je św. Maksym, więc razem cała ich droga od św. Cyryla w V-ym wieku do Izaaka w wieku XIV-ym wynosi miejsc 20, zatem ostatecznie stawia każdą o jedno miejsce wyżej, niż stawiał św. Cyryl, (bo po drodze 19-tu miejsc wracają tam, gdzie były z początku.) Tę zgodę z księżycem w wieku XIV-ym epakty opłaciły nowem odstępstwem od pierwotnej myśli, jaką miały wyrażać. Mianowicie w roku np. 4-ym dziewiętnastolecia pierwotnego epakta 3 znaczyła, że w 22-im dniu marca księżyc liczy 3 dni po nowiu, który nastąpił 19-go marca; stąd 2-go kwietnia księżyc liczył dni 14-cie; za czasu Izaaka księżyc 2-go kwietnia liczył dni 17, a już 30-go marca liczył 14 dni: więc 31-go marca i 1-go stycznia przebywał pełnię, w dni 15-cie po nowiu. Aby dać epaktę 14 na dzień, kiedy księżyc liczy dni 15, trzeba było postawić zasadę czysto filologiczną: nie od astronomicznego nowiu liczyć, tylko od *numenii*, dnia 1-go po konjunkcyi, od dnia właściwie zwanego po grecku numenią, po polsku nowiem [1].

βρίου μηνός, ἡ δὲ σελήνη ἀπὸ τῆς α' τοῦ Ἰανουαρίου μηνός· mówi to o wrotach księżyca, z których dalej uczy wyprowadzać epaktę: Εἰ βούλῃ εὑρεῖν πε τὸ τεμέλιον τοῦ φεβρουαρίου... κράτησον τοῦ ἐπιζητουμένου ἔτους τὸν κύκλον τῆς σελήνης, ὁπόσος καὶ ἦν i t. d.

[1] Tylko północne narody potrzebują nowiem nazywać dzień nastę-

Odtąd epakta wskazuje numenię.

Ten nowy obrót sprawy dowodzi, że umysły nad nią pracowały: znalazły radę chwilową, ale zamiast chorobę wyleczyć, zagmatwały całą sprawę do szczętu.

Załatwić ją obiecywał wiek czternasty, ale nie dokonał dzieła, choć miał pomyślne widoki. Okazał światu Wschodniemu wielkiego poplecznika nauk na stolicy carogrodzkiej w osobie Andronika cesarza. Na dwór jego mieli wstęp wolny najznakomitsi przedstawiciele ruchu umysłowego w każdej gałęzi wiedzy, a między nimi na niepoślednie stanowisko wstąpił Nikifor Gregorasów. W młodym wieku szybko przeszedł szczeble dostojeństw, przyjął stan duchowny i dostał w końcu powierzoną sobie pieczęć kanclerza.

Ten tedy Nikifor, krótko zwany Filozofem, spoglądał niespokojnem okiem na coraz jaskrawszy nieład z niedzielą wielkanocną. Kiedy jej kres w siódmem stuleciu z 14-go dnia po nowiu schodził na 15-y: wtedy jeszcze można było wystawić sobie, że tak ściśle nie trzeba zważać na różnicę między pełnią a jej przededniem, więc bezpiecznie można poczytywać kres wielkanocny za dzień pełni. Ale kiedy w czternastem stuleciu kres ten już dwa dni poza pełnię zaszedł aż do 17-go dnia po nowiu, wtedy już żaden przeciwnik poprawek nie umiałby wyłożyć, że między 14-ym dniem po nowiu a dniem 17-ym nie zachodzi znaczna różnica. Chcąc nie chcąc każdy musiał spostrzedz jakiś nieład; poczytywano to jednak za błąd tylko dwudniowy, bo już nikt nie pamiętał o pierwotnym kresie św. Anatola w przededniu pełni, a ogół liczył tylko ów kres z pełni przesunięty na siedemnasty dzień po nowiu, więc o dwa dni spóźniony.

To też nawet taka chluba bizantyńskiej Cerkwi, jaką stanowi Nikifor Filozof, w pierwotny stan kresu wielkanocnego nie wglądał, a myślał tylko, jak zaradzić uznanemu ogólnie błędowi

---

pny po astronomicznym nowiu, czyli konjunkcyi, bo podróżni świadczą, że w krajach tak posuniętych na południe, jak Egipt, czyste niebo pozwala widzieć cienki sierp księżyca już w kilka godzin po konjunkcyi, więc w sam dzień nowiu astronomicznego.

dwóch dni w tablicy Cerkiewnej. Wolny przystęp do cesarza ułatwiał mu sprawę: więc w stosownej chwili rozpoczął wśród licznego towarzystwa rozmawiać wobec Andronika o astronomii, aż przeszedł do właściwej rozprawy o stanie tablic wielkanocnych. Przemowę swoją sam następnie opisał w ks. Ρωμαικῆς Ἱστωρίας 8-ej rozdz. VIII. ustęp β; a streścić ją można w następnych wywodach:[1]

„Wypada tedy właściwie równonocnia wiosenna, kiedy słońce zaczyna wchodzić w znak Barana. A nie dzieje się to jednakowo każdego roku; za naszych czasów następuje równonocnia w dniu marca 14-ym (?... z rękopisów nie mogli dojść wydawcy, co właściwie za liczbę podał Nikifor, ale niewątpliwie mąż równej jemu nauki podał właściwą, tutaj wyrażoną,) pochodzi to wskutek mylnie podawanej u nas liczby dni w roku. Do trzystu sześćdziesięciu pięciu dni dodajemy ćwierć doby całą niepotrzebnie, bo jak Wielki mówi Ptolomeusz, nie całą, ale dodawać mamy ćwierć doby zmniejszoną o trzechsetną część; a jak u mnie wy-

---

[1] Γίνεται τοίνυν ἀκριβὴς ἰσημερία ἐν ἔαρος ὥρᾳ, ὁπότε περὶ μοῖραν πρώτην ὁ ἥλιος γένοιτο τοῦ κριοῦ... Γίνεναι δὲ οὐχ ὁμοίως ἐν ἅπασι ἔτεσιν.. νῦν δ' ἐρ' ἡμῶν ἑπτακαιδεκατὴν ἀνύοντος (tutaj rękopisy nie podają dnia zgodnie, ale wszystkie błędnie: ma być 14-go marca) αὐτοῦ (Μαρτίου)... παρὰ τὴν τῶν ἐνιαυσίων ἡμερῶν ἀπαρίθμησιν, ἣν σφαλερῶς αὐτοὶ ποιούμεθα. Πρὸς γὰρ τοῖς τριακοσίοις ἑξήκοντα πέντε νυχθημέροις τίθεμεν καὶ ὁλόκληρον τέταρτον νυχθημέρου ἑνός, οὐχ ὀφείλοντες οὕτω. Ὡς γὰρ ὁ μέγας φησὶ Πτολεμαῖος, τριακοσιοστοῦ δέοντος ἡμέρας μέρους δεῖ τοῦτο προστίθεσθαι καὶ οὐχ ὁλόκληρον· ὡς δ' ἔγωγε αὐτὸς ἐξακριβώσας εὗρον, μείζονος καὶ ἥκιστα τριακοσιοστοῦ τελέως... Τὸ δ' ἐξ ἐκείνου μέχρις ἡμῶν οὐκ οἶδ' ὅπως ἐῤῥᾳθυμημένον τὸ πρᾶγμα καὶ ἀδιόρθωτον ἔμεινε... Ἐπεὶ γὰρ οὐκ ἄλλοθέν ποθεν, ἢ τῆς πρὸς Κριὸν ἡλιακῆς εἰσόδου τὰ τῆς ἰσημερίας ἀποφαινόμεθα, τὴν δέ γε πανσέληνον ὁμοίως οὐκ ἄλλοθέν ποθεν, ἢ τῆς τοῦ ἡλίου διαμετρικῆς ἀποστάσεως, καὶ ἔτι γε τὸ Πάσχα τὸ νομικὸν οὐκ ἀλλοθέν ποθεν ἢ τῆς πανσελήνου· εὔδηλον ἄρα, ὡς τῆς ἰσημερίας ματαπεσούσης μετέπεσε καὶ τὰ τῆς πανσελήνου· καὶ ταύτῃ ἑπομένως συμπαρέλλαξε καὶ τὸ τῶν Ἰουδαίων Πάσχα, κἀκείνῳ δ' αὖ δήπου συμπαραλλάτειν χρεὼν καὶ τὸ ἡμέτερον... Ῥᾴδιον δ' ἂν εἴη βουλομένοις ἡμῖν ποιήσασθαι τὴν διόρθωσιν, βραχύ τι πλέον ἢ δύο νυχθημέρων ὑφαίροσιν ποιησαμένοις. Οὕτω γὰρ ὀνήκειν τοῖς μεταξὺ τοσούτοις ἔτεσιν ἡ τῆς ἀστρονομίας ἐπαγγέλλεται μέθοδος. Τούτου δὲ μὴ γιγνομένου τὸ σφαλερὸν οὐ μικρός. Συμπίπτει γὰρ ἔσθ' ὅτε, καθὰ καὶ πολλάκις ἤδη γεγένηται, οἴεσθαι μὲν εἶναι πανσέληνον τὴν Κυριακὴν καὶ πρώτην ἡμέραν τῆς μελλούσης ἑβδομάδος· οἴεσθαί γε μὴν τοῦτο ψευδές· γεγενῆσθαι γὰρ ἤδη πρὸ δύο νυχθημέρων, κατὰ τὴν ἕκτην δηλαδὴ τῆς παρεληλυθυίας ἑβδομάδος ἡμέραν· κἀντεῦθεν σφαλλομένους ἄλλην ἀντ' ἄλλης περιμένειν Κυριακὴς καὶ ποιεῖν τὴν ἀναστάσιμον ἑβδομάδα τῶν τοῦ Χριστοῦ παθημάτων. Καὶ τὰ ἑξῆς τοῦ σφάλματος ἐντεῦθεν γνώριμα τοῖς ἅπασιν.

pada z dokładnej rachuby, więcej jeszcze odjąć trzeba od ćwierci dnia".

Ptolomeusz powtórzył swój ułamek $\frac{1}{300}$ za Hipparchem, więc od nich obu lepiej obliczył Nikifor, bo istotnie reforma gregoryańska zmniejszyła ową ćwierć doby nie o $\frac{1}{300}$, ale o $\frac{3}{400}$; ten to właśnie błąd przesuwał równonocnię o 3 dni na 4 stulecia.

„A od onego czasu — pisze dalej Nikifor — nie wiem dlaczego aż do nas sprawa zalega, zaniedbana bez poprawki. Bo nie skądinąd, tylko ze słońca w znaku Barana poznajemy równonocnię; nie skądinąd także, tylko z równonocni otrzymujemy pełnię wiosenną; nie skądinąd jeszcze, tylko z pełni wiosennej dostajemy dzień Paschy starozakonnej: oczywiście więc, za błędem w równonocni powstaje błąd w pełni, za nim błąd w Pasce, za nim błąd w niedzieli wielkanocnej, związanej z Paschą starozakonną. A łatwoby poprawić błąd: chciejmy tylko przeskoczyć trochę więcej niż dwa dni, bo takiej poprawki w latach obecnych żąda prawo astronomiczne".

Uderzyć znowu musi troska cała Nikifora, na to wyłącznie zwrócona, aby poprawić błąd w niedzieli wielkanocnej: żąda przeskoku dwóch dni dla Wielkanocy, aby ją zgodzić ze stanem księżyca, a nie żąda wcale dla równonocni powrotu do dnia, którego wymagała zgoda ze słońcem. Mianowicie nalega na ten błąd, z którego sprawę zdaje prof. Karliński w przytoczonej rozprawie („Przyczynek" str. 18, 19): przy układzie kanonu pierwotnego „pominięto w Aleksandryi ową małą różnicę, wynoszącą w 310 latach 1 dnień, czyli w 25 wiekach 8 dni", zatem poprawka tablicy wielkanocnej od roku 437-go, (kiedy ją wydał zgodnie z księżycem św. Cyryl,) do roku 1324-go, (kiedy rozprawiał Nikifor,) z powodu samego tylko księżyca, obliczona okrągło na wieki, wynosi już $\mathbb{C} = -\frac{8}{25}(13-4) = -7\frac{2}{25}$, prawie 3 dni. Jednego dnia tu nie doliczył Nikifor, bo uważał, że kres wielkanocny z dnia pełni zachodzi na 17-y dzień po nowiu, a nie spostrzegł, że ten kres miał pierwotnie miejsce w 14-ym dniu po nowiu.

Inny błąd w tablicach tkwił z powodu słońca. O tym błędzie doskonale wiedział Nikifor i rozprawiał bardzo dokładnie;

wymieniał, w którym dniu każdego wieku, przypadała równonocnia;[1] w przytoczonych już słowach wskazał lepiej od Ptolomeusza poprawkę potrzebną. A mimo to do zgody ze słońcem nie wzywa, tylko niezgodę z księżycem wytyka i zdaje ze swoich zarzutów sprawę, aby zachęcić cesarza do stanowczego rozkazu:

„Gdyby nie doszło do naprawy błędu, niebezpieczeństwo wypłynie stąd niemałe. Zachodzi bowiem teraz, i zachodził już często wypadek, że poczytujemy za pełnię dzień niedzielny, pierwszy w następnym tygodniu, a poczytujemy mylnie, gdyż pełnia już była przeszła o dwa dni wcześniej, w piątek poprzedniego tygodnia, a wprowadzeni w błąd, zamiast na jedną niedzielę czekamy na drugą i z tygodnia Zmartwychwstania Pańskiego robimy tydzień Męki Pańskiej. A co za błąd w tem leży, każdemu jasno". Tu wymienia zasady, na których Ojcowie święci oparli swoje tablice pierwotnie, aby zaradzić na zamęt rozpowszechniony, kiedy „jedni pościli i z bólem wspominali Mękę Pańską, a drudzy do stołów szli wesoło, z powodu zwycięstwa Pana nad śmiercią, a ci i tamci źle swoje robili, bo na części dzielili jedno, i jednę duszę w kościele krajali, i targali piękne węzły zgody. Widząc to rozdarcie i to rozszarpanie, przewodnicy nabożeństw i Boscy nauczyciele, ustawami kanonicznemi, jakoby wałami rzuconemi, przeszkodzili, żeby nikt z wiernych nie obchodził święta Zmartwychwstania przed równonocnią wiosenną, ale w niedzielę następną po żydowskiej Pasce", (po pierwszej pełni wiosennej, dodaje według utartego zwyczaju). „I z tego powodu trzeba, żeby każdy z wiernych pilnie uważał na pełnię równonocną, jeżeli nie chce obyczaju Kościoła przekraczać"[2].

Cesarz, przekonany wywodami, przyznał Nikiforowi, że trzebaby przeskoczyć owe dni zbędne, gdyby to możebne; ale wydać tego rozkazu nie chciał, aby zamieszek nie wywołać.

---

[1] Tamże: ἐν τοῖς μὲν Ναβοναασσάρου (ἔτεσι) περὶ λῆξιν ἐσπερίαν τῆς τοῦ μαρτίου πέμπτης καὶ εἰκοστῆς. ἐν δὲ τοῖς Φιλίππου τοῦ Ἀριδαίου περὶ μεσεμβρίαν τῆς εἰκοστῆς τετάρτης αὐτοῦ i t. d.

[2] Tamże: Ἦπου γὰρ εἰκὸς, τοὺς μὲν ἀσιτίαν ἀσκεῖν καὶ συμπαθεῖν τοῖς τοῦ Σωτῆρος πάθεσι· τοὺς δὲ τροφὴν καὶ τοῖς ἐκείνου ἐπινικίοις συνήδεσθαι· καὶ τὸ καλὸν οὐ καλῶς ἑκατέρους ἐπιτελεῖν, πολλὰ ποιοῦντας τὸ ἓν καὶ διασπῶντας τὴν τῆς Ἐκκλησίας ὁμόνοιαν καὶ τὸν καλῶς ἀλληλουχούμενον μεριζομένους σύνδεσμον. Τοῦτο τοίνον

Więc ostatecznie myśl Nikifora na dobrej drodze powstrzymana, stanęła; ale nie chciała dać za wygranę: znalazła nowego rzecznika w Izaaku Czerńcu z Argyry, który w drugiej połowie tegoż wieku czternastego poruszył sprawę daleko silniej niż Nikifor, jaśniej i ściślej od niego wykazał potrzebę poprawki, ale zrażony odmowną odpowiedzią Andronika oświadczył w końcu, że tylko w teoryi sprawę wyświeca, a w praktyce zmiany żadnej nie żąda. Tak sprawę przedstawia [1]:

„Ów powrót księżyca do początku swojej drogi, po latach rzymskich rzekomo 19-u, zwany wrotami księżyca, nie zupełnie właściwie został za rzeczywistą prawdę przepuszczony; wykażemy to następnym sposobem“... (tu następują wywody, wcale udatne, ale tylko dla znawców zawodowych zrozumiałe, a z nich wypada wniosek bardzo mało różny od wyniku, powyżej tu powtórzonego za nowożytnymi astronomami, mianowicie Izaak wnosi): „w dziewiętnastoleciu poczwórnem, więc w 76-u latach

---

οὕτω τερμόμενον καὶ οὕτω διασπώμενον οἱ τῆς εὐσεβείας πρόβολοι καὶ θεῖοι συνιδόντες διδάσκαλοι θεσπίσμασι κανονικοῖς, ὡσπερεί τισι χαρακώμασι περιφράττουσι, μηδένα πιστὸν πρό γε τῆς ἠρινῆς ἰσημερίας τελεῖν τὴν τῆς ἀναστάσεως νομοθετήσαντες πανήγυριν· ἀλλ' ἐν Κυριακῇ τῇ ἐφεξῆς μετὰ τὸ Ἰουδαϊκὸν Πάσχα, τῇ μετὰ πανσέληνον δηλαδὴ τῇ μετ' ἰσημερίαν.

[1] Ἰσαακ μονάχου τοῦ ἀργυροῦ τῷ σοφωτάτῳ οἰναιότῃ κυρίῳ Ἀνδρονίκῳ, μεθόδους αἰτήσαντι λογικὰς ἐκθέσθαι ἡλιακῶν καὶ σεληνιακῶν κύκλων καὶ τῶν τούτοις ἑπομένων.

Κεφαλ ις'... ἡ διὰ τῶν ιθ' Ῥωμαϊκῶν ἐτῶν, οὓς καὶ σεληνιακοὺς κύκλους καλοῦμεν, γινομένη τῆς σελήνης ἀποκατάστασις, οὐκ ἔστι κατὰ τὸ πάντῃ ἀκριβές εἰλημμένη· ὡς προϊόντες δείξομεν... Τετραπλασιάζομεν τὴν ἐννεαδεκαετηρίδα τῆς σελήνης, καὶ γίνονται Ῥωμαϊκὰ ἔτη ος'... ἕξομεν τὴν ἀκριβῆ ἀποκατάστασιν τῆς σελήνης, προλαμβάνουσαν τὴν διὰ τῶν ἐννεαδεκαετηρίδων ἑξηκοστοῖς ἡμέρας ο', ιϐ' κθ'', ἅπερ εἰσὶ μέρος ἡμέρας ἔλασσον ἢ δ'. Τέως ἔστω δ' ἐγγιστα. Ὥστε ἐν τῷ Ῥωμαϊκοῖς ἔτεσιν ἡ διὰ τῶν ἐννεαδεκαετηρίδων ἀποκατάστασις μὴ ἀκριβὴς ὑστερεῖ τῆς ἀκριβεστάτης ἡμέρᾳ τελειᾳ α'... Τέως δ' ἵνα γνῶμεν μετὰ πόσα ἔτη τοῦ παρόντος τέλειαι β' ἡμεραι ἀπαρτισθήσονται αἱ τῆς ἀκριβείας ἐκπίπτουσαι, ἐποιήσαμεν ψηφοφορίαν πανσεληνιακῆς συζυγίας Ἰουδαϊκοῦ Πάσχα παρακειμένου τῷ τρίτῳ κύκλῳ τῆς σελήνης, ι' τοῦ Ἀπριλίου καταγεγραμμένην ἔχοντος. Εὕρομεν δὲ ταύτην ἐκπίπτουσαν διὰ τὸ μὴ ἀκριβές, ὡς εἴρηται, τῆς ἀποκαταστάσεως, ἣ τὸ κανόνιον χρῆται, εἰς τὴν η' τοῦ αὐτοῦ μηνὸς μετὰ ὥρας τρεῖς ἰσημερινὰς τῆς κατ' αὐτὴν ἀνατολῆς τοῦ ἡλίου. Ἐπεὶ οὖν αἱ τρεῖς ὧραι ἰσημεριναὶ η' μέρος εἰσὶ τοῦ ἡμερονυκτίου, ἐὰν τὸ τῶν Ῥωμαϊκῶν τϐ' ἐτῶν (ἐν οἷς ἡμερονύκτιον τέλειον προλαμβάνει ἡ ἀκριβὴς ἀποκατάστασις τὴν διὰ τὸν ἐννεαδεκαετηρίδων μὴ ἀκριβῆ) τὸ η' λάβωμεν, ὅ ἐστιν ἔτη Ῥωμαϊκὰ λη'· ἕξομεν μεθ' ὅσα μὲν ἔτη τοῦ ἐνεστῶτος τέλειαι ἔσονται ἡμέραι β' αἱ τῆς ἀκριβείας ἐκπίπτουσαι.

rzymskich, znajdziemy dokładnie kiedy wraca księżyc do początku swojej drogi, mianowicie przed końcem dziewiętnastolecia, bo brakuje jeszcze do końca siedmdziesięciu sześciu lat, szkrupułów 14′ 29″“. (Szkrupuł $= \frac{1}{60}$ dnia, więc podana liczba wynosi około 0·241 dni.) „Ta liczba wynosi nieco mniej od ćwierci dnia. Tymczasem niech będzie ćwierć. Zatem w 304-ch latach rzymskich dokładny powrót księżyca poprzedza o cały dzień owo niedokładne dziewiętnastolecie... Można obliczyć, po ilu latach dojdzie do końca druga doba, o którą teraz zostajemy w tyle poza dniem właściwego powrotu księżyca do początku drogi. Wzięliśmy pod uwagę żydowską Paschę, obchodzoną w pełnię, odpowiednią obecnym wrotom księżyca 3, które wskazują 10-y dzień kwietnia“...

Tu trzeba wiedzieć, że Izaak pisał to w rzekomym roku od stworzenia świata 6881-m, który zmniejszony o 5508 daje rok 1373-ci po Chr. P.; w roku tym wypadały greckie wrota księżyca 3 i wskazywały w kanonie aleksandryjskim 10-y dzień kwietnia jako 14-y dzień po nowiu i starozakonną Paschę. Zatem zupełnie słusznie Izaak wywodzi dalej: „A spostrzegamy, że wskutek niedokładnie, jak powiedziano, zdanej sprawy z obrotu księżyca, na której kanon spoczywa, pełnia rzeczywista nastąpi 8-o kwietnia, w trzy godziny po wschodzie słońca“. (I tę chwilę pełni podaje Izaak zupełnie zgodnie ze świadectwem astronomii teraźniejszej.) A trzy godziny stanowią ósmą część doby, więc otrzymamy lat rzymskich 38, to jest ósmą część 304-ch lat, w przeciągu których dokładny powrót księżyca wyprzedza o dobę powrót niedokładnie podany: stąd poznamy, po ilu latach owa druga doba różnicy upłynie cała“ [1].

---

[1] Tu najwyraźniej Izaak mówi o kanonie wielkanocnym św. Jana Damasceńskiego, a nie św. Cyryla, bo ten ostatni wypisywał jeszcze dobitnie liczbami dzień 14-ty po nowiu nad rzędem liczb, w którym na miejscu szóstem stoi kres wielkanocny 10-go kwietnia. Z tego to powodu nie mówi Izaak, że ten kres pozostał w tyle o trzy dni za księżycem, chociaż podaje dokładnie, że pełnia nastąpiła dnia ósmego kwietnia w trzy godziny po wschodzie słońca, więc 7-go kwietnia przeszedł dzień 14-ty po nowiu, zatem o trzy dni wcześniej, niż przychodził u św. Cyryla. Ze słów Izaaka widać, że jeszcze w XIV-ym wieku po Chr. P. przetrwał zwyczaj aleksan-

Ale dalszych słów pominąć nie można, bo zblizka już wyświecają ówczesne przepisy Cerkwi Wschodniej:[1]

„Więc trzeba dokładnie uważać. Kiedykolwiek żydowska Pascha, umieszczona na stałym dniu w miesiącu, wypada albo w niedzielę, albo w któryś dzień powszedni od poniedziałku do czwartku włącznie, wtedy nie błądzi nasza Wielkanoc, obchodzona w niedzielę następną; ale kiedy Pascha wypada w piątek albo w sobotę, wtedy błądzimy i bardzo. Bo niech wypadnie w piątek Pascha, tedy powinniśmy zaraz w następną niedzielę obchodzić Wielkanoc, a odkładamy ją jeszcze o niedzielę, bo dzień Paschy wskazany w kanonie o dwa owe dni wyżej opisane zostaje w tyle za dniami, które Pan Bóg wyznaczył. I w sobotę to samo zachodzi dla tej samej przyczyny: bo i w tym razie obowiązani obchodzić Wielkanoc w najbliższą niedzielę, zwlekamy aż do następnej wbrew przepisowi".

Czy słowa te mówią, że Cerkiew Wschodnia, wierna podaniom świętych ewangelistów, zachowuje zawsze d w a d n i w o l n e między dniem pełni a dniem Wielkanocy? Czy słowa te każą poświęcać owe dwa dni nabożeństwom o Męce Pańskiej i przekładać Wielkanoc dopiero na niedzielę następną po tych

---

dryjski, podług którego Ptolomeusz za początek doby uważał wschód słońca. Świadectwo Izaaka, zupełnie zgodne z astronomią, potwierdza jeszcze raz tablicę cyklicznych nowiów, opartych na Hillelu, bo według niej w roku

461-ym cykliczny nów wypadał dnia	85·463 637 731 48
w lat potem 912 pospieszył o $12 \times 0{\cdot}246\ 226\ 851 =$	2·954 72
w roku 1373-ym cykliczny nów wypadł	82·508 915 509 25
zatem w pół miesiąca synodycznego później	14·765 294 560 185
rok podczas pełni liczył dni	97·274 210 069 444

co daje właśnie 8-my kwietnia po wschodzie słońca.

[1] Διὸ προσεκτέον τὸ ἀκριβὲς. Τοῦ Ἰουδαικοῦ Πάσχα μόνῃ τῇ τοῦ μηνὸς ἡμέρᾳ ὑποκειμένου, συμβαίνοντος μὲν ἐν Κυριακῇ ἢ β', ἢ γ', ἢ δ', ἢ ε', τὸ παρ' ἡμῖν Πάσχα οὐ σφάλλεται, τῇ ἑφεξῆς Κυριακῇ τελούμενον· ὅταν δ' ἐν παρασκευῇ ἢ Σαββάτῳ, τηνικαῦτα καὶ μάλα τῆς ὀρθότητος ἐκπίπτει. Συμπίπτοντος μὲν γὰρ ἐν παρασκευῇ, ὀφείλοντες ἡμεῖς εὐθὺς τῇ ἑφεξῆς Κυριακῇ τὸ Πάσχα τελεῖν, εἰς τὴν μετ' ἐκείνην μεταβαίνομεν Κυριακήν· ἐπειδὴ τὸ ἐν τῷ κανονίῳ διαλαμβανόμενον Ἰουδαϊκὸν Πάσχα δυσὶν ἡμέραις ἀποδειχθείσαις πλεονάζει τοῦ κυρίως παρ' αὐτῶν τελουμένου· καὶ ἐν Σαββάτῳ δὲ τὸ ὅμοιον συμβαίνει διὰ τὴν αὐτὴν αἰτίαν. Ὀφείλοντες γὰρ καὶ οὕτως τῇ ἐπαύριον Κυριακῇ τελεῖν τὸ Πάσχα, εἰς τὴν μετ' αὐτὴν μεταβαίνομεν οὐκ ορθῶς.

dwóch dniach? A kiedy niedziela przypada na jeden z tych dwóch dni, bądź na pierwszy po pełni, bądź na drugi, czy świadectwo Izaaka wymaga, żeby Cerkwie Wschodnie przekładały dzień wielkanocny na następną niedzielę, wraz z dwoma dniami Męki Pańskiej? Więc czy Izaak gani Wielkanoc obchodzoną bezpośrednio po pełni? czy uważa taką Wielkanoc nie za obchód Zmartwychwstania Pańskiego a za obrzęd Paschy żydowskiej? czy twierdzi, że niewątpliwie Męka Pańska nastąpiła po pełni, więc kto jej rocznicę obchodzi przed pełnią, ten podwójnie depcze podania ewangielistów: raz co do dni Męki Pańskiej, drugi raz co do Wielkanocy?

Zupełnie przeciwnie Izaak potępia Wielkanoc, obchodzoną nie w niedzielę najbliższą po dniu piątkowym albo sobotnim, w którym Żydzi święcą dzień Paschy, a przełożoną na drugą dopiero niedzielę „wbrew przepisowi: οὐκ ὀρθῶς".

Jasnemi słowami złożył swoje świadectwo Wschodni pisarz z XIV-go stulecia. Dalsze słowa równie wyraźnie przedstawiają sprawę:[1]

„Pierwszy to błąd, i najczęstszy, który pochodzi z wyłuszczonej przyczyny: niedokładnie podanego powrotu księżyca na początek drogi; drugi błąd rzadziej wypada, a to z powodu przesuniętej równonocni". Następnie wykłada całą sprawę równonocni, przesuniętej z 21-o dnia marca na dzień marca już 14-y w owem stuleciu i dochodzi do wniosku:[2]

„Pierwotnie w kanonie podane pełnie i dnie żydowskiej Paschy, błędu nie zawierają, bo w kanonie nigdzie nie znajdziesz pełni przed 21-m dniem marca, pierwszym wówczas dniem od

---

[1] Ἓν μὲν δὲ τοῦτο, καὶ ὡς ἐπὶ τὸ πολὺ συμβαῖνον σφαλερὸν παρὰ τὴν εἰρημένην αἰτίαν, τὴν μὴ ἀπὸ τῆς ἀκριβοῦς ἀποκαταστάσεως· ἔστι δὲ καὶ ἕτερον (πλὴν σπανίως γινόμενον), διὰ τὴν τῆς ἰσημερίας μετάπτωσιν.

[2] Αἱ ἐν τῷ κανονίῳ παρακείμεναι πανσελῆνικαὶ ἡμέραι, καὶ τὸ Ἰουδαϊκὸν δηλοῦσαι Πάσχα, πρῶταί εἰσιν ἀσφαλῶς μετὰ τὴν ἰσημερίαν πανσέληνοι. Οὐδὲ γὰρ εὕροις ἂν τὸ κανόνιον παρατρέχον μὲν τὴν ἐν τῇ κα' τοῦ Μαρτίου πανσέληνον· ἥτις α' ἦν μετὰ τὴν ἰσημερίαν τότε, ἀντ' ἐκείνης δὲ ἑτέραν τὴν μετ' ἐκείνην ἔκρινον. Νῦν δὲ τῆς ἐαρινῆς ἰσημερίας ἓξ ἡμέραις, ἃς καὶ πλείοσιν ὑπισθοδρομησάσης, δύναιντ' ἂν ἄλλαι πρῶται πανσέληνοι πρὸ τῆς κα' τοῦ Μαρτίου γίνεσθαι, καθ' ἃς τῶν Ἰουδαίων τὸ Πάσχα τελούντων, ἡμεῖς ταῖς ἐν τῷ κανόνι ἀκολουθοῦντες ὁλόκληρον μετὰ τοῦ προσήκοντος ὑστεροῦμεν καιροῦ.

równonocni, nigdzie na miejsce tej pełni inna nie staje. Ale teraz, przy równonocni zacofanej o dni sześć i więcej, mogą pełnie wiosenne wyprzedzać dzień 21-y marca, i wyznaczą Żydom dzień Paschy, a nam, opartym o kanon, wypada o cały miesiąc przekroczyć czas właściwy".

Słowem, Izaak w XIV-m wieku tak samo uczy o niedzieli wielkanocnej tuż po żydowskiej Pasce, jak św. Anatol, św. Cyryl Aleksandryjski i św. Jan Damasceński, a z nimi także św. Andrzej zwany Jerozolimskim, biskup kreteński z siódmego stulecia, którego słowa w tej mierze brzmią najwyraźniej:[1]

„Skoro znajdziesz dzień Paschy zakonnej w niedzielę, przejdź do niedzieli następnej: tam miejsce chrześcijańskiej Wielkanocy; jeżeli Pascha wypada w poniedziałek, tak samo przejdź do niedzieli, i zawsze to samo każdego dnia aż do soboty, bo obie Wielkanoce wypadają w tym samym tygodniu, choć nigdy tego samego dnia".

Ks. Konstanty Czaykowski.

Załącznik II. (do str. 388).

Aby okazać zgodę między Hillelem a całą powagą najnowszej astronomii, trzeba najprzód powtórzyć za astronomami kilka liczb, a potem wyciągnąć z nich wnioski.

Rok zwrotnikowy liczy — jak podaje Hansen — dni 365·24220083, albo — jak podaje Le Verrier — 366·24219965 dni. Między obu temi pomiarami przychodzi liczba dni 365, godzin 5, minut 48, sekund 46·1, która tu służyć może, bo wygodniejszą przybiera postać w ułamku peryodycznym 365·24220023148.

Miesiąc synodyczny liczy, jak dziś ogólnie przyjmują, dni 29·5305887215, to jest ledwo o 0^s11 mniej, niż daje Hipparch, „atoli — uważa prof. Karliński (str. 8, „Kilka uwag...") — długość ta podlega zmianom w ciągu wie-

---

[1] Τοῦ μακαριωτάτου Ἀνδρέου Κρήτης, τοῦ Ἱεροσολυμιτοῦ μέθοδος, πῶς δεῖ εὑρεῖν τὸν κύκλον τοῦ ἡλίου.

..οὕτως ἀρίθμησον.. ὅπως εὕρῃς ἐν ποίᾳ ἡμέρᾳ γίνεται τὸ νομικὸν Πάσχα. Ἐπὰν δὲ εὕρῃς αὐτὴν, εἰ μὲν Κυριακὴ εἴη, ἄνελθε εἰς τὴν ἐπερχομένην Κυριακὴν· κἀκεῖσε ἦν τὸ Χριστιανῶν Πάσχα· εἰ δὲ δευτέρα ἐστὶν, ὡσαύτως τῇ ἐρχομένῃ Κυριακῇ, καὶ καθεξῆς ἄχρι τοῦ Σαββάτου· ἐν γὰρ μία ἑβδομάδι γίνονται ἄμφω τὰ Πάσχα, ἐν μίᾳ δὲ ἡμέρᾳ οὐδαμῶς.

ków". Można więc tu użyć dość przybliżonego ułamka peryodycznego dni 29·53058912037, wynikłego z używanej przez Hillela liczby dni 29, godz. 12, minut 44, sekund 2·9, pośredniej między obu liczbami powyższemi. Pomiar ten dziś ledwo około półtorej godziny błądzi, po 16-tu wiekach.

Zatem 235 miesięcy synodycznych liczą dni 6939·68844328703

19 lat zwrotnikowych liczy dni 6939·60180439814

stąd liczba miesięcy przewyższa liczbę lat o dni 0·08663888888

a dziewiętnasta część tej przewyżki daje nieco więcej nad 0·0043, stąd też wynika, że na sto lat zwrotnikowych zmiany księżyca zostają o blizko 0·43-cią część dnia w tyle za dniem słonecznego roku.

Porównać tu łatwo zwrotnikowy okres 19-stoletni z miesiącami synodycznemi, (bo każdy rok zwrotnikowy liczy tę samą ilość dni,) ale przy juliańskiem 19-stoleciu przeszkodę tworzy rok przestępny, który w tym okresie lat zachodzi czasem 4 razy, czasem 5; zatem wypada porównać okres 76-ciu lat z miesiącami synodycznemi, bo w tym okresie, w czterech dziewiętnastoleciach zawsze 19 razy wróci rok przestępny, stąd każdy okres 76-ciu lat liczy tę samą ilość dni $76 \times 365 + 19 = 27759$ dni. Odpowiedni przeciąg 940-tu miesięcy synodycznych daje

$$4 \times 235 \times 29 \cdot 5 \cdot 3058912037 = 27758 \cdot 753773148 \text{ dni},$$

słowem zmiany księżyca po czterech dziewiętnastoleciach juliańskich wyprzedzają słońce blizko o ćwierć dnia, (mianowicie o 0·246226851 dni,) skąd powstaje dzień cały, już wspomniany wyżej, na lat 310.

Podaje tedy Hillel swoją tablicę, z której można obliczyć, kiedy cykliczne nowie wypadały, w 76 lat później za czasów św. Cyryla Jerozolimskiego. Do tego trzeba zauważyć, że 12 miesięcy synodycznych wynosi 354·3670694, więc po juliańskim roku zwykłym, z dni 365-u, nowie pospieszają o 10·6329305 dni, a po przestępnym o jeden dzień więcej; znowu 13 miesięcy synodycznych wynosi dni 383·897 658 564 81, więc po zwykłym roku juliańskim zmiany księżyca zostają w tyle o 18·897 658 564 81 dni, po przestępnym o jeden dzień mniej. Więc w 76 lat po Hillelu nów wiosenny wypadł w dniu roku 89·454953 70, (mianowicie w roku 420-ym,) a od roku 418-go szły rok po roku nowie cykliczne w dniach następnych:

	upłynęło dni	do nowiu		upłynęło dni	do nowiu
w r. 418	81·190 225 694	23-o mca	w r. 456	81·567 112 268 51	23-o mca
	− 10·632 930 5			− 11·632 930 5	
w r. 419	70·557 295 138	12-o mca	w r. 457	69·934 181 712 96	11-o mca
	+ 18·897 658 564 81			+ 18·897 658 564 81	
w r. 420	89·454 953 703 70	30-o mca	w r. 458	88·831 840 27	30-o mca
	− 11·632 930 5			− 10·632 930 5	
	77·822 023 148			78·198 909 72	

	upłynęło dni do nowiu	
w r. 421	77·822 023 148	19-o mca
	− 10 632 930 5	
w r. 422	67·189 092 592	9-o mca
	+ 18·897 658 564 81	
w r. 423	86·086 751 157 40	28-o mca
	− 10·632 930 5	
w r. 424	75·453 820 601 85	16-o mca
	+ 17·897 658 564 81	
w r. 425	93·351 479 16	4-o kwt
	− 10·632 930 5	
w r. 426	82·718 548 61	24-o mca
	− 10·632 930 5	
w r. 427	72·085 618 05	14-o mca
	+ 18·897 658 564 81	
w r. 428	90·983 276 620 37	31-o mca
	− 11·632 930 5	
w r. 429	79·350 346 064 81	21-o mca
	− 10·632 930 5	
w r. 430	68·717 415 509 25	10-o mca
	+ 18·897 658 564 81	
w r. 431	87·615 074 074 07	29-o mca
	− 10·632 930 5	
w r. 432	76·982 143 518 51	17-o mca
	− 11·632 930 5	
w r. 433	65·349 212 962 96	7-o mca
	+ 18·897 658 564 81	
w r. 434	84·246 871 527	26-o mca
	− 10·632 930 5	
w r. 435	73·613 940 972	15-o mca
	+ 18·897 658 564 81	
w r. 436	92·511 599 537 03	2-o kwt
	− 11·632 930 5	
w r. 437	80·878 668 981 48	22-o mca
	− 10·632 930 5	
w r. 438	70·245 738 425 92	12-o mca
	+ 18·897 658 564 81	
	89·143 396 990 74	

	upłynęło dni do nowiu	
w r. 459	78·198 909 72	20-o mca
	− 10·632 930 5	
w r. 460	67·565 979 16	8-o mca
	+ 17·897 658 564 81	
w r. 461	85·463 637 731 48	27-o mca
	− 10·632 930 5	
w r. 462	74·830 707 175 92	16-o mca
	+ 18·897 658 564 81	
w r. 463	93·728 365 740 74	4-o kwt
	− 10·632 930 5	
w r. 464	83·095 435 185 18	24-o mca
	− 11·632 930 5	
w r. 465	71·462 504 629 62	13-o mca
	+ 18·897 658 564 81	
w r. 466	90·360 163 194	1-o kwt
	− 10·632 930 5	
w r. 467	79·727 232 638	21-o mca
	− 10·632 930 5	
w r. 468	69·094 302 083	10-o mca
	+ 17·897 658 564 81	
w r. 469	86·991 960 648 14	28-o mca
	− 10·632 930 5	
w r. 470	76·359 030 092 59	18-o mca
	− 10·632 930 5	
w r. 471	65·726 099 537 03	7-o mca
	+ 18·897 658 564 81	
w r. 472	84·623 758 101 85	25-o mca
	− 11·632 930 5	
w r. 473	72·990 827 546 29	14-o mca
	+ 18·897 658 564 81	
w r. 474	91·888 486 1	2-o kwt
	− 10·632 930 5	
w r. 475	81·25	23-o mca
	− 10·632 930 5	
w r. 476	70·622 625 0	11-o mca
	+ 17·897 658 564 81	
	88·520 283 564 81	

	upłynęło dni do nowiu	
w r. 439	89·143 396 990 74	31-o mca
	— 10·632 930 5	
w r. 440	78·510 466 435 18	19-o mca
	— 11·632 930 5	
w r. 441	66·877 535 879 62	8-o mca
	+ 18·897 658 564 81	
w r. 442	85·775 194	27-o mca
	— 10·632 930 5	
w r. 443	75·142 263 8	17-o mca
	+ 18·897 658 564 81	
w r. 444	94·039 922 453 70	4-o kwt
	— 11·632 930 5	
w r. 445	82·406 991 898 14	24-o mca
	— 10·632 930 5	
w r. 446	71·774 061 342 59	13-o mca
	+ 18·897 658 564 81	
w r. 447	90·671 719 907 40	1-o kwt
	— 10·632 930 5	
w r. 448	80·038 789 351 85	21-o mca
	— 11·632 930 5	
w r. 449	68·405 858 796 29	10-o mca
	+ 18·897 658 564 81	
w r. 450	87·303 517 361	29-o mca
	— 10·632 930 5	
w r. 451	76·670 586 805	18-o mca
	— 10·632 930 5	
w r. 452	66·037 656 250	7-o mca
	+ 17·897 658 564 81	
w r. 453	83·935 314 814 81	25-o mca
	— 10·632 930 5	
w r. 454	73·302 384 259 25	15-o mca
	+ 18·897 658 564 81	
w r. 455	92·200 042 824 07	3-o kwt
	— 10·632 930 5	
	81·567 112 268 51	

	upłynęło dni do nowiu	
w r. 477	88·520 283 564 81	30-o mca
	— 10·632 930 5	
w r. 478	77·887 353 009 25	19-o mca
	— 10·632 930 5	
w r. 479	67·254 422 453 70	9-o mca
	+ 18·897 658 564 81	
w r. 480	86·152 081 018 51	27-o mca
	— 11·632 930 5	
w r. 481	74·519 150 462 96	16-o mca
	+ 18·897 658 564 81	
w r. 482	93·416 809 027	4-o kwt
	— 10·632 930 5	
w r. 483	82·783 878 472	24-o mca
	— 10·632 930 5	
w r. 484	72·150 947 916	13-o mca
	+ 17·897 658 564 81	
w r. 485	90·048 606 481 48	1-o kwt
	— 10·632 930 5	
w r. 486	79·415 675 925 92	21-o mca
	— 10·632 930 5	
w r. 487	68·782 745 370 37	10-o mca
	+ 18·897 658 564 81	
w r. 488	87·680 403 935 18	28-o mca
	— 11·632 930 5	
w r. 489	76·047 473 379 62	18-o mca
	— 10·632 930 5	
w r. 490	65·414 542 824 07	7-o mca
	+ 18·897 658 564 81	
w r. 491	84·312 201 388	26-o mca
	— 10·632 930 5	
w r. 492	73·679 270 83	15-o mca
	+ 17·897 658 564 81	
w r. 493	91·576 929 398 14	2-o kwt
	— 10·632 930 5	
	80·943 998 842 59	

Tablica tych nowiów przedstawia je zgodnie najprzód z Ptolomeuszem. Mianowicie z tablicy tej nów wiosenny wypadł na rok 437-y w dniu 22-im marca, kiedy upłynęło dni roku 80·878 668 981 48. W 304 lat przedtem, przed 16-tu dziewiętnastoleciami, nów powinien był wypaść o $9 \times 0{\cdot}246\,226\,851 = 0{\cdot}984\,907\,4$ dni później, to znaczy, miało już upłynąć dni 81·863 576 38; półtora miesiąca synodycznego liczy dni 44·295 883 680 5; ostatnie dwie liczby dodane do siebie dają 126·159 459 969 4, więc wskazują pełnię w parę godzin po północy między dniem 6-ym a 7-ym maja, według czasu jerozolimskiego. A wiemy z dowodów Idelera (I, 100, 181) i Iwana Muellera (*Alterthumswissenschaft* 1 Band, str. 605: „Anfang des Kalendertags war in Makedonischer Kolonie Alexandreia der Sonnen-Aufgang. So bei dem Astronomen Ptolomeios;) że Ptolomeusz tę noc całą zaliczał do doby 6-go maja; więc to właśnie zaćmienie księżyca, zaszło podczas pełni wskazanej w tablicy, o którem Ptolomeusz opisuje dokładnie zebrane szczegóły w Almageście ks. IV, r. 4.

Podobnie w r. 136-m według powyższej tablicy nów wiosenny winien był nastąpić w dni $0{\cdot}984\,907\,4$ później niż w roku 440-ym; więc po upływie dni $78{\cdot}510\,466\,435\,18 + 0{\cdot}984\,907\,4 = 79{\cdot}495\,373\,842\,592$; poprzedziła ten nów pełnia o $14{\cdot}765\,294\,560\,185$ dni, nastąpiła więc 5-go marca, kiedy rok liczył dni $64{\cdot}730\,079\,282\,407$, wtedy nastąpiło zaćmienie księżyca zgodnie z tablicą na Hillelu opartą, o którem to zaćmieniu pisze Ptolomeusz, wspomniany w „Kilku uwagach“ str. 16.

Powtóre zgodnie z Kopernikiem przedstawia nowie powyższa tablica, obliczona podług Hillela. Mianowicie od roku 445-go do 1509-go upłynęło lat 1064 albo 14×76, więc w roku 1508 nowie powinny nastąpić w $14 \times 0{\cdot}246\,268\,51 = 3{\cdot}447\,175\,92$ dni wcześniej, niż w roku 445. Tablica podaje różnicę $82{\cdot}406\,991\,898\,14 - 3{\cdot}447\,175\,92 = 78{\cdot}959\,815\,972$. W półtrzecia miesiąca synodycznego później, więc w dni $73{\cdot}820\,472\,800\,925$, rok liczył dni $152{\cdot}780\,288\,773\,147$, to znaczy 2-go czerwca wypadła pełnia, a przytem zaćmienie księżyca, oglądane przez Kopernika tegoż dnia w Krakowie.

Także w r. 1511-ym nów powinien był wypaść według tablicy w dniu $90{\cdot}671\,719\,907\,40 - 3{\cdot}447\,175\,92 = 87{\cdot}224\,543\,281\,48$ bo nastąpił w 1064 lat po roku 447-ym. W półsiodma miesiąca synodycznego potem rok liczył dni $87{\cdot}224\,543\,281\,48 + 191{\cdot}948\,829\,824\,07 = 279{\cdot}173\,372\,563\,8$, to znaczy pełnia wypadła w nocy z 6-go na 7-y października, a przy niej Kopernik oglądał zaćmienie księżyca we Frauenburgu dnia 6 października.

W r. 1522-im nów powinien był znowu nastąpić w $3{\cdot}447\,175\,92$ dni wcześniej, niż przed 1064-a latami w r. 458-ym, więc w dniu $88{\cdot}831\,840\,27 - 3{\cdot}447\,175\,92 = 85{\cdot}384\,664\,351\,8$. W półszosta miesiąca później rok liczył dni $85{\cdot}384\,664\,351\,8 + 162{\cdot}218\,240\,162\,037 = 247{\cdot}602\,904\,513\,8$, to znaczy 5-o wrze-

śnia z wieczora wypadła pełnia a przy niej zaćmienie księżyca, oglądane przez Kopernika we Frauenburgu właśnie 5-go września.

Nakoniec w r. 1523-im nów wiosenny, o dni 3·447 175 92 wcześniejszy niż w r. 459-ym, powinien był podług tablicy wypaść w dniu 78·198 909 72 — 3·447 175 92 = 74·751 733 796 2. W półszosta potem miesiąca synodycznego rok liczył dni 74·751 733 796 2 + 162·218 240 162 037 = 236·969 973 958 3, to znaczy przed północą 25-go sierpnia wypadła pełnia, a przytem zaćmienie księżyca, oglądane tegoż dnia we Frauenburgu przez Kopernika.

W tych wypadkach różnica paru godzin nie znaczy nic, bo idzie tu o przeciętny czas pełni w miesiącu synodycznym, a nie o astronomiczną pełnię: więc mimo tych różnic, tablicę nowiów na wiek V-ty ułożoną podług Hillela, najdostateczniej potwierdza i Ptolomeusz i Kopernik.

Według powyższej tablicy mamy jeszcze np. wzór dla roku 1880-go

1444 lat = 19 × 76 daje poprawkę 19 × 0·246 226 851	= 4·678 310 184
rok 436-y liczył na nowiu wiosennym dni	92·511 599 537 0
więc rok 1880-y liczył na nowiu wiosennym dni	87·833 289 352 8
wcześniej o pół miesiąca synodycznego albo o dni	14·765 294 560 185
rok liczył dni	73·067 994 792 667

to znaczy 14/26-go marca nastąpiła pełnia, którą astronomiczny rocznik berliński zapisuje 26 marca około południa.

Albo:

rok 437-y liczył na nowiu wiosennym dni	80·878 668 981 48
1444 lat przyspieszy nów o dni	4·678 310 184
rok 1881-y liczy na nowiu wiosennym dni	76·200 358 797 29
później o pół miesiąca synodycznego, albo o dni	14.765 294 660 185
rok liczy dni	90·965 653 357 48,

to znaczy 1/13-go kwietnia późnym wieczorem nastąpiła pełnia. Rocznik berliński zapisuje ją według swojego południka o kilkanaście godzin później.

Słowem, tablica nowiów, podług Hillela obliczona na wiek V-ty, daje dostateczną rękojmię, że wówczas kanon aleksandryjski, z tą tablicą zgodny, także astronomicznym zmianom księżyca odpowiadał tak dokładnie, jak tylko mogą rzeczywistemu stanowi nieba odpowiadać tablice, obliczone cyklicznie.

Zgoda kanonu św. Cyryla z tablicą Hillela dochodzi także do stopnia zupełnie dostatecznego, bo w czterech dziewiętnastoleciach wyjątkowo zachodzi tu i ówdzie nów o kilkanaście godzin różny od kanonu. Inne nowie, co do godziny zgodne, (popodkreślane w tablicy,) przychodzą w takiej liczbie, że rozstrzygają sprawę i pozwalają powiedzieć ogólnie: aby obliczyć Wielkanoc w wieku V-ym, podziel liczbę roku przez 19,

Kiedy po podziale zostaje	Tedy wiosenny nów wypada dnia	Więc dzień 22-i marca (rzekoma równonocnia) liczy dni po nowiu	Masz Wielkanoc w niedzielę najbliższą po dniu
0	22-go marca	0	5-ym kwietnia
1	11-go marca	11	25-ym marca
2	30-go marca	22	13-ym kwietnia
3	19-go marca	3	2-im kwietnia
4	8-go marca	14	22-im marca
5	27-go marca	25	10-ym kwietnia
6	16-go marca	6	30-ym marca
7	4-go kwietnia	17	18-ym kwietnia
8	24-go marca	28	7-ym kwietnia
9	13-go marca	9	27-ym marca
10	1-go kwietnia	20	15-ym kwietnia
11	21-go marca	1	4-ym kwietnia
12	10-go marca	12	24-ym marca
13	29-go marca	23	12-ym kwietnia
14	18-go marca	4	1-ym kwietnia
15	7-go marca	15	21-ym marca
16	26-go marca	26	9-ym kwietnia
17	15-go marca	7	29-ym marca
18	3-go kwietnia	18	17-ym kwietnia

W świetle tych liczb można teraz zdać sprawę z tablic, któremi św. Cyryl, patryarcha aleksandryjski, powyznaczał niedziele wielkanocne na przeciąg lat 95, od r. 437-go włącznie do r. 531-go włącznie. Tablice te przestają już służyć jako wzór ogólny, dlatego podają szczegółowe lata zamiast podawać tylko rok okresu dziewiętnastoletniego; lat tych szczegółowych nie liczy jeszcze św. Cyryl od początku ery chrześcijańskiej, ale wypisuje lata tak zwanej ery Dyoklecyana, zaczętej z dniem 29 września 284-go r. po Chr.; liczb powyżej wypisanych w rzędzie drugim, to jest dni nowiów, nie wypisuje św. Cyryl, bo dojść łatwo do tych dni z wypisanych w trzecim rzędzie epakt.

Tak tedy wygląda ostatnie dziewiętnastolecie u św. Cyryla:

Lata Dyoklecyana	Indyk-cye	Epakty	Dnia z wrót słońca	Wrota księżyca	14-ty księżyc Paschy	Dzień Pański święta	Księżyc dnia święta
229	6	żadna	1	17	5-o kwietn.	7-o kwietn.	16
230	7	11	2	18	25-o marca	30-o marca	19
231	8	22	3	19	13-o kwietn.	19-o kwietn.	20
232	9	3	5	1	2-o kwietn.	3-o kwietn.	15
233	10	14	6	2	22-o marca	26-o marca	18
234	11	25	7	3	10-o kwietn.	15-o kwietn.	19
235	12	6	1	4	30-o marca	31-o marca	15
236	13	17	3	5	18-o kwietn.	19-o kwietn.	15
237	14	28	4	6	7-o kwietn.	11-o kwietn.	18
238	15	9	5	7	27-o marca	3-o kwietn.	21
239	1	20	6	8	15-o kwietn.	16-o kwietn.	15
240	2	1	1	9	4-o kwietn.	7-o kwietn.	17
241	3	12	2	10	24-o marca	30-o marca	20
242	4	23	3	11	12-o kwietn.	19-o kwietn.	21
243	5	4	4	12	1-o kwietn.	4-o kwietn.	17
244	6	15	6	13	21-o marca	26-o marca	19
245	7	26	7	14	9-o kwietn.	15-o kwietn.	20
246	8	7	1	15	29-o marca	31-o marca	16
247	9	18	2	16	17-o kwietn.	20-o kwietn.	17

Lata Dyoklecyana wyrażają tu okres lat 19-tu od 513 r. po Chr. P. do r. 531-go, po którym to okresie na dalszy ciąg lat Dyonizy, opat rzymski z przydomkiem Exiguus, poprowadził dzieło świętego Cyryla od roku 532-go do 626-go; następca Dyonizego, o ile wiadomo Regenbold, obliczył znowu na czternaście dziewiętnastoleci Wielkanoc od r. 627-go 892-go; nakoniec ostatni bezimienny pisarz dodał jeszcze dziewięć dziewiętnastoleci, od r. 893-go do 1063-go i na tym roku spoczęły tablice.

Dla prostej przyczyny już nie trzeba było tablic nowych: mianowicie dla tej, iż każdy z 19-stu kresów wielkanocnych przypaść może na którybądź z 7-miu dni tygodnia, więc po każdym kresie niedziela wielkanocna nastąpić może w siedmioraki sposób: ale po latach 28-iu niedziele wracają w stałym zawsze porządku po sobie (jak to okaże następnie tablica tak zwanych wrót słońca), więc po stałym okresie lat $19 \times 28 = 532$ niedziele wielkanocne wracają w tym samym porządku jedna po drugiej, jak je wypisał św. Cyryl a po nim Dyonizy i jego następcy. Tak np. przytoczone powyżej lata 513—531 podają wielkanocną niedzielę na te same dnie, w których całe chrześcijaństwo obchodziło Wielkanoc potem od r. 1045-go do 1063-go, i od r. 1577-go do 1582-go, a od roku 1583-go do 1595-go już tylko chrześcijański Wschód pozostał przy 5-ym okresie św. Cyryla bez żadnej w nim poprawki, i na przyszłe wieki wypisuje ten sam porządek na okres lat 2109—2127, 2641—2659 i t. d.

Tablica św. Cyryla (a za nim Dyonizego i jego następców,) podaje po epaktach, w następnym zaraz rzędzie, dnie wzięte z „wrót słońca". Wyrazy te brzmią zagadkowo dla każdego, kto nie zna ksiąg liturgicznych. W tych księgach kalendarz nie wymienia po nazwie dni tygodnia, (jak świecki kalendarz,) np. w r. 1899-ym

	nie pisze:		tylko:	
18	kwietnia	niedziela	18 kwietnia	4
19	„	poniedziałek	19 „	3
20	„	wtorek i t. d.	20 „	2 i t. d.

Tak podaje raz na zawsze przy dniach miesiąca jedne i te same liczby od 7 do 1 na dzień tygodnia, a co roku dodaje uwagę, która z tych liczb przez rok ten cały oznacza niedzielę. Używa przy tem obecnie tablicy z 28-miu miejscami; na których rozstawia liczby od jednostki do siódemki w następnym porządku:

	Na trzy lata zwykłe			Na rok przestępny
miejsce	1-e	2-e	3-e	4-e
	1	2	3	5
	5-e	6-e	7-e	8-e
	6	7	1	3
	9-e	10-e	11-e	12-e
	4	5	6	1
	13-e	14-e	15-e	16-e
	2	3	4	6
	17-e	18-e	19-e	20-e
	7	1	2	4
	21-e	22-e	23-e	24-e
	5	6	7	2
	25-e	26-e	27-e	28-e
	3	4	5	7

Miejsca te noszą nazwę wrót słońca i porządkowa ich liczba wypada z przepisu: Liczbę lat zwiększ o 20 i sumę podziel przez 28; reszta wskaże w tabliczce miejsce niedzieli. Słowem, służy do tego wzór: $\frac{L+20}{28}$.

Przepis ten zastosowany do lat Dyoklecyana w tablicy świętego Cyryla musiałby brzmieć: liczbę lat zmniejsz o 4 i różnicę podziel przez 28; reszta wskaże w tabliczce miejsce niedzieli. Więc w r. 229-ym wypadnie $\frac{225}{28} = 8 + \frac{1}{28}$, jedynka w liczniku wskazuje pierwsze miejsce w tablicy, więc niedzielę wyraża 1. Albo w 10 lat potem, roku 239-go, wypadnie $\frac{235}{28} = 8 + \frac{11}{28}$, jedenastka w liczniku wskazuje na jedenastem miejscu szóstkę, która wyraża niedzielę na rok 239-y. Służył tedy wzór $\frac{L-4}{28}$.

Niełatwo dojść do postaci, nadawanej w wieku V-tym tabliczce wrót słońca, kiedy św. Cyryl z niej korzystał. Oczywiście nie znał obecnie używanego wzoru $\frac{L+20}{28}$, bo nie liczył lat według ery chrześcijańskiej Tę erę tablic wielkanocnych wprowadził dopiero Dyonizy Opat.

Dopiero po św. Cyrylu św. Maksym w wieku VII-ym opisuje dwie tablice wrót słońca, używane za jego czasu. Obie ledwo z daleka przypominają tablicę, obecnie używaną na Wschodzie. Później św. Jan Damasceński, przytoczony w Izaaku Czerńcu, zestawił nową tablicę: także odmienną od dzisiejszej. Zachód pod tym względem zachował do dziś dnia wszelką swobodę: prawie na każdy wiek brewiarze inaczej rozpoczynają tablice, jak kiedy wypadnie, bo do istoty rzeczy należy tylko porządek, w jakim postępują po sobie głoski niedzielne, a nic nie zależy na tem, która głoska zacznie szereg: każde z 28-miu miejsc może stać na początku, byle użyć wzoru stosownego. Na to nie zwracają uwagi pisarze Wschodni i często podnoszą przeciw tablicom Zachodnim zarzuty niesłuszne, wytykają braki tablicom, które w swoim czasie dobrze służyły, ale już ustąpiły miejsca innym, jako przestarzałe; w tej sprawie Zachód idzie śladami Ojców, którzy używali tablic, raz tych, raz innych, jak kiedy wymagała zgoda z astronomią.

Nawet metropolita Jachimowicz nie zdaje sobie z tego sprawy (tamże str. 265, 293) i od Litrowa bierze poglądy, nieznane Ojcom świętym.

Aby korzystać z tablicy wrót słońca, musiał święty Cyryl znać jeszcze inną tablicę, która właściwie nie przedstawia nic więcej, tylko pierwotny kanon aleksandryjski, ustawiony wygodniej, aby załączyć do niego rzędem dnie tygodnia, liczebnie wyrażone, i dnie Wielkanocy. Tak ustawioną tablicę przedstawiają dawne księgi liturgiczne w następnej postaci:

Wrota księżyca	14-ty dzień po nowiu	Wrota słońca	Niedziela Wielkanocna	Klucz
13	21-go marca			
2	22-go marca	3	22-go marca	A
		2	23-go „	Б
10	24-go „	1	24-go „	В
18	25-go „	7	25-go „	Г
		6	26-go „	Д
7	27-go „	5	27-go „	Е
		4	28-go „	Ж
15	29-go marca	3	29-go marca	S
4	30-go „	2	30-go „	З
		1	31-go „	И
12	1-go kwietnia	7	1-go kwietnia	І
1	2-go „	6	2-go „	К
		5	3-go „	Л
9	4-go „	4	4-go „	М
17	5-go kwietnia	3	5-go kwietnia	Н
		2	6-go „	О
6	7-go „	1	7-go „	П
		7	8-go „	Р
14	9-go „	6	9-go „	С
3	10-go „	5	10-go „	Т
		4	11-go „	У
11	12-go kwietnia	3	12-go kwietnia	Ф
19	13-go „	2	13-go „	Х
		1	14-go „	Ѡ
8	15-go „	7	15-go „	Ц
		6	16-go „	Ч
16	17-go „	5	17-go „	Ш
5	18-go „	4	18-go „	Щ
		3	19-go kwietnia	Ъ
		2	20-go „	Ы
		1	21-go „	Ь
		7	22-go „	Ѣ
		6	23-go „	Ю
		5	24-go „	Ѧ
		4	25-go „	Я

Do wrót słońca: przy erze Dyoklecyana reszta z podziału $\frac{L-4}{28}$ wskazuje miejsce niedzieli; później przy erze chrześcijańskiej wzór $\frac{L+20}{28}$.

Z temi tedy dodatkami tablica św. Anatola służyła w wieku V-tym po Chr. P. i wskazywała owe dnie 14-te po nowiu zgodnie ze stanem księżyca, stwierdzonym za pomocą tablic Hillela. Dodatki takowe albo zmiana porządku tak wiernie przechowywały tablicę nietkniętą w jej wewnętrznym układzie, że zostawiły, wraz z całą jej istotą, także cały jej błąd co do zrównania słońca; jednak podają nam wskazówkę dostateczną, aby módz

dalej pracować w myśli Ojców świętych i utrzymać ich dzieło w takiej zgodzie z astronomią, na jaką je stać.

Wskazówkę, którą św. Cyryl podał, tak można streścić:

Na przeciąg paru wieków kanon poprawnie wskazuje nowie na lata obliczone podług pewnego wzoru. W dalszym ciągu wieków na lata tak obliczone nowie wypadają za późno o całą dobę, ale o jedenaście miejsc dalej kanon podaje inne nowie o dobę wcześniejsze, więc wystarczy użyć wzoru o jedenastkę większego niż poprzedni, aby znaleźć w kanonie lata, zgodne ze stanem księżyca.

Np. w wieku pierwszym lata podzielne przez 19 z resztą 11 znajdywały dla siebie w kanonie poprawnie wskazany nów w dzień równonocny, a inne znowu lata podzielne przez 19 z resztą 3, tak w kanonie jak na niebie, widziały dla siebie wskazany nów w przeddzień równonocni. Te ostatnie lata u świętego Cyryla rozpoczynały okres, obliczony z wzoru $\frac{L+17}{19}$; dla tamtych służyć musiał wzór $\frac{L+17+11}{19} = \frac{L+19+9}{19} = \frac{L+9}{19}$, bo $\frac{19}{19}$ nie zmienia wyniku. W czwartym wieku o całą dobę później wypadał nów: więc co pierwej dotyczyło lat podzielnych, jak wyżej z resztą 11, to teraz odpowiadało latom z resztą 3; nie żąda tedy kanon zmiany, tylko potrzebuje stosownych na każdy wiek wzorów, coraz większych o jedenastkę albo o ósemkę mniejszych.

O CHARAKTERZE I ZADANIU MUZYKI KOŚCIELNEJ.

I.

Z pomiędzy wszystkich sztuk najpopularniejszą, najprzystępniejszą dla ogółu ludzi, nieodłączną towarzyszką człowieka jest bez zaprzeczenia muzyka.

Jako sztuka umiejętna, systematyczna, ujęta w ściśle określone granice prawideł i form, a przybrana we wspaniałą szatę harmonii i kontrapunktu, muzyka jest młodszą od swoich siostrzyc, młodszą od architektury, malarstwa i rzeźby, jest produktem nowych czasów, nowej cywilizacyi. Poczęta pod koniec XVI. stulecia, w epoce, w której blask i chwała Odrodzenia chyli się do upadku, w naszych dopiero czasach i niemal pod naszem okiem mężnieje i rośnie, rozwija cały czar swojej potęgi, całe swe panowanie i władzę. A rozwija je tak szybko i z taką siłą, tak nowe i nieutarte dotychczas znajduje dla siebie szlaki, iż niepodobna bez zdumienia spoglądać na ten olbrzymi dystans, jaki oddziela wielkich muzyków XVIII. wieku — Bacha, Haendla i Głucka od ich następców — Haydna, Mozarta i Beethovena, a tych ostatnich od Mendelsohna, Schumana, Chopina i Liszta, od Wagnera i całej falangi współczych nam, żyjących, mniej lub więcej znanych i cenionych muzyków.

Lecz chociaż w kunsztownej i umiejętnej formie muzyka wyprzedzoną została przez inne sztuki, które już dawno przed nią, bo na całe dziesiątki wieków rozwijały się, kwitnęły i drgały

życiem, jako jedne z najważniejszych czynników cywilizacyjnych ludzkości, chociaż bez trudu możemy znaleźć i śledzić początki i rozwój umiejętnej sztuki muzycznej, to jednak to, co stanowi główny jej czar i potęgę, co jest jej duszą, siłą i życiem, bez czego ona nietylko że istnieć nie może, ale się nawet pojąć nie daje — melodya — starszą jest i dawniejszą niż wszystkie zabytki sztuki, jak wszystko, co geniusz ludzki zdołał wznieść i utworzyć na ziemi.

Melodyę człowiek na świat przyniósł ze sobą.

Ona się z nim na zawsze zżyła, zespoliła i zrosła; ona się nierozdzielnie zbratała z jego radością i smutkiem, z weselem i żałobą, z życiem i śmiercią. Ona przenikła nietylko w głąb jego socyalnych i rodzinnych stosunków, towarzysząc mu wszędzie, w uroczystych obrzędach, na zebraniach i wpośród pracy, dzieląc z nim jego zabawy lub wypełniając długie godziny odosobnienia i samotności, idąc z nim ślad w ślad po lądzie i morzu, po górach i lasach, lecz nadto wnika do jego serca, do jego duszy, przebiega w niej całą skalę najbogatszych, najróżnorodniejszych uczuć i wyrywa mu z niej takie wyrazy, takie akcenta, jakich żadna inna sztuka, żadne słowo oddać nie w mocy. — Bo muzyka poczyna się w uczuciu, wyrasta z uczucia i żywi się uczuciem, a jeśli prawdziwą jest definicya znakomitego rosyjskiego myśliciela, Leona Tołstoja, że sztuka polega na objawianiu i udzielaniu wzajemnem uczuć[1], to definicya ta odnosić się będzie na pierwszem miejscu do muzyki i z tego punktu widzenia należeć jej się będzie w sposób szczególny, *par excellence*.

W tym względzie, jako pierwiastek czynny w życiu ludzkiem, dzierży ona pierwszeństwo, bo podczas gdy inne sztuki potrzebują pewnego przygotowania i pracy, pewnego stopniowego wtajemniczania w sposób, w jaki je sobie przyswoić można, muzykę przyswaja sobie człowiek niemal bezwiednie, bez wszelkiego wysiłku i pracy, przyzwyczajając się za jej pomocą wyrażać i udzielać innym niektóre ze swoich uczuć tak, jak nie-

[1] *Qu'est-ce que l'Art.* Paris 1898.

mal bezwiednie przyzwyczaja się myśli swoje wyrażać słowami, jakie sobie dzieckiem przyswoił [1]. Naturalnie iż niema tu mowy o systemie muzycznym, o muzyce artystycznej i umiejętnej, bo ta, rzecz jasna, iż wymaga uprzednich studyów i przełamania niejednej trudności technicznej, ale mówimy tutaj o muzyce rodzimej i naturalnej, o tej melodyi, którąśmy powyżej nazwali duszą, siłą — życiem muzyki.

Ta tedy muzyka rodzima i naturalna wrodzoną jest człowiekowi, leży w samej jego naturze, podobnie jak wrodzonemi i właściwemi są mu uczucia, które ta muzyka objawia i wyraża, podaje i udziela innym. Brak tej muzykalności, tego poczucia i odczucia muzyki w duszy, jest u człowieka znamieniem charakteru samolubnego i niesfornego, niedostępnego temu, co prawdziwie dobre i piękne, niezdolnego do wyższych, szlachetniejszych porywów. Człowiek taki nie potrafi ukochać prawdziwie, nie umie się wznieść na wyżyny beznamiętnej miłości, czystej i świętej, bo mu brak tego niezbędnego żywiołu, który Shakespeare nazywa pożywieniem miłości: *Music is the food of lowe.* I dlatego w „Kupcu weneckim“ nie waha się nawet on wielki, niezrównany znawca uczuć i namiętności ludzkich pomawiać takiego człowieka o najgorsze, najdziksze instynkta:

> The man that hath no music in himself,
> Nor is not mov'd with concord of sweet sounds,
> Is fit for treasons, stratagems and spoils;
> The motion of his spirit are dull as night,
> And his effections dark as Erebus:
> Let no such man be trusted.
>
> *Merchant of Venice.* Act v. Sc. 1. [2]

---

[1] Rousseau utrzymuje, iż początki sztuki muzycznej są tak człowiekowi blizkie, że jeśli mowa ludzka nie rozpoczęła się śpiewem, to pewną wszakże jest rzeczą, że tam wszędzie jest śpiew, gdzie jest i mowa. (J. J. Rousseau, *Dictionnaire de Musique.* Oeuvres complètes. Paris 1826). — Strabon powiada, że śpiew i mowa były niegdyś dla człowieka tem samem. (*Strab. geogr.* lib. 1). Porównaj F. Lamennais, *Esquisse d'une Philosophie*, t. III, l. 9. c. 1. Paris 1840.

[2] Człowiek, co niema w swych piersiach muzyki,
Którego rzewne nie wzruszają tony,
Do zdrad, podstępów, grabieży jest skłonny,

Z tego jednak, cośmy powiedzieli, nie wynika bynajmniej, by charakterystyka niemuzykalnego człowieka, jak ją nam podaje Shakespeare, miała się stosować do każdego bezwzględnie, komu tylko Pan Bóg odmówił muzycznego poczucia. Twierdzenie takowe byłoby za daleko posuniętem i zarówno niesprawiedliwem jak błędnem. Brak muzycznego poczucia będzie zawsze czemś anormalnem, jakąś prywacyą w ustroju człowieka zdolnego z natury swojej do przyjmowania muzycznych wrażeń i objawiania pewnych uczuć przez muzykę, ale nie zawsze takie naturalne upośledzenie będzie stać na przeszkodzie do odczuwania i objawiania najszlachetniejszych porywów i uczuć innemi drogami i w inny sposób, tak jak w dziedzinie samejże muzyki nieznoszenie dźwięku trąbki w latach dziecinnych, dochodzące niemal aż do omdlenia, nie przeszkadzało Mozartowi, by mimo to był najmuzykalniejszym z muzyków — „uosobieniem muzyki", jak się o nim Gounod zwykł był wyrażać — albo rozwijająca się z czasem głuchota nie przeszkodziła Beethovenowi w tem, by się stał najpotężniejszym wśród geniuszów muzycznych i w epoce zupełnego już ogłuchnięcia napisał IX-tą symfonię. W powyższym ustępie chcieliśmy jedynie zaznaczyć, że poczucie muzykalności jest wrodzone naturze ludzkiej i że z małemi tylko wyjątkami muzykalność jest przymiotem właściwym każdemu człowiekowi przystępnemu szlachetnym, podniosłym uczuciom, człowiekowi, którego Niemcy nazywają *ein Gemüthsmensch*, a Francuzi *un homme de coeur*.

Takim człowiekiem uczucia, człowiekiem serca w najistotniejszem tego słowa znaczeniu był przed innymi sam Chrystus Pan. *Piękniejszy urodą nad syny człowiecze*, jak o nim powiada Pismo [1], przewyższa ich wszystkich również siłą, szlachetnością i czystością uczuć swojego serca, a przewyższa nieporównanie i nieskończenie. Podobny nam we wszystkiem i jak

---

Duch jego ciężki jak ciemności nocne,
A myśli jego tak jak Ereb czarne,
Takiemu nigdy nie ufaj.
„Kupiec wenecki" w przekładzie Ulricha.

[1] Ps. XIV, 3.

my — według Pawłowego świadectwa — kuszony we wszystkiem — *tentatus per omnia* [1], przystępnym był również dla wszystkich bez wyjątku uczuć, jakie tylko okrom grzechu, sercem ludzkiem poruszać mogą. Na pierwszem jednak miejscu Serce Jego przystępnem było dla uczuć najwznioślejszej, najdoskonalszej i najczystszej miłości, która bynajmniej nie szukała ukrycia, ale się nawet łzami wydała u grobu zmarłego przyjaciela Łazarza: *I rzekł: gdzieżeście go położyli? Powiedzieli mu: Panie pódź a oglądaj. I zapłakał Jezus. Mówili tedy Żydowie: Oto jako go miłował* [2].

Człowiek, co tak miłuje, co tak miłość odczuwa i tak ją objawia, nie może być obojętnym na melodyę, na muzykę, która jest jednym z najdzielniejszych rzeczników, z najwymowniejszych pośredników miłości. Ona miłość objawia i miłość w innych roznieca, i prawdą jest, co o niej z taką przenikliwością i zrozumieniem powiedział Berlioz, że jeśli miłość nie może nam dać żadnego o muzyce pojęcia, to na odwrót muzyka jest w stanie dać nam niejakie pojęcie o miłości.

Stąd też jest ona nierozdzielną, wierną towarzyszką Syna Człowieczego na ziemi.

Gdy według wyrażenia Apostoła *przyjmuje postać sługi na siebie, stawszy się na podobieństwo ludzi i postawą naleziony jako człowiek* [3], to zaraz na wstępie spotyka się oko w oko z opuszczeniem i nędzą, jest odpychany przez wszystkich, wzgardzony i zapoznany: *Na świecie był, a świat jest uczynion przezeń, a świat go nie poznał. Przyszedł do własności, a swoiż go nie przyjęli* [4]. Ale tam, w tej małej, lichej, ubożuchnej stajence, gdzie się narodził, wpośród uroczystego spokoju nocy, wśród niczem niezamąconej ciszy, co zaległa nad uśpionym światem dokoła, o ucho Boskiego Dziecięcia obija się i rozbrzmiewa dokoła cudna, niebiańska melodya, pieśń będąca wyrazem onej nieskończonej, niezmiernej miłości Bożej, która Mu z nieba kazała zstąpić na ziemię, pieśń, co jest zapowiedzią nieznanego dotąd pokoju i szczęścia tym, którzy wezwaniom onej miłości będą posłuszni, którzy się jej nie będą opierać i wzbraniać, ale się jej ochotnie dadzą pocią-

[1] Philip. II, 7. Hebr. IV, 15.
[2] Ioan. XI, 34—36. [3] Philip. II, 7. [4] Ioan. I, 10, 11.

gnąć, owładnąć: *A natychmiast było z Aniołem mnóstwo wojska niebieskiego, chwalących Boga i mówiących: Chwała na wysokości Bogu: a na ziemi pokój ludziom dobrej woli* [1].

Jako wyraz miłości spotykamy znowuż melodyę, pieśń i to tym razem w ustach już samego Chrystusa w chwili, kiedy daje uczniom swoim, a wraz z nimi i światu całemu dowód największego, bezgranicznego umiłowania przez ustanowienie najświętszej Eucharystyi, w chwili kiedy ma spełnić ostatnią i największą ofiarę swojej miłości idąc *położyć duszę swą za przyjacioły swoje* [2]. *Wiedząc Jezus, iż przyszła godzina jego, aby przeszedł z tego świata do Ojca; umiłowawszy swe, którzy byli na świecie, do końca je umiłował* [3]. Ale ponieważ ta miłość Boga-Człowieka dla Ojca i dla swoich, miłość nieskończenie wielka i nieskończenie doskonała musiała się objawić w całej swojej pełni i mocy, i nie mogło jej zabraknąć ani jednego ze znamiennych jej rysów, ani jednego z jej właściwych wyrazów, przetoż nie pierwej przechodzi z tego świata do Ojca, pokąd wraz ze swoimi nie wyśpiewa w Hymnie wszystkich uczuć, które władną podówczas Jego Najświętszem Sercem, które je przepełniają. *I hymn odprawiwszy, wyszli na Górę Oliwną* [4].

Wraz ze śmiercią jednak Boga-Człowieka, nie kończy się bynajmniej Jego ludzka, stworzona miłość, tak jak nie przestaje w Nim istnieć obok Bóstwa Jego człowieczeństwo, Jego ludzka, stworzona natura. *Jezus Chrystus wczora i dziś: ten i na wieki*, powiada Paweł [5], więc Serce Jego pozostanie na wieki wrażliwem, na wieki przystępnem dla wszystkich bez różnicy oznak i objawów miłości, która jak On sam trwać będzie na wieki, która *nigdy nie zginie, chociaż* — jak mówi Pismo — *proroctwa zniszczeją, chociaż języki ustaną, chociaż umiejętność będzie zepsowana* [6].

Tych objawów miłości, składanych w hołdzie przed stolicą Baranka, umiłowany uczeń Chrystusów, co bezwątpienia najlepiej znał Serce Boskiego Mistrza, na którego piersi podczas ostatniej wieczerzy głowę swą złożył, nie umie inaczej nazwać

---

[1] Luc. II, 13, 14. [2] Ioan. XV, 13. [3] Id. ibid. XIII, 1.
[4] Mat. XXVI, 30. [5] Hebr. XIII, 8. [6] I. Cor. XIII, 8.

jak pieśnią, jak śpiewem, który mu nucić będą sto czterdzieści i cztery tysiące niepokalanych dziewic wiernych Niebieskiemu Oblubieńcowi w dochowaniu czystego, świętego, nadziemskiego uczucia. *A śpiewali jakoby nową pieśń przed stolicą, a żaden nie mógł pieśni śpiewać, jedno one sto czterdzieści i cztery tysiące... Ci chodzą za Barankiem gdziekolwiek idzie* [1].

Nie innym też jest Zbawiciel w pojęciu chrześcijan z pierwszych wieków Kościoła. Najbliżsi epoki życia Jego na ziemi, a znający lepiej od następnych pokoleń z opowiadań ludzi Jemu współczesnych, przedstawiają Go we freskach katakumb i cmentarzy pod symboliczną postacią Orfeusza, czarującego melodyą pieśni i harmonijnemi dźwiękami liry, otaczające Go zewsząd, pogrążone w niemym zachwycie stworzenia. Takim oddał Go nieznany pobożny pendzel chrześcijańskiego artysty na sklepieniu *arcosolium* cmentarza Domitylli przy Via Ardeatina w Rzymie — takim Go spotykamy na wielu innych zabytkach archeologii chrześcijańskiej. Postać mytologicznego śpiewaka, który urokiem swojej melodyi ujarzmiał i podbijał najdziksze, najniesforniejsze stworzenia, symbolizowała Boskiego Mistrza, pociągającego do Siebie i przemieniającego cudownie najbardziej oporne i nieugięte serca mocą niepojętej, wszechpotężnej miłości. Te myśli i porównania spotykamy zarówno i w literaturze chrześcijańskiej z owej epoki: „Jak różnym — mówi Klemens Aleksandryjski, czyniąc na tem miejscu aluzyę do Orfeusza — jest pieśniarz cudowny, o którym wam pragnę mówić! Przyszedł, i w jednej chwili zdruzgotał nasze okowy, zniszczył okrutną niewolę, w której nas jarzmili szatani; poddał nas pod inne jarzmo najsłodsze, najłatwiejsze do uniesienia, pod jarzmo miłości. Pełzaliśmy po ziemi, on nas wzywa do nieba. On jeden był w mocy barbarzyństwo złagodzić, oswoić i obłaskawić człowieka, najdziksze ze wszystkich zwierząt. Już jako Stworzyciel, Słowo, ten Piewca niebieski, włożył ów piękny porządek we wszechświat, nauczając niezgodne żywioły układać się w przedziwną harmonię, podobnie jak muzyk, co umie łagodzić *modus*

[1] Apoc. XIV, 1.

dorycki przechodząc w lidyjską tonacyę. Takiemi nie są akordy pieśniarza z Tracyi, podobne tym, których Tubal jest wynalazcą; lecz takiemi były akordy Dawida, który w harmonii swych pieśni zgodny był z Bogiem-Stworzycielem. Boskie Słowo, zrodzone z Dawida, choć przed nim już istniejące, odrzuciło lirę i harfę, instrumenta bezduszne, a ująwszy ten świat a wraz z nim i człowieka, który jest mikrokosmem, umiało nastroić ciało nasze i duszę, przy pomocy Ducha św., czyniąc zeń narzędzie muzyczne o wielu głosach ku chwale Bożej. I rzekło do onego narzędzia: ‚Tyś moją harfą, moją fletnią, moją świątynią'; harfą dla harmonii dźwięków, fletnią dla tchnienia co cię ożywia, świątynią dla Słowa, które w tobie zamieszka" [1].

Skoro jednak tak silnym jest węzeł łączący muzykę z człowiekiem, iż jej wpływ nie był obcym nawet ludzkiej naturze Chrystusa, skoro muzykalność jest jednym z wrodzonych przymiotów i potrzeb duszy ludzkiej i serca, toć muszą się znachodzić jakieś zabytki, jakieś ślady przynajmniej początków tej sztuki, o której mówiliśmy, iż jest najmłodszą pod względem umiejętnej, artystycznej swej formy, a najstarszą pod względem istnienia?

I są też w istocie.

Pieśni i melodye ludowe wszystkich narodów i wszystkich krajów, to muzyczny dorobek całej ludzkości, na który się składały szeregi wieków i siła twórcza niezliczonych, nieznanych ludzi, umiejących wierzyć, kochać i czuć. Wyrastały same świeże i wdzięczne jak kwiaty, których na polu i na łące nikt nie uprawiał, nikt nie siał. Jak one żywiły się słońca promieniem, rosą poranną, i jak one roztaczały dokoła czystą woń zdrowia, życia i siły. Próżnoby szukać czasu, w którym powstały i pytać o nazwisko ich twórcy — nikt ich nigdy nie pisał. Przechodziły jako spadek całej ludzkości, jako depozyt niezmieniających się nigdy pragnień i uczuć serca ludzkiego z piersi do piersi, z ust do ust. Młodzi słyszeli je od starszych, zatrzymywali je w pamięci, powiększali nieraz nowemi skarby spuściznę otrzymaną

[1] *Cohortatio ad Gentes.*

po ojcach — i pieśń płynęła przez wieki zawsze zwycięska, zawsze młoda i świeża, bo odnawiana życiem młodzieńczem, następujących po sobie świeżych pokoleń.

Pieśni tych na całej kuli ziemskiej moc niezliczona. Charakter ich zmienia się i staje odrębnym, czysto narodowym albo lokalnym wraz ze zmianą kraju, ze zmianą warunków zewnętrznych i otoczenia, nierzadko nawet wraz ze zmianą prowincyi.

Arab śpiewa inaczej. Co chwila słychać głos jego donośny, krzykliwy — czy to gdy roznosi w umieszczonym na głowie koszu palmowym jarzyny lub owoce na przedaż, czy to gdy jako poganiacz osła albo wielbłąda z kawałkiem kija bambusowego w ręku, zachęca kilku energicznemi, przeciągłemi nutami posłuszne więcej głosowi jak razom zwierzę, czy to wreszcie gdy z gronem towarzyszów płynąc po Nilu, powtarza z nimi naprzemian krótkie, rytmiczne strofy w takt zanurzanych miarowo wioseł. Ale melodya jego obraca się nieustannie w ciasnych ramach małego interwalu tercyi lub kwarty; z nużącą jednostajnością dźwięków i rytmu powtarza się i powraca wiecznie ta sama, wiecznie jednaka, gadatliwa a przecież nic nie mówiąca — świadcząca jakby o jakiemś lenistwie ducha nie mogącego się zdobyć na ożywienie i okraszenie chudej, biednej melodyi jakąś nagłą odmianą, jakimś nowym akcentem. Wystarcza mu ona jednak w zwykłem, codziennem życiu tak, jak mu wystarcza na mieszkanie nawpół rozwalona chata, którą zbudował sobie z surowych, ze ziemi lepionych cegieł, jak mu wystarcza do zwykłego ubrania szmat lichej, bawełnianej materyi na koszulę i niewiele lepszej wełnianej na burnus, jak mu wystarcza na całodzienne pożywienie garść suchych daktyli i kawałek trzciny cukrowej. Lecz zupełnie inaczej głos jego dźwięczy, gdy u wnijścia meczetu, twarzą zwrócony na wschód, ku świętemu miejscu *Kaabah* w Mekce wzywa wyznawców Proroka na wieczorną modlitwę. Wówczas skala jego głosu rozszerza się, rośnie, sama melodya nabiera jakiegoś odmiennego i nieznanego nam kolorytu, a z piersi Muezzina płynie swobodnie fala czystych, donośnych dźwięków, bez ściśle określonego rytmu, bez ustalonej melodyi, jakieś potężne *recitativo*, jakaś, jakby dowol-

nie improwizowana fantazya z fanatyzmem opiewająca wszechmoc Ałłaha i niezmienną chwałę jego proroka: *La ilaha illa Allah Mohammed rasul Allah* — „Niema innego Boga jak Bóg, a Mahomed jest prorokiem Boga".

Inaczej śpiewa *barcajuol* albo *vetturino* pod włoskiem niebem. Pieśń jego to bogata melodya pełna świeżości, życia i wdzięku. Swobodna, bez troski, nieporównanie elastyczna i giętka, zdobywa i opanowuje śmiało na własność wszystkie najsubtelniejsze odcienia, wszystkie najmiększe i najprzezroczystsze barwy głosu ludzkiego, tworzy z nich całość jasną, świetlaną i jak kaskada w ciepłych promieniach słońca mieni się i przybiera na siebie wszystkie tęczowe blaski. Rzadko się w niej odezwie struna tęskna, żałosna; czasem tylko u weneckiego gondoliera przeciągnie cicho jak tłumione westchnienie, jak łza żalu za utraconem szczęściem, jak wspomnienie minionej niepowrotnie świetności Królowej Morza. I przywodzi na myśl nieśmiertelne słowa poety z takiem mistrzostwem oddane melodyą przez „Łabędzia z Pesaro", a włożone przez niego w usta gondolierowi z „Otella":

„Nessun maggior dolore,
Che ricordarsi del tempo felice
Nella miseria" [1].

Im dalej ku północy, tem odrębniejsze cechy przybiera melodya na siebie. To już nie pieśń kraju, gdzie według wyrażenia poety: „cytryna dojrzewa — Pomarańcz blask zielone złoci drzewa"... Z wesołej, swobodnej i jasnej staje się coraz bardziej smętną, coraz więcej przeciągłą i mglistą, owiewa ją jakiś nieokreślony, tajemniczy urok tęsknoty i żalu. Czuć w niej jakgdyby powiew jesiennego wiatru, co przemykając przez nagie, ogołocone konary drzew i gałązki krzaków niesie ze sobą zapach pożółkłych, ostatnich strąconych po drodze liści. Każda niemal ukraińska albo podolska dumka świadczy o tem wyraźnie, bo potrąca w duszy o strunę tęskną, żałosną, bo każda niemal skarży się na biedną, sierocą, kozaczą dolę, albo na ciężkie wieśniacze życie codzienne, jednostajne i szare, podobne do tych

[1] Dante, *La Divina Comedia. Inferno.* Canto v, v. 121—123.

równych przestrzeni co się rozciągają dokoła, jak okiem zasięgniesz. Więc i melodya ze słowami licuje, a słowa idą w parze z otoczeniem i życiem codziennem, gdzie jedynem urozmaiceniem, jedyną nieraz pociechą pieśń, dumka serdeczna. Jeśli się zdarzy, że jak w rosyjskiej pieśni *Krasnyj sarafan*, znanej ogólnie z parafrazy skrzypcowej Henryka Wieniawskiego *Souvenir de Moscou* przebije się czasami i zabłyśnie, jak jasny, słoneczny promień, przez gęstą mgłę żywsza, swobodniejsza nuta, to trwa ona chwilkę zaledwie krótko, przelotnie i znów niebawem rozpoczęty wesoło motyw przybiera zwykłą, właściwą sobie cechę rzewną, niepocieszoną smutną.

Większość tych pieśni, obok oryginalnego, lokalnego kolorytu, nosi na sobie piętno prawdziwego, twórczego natchnienia i skończonej piękności; większość z nich to kosztowne, prawdziwe perły, które jednak przeważnie leżą dotąd nietknięte, czekając jeno umiejętnej oprawy, któraby je, jak emalie i złote rzeźby Benvenuta uczyniła klejnotami bez ceny.

Czy umiejętna sztuka muzyczna korzystała z tych skarbów, które się z biegiem czasu gromadziły w łonie narodów?

Bez wahania się odpowiadamy twierdząco.

Cała starożytna sztuka muzyczna powstała na gruncie ludowych melodyj i pieśni. Mówiąc zaraz na wstępie naszej pracy, iż sztuka muzyczna jest wykwitem nowej cywilizacyi, mieliśmy na myśli sztukę we formie, w jakiej się ona przedstawia za naszych czasów, to jest o muzyce opartej na harmonii i kontrapunkcie. Ale już starożytni mieli swój umiejętny system muzyczny, choć całkiem od naszego odmienny, a chóry, strofy muzyczne, takt i rytm w kompozycyach muzycznych były u nich oparte na ściśle określonych prawach, niemniej dokładnych i umiejętnych, jak obecna nasza nauka harmonii i kontrapunktu. Pomijając kwestyę, interesującą co prawda, ale dla nas w obecnej chwili mniejszej wagi, czy sztuka muzyczna, jaka kwitnęła u Greków wzięła początek na własnym ich gruncie, czy też jak inne sztuki przez Fenicyan dostała się do Grecyi z Egiptu i Asyryi i dopiero jak one w VII-m wieku ustaliła się tam zupełnie i rozwinęła przybierając na siebie swój charakter lokalny, właściwy,

pragniemy jeden tylko fakt dla nas najważniejszy zaznaczyć i skonstatować, a mianowicie, że sztuka muzyczna, starożytna, nietylko posiłkowała się ludowemi pieśniami, popularną melodyą, lecz nadto, że z niej powstała, na niej wyrosła.

Melodye ludowe na całym świecie nie redukują się jedynie li tylko do pieśni: wiele z nich to melodye taneczne, często nawet wykonywane bez słów, na jakimś instrumencie muzycznym, czy dętym, czy opatrzonym strunami, czy wreszcie służącym do wydania jednego tylko stałego dźwięku przez uderzenie, jak bębenek lub *tamburino*. Owóż trzy te najbardziej człowiekowi właściwe elementa, poezya, muzyka i taniec, były zawsze silnie wzajem ze sobą splecione, w doskonały sposób odpowiadały wspólnie właściwościom natury ludzkiej, która tem samem z punktu widzenia sztuki ukazywała się w najzupełniejszym komplecie, w całej swojej pełni i blasku, dając harmonijną całość tam, gdzie głos w odpowiedni sposób łączył się ze słowami, a ruchy i giesta były w doskonałej harmonii z pieśnią. Wskutek tego połączenia muzyki z poezyą i tańcem, a nadto wskutek przypisywania jej wielkiego etycznego znaczenia, starożytni tak silny kładli na nią nacisk, jako na jeden z najważniejszych elementów pedagogicznych, dając jej zarazem bardzo szerokie i luźne definicye. Według Arystydesa Kwintyliana jest ona sztuką piękna i przyzwoitości w głosie i w ruchach; Hermes idzie dalej i nazywa ją znajomością porządku wszystkich rzeczy, w podobny też sposób określają muzykę i inni najznakomitsi filozofowie, poeci i mowcy, którzy często bardzo słynęli zarazem jako znakomici muzycy. — Ten naturalny związek muzyki z poezyą i tańcem, powstały w ludzie, starożytni podtrzymują bez przerwy. W szkołach Safony w Lezbijskiem Antissa widzimy te trzy ludowe elementa złączone razem: tworzono tam poezyę, podkładano pod nią muzykę i tańczono. Tragedya wyłania się z chórów dytyrambicznych, złożonych co najmniej z piętnastu osób, które mają jako zadanie recytować, śpiewać i tańczyć dokoła ołtarza Dyonizosa umieszczonego w orkiestrze greckiego teatru. Komedya bierze początek w bachicznych pochodach podochoconych tłumów powracających z winobrania wśród tańców i śpiewu. Pindar układa swoje ryt-

miczne strofy do śpiewu i tańca, każąc je w ten sposób wykonywać swojej wędrownej trupie. Tak utrzymuje Grecya przez całe wieki sztukę muzyczną, której pierwiastki zaczerpnęła od ludu.

Z biegiem czasu sztuka muzyczna przechodzi do Rzymu. Na Sycylii i w południowej części apenińskiego półwyspu nie musiała się ona niczem różnić od tej, która kwitnęła w Grecyi, ponieważ jak wiadomo Grecy od dawna tam byli już osiedleni, a pozostałe po nich ślady innych sztuk, jak naprzykład świątynie Neptuna i Demetery w Pestum z VI. wieku przed Chrystusem, noszą na sobie te same cechy czystego, doryckiego porządku, co współczesne im w Selinoncie lub o wiek późniejsze w Eginie i Atenach. Lecz przeniknąwszy do Rzymu i Włoch północnych, musiała muzyka podobnie jak inne sztuki, uledz niejednej zmianie. Niewątpliwie zastała tam ona melodye ludowe, lecz nierozwinięte i bez kultury. Z czasem, geniusz muzyczny Romy począł rozkwitać, tylko nie potrzebował już tworzyć muzycznego systemu, lecz z wrodzonym zmysłem praktycznym, jaki zawsze cechował Rzymian, przyswoił sobie gotową już teoryę muzyczną grecką, nadając jej właściwe cechy lokalne, podobnie jak to uczynił z architekturą, malarstwem i rzeźbą. Wiemy, jak wielką rolę odgrywała w dawnym Rzymie muzyka. Nie była to już, co prawda, jak w Grecyi rola pedagogiczna i etyczna, lecz czysto estetyczna i schlebiająca aspiracyom królowej świata do rozkoszy, wielkości i przepychu. W Rzymie i w rzymskich prowincyach tworzą się centra muzyczne, przybierając z czasem olbrzymie rozmiary. Cezar zbiera chór złożony z jedenastu tysięcy śpiewaków i grających na instrumentach; Neron ma na swoje usługi pięć tysięcy śpiewaków i muzykantów, a sam uważa siebie za natchnionego, wielkiego wirtuoza i jako taki występuje publicznie. Olbrzymim chórom towarzyszą organy o tysiącznych piszczałkach i miechach poruszanych przez specyalne, wodne turbiny. Obok teatrów, wznoszą się, jak w Grecyi, odeony, poświęcone ekskluzywnie produkcyom muzycznym, a i sam nawet teatr nie może się oprzeć wymaganiom ludu, przyzwyczajonego spotykać się wszędzie z muzyką. Plaut, chcąc mu się przypodobać, wprowadza do komedyi napowrót zaniechane przez

greckich swych poprzedników Menandra, Difila i Filemona *Cantica*, to jest części śpiewane dramatu, w których melodya uwydatniała lepiej rytm wiersza. Tylko trzymetrowe *jamby*, czyli tak zwany przez Rzymian *senarius*, wbrew ogólnemu prawidłu, deklamowano bez muzyki; każdy inny wiersz, jakiejkolwiek miary, uważany był jako *Canticus*, i śpiewany. Nieodzownie musiał mu towarzyszyć akompaniament fletu. Umieszczony blizko kulisy, w rogu przedniej części sceny, czyli tak zwanego *pulpitum*, flecista, dmuchał co chwila w swój podwójny instrument, nadymając policzki, podobny do owych charakterystycznych figur, które tak często spotykamy na klasycznych ceramikach i płaskorzeźbach [1].

Nie sądźmy jednak, by owe melodye i chóry, dalekie od przepychu i kolorytu harmonii, tem samem miały być monotonne, pozbawione rozmaitości i wdzięku. Prawda, iż wszystkie chóry wykonywane były *unisono*, albo co najwyżej w oktawie, lecz za to posiadały one potężny pomocniczy czynnik w tonacyach pozwalających im nadawać chórom coraz nowy a coraz odmienny charakter, coraz inne wywoływać efekta. W obecnym naszym systemie muzycznym używamy, jak wiadomo, jedynie tonacyj majorowych *(dur)* i minorowych *(mol)*. Inaczej było u Greków. Ich system muzyczny obejmujący pierwotnie trzy główne tonacye: dorycką, frygijską i lidyjską, z czasem jednak przybrał takie rozmiary, iż liczba używanych przez Greków tonacyj doszła do piętnastu. Wprawdzie wiele z nich z biegiem czasu zostało wykluczonych, tak iż Ptolomeusz redukuje je do siedmiu zasadniczych, to jest do ilości dźwięków w oktawie. W każdym jednak razie, oprócz gamy d y a t o n i c z n e j, pozostaje u Greków w użyciu gama c h r o m a t y c z n a i e n h a r m o n i c z n a, w której szereg następujących po sobie dźwięków stanowiły nie całe lub pół, ale ćwierćtony, odległość, która w naszym systemie muzycznym nie znajduje ani zastosowania,

[1] Porównaj doskonały artykuł Gastona Boissier: *A propos d'un théâtre antique. Revue des deux Mondes.* 15 Mars. 1899.

ani nawet odpowiedniego na wyrażenie ją znaku[1]. W ten sposób sztuka muzyczna, która stała się jedną z największych potrzeb cywilizowanego rzymskiego świata, rozporządzała w zupełności środkami, zdolnemi zadowolnić najbardziej wybredne i wyrafinowane wymagania ówczesnego społeczeństwa.

Patrząc jednak na starożytną sztukę muzyczną swego czasu tak rozwiniętą, a tak nam dziś całkiem obcą, mało znaną i niemal niezrozumiałą, mimowoli nasuwa się na myśl pytanie, czy oprócz czysto teoretycznych wiadomości, jakie o niej pozbierać możemy ze starożytnych pisarzy jak: Arystoksenes, Euklides Aleksandryjski, Plutarch, Ptolomeusz matematyk, Arystydes Kwintylian, Boecyusz i inni, czy oprócz tych wiadomości, powtarzam, wszystko z niej inne zaginęło bez śladu? Czy barbarzyński potok, co obalając cesarstwo rzymskie rozlał się szeroko w jego olbrzymich granicach, zatracił wszystko co całe wieki wielkiej, świetnej cywilizacyi przyniosły sztuce muzycznej w darze?

Byłoby to nastąpiło niechybnie, gdyby w tem państwie rzymskiem strupieszałem i zgangrenowanem moralnie, gdyby wśród tej rozpustnej, przeżytej cywilizacyi nie kryła się i nie kiełkowała cywilizacya nowa, cywilizacya w duchu i w prawdzie, co miała niebawem ogarnąć nietylko Rzym, ale świat cały, a z krzyżem w ręku, ze słowami pokoju i miłości braterskiej na ustach, podbić pod swoją władzę wszystkie narody.

Zachowanie starożytnej sztuki muzycznej, tak samo jak zachowanie innych zabytków cywilizacyi rzymskiej od ostatecznej zagłady, złożył Bóg w ręce katolickiego Kościoła.

Podczas gdy Rzym Cezarów pokrywa się wspaniałemi pomnikami sztuki greckiej i greko-rzymskiej, podczas gdy coraz nowe wznoszą się łuki tryumfalne, powstają teatra i odeony, zakładają pałace i termy, podczas gdy Wespazyan i Tytus budują dziś jeszcze budzące podziw swoim ogromem *Colosseum*, głęboko pod miastem, w mozolnie wykopanych podziemiach i katakumbach budzą się do życia pierwiastki nowego, chrześcijańskiego Rzymu, nowej chrześcijańskiej sztuki.

[1] Porównaj: Gevaert, *Histoire et théorie de la musique dans l'antiquité.*

Prosta i nieśmiała, lecz pokorna i szczera w swej prostocie i nieśmiałości, czysta i święta, jak idea, co ją natchnęła i ręce co ją tworzyły, staje ona przed nami owiana niewysłowionym, nadziemskim urokiem. Naiwna i otwarta, nie waha się brać od sztuki pogańskiej tych elementów, jakie jej służyć mogą do celów, które sobie wytknęła — do czci Bożej i służby Bożej. Ale czysta, wstydliwa i święta, chroni się i unika zetknięcia ze wszystkiem, coby mogło splamić lub przyćmić blask jej dziewiczej piękności, pomna, iż się oddała na usługi Oblubienicy Chrystusa — Kościołowi, o którym Paweł powiada, iż jest *chwalebny, niemający zmazy albo zmarszczku... ale... święty i niepokalany*[1].

I dlatego w muzyce liturgicznej przyjmuje od sztuki greckiej rodzaj d y a t o n i c z n y, jako jedynie jej godny i odpowiedni, podczas gdy rodzaj c h r o m a t y c z n y, a tem bardziej e n h a r m o n i c z n y pozostaje na zawsze dla niej nieznanym i obcym. Przyjmuje ten jeden rodzaj wyłącznie, bo on jeden w całej pełni posiada męzki, trzeźwy i szlachetny charakter, wolny od wszelkiej miękiej, zmysłowej przymieszki, tak jak później przyjmie w architekturze za wzór bazylikę rzymską, dlatego, że nigdy nie była sprofanowaną pogańskim kultem.

W ten sposób wskutek kontaktu pogańskiego elementu z chrześcijańskim, wskutek ożywienia sztuki klasycznej nadprzyrodzonem tchnieniem wiary i miłości Kościoła, powstaje nowa w całości swojej sztuka chrześcijańska, jak się o niej trafnie wyraził jeden z poetów:

Beau vase athénien plein de fleurs du Calvaire[2].

(C. d. n.).

Ks. Józef Tuszowski.

---

[1] Ephes. v, 27. [2] Wiktor de Laprade.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Z literatury pamiętnikowej.

Pamiętnik Stanisława Niemojewskiego (1606—1608). Wydał *Aleksander Hirschberg*. Lwów 1899. Nakł. Zakładu narodowego imienia Ossolińskich.

W kilka już dni po zjawieniu się na półkach księgarskich „Pamiętnika Stanisława Niemojewskiego", słyszałem zdanie — bynajmniej nie odosobnione — że z chwilą wyjścia z pod prasy drukarskiej tej książki, Pasek w kąt iść musi. Choćbyśmy nawet, po bliższem zbadaniu rzeczy, pozostawili nieocenionego p. Paska na dotychczas zajmowanem przezeń stanowisku, zawsze jednak jest już to samo porównanie dla pamiętnika Niemojewskiego bardzo zaszczytnem i wiele mówiącem.

I w istocie świeżo wydany „Pamiętnik" zaliczyć bezstronnie można do najbardziej interesujących i ciekawych w literaturze pamiętnikowej polskiej, bynajmniej nie ubogiej. Złożyły się na tak wyjątkową wartość omawianej książki dwie różnorodne okoliczności. Pierwsza, to talent i wykształcenie jej autora, przerastające o wiele zwykłą miarę; i druga — może ważniejszą odgrywająca w dalszym wypadku rolę — epoka opowiadania. Tragiczne postacie zagadkowego — mimo wszelkie badania naukowe — Dymitra Samozwańca i związanej z jego losami, pragnącej za jakąbądź cenę korony i panowania, Maryny Mniszchównej, z pewnością nie przestaną jeszcze bardzo długo cieszyć się wyjątkowemi względami etnografów, malarzy, dramaturgów i powieściopisarzy. Dla nich to przedewszystkiem tworzą do tej epoki niewyczerpaną skarbnicę „Pamiętniki Stanisława Niemojewskiego", który znalazłszy się

zupełnie przypadkowo w orszaku przyszłej carowej, wraz z nią wkracza w granice Rosyi, jest tam świadkiem przyjęć, uroczystości i krwawych awantur, w których sam o mały włos nie położył głowy.

Niemojewscy pieczętowali się Rolą, należeli do szlachty zamożnej, cieszącej się niemałą estymą w województwie pomorskiem. Pierwotnem gniazdem rodziny był chyba Lubieniec, wieś w dzisiejszym powiecie włocławskim, ówczesnym przedeckim. Stąd to w połowie szesnastego stulecia pewna gałęź Niemojewskich przenosi się do Łowinka na Pomorze, a fakt, że łączą się oni związkami małżeńskiemi z dziewojami senatorskich nawet rodów, świadczyłby niezbicie o niemałem już znaczeniu przodków naszego pamiętnikarza.

Ten ostatni ujrzał światło dzienne gdzieś około roku 1560; początkowo musiał kształcić się w kraju, by z kolei — za przykładem ówczesnej zamożniejszej młodzieży — wyruszyć przez Alpy do Włoch.

Wróciwszy do kraju, wstępuje na dwór królewski; już w styczniu 1589 r. śle go Zygmunt do Malborga, gdzie odbywał się właśnie pruski sejmik generalny. Podobną misyę otrzymał także w siedm lat później, a musiał wywiązywać się z niej dobrze, skoro król obdarza go godnością wielkiego podstolego koronnego. I tak awansując ze stopnia na stopień w hierarchii społecznej, bawiąc to na dworze u boku króla, to w swoim zacisznym Łowinku, dożył Niemojewski chwili, która go wyrzuciła daleko poza granice Rzeczypospolitej i skazała na wygnanie wśród śniegów i lodów Północy.

Dymitr był — jak wiadomo — ogromnym amatorem drogich kamieni i klejnotów, wiedząc zaś, że w Polsce tego rodzaju rzeczy zbytku nigdy nie brakowało, śle tam w pierwszych dniach 1606 r. swego przybocznego sekretarza, Jana Buczyńskiego, który przybywszy do Krakowa, począł głosić na wsze strony, że jeśli posiadacze klejnotów zechcą odbyć podróż do Moskwy, znajdą tam w jednej osobie i chętnego nabywcę i hojnego pana, co wszelkie poniesione w drodze trudy wynagrodzi po królewsku. Była to wiadomość nadzwyczaj ponętna, nic też dziwnego, że niejeden posiadacz klejnotów ruszył w przydługą podróż do stolicy Dymitra, a ze spisów pomordowanych w Moskwie przybyszów z Polski, dowiadujemy się, że wśród niewinnych ofiar rzezi znaleźli się i owi kupcy krakowscy.

Siostra królewska, Anna, rozrzucając zbyt wiele grosza na rozmaite cele dobroczynne, znalazła się chwilowo w wielkiej potrzebie, postanawia zatem również wykorzystać w odpowiedni sposób wspom-

niane wyżej zamiłowanie Samozwańca. Samej jej atoli nie wypadało występować w roli kupca, szuka więc kogoś zaufanego, któremuby tę misyę powierzyć bezpiecznie mogła. Wybór jej padł na Niemojewskiego.

Wielki podstoli koronny, posłuszny rozkazom siostry królewskiej, w towarzystwie kilkunastu służby wyrusza w pierwszych dniach marca w dalekie nieznane sobie dotąd kraje, gdzie rozegrać się właśnie miała głośna po wsze czasy tragedya. Około piętnastego kwietnia dogania opodal Orszy Marynę Mniszchównę i jej ojca, by już razem z nimi dalszą odbywać drogę i być naocznym świadkiem tak bardzo ciekawych wypadków.

Temu przypadkowemu powierzeniu panu Niemojewskiemu poufnej misyi zawdzięczamy powstanie Pamiętnika, który na ową epokę rzuca pełne a wielce przytem charakterystyczne światło. Autor bacznie obserwował wszystko, notując wszelkie wrażenia z pedantyczną skrupulatnością. Znajdujemy też w jego pamiętniku sylwetki spotykanych w otoczeniu cara postaci; opis przebywanego kraju, miast i osad wiejskich, zwyczajów i strojów; wierne powtórzenie bardzo ciekawych rozmów i oracyi i t. d., a wiedząc dobrze, na jaką dobę przypadły odwiedziny podstolego w Moskwie, Pamiętnik jego tem większego nabiera znaczenia i na tak staranne i naukowe ogłoszenie drukiem w zupełności zasłużył. Niemojewski na ówczesną Moskwę zapatruje się dosyć krytycznie, entuzyazmować się nie zwykł, a przytem często przebija w jego słowach wątpliwość, czy wszystko, czem usiłowano Polaków zachwycić i oślepić, nie jest jeno zwyczajnym blichtrem. I tak np. wspominając o pierścieniu Dymitra, ozdobnym „rubinową tablicą, na trzy palce szeroką“ — dodaje zaraz uwagę: „by miał być prawdziwy, rzecz mało wydana i wielkiejby sumy godna“. To znowu opisując salę, w której car witał otoczenie Maryny, kończy: „W pośrzód izdebki wybudowane cztery stopnie w kwadrat, suknem czerwonem obite, na nich stołek, wszytek złotem okowany, ziarny rubinowemi wielkiemi gęsto, a turkusami sadzony turską robotą, które, by prawdziwe miały być, na wielkąby się sumę szacować musiało“... Obiady carskie wywoływały również ostre słowa krytyki przyzwyczajonego do bardziej wyszukanego stołu dygnitarza koronnego. „Rychło potym — zapisuje Niemojewski w swoim Pamiętniku — hosudarski obiad nadchodził, a chcąc Hosudar wdzięczność Panom Posłom pokazać, posłał im do dworcu ich, z kuchni swej pożałowania swego do sta potraw, najwięcej z miodem a barszczem, wszytko na złocie, a potrawy takie, że nietylko złotych, ale nie wiem, jeśli i glinianych były godne“.

Styl posiada nasz pamiętnikarz bardzo oryginalny, rzeczy nazywa zawsze po imieniu; języka jego czystym co prawda nazwać nie można, mimo to darowuje mu się chętnie niejedno przekroczenie w tym kierunku, jest ono bowiem częstokroć wielce charakterystyczne. Dziwi nas tylko bardzo, że krótki pobyt Niemojewskiego w Moskwie, skaził jego opowieść tak licznemi rusycyzmami, że wydawca osobny słowniczek tychże załączyć musiał na końcu książki.

Trudno zaprzeczyć, że wspomniane braki rażą nieco czytelnika, otrząsnąwszy atoli Pamiętnik ze wszystkich ujemnych naleciałości, otrzyma się opowieść bardzo cenną, zasługującą w całem słowa znaczeniu na wyczerpujące streszczenie.

18-go kwietnia 1606 roku, od którego Niemojewski zaczyna swój Pamiętnik, jest w owych zagadkowych dziejach wielce ważnym; był to bowiem dzień wkroczenia Maryny w granice przyszłej jej ojczyzny. Skoro też jeno Mniszchówna wraz z swojem otoczeniem znalazła się w obrębie Dymitrowego państwa, zaraz zjawiło się przed nią „kilka Moskwicinów", przysłanych „od Cesarza Jego Mości" z pozdrowieniem oraz z życzeniami szczęśliwej podróży. Mniszchowie powitali wysłańców carskich wdzięcznem sercem, był to bowiem dowód niezbity, że Dymitr wyczekuje przybycia małżonki niecierpliwie.

U wjazdu do Smoleńska witało carowę duchowieństwo i mieszczanie, ale bez żadnej oracyi „tylko kiwając łby" i ofiarowując chleb biały, sól i trzy soroki soboli. „Taką chęć pokazawszy, Hosudarynię do miasta zaprowadzili, do dworca jednego dosyć podłego, bo w zamku mieszkania żadnego niemasz, tylko co murem ze 42 wież, gromadę kleci, albo raczej chlewów obwiedziono, szerzej niż Warszawa w murze, gdzie pospólstwo czasu wojny zawierają. Przy tym murze przykopu ani wału żadnego niemasz, tylko z jednej strony; między zamek, a mieścisko niemałej osady chałup, Dniepr idzie".

Opis krótki i zwięzły, wystarcza jednak w zupełności do wyrobienia sobie opinii, jak niepocześnie przedstawiał się Smoleńsk, w którym kniaź Wasyl Masalski urządził biesiadę dla Hosudaryni i jej ojca, pana wojewody Mniszcha. Zastawa stołów prawdziwie królewska; naczynia złote i srebrne — „jak powiedano — od Hosudara na tę cześć z kaźni byłe posłane", potrawy natomiast, mimo ich rozmaitości, nie uzyskały aprobaty wybrednego autora Pamiętnika. Najgorsza — notuje też on w swoich zapiskach — że „wszystko to na zimne było, mało co ciepłego. Napój dawano: miody rozmaite, wiśniowe, malinowe, patoczne,

obarne, a żadnego dobrego". Nic dziwnego, że w podobnych warunkach „ten bankiet prędko się odprawił i bez zagrzania mózgu naszy się z niego rozeszli".

Pewne przybliżone pojęcie o błotach i mokradłach, pokrywających tutaj olbrzymie szmaty kraju, dać może statystyka przebywanych codziennie przez polską drużynę mostów i grobel. Niemojewski notuje ich liczbę pilnie, a jest ona naprawdę wyjątkowo znaczną. Trzeciego maja dociera Maryna do Możajska. Według słów Pamiętnika „była to niemała gromada chałup w kupie, co oni miastem zowią". Niemojewski, śledzący wszystko z ciekawością reportera z końca naszego stulecia, dowiedział się, że w Możajsku, wśród owej niemałej gromady chałup, znajdował się monaster z cudowną statuą „św. Mikuły", o którym „powiedają, że Iwan Wasilowicz, kiedy mu się przeciwnie powodziło z królem polskim Stefanem, kazał statuę tego Cudotwórcy, wywlekłszy przed monaster, kijmi bić, wymawiając mu, że za Litwą pomagasz". Był to chyba jedyny w dziejach wypadek doraźnego sądu na posągu świętego za niepowodzenia wojenne.

W trzy dni później orszak stanął w Wiaziemach, gdzie zazwyczaj „Hosudarowie przedniejszych rekreacyj swoich zażywają". Tutaj to, przybyły od Dymitra znany nam już sekretarz jego, Buczyński, przywiózł dla Maryny piękne dary i polecił jej w imieniu wielkiego kniazia zatrzymać się na miejscu dni kilka. Zbliżała się coraz bardziej chwila tryumfalnego wjazdu przyszłej carowej w mury Moskwy, to zaś wymagało pewnych przygotowań, oraz zadosyćuczynienia przyjętym w kraju przy tego rodzaju uroczystościach zwyczajom.

Opis wjazdu Mniszchównej i polskiego jej otoczenia do stolicy wielkich kniaziów jest niezwykle ciekawy i charakterystyczny. Wschód zarysował się tutaj wyraźnie ze swoim przepychem i odrębnemi cechami. Moskwa — zdaniem naszego pamiętnikarza — nie wyglądała zbyt ponętnie, pozostając pod wielu względami znacznie w tyle poza stolicą jego ojczyzny. „Cerkwi w mieście powiedają, że do 700, między niemi niemało nieżadnie wymurowanych, na wielu banie wielkie, pospolicie blachą pobielaną, której morzem z Niemiec dostawają, pokryte. Miasto samo, acz wielka osada, ale nieludne, siła w niem placów próżnych, może jednak w niem kłaść pogłowia do 30.000. Kamienic żadnych w nim niemasz, ani domów po ulicach, tylko dworce, każdy ogrodzony, rzadko gdzie sklepik murowany, także i izba biała, prócz u niektórych z przedniejszych bojar, z okienkami maluczkiemi, na pół łokcia wysokiemi, acz teraz trochę więcej, za tego kniazia Dymitra, poczęło sobie

było świetlice budować, który im tego pozwolił, bo przedtym i tej wolności nie mieli. Po ulicach wszędy mościska a gaci miasto bruku. Udają też, że miasto działmi dobrze opatrzone, aleśmy tego nie widzieli, przypatrując się naprzód w cekhauzie, w którem tamże działa leją, potem po wieżach i murach, a nie mieli też nic takiego, czemby się nie radzi byli przed nami popisali".

Przy sposobności powitania przez Dymitra Mniszchów i innych przybyszów z Polski, które miało miejsce w dniu 13 maja, wygłosił ochmistrz dworu Maryny, imć pan Marcin Stadnicki, tak kwiecistą i charakterystyczną oracyę, że nie wahamy się ani chwili przytoczyć z niej kilkanaście najciekawszych wierszy. Mowca dowodził z jak znacznej i sławnej rodziny wybrał sobie Dymitr małżonkę, kończąc oracyę słowami: „Z takowego domu Wasza Cesarska Mość upodobać i obracieś sobie przyjaciela raczył. Co, jeśli komu za nowinę, iż to z Polski, zdało się, już Pan Bóg od dawnych wieków, w państwie W. C. M. tę wolą swą wsławił: pradziad, albo też dziad — gdyż niemam tego dobrze w pamięci — miał w świętem stanie małżeńskiem Witołdową dziewkę, także świętej pamięci ojca W. C. M., zaś nie Glińska urodziła? Któregoż tedy czasu, ze krwie takowej nieszczęśliwie się wiodło przodkom W. C. M.? A tak, nadzieja pewna zostaje z szczęśliwego za łaską Bożą powodzenia, gdyż Pan Bóg cudownie powrócił serce W. C. M. do narodu tego, z którem przodkowie W. C. M. powinowacili się, powinowacić się i W. C. M. raczysz. Już teraz ona zmyślona przyjaźń z serc obojga narodów, to jest naszego i poddanych W. C. M. wygaśnie. Już ono srogie, a prawie pogańskie krwie rozlewanie między nami ustawa. Już wspólne siły obojga narodu, za błogosławieństwem Bożem szczęśliwie przeciw poganom obracać będziemy, czego nietylko my, ale wszytko chrześciaństwo z wielkiem pożądaniem oczekiwa. Niechże Pan Bóg, jako siłę dał W. C. M., dodaje zdrowej rady i wywyższa tron i majestat W. C. M., abyś W. C. M. z północnych krajów miesiąc zepchnąwszy na południe rozświecił sławą swą, a na stolicy przodków swych, w obfitości lat potomstwo swe widział".

Kanclerz Ofanasow odpowiedział Stadnickiemu w imieniu Dymitra, poczem rozegrała się oryginalna komedya z posłami króla polskiego. Wielki kniaź przeczuwał, że posłowie mają pewne instrukcye od swego monarchy, chcąc więc nakłonić ich do ustępstw, śle do posłów wojewodę Mniszcha z wezwaniem, „aby mu tytuł cesarski przy sprawowaniu poselstwa dawali. Było tego kilkakroć, co i wychodził i przychodził J. M. Pan Wojewoda, a że Posłowie z żadnej miary nie chcieli się

do tego dać przywieść, kazał wyniść dwiema Bojarom Gregoremu Iwanowiczowi i Mikule Okolycznemu, aby ich wprowadzili". Drużyna Maryny była świadkiem ostrej nader wymiany zdań między Dymitrem o posłami polskimi, którym majestat carski bynajmniej nie imponował, śmiało więc obstawali przy danej im instrukcyi i wkońcu po wielu przemówieniach i odpowiedziach, o których Niemojewski barwnie wyraża się, „wszyscy trzej razem mówili i w trynkę się swarzyli, jeden drugiego nie słuchając" — zmusili Dymitra do ustępstw. A ten zagadkowy Dymitr, był usposobienia nadzwyczaj swarliwego i gorączka przytem wielki. Wszak w czasie obiadu dworskiego, wydanego z okazyi zaślubin i koronacyi Maryny, o mały włos nie przyszło do znacznej awantury. Oto Dymitr — wedle panującego zwyczaju — wychylił toast w ręce obu posłów polskich, posyłając do Gosiewskiego sekretarza swego z wezwaniem, by ten do niego przyszedł i z rąk carskich pełną odebrał czaszę. Wszelkie jednak prośby i perswazye sekretarza Buczyńskiego nie odnosiły tym razem skutku: „Zbraniał sie pan Gosiewski poseł (uczynić zadosyć wezwaniu Dymitra), powiedając, żeby to było *contra dygnitatem* Króla Jego Mości Pana mego, którego osobę na sobie noszę, ale niechaj mi ją Hosudar Jego Mość każe odnieść. Odniósł to Wielkiemu Kniaziowi Pan Buczyński, który rozgniewawszy się, wskazał do niego, jako nie przyjdzie, tedy go każę oknem wyrzucić. Przyszedł znowu pan Buczyński, który acz mu tego poselstwa nie odniósł, ale powiedział:

— „Dla Boga, pójdź Waść po tę pełną, bo się Cesarz Jego Mość barzo obraża i będzie zbyt źle, jeśliże Waść nie pójdziesz.

„Ociągał się Pan Poseł jednak, obawiając, aby czego nie uczynił przeciw powinności swej i dostojeństwu Króla Jego Mości, ale widząc taką popędliwość Wielkiego Kniazia, aby go jeszcze tem więtsze obelżenie jakie nie potkało, za takiem wskazaniem poszedł po pełną". Pan Niemojewski opisując powyższą scenę, robi słuszną uwagę: „tego już nie wiem, jako mu smaczny on napój był".

Koronacya i zaślubiny córki polskiego senatorskiego rodu z carem moskiewskim odbyły się z wschodnim przepychem. Bojarowie, przybrani w bogate, barwne szaty, pożyczone im na uroczystość z „carskiej kaźni", występowali — jak kazał miejscowy zwyczaj — w perłowych „jamułkach", z „łbami oskrobanemi". Żaden z nich nie miał szabli u boku, co szlachtę polską mocno dziwiło. Niemojewskiego zaś skłoniło do zasięgnięcia u dobrze poinformowanych osób wiadomości w tej sprawie. Dowiedział się on też, że szabli nie może „nikt nosić

po mieście, pogotowiu na zamek z nią przyjachać, chyba w drogę; kiedy się też jeden z drugim pomówi, o pojedynku rzecz niesłychana, ale kułaczkami się w boki, albo rękawy po gębie, z ręku je spuściwszy. Oblicznej rany, chociażby był występnickim, żaden się nie boi, chyba od pazura".

Panie znowu, przydane do boku Maryny, jak np. kniaziowa Mścisławska lub Szujska, były w „bielidło na palec grube wzmięsz i rumienidło ubrane, więc i brwi wyskubawszy sobie, insze w pół czoła przylepiły, co rzecz zwyczajna w tamtem kraju u wszystkich białych głów, a niepodobnie sprosna, bo mała różność od tego, jakoby w maskarze chodziły, czego nietylko żeby się chronić miały przed mężczyznami, ale na gankach, chociaż ludzie patrzą, to swoje gładzenie się odprawują, a nasze panie — dodaje Niemojewski — powiedały nam, że sobie i źrzenice w oczach farbują".

Zabawy i przyjęcia, wśród których nie obyło się bez rozmaitych drobnych awantur i zatargów nieprzyjemnych z polskimi gośćmi, nawykłymi do odmiennej zachodniej kultury, następowały jedne po drugich. Dźwięk dzwonów rozlegał sią daleko po za murami Moskwy, a w tych murach Dymitr pił i hulał, ani na chwilę nie przypuszczając, że koniec jego tak bardzo blizki. Pod dniem 26-go maja zapisuje Niemojewski: „Klejnoty, którem był z sobą przywiózł, oglądawszy przy mnie, swoje też przynieść kazał, pokazując mi je i z swojemi konferując. Kazał mi je przy sobie zostawić, aby się im tym lepiej przypatrzył. Zabawił się potym ze mną rozmowami *familiarissime* chwilę, i później niż godzinę w noc od niegom wyszedł" — a już następnego dnia rano, w ośm godzin zaledwie po owej rozmowie z wysłańcem siostry królewskiej, Dymitr „gardło dał". Wielki kniaź bawił się i weselił, a Szujscy i inni jego przeciwnicy pracowali niezmordowanie nad doprowadzeniem do skutku zamierzonego dzieła. Ułożyli w tajemnicy plan zdrady, wywołali tumult uliczny, zamordowali wielkiego kniazia pastwiąc się nad jego zwłokami w nieludzki sposób, podburzeniami i rozpuszczanemi potwornemi plotkami skłonili ludność nieoświeconą i dziką do rzezi, w której padło najniewinniej wielu Polaków. W dniu 29-go maja obrany został Wasyl Iwanowicz Szujski carem „wsieha Rusi", a pan podstoli wielki koronny, któremu udało się wyjść cało z owej krwawej opresyi, pomny powierzonej sobie w zaufaniu misyi, rozpoczyna kołatać o zwrot zostawionych Dymitrowi „w skrzyneczce żelaznej, zielono malowanej" klejnotów, których dokładny „regestr" u siebie posiada. „Nie będąc żadnem kupcem, ale mając takich rzeczy po troszę

w domu swem", puścił się Niemojewski w drogę do Moskwy jedynie na zapewnienie sekretarza „nieboszczyka Cesarza Jego Mości Dymitra", pana Buczyńskiego, „iż byłliby kto, któryby z klejnotami jakiemi tu do stolicznego miasta Waszej Cesarskiej Mości przyjachał, takie rzeczy Cesarz Jego Mość otrzymać chciał i one popłaciwszy, z nagrodą niemieszkanie odjazdu dopuścić, więc i do tego listy wierzące, aby się wiara panu Buczyńskiemu dała". Pokorna ta suplika nie odrazu skutek pożądany odnieść miała; zamiast do Polski z powrotem, udać się Niemojewski musiał na wygnanie i dopiero po wielu przejściach wydobył ową zielono malowaną skrzynkę z „carskiej kaźni".

Wszystkich więźniów polskich, bez względu na stanowisko ich społeczne, zapakowano w sześć dworów i otoczono silną strażą. Marynie i wojewodzie Mniszchowi przenieść się również kazano do dworu Ofanasa Własieja, „czemu się przypatrując, nie było takiego, żeby żalem nie miał być poruszony, a nie uważyć nieustawiczności szczęścia na świecie".

W sierpniu dopiero rozpoczęło się wywożenie więźniów polskich na wygnanie, gdzie oczekiwać mieli pomyślnego ukończenia wzajemnych pertraktacyj między wielkim kniaziem a królem polskim. Nie nastąpiło to tak rychło: pan Niemojewski wraca zaledwie z początkiem 1609 roku do rodzinnego Łowinka. Na wygnaniu zniósł on wiele upokorzenia i przykrości, co wszystko opisuje najdokładniej w swoim Pamiętniku; nad więźniami pastwiono się po prostu, dokuczając wolnemu polskiemu szlachcicowi w wyszukany nawet sposób. Całe szczęście, że udało się panu podstolemu wydobyć wszystkie klejnoty, jedynie zielono malowana skrzynka ze sztucznym nadzwyczaj zamkiem, przepadła gdzieś w owej zawierusze dziejowej.

Taką jest zawartość Pamiętnika Niemojewskiego, wydanego bardzo starannie przez dra Hirschberga, który poprzedził go wyczerpującą przedmową, oraz opatrzył niezbędnemi odsyłaczami. Książkę zdobią nadto ciekawe bardzo portrety Dymitra i Maryny; jest ona — powtarzam to raz jeszcze — niezwykle interesującą, wobec czego nasuwa się pytanie, co było właściwie powodem, że Pamiętnik tak cenny pozostawał tak długo w rękopisie? *Michał Rolle.*

Pamiętniki Sadyka Paszy Michała Czajkowskiego. Tłumaczył na polskie *A. P.* Lwów 1898.

Jenerał Dezydery Chłapowski. Pamiętniki. Poznań 1899.

Zygmunt Kaczkowski. Mój Pamiętnik z lat 1833—1843. Lwów 1899.

Prawie równocześnie ukazały się te trzy Pamiętniki napisane przez ludzi odmiennych zapatrywań, zdolności i wartości moralnej; na

pozór zdawaćby się mogło, że trzech tych książek łączyć nie można, że nie dadzą się omawiać jedna po drugiej, a jednak tak zbliżone są one do siebie czasami, które opowiadają, że z tej przyczyny już słuszną jest rzeczą zestawić je razem. I druga jest ważna jeszcze przyczyna, by Pamiętniki te zestawić obok siebie. Autorowie tych Pamiętników pochodzili bowiem z trzech różnych zaborów Polski i razem przedstawiają jej całość, a na ich sąd o ludziach i rzeczach, złożyły się bezwątpienia czynniki kulturne i etyczne, jakiemi kierowało się ówczesne nasze społeczeństwo w poszczególnych zaborach. Pamiętnik Czajkowskiego obejmuje czasy od r. 1804—1831, Chłapowski opowiada w swym dzienniku wojny z lat 1807—1813 i dzieje powstania z r. 1830—1831, Kaczkowskiego zaś Pamiętnik, choć w tytule zaznaczono, że obejmuje tylko lata 1833—1843, w rzeczywistości sięga po r. 1866, jeno lata późniejsze po r. 1843 traktowane są tylko dorywczo i epizodycznie.

O Czajkowskim mało już wie dzisiejsze pokolenie. Zna go tylko z ślicznego, ale też i nad wyraz smutnego artykułu prof. Tarnowskiego [1], napisanego jako wspomnienie pośmiertne tego człowieka, co chciał służyć Polsce i szablą i piórem, a służył jej jednem i drugiem niefortunnie i po trzykroć zmieniwszy swą wiarę, skończył długi swój żywot nędznie śmiercią samobójczą. Mało kto wie dziś nawet o zbiorowem wydaniu lipskiem dzieł Czajkowskiego [2], a przecież był czas, kiedy powieści, zwłaszcza „Wernyhora“ i „Stefan Czarniecki“, podobały się były krytykom i czytającej publiczności, kiedy w mniejszych opowiadaniach Czajkowskiego (a jest ich bardzo wiele), dopatrywano się licznych zalet. Rozgłos autora, bo o sławie mowy być nie może, zmazało złe życie, pełne hańby i poniżenia! Już emigracya polska w Paryżu umiała Czajkowskiego ocenić należycie. Mylący się w sądach o Czartoryskim, Mickiewiczu, Jezuitach i Zmartwychwstańcach „Pszonka“ [3] nie pomylił się wyjątkowo tylko w osądzeniu Czajkowskiego, bo pisma jego nazywał „banalukami“, dodając z przekąsem, że „autor rębacz, zachęcając do rąbania, nie ma czasu myśleć o prawidłach sztuki pisania i gramatyki“ i nowo tworzonemi słowami odstrasza ludzi od czytania. Idea „szablistości“, to prawdziwie odpowie-

---

[1] *Przegląd Polski* 1886.

[2] U Brockhausa 1863—1865, tomów 11.

[3] „Album Pszonki“, Paryż 1845, ustęp p. t. „Rada szatanów“ i „Kalendarz Babiński“.

dnia nazwa dla tej jedynej myśli, jaką z pism Czajkowskiego wysnuć można, Pamiętnik zaś jego rozświeca genezę tej idei, która połączywszy się z niejasnemi marzeniami o kozackiej Wszechsłowiańszczyźnie i zmieszawszy się z bezgraniczną dumą, urobiła z Czajkowskiego tak smutny charakter, szczęściem jedyny może wśród naszego społeczeństwa, że przypomnienie człowieka tego przez wydanie jego Pamiętników, bolesnem jest i smutnem. Pamiętnik ten wyszedł najpierw w języku rosyjskim, tłumaczono go dopiero na język polski; ten fakt już sam w sobie jest nazbyt wymownym, by potrzebował objaśnień; z apostazyą religijną szła w parze apostazya narodowa. Pamiętnik rozświeca nam bardzo jaskrawem światłem tę ciemną drogę, która Czajkowskiego do odstępstw tych wiodła; rzućmy na nią okiem, choć to bolesne, smutne i przykre. Czajkowski urodził się w Hulczyńcu, okolicy pełnej wspomnień o rzezi humańskiej. Zdawaćby się mogło, że zasłyszane w dzieciństwie opowiadania o okrucieństwach Gonty i Żeleźniaka zrażą młodociane serce do Kozaczyzny i prawosławia. A stało się jednak wręcz przeciwnie. Czajkowski, spokrewniony przez matkę z Brzuchowieckimi, potomkami tegoż nazwiska hetmana Zaporoża, stał się z czasem entuzyastycznym wielbicielem Ukrainy, Zaporoża, Kozaczyzny, całego Wschodu, Białego Cara i prawosławia. Krewnego swego Jana Głębockiego, który strzelił do własnego syna za to, że stanął przed nim w mundurze ułana rosyjskiego, Sadyk Pasza nie uniewinnia i nie potępia. O podobnych objawach nizkiego etycznego stanu ówczesnej Ukrainy rozpisuje się autor nawet z pewnem upodobaniem; w tem cobyśmy nazwali zdziczeniem obyczajowem, dopatruje się Czajkowski przechowywania tradycyj kozackich. Nie gorszą go nawet takie fakty, jak niecny handel prowadzony przez ekskonfederata barskiego Jahołkowskiego chartami i... dziewczętami Mołdawiankami. Owszem Czajkowski dodaje, że drugi artykuł handlu cieszył się wielkim zbytem (str. 63). Taki człowiek-zwierzę jak wspomniany Jahołkowski, możebnym był tylko w owej epoce na Ukrainie, gdzie, jak świadczy Czajkowski, prezydent I. dał kosza dwom pretendentom o rękę jego córek temi słowy: „Podolskie byki, jedźcie sobie, tu niema dla was miejsca“ (str. 92). Jeszcze dosadniejszym typem był p. Alojzy W., którego charakterystyce poświęca autor sporo miejsca. Pan Alojzy stracił jedynego syna, nie pochował go, lecz wsadził do szklannego słoja z octem i tak go trzymał w szafie. Po obiedzie otwierał tę szafę. Obok słoja leżały ciasta, cukry, stały butelki likierów i win deserowych. Pan Alojzy otworzywszy szafę, przysuwał fotel tak, żeby mógł patrzeć

na syna i wyciągać ręce po napitki i słodycze. Na tej zabawie przepędzał codziennie kilka godzin (str. 112). Podobnych rysów obyczajowych można zebrać całe pokłosie w Pamiętniku Czajkowskiego; rzucają one ponure światło na południowo-wschodnie krańce naszej ojczyzny, a są tem przykrzejsze, iż autor podał imiona i nazwiska wspomnianych przez siebie osobistości, nie pomnąc na to, jaką tem przykrość wyrządził potomkom tych ukraińskich królików, niegodnych tego, by ich nazwiska przekazano pamięci potomnych. Wpośród społeczeństwa tak zwyrodniałego, nic dziwnego że wyszedł taki Czajkowski. Charakterystycznem jest opowiadanie autora o swym egzaminie składanym przed rektorem uniwersytetu wileńskiego Małeckim. Rektor kazał mu wyliczyć tych królów polskich, którzy byli najwięcej użytecznymi dla Polski, i tych, którzy jej najwięcej uczynili złego. Kilkunastoletni uczeń pochwalił Chrobrego, bo „chciał zbliżyć Polaków z Słowianami"; Bolesława Śmiałego, za to, że „zadał cios silny Kościołowi katolickiemu w Polsce"; wreszcie Władysława IV. za jego „niechęć (?) do Jezuitów". Zdaniem Czajkowskiego, „wszyscy byli bardzo zdziwieni tą odpowiedzią"; dano mu cztery najwyższe nagrody, pozwolono nosić profesorską szpadę i zaczęto od dnia tego nazywać „wielkim człowiekiem". W tym niedojrzałym sądzie historyozoficznym młokosa, tkwiły już wszystkie późniejsze jego grzechy, był już jakiś zaród panslawistycznych mrzonek i nienawiści strasznej do wiary przodków. To drugie uczucie rozwijało się szybciej i bujniej niż pierwsze. Rozmiłowany w liturgii wschodniej, odważył się wraz z swymi kolegami zawołać do księdza kończącego mszę świętą słowami *Ite, missa est* — „Tej misy nie chcemy". W ojczyźnie swojej nie widział nic godnego czci i poważania; kobiety podzielił na pięć kategoryj: patryotki, literatki, wartogłówki, domatorki i lafiryndy; każdą z tych kategoryj przedstawił w świetle niekorzystnem, wydrwił i wyszydził. Z rówieśników jego, zacnymi mieli być tylko namiętni myśliwi, bo bratanie się myśliwych z chłopami na polowaniach, miało jednych i drugich uzacniać (str. 94). Zresztą szlachta była złą, umiała tylko przegrywać w karty swych poddanych; ks. Józef Poniatowski i jenerał Dwernicki byli zwykłymi hulakami; duchowieństwo również złe; całe dwie stronice (182 i 183) bitego, drobnego druku wypełnione są samemi trywialnemi wymyśleniami, pełnemi najnikczemniejszych posądzeń i insynuacyj, skierowanych przeciw Karmelitom, Augustyanom, Bernardynom, Kapucynom, Dominikanom i Jezuitom. Koncepty tam podane są płaskie i nudne, przeto w rozbiór ich wdawać się nie widzę potrzeby, powtórzył je

zresztą Czajkowski tysiąc razy w swych pismach i w przedmowach do nich [1], kto je czytał, niech przyjmie do wiadomości, że po raz tysiączny i pierwszy znajdują się one i w Pamiętniku. Rzuca się i na księcia naszego Kościoła, wspominanego do dziś ze czcią prymasa Woronicza. Ród jego wyprowadza Czajkowski fantastycznie od jakichś ukraińskich Woron, a dalej śmie pleść takie brednie, że prymas ten nieraz „zakasawszy sutannę, śpiewał piosnkę Jana Wyhowskiego przeciw Jezuitom“ (str. 133). Czajkowskiemu nic polskiego, nic katolickiego nie przypadło do serca, nie przemówiło do duszy, a przecież były rzeczy i ludzie byli, których idealizował i uwielbiał. W pierwszej linii wyidealizował on kozaków, jego kozakomania graniczy z obłędem. Kozacy, zdaniem jego, „to jedyni rycerze słowiańscy“. Najpodobniejsi do kozaków ruskich, żołnierze rosyjscy, są zawsze mądrymi, dowcipnymi, oryginalnymi i boleje też autor nad tem serdecznie, iż „los zasiał między nami a nimi niezgodę“. Jenerałowie rosyjscy: Pahlen, Dybicz, Roth i Sacken, wszystko to ludzie dobrzy, wykształceni, słowem wzory godne naśladowania, przy których Chłopicki lub Dwernicki zdają się być marnemi figurami. Podobało się również prawosławie Czajkowskiemu i głowa jego car Mikołaj I. „Och, gdyby Polska posiadała takiego króla“ — wzdycha późniejszy Sadyk Pasza (str. 210). „Dlaczego Polacy nie grupują się dokoła niego i swem posłuszeństwem dobrowolnie nie zyskują jego przychylności, jego miłości. Lepiejby im było“. Takich nonsensów dałby się zebrać szereg cały, lecz trud ten byłby bezcelowym; naprowadzone momenty prawdopodobnie wystarczą do zrozumienia, co po długich latach zawiodło Czajkowskiego w służbę Białego Cara. Dla rozświetlenia tej zagadki ciekawym dokumentem był Pamiętnik, ale czy go warto było tłumaczyć na język polski, to rzecz inna. Pamiętnik ten czyta się z takiem przygnębiającem uczuciem, iż po każdej niemal stronie przeczytanej, odkłada się go na bok. Nawet powstanie z r. 1831 zohydził ten renegat i shańbił szczegółami podanemi przez siebie w końcowych rozdziałach Pamiętnika. Uczynił to w sposób tak przykry dla nas, iż fantazyj tych podejrzanej wartości lepiej w sprawozdaniu nie streszczać, a umysł znużony rozpamiętywaniem objawów zwyrodnienia natury polskiej w Czajkowskim, wypada raczej pokrzepić szlachetniejszemi wrażeniami.

Takich wrażeń doznaje się przy czytaniu Pamiętników jenerała D. Chłapowskiego. Prawdziwą wdzięczność powinniśmy czuć wszyscy

[1] Np. w Wstępie do VI tomu zbiorowego wyd.

dla synów jenerała D. Ch. i dla prof. d-ra Kazimierza Morawskiego, iż ogłosili drukiem dwie części Pamiętnika tego znakomitego oficera Napoleońskiego i najzdolniejszego jenerała z r. 1831. Część pierwsza Pamiętników obejmuje wojny napoleońskie z lat 1806—1813; ocenia je Chłapowski ze stanowiska fachowo-wykształconego oficera. Nasz jenerał nie entuzyazmował się dla Francuzów i Napoleona, a służył wielkiemu Napoleonowi, by przy nim wyćwiczyć się w rzemiośle wojennem. Nie lada pobudka sprzęgła go z Napoleońską gwiazdą. W r. 1807 odwiedził Chłapowski Kościuszkę. Oto co sam pisze o tych odwiedzinach: „Zastałem go w ubiorze francuskiego wieśniaka, w słomianym kapeluszu, w półfraczku szaraczkowym, miał krótkie spodnie i mocne trzewiki". Z zapałem opowiada Kościuszko Chłapowskiemu przebieg bitew pod Racławicawi i Maciejowicami. Skończywszy opowiadanie, te słowa zwrócił do Chłapowskiego: „Dobrze, że służysz i że się uczysz. Ucz się pilnie i gdy będzie wojna, uważaj dobrze na wszystko, przy boku cesarza możesz uzbierać sobie wiele wiadomości i doświadczenia. Nagromadzaj ich, ile będziesz mógł, by kiedyś stać się użytecznym naszej nieszczęśliwej ojczyźnie. W dobrej do tego jesteś szkole, ale nie myśl, nie podchlebiaj sobie, żeby Napoleon Polskę wskrzesił, on tylko o sobie myśli, żadnej wielkiej narodowości, a tem więcej ducha niepodległości nie cierpi. To jest despota, zaspokojenie ambicyi osobistej, to cel jedyny jego. On nic trwałego nie utworzy, tego jestem pewien. Ale to wszystko tobie młodemu nie przeszkadza, żebyś przy nim nabrał doświadczenia, uczył się strategii. Znakomity on wódz, a chociaż on naszej ojczyzny nie wskrzesi, to oficerów nam może wykształcić wielu, a bez tego źleby było, choćby Bóg zesłał nam później szczęśliwe okoliczności. Powtarzam ucz się pilnie, ale on nic dla nas nie zrobi". Nic dziwnego, że „jasnowidza nie złudziły uwodzące wieści", że Kościuszko odmówił Napoleonowi przyjęcia wysokiej rangi w wojsku francuskiem. Trzeźwiejszego sądu nad zdanie Kościuszkowskie nie wypowiedział o Napoleonie nikt jeszcze dotąd, a zdaniem tem przejął się był do głębi Chłapowski. Ponosił trudy wojskowe w Austryi, Hiszpanii i Rosyi, miał w nim Napoleon znakomitego wykonawcę swych rozkazów; z żelaza był chyba Chłapowski, że tyle podróży odbył jako oficer ordynansowy, a łaska go Boża chyba chroniła, że z tylu bitew wyszedł cało. W r. 1813 dowiedział się nasz enerał, że Napoleon ofiarował carowi Aleksandrowi całe Księstwo Warszawskie i pozwalał, albo, żeby przyjął tytuł króla polskiego, albo żeby Księstwo Warszawskie wcielił do swego carstwa. Nie namyślał się długo, lecz wnet

wniósł prośbę o dymisyę, wraz z nim uczynili to samo kapitan Jordan i jenerał Chłopicki. Przed powstaniem z r. 1830 nie należał Chłapowski do żadnego spisku, a mimo lat 43 życia, opuścił 8 grudnia 1830 żonę i dzieci i pospieszył tam, gdzie go wołało święte uczucie miłości ojczyzny. Usuwany na drugi plan, wysyłany w strony dalekie, spełniał Chłapowski wszystkie poruczone mu obowiązki bez szemrania i krytyki, widział wiele błędów, subordynacyi jednak nie złamał, bo wiedział, że ślepe posłuszeństwo największą jest cnotą żołnierza, bez względu na to, jaką ten żołnierz piastuje rangę. O towarzyszach swych sądził po wojskowemu: byli oni albo mężnymi, albo tchórzami i fanfaronami, mniej szlachetnych pobudek u ludzi nie dopatruje w ich czynach. Rzecz pewna, że gdyby w tej wojnie Chłapowski był wcześniej został jenerałem, gdyby nie Giełgud, ale on na Litwie objął komendę, wtedy innyby z pewnością wzięła była obrót ta wyprawa i ostateczny wypadek walki byłby prawdopodobnie pomyślniejszy. Niestety Giełgud lekceważył rady Chłapowskiego i Dembińskiego, zmarnował wyprawę na Litwę, zwlekając niepotrzebnie z dnia na dzień oblężenie Wilna. Podejrzywał Giełgud nadto Chłapowskiego o zamiary niecne, obce Napoleońskiemu żołnierzowi. Gdy Chłapowski spostrzegł, że Rosyanie przygotowali się już do bronienia Wilna i odradzał Giełgudowi daremnych prób zdobycia tego miasta, te słowa przykre usłyszał:

„Z jakimże czołem — rzekł Giełgud — możesz mi radzić odstąpienie Wilna? Popularyzowałeś się w armii planem na Wilno, a dziś, kiedy przybyłem, chcesz, abym ze wstydem się rejterował? Widzę, że prawdą jest, że mnie chcesz zgubić w opinii wojska i dowództwo odebrać".

Szlachetnie brzmiała odpowiedź Chłapowskiego na tę insynuacyę:

„Nie obawiaj się jenerale, żebym ci odebrał dowództwo. Daję ci słowo żołnierskie, że nigdybym go od podwładnych nie przyjął i że będziesz miał we mnie najposłuszniejszego żołnierza".

Oblężenie Wilna nie powiodło się, Chłapowski dotrzymał swego słowa, był podkomendnym Giełguda aż do 13 lipca 1831 roku. Dnia 12 lipca przeszedł oddział Giełguda granicę pruską, następnego dnia, po naradach Giełguda z pruskim landratem i oficerami, przeszły oddziały polskie granicę i złożyły broń, gdy przyszła kolej na oddział Rolanda, stał się fakt nieprzewidziany i straszny. Jakiś oficer z 7-go pułku z pistoletu ugodził Giełguda w serce. Chłapowski uporządkował oddziały, wprawione śmiercią wodza w zamieszanie. Rwał się nasz jenerał do Warszawy, czuł, że tam może być potrzebnym, wiedział, że

z małym oddziałem przedarłby się jeszcze do obleganej przez Moskali stolicy, poczucie obowiązku kazało mu jednak objąć opiekę nad wojskiem i temu głosowi sumienia prawego żołnierza uległ on, który tej hańbie, jaką skończyła się wyprawa Giełguda, starał się zapobiedz i byłby ją w wiekopomną chwałę zamienił, gdyby nie był podkomendnym niedołężnego wodza, musiał ten kielich bezmiernej goryczy do dna wysączyć. „Żołnierz od stóp do głowy, na wskróś i na wylot“ — oto rys zasadniczy człowieka, przebijający z tych Pamiętników. Dalszą charakterystykę jego wysnuł znakomity nasz historyk Kalinka, który Pamiętniki te znać musiał w rękopisie. Chłapowski, zdaniem Kalinki, „czuł w sobie, bo czuć musiał, zdolność do wielkich rzeczy, a jednak na tem, co mu robić kazano, przestawał; przed żadnym rozkazem się nie cofnął, każdy świetnie wykonał; ale dopóki nie dano rozkazu, jak żołnierz stał na miejscu, naprzód nigdy się nie wyrywał... Są w nim przymioty, które zazwyczaj nie idą w parze, lecz kiedy je traf szczęśliwy powiąże, tworzą całość wyjątkową. Rozum głęboki, a nie w jednym, ale w każdym kierunku, różnostronny, ale przytem zawsze jednolity. Rzutki i przedsiębiorczy, a zacięty i wytrwały; śmiały a bardzo ostrożny; w służbie twardy“ [1]. Co za bezmierna szkoda, że tyle cnót, wiedzy i zalet niemal zmarnowano, że życzenia i przepowiednie Kościuszki nie spełniły się. Wielu mieliśmy na szczęście nasze ludzi niepospolitych zasług, a w ich rzędzie w jednym z pierwszych szeregów należy się miejsce Chłapowskiemu, bo i po życiu żołnierskiem, gdy miecz w pług zmienił, wielkim był zawsze dla swych rodaków wzorem i przykładem.

Z epopei wojen napoleońskich, z tragedyi powstania 1830 i 1831 w domowe tulić się wypada nam zacisze; w sprawy galicyjskie wprowadza nas Pamiętnik Kaczkowskiego. Jest on odbitką z *Słowa Polskiego*, w którego fejletonach po raz pierwszy drukowano go zeszłego roku. Nie wspominałbym o tem, gdyby nie fakt, że zaraz po ukończeniu druku tego Pamiętnika, drukowano w spomnianym dzienniku powieść Józefa Maskoffa p. t. „Zaszumi las“, a w niej czytaliśmy pełną złośliwości sylwetkę Kaczkowskiego, ukrytego pod jego paryskiem mianem pana P(omiana). Zbieg okoliczności zaiste dość dziwny, jeżeli nie przewidziany! Kto zna Kaczkowskiego powieść p. t. „Wasi Ojcowie“, dla tego niema w Pamiętniku niespodzianek, tło i zapatrywania autora w obu dziełach te same niemal. Przesuwa się w Pamiętniku cała

[1] W. Kalinka, „Generał D. Chłapowski (Charakterystyka)“.

galerya wybitniejszych postaci z pierwszych pięciu dziesiątków lat naszego stulecia, tu i ówdzie znajdzie się niejeden jeszcze szczegół z lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Do genezy utworów Kaczkowskiego nie przynosi nam Pamiętnik nic nowego, natomiast pełno w nim uwag o stosunkach religijnych, społecznych i politycznych. Wspomnieniom o Polu poświęcił autor „Olbrachtowych Rycerzy“ sporo kart swych zapisków biograficznych. Uważa go autor za osobistość, która przed innymi wszystkimi wywierała swe wpływy nietylko na jedną warstwę społeczną, ale na umysły i serca całego kraju. Kaczkowski, sam wielki adorator tradycyi, cenił w Polu wysoko jego sentymentalizm historyczny, wpływowi Pola uległ też pod niejednym względem. Pol też pierwszy wzbudził w sercu Kaczkowskiego słuszną nieufność przeciw truciznom politycznym, jakie przez pewne pisemka emigracyjne wsiąkały w serca polskie, on to przekonał swego młodego przyjaciela, że konspiratorzy w rodzaju Juliana Goslara, „to prawdziwa trucizna, która nas daleko gorzej roztacza, niżeli Moskale i Niemcy“. Gdy mowa o Polu, należy wspomnieć koniecznie tego, z którego opowiadań wieszcz ten zaczerpnął wątku do wyśpiewania rycerskiego rapsodu o Mohorcie. W Pamiętniku Kaczkowskiego znajdujemy piękną sylwetkę Ksawerego Krasickiego i dokładny opis pogrzebu tego czcigodnego starca. Bardzo zajmujące szczegóły znachodzimy dalej o Jerzym Bułharynie, Sylwerym Brześciańskim, Sewerynie Goszczyńskim, Aleksandrze Fredrze, jenerale Chłopickim, St. hr. Skarbku (twórcy znanych w Galicyi fundacyj), Auguście Bielowskim, Adamie Chołoniewskim i wielu innych. Sądy o osobach brzmią przychylnie, o stosunkach ówczesnych Galicyi przeważnie ujemnie. Czasy napoleońskie i utworzenie Księstwa Warszawskiego nie wywarły na Galicyę wielkiego wrażenia, centralnym punktem patryotycznych uczuć była Sieniawa, żeśmy zupełnie nie wynarodowieli, winniśmy za to wdzięczność Czartoryskim. Patryotyzm ma w każdej epoce swoje odrębne cechy, w owej epoce w Galicyi wystąpiły one wyraźniej na jaw dopiero około r. 1830. Galicya dostarczyła powstaniu temu 24.000. Wymowna to cyfra i kraj nasz rehabilitująca, a tem godniejsza do zapamiętania, że „młodzież ówczesna nie umiała często pisać po polsku ortograficznie i nie znała historyi ojczystej, a uczucia swe patryotyczne ożywiała tylko tradycyami. Poznał szkoły galicyjskie Kaczkowski dobrze, uczęszczał do nich w Przemyślu, Samborze i Tarnowie, później zaś był uczniem uniwersytetu lwowskiego i wiedeńskiego. W szkołach uczono mało i niedołężnie, „władza zaś szkolna była podówczas policyą i sądem kryminalnym, a przeto niezmiernie ciężyła na

umysłach cokolwiek żywszej młodzieży". Między profesorami uniwersytetu lwowskiego dwu tylko było zdolniejszych, Hanusch i Bratranek, późniejszy profesor uniwersytetu krakowskiego, w Wiedniu profesorowie i koledzy wydali się Kaczkowskiemu ludźmi „grubych obyczajów".

Kwestyi ruskiej nie było wtedy w naszym kraju, ruscy księża chodzili wtenczas w konfederatkach i używali języka polskiego. Jednym z kolegów Kaczkowskiego w samborskiem gimnazyum był, jak wiadomo, Rusin z pochodzenia, Mikołaj Zyblikiewicz. Oto co o nim pisze nasz autor w swoich wspomnieniach: „Mikołaj Zyblikiewicz, wymowny poseł na sejmach, prezydent miasta Krakowa,... Marszałek Sejmu,... był to mały Mikołajek w kożuszku, ubogi syn kuśnierza z Nowego Miasta, cichy, spokojny i dobry kolega, jeden z pilniejszych uczniów". W obyczajach ówczesnych panowała wielka swoboda, było może nawet cokolwiek swywoli, ale nie było korrupcyi „a w interesach panowała wielka uczciwość, bo Żydów" nie dopuszczano do miast. W kraju panował względny dobrobyt nawet, a nieszczęsne obdłużenie ziemi rozpoczęło się dopiero z zaprowadzeniem Towarzystwa Kredytowego. Pańszczyzny nadużywali tylko ekonomowie i dorobkiewicze. Literaturą (często przemycaną w postaci wydawnictw zagranicznych) zajmowano się żywo. Mickiewiczowi czyniono zarzut, że w „Panu Tadeuszu" Soplicy (nie w całym poemacie, ale w osobie od której utwór wziął tytuł) „obniżył przeciętny poziom ówczesnej młodzieży". „Mieszaniny obyczajowe" Jarosza Bejły (H. Rzewuskiego) wywołały były ożywione dysputy...

Na zakończenie musimy jednak odeprzeć pesymistyczne o nas zdanie Kaczkowskiego. Pisze on w jednem miejscu swych Pamiętników te słowa: „Obrazy te minęły, jak sen, jeszcze się tylko cienie odbijają jak *fata morgana* w pamięci starców, ale dzisiejsze pokolenie nawet i od tych cieniów odwraca oczy, jak gdyby się sromały tych czasów i ludzi"... Tak nie jest, z dziejowej przyszłości snuje dzisiejsze pokolenie wiele błogich nauk dla siebie i nie rwie złotej nici tradycyi wiążącej je z przeszłością. A jeżeli w jednym, drugim kierunku ta przerwa nastąpiła, to jest ona dla tego kierunku najpewniejszą zapowiedzią upadku.

L. M. Dziama.

Z doli i niewoli. Wspomnienia wygnanki. *E. Tabeńska.* Kraków 1897. **Gawędy familijne.** Pamiętnik z XIX. w. *I. Turkułł.* Kraków 1897. **Z pamiętnika Romana.** Kraków 1898.

Na żadnym z leżących przed nami pamiętników nie odbiło się piętno wybitniejszego umysłu, ale napisane nie bez talentu, odtwarzają

nam doskonale czy to życie wygnańców syberyjskich, czy stosunki ziemskie, lub przesuwają przed oczyma jasne karty wyrwane z historyi całego narodu.

Pamiętnik pani Tabeńskiej zaleca się interesującą treścią i szlachetną tendencyą. Opowiada co w swem życiu widziała, co przebolała i co ją z niem łączyło, a opowiada nader szczerze, prosto, wdzięcznie. Niema w nim ustępów ni szczegółów szerszego zakresu, mimo to w skromnem swojem kółku budzi z natury rzeczy wielkie zainteresowanie. Nie potrzeba tu było wysiłków stylu, bo samo życie wygnanki pełne dramatyczności. Cierpienie jakby się z niem splotło. Od pierwszej młodości walka o byt, a walka w najdelikatniejszej formie. Córka rodziny szlacheckiej, lecz niezamożnej, pod względem kształcenia licznego potomstwa zostającej w zależności od bogatych krewnych, była autorka koniecznym świadkiem niejednej gorzkiej chwili, trującej miły spokój rodzinny i przedmiotem wielu upokorzeń; obok tego rozgrywała się w jej oczach walka jakby konserwatyzmu z postępem. Krewni biorą dzieci na wychowanie i naukę, matka pragnie tego z całego serca, ojciec zaś mówi: niech żyją jak myśmy żyli, czy to bez nauki nie jesteśmy szanowani. Kiedy stała się podporą rodziny, nieszczęsne wypadki 1863 roku dotkliwie znaczą się w jej rodzinie. Aresztują najpierw jej siostrę, niebawem ją samą za to, że odważyła się dowieść żywność osaczonym w lesie powstańcom. Odtąd poczyna wieść życie po kazamatach, ostrogach rok cały w podróży na Syberyę, w towarzystwie gburowatych żołdaków i zbrodniarzy różnej kategoryi. Jakże mizerne to życie osoby inteligentnej w podobnych warunkach, opiekunki całej rodziny, nagle wyrwanej z ogniska domowego — bieda wszelaka doskwiera, choroba nęka, a myśl, co porabia stary ojciec, nieletnie rodzeństwo łzy z oczu wyciska. Z zajęciem wielkiem czyta się tę podróż na Syberyę i życie wygnańcze, bo też potrafiła je autorka przedstawić pięknie. Inna atoli nasuwa się kwestya, czy pamiętnik odpowiedział zupełnie myśli autorki. Naznacza pani Tabeńska podobnym publikacyom cel wychowawczy. Miałyby one mianowicie dla dzieci ciekawe, pełne bajecznych i wymyślonych zdarzeń powieści, zastąpić prawdziwemi. Bardzo ładnie. Ale przy układaniu książek dla dzieci należy unikać starannie wszystkiego, coby mniej korzystnie mogło wpłynąć na młodociany umysł. A więc przeciążanie nazwiskami osób, niemających styczności z opowieścią, nadmiar scen epizodycznych, a nadewszystko niektóre usterki gramatyczne (składnia, znaki pisarskie) nie powinny mieć w nich miejsca.

Gawędy familijne p. Turkułła, jest to pamiętnik obywatela-gospodarza, skreślony ręką 84-letniego starca. Napróżnoby w nim ktoś szukał opisów bitew lub poglądów politycznych. Pan Turkułł bierze pod uwagę ekonomiczny stan kraju. Kogo więc zajmują gorzelnie, stadniny, rynki i jarmarki, zabudowania gospodarskie, znajdzie wszystko w jego pamiętniku. Pozna stan ważniejszych gospodarstw na Wołyniu i żywot cichy, ale wielce zacny tego ziemianina. Obok tej treści mamy wiele szczegółów odnoszących się do rodziny znanego jenerała Bobra i uwłaszczenia włościan.

Najbogatszą w treść dziejowego znaczenia jest niewielka książeczka „Z pamiętnika Romana". Napisana prawdziwie po obywatelsku, pełna miłości ojczyzny, uwielbienia dla trudów i ran jej bohaterów, stylem zaś tak jędrnym i żywym, że zdaje się chwilami słyszeć komendę, marsz, to ciche narady wodzów. Druga część Pamiętnika, zaczątki powstania 1863 r. na Podlasiu i Litwie, znana już, ukazuje się tu w drugiem wydaniu; pierwsza przynosi rzecz ogólnie niewiele znaną, Pamiętnik szkoły wojskowej polskiej we Włoszech (1859—1862). Dziwne są koleje tej szkoły. Zawiązana na obcej ziemi szkoła państwa, które było właśnie ziarnkiem niezgody między mocarstwami Europy, to coś niezwyczajnego. Roku 1859 dał jej hasło uwielbiany podówczas Mierosławski. Młodzież polska, posłuszna jego pobudce, wyemigrowała do Neapolu, następnie do Noli w nadziei kształcenia się w wojskowości. Ale opuścił ich Mierosławski i wszyscy ujrzeli się bez środków. Dopiero zajął się nimi zięć Garibaldiego, doktór Ochipienco. Wskutek próśb jego Garibaldi wymógł na Ratazzim zezwolenie na otworzenie szkoły wojskowej polskiej, zebrał kilkunastu markizów genueńskich z wezwaniem o składki; tak utworzył się fundusz i w Genui otworzono szkołę. Mierosławskiego zaproszono na dyrektora, zebrano grono nauczycieli, miała nawet szkoła swoją gazetę. Wkrótce jednak rozpierzchło się wszystko, skutkiem nietaktu dyrektora, i upadłaby na zawsze szkoła, gdyby nie przyszedł jej w pomoc Józef Wysocki. Ten zorganizował szkołę na nowo w Cunes przy pomocy materyalnej Pallaviciniego. Tymczasem w kraju nie ustawały manifestacye, wśród wzburzenia umysłów, smutnego następstwa licznych aresztowań; rząd rosyjski, pragnąc usunąć zagranicą zarzewie przyszłego powstania, zaproponował Ratazziemu, iż w zamian za zamknięcie szkoły wojskowej w Cunes, uzna Włochy, jako państwo niezależne. W interesie Włoch leżało więc zamknięcie jej, i tak się też stało. Uczniom szkoły rząd włoski wydał paszporta i wyznaczył 300 franków na drogę zasiłku dla każdego,

profesorom zaś przyznał całkowitą pensyę. Tak więc w połowie 1862 r. byli już nasi włoscy emigranci w Paryżu. Pamiętnik Romana wybornie poucza nas o życiu, regulaminie, gronie nauczycielskiem tej polskiej szkoły.

Jarosław Rejowicz.

Jenerał Tomasz hrabia Pomian Łubieński. Przez *Rogiera hr. Łubieńskiego.* Kraków i Warszawa. Gebethner i Wolff. 1899.

Wobec mnóstwa pamiętników z czasów napoleońskich, oraz nadzwyczajnego ich w tej chwili powodzenia i poczytności, raz po raz w pamięci naszej pobrzmiewa stara piosenka Beranger'a:

Bien dit-on qu'il nous ait nui
Le peuple toujours le révère,
Oui le révère.
Parlez nous de lui, grand mère,
Parlez nous de lui!

Cokolwiek bohater zawinił, wobec ludzkości czy nas samych, nic z niego nie zdarło tego uroku, w który go oblekły i zwycięstwa i klęski, i Austerlitz i św. Helena. Z pośród mnogich publikacyj odnoszących się do owej epoki, mało która zrównać się może z pamiętnikiem, którego tytuł wypisujemy powyżej. A nie jest to właściwie pamiętnik, spisywany po latach, układany i przykrawany w miarę następujących po sobie rozczarowań, ale żywy odgłos wypadków, słany z obozu, z przemarszów przez Europę, z przeróżnych krain i stolic, listy kreślone na kolanie, aby o sobie dawać znać najdroższym, najbliższym. I z tej to korespondencyi, rozjaśnionej żywą tradycyą rodzinną oraz mnóstwem pobocznych dokumentów, Rogier hr. Łubieński ułożył ten dwutomowy, nad wyraz zajmujący i niewolący pamiętnik. Z przygodną skromnością cofając się na drugi plan, wydawca postarał się przedewszystkiem o zużytkowanie obfitego materyału, zaledwie nawiasowo łącząc nicią jednolitego następstwa urywki listowania jenerała Tomasza. A rzadką za dni naszych wstrzemięźliwością, wzbudził w czytelniku zamiast przesytu i nudy, raczej żal szczery, iż nie dość hojnie czerpał z rodzinnego archiwum, nie dość obficie się dzielił skarbami, któremi rozporządzał. Te dwa spore tomy czytać przychodzi jak najbardziej zajmującą opowieść, bez jednej chwili zniżenia uwagi ani osłabienia interesu.

Bo też epoka była zajmująca, i czasy rzeźbiły dusze młodych wedle miary wielkości wypadków spółczesnych. Wydawca pokrótce

nam opisuje wychowanie młodzieży z znakomitszych domów u schyłku minionego a z początkiem mijającego stulecia. Mniej bywało kucia, więcej rozwijania umysłu, mniej egzaminów, więcej czytania i obcowania z ludźmi. Młody Tomasz zawiera wczesne śluby z sławną ówczesną pięknością, Konstancyą Ossolińską, i nieomal natychmiast spieszy oddać siły swe i życie na służbę ojczyzny. Zaraz po Jenie, Napoleon przebiega Polskę, budzi jej nadzieje, i odrazu „kwiat naszych młodzianów" zaciąga się w szeregi, aby pod wodzą bohatera wywalczyć niepodległość i wrócić byt ojczyźnie, wynagradzając gotową ofiarnością uśpienie i obojętność co sparaliżowały Kościuszkowskie powstanie. Tem ciekawszemi są owe wspomnienia Łubieńskiego, że tak on jak i jego żona należeć mieli do bezpośredniego otoczenia cesarza. Pani Konstancya niebawem stała się ozdobą dworu Józefiny i przyjaciółką królowej Hortensyi, Tomasz Łubieński, wyróżniony przez Napoleona, który w nim cenił i męztwo i kawalerską wytworność, niejednokrotnie zwracał na siebie uwagę i osobną łaskawość władcy, szybko postępując na coraz to wyższe stopnie wojskowe. Chrzest krwi miał otrzymać w kampanii w r. 1807. Po bitwie pod Eylau, nad inne krwawej, żołnierzyki nienasycone hazardu, obok stawki życia i szczupłe fundusze rzucali na jedną kartę. Tomasz Łubieński odrzekł się wtedy wszelkiej gry hazardownej innej jak wojenna, i na ręce żony złożył obietnice, nie folgowania już więcej wstrętnej namiętności. Rzadkie obozowe wczasy innemi odtąd wypełniać miał zajęciami. Między jedną batalią a drugą donosi co czyta, a są to najczęściej lektury tak poważne, że dzisiejsza młodzież i wśród wygód pokojowego życia nie łatwoby się zabrała do ksiąg tych rozmiarów i głębokości. Troska o podwładnych występuje też stałą nutą, i to nietylko o ich karność i wyćwiczenie, i zaopatrzenie ich potrzeb, lecz wraz i o ich dusze. Bezbożność wojskowa razi boleśnie tego powinowatego Sonisów i Pimodanów. Ilekroć może, żołnierzy swoich wiedzie na nabożeństwo, sam korzysta ze sposobności, aby przystępować do Sakramentów i nawiedzać przybytki Boże, zwłaszcza w czasie kampanii hiszpańskiej, tyle przykrej i wstrętnej, bo, jak pisze, „wojna o chwałę najgorsza z wszystkich, a taką tu prowadzimy". Głęboka pobożność tej rycerskiej duszy, tego jenerała, który później osobiście uczył syna katechizmu, aby go do pierwszej spowiedzi przygotować, stwierdza raz więcej zdanie jednego z najpoważniejszych mężów spółczesnych, który mówiąc o rodzinie odznaczającej się rzadką bujnością, odzywał się, iż Łubieńscy nie byli bez wad i win, jak wszyscy ludzie, ale że nigdy

nie utracili rzadkiego a osobnego daru wiary, która we wszystkich kolejach życia im towarzyszyła.

Z Hiszpanii, gdzie uczestniczył w najchwalebniejszych dla oręża polskiego bitwach, Łubieński pędzi ku Północy, aby brać udział i w rosyjskiej potrzebie. Nie danem mu dotrzeć do Moskwy, ale wystarcza oskrzydlać rejteradę wielkiej armii, aby zakosztować tej niebywałej w dziejach klęski. Zostawiony między trupami na wybrzeżach Berezyny, poświęceniu adjutanta Prendowskiego zawdzięcza jedynie swe ocalenie, lecz ślady tej okropnej doby odtąd zaciężą dozgonnie na krzepkiem niegdyś zdrowiu. Po upadku cesarstwa następuje ta chwila niepewności, ażali wszystko nie pójdzie na dno, i niedola kraju nie przerośnie chwilowych nadziei. Łubieńscy, Lubecki i kilku innych, zabierają się energicznie do dźwigania materyalnego bytu kraju. Obraz tych usiłowań znajdujemy w listach z okresu Królestwa kongresowego. Żadne pamiętniki nie dostarczyłyby obfitszych szczegółów, wiadomości, wizerunków spółczesnych, od tych listów pełnych prostoty i wykwintności zarazem, które tylko zwietrzały nieco w polskiem, niezawsze starannem tłumaczeniu. Obyczajem epoki, większa ich część była pisaną po francusku.

W powstaniu listopadowem Tomasz Łubieński wahał się zrazu ażali sterane zdrowie i przekonania pozwalają mu przystąpić do ruchu nie budzącego zgoła jego zaufania ani nadziei. Głos sędziwego ojca, którego posiwiali synowie słuchali jak dzieci rozstrzygnął: minister Łubieński zawyrokował, iż uchylać się od uczestnictwa w wojnie słusznej — acz szalonej — Polakowi niepodobna. Łubieński objął komendę dywizyi jazdy, bił się dzielnie, ale przez całą kampanię nosił w duszy oścień zwątpienia, i to mu w działaniu nie pomagało. Świetne potyczki, jak ta np. pod Nurem, w której dawnej waleczności złożył dowody, nie zgłuszyły urazy jaką do niego chował Chłopicki, za nieczynność w czasie bitwy pod Grochowem. Łubieński, stary żołnierz, wyglądał wtedy rozkazów naczelnego wodza, Radziwiłła, zamiast się skłaniać pod dyktatorską władzą, która chciała wygrać naraz wszystkie atuta. Pytanie atoli czy i udział jazdy Łubieńskiego byłby nadał inny obrót wypadkom.

I znów wszystko przepadło i zapadło się w kraju! Jedni „lękliwe nieśli za granicę głowy“, innych srogi wyrok wiódł ku Syberyi. Jenerałowie hurtownie mieli zostać wywiezieni do Wołogdy. Stara przyjaźń łącząca Tomasza Łubieńskiego z byłym ministrem wojny Rządu narodowego, jenerałem Franciszkiem Morawskim, w wspólności losu

i wygnaniu byłaby pewną znalazła osłodę. Ale gdy ten ostatni dojeżdżał do Wołogdy na kilkoletnią niewolę i tęsknotę, Łubieński zatrzymany przypadkowo w Moskwie, po drodze trafem spotkał się z cesarzem Mikołajem, który go obrzucił najsroższemi wymówkami, iż Polacy udaremnili jego zamiary ucywilizowania Rosyi za pomocą Polski, i rzucili go w objęcia Niemców „najsroższych moich i waszych wrogów". Wiadomo jednak ile się zyskuje na odwołaniu do najwyższej instancyi, zwłaszcza w Rosyi. Mikołaj zezwolił na powrót przysposobionego wygnańca do Polski. I znów rozpoczyna się nowy okres w życiu jenerała Tomasza: obywatelski, ziemiański. Gdy inni załamywali rozpacznie ręce, on wraz z braćmi splątane podejmował nici i na nowo próbował kraj dźwignąć już nie orężem, lecz pługiem, pracą, przedsiębiorczością. Czy drogę żelazną warszawsko-wiedeńską przyszło wytykać, czy rękodzielnie zakładać, czy górnictwo rozwijać, czy handel i przemysł popierać, wszędzie tam widnieją Łubieńscy, do wszystkiego jenerał Tomasz gotową i ochotną dłoń przykładał. Rwały mu się w ręku następujące po sobie przedsięwzięcia, opłacał doświadczenie majątkowemi stratami, osobistym trudem, a raz po raz i serdeczną męką, ale jakkolwiek rzadko święcił dni powodzenia, w najróżniejszych kierunkach był zawsze pionierem pracy, postępu, ogólnych dla kraju korzyści. Odgłosy tych zabiegów wypełniają ostatnią część pamiętnika, stanowiącego wierne zwierciadło społeczeństwa polskiego w okresie między r. 1831 a 1850. Choć korespondencya jenerała Tomasza mogła była i później dostarczyć zajmujących, acz bardziej prywatnych szczegółów, wydawca urwał swą pracę w progach tej sędziwości. W tej ostatniej dobie, jenerał Tomasz, jak ów Miecznik z poematu Malczewskiego bywał „mniej z ludźmi, więcej z Bogiem, a zresztą jednaki".

Niepodobna w krótkiem sprawozdaniu oddać wrażeń tej publikacyi. Zamyka się książkę z żalem, jak gdyby się rozłączać przyszło z gronem najmilszych przyjaciół, jak gdyby się niepowrotnie urywała cenna i zajmująca korespondencya. Półwiekowy okres znalazł tu wierne, ciekawe, szlachetne odzwierciedlenie. Ludzie z tej epoki skorzy byli do pióra, skłonni do pisania listów czy pamiętników. Dziś telegrafy i telefony zadały cios śmiertelny sztuce wdzięcznego listowania, a prasa codzienna udaremniła słanie szerszych odgłosów z spółczesnych zdarzeń i wrażeń, szara zaś teraźniejszość i powszednia przędza dni naszych nie usposabia zgoła do sporządzania pamiętników. Dla ludzi z epoki Łubieńskiego, wytycznych słupów pamięci dostarczały wojny napoleońskie lub powstanie listopadowe. Dla nas, chyba przyszłoby podzielać

życia rozdziały na sromotne wspomnienia defraudacyj popełnionych w tym lub owym zakładzie publicznym, nadużyć zaufania czy grosza, przeniewierstw i odstępstw bez liku, których bolesne odgłosy mącą jednostajność dni żadnem bohaterstwem nie rozwidnionych, a gaszących samowolnie ideały i zapały przekazane nam przez dawniejszych ludzi i pokolenia. Tem skwapliwiej należy przykładać spieczone wargi do czary ich przypomnień, aby w sobie odżywiać „dawne serca bicie", i choć chwil kilka tak górnie przeżyć, jak oni niegdyś całe życie.

M.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Versuch einer systematischen und kritischen Darstellung des allgemeinen modernen Auswanderungsrechtes. Von *Dr. Roger Freiherr von Battaglia.* Triest. Schimpff. 1898. (W 8-ce, str. 99).

Wędrówka ludów, która po raz wtóry odbywa się na wielką skalę w naszem znowu stuleciu, wywołała cały szereg mniej lub więcej poważnych rozpraw i broszur, które starały się wyświetlić tę kwestyę z różnych punktów widzenia. Stanowisko, które najczęściej było punktem wyjścia dla pisarzy na tem polu, było ekonomicznem; badano, dlaczego i kiedy objawia się ruch emigracyjny wśród ludności, czy i pod jakiemi warunkami ruch ten wychodzi na korzyść macierzy, czy i o ile państwo winno w tym względzie wkraczać z czynną ingerencyą i wyjść z biernej choć wygodnej roli spektatora, więc albo w danym razie ruch emigracyjny popierać albo go zwalczać. Rozprawa p. Battaglii ma inny zupełnie cel na oku. Pomija ona prawie zupełnie punkt widzenia ekonomiczny (traktując względy ekonomiczne co najwyżej nawiasowo tylko i ubocznie). Przedmiotem rozpatrywań autora jest bowiem stosunek emigracyi do państwa, o ile tenże objawia się w urządzeniach prawnych, innemi słowy prawo emigracyjne a właściwie systematyczny zarys jego w zakresie każdej gałęzi prawa z osobna. Więc prawo polityczne określa pojęcie emigracyi, którą jest opuszczenie terytoryum państwa przez członka tegoż państwa z zamiarem niepowracania. Natomiast w znaczeniu etnograficznem emigracyą jest opuszczenie dotychczasowej stałej, siedziby, jako centrum życiowego, przyczem wszystkie prawie stosunki socyalne a to w szczególności albo polityczne

albo ekonomiczne (albo też obie grupy stosunków równocześnie) emigrującej jednostki ulegają istotnym zmianom a ta jednostka nie zatrzymuje w ojczyźnie gospodarstwa domowego. Emigracya w prawnopaństwowem znaczeniu tego słowa przybrała szersze rozmiary w naszych dopiero czasach, gdy podmiotowe prawo emigrowania uznano bądź to wyraźnie, bądź też w sposób domniemany w przeciwieństwie do dawniejszych wieków, w których zakazy wychodźtwa lub przynajmniej prawo potrącenia *(gabella emigrationis)*, służące księciu, uzasadniano tem, że ze społeczności nie można wystąpić samowolnie bez zezwolenia innych członków, a już wcale w nieodpowiednim czasie i na niekorzyść innych (Tak Justi). Filozofia wolności i prawo natury poczęły natomiast dowodzić, że podmiotowe prawo emigrowania zawiera się w ogólnem prawie osobistej wolności. Do uznania tego prawa przyczynił się może także upadek merkantylitycznej doktryny o identyczności dobrobytu państwa z wielkością ludności. Przekonano się również, że zakazy emigracyjne chybiają celu. Uznano nakoniec, że cel państwa nie wymaga bezwzględnego zakazu wszelkiej emigracyi a to dlatego, że emigracya w jej obecnych granicach ani nie zagraża egzystencyi państwa ani nie wstrząsa dotkliwie i ciągle dobrobytem społecznym. Z drugiej strony uznano jednakże potrzebę ograniczenia wolności emigrowania w interesie celów państwowych, choćby nawet tylko o tyle, o ile chodzi o spełnienie pewnych już obowiązków wychodźcy względem państwa lub osób prywatnych i to obowiązków szczególnie ważnych dla celów państwowych; chodzi tu głównie o obowiązek służby wojskowej.

Należy tu również uwzględnić odpowiedzialność karną. Wychodźtwo, przedsięwzięte z pominięciem tego obowiązku jest nieprawnem i nie pociąga za sobą formalnego uwolnienia od związku państwowego. Również nie gasną same obowiązki, do których wykonania można przynaglić wychodźcę wówczas, gdy jest fizyczna po temu możność. Obowiązek ten istnieje więc i wówczas, gdy nastąpiła naturalizacya przybysza w obcem państwie. Wówczas jednakże powstaje pewnego rodzaju konflikt, gdyż przybysz ma obowiązek wierności wobec dwóch państw. Dlatego też postanowienie, teraz już wszędzie obowiązujące, że przynależność państwowa gaśnie wskutek naturalizacyi, należałoby uzupełnić o tyle, że z naturalizacyą gaśnie także obowiązek wierności dla pierwotnej ojczyzny, a więc i obowiązek służby wojskowej. W konsekwencyi jednak należałoby dopóty odmawiać przybyszowi naturali-

zacyi w swej ojczyźnie, dopóki nie będzie udowodnionem, że ustała jego powinność wojskowa w państwie ojczystem.

Emigracya prawna powinna ze stanowiska teoryi prawa państwowego pociągać ten za sobą skutek, że za zezwoleniem na emigracyę powinna iść utrata obywatelstwa. Tej drogi trzyma się jednak niewiele ustaw tylko. W praktyce system ten może bowiem doprowadzić do wypadku, że ktoś nie należy do żadnego związku państwowego, mimo to jednak będzie korzystał z opieki państwa macierzystego, nie mając wobec niego żadnych obowiązków. Racyonalniejszym jest już system francuski, wedle którego emigracya powoduje utratę przynależności państwowej tylko wtedy, gdy towarzyszy jej uzyskanie obcej przynależności państwowej lub osiedlenie się na stałe na obczyźnie, *sans esprit de retour* (z wyjątkiem osiedlenia się celem prowadzenia przedsiębiorstwa przemysłowego lub handlowego), albo wreszcie nieprawne wstąpienie do obcej służby państwowej. I ten system jednakże nie odpowiada wszelkim racyonalnym wymaganiom, które streszczają się przedewszystkiem w uznaniu zasady międzynarodowej, wedle której utrata przynależności państwowej następowałaby tylko dopiero z uzyskaniem nowej przynależności; naturalizacya wszakże pociągałaby za sobą bezwarunkowo zgaśnięcie dawnej przynależności. Wówczas też stałaby się zbyteczną denaturalizacya byłych poddanych.

Następstwem emigracyi (choć obecnie już tylko w niektórych państwach uznawanem) jest prawo potrącenia, które niegdyś starano się uzasadnić teoryą o *dominium eminens* państwa, później zaś wynagrodzeniem państwa za dotychczas świadczone usługi i dobrodziejstwa. Byłoby jednakże wysoce niesłusznem, nakładać na tych, którzy opuszczają albo mają opuścić państwo, szczególnie większe ciężary na rzecz tych celów państwowych, których urzeczywistnienie nie może im już przynieść korzyści.

Prawo administracyjne ma odnośnie do emigracyi uzupełnić i bliżej rozwinąć przedstawione wyżej zasady i postanowienia prawa politycznego. Administracya państwa winna w szczególności rozciągnąć bliższy nadzór nad wychodźtwem. Obecnie coraz więcej poczyna przeważać zdanie, że zostawić swobodę emigracyi znaczy to samo, co odebrać państwu wszelki wpływ na nią. Administracya więc zajmuje się emigracyą przedewszystkiem jako zjawiskiem społecznem. Pierwszem jej zadaniem i to zadaniem pierwszorzędnej wagi jest badanie tego zjawiska czyli t. zw. studyum emigracyjne. Winno ono zwrócić uwagę na stosunki wywołane przez emigracyę, na jej przyczyny i skutki

w samem państwie, z którego wychodźtwo ma miejsce. Statystyka emigracyjna znów przedstawia intenzywność, kierunek i charakter emigracyi. Należy również badać i technikę emigracyjną, położenie emigrantów w krajach emigracyjnych, jakoteż stosunki socyalne, ekonomiczne i polityczne tych krajów. Pożądanem jest zwłaszcza międzynarodowo-porównawcze traktowanie tej sprawy w międzynarodowym instytucie statystycznym. Administracya państwa ma jeszcze i inne, niemniej ważne zadanie przed sobą do spełnienia na polu emigracyi. I tak winna się ona opiekować wychodźcami i to nietylko wówczas, gdy popiera emigracyę, ale i wówczas, gdy ją o ile możności wstrzymuje. Zawsze i wszędzie bowiem jest niemoralną myśl, że dla odstraszenia innych, należy poświęcić na zagładę pewną liczbę egzystencyj i to takich, które albo nie są winne swej emigracyi albo co najwyżej ponoszą winę lekkomyślności, zasługującą może na grzywny, na karę aresztu, ale nie na karę zupełnej zagłady. To też motywa projektu niemieckiej ustawy emigracyjnej zauważają bardzo słusznie: „Gdyby nawet emigracya ze stanowiska ekonomicznego była objawem pożałowania godnym, zaradzenie jej nie należy przecież do zadań ustawy emigracyjnej. Ustawa taka musi raczej liczyć się z emigracyą, jako z faktem, w uznaniu zasady wolności emigracyi, wyrażonej przeważnie w ustawodawstwie partykularnem a wprowadzonej powszechnie w życie przez ustawodawstwo Rzeszy".

Opieka nad emigrantami obejmuje dwie fazy: profilaktyczną i właściwą. Opieka profilaktyczna polega na pouczaniu ludności o stosunkach emigracyjnych. Pouczanie to powinno być stałem, regularnem a nie następować dopiero *post festum*, gdy ruch emigracyjny nabrał siły. Właściwa opieka powinna towarzyszyć emigrantowi we wszystkich fazach wychodźtwa, od powzięcia zamiaru emigracyi, aż do osiedlenia się zagranicą, a nawet i później. I tak wzbrania państwo niejednokrotnie agentom zawierania umów emigracyjnych z ludźmi pozbawionymi środków materyalnych, lub z takimi, „których kraj emigracyjny" prawdopodobnie nie przyjmie. W ogólności wszystkie przedsiębiorstwa emigracyjne winny podlegać ścisłemu nadzorowi ze strony państwa a najbardziej w tym względzie właściwym jest system koncesyjny i kaucyjny. Przedsiębiorca emigracyjny jest bowiem człowiekiem, od którego rzetelności i znajomości rzeczy zależy w wielkiej mierze byt i całe przyszłe szczęście wychodźców. Wskazanym jest też w ogólności ścisły dozór państwowy nad zawieraniem umów emigracyjnych i kolonizacyjnych także pod względem ich treści. Podczas

transportu państwo winno się starać o bezpieczeństwo sanitarne emigrantów. Po przybyciu emigranta do nowej ojczyzny, państwo emigracyjne za pomocą urzędów konsularnych i stowarzyszeń dobroczynnych, informuje go o stosunkach zarobkowych i ochrania wogóle przed wyzyskiem. Również może i powinno się starać o zachowanie związku kulturalnego między emigrantem a pierwotną jego ojczyzną, w którem to dążeniu walną pomocą jest skorzystanie z emigracyi przez użycie jej dla własnej kolonizacyi. Czy państwo winno popierać lub tamować emigracyę, zależy to głównie od polityki ekonomicznej danego kraju, zawarunkowanej znów ze swojej strony odpowiedniemi stosunkami gospodarczemi. Stosownie do stanowiska, w tym względzie przez państwo zajmowanego, służy mu do dyspozycyi cały szereg środków negatywnej i pozytywnej natury.

W dalszych ustępach rozbiera autor stanowisko emigracyi w prawie karnem i w prawie prywatnem. Emigracya nieprawna z państw, w których istnieją powszechne zakazy emigrowania, pociąga za sobą liczne a bardzo dotkliwe skutki karne, objawiające się i w dziedzinie prawa cywilnego, więc utratę godności, tytułów i urzędów, utratę zdolności nabywania własności i zdolności dziedziczenia i t. p. Drugą grupę przestępstw emigracyjnych stanowią pewne czynności, skierowane ku wywołaniu emigracyi, wyraźnie wskazanych osób lub mas ludności; trzecią nakoniec stanowią przekroczenia norm administracyjnych, obowiązujących przedsiębiorstwa emigracyjne, o ile nie podpadają pod inną sankcyę karną. W prawie prywatnem wywierają wielki wpływ w dziedzinie emigracyi stosunki familijne; tu należy także cały szereg praw prywatnych, służących wychodźcom przeciw przedsiębiorstwom emigracyjnym i to nietylko na mocy postanowień prawa prywatnego powszechnego, ale i handlowego morskiego.

Oto w głównych zarysach treść wywodów autora. Pan Battaglia (który, mówiąc w nawiasie, jest Polakiem), zna literaturę przedmiotu dokładnie i wszechstronnie; a choć temat, który tu omówił nie jest zbyt nowym i był już niejednokrotnie przedmiotem rozległych i rozlicznych roztrząsań, przecież objawia się on tu w nowej szacie. Autor nie ogranicza się przytem na li tylko sprawozdawczem zestawieniu właściwych norm ustawowych, lecz wypowiada niejednokrotnie uwagi krytyczne, tyczące się dalszej konstrukcyi gmachu pojęć i norm prawnych o emigracyi, względnie wypowiada życzenia modyfikacyi obecnie już istniejących przepisów. Sądziłbym jednakże, że większe uwzględnienie czynnika ekonomicznego, który autor, co prawda, z rozmysłu

wyłącza z zakresu swych roztrząsań, wyszłoby tylko na korzyść samej pracy. Straciłaby ona może na uniwersalności, którą autor chciał jej nadać, zyskałaby jednakże więcej życia, stałaby się żywym organizmem o krwi i kościach, a co za tem idzie, miałaby większe praktyczne znaczenie. Pan Battaglia, nie chcąc popaść w błąd tak często popełniany przez innych, nie daje, zwłaszcza w dziedzinie prawa administracyjnego, bardziej konkretnych rad i wskazówek, zapominając snadź o tem, że i ogólne zasady okazują się w praktyce niejednokrotnie niewłaściwemi, że więc najlepszym probierzem ich regulującej siły jest życie samo.

Dr. Zygmunt Gargas.

Zur modernen Dramaturgie. Studien und Kritiken über das ausländische Theater von *Eugen Zabel.* 1899. Oldenburg und Leipzig. Schulze'sche Hof-Buchhandlung und Hof-Buchdruckerei. (W 8-ce, str. 454).

Książka niniejsza jest owocem długoletniego a ścisłego obcowania z teatrem i literaturą dramatyczną a w jej autorze łatwo domyśleć się doświadczonego krytyka teatralnego. To stanowi charakterystyczną cechę tego dość dużego tomu, to decyduje o jego zaletach ale i wadach. Pan Eugeniusz Zabel jest krytykiem teatralnym jednego z najwybitniejszych dzienników berlińskich — to też w jego książce widocznym jest na każdej karcie, w każdem słowie niemal ów ścisły związek literatury ze sceną, bez którego poezya dramatyczna jest anormalnością, o którym jednak tak często zapominają zarówno autorowie, jak i uczeni historycy literatury. Pan Zabel nim nie jest — stąd w jego książce brak niejednokrotnie w ocenianiu indywidualnych objawów bądź całokształtu dzieł danego autora, bądź poszczególnych jego utworów, brak uwydatnienia ich związku z współczesnym ogólno-literackim kierunkiem lub w wyższej jeszcze mierze, związku z całem kulturalnem życiem narodu lub ludzkości; jego wywody są prawie zawsze trafne, często jednak, pod tym właśnie względem domagają się koniecznie uzupełnienia. Charakterystycznym jest tu już sam układ książki. Historyk literatury podzieliwszy ją już nawet na szesnaście rozprawek, jak to czyni autor, uporządkowałby je niewątpliwie według chronologicznego następstwa epok, do których omawiani pisarze dramatyczni należą, dałby np. staro-indyjski dramat, potem dopiero Szekspira, potem Augiera, dalej Ibsena i t. d. Pan Zabel kieruje się zasadą — niekierowania się żadną zasadą: da na początek Scribe'a, potem Molière'a,

postąpi aż do Gogola na to, aby zaraz cofnąć się aż do Sudraki, skoczyć stąd na Ibsena, znowu zawrócić do Szekspira i t. d., bez jakiejkolwiek przewodniej myśli. Niejednego czytelnika ten dziwaczny układ książki może rozgniewać, co gorsza napełnić niedowierzaniem do autora, jego sumienności i wytrawności. Wnioski łatwo mogą autora skrzywdzić i powtórzyć należy, że dziwaczność i lekkomyślna niedbałość jest tylko w nieporządnem następstwie rozpraw nie w ich treści. Są wreszcie w książce ustępy, które mogły wyjść tylko z pod pióra krytyka teatralnego. Charakteryzując sztukę tego lub owego artysty dramatycznego, p. Zabel zajmuje się rozbiorem tych dzieł dramatycznych, w których ów słynny aktor ze szczególnym artyzmem odtworzył wybitną rolę. W tych ustępach autor z jeszcze większą swobodą przeskakuje po kilka razy z epoki na epokę, naprzód i wstecz.

Po tych ogólnych spostrzeżeniach jasnem się okazuje, że krytyk przechodząc do szczegółowego rozbioru książki, nie może iść krok w krok za autorem, streszczając, względnie oceniając z równą starannością wszystkie jego wywody w tym porządku, w jakim się w tomie znajdują. Przeciwnie; wypadnie mu przedewszystkiem przywrócić — o ile się to da — pominięte zupełnie przez autora chronologiczne a temsamem często i genetyczne następstwo epok, autorów, dzieł, odstępując bez skrupułu od porządku artykułów książki. Również odpowiedniem a nawet koniecznem okaże się, jednym rozprawkom poświęcić więcej uwagi i miejsca niż innym, tę i ową nawet prawie zupełnie pominąć. Będzie to sprawiedliwem wobec tych krytyk teatralnych, gdzie autor zmuszony do tego siłą rzeczy, mówi wprawdzie rozumnie lecz nie powiada nic nowego, przypomina tylko prawdy znane lub łatwo skądinąd — z pierwszej lepszej encyklopedyi — dające się wyczytać. Ale niekiedy wskazanem będzie takie postępowanie i tam, gdzie w wywodach autora zawiera się niejedno nowe a bardzo ciekawe i trafne spostrzeżenie, które jednak przekraczając sferę czystej krytyki literackiej wkracza w dziedzinę teatralną. Pan Zabel daje często zdrowe rady reżyserom i aktorom, jak mają inscenizować daną sztukę, grać daną rolę. W fachowo teatralnem piśmie te ustępy mogą i muszą być szeroko omówione, na tem jednak miejscu wolno tylko mimochodem ich istnienie zanotować.

Według rozwiniętego powyżej programu, pierwszeństwo należy się małej rozprawce omawiającej staro-indyjski dramat *Vasantasena*, chociaż ten ustęp znajduje się dopiero w połowie książki (str. 217—226). Do niedawna wykształcony ogół znał ze staro-indyjskiej poezyi

dramatycznej jeden tylko utwór, nieśmiertelną *Çakuntalâ*, którą stary Goethe powitał entuzyastycznemi dystychami. Od niedawna przybył do skarbu znanej literatury cywilizowanego świata inny dramat staro-indyjski, którego autorem jest król Çudraka (żyjący zapewne w IV — VI. w. po Chr.), a tytuł brzmi *Mrichchakati*[1], co tłumaczy się „Wózek gliniany". Ten dramat znany uczonym indologom od wielu lat, przetłumaczony z oryginału na język angielski, później z niego na francuski, dostał się już w r. 1850 w przeróbce na scenę „Odeonu", był odtąd często przekładany i do potrzeb nowoczesnego teatru zastosowywany, aż w najnowszych latach takiej przeróbki niemieckiej dokonał p. Emil Pohl, autor popularnych fars berlińskich. W tej formie dostał się na wiele scen niemieckich ciesząc się dużem powodzeniem; na polskiej scenie się nie ukazał, a wskutek tego nasza publiczność nie zna jednego z niewątpliwych arcydzieł (ktoby chciał ten brak usunąć, znajdzie dramat w taniej biblioteczce Reclama). Pan Zabel słusznie powiada, że *Vasantasena*, jak dramat od imienia bohaterki nazwał Pohl, ma nastrój na wskróś nowoczesny, jak współczesnym jest zwłaszcza charakter tej głównej postaci, którą jako twór artystyczny stawia ponad sławną „Manon Lescaut" i „Damę Kameliową".

Od dramatu staro-indyjskiego do Szekspira jest skok olbrzymi. Zrobiwszy go chętnie przyjmuje się i inną zmianę. Tam autor z konieczności referując o rzeczy mało znanej, był więcej informatorem, mniej krytykiem, tu punkt ciężkości przenosi się właśnie na tę stronę. Lecz zanim autor zajmie się charakteryzowaniem kilku dramatów wielkiego Anglika, opowiada stylem zgrabnego fejletonisty o rozmaitych wydaniach jego dramatów i ich cenach. Ze zdziwieniem słyszy się, jak nizko były zrazu płacone owe słynne cztery pierwsze wydania *in folio*. Dopiero Samuel Johnson i Garrick przywrócili Szekspirowi sławę, a odtąd wydania jego dzieł stawały się coraz droższemi. Dziś jeden z nielicznych zachowanych egzemplarzy wydania Hemings'a i Condell'a kosztuje 24.000 m., tak, że wiele publicznych bibliotek musi się zadowolnić wierną fotograficzną odbitką oryginału. Z drugiej zaś strony mnożą się popularne edycye. Jedna z nich — cały Szekspir w jednym tomie za sześć penców[2] — jest właśnie punktem wyjścia dla autora. (Szalenie nizka cena dała się osiągnąć tą drogą, że na okładce umieszczono ogłoszenia „naj-

[1] Tak podaje p. Zabel; inni transkrybują *Mritschhakatikâ*.

[2] Penny = 5 ct. w. a.

lepszego gatunku cacao“ i t. p. rzeczy!). Szkoda, że autor nie wiadomo czemu tylko kilka dramatów i to zupełnie „na wyrywki“ omawia. Doskonałym jest rozbiór „Ryszarda II.“, wyborny już i dlatego, że autor sumiennie a bez nużącej drobiazgowości bada zależność Szekspira od tragedyi Marlowe'a „Edward II.“. Utwór Szekspira nazwany jest *Die Tragödie des Gottesgnadenthums,* tego mistycznego wyobrażenia, według którego królowie i władcy do wykonywania urzędu nietylko otrzymują światło z nieba, lecz stoją pod bezpośrednią opieką Opatrzności, i czują się niezależnymi od wszelkiej ziemskiej potęgi. Pięknie przedstawionem jest w książce, jaką bezstronność poetycką okazuje Szekspir, i jak opromienia upadek bohatera, który był złym nie z wrodzonej złości, lecz z zasadniczo-fałszywego sposobu myślenia. Co autor mówi o „Henryku IV.“ i „Henryku V.“, to przeczyta z korzyścią każdy dyrektor i reżyser teatralny przed przedstawieniem tych sztuk (a więc czytać tego Polak nie potrzebuje, bo u nas ma się wstręt do „historyj“ Szekspira, chociaż podpisany z własnego doświadczenia wie, że przy silnem napięciu dobrej woli ze strony dyrekcyi teatru i aktorów te dramaty działają wprost porywająco). Słabem wydaje nam się natomiast rozumowanie, za pomocą którego p. Zabel sili się na udowodnienie, że „Koryolan“ nie jest politycznym dramatem. Zapewne, że Szekspir niemiał w tym stopniu politycznej tendencyi, jak np. Sardou pisząc „Rabagasa“, ale chcąc czy nie chcąc dał okrutnie ostrą satyrę na marność motłochu, przedstawiając z drugiej strony z wspaniałą grozą upadek dumnego starożytnego *Uebermensch*'a.

Pominąć można te ustępy książki, które mówią o niektórych dramatach — wyraźnie o niektórych — Molière'a, Lope de Vega i Calderona. Znajdzie się tu wiele rozumnych uwag, lecz bardzo mało nowych i głębszych, chyba tylko odnośnie do inscenizacyi tych dzieł. Za to gorąco można polecić odczytanie tych studyów, które są poświęcone pisarzom dramatycznym francuskim z pierwszej i początku drugiej połowy tego wieku, a stoją na czele tomu. Rozprawy o Scribe'm, Augier'ze, Labiche'u, Dumas'ie młodszym nie przypadkowo tak dobrze się napisały. Ich wysoka wartość jest naturalnym wynikiem rodzaju talentu p. Zabla tak, jak na odwrót mogą one posłużyć do określenia tej duchowej organizacyi. Są krytycy, u których nadzwyczajna wrażliwość nad wszystkiemi innemi władzami góruje. Pan Zabel do nich nie należy. Wrażliwość posiada oczywiście, bez niej nie mógłby być krytykiem literackim, lecz nie jest ona dominującą cechą jego indywidualności. Trzeźwy

rozsądek, znakomita miara, wytrawność sądu są daleko silniejsze niż uczuciowa wrażliwość. A jeżeli tak jest, to naturalnie p. Zabel mniej szczęśliwym będzie jako pośrednik pomiędzy czytelnikiem a tworami poezyi szczególnie silnie przemawiającemi do wyobraźni, wstrząsającemi uczuciem; tu jego rozsądek, miara i wytrawność mogą się wydać chłodem. Weźmy np. ostatni rozdział książki. Mówi o głośnym „Cyrano de Bergerac“ p. E. Rostand'a. Porównajmy to, co pisze p. Zabel z tem, co o tej „komedyi bohaterskiej“ ogłosiła niedawno p. M. Konopnicka. Jaka olbrzymia różnica! Jak chłód niemieckiego krytyka mrozi i ostatecznie raczej przeszkadza niż dopomaga czytelnikowi w odczuciu całego uroku i niezwykłej piękności utworu, które z takiem przejęciem ukazuje polska poetka. A na ogół p. Zabel ma przecież więcej warunków na krytyka. Okazuje się to wyraźnie w wspomnianych czterech studyach. I Scribe i Augier i Labiche i Dumas syn, nadewszystko zaś ci, którzy w tem wyliczeniu zajmują oba skrajne miejsca, nie tworzyli przeważnie z wyobraźni i uczucia, nie do tych władz duszy przemawiają, nie wzruszają serca, nie porywają fantazyi. Stąd też p. Zabel pojmuje ich lepiej, prawdziwiej niż np. Calderona lub Rostanda. Jego rozsądek miara, i wytrawność nie przeszkadzają mu dojrzeć w dziełach tych czterech francuskich pisarzów tego, co jest w nich trwałem, zdrowem, pięknem, a są mu znakomitą pomocą w wytknięciu tego, co w nich jest marnem, skoszlawionem, brzydkiem.

Nazwisko i stanowisko Scribe'a w historyi teatru nie jest obcem nikomu, lecz zupełną sprawiedliwość odda mu dopiero ten, kto, jak p. Zabel, patrzy na bieżącą produkcyę dramatyczną. Z tego zestawienia okaże się, jaką wartość posiada to, co niektórzy niemieccy krytycy pogardliwie *die Mache* nazwali. Jest to w pierwszej linii zdolność wymyślenia zajmującej fabuły, w drugiej cenniejsza jeszcze i rzadsza zdolność zręcznego jej przeprowadzenia od początku do końca tak, że interes ani na chwilę nie słabnie. Oczywiście nikt nie uważa sztuk Scribe'a za arcydzieła, każdy widzi płytkość w przedstawieniu charakterów, banalność niektórych motywów, często fałszywą bo tylko zewnętrzną dramatyczność sytuacyi: p. Zabel ma zupełną słuszność twierdząc aforystycznie, „że Scribe nie był poetą w wyższem znaczeniu“. Nie był nawet wielkim pisarzem. Niemniej jednak nazywa go mistrzem, w tym sensie, jak tego wyrazu używa Goethe, który ten tytuł nadawał temu, „kto coś wymyślił“. A Scribe popchnął francuski teatr — a z nim i europejski naprzód. „Tchnął w niego osobliwy temperament, nerwowość,

ruchliwość", stając się pod tym względem wzorem dla całego zastępu naśladowców i następców. Fenomenalną jest jego zręczność w prowadzeniu akcyi, która z niepozornych początków, nieznacznych i jakby nic nieznaczących zawikłań dochodzi w bezustannym postępie do szczytu, gdzie niespodziewanie węzeł się rozwiązuje. Taki portret literacki w ogólnych zarysach daje autor wprawnem piórem, opowiadając w związku i o zewnętrznych kolejach losów pisarza, zatrzymując się dłużej nad wybitniejszemi jego dziełami. Ten obraz wymaga uzupełnienia, dla Scribe'a zaszczytnego. Mówiąc o słynnej „Szklance wody" należało wyraźnie podkreślić, że Scribe przez nią i jej pokrewne sztuki staje się twórcą nowego rodzaju literatury dramatycznej, który odtąd przez długie lata cieszy się powodzeniem na scenach, aż podcinają mu korzenie jednostronne lecz za to tem uporczywsze zarzuty krytyków. Jednem słowem: Scribe jest twórcą komedyi historycznej. Nie tu miejsce ważyć zalety i organiczne wady tego rodzaju literatury, dość, że cieszył się długo powodzeniem a tem samem pozyskał praktyczne uprawnienie.

Innym, odrębnym i — sympatyczniejszym, bo więcej poważania godnym pisarzem jest Augier. Daleko od siebie zostawia się płytkość, lekkomyślność, rzemieślniczą zręczność Scribe'a. Augier to autor poważny, wysokie mający wyobrażenie o godności, zadaniu i obowiązkach pisarza dramatycznego. Stąd też darmo byłoby szukać u niego tej zadziwiającej płodności, która jest cechą Scribe'a i tak ściśle związaną z ujemnemi stronami jego dzieł. Augier napisał zaledwie ośm niedużych tomów dramatów, lecz w każdym budzi szacunek głęboka powaga, prostota, szlachetne dążenie do prawdy. Scribe chce tylko zająć i bawić, Augier porusza zawsze jakiś poważniejszy temat obyczajowy, nieraz usiłuje jaką zawiłą kwestyę moralno-społeczną rozwiązać. Zrazu wierzy w wrodzoną szlachetność ludzkiej natury, w zwycięstwo dobrego nad złem — to np. *Gabrielle* — w późniejszym wieku patrzy już posępniej. A jak dawniej często tworzył w formie wierszowanej, tak teraz stanowczo zwraca się ku prozie. I powstają dzieła posiadające do dziś dnia trwałą wartość: *Le gendre de M. Poirier, Mariage d'Olympe, Les Effrontés, Le fils de Giboyer*, wreszcie ostatnie *Les Fourchamboult*. Znane są powszechnie, więc o nich nie potrzeba mówić; przypomnieć się tylko godzi, że poza doskonałą budową akcyi, znakomitą psychologią postaci, powagą języka cechuje je zwykle zdrowa myśl przewodnia. Tak jest np. w „Małżeństwie Olimpii", gdzie autor wyraźnie przemawia przeciw

propagowanym przez Dumas'a a modnym wówczas zapędom do rehabilitowania upadłych kobiet, wprowadzania ich w rodzinę jako żon. Augier płynąc przeciw prądowi przejmująco przedstawia „nostalgię błota". A w końcu dobrze świadczy o nim i jako o człowieku i jako o pisarzu, że wiedział, kiedy przestać tworzyć. Dzięki temu nie naraził się na przykrości, które tak często zatruwały życie Scribe'owi, gdy w starości musiał w przedpokoju dyrektora teatru drżeć o los manuskryptu nowej sztuki.

Już się wymieniło nazwisko Dumasa syna. Jego twórczość, tyle znacząca w historyi dramatu, była już niejednokrotnie omawianą i wyczerpująco ocenianą. Brak jednak do dziś dnia książki, która pokazałaby nareszcie, jakim był w swej szerokości i głębokości wpływ Dumasa na współczesną literaturę dramatyczną europejską. I nasza nauka odczuwa brak takiego studyum, które tem więcej byłoby na czasie, że dziś już, jak się zdaje, minęło oddziaływanie Dumasa na polskich pisarzów dramatycznych. Lecz nie tak dawno wpływ ów był silnym i bardzo rozpowszechnionym. Żaden z zagranicznych talentów nie miał tylu naśladowców u nas co Dumas w epoce pełnej twórczości pp. Zalewskiego, Lubowskiego i zmarłego przed kilkoma laty Koziebrodzkiego (jego „Nauczycielka" jest bliźniaczą siostrą Dumasowskiej „Denizy"). Pan Zabel nie bada wpływu Dumasa na literaturę niemiecką, lecz roztrząsa jego działalność samą w sobie. I tu popełnia jeden błąd. Nikt temu nie przeczy, że osobiste losy i przykre doświadczenia Dumasa, który był naturalnym synem Dumasa Ojca i jego kochanki Kreolki, i jeszcze w szkołach wiele szyderstw i krzywd z powodu tego nieprawego pochodzenia wycierpiał, że one po części wywołały całą późniejszą tendencyjność jego utworów, których *Leitmotiv*'em jest chęć rehabilitowania upadłej kobiety. Lecz poza tem należało wciągnąć jako moment objaśniający ówczesne prądy nurtujące w francuskiem społeczeństwie. Gdyby nie ten liberalizm ogromnie obszernie pojęty i niedobijająca się rozgłosu kwestya kobieca, tendencyjne sztuki Dumasa mogłyby były wyjść z pracowni autora, lecz nie miałyby były tego olbrzymiego rozgłosu, jaki w rzeczywistości stał się ich udziałem. Charakterystyka talentu a zwłaszcza techniki Dumasa jest bardzo trafną i bystrą, doskonale jest określonem stanowisko rezonera a sprawiedliwym ostateczny wyrok, „że Dumas jest daleko bardziej retorem, filozofem i polemistą niż poetą".

Rozdział o Eugeniuszu Labiche zaczyna się ogólnemi uwagami

o narodowych właściwościach Francuzów, którzy nawet po dniach klęski, w smutnych kolejach ojczyzny, muszą mieć chwile pustego humoru, a zawsze kochają się w wyśmiewywaniu i drugich i siebie. To Rabelais, Molière i Voltaire, to za drugiego cesarstwa Offenbach. Są jednak i humoryści bez satyrycznej tendencyi a do nich należy właśnie Labiche. Ma trafne zrozumienie rodzaju i granic talentu swego: nie pnie się na wyżyny Molière'a, czuje się onieśmielonym na deskach klasycznego *Théatre Français*, jego polem popisu jest teatrzyk *Palais Royal*. Tu bez żenady może dać folgę humorowi, może sobie pozwolić nawet na błazeńskie skoki. Śmieje się i wywołuje śmiech, lecz — co mu za zaletę poczytać należy, chociaż p. Zabel tego nie uwydatnia — mimo swobody w motywach i sytuacyach, nie popełniał tego tak częstego u dzisiejszych farsistów błędu, że przedstawieniem brudu ślizkiego pragną wywołać komiczne wrażenie. PP. Bisson i Carré lub p. Feydeau pewnie nigdy do Akademii się nie dostaną i tego zaszczytu nie są godni — Labiche natomiast został jednym z czterdziestu „nieśmiertelnych" a poważny Augier nie wahał się wydania zbiorowego jego dzieł poprzedzić ciepłą i serdeczną przedmową.

W związku z omówionemi powyżej czterema wybornemi studyami pozostaje następne, o upadku dzisiejszej literatury dramatycznej francuskiej. Autor nie bez patryotycznego zadowolenia podnosi niewątpliwy fakt, że za dni naszych Paryż już nie jest wyrocznią i głównym dostawcą w zakresie teatru; wielką część tego zaszczytnego stanowiska przejęły na siebie Niemcy. Autor zdaje się szukać przyczyn tego objawu, lecz tutaj nie sięga dość głęboko. Zadawalnia siebie — nie czytelników — zdaniem: „Ma się wrażenie, jak żeby grunt wogóle się wyczerpał", i twierdzeniem niezbyt ścisłem, że teraz już „nikt nie może utrzymywać jakoby duchowe życie francuskiego narodu w tem znajdywało zupełny wyraz, co w przeciągu roku ukazuje się na paryskich scenach". My wytłumaczylibyśmy sobie rzecz inaczej. I dzisiejszy dramat francuski jest odbiciem współczesnego życia francuskiego; że się podobać przestał, to dlatego, że fizyczny i moralny upadek tego życia jest nam — a po części i Francuzom — tak już nieznośnym, wstrętnym, tak jego obraz nas dusi i przygniata. Pragniemy odrodzenia, świeżego powietrza; na jego przyjęcie okna i drzwi na oścież otworzymy. Wszak i „Cyrano" jest francuskim a czytamy go z zachwytem lub choćby tylko z przyjemnością, bo po scenach w buduarach kokot i niewiernych żon dał nam obraz życia pełną piersią, zdrową krwią — obraz

z przeszłości. Póki w życiu wykształconego Paryża nie nastąpi zwrot, póty francuski dramat współczesny nie może mieć trwałego powodzenia.

Rzecz o „Rewizorze petersburskim“ Gogol'a nie przynosi polskim czytelnikom nic nowego, bo my tę znakomitą satyrę znamy dłużej i lepiej niż Niemcy. Dla odmiennego powodu nie może nas także w wyższym stopniu zaciekawić rozdział o „Tragedyi człowieka“ Węgra Madach'a. Allegoryczny ten dra ⁋ at z oburzającą bezczelnością czy olbrzymią ignorancyą porównywany do „Fausta“ Goethe'go, grany był w Niemczech tylko, gdzie upadł, a p. Zabel z bezlitośną sprawiedliwością odmawia mu wszelkiej wartości. W dłuższej rozprawie omawia Ibsena młodzieńcze utwory, które po części po raz pierwszy ogłoszone zostały w drukującem się obecnie pierwszem całkowitem wydaniu dzieł skandynawskiego poety, redagowanem przez pp. J. Ewas'a, P. Schlenther'a i J. Brandes'a. Jest to najprzód *Catilina*, w którym bohater, według trafnego określenia jednego z niemieckich krytyków, jest przedstawiony jako *ein Verbrecher aus verlorner Tugend*, dalej *Das Hünengrab*, „Pani na Oestrot, gdzie Ibsen jest pod silnym wpływem skandynawskiego romantyzmu, *Olaf Liljenkraus*, w którym już powoli dokonywa się zwrot ku współczesnym zagadnieniom, niepokojącym dzisiejszego człowieka; „Wojownicy na Helgolandzie“, gdzie na tle północnych podań rozwija się już problem miłości i małżeństwa; w końcu historyczny dramat w stylu cyklu Szekspira, „Pretendenci do korony“, który zamyka pierwszy okres twórczości Ibsena. Żaden z tych dramatów nie utrzymał się na scenie i nie mógłby zyskać powodzenia jako książka już z powodu ścisłego ich związku z skandynawskim światem rzeczywistym i bajecznym, obcym nam. Pan Zabel przeskakuje potem wszystkie dalsze utwory Ibsena zatrzymując się dopiero przy ostatnim, *John Gabriel Berkmann*, którego sumiennym rozbiorem kończy się ten ustęp.

Na zakończenie niniejszego sprawozdania należy wspomnieć o dwóch bardzo ciekawych rozdziałach poświęconych nie tyle ocenieniu sztuk, ile scharakteryzowaniu sławnych artystów i artystek dramatycznych. W pierwszym mówi się o francuskich aktorach odwiedzających niemieckie sceny (np. Antoine, Marcelle Josset, Jean Coquelin, Réjane), w drugim o włoskich (Adelajda Ristori, Rossi, Salvini, Eleonora Duse, Tina di Lorenzo, Zacconi). W obu jest wiele bystrej obserwacyi, lecz w myśl zakreślonego powyżej programu obszerniejsze omówienie tych artykułów przekraczałoby ramy ściśle literackiego sprawozdania.

Dr. J. Flach.

Eine Sonne im Erlöschen. Historischer Roman. Von *Theodor Jeske-Choiński*. Genehmigte Uebertragung aus dem Polnischen von *I. Glinkiewicz*. Köln a. Rhein. Verlag u. Druck von J. P. Bachem. (I. B. 398, II. B. 256).

Pisma niemieckie przyjęły tłumaczenie polskiej powieści Jeske-Choińskiego „Gasnące słońce“ z wielką sympatyą i zaciekawieniem. Rozumiemy zaciekawienie krytyków i czytelników, gdyż powieść wprowadza ich w przeszłość germańskich szczepów, ich walk bohaterskich z Rzymianami, ich zwycięstw lecz i klęsk wywołanych niezgodą i rozdwojeniem wodzów i narodu. Główne jednak pochwały spadają na dzieło z powodu wiernego przedstawienia stosunków tych minionych czasów. Występują one jasno i plastycznie a mimo to pominięto, jak zaznaczają sprawozdawcy, skrupulatnie wszystko, coby mogło może obrazić choćby i najdelikatniejsze sumienie. To ostatnie zawdzięcza powieść tłumaczowi, który nadał dziełu koloryt więcej chrześcijański (o który autorowi, jak to z niektórych ustępów książki poznać można, nie chodziło) i poopuszczał wszystko, co nie było koniecznie złem, ale mniej na miejscu.

Duch więcej chrześcijański przetłumaczonego dzieła objawia się między innemi tem, że stłumiono w rozumowaniach religijnych zdania powątpiewające i sceptyczne a zaakcentowano silniej zdania prawdziwe i religijne; objawia się on dalej w kompozycyi nowych scen o wybitnie chrześcijańskim charakterze. Takim jest np. w drugim tomie opis pogrzebu legionisty Rufiusza (str. 136—142), w którym, według tłumaczenia, bierze czynny udział sam wódz rzymski, Publiusz, szlachetny poganin, lecz zacięty wróg chrześcijaństwa. Do tych miejsc musimy zaliczyć i koniec książki, gdzie prorocze słowa Minucyusza Feliksa o upadku Rzymu i przyszłym wzroście nowego, potężniejszego państwa, tworzą prawie bezwiednie związek z „Ostatnimi Rzymianami“ Choińskiego.

Powieść, naszem zdaniem, nie traci wiele przez dodanie tych nowych ustępów a opuszczeniu niektórych więcej namiętnych miejsc; zyskuje natomiast wiele i da się tak skuteczniej bronić przeciw postawionemu jej zarzutowi, że w tej powieści rzymsko-germańskiej pierwiastek chrześcijański za mało uwzględniony.

Jeden błąd główniejszy wytknięto „Gasnącemu słońcu“, ten mianowicie, że powieść nie jest technicznie dobrze przeprowadzoną, gdyż kończy się właściwie ratunkiem Mucyi i Tusneldy, a następujące roz-

działy są tylko niepotrzebnem przeciągnięciem dzieła. Nie wchodzimy w uzasadnienie tego trochę nas dziwiącego zarzutu, ale zdaje się nam, że pewna mała zmiana, jakiej się szan. tłumacz dopuścił, była podstawą tego twierdzenia. U Choińskiego kończy się tom I. powrotem legionów z wojny wschodniej i idącą w ślad za niemi dżumą; p. Glinkiewicz dodaje do tomu I. jeszcze cztery rozdziały (74 stron) drugiej części i kończy powieść uprowadzeniem Mucyi i Tusneldy i zerwaniem Serwiusza z Rzymem. Być może, że ta okoliczność wpłynęła po części na sąd niemieckich krytyków.

Język tłumacza zyskał sobie pochwały recenzentów.

Ks. Wiktor Wiecki.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

KONFERENCYA W HADZE.

Rok właśnie upłynął od czasu, kiedy car po raz pierwszy podniósł myśl międzynarodowej konferencyi pokojowej. Wszechwładca Rosyi uważał wówczas za stosowne uwiadomić o swych zamiarach przedstawicieli tylko tych mocarstw, które utrzymują stałe stosunki dyplomatyczne z jego państwem. Watykan niema swego posła nad Newą a mimo to car o papieżu nie zapomniał. Czaryłow miał z polecenia swego panującego nietylko wręczyć papieżowi cyrkularz hr. Murawiewa, ale zarazem zapewnić go, jak wielką wagę Mikołaj II. przywiązuje do współudziału Leona XIII. w dziele pokojowem i prosić go o jego poparcie. Car Mikołaj II. będąc sam głową Kościoła, który się odłączył od stolicy Piotrowej i zawsze się odznaczał namiętną nienawiścią ku niej, uznał przecież wielkie znaczenie posłannictwa pokojowego rzymskiego papieża.

I w rzeczywistości myśl rozbrojenia Europy, do której młody panujący w pierwszej linii dążył, nie była obcą Leonowi XIII. Nauka Chrystusowa jest w swej istocie nauką pokoju: Chrystus głosił pokój począwszy od pierwszej chwili swego życia, a religii swojej dał jako podstawę i prawo najwyższe przykazanie najwznioślejszej, czynnej miłości powszechnej, łą-

czącej wszystkie narody w jedną wielką rodzinę. Stąd też wszyscy papieże, którzy przejęci byli prawdziwym duchem Chrystusowym, zawsze usilnie pracowali nad pokojowem załatwieniem międzynarodowych sporów. Widok zbrojącej się ciągle Europy już dawno bolesnym był sercu Leona XIII. Nie mogąc bezczynnie patrzeć na widowisko tak smutne, wyraził jeszcze w r. 1894 w liście do książąt i ludów chrześcijańskich gorące swe życzenie, „by narody zbliżyły się do siebie, celem zapobieżenia okropnościom wojny... Od szeregu już lat — pisze Leon XIII. — żyjemy w pokoju bardziej pozornym aniżeli rzeczywistym. Prawie wszystkie ludy przejęte wzajemnemi podejrzeniami, prześcigają się w przygotowaniach do wojny, stąd ogromne wydatki i wyczerpanie dochodów państwowych, stąd bogactwa narodów, również jak i prywatne majątki, narażone są na ciężkie straty i doszło się do tego punktu, że już dłużej znieść nie można tego pokoju zbrojnego“.

Konferencya pokojowa, która tak wysoce odpowiadała życzeniom papieża, skończyła się po półtrzecia miesięcznych pracach w lipcu. — Właśnie dlatego, że cele jej tak ściśle związane były z zadaniem Kościoła, wypada nam na tem miejscu przynajmniej w krótkich słowach wspomnieć o owocach jej żmudnych prac. Zanim jednak się przypatrzymy samemu dziełu, musimy koniecznie nieco bliżej oświetlić stosunek papieża do konferencyi w Hadze i oświecić przyczyny nieobecności jego przedstawiciela.

Jasną jest rzeczą, że car szczerze pragnął, by delegat papieski był obecny na konferencyi. Stolica św. nietylko pierwsza została w jesieni przeszłorocznej uwiadomiona o planach cara, ale otrzymała także 16 stycznia b. r. program przyszłej konferencyi. A gdy papież przez kardynała Rampollę w obszernem piśmie wyłuszczył swe stanowisko i zapatrywania na konferencyę pokojową, car wyraził mu gorące podziękowania za tak przychylną odpowiedź. „Na złodzieju czapka gore“ — powiada przysłowie. Nikomu obecność delegata papieskiego nie byłaby zawadziła, tylko panowie z Kwirynału nie mogli się z tą myślą oswoić. Prasa natchniona przez rząd, zaczęła z początku szydzić

z obecności delegata papieskiego na takiej konferencyi, pytając się, czy rozbrojenie ogólne także się rozciągnie na Szwajcarów i gwardyę papieską. Widać jednak, że Włochy niemało się obawiają tej potęgi, która nie rozporządza wojskami, kiedy stanowczo oświadczyły, że nie wezmą udziału w konferencyi, jeżeli delegat papieski tam zasiędzie. Schyzmatycka Rosya, protestancka Anglia, i nawet masońska Francya odważyły się okazać niezadowolenie z powodu żądania włoskiego rządu. Nie wiedzieć, jakby się sprawa była skończyła, gdyby Niemcy nie były przyszły w pomoc Włochom, oświadczając, iż odstąpią od konferencyi, jeżeli choćby jedno państwo europejskie współudziału swego odmówi. Równocześnie w półurzędowej gazecie monachijskiej pojawił się komunikat, że Niemcy nic nie mają przeciwko obecności delegata papieskiego. Katolicka Austrya zachowywała naturalnie w tej sprawie grobowe milczenie. — I tak minister holenderski był zmuszony ominąć w zaproszeniu formalnem Stolicę świętą.

Rząd włoski cieszył się ogromnie swojem zwycięstwem, które zawdzięczał najpotężniejszemu ze swych sprzymierzeńców. Radość ta jest tem łatwiejszą do wytłumaczenia, że Włochy w ostatnich czasach zupełnie się odzwyczaiły od zwycięstw a zato poniosły nader upokarzające klęski, jak 2 lata temu w Afryce od Menelika, a kilka miesięcy temu w Chinach, gdzie zamierzały usadowić się za przykładem innych państw, a proste, stanowcze oświadczenie Anglii, zmusiło ich do odwrotu. Ale nawet przed zwyciężonym Watykanem Włosi jeszcze drżeli, bo już po przystąpieniu do konferencyi oświadczyli, iż się natychmiast cofną, gdyby Stolica św. miała wywrzeć choćby z daleka jakiś wpływ moralny na toczące się obrady.

Od trwożliwego i samolubnego zachowania się rządu włoskiego, odbija spokojna powaga, z jaką Stolica święta zachowywała się w tym sporze. *Osservatore Romano* oświadczył w urzędowej nocie z 3 lutego, że Stolica święta żadnych kroków nie poczyniła, aby być zaproszoną na konferencyę w Hadze, a gdy konferencya w połowie maja została otwartą, urzędowy organ

Watykanu witał ją w artykule pełnym ciepła i prawdziwej życzliwości.

Przedstawiciele mocarstw postanowili też — mimo uporu Kwirynału — dać Watykanowi pewną satysfakcyę, a uznać trzeba, że zamiar swój z wielką zręcznością dyplomatyczną przeprowadzili. Królowa Wilhelmina wystosowała 7 maja list do papieża, prosząc go o moralne poparcie dzieła pokojowego. Odpowiedź papieską wraz z listem królowej odczytano na ostatniej sesyi po ogłoszeniu podpisanych konwencyj a przed uroczystem zamknięciem konferencyi.

Treść obu listów zapewne znajomą jest naszym czytelnikom. Zwracamy tylko uwagę na to, jaką szlachetną abnegacyą i stanowczością list papieski się odznacza. Niema tam ani słowa skargi na niesłuszne ominięcie przy zaproszeniach, a jednak papież z naciskiem podnosi, że z urzędu swego nietylko moralnie powinien wspierać dzieło pokoju, ale też wziąść w niem czynny udział. Wynika to z natury pontyfikatu, który poza granicami państw wszystkie ludy w pokoju Ewangelii ze sobą łączy a historya — jak Leon XIII. w krótkich słowach wspomina — także o tem świadczy, ile papiestwo w dawnych wiekach dla pokoju uczyniło. Stolica święta nawet w tak trudnych obecnych warunkach pogodziła dwa wielkie państwa, Niemcy i Hiszpanię, i teraz właśnie godzi dwa państwa Ameryki południowej.

„Mimo przeszkód — kończy Leon XIII. — które powstać mogą, dalej spełniać będziemy naszą tradycyjną misyę, ponieważ obowiązek tego od nas wymaga, nie mając przed oczyma innego celu jak tylko dobro publiczne, nie znając innej chwały jak tę, że służymy świętej sprawie cywilizacyi chrześcijańskiej“. Podziwialiśmy też w tym liście mądrość i roztropność papieża, który z całą powagą namiestnika Chrystusowego przemawia do przedstawicieli państw całego świata a przecież ani słowem nie drażni uczucia delegatów akatolickich.

Obszerniejsze wyjaśnienie co do niedopuszczenia delegata papieskiego na konferencyę w Hadze podaje znakomity artykuł, który wyszedł z pod pióra Georges Goyau w *Revue des deux mondes* z 1-go sierpnia (str. 590 - 611).

Gorączkowa bojaźń włoskich mężów stanu przed obecnością delegata papieskiego przypomniała znowu całemu światu, że kwestya rzymska istnieje, a troska delegatów włoskich, aby podczas obrad nad międzynarodowemi sądami rozjemczemi nie wspomniano o Stolicy świętej, sprawiała — jak Goyau pięknie powiada — że myśl o papiestwie ciągle towarzyszyła obradom. Jak bardzo przeciwną zapatrywaniom rządu włoskiego jest opinia całego świata, pokazało się jeszcze raz na konferencyi pokojowej w Chrystyanii, która swe obrady rozpoczęła zaraz po zamknięciu konferencyi w Hadze. Gdy bowiem Dr. Hauptmann, poseł niemieckiego *Centrum*, wyraził swe oburzenie na to, że włoski rząd nie dopuścił delegata papieskiego, przyjęto jego mowę hucznemi oklaskami, a przeciwnie, przyjęto tylko zimno tłumaczenia włoskich reprezentantów [1].

Przypatrzmy się teraz nieco bliżej praktycznym wynikom międzynarodowej konferencyi. Sam przedstawiciel Rosyi de Stael przyznał otwarcie w mowie pożegnalnej, że dzieło niezupełnie się udało. I rzeczywiście w pierwszej odezwie cara postawiono na pierwszym planie rozbrojenie sił wojskowych Europy, jako główny cel konferencyi, jako cel najgorętszych pragnień wszystkich ludów Europy. Już w drugiej nocie hr. Murawiewa, pod wpływem innych mocarstw, myśl o rozbrojeniu zajmowała podrzędne tylko miejsce, a w samej mowie wstępnej, w której poseł rosyjski zakreślił jak gdyby plan obrad, już mowy nie było o rozbrojeniu. To samo przeto przemawiało za niepowodzeniem zamiarów carskich.

Zajmowano się więc tylko szczegółowemi przepisami na wypadek wojny i sądami rozjemczemi dla pokojowego zała-

[1] Ciekawym dla naszej sprawy jest wyjątek z listu sławnego redaktora czasopisma *Reviews of Reviews* M. Stead'a do kardynała Rampolli: „Nieobecność przedstawiciela Stolicy świętej na konferencyi — pisze M. Stead 8 maja — jest ciężkim zawodem; zostaje jednak ta pociecha, że nieprzypuszczenie delegata papieskiego, zrodziło w myśli jednego przynajmniej protestanta silny argument na korzyść tej idei, aby papież otrzymał jakąkolwiek niepodległość terytoryalną, którąby mu udzieliła prawa do obecności w konferencyi międzynarodowej". Pozyskanie takiego publicysty, jakim jest M. Stead, może być dla sprawy Stolicy świętej bardzo korzystnem.

twienia spraw międzynarodowych. Posiedzenia były tajne; wiadome są nam tylko ostateczne wyniki, ale i te są bardzo mało znaczące. Najważniejszą konwencyę o polubownych sądach rozjemczych, ujętą w 61 artykułów, podpisało tylko 16 państw. Państwa trójprzymierza, Anglia i kilka innych nie podpisały. Te same mniej więcej państwa odmówiły podpisu na konwencyach o prawach wojny, o rozszerzenie konwencyi genewskiej na wojnę morską, o zakazie rzucania bomb z balonów i t. p. Jednem słowem żaden artykuł nie został przez wszystkich podpisany, więc też żaden mocy obowiązującej nie otrzyma.

Wynik był więc pod każdym względem tak niekorzystny, że na pierwszą wiadomość o nim dość znaczne niepokoje powstały na giełdach i sądzono, że konferencya pokojowa doprowadziła do poważnego nieporozumienia między państwami. Dopiero urzędowe tłumaczenia, że posłowie wyżej wymienionych państw tylko dlatego nie podpisali, że nie mieli dostatecznych pod tym względem instrukcyj, uspokoiły nieco opinię publiczną. Wiemy jednak, jak mało wiarogodnemi często bywają uroczyste oświadczenia rządów. Ponieważ do końca roku bieżącego, państwa które nie podpisały jeszcze przyłączyć się mogą do uchwał konferencyi, będziemy mogli przeto wkrótce przekonać się o prawdziwości teraźniejszych zapewnień.

Jako jedyny dodatni wynik konferencyi, zaznaczył hr. Münster w ostatniej swej mowie, nawiązanie serdecznych stosunków między tyloma wybitnemi osobistościami, co nie mało przyczynić się powinno do utrzymania pokoju. To chyba gorzka tylko ironia, która, jak powiadają, wogóle cechowała mowę pożegnalną niemieckiego pełnomocnika. A że hr. Münster działał w myśl swego cesarza, tego najlepszym dowodem jego wyniesienie do godności książęcej, które bezpośrednio potem nastąpiło.

Niemcom wogóle, jak to już z samego początku widać było, cała sprawa pokojowa nie przypadała do gustu, czy z pewnej próżności dlatego, że inicyatywa nie wyszła od nich, czy dlatego, że Prusacy, którzy teraz ton nadają w Niemczech, przywykli uważać siłę za najwyższy wyraz prawa? Zdanie nie-

mieckiego przedstawiciela profesora Stengel'a o sądach rozjemczych, nasuwa myśl tę ostatnią. Po surowej krytyce tej konwencyi, którą uważa tylko za zbiór mądrych, czysto teoretycznych paragrafów prawnych, pisze: „Najlepszą obroną prawa państwa jest i zostanie zawsze dobry jego miecz a w tem znaczeniu angielskie przysłowie: *Might is Right* — „kto ma siłę, ma prawo" — jest nader trafnem. Dlatego nieroztropnem i zarazem niepatryotycznem jest, jeżeli Niemcy w niejasnym idealizmie łączą się ze stowarzyszeniami pokojowemi, hołdującemi sądom polubownym... tego rodzaju ludzie przedstawiają zawsze państwo niemieckie jako głównego sprawcę niepokoju i jako przeszkodę dla rozwoju prawa międzynarodowego według ich myśli". Niemiecki profesor nie pochwala tu wprost zasady wyższości gwałtu nad prawem, ale jego słowa dobrze malują usposobienie ducha pruskiego rządu, dla którego siła jest bożkiem najwyższym. W tych zapatrywaniach, które dzisiaj w całej Europie zastosowują się na nierównie większą skalę, niż w przeszłych wiekach, przy załatwianiu spraw międzynarodowych, leży główna przyczyna ogólnego rozstroju i ciągłej zbrojnej wojny, na którą patrzymy. Żadne konwencye nie pomogą dopóki Europa nie powróci do poszanowania prawa Boskiego, do uznania, że także w życiu politycznem oglądać się trzeba na najwyższego Pana, i zachować prawa natury przez niego ustanowione. Narody zawsze w namiętnej walce przeciw tym prawom wykraczały i wykraczać będą, tak jak jednostki gwałcą prawa im nałożone. Ogromna jednak zachodzi różnica między chwilowem przekroczeniem z uznaniem winy, a zasadniczem zaprzeczeniem prawa, jakie dziś panuje. Dlatego Ojciec św. w odpowiedziach na carskie pisma, głównie zasadnicze kwestye prawa narodowego rozwijał i życzenie wyraził, by w tym przedewszystkiem kierunku rozwinięto prace na kongresie pokojowym. Lecz dziś nikt nie chce tknąć tak drażliwych zasadniczych kwestyj, któreby przy najprostszem logicznem zastosowaniu niemiłe dla nowoczesnych państw pociągnęły obowiązki i krępowały swobodę ich ruchów.

Europa jęczy dzisiaj pod jarzmem zgubnych zasad siły

nad prawem, faktu dokonanego i t. p. W imieniu tych zasad Polska została rozebrana, Rzym zajęty, na ich podstawie gwałty dokonane dalej trwają a nawet się szerzą. Dopóki się nie wykorzeni tych zasad, wszystkie konferencye pokojowe są w rzeczywistości tylko komedyą i mają tylko o tyle znaczenie, że zwyczajnie takie się komedye odgrywa, które przedstawiają rzecz odpowiadającą smakowi publiczności. Widać, że Europa pragnie pokoju; może po komedyach zdobędzie się na rzeczywistość.

Podczas gdy obrady konferencyi pokojowej w najlepsze się toczyły, gazety nam doniosły o zaprowadzeniu nowych karabinów bardziej morderczych w niektórych pułkach niemieckich. Rosya na dalekim wschodzie potwierdziła ogromne plany fortyfikacyjne Władywostoku, na zachodzie gnębiła Polaków i Unitów jak dawniej, a Stany Zjednoczone narzucały swe panowanie wyspom, które odebrały przez krwawe walki Hiszpanom pod pozorem wyswobodzenia z pod jarzma obcego. Te same Stany, które rok temu nie chciały przyjąć pośrednictwa Ojca św. dla pokojowego załatwienia sprawy, podpisały dzisiaj konwencyę o sądach rozjemczych. Czy w takich warunkach podobna wierzyć w szczerość uczuć pokojowych?

Ponieważ jedynie przez powrót do zasad chrześcijańskich w społeczeństwach i w życiu publicznem narodów uzyskać możemy względny spokój, każdy szlachetny człowiek winien współpracować w tym kierunku a nam tę pracę ułatwić powinna myśl, że tą jedynie drogą odzyskać możemy cośmy stracili. A niema się czemu odstraszać potęgą brutalnej siły. Widzimy ciągle jak idee przełamują wszystkie zapory i żadna przemoc oprzeć im się nie zdoła. Gnębione przez kongres wiedeński idee liberalne rozwinęły się i wszędzie do ostatecznego zwycięstwa doszły. W naszych oczach idee socyalistyczne zdobywają krocie tysięcy, choć nowoczesne państwa wszelkiemi zasobami swej siły i organizacyi starają się je przytłumić. Trzeba z niezłomną wiarą pracować nad tryumfem zasad chrześcijańskich, one dopiero Europę rozbroić zdołają i przywrócić każdemu należne prawa.

KATEDRA KATOLICKA W WESTMINSTERZE.

Pół wieku dobiega do końca od chwili, kiedy ów prawdziwy odnowiciel Kościoła, papież Pius IX., powołał napowrót do życia hierarchię katolicką w Anglii. Od tego czasu Kościół katolicki w Anglii ustawicznie się podnosi, zdobywając sobie w tym kraju coraz większą swobodę, usuwając powoli uprzedzenia zakorzenione wśród ludu od trzech wieków i przyciągając do siebie najszlachetniejsze serca synów tego potężnego narodu. Niema prawie miesiąca, by dzienniki nie doniosły o jakiemś znaczniejszem nawróceniu czy to ze sfer inteligencyi lub arystokracyi, czy to z łona wyższego duchowieństwa anglikańskiego, a zdaniem znawców stosunków tamtejszych, niedaleką jest chwila, kiedy po odebraniu Kościołowi anglikańskiemu niesłychanych przywilejów państwowych, nawrócenia te odbywać się będą tłumnie. Nic też dziwnego, że wobec tak pomyślnych warunków katolicy angielscy umyślili obchodzić złoty jubileusz przywrócenia hierarchii kościelnej głośno i uroczyście, a wybrali do tego środek godny narodu angielskiego. Oto zważywszy, że liczba katolików coraz bardziej się zwiększa, a świątynie dawne, budowane jeszcze przez katolickich praojców, w rękach są protestanckich, postanowiono wspólnemi siłami wybudować katedrę w środowisku angielskiem, Westminsterze. Myśl ta znalazła żywy oddźwięk w sercach katolików angielskich. W niedługim stosunkowo czasie zebrano 90 prawie tysięcy funtów szterlingów, to znaczy przeszło milion reńskich, nie licząc w to fundacyj złożonych na pięć już kaplic i darów w przedmiotach kosztownych.

Świątynia w stylu bizantyńskim będzie prawdziwie monumentalną. Co do trwałości murów, robiono wszystko, na co tylko technika nowoczesna zdobyć się może. Ściany są tak grube, iż robotnicy musieli klęcząco kłaść cegły środkowe. To też murarze, przyzwyczajeni do lichych robót nowoczesnych, gromadnie porzucali robotę. Mimo to budowę doprowadzono już pod sklepienia.

Główną ozdobą świątyni będą wspaniałe kolumny. Kierowano się tu wzorem starożytnych świątyń egipskich i greckich, w których właśnie szeregi wspaniałych kolumn tak potężne na widzu

czynią wrażenie — a następnie wzorem owego cudu architektury, kościołem św. Zofii w Konstantynopolu, gdzie 107 kolumn dźwiga na sobie majestatyczne kopuły. I dziwnem zrządzeniem Opatrzności, część kolumn katedry westminsterskiej pochodzić będzie z tego samego miejsca, z którego pochodzą kolumny kościoła św. Zofii. Odszukano i otworzono w tym celu na nowo, nie tykane od czasów Justyniana kamieniołomy w Tessalii i stamtąd 42 kolumn koloru *verde antico*, z których każda 13 stóp wysoka, a mimo to z jednego wyciosana kamienia, sprowadzone będą do Anglii. Prócz tych wspaniałych monolitów przyjdą jeszcze inne marmury: z Eubei o delikatnym odcieniu zielonawym, z Werony purpurowe, szare i żółte z białemi pręgami, wreszcie pomarańczowe i czerwone z Egiptu. By ułatwić pokrycie olbrzymich kosztów, pozwolono prywatnym osobom fundować pojedyncze kolumny, z prawem wyrycia na nich swego nazwiska.

Kaplic w kościele będzie dwanaście. Pięć z nich znalazło już fundatorów, z których jednym jest dobroczynność i znana pobożność ludu hiszpańskiego. Jest to kaplica najważniejsza, kaplica Najświętszego Sakramentu; koszta jej wraz z zupełnem przyozdobieniem wynosić będą około 13 tysięcy funtów. Dotąd zebrano w Hiszpanii i hiszpańskiej Ameryce 6.000 funtów.

Kaplica ta, dar ludu hiszpańskiego dla Anglii, ma szczególne w tej katedrze znaczenie. Bogata Anglia przez 300 przeszło lat obdzierała kościoły, burzyła ołtarze, na których Przenajświętszą składano Ofiarę i niszczyła o ile tylko mogła ofiarujące kapłaństwo. W ten sposób czyniła ona wszystko, co było w jej mocy, by na siebie, jako na naród, ściągnąć winę herezyi i świętokradztwa. Nawet teraz, kiedy wielka ilość członków kościoła anglikańskiego, tak kleru jak i świeckich, stara się przywrócić kult Eucharystyi, fanatyczni Anglikanie aż w parlamencie podnoszą swe protesty przeciwko tej starej katolickiej nauce. Za to ubogi lud hiszpański, który niezachwianie wytrwał w swej wierze, wystawi w katedrze westminsterskiej wspaniały pomnik ku czci Eucharystyi. — Co do innych kaplic, planów szczegółowych jeszcze niema, owszem wezwano wszystkich

znawców, by nadsyłali swoje projekta, które będą szczegółowo zbadane i odpowiednio użyte.

Jednym z głównych celów, jakim się powodowali twórcy nowej katedry, było, by pokazać tak katolikom jak i protestantom całą świetność obrzędów katolickich i rozwinąć przed oczami wiernych ów niezrównanej piękności dramat religijny: historyę Kościoła, jego bole i radości, uczucia i pragnienia. W tym też celu plan katedry westminsterskiej pojęto w ten sposób, że największą jej część zajmuje nawa, tak wielka, jakiej nie posiada żaden z olbrzymich tumów w całej Anglii. W nawie tej przedstawiona będzie, według projektu kardynała Vaughan'a, historya Kościoła katolickiego w Anglii od początku aż do chwili obecnej, podczas gdy dekoracye kaplicy Matki Boskiej i św. Piotra, ilustrować mają nabożeństwo Anglików do Matki Zbawiciela i świadczyć o ich czci i przywiązaniu do Stolicy Apostolskiej.

Kościół cały stanie wkrótce pod dachem i gotowym będzie w głównych rysach na dzień jubileuszu 27 września 1900 r.

Ks. Wł. Ledóchowski.

Przesilenie rolnicze w Anglii [1].

We wrześniu 1893 r. ustanowiono w Anglii królewską komisyę z 18 członków, dla zbadania przesilenia rolniczego w Wielkiej Brytanii i przedstawienia środków zaradczych. Komisya ta odbyła 177 posiedzeń, z czego 117 poświęciła na ustne przesłuchanie 191 rzeczoznawców (od 9 listopada 1893 r. do 25 kwietnia 1895 r. z przerwami); 46.151 pytań i odpowiedzi ogłoszono w 3 tomach Sprawozdań (w 1894 i 1895), opatrzonych szeregiem dodatków.

Do pomocy przybrała sobie komisya 8 asystentów z grona wszechstronnie wykształconych rolników, którzy opracowali systematycznie stosunki rolnicze w poszczególnych okręgach. Wreszcie w r. 1897 ogłosiła komisya sprawozdanie ostateczne, które systematycznie

[1] *Die englische Agrarkrisis, ihre Ausdehnung, Ursachen und Heilmittel.* Nach der Enquête der „Royal Commission on Agriculture", bearbeitet von Dr. Oskar Stillich, Dozenten an der Humboldt-Akademie in Berlin. Jena. Gustaw Fischer, 1899, VIII, 149, w 8-ce, cena 3·60 mk.

zestawia wyniki ankiety. Do niego dołączone są sprawozdania ministeryum spraw zewnętrznych o stanie rolnictwa zagranicą.

Prace te — jak widzimy — na szerokie zakrojone rozmiary, obudziły słusznie ciekawość całego niemal świata rolniczego, dotkniętego przesileniem. Przedstawienie najważniejszych wyników tej ankiety, głównie zebranych w sprawozdaniu ostatecznem, jest zadaniem wymienionej w nagłówku broszury, napisanej przez d-ra O. Stillicha, agronoma, obecnie docenta na popularnych kursach uniwersyteckich w Berlinie.

Jak już w tytule zaznaczono, rozpada się treść tej pracy, bardzo udatnie i gruntownie napisanej, na 3 części: rozszerzenie i skutki przesilenia rolnego, jego przyczyny i wreszcie środki zaradcze.

Przesilenie rolnicze w Anglii zaczęło się szeregiem nieurodzajów od 1875—1881 r., poczem nastały lepsze lata, aż znowu posucha r. 1893 zaogniła niedolę rolników.

Co się tyczy geograficznego rozszerzenia się przesilenia rolnego w Anglii właściwej, łatwo je można ocenić, przeprowadziwszy sobie na mapie linię od Portsmouth przez Birmingham do ujścia rzeki Tees (Tees Bay) na wschodniem wybrzeżu. W hrabstwach, położonych na wschód od tej linii, przeważają grunta orne (7 mil. akrów[1]) nad pastwiskami (5 mil. akrów). Uprawa zbóż stanowi tu podstawę gospodarstwa — stąd nazwa *corn counties,* hrabstwa zbożowe.

W hrabstwach zaś, położonych na wschód i północ od pomienionej linii, pastwiska zajmują prawie 2 razy większy obszar ($8^1/_4$ mil. akrów) niż grunta orne ($4^1/_2$ mil. akrów). Stąd nazwa *grazing counties*, hrabstwa pastwiskowe.

Podobnie i w Walii przeważają pastwiska (2 mil. akr.) nad rolami (860 tys. akr.), przeciwnie w Szkocyi gruntów pod pługiem jest przeszło $2^1/_2$ razy więcej niż pastwisk. Podobnie jednak jak w Anglii hrabstwa wschodnie mają charakter rolny, a zachodnie (górskie) pastwiskowy.

Otóż przedewszystkiem należy zaznaczyć, że przesilenie nie dotknęło wszystkich rolników w jednakim stopniu. Najwięcej ucierpieli ci, których gospodarstwa oparte były głównie na uprawie zboża. W okolicach tych, gdzie niegdyś rolnictwo bardzo wysoko było rozwinięte, dziś znaczne przestrzenie leżą odłogiem. Im cięższy lub im lżejszy grunt i im więcej gruntu ornego w danem gospodarstwie, tem ciężej odczuło ono nacisk przesilenia. Mniejsze już, aczkolwiek też do-

[1] 1 akr = 0·40 ha.

tkliwe, spustoszenia pojawiły się tam, gdzie rozwinęło się mleczarstwo i wypas bydła (w okolicach pastwiskowych), gdzie można było przejść do ogrodnictwa, sadownictwa i hodowli drobiu, wreszcie tam, gdzie blizkie sąsiedztwo licznej ludności przemysłowej lub górniczej dało łatwą sposobność zbytu wszelkich produktów rolniczych. Ponieważ gospodarstwa pastwiskowe mniej cierpiały, więc obszar ich z czasem się zwiększał, głównie kosztem obszaru rolnego.

Widoczne to wyraźnie z poniższego zestawienia (w tys. akrów).

rok	role	pastwiska	ogółem
1875	18.104	13.342	31.416
1885	17.202	15.332	32.544
1895	15.967	16.611	32.578
	— 2.137	+ 3.299	+ 1.162

Jakie zaś są skutki przesilenia wykazuje autor, przechodząc poszczególne warstwy ludności rolniczej.

Wielcy właściciele ziemscy, którzy posiadają niemal całą powierzchnię rolniczą Anglii, odczuli przesilenie w zmniejszeniu się czynszów dzierżawnych. W najciężej dotkniętych okolicach redukcye te doszły do 50%; bardzo ubogie grunta nie znalazły nawet dzierżawców i właściciele sami muszą na nich gospodarzyć. W innych okolicach zmniejszenie czynszu wyniosło tylko 15%. Jeszcze większe straty wynikły z gwałtownego obniżenia się wartości dóbr ziemskich, które komisya szacuje na 50%, a w cyfrach absolutnych na 1 miliard ft. sterl. (12 miliardów złr.).

Nie koniec na tem. Właściciele ziemscy muszą z czynszu dzierżawnego opłacać jeszcze podatki, utrzymywać budynki, dostarczać dzierżawcom funduszu na melioracye, na zmiany systemu gospodarstwa itd. tak, iż wielka część czynszu dzierżawnego jest tylko oprocentowaniem kapitału inwestowanego w majątkach ziemskich, podczas gdy istotna renta gruntowa w wielkiej części Anglii znikła zupełnie.

Tak więc zdaniem komisyi główny ciężar przesilenia spadł na barki właścicieli ziemskich. Słusznie jednak zauważa dr. Stillich, że lordowie ziemscy posiadają nadto cały szereg innych źródeł przychodu w przemyśle, handlu, bankowości i w koloniach, oraz w gruntach miejskich, których niezmierny wzrost wartości daje im dostateczne odszkodowanie.

Natomiast w bardzo przykrem położeniu znajdują się dzierżawcy. Zwłaszcza w okolicach zbożowych ponieśli oni wielkie straty swego kapitału obrotowego, nawet pomimo zniżenia czynszów dzier-

żawnych. Ucierpieli oni również i w okolicach pastwiskowych skutkiem obniżenia się cen bydła i wełny. Nadto wzrosło ogółem ich zadłużenie się u właścicieli ziemskich i u handlarzy, wywołane brakiem kapitału obrotowego.

Jeszcze więcej ucierpieli rolnicy gospodarujący na własnym gruncie. Średni właściciele *(yeomen)*, obciążeni długami hipotecznemi, którym wierzyciele żadnego opustu nie przyznają, płacić muszą więcej odsetek, niżby płacili czynszu dzierżawnego. Sprzedać gruntu nie mogą, bo ceny ziemi spadły tak, iżby sprzedaż była dla nich ruiną; wydzierżawić także nie mogą, bo czynsz nie wystarczy na opłacenie procentów hipotecznych. To też zagłada ich postępuje szybkim krokiem.

Podobnie rzecz się ma z drobnymi posiadaczami *(smal freeholders)*, którzy 70—80% ceny kupna pozostawiali na hipotece na $4^1/_2$—$5^1/_2$ czasem na 6%, a którzy dziś mimo uciążliwej pracy, mimo ograniczenia się w potrzebach, nie mogą się utrzymać. Wyborną ilustracyą jest pewien mały farmer w Lincoln, który ze swoich własnych 9 akrów gruntu płaci po 90—100 szylingów procentów hipotecznych, podczas gdy z 11 akrów dzierżawionych spłaca tylko 45—60 szyl. czynszu.

Tak więc szczupła zresztą w Anglii klasa samogospodarujących właścicieli zmniejsza się coraz bardziej.

Na ciekawe pytania, które gospodarstwa, większe czy mniejsze, więcej ucierpiały od przesilenia, wyniki ankiety nie dają kategorycznej odpowiedzi. Zależy to od stosunków. Tak np. w okolicach zbożowych, gdzie zmiana systemu gospodarczego, jest trudniejsza, gospodarstwa większe, znajdujące się w rękach ludzi zasobniejszych w kapitały, utrzymały się lepiej. Gdzie zaś było możliwe przejście do uprawy jarzyn, kwiatów, owoców lub hodowli drobiu, tam drobni gospodarze mają lepsze widoki, zwłaszcza gdy obok roli znajdą jeszcze sposobność innego zarobkowania.

Co się tyczy wreszcie klasy robotników wiejskich, to liczba ich zmniejszyła się w latach 1871—1891 o przeszło 20% i spadła w 1891 r. na 873.000 mężczyzn i 46.000 kobiet. Natomiast położenie ich materyalne znacznie się poprawiło, bo płace mniej więcej się nie zniżyły (z wyjątkiem okolic zbożowych), a skutkiem niezmiernego potanienia środków żywności utrzymanie stało się łatwiejszem.

W części drugiej o przyczynach przesilenia rozpatruje autor spadek cen i konkurencyę zagraniczną.

Jako główną przyczynę kryzysu rolnego uznaje komisya gwałtowny spadek cen produktów rolniczych, który statystycy oceniają na około 30% wartości (z r. 1874/5 na 1892/3).

Najwięcej obniżyły się ceny zboża, począwszy od połowy 7-go dziesięciolecia (1870); pszenica spadła o 50%, owies i jęczmień o 30—40%. Znaczy to, iż rolnicy angielscy otrzymują dziś blizko 22 mil. ft. sterl. mniej za swoje zboże niż dawniej. Ziemniaki spadły o 20—30% w cenie, podobnie i chmiel.

Ceny mięsa poczęły spadać w latach 1880-tych. Według notowań targu londyńskiego wynosiła zniżka cen:

jakość	I	II	III
wołowiny	24%	27%	40%
baraniny	17%	21%	31%

Najwięcej więc ucierpiały gorsze jakości. Co do cen wieprzowiny niema dokładnej statystyki. Tylko wiadome są ceny dowożonej słoniny i szynek, które tylko nieznacznie się obniżyły, podczas gdy wędzona wieprzowina spadła o 25% w cenie.

Odpowiednio też spadły i ceny żywego bydła.

Jeszcze więcej, bo przeszło o 50% obniżyły się w ciągu ostatnich lat 20 ceny wełny i to więcej ceny lepszych gatunków, mniej zaś gorszych, z powodu zwiększonego popytu na tańsze sukna ze strony szerokich mas ludności. Wreszcie ceny produktów mleczarskich spadły rozmaicie, ogółem jednak mniej więcej o 20—30%.

Jeszcze ciekawsze i posiadające więcej ogólniejszego znaczenia są zapatrywania komisyi na zagraniczne współzawodnictwo rolnicze.

Przedewszystkiem dowóz pszenicy wzrósł o 70%; w połowie lat 1870-tych Anglia sprowadzała tylko połowę swego zapotrzebowania pszenicy, dziś już $^3/_4$. Zgodnie z tem zmniejszyła się w Anglii powierzchnia obsiewana pszenicą prawie o połowę. Połowę pszenicy dostarczają Stany Zjednoczone, jedną czwartą Rosya i Indye (razem), następnie $^1/_{10}$ Argentyna; inne kraje europejskie, które dawniej Anglię zaopatrywały, już prawie z tego targu zupełnie wyparte. Co do widoków na przyszłość, to w Stanach Zjednoczonych uprawa pszenicy posuwa się coraz dalej na zachód, gdzie koszta produkcyi są niższe, przez co zdolność konkurencyjna się utrzymuje, zwłaszcza gdyby się ceny podniosły. Z Rosyi wywóz nawet przy nizkich cenach wzrastać może, bo rolnictwo tamtejsze mogłoby się jeszcze wielce poprawić. Wielką rolę odegrać może Argentyna, gdzie pod uprawę pszenicy na-

dają się niezmierzone obszary, a gdzie koszta produkcyi są prawie najniższe na całej kuli ziemskiej. Nadto nizki kurs papierowych pieniędzy argentyńskich sprzyja wywozowi.

Przywóz jęczmienia wzrastał do roku 1893 dość wolno, potem dopiero silniej się podniósł tak, iż doszedł do 40% ogólnego zapotrzebowania, podczas gdy miejscowa produkcya pozostała bez zmiany. Większa część jęczmienia przychodzi z Rosyi i służy tylko na karm dla bydła.

Owsa dowozi się blizko $^1/_5$ ogólnego zapotrzebowania głównie z Rosyi i Szwecyi.

Zaznaczyć należy jeszcze wielki dowóz kukurudzy, dalej bobu i grochu.

Angielska produkcya mięsa nie uległa w ciągu ostatnich lat 20 prawie żadnym zmianom, natomiast dowóz z zagranicy głównie mięsa, nie tyle już żywego bydła prawie się podwoił (z 336 na 689 tys. ton, czyli z 22 na 40 ft. ang.[1] na głowę ludności). Na podstawie obliczeń komisyi okazuje się, że od r. 1890 dowóz pokrywa ogólnego zapotrzebowania wołowiny 28—29%, baraniny 20—30%, a wieprzowiny (głównie szynek i słoniny) do 50%. Jeszcze w r. 1876 prawie cały dowóz bydła rogatego pochodził z Europy — a w 1893 r. Europa dostarczała zaledwie 1%! Obecnie Stany Zjednoczone dostarczają 80% dowozu wołowiny i wieprzowiny, a 40% baraniny, co do której prym trzymają Australia i Argentyna. Przy cokolwiek lepszych cenach dowóz ze Stanów Zjednoczonych wzrośnie, dzięki sprężystej organizacyi tamtejszego wywozowego handlu bydłem. Natomiast Argentyna ma bardzo sprzyjające przyrodzone warunki rozwoju hodowli bydła na szerokich łanach lucerny, wytrzymującej posuchę. Hodowla owiec w Argentynie od merynosów wełnistych przeszła w latach 1884—1894 na owce mięsne (Lincolny), wywożone jako zamrożona baranina do Anglii.

Ogółem tedy okazuje się, że dowóz z krajów zamorskich pokrywa około 30% ogólnego spożycia mięsa w Anglii, a nizkie ceny jego obniżają również ceny produktów krajowych. Powszechne niemal dawniej zapatrywanie, iż rolnictwo angielskie znajdzie w hodowli odszkodowanie za podkopaną produkcyę zbożową, okazało się mylnem. Dowóz wełny, głównie z Australii, niemal się podwoił i pokrywa 70% zapotrzebowania.

---

[1] 1 ft. ang. = 0·453 kg.; 1 tona = 1·016 kg.

Również bardzo silnie wzrósł dowóz produktów mleczarskich. Masła dostarcza najwięcej Dania, dzięki swoim licznym mleczarniom spółkowym, potem Francya (Normandya) dzięki odpowiedniemu przyrządzeniu go przez handlarzy, i Australia, wsparta przez rządowe premie wywozowe i centralistyczną organizacyę mleczarń. Sera dostarczają: Kanada (gdzie mleczarnie wyrabiają od października do maja masło, a w lecie ser) i Stany Zjednoczone. W ostatnich dziesięciu latach podniósł się bardzo znacznie dowóz zgęszczonego mleka. Holandya wreszcie dostawia do Anglii niemal 1 mil. cnt. margaryny rocznie. Ogółem podług obliczenia komisyi dowóz wszelkich wytworów mleczarskich prześcignął znacznie ich produkcyę krajową.

Podniosły się również znacznie dowozy wczesnych kartofli, cebul, jabłek, suszonych owoców, jaj i drobiu, smalcu, skór i t. d. Wzrósł i dowóz koni.

Wzrost dowozów zboża i mięsa polega głównie na szczególnych warunkach przyrodzonych i klimatycznych krajów wywożących; natomiast skuteczne współzawodnictwo na targu produktów mleczarskich przypisać trzeba lepszej organizacyi mleczarstwa zagranicznego.

Dalej zauważa komisya, że wzrost spożycia taniego mięsa zmniejszył popyt na pszenicę, a przez to obniżył jej ceny.

Nakoniec zważywszy, że Stany Zjednoczone bynajmniej jeszcze nie doszły granicy swojej zdolności wywozowej, a Australia i Argentyna mogą jeszcze bardzo wielkie ilości produktów rolnych na targ rzucić, sądzi komisya, że niema w najbliższej przyszłości widoków, aby nacisk obcej konkurencyi miał osłabnąć.

To najważniejsze dla nas wyniki ankiety. Część trzecią o środkach zaradczych, chociaż zajmuje większą połowę broszury, możemy w kilku słowach omówić, gdyż odnosi się ona do specyalnych stosunków angielskich, nieposiadających dla nas bezpośredniego znaczenia. Toteż ograniczamy się tylko do wzmianki, że komisya żąda pewnych reform ustawodawczych stosunku dzierżawczego, głównie by dzierżawcy zabezpieczyć zwrot poczynionych wkładów, odrzucając jednak projekt regulowania tych stosunków przez trybunały państwowe, oraz domaga się uproszczenia i potanienia obecnego systemu zmiany własności ziemskiej i umożliwienia odsprzedaży części zadłużonego majątku (parcelacya i kolonizacya). Dalej wskazuje na potrzebę rozwinięcia kredytu melioracyjnego przy pomocy państwa, oraz rozwoju mleczarstwa przez zakładanie szkół i spółek mleczarskich. Roztrząsając sprawę zbyt drogich taryf kolejowych, zwraca komisya uwagę na to, że produkty za-

graniczne przychodzą i w większych ilościach i w lepszem przygotowaniu (opakowaniu i t. d.) do przewozu i dlatego mogą być taniej przewożone. Jedyną radą na to, by i krajowe produkty w podobny sposób przystosowały się do tych stosunków, a to głównie przy pomocy spółek. Mimo bardzo poważnych głosów nie zgodziła się komisya na potępienie handlu różniczkowego zbożem. Poruszono w komisyi sprawę fałszowania rozmaitych produktów oraz sprzedaży obcych towarów jako krajowych, oraz zalecano zaprowadzenie wag targowych dla rozpowszechnienia sprzedaży bydła podług żywej wagi.

Zalecono mianowanie fachowych korespondentów ministeryum rolnictwa, celem dokładnego informowania o stanie rolnictwa w kraju i zagranicą, oraz celem prowadzenia statystyki cen. Dalej domaga się komisya rozwoju szkolnictwa rolniczego, przyczem główny nacisk ma być położony na gospodarczą stronę przedsiębiorstwa rolnego.

Jak z tego przeglądu widać, środki zaradcze, proponowane przez komisyę, mają na celu głównie ulżenie rolnikom w ciężkiem położeniu. Główny nacisk kładzie się na rozwój pomocy własnej wśród rolników, na rozwój spółek rolniczych, dalej zalecanem jest ulepszenie gospodarstwa, a to przez rozwój szkolnictwa rolniczego; wreszcie konieczną jest reforma ustroju agrarnego.

Dziesięciu członków komisyi poszło dalej, opracowując referat o bimetalizmie. Za daleko zaprowadziłoby nas obszerniejsze omówienie tej zawiłej kwestyi. Zaznaczyć tylko trzeba mylne zapatrywanie, jakoby ochronne cła agrarne nie ochroniły od przesilenia rolnego tych krajów, które je zaprowadziły, ponieważ nie zdołały powstrzymać spadku cen płodów rolnych. Wszakże nie to jest momentem rozstrzygającym, lecz ogólny stan rolnictwa w krajach ochronionych, a ten przecież w Niemczech i we Francyi np. jest lepszy niż w Anglii. Ogółem jednak wystarczy zaznaczyć, że referat przychodzi do przekonania, że usunięcie waluty srebrnej podrożyło pieniądz i obniżyło ceny płodów rolnych, że zaprowadzenie waluty podwójnej, zwiększając ilość monety obiegowej, podwyższyłoby ceny i wyszłoby na pożytek rolnictwu. Ponieważ przewrót taki w stosunkach monetarnych dałby się osiągnąć jedynie na drodze międzynarodowej, przeto referenci wzywają rząd do zwołania konferencyi międzynarodowej dla postawienia światowych stosunków monetarnych na stanowisku z przed r. 1873 [1]. Całe

[1] Wobec czego Anglia zatrzymałaby złotą walutę, a reszta państw miałaby podwójną!!

to rozumowanie oparte jest na teoryi kwantytatywnej (tj. że ceny towarów zależą wprost od ilości pieniędzy w obiegu się znajdujących), nad którą nowsza nauka ekonomiki społecznej, zwłaszcza w Niemczech, zaczyna przechodzić do porządku dziennego.

W zakończeniu autor rozważa wyniki ankiety angielskiej ze względu na stosunki Niemiec i wyraża zapatrywanie, że w Niemczech przesilenie rolnicze nie jest tak dotkliwe, że więcej ucierpieli więksi właściciele i robotnicy rolni, niż chłopi.

Taka jest główna treść broszury dr-a Stillicha. Stanowisko autora jest przedmiotowe, ściśle naukowe, wolne od zakusów stronniczo-agrarnych. Układ rozdziału o istocie przesilenia rolnego mógłby, co prawda, być lepszy, np. lepiej byłoby opisać wpływ przesilenia na wszystkie warstwy ludności rolnej każdej z poszczególnych okolic z osobna; brak również ustępu o rentowności rozmaitych gałęzi gospodarstwa wiejskiego w okolicach dotkniętych.

Mimo to jednak zawiera broszura ta wiele cennych szczegółów i nadaje się wielce do poinformowania czytelnika o położeniu rolnictwa w W. Brytanii, zajmującej dziś jedno z najbardziej wpływowych stanowisk w gospodarstwie wszechświatowem.

Dr. Tadeusz Kudelka.

Katalogi dobrych książek.

Często u nas czuć się daje potrzeba spisów dobrych książek, któreby można śmiało do katolickich bibliotek sprowadzać. Raz po raz do Redakcyi naszej przychodzą prośby o tego rodzaju wskazówki i daleko jeszcze jesteśmy od tego, żebyśmy mieli polskie katalogi, nieco kompletniejsze, odpowiadające tym wymaganiom. Ale francuskich katalogów nie brak. Przytaczamy kilka najświeższych:

Najprzód dobór książek dla ludzi wykształconych, świeckich, podaje katalog Towarzystwa Bibliograficznego (katolickiego) *Catalogue de livres choisis à l'usage des gens du monde, contenant les meilleures productions de la littérature contemporaine.* (Seconde édition. Paris, Lamulle et Poisson, 1892. pp. VIII, 296).

„Katalog ten — czytamy we wstępie — przeznaczony jest dla szerokiej publiczności, która czyta i pragnie się kształcić. Niema na oku ani fachowców, ani warstw ludowych". Spis ten zawiera pięć

części: Teologia, Prawo, Nauki i Sztuki, Belletrystyka, Historya. Każda z tych części ma znowu poddziały. Książki podane dobrane są starannie i przez ludzi kompetentnych. Szczególnie zwracamy uwagę na te, które dotyczą Filozofii, Wychowania, Ekonomii politycznej, socyalnej, Sztuki, Archeologii.

Dla kleru znowu jest osobny katalog, ułożony nieźle, choć trochę ciasno, przez ks. L. Dementhon: *Catalogue méthodique de livres choisis pour une Bibliothèque ecclésiastique.* (Lyon, Vitte, 1897, pp. 15). Zawiera dwie części: *Bibliothèque du séminariste et du jeune prêtre* i *Bibliothèque du prêtre: professeur, aumônier, curé.*

Są też osobne katalogi dla pań. Tak np. jest: *Bibliothèque catholique des femmes chrétiennes.* (Rue de Naples, 18, à Paris, chez les religieuses de Marie-Réparatrice 1897) około dwieście stron, dobór staranny i surowy. Podobnie *Bibliothèque d'une enfant de Marie, catalogue de livres choisis pour une chrétienne vivant dans le monde* przez księdza de Benazé T. J. (Paris, Retaux, 1899, pp. 115). W tym ostatnim katalogu wśród tysiąca i więcej wskazanych dzieł, niema żadnej powieści.

Obyśmy wkrótce mogli podobnemi katalogami polskiemi się poszczycić.

Ks M. M.

Druk ukończono 29 sierpnia 1899 r.

SPIS RZECZY.

Artykuły naukowe i literackie.

	Stronica
Ideały społeczno-ekonomiczne w Rosyi. I. Przez *ks. Leonarda Lipkego T. J.*	1
Mickiewicz i Puszkin jako bajroniści. (Dokończenie). Przez *d-ra Józefa Tretiaka.*	22
Układy o ligę przeciw Turkom za Zygmunta III. Przez *ks. Józefa Sasa T. J.*	54 190
Z Capri. Przez *Józefa Rystana.*	72
Zasadniczy punkt wyjścia w badaniu filozoficznem. (Dokończenie). Przez *ks. Jana Nuckowskiego T. J.*	85 355
Młoda Polska w powieści i poezyi. 1. Naturalizm i modernizm. Przez *prof. Antoniego Mazanowskiego.*	173 340
We Fiesolje. Przez *Józefa Rystana.*	212
Astronomiczne określenie dnia Wielkanocy u ojców kościoła. Przez *ks. Konstantego Czaykowskiego T. J.*	223 388
„Dziady“ Mickiewicza w oświetleniu p. M. Konopnickiej. Przez *d-ra Józefa Kallenbacha*	250
Świętych Obcowanie. I. Potęga solidarności u starych chrześcijan. Przez *ks. Maryana Morawskiego T. J.*	325
O charakterze i zadaniu muzyki kościelnej. Przez *ks. Józefa Tuszowskiego T. J.*	413

Przegląd piśmiennictwa.

Stronica

Z piśmiennictwa krajowego:

Z LITERATURY MICKIEWICZOWSKIEJ W ROKU JUBILEUSZOWYM: Refleksye ogólne. — Mickiewicziana Wisłockiego. — Wydania zbiorowe dzieł poety. — Przekłady Mickiewicza na obce języki. — Wiersze i utwory okolicznościowe ku czci poety. — Życiorysy popularne: Bełza, Koneczny, Leitgeber, Maćkowski, Orsza, Parylak, Pieniążek, Pepłowski, Strażyńska, Strokowa, Synoradzki, Tarnowski, Wojnar, Wysłouchowa, Redakcye socyalistyczne. *(Dr. Korneli Juliusz Heck)* 113

Z NOWYCH WYDAWNICTW DLA MŁODZIEŻY. Walery Przyborowski: „Namioty Wezyra". — Teresa Jadwiga: „Z życia znakomitych Polaków i Polek", „Kara Boża", „Wilczek", „Odnowiciel". — Zuzanna Morawska: „Król Kurkowy". — Zofia Bukowiecka: „Młotem i kielnią". — Maryan z nad Dniepru: „Dzieje ojczyste aż po najnowsze czasy opowiadane dziatwie polskiej", „Dzieje literatury ojczystej dla młodzieży polskiej". — H. Sienkiewicza „Quo vadis", ułożył i objaśnił Romuald A. Bobin. *(T. W.)* 274

Z LITERATURY PAMIĘTNIKOWEJ:

PAMIĘTNIK STANISŁAWA NIEMOJEWSKIEGO (1606—1608). Wydał Aleksander Hirschberg. *(Michał Rolle)* 429

PAMIĘTNIKI SADYKA PASZY MICHAŁA CZAJKOWSKIEGO. Tłumaczył na polskie A. P. — JENERAŁ DEZYDERY CHŁAPOWSKI. Pamiętniki. — ZYGMUNT KACZKOWSKI. Mój Pamiętnik z lat 1833—1843. *(L. M. Dziama)*. 437

Z DOLI I NIEWOLI. Wspomnienia wygnanki. E. Tabeńska. — GAWĘDY FAMILIJNE. Pamiętnik z XIX. w. I. Turkuł. Z PAMIĘTNIKA ROMANA. *(Jarosław Rejowicz T. J.)*. 446

JENERAŁ TOMASZ HRABIA POMIAN ŁUBIEŃSKI. Przez Rogiera hr. Łubieńskiego. *(M.)*. 449

Z piśmiennictwa zagranicznego:

Z NOWYCH POWIEŚCI ANGIELSKICH: H. G. Wells: „The invisible Man". — „The Time machine". — „The island of dr. Moreau". *(T. W.)*. 138

FAMILIEN-ALMANACH UNTER MITWIRKUNG HERVORRAGENDER SCHRIFTSTELLERINNEN herausgegeben von E. M. Hamann. *(T. W.)* 148

GRUNDZÜGE DER PSYCHOLOGISCHEN ERZIEHUNGSLEHRE. Nebst einem Anhang über Charakterologie. Dr. A. Huther. *(Ks. Aleksander Pechnik)*. 291

DIE ERBSCHAFTSSTEUER IM INTERNATIONALEN RECHTE. Von Dr. Ioachim v. Bartoszewicz. *(Dr. Zygmunt Gargas)*. 294

Stronica

HERRIN. Novelle v. Friedrich Spielhagen. *(T. W.)* 300

PRIVATWOHLTÄTHIGKEIT IM MITTELALTER. Unter besonderer Berücksichtigung des skandinavischen Nordens. Wilhelm Schmitz S. I. *(Dr. K. Krotoski)* 306

VERSUCH EINER SYSTEMATISCHEN UND KRITISCHEN DARSTELLUNG DES ALLGEMEINEN MODERNEN AUSWANDERUNGSRECHTES. Von Dr. Roger Freiherr von Battaglia. *(Dr. Zygmunt Gargas)*. 453

ZUR MODERNEN DRAMATURGIE. Studien und Kritiken über das ausländische Theather von Eugen Zabel. *(Dr. J. Flach)*. 458

EINE SONNE IM ERLÖSCHEN. Historischer Roman. Von Theodor Jeske-Choiński. Genehmigte Uebertragung aus dem Polnischen von I. Glinkiewicz. *(Ks. Wiktor Wiecki T. J.)* . . 467

Sprawozdanie z ruchu

religijnego, naukowego i społecznego.

LIPIEC.

SPRAWY KOŚCIOŁA: Masonerya we Francyi. — Rytualiści angielscy. Przez *ks. Wł. Ledóchowskiego T. J.* 153

ZE ŚWIATA NAUK, ODKRYĆ I WYNALAZKÓW: Nowe pierwiastki w powietrzu atmosferycznem. Przez *ks. F. Hortyńskiego T. J.* 166

SIERPIEŃ.

SPRAWY KOŚCIOŁA: Reakcya katolicka i socyalizm. Przez *ks. Wł. Ledóchowskiego T. J.* 310

POLACY NA OBCZYŹNIE. Przez *M.* 316

WRZESIEŃ.

SPRAWY KOŚCIOŁA: Konferencya w Hadze. — Katedra katolicka w Westminsterze. Przez *ks. Wł. Ledóchowskiego T. J.* 469

PRZESILENIE ROLNICZE W ANGLII. Przez *d-ra Tadeusza Kudelkę* . 479

KATALOGI DOBRYCH KSIĄŻEK. Przez *ks. M. M.* 487

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Ks. M. Morawski T. J.